XXVI LAT Z RUSZCZYCEM





JAN BUŁHAK

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ LAT Z RUSZCZYCEM

WILNO

1939

JAN BUŁHAK

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ LAT Z RUSZCZYCEM

T E G O Ż A U T O R A:

1. MOJA ZIEMIA, Wilno 1919 (wyczerpane).
2. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt I. KRAJOBRAZ WILEŃSKI. Wilno 1931. (na wyczerpaniu).
3. FOTOGRAFIKA. Zarys fotografji artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931. (na wyczerpaniu).
4. TECHNIKA BROMOWA. Wilno 1933 (na wyczerpaniu).
5. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt II. KRAJOBRAZ WIDZIANY PRZEZ SOCZEWKĘ. Wilno 1933. (na wyczerpaniu).
6. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt III. PRZEZ PONARY DO TROK. Wilno 1933. (na wyczerpaniu).
7. BROMOGRAFIKA czyli metoda wtórnika. Wilno 1934.
8. ESTETYKA ŚWIATŁA. (Zasady Fotografiki), Wilno 1936.
9. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt IV—V. JEZIORO NAROCZ. Wilno 1935. Wydanie St. Turskiego.
10. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt VI. CZŁOWIEK TWÓRCĄ KRAJOBRAZU. Wydanie „Przeglądu Fotograficznego“. Wilno 1936.
11. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt VII. RUSZCZYCOWSKIE DOŻYNKI. Wilno 1935.
12. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. Zeszyt VIII—IX. PEJZAŻ WILNA. Wydanie „Przeglądu Fotograficznego“. Wilno 1936.
13. DOM. Opowieść w 18-tu obrazach. Wydanie „Przeglądu Fotograficznego“. Wilno 1937.
14. DLACZEGO RUSZCZYC PRZESTAŁ MALOWAĆ? Wydanie St. Turskiego. Wilno 1936.
15. W przygotowaniu: „KRAJ LAT DZIECINNYCH“.

Powyższe dzieła są do nabycia w Księgarni Św. Wojciecha w Wilnie, ul. Dominikańska 4, albo bezpośrednio u autora, Wilno, Orzeszkowej 3.

JAN BUŁHAK

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ LAT Z RUSZCZYCEM

ILUSTRACYJ 230, W TEM 22 PLANSZE BARWNE, 59 PLANSZ JEDNOBARWNYCH i 149 RYCIN W TEKŚCIE PODŁUG ZDJĘĆ FOTOGRAFICZNYCH AUTORA

ODBITKA Z WYDAWNICTWA ZBIOROWEGO p. t. „FERDYNAND RUSZCZYC, ŻYCIE I DZIEŁO"

WILNO 1939

NAKŁADEM I DRUKIEM STANISŁAWA TURSKIEGO W WILNIE

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

WILNO — POZNAŃ — WARSZAWA — LUBLIN

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ EDWARD KUCZYŃSKI. DOBÓR, UKŁAD ILUSTRACYJ I REPRODUKCJE FOTOGRAFICZNE DZIEŁ RUSZCZYCA ORAZ ZDJĘCIA Z NATURY WYKONAŁ JAN BUŁHAK

KLISZE Z ZAKŁADU CHEMIGRAFICZNEGO FELIKSA ZANIEWSKIEGO W WILNIE. KLISZE SIATKOWE WIELOBARWNE Z ZAKŁADU „FOTOCYNK" FRANCISZKA FLORKIEWICZA W KRAKOWIE

TEKST I ILUSTRACJE ODBITO W DRUKARNI ARTYSTYCZNEJ STANISŁAWA TURSKIEGO „GRAFIKA" W WILNIE. SKŁADALI NA LINOTYPIE KONRAD PIEKARSKI I BOLESŁAW RUTKOWSKI. ŁAMAŁ PIOTR PUTNO. DRUK CAŁOŚCI WYKONAŁ BERNARD USELIS, ILUSTRACJE WIELOBARWNE POWIELAŁ JAN SKARŻYŃSKI

WSTĘP

Ferdynanda Ruszczyca poznałem w roku 1910-ym i wkrótce życie nas bardzo zbliżyło. W ciągu wielu lat, razem przeżytych w Wilnie, odczuwałem nieraz chęć pisania o nim, zdając sobie sprawę, że nie powinno zginąć w niepamięci nic z tego, co ktośkolwiek wie o artyście i człowieku tak niezwykłej miary. Rozumiałem, że Ruszczyc jest chlubną własnością całej Polski i że wszystko, co jego dotyczy powinno być przekazane potomności chociażby w formie zwykłego pamiętnika, jeśli kogoś nie stać na inne ujęcie. Że jakkolwiek nietrafne lub nawet niedołężne byłyby sądy i wrażenia, jakkolwiek odległy dystans duchowy piszącego — nic go nie może zwolnić z tego obowiązku sprawozdawczego wobec potomności.

A obok spełnienia powinności byłaby przecież i radość niemała, radość ponownego przeżywania tylu lat życia, spędzonych w pobliżu człowieka, który przerastał całe otoczenie i stworzył w Wilnie epokę. Radość, płynąca jeśli nie z odkrycia epokowości Ruszczyca, to przynajmniej z przypomnienia jej tym, co patrzali nań w codziennym biegu życia bez należytej perspektywy i nie umieli ocenić go podług zasługi... Łatwiej bowiem jest dostrzegać złocone tekturowe korony, w które stroją się wielkości urojone. Prawdziwa wielkość ducha jest niewidoczna, ukrywa się we wzniosłej prostocie, rozdaje swe skarby szczodrze, ale bez ostentacji. Nie każdy potrafi ją zauważyć. Więc uśmiechała mi się nadzieja, że może choć w drobnej mierze przyczynię się do tego, by lepiej poznano Ruszczyca, by zrozumiano jego wyjątkową rolę w naszem życiu i nauczono się cieszyć z jego istnienia.

Wielkie duchy są jak słońce: świecą i grzeją z nadmiaru swego bogactwa, roztaczają je żywiołowo bez umniejszenia swych bezgranicznych zasobów, poprostu dlatego, że nie mogą czynić inaczej. Ale — jakże opisać słońce? Jak je ogarnąć myślą i słowem? Czy z moich zuchwałych zamierzeń nie pozostanie tylko garstka popiołu? Niepokoiły mię te wątpliwości, bo zdawałem sobie sprawę, że ukazać Ruszczyca w pełnej istności i głębi — to jest zadanie, przerastające moje siły. Zachwytem i oddaniem czułem się może nieco uprawnionym do tego zadania, ale wiedzą i doświadczeniem — całkiem niegodnym. Dlatego przez tyle lat trwałem w milczeniu, pełnem serdecznych porywów, w milczeniu, które zdawało się nie mieć końca.

W takich okolicznościach doczekałem się pierwszego studjum o Ruszczycu pióra Jerzego Remera pod tytułem „W służbie sztuki — U źródeł twórczości Ferdynanda Ruszczyca". Barwnie, uroczyście i wnikliwie przedstawiony został w niem artysta, ale może mniej ukazany człowiek żywy, obcowanie z którym daje tyle niewyczerpanej radości. Praca Remera przecięła moje wahania, otwarła mi usta, przeistoczyła chęci w wyraźne postanowienie. Pomyślałem: niech godniejsi i bardziej uczeni tworzą świetne monografje literacko-krytyczne — ja im przeciwstawię z całą skromnością tylko jedno: — korne serce. Przez lata serce to czuło wiele i wiele zapamiętało. Niech to, co w niem zapisał Ruszczyc, nie zginie.

W głębokiem wzruszeniu czułem, jak mi spada z ust pieczęć dobrowolnego milczenia. Będę pisał o tym Ferdynandzie, którego znam, którego widziałem i słyszałem. Opiszę tylko to, co osobiście przeżyłem z nim, lub przez niego. Nie będę silił się na nic innego ponad wierność przypomnień i odczuć. Jeśli one przydadzą się autorowi przyszłej księgi o „prawdziwym" Ruszczycu, księgi, która powinna zawrzeć dzieje całego pokolenia, miasta i dzielnicy, — to tem lepiej. Ale ja będę pisał poprostu, dla siebie i dla najbliższych, o człowieku i artyście, o przyjacielu i przewodniku, któremu zawdzięczam najlepszą treść mego życia.

W dniu św. Ferdynanda Króla, 30 maja 1927-go roku, obchodziliśmy u mnie uroczyście imieniny Ruszczyca i trzydziestolecie jego pracy artystycznej. Nie brakło nikogo z jego przyjaciół wileńskich. Imieniem Wydziału Sztuk Pięknych prof. Juljusz Kłos, dziś już nieżyjący, wręczył solenizantowi pracę Jerzego Remera i wypowiedział nasze gorące życzenia, nasze braterskie uczucia, nasz hołd serdeczny. Były to chwile niezapomniane: lotne i beztroskie w formie, poważne i wzruszające w treści. Przypominały czasy dawnego Wilna Mickiewiczowskiego, miały ich ton i klimat duchowy. W podniosłym nastroju spędziliśmy tę majową noc, zamykającą dzieje lat trzydziestu. Świętowaliśmy zamknięcie pierwszej księgi żywota Ruszczycowego, zapełnionej do ostatniej stronicy szczytnym trudem i młodym entuzjazmem. Wierzyliśmy wówczas, że po niej przyjdzie księga druga, niemniej bogata i drogocenna. Nie przeczuwaliśmy, że już za lat niewiele czeka Ruszczyca ciężka choroba, która położy kres wszystkiemu, obezwładni artystę i uczyni z niego ptaka o złamanych skrzydłach.

Nieszczęście przyszło w jesieni roku 1932-go, jak uderzenie piorunu. Nietylko rodzina i przyjaciele — całe Wilno ciężko odczuło ten cios. Trudno było uwierzyć, że jakieś marne przyczyny fizyczne mogą w jednej chwili przekreślić to, co było jasnością promienistą i mocą dobroczynną, iskrą bożą, wcieloną w najpiękniejszy kształt człowieczy. Po otrząśnięciu się z pierwszych chwil przygnębienia, wilnianie zakupili w Ostrej Bramie mszę na intencję swego kochanego artysty i zapełnili całą ulicę Ostrobramską, zanosząc modły do Matki Boskiej o powrócenie mu zdrowia. A przyjaciele Ruszczyca przeżyli więcej, niż może wyrazić mowa ludzka. Umieli tylko — milczeć, a milczenie to przepełniała cześć miłująca i bolesna.

Takie były i moje odczuwania. Ale patrząc na chorobę Ruszczyca, przerzucając się od nadziei do zwątpienia, zacząłem wreszcie rozumieć, że to nieszczęście zamyka z okrutną nieodwołalnością okres jego życia czynnego, że ten okres przechodzi już do historji, i że ja powinienem spisać moje wspomnienia bez odkładania, dopóki starczy pamięci i życia. Więc zaczynam w imię Boże, bo wierzę, że Opatrzność kierowała memi krokami, gdy spotkały się drogi naszego życia. Niezawsze będę mógł ręczyć za dokładność dat i ścisłość chronologicznego następstwa wydarzeń, gdyż nie posiadam daru pamięci wytrawnego kronikarza. Obchodziła mię zawsze bardziej kolorowa bujność kwiatu, niż kalendarzowy czas jego rozkwitania. Żałuję z góry, że wskutek tego z pewnością pominę lub oddam zbyt pobieżnie niejedną rzecz ważną i potrzebną. Ale nie widzę na to rady. Więc nietyle może o faktach będę opowiadał, ile o ich odbiciu w moich wrażeniach osobistych, które będę usiłował spisać sumiennie i wiernie.

. . . .

. . . .

Tę przedmowę wraz z pierwszemi rozdziałami pisałem jeszcze wtedy, gdy Ruszczyc żył i zdawał się powoli przychodzić do zdrowia. Może dlatego nie nastąpiły po nich rozdziały dalsze i praca uległa zawieszeniu.

Ale dziś już niema Ruszczyca między nami. Pozostały tylko wspomnienia i utrwalenie ich

jest pilnym obowiązkiem. Muszę śpieszyć, bo lata uciekają chyżo i jutro jest niewiadome. A prowadząc dalej opowieść, czuję gorzki żal, żem nie spożytkował lepiej tylu lat obcowania, czuję wyrzuty sumienia, że zamało ceniłem szczęście, które tak długo było moim udziałem.

Niema nic cięższego w życiu nad poczucie jego niepowrotności. Ale i nic mocniejszego od pragnienia, by utrwalić i przekazać pamięci potomnych to, co było dobre i piękne, a już przeminęło.

W listopadzie 1936 roku.



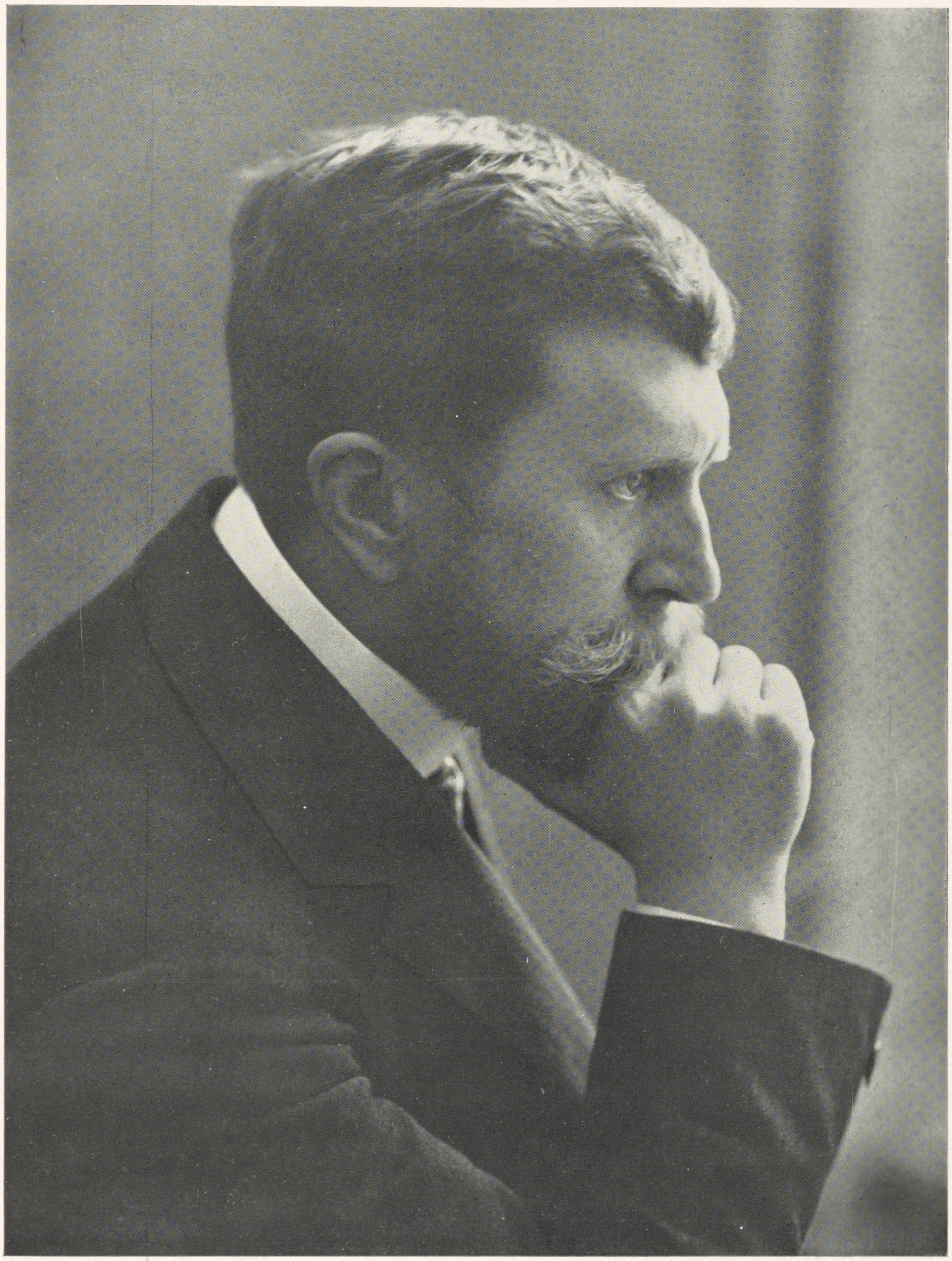
ROZDZIAŁ I

JAK POZNAŁEM RUSZCZYCA

W roku 1910-tym przekroczyłem już był dantejską „połowę drogi życia", a jednak nie wiedziałem jeszcze, dokąd nią zmierzam. Żyłem raczej odruchami, ciągiem faktów dokonanych, bez udziału woli świadomej i napiętej, a szarzyznę i próżnię, jaka stąd wynikała, maskowałem zaspakajaniem przelotnych kaprysów i zdobywaniem zabawek, objętych ogólną nazwą „wyższych aspiracyj". Dyletantyzm i snobizm, obydwa w gatunku dość niewybrednym — to była przymusowa treść pierwszej połowy mego życia. Zresztą dyletantyzm wszelkiego rodzaju otaczał mnie wkoło i oddzielał od świata pracy umiejętnej, porządnej i celowej, od nieznanej dziedziny świadomego czynu. Amatorskie i odruchowe było wszystko w mojem otoczeniu, od poglądów na naukę i sztukę, do gospodarstwa rolnego i domowych porządków. Środowisko, w którem żyłem, składało się z ludzi dobrych i zacnych, ale posiadających właściwości, troski i przesądy dla mnie obce, których nie umiałem podzielać. Ludzie ci żyli podświadomie, niejako automatycznie, oddawali się codziennym zatrudnieniom i wczasom, mało dbając o ogólny kształt i sens życia. Byli przytem ekskluzywni. Bez umyślnej złej woli zwalczali w innych wszystko, co w ich pojęciu wykraczało poza normy uregulowanego i poczciwego bytu szlachecko-ziemiańskiego. Inteligentni w potocznem znaczeniu wyrazu, odznaczali się w gruncie rzeczy dziecinną nieświadomością wyższych wartości i celów, jakie przydaje życiu wszelka twórczość, pojęta szeroko, jako pełnia życia. A wskutek tego byli ciaśni i nietolerancyjni w stosunku do osobowości i poglądów odmiennego gatunku. Wyłączność ich była mimowolna i bezwiedna, ale przez to właśnie tem bardziej despotyczna.

Dzisiaj — w perspektywie lat i doświadczeń — rozumiem, że tak być musiało i że tam, gdzie brakło złych intencyj, nie może być mowy o zarzutach i krzywdach. Wówczas jednak odczuwałem dotkliwie a nieprzyjaźnie hamujące ciśnienie, jakie środowisko wywierało na mnie, zamykałem się w sobie wzgardliwie i byłem wewnętrznie usposobiony do szyderstwa, buntu i walki z ludźmi, którzy pragnęli tylko mojego dobra, rozumianego oczywiście po swojemu. Uczucia te były tem ostrzejsze i tem bardziej beznadziejne, że obyczajowi otoczenia nie umiałem przeciwstawić jakiejś odmiennej drogi własnej, obranej w sposób zdecydowany i jasny. Oni wiedzieli, czego chcieli, ja — nie. Intuicyjnie czułem swoją słuszność, ale nie umiałem jej dowieść ani słowem, ani czynem. Uchodziłem więc za dziwaka, sybarytę i jałowego marzyciela, czem zresztą byłem naprawdę w owych czasach.

Żyjąc tak z dnia na dzień i porzucając jedne miraże dla innych, czułem wciąż przed sobą jakiś mur nieprzenikniony, o który rozbijały się najlepsze poruszenia serca, najżarliwsze akty sumienia. A wewnątrz tego błędnego kręgu pozostawałem samotny, trwający w mgławicy pory-



FOT. KUCZYŃSKI I GÜRTLER

F. RUSZCZYC W KRAKOWIE W R. 1907.

F. RUSZCZYC À CRACOVIE EN 1907.



F. RUSZCZYC

Z CYKLU „WŁOCHY". JADALNIA (1906)

INTÉRIEUR DANS LA RÉSIDENCE DE WŁOCHY (1906).

wów, pozbawionych ucieleśnień. Pisywałem artykuły w sprawach społeczno-narodowych, dość chętnie drukowane przez polską prasę w Wilnie, pomimo tego, że naiwna ich treść tonęła w nadmiarze werbalizmu. Po za tem od kilku już lat oddawałem się z właściwem sobie krańcowem zapamiętaniem fotografowaniu. W chłonności jego rekwizytorni technicznej usiłowałem topić żrącą tęsknotę za nieznanem, a przeczuwanem, za tem wszystkiem, co samą nadzieją, że kiedyś może przyjść, osładzało mi ciężką pustkę każdego dnia. Po pewnych raczej może przypadkowych osiągnięciach w tych obydwuch dziedzinach stałem się parafjalną znakomitością i powiatową sławą, acz nie bez znamienia marnotrawnego dziwactwa w opinji mego zakątka. W uznaniu, którem mię zaczęto darzyć, tkwił odcień pobłażliwego ubolewania, z jakiem ludzie poważni traktują wybryki niedorostków i wykolejeńców.

Oglądając dziś zdala ten szmat mego życia, mogę stwierdzić bez przesady i bez żadnego w czyjąkolwiek stronę zarzutu, że spędziłem go w stanie prymitywizmu intelektualnego i artystycznego, i że taka sama surowa pierwotność cechowała moje ówczesne otoczenie. Niech to objektywne stwierdzenie, potrzebne tu dla podmalowania tła zdarzeń późniejszych, nie będzie żadną ujmą ani osądem dla ludzi najczęściej dobrych i pożytecznych, a nieraz rozumnych i szlachetnych, którzy wchodzili w skład tego środowiska. Jedynie fatalny przypadek zrządził, że nie napotkałem wśród nich takiego, coby umiał i chciał swoim przykładem lub radą wyzwolić drzemiące we mnie siły. Nie miałem jakoś szczęścia do ludzi ani na uniwersytecie w Krakowie, ani później, jako osiadły w Peresiece pod Mińskiem Litewskim ziemianin. Ten zbieg okoliczności zaciążył opóźniająco na rozwój mojej osobowości i był przyczyną mych długoletnich zmagań i udręczeń. Ale wśród nich rósł bunt i krzepła wola przezwyciężenia. W jałowym biegu dni bez barwy i treści nastawiałem ucha odgłosom dalekiego świata, drogi do którego zdawały mi się zamknięte nazawsze. Nie przeczuwałem, jak szybko mogą się otworzyć i jak wyjątkowe szczęście gotuje mi los.

Miałem wówczas w Wilnie kolegę szkolnego i przyjaciela, dziś oddawna nieżyjącego, doktora Lucjana Adamowicza, człowieka rzadkiej dobroci i poświęcenia. Zmarł w roku 1911-ym na tyfus, którego się nabawił przy jednej z mnogich swych bezpłatnych praktyk wśród wileńskiej biedoty. Z serdecznym szacunkiem wspominam tego miłego towarzysza, cichego i nieznanego bohatera obowiązku. Doktór Adamowicz odwiedził mię kiedyś w Peresiece i w pogawędce o różnych sprawach wileńskich opowiadał z zapałem o Ferdynandzie Ruszczycu, jako o tym, który uosabia i ogniskuje życie artystyczne miasta, urządza świetne wystawy malarskie, inscenizuje Słowackiego w teatrze Nuny Młodziejowskiej i jest na ustach wszystkich wilnian. Nazwisko ofiarnej twórczyni teatru polskiego w Wilnie nie było mi obce i wskutek rozgłosu opinji budziło we mnie pewne zainteresowanie, ale zasiedziały w drobnych wydarzeniach i kłopotach domowych, niewiele po za tem wiedziałem o ówczesnem wileńskiem życiu kulturalnem, dźwigającem się po rewolucji rosyjskiej 1905-go roku w atmosferze względnej swobody. O Ruszczycu zaś słyszałem tylko tyle, że jest twórcą słynnej „Ziemi“, szeroko znanej z popularnych reprodukcyj.

Słowo „artysta“ miało zawsze dla mnie szczególny urok i o ludziach z tych sfer myślałem z taką samą pokorną tęsknotą, z jaką gęsiopaska myśli o królewiczu z bajki. W życiu dotychczasowem spotykałem tylko namiastki artystów, albo też może nie umiałem poznawać się na talentach prawdziwych, a jeszcze nie patentowanych przez ogólne uznanie. Więc opowiadanie Adamowicza obudziło moją czujność i wznowiło tęsknotę za jakąś dobrą duszą, coby mi pomogła odnaleźć drogę na zbłąkanym szlaku życia. Jakby przeczuciem wiedziony, zapytałem Adamowicza, czy nie sądzi, by Ruszczyc mógł zainteresować się mojemi wysiłkami w dziedzinie fotograficznej.

W odpowiedzi posłyszałem od Adamowicza nietylko słowa potwierdzenia ale i zachęty. Ruszczyc miał być człowiekiem uczynnym, miłym w obejściu i dostępnym, a dom jego otwar-



F. RUSZCZYC RYSUNEK DO AFISZA TEATRU NUNY MŁODZIEJOWSKIEJ W WILNIE.

tym gościnnie dla szczerze interesujących się sztuką. Wiadomość była z tych, co błyskają, jak zbawcze światło w ciemną noc. W tej chwili uczyniłem postanowienie zapoznania się z Ruszczycem i nazwisko to wydało mi się jakąś deską ratunku, nadpływającą do mnie z dalekiego świata.

W parę miesięcy po tej rozmowie, w dniu 21 listopada 1911-go roku dzwoniłem u drzwi Ruszczyca na Zarzeczu pod numerem 24-ym. W kieszeni miałem paczkę mych krajobrazów fotograficznych, a w duszy — wielką tremę. Czułem się, jak przed egzaminem maturalnym, ale zresztą byłem desperacko zdecydowany.

Wprowadzono mię przez salon i gabinet do małej pracowni. Od stołu rysunkowego wstał gospodarz i na kilka mych słów, wyjaśniających powód odwiedzin, powitał mię ze swobodną uprzejmością. Przyjęcie to ośmieliło mnie i złagodziło moje obawy. Wystarczało ujrzeć Ruszczyca, by powziąć do niego zaufanie. W jego oczach nie było ostrożnego mieszczańskiego zapytania, czy przychodzę z czemś rzeczowem i dla niego korzystnem, lecz nasze wiejskie, staropolskie: „gość w dom, Bóg w dom". Znalazłem się w obecności człowieka, ujmującego prostotą i czarującego wdziękiem. Rozmawiając przypatrywałem mu się uważnie. W pełni rozwoju męskiego, raczej wysoki, smukły i kształtny, Ruszczyc miał naturalną wytworność postaci i ruchów, a głos niezmiernie wyrazisty i bogaty. Głos ten to brzmiał donośnie, soczyście i metalicznie, jak głęboki dźwięk organowy, to zniżał się do modulacyj intymnie ściszonych, a mimo to pełnych ekspresji, jakby wibrujących tajonem wzruszeniem. Była to niesłychanie pojemna i zróżnicowana gama tonów głosowych od wnikliwego, poufnego piano poprzez crescenda bujnej, szlachetnie miarkowanej rozlewności, poprzez stacatta obrazowego akcentowania, aż do grzmiącego forte śmiechu, wezbranego męską siłą i przejasną radością. Tworzyła połączenie lwiej mocy i dziecięcej beztroski. Samem brzmieniem głosu Ruszczyc chwytał za serce, budził sympatję, wzniecał entuzjazm, a wrażenie to jeszcze pogłębiało się wzrokowo. Zamaszysta płowa czupryna ocieniała czoło, wydatnie guzowate, sklepione z wybitną oryginalnością; profil, doskonale narysowany, miał w sobie coś orlego, a oczy wyrażały to skupioną wolę, czujną i badawczą, to znów prześlicznie ludzką i przystępną dobroć, gdy rozkwitały wraz z ustami wesołym, promiennym uśmiechem. Ten postawny czterdziestoletni mężczyzna posiadał czar, którym zniewalał od pierwszego wejrzenia. Składała się nań i harmo-



FOT. J. BUŁHAK F. RUSZCZYC W BOHDANOWIE W R. 1911

nijność ruchów, i nieprzymuszona prostota obejścia i wykwintna pańskość dobrej rasy i żywiołowość bogato obdarzonej natury i wytworny umiar artysty i dżentelmena. Lwia grzywa, orli profil, czoło mędrca, głos i wzrok wodza, a w uśmiechu słoneczna radość i dobroć—oto był Ferdynand Ruszczyc. A dokoła otoczenie jaknajbardziej zestrojone z tym portretem: skromne, a piękne, wymowne nie kosztowną prezencją, lecz estetycznym doborem i układem.

Patrzałem na to wszystko w olśnieniu, szczęśliwy, że takiego człowieka danem było poznać mnie, który dotąd nie widziałem nikogo znaczniejszego ze świata sztuki i tak długo za tem tęskniłem w mojem głuchem odosobnieniu. Spotkanie Ruszczyca było wielkiem zdarzeniem w mojem życiu, uwieńczeniem długoletnich tęsknot, a dzień ten wyrył się w mej pamięci z najdrobniejszemi szczegółami.

Było jesienne popołudnie. Okna pracowni Ruszczyca ogarniały wielki szmat szarego nieba z bezlistnemi skupieniami drzew ogrodu Bernardyńskiego, ponad któremi wznosiły się wieżyce kościelne i szczyty gór Altarji. We wczesnym zmierzchu listopadowym obraz nie był barwny, ale uderzał rozległością i malowniczem spiętrzeniem terenu. Czuło się, jakim splendorem może go przyodziać każdej chwili słońce. A pracownia zdawała się być jakąś niezwykłą, wysoko wyniesioną trybuną, skąd artysta miał u swych nóg całe piękno miasta, oddające się jemu z gestem poddańczej roztworzystości. Chcąc zrozumieć plastyczny scenarjusz tej chwili, trzeba sobie uprzytomnić, że miejscem jej był dom, zbudowany, jak wszystkie inne domy Zarzecza, na wysokim brzegu Wilejki, że brzeg ten spadał ku rzece stromemi stokami, że wchodziło się do mieszkania z parteru, a mimo to okna dalszych pokoi, położonych na tym samym poziomie, znajdowały się już na drugiem piętrze i otwierały się na głęboki, przepaścisty widok kotliny z ogrodem, opasanym łukiem Wilejki, z gotyckiemi iglicami Świętej Anny, z masywną bryłą Bernardynów i smukłym dachem Świętego Michała. A dalej urwiste ściany Popowszczyzny i obłe grzbiety Altarji zamykały te wspaniałe elementy wileńskiego pejzażu, jakby ręką malarza ułożone w obrazową syntezę. Wyszukane i szczodre w doborze pięknych punktów optycznych, Wilno na Zarzeczu wysiliło się na widoki, zdumiewające kontrastem pomiędzy spokojem i niepozornością parterowych podwórzy, a niespodziankami wspaniałej perspektywy i fascynującej dali z okien i balkonów zewnętrznych. Oglądałem nieraz później ten pejzaż Ruszczycowski w różnych oświetleniach i porach roku i nigdy nie mogłem mu się dosyta napatrzeć. Zaprawdę — królewską siedzibę obrał sobie na Zarzeczu ten odkrywca wileńskiego piękna.

W ów listopadowy dzień godziny płynęły mi bezpamiętnie. Patrzałem to na ujmującego gospodarza, to na głębinę pejzażu, nęcącego z okna, wsłuchiwałem się to w doniosłość poruszanych przez niego spraw, to w brzmienie jego czarującego głosu i nie myślałem o pożegnaniu. Nie mogło być mowy o etykietalnej wizycie przy takiem szczerem i przychylnem przyjęciu. Treści naszej rozmowy nie potrafię powtórzyć dzisiaj tak samo, jak nie umiałbym dokładnie opowiedzieć szczegółów wielu naszych późniejszych rozmów. Były one zawsze żywe, bezpośrednie, nigdy programowe; proste w formie, niemal lekkomyślne, dotyczyły mimo to nieraz spraw bardzo ważnych. Ostrzem humoru i groteski, błyskiem kalamburu, ciętością określeń i subtelnością dostrzeżeń ślizgały się po wielostronnych graniach życia, skrótami i niedomówieniami zatrącały o wszystko, co było piękne, szanowne lub bolesne w świecie sztuki i całego polskiego życia.

W taki sposób mówiliśmy już owego pierwszego dnia naszej znajomości, a właściwie tak mówił Ruszczyc, a ja go słuchałem chciwie. Przy wielości i głębi zainteresowań, był on niesłychanie wstrzemięźliwy w mówieniu o sobie samym. Unikał podkreślania roli i osoby własnej i tem odrazu zaznaczał swój wstręt do celebrowania i koturnów. Z rozwagą męża łączył subtelność artysty, jakże daleką od pontyfikalności innych głośnych ludzi, którzy mu nie dorastali do pasa. Ruszczyc



FOT. J. BUŁHAK WIDOK Z BALKONU RUSZCZYCA NA ZARZECZU

mówił o wszystkiem prosto i szczerze, ale siebie ukazywał niechętnie i powściągliwie, tylko tyle, ile było koniecznem dla zdefinjowania sprawy, która mu leżała na sercu. Udział swój w niej szkicował paru słowami, niejako mimochodem, dopowiadając resztę gestem i mimiką twarzy. A jeśli pragnął czegoś aktywnego ze strony słuchacza, to poddawał mu swą myśl oględnemi półsłówkami, oczekując od niego domyślnego i chętnego współudziału, pozostawiając mu zasługę inicjatywy własnej. Czuło się w nim rzadką wstydliwość człowieka mocnego, nawykłego do czynu, człowieka, dla którego pewne rzeczy są nazbyt ważne i bliskie, by mógł je pospolitować frazeologją lub namową zjednywać im zwolenników. Lapidarna prostota obrazów Ruszczyca, którą poznałem później, odbijała się w jego charakterze, obcowaniu i mowie, nawet w jego piśmie, pozbawionem wszelkich zbytecznych elementów zdobniczych i „rysującem“ sylwetę litery w jej istotnym kształcie.

W pewnej chwili odważyłem się pokazać mu zabrane ze sobą fotografje, moje prymitywne jeszcze próbki pejzażowe. Rozłożył je i przeglądał z uwagą i zainteresowaniem, dalekiem od zdawkowego. I tu zachował się inaczej, niż wszyscy moi dotychczasowi chwalcy. Nie zachwycał się ogólnikowo, dostrzegał zalety i braki, ale wśród nich doszukiwał się intencyj lub usiłowań autora, odgadywał jego stosunek do natury wrażliwy i czynny. Mówił o tych biednych obrazach jak mądry nauczyciel, ceniący w uczniu możliwości przyszłe i traktujący go na kredyt już dzisiaj na stopie koleżeńskiej równości. Nie lekceważył bynajmniej fotografji, chociaż wówczas nie zasługiwała na to uznanie, jakie sobie wywalczyła później; owszem, wspomniał o kilku swoich znajomych z pośród młodzieży szkolnej, zajmujących się fotografowaniem, wymienił nazwisko Stefana hr.



FOT. J. BUŁHAK SALON RUSZCZYCA NA ZARZECZU

Zyberk-Platera, jako zdolnego i dobrze zapowiadającego się pejzażysty i podkreślił, że przywiązuje szczególną wagę do tej sztuki i wiele się po niej spodziewa. Tak poważnie mówił o nędznej, ośmieszonej fotografji, która w Polsce była wtedy prawie niczem, on — wielki artysta. Był i w tem oryginalny, niepodobny do innych. Był, jak to stwierdziłem później, *pierwszym w Polsce artystą-malarzem, który nie ignorował fotografji,* nie odmawiał jej prawa bytu w sztuce, lecz ją czynnie popierał, przewidując jej przyszły wspaniały rozwój.

Słuchałem go z głębokiem i radosnem zdumieniem. Nie przywykłem do tego, by ktoś brał poważnie obraną przezemnie drogę, której uczono mię raczej wstydzić się, jako dziecinnej zabawki. A on przemawiał do mnie, jak starszy towarzysz do młodszego, wnikał w ciężar mego odosobnienia, rozumiał moje rozterki, wierzył we mnie więcej, niż ja sam w siebie. Po przez słabiznę moich prac dostrzegał to, czego sam nie byłem wówczas świadomy: odgadywał miłujące widzenie i samodzielne ujmowanie natury, do którego bezwiednie wiodło mię całe moje życie. Pozwalał mi mniemać, że obrałem dobrą drogę, i że powinienem na niej wytrwać. Było to więcej niż mogłem pragnąć w najśmielszych marzeniach, sowita nagroda na tyle samotnych lat...

Zresztą wówczas nie powiedział mi on z pewnością tego wszystkiego wyraźnie i dosłownie. Ruszczyc był delikatny i unikał drażliwych pozycyj. Nie zniósłby roli łaskawego doradcy i zbawcy jakiejś zbłąkanej owieczki z mińskiego partykularza. Prawie bez słów, samą formą obcowania, jakiemiś nieuchwytnemi mgnieniami dał mi odczuć swoje stanowisko, pełne życzliwej zachęty. W późniejszych rozmowach wracaliśmy do tych spraw z większą swobodą i precyzją, ale już wtedy zdawało mi się, że on mię pochwala. Więc przepełniła się wiara w przyszłość, wzrosła zdolność do zmagań, by tę przyszłość zdobyć. Czułem się szczęśliwy i dumny, że taki człowiek wierzy we mnie. Może to wszystko nie stało się tak odrazu, jak tu opisuję, bo przecież najbliższe lata przyniosły długi ciąg obcowania i dobroczynnego wpływu mistrza na moją dopiero kształtującą się jaźń artystyczną. Ale od pierwszych chwil Ruszczyc stał mi się oparciem, z którego nieraz potem czerpałem siły do przezwyciężenia wielu trudnych chwil życia i zawodu. Szukającemu drogi w ciemności podał dłoń. Będę mu to pamiętał zawsze...

Długo ciągnie się opowieść o tem pierwszem spotkaniu, ale było ono naprawdę opatrznościowe i warte utrwalenia. Po fotografjach przeszliśmy do sprawy powstającego „Tygodnika Wileń-

skiego". Na stole znajdował się rozpoczęty rysunek tuszem — jakiś bogaty ornament ze stylizowanych liści i Ruszczyc mi wyjaśnił, że to właśnie ma być okładka do tego pisma. Nie pamiętam już, czy mu powiedziałem, że probuję swych sił w dziedzinie literackiej, czy też on sam o tem wiedział, dość, że odrazu zwerbował mię do współudziału i wyznaczył mi w piśmie rolę czynną, prosząc o fotografje i o jakiś artykuł lub nowelę. Dopiero później zauważyłem w nim i oceniłem tę dominującą cechę kierownika-wodza, który umie w lot przezierać ludzi i zaprzęgać ich do wspólnego służenia „sprawie" w tym wielkim kręgu, jaki zakreślały pojęcia kultury, tradycji i polskości Wilna. Ruszczyc umiał „rozdawać role" (jak to później nazywaliśmy żartobliwie), umiał zużytkować każdego w sposób najwłaściwszy, zachęcić do wydobycia z siebie największego wysiłku i do poświęcenia siebie jakiejś pięknej i mądrej całości, której on sam był ogniskiem, wyznawcą i pierwszym służebnikiem.

Pomysł wydawania pisma tygodniowego, obrazującego życie, sztukę i tradycje wileńskie był właśnie dojrzał w Ruszczycu do urzeczywistnienia. Po rewolucji rosyjskiej 1905-go roku ucisk rusyfikacyjny nieco zelżał i stracił swą dawną jednolitość; łatwiej było czynić wyłomy w systemie, dławiącym polskość na Litwie. Szły jakieś prądy ożywcze, rodziły się marzenia coraz śmielsze, pierwsze zapowiedzi przedwiośnia. Wilno miało wówczas dwa polskie pisma codzienne, ale te były zajęte raczej polityką i sprawami doraźnemi. Brakło organu tygodniowego, któryby się oddał utrwalaniu wartości nieprzemijających. Myśl polska w Wilnie była już rozbudzona i biła nierównie żywszem tętnem, niż w poprzednim okresie przedrewolucyjnym. Narastały nowe potrzeby i możliwości ich zaspokojenia. Wszystko to musiało poruszać i popychać do czynu tego artystę o czujnem polskiem sumieniu.

Gdy Ruszczyc rozwijał przede mną zarysy planowanego „Tygodnika", oczy jego zabłysły, głos zabrzmiał tonem skupionej mocy. Hamowane uczucie czyniło go lakonicznym w treści, a skąpym w formie słownej, ale mimika i głos mówiły to, czego nie dopowiadały usta. Głos ten nazywałem później w myśli „echem ukrytych głębin". Ileż razy go potem słyszałem, jak posłusznie szedłem za nim przez tyle lat! Była w nim utajona potęga wielkich pragnień, zmierzających z wiarą do koniecznej realizacji, było coś z niezmożonego żywiołu — niby daleki podziemny grzmot, zwiastujący nadejście czegoś ogromnego i rozstrzygającego. Widać było, jak bardzo leży mu na sercu to pismo, ile z niem połączył drogich nadziei, jak gruntownie przemyślał, wizjonersko ujrzał jego przyszłe oblicze, z jaką twardą wolą będzie mu nadawał życie. A przytem nie opuszczał go miły uśmiech i lekkość żartobliwej mowy — nie przestąpił ani na chwilę linji, dzielącej towarzyską rozmowę od zbyt pośpiesznych wywnętrzeń. Charakter tego człowieka był monolitem, stopionym z najszlachetniejszych i najrzadszych pierwiastków.

Obiecałem mu oczywiście skwapliwie mój udział, nie mogąc pohamować wzruszenia, na myśl, że moja nieznacząca osoba może być przydatna w tym nowym dla mnie świecie spraw szacownych. Czułem się tem wszystkiem oszołomiony, przejęty do głębi czarem gospodarza i jego domu. Nic podobnego w życiu dotąd nie znałem. Mieszkanie Ruszczyca nie było ani ozdobne, ani wspaniałe, było tylko wytwornie proste i obmyślane rozumnie i serdecznie. Było to skomponowane ze smakiem gniazdo artysty-ziemianina. Skromne stylowe meble wiejskie miały wygląd domowej długowieczności; powiewne tiulowe firanki nadawały pokojom dyskretną zaciszność, a barwne tkaniny i palmy wileńskie, obrazy i sztychy, książki, albumy i teki przepajały każdy zakątek rzetelną artystycznością, stanowiącą nie zbytek, ale potrzebę życia. Po raz pierwszy spotykałem się z przybytkiem estetyki prawdziwej, nie tej sybaryckiej i pokazowej, co rodzi się z obojętnego snobizmu. Tu otaczała mnie atmosfera powściągliwie dostojna, nieuchwytna w szczegółach, ale oczywista w swej szczerości i czystości, jak świeże powietrze, którem się oddycha z bezwiedną rozko-



FOT. J. BUŁHAK MOTYW Z SALONU RUSZCZYCA NA ZARZECZU

szą. Człowiek i jego otoczenie tworzyli tę atmosferę rzetelnego umiłowania piękna, atmosferę dyskretną, wolną od wszelkiej pozy. Nie mieszkanie to było, lecz „dom" i „przybytek". Treść domu wyrastała organicznie z psychiki człowieka, gdyż oboje nie chcieli wydawać się czemśkolwiek, lecz naprawdę byli sobą i w tej szczytnej prostocie realizowali ideał prawdziwego piękna.

Nie wiem już po ilu godzinach wyszedłem od Ruszczyca szczęśliwy i zgnębiony. Szczęśliwy ze spełnienia pragnień, zgnębiony obawą, czy sprostam poziomowi i wymaganiom tych sfer duchowych, które mi odsłonięto tak łatwo i życzliwie. Im prostszy był gest Ruszczyca, tem większe moje zwątpienie w siebie i uczucie przyszłej odpowiedzialności, tem mocniejsza obawa, czy potrafię być godnym darów, tak szczodrze mi udzielonych. Znałem siebie wówczas bardzo niedokładnie: przeceniałem w sobie jedne właściwości, niedoceniałem innych, błądziłem poomacku w ciemnych zakamarkach własnej jaźni. Dopiero za wdaniem Ruszczyca zacząłem przychodzić do pewnej samowiedzy: on przeznał mię lepiej, niż to umiałem uczynić sam, on mi dopomógł do wniknięcia w siebie i do ustalenia mych możliwości i ograniczeń. A może nietylko to. Może obudził we mnie niejedno dążenie nowe i lepsze swą dobrotliwą wiarą w ludzi, moralnym kredytem, którego udzielał chętnie, z takim serdecznym wdziękiem, z taką niezwykłą przychylnością. Tego już nigdy nie rozważę i nie odmierzę. Nie domyślałem się wtedy jeszcze, ile będę mu zawdzięczał w długim ciągu lat przyszłych, ale już opuszczając Ruszczycowskie Zarzecze czułem przełomowość tej chwili, słyszałem szelest odwracającej się karty mego życia. Po pierwszej rozmowie z tym przedziwnym artystą wychodziłem od niego — innym człowiekiem.



F. RUSZCZYC

Z CYKLU „WŁOCHY". WNĘTRZE (1906)
INTÉRIEUR DANS LA RÉSIDENCE DE WŁOCHY.



FOT. J. GOLCZ

FERDYNAND RUSZCZYC W WARSZAWIE (1902).

FERDINAND RUSZCZYC À VARSOVIE EN 1902.

ROZDZIAŁ II

TYGODNIK WILEŃSKI (1909—1910)

Po powrocie do Peresieki próbowałem uporządkować świeżo odniesione wrażenia, które na jednostajnem tle wiejskiego otoczenia wydawały się jeszcze bardziej zadziwiające. Udało mi się zdobyć kolorowe reprodukcje „Ziemi“ i paru innych dzieł Ruszczyca, zdaje się „Wiosny“ i „Starego domu“. W tych zespołach barwnych plamek próbowałem doszukiwać się oblicza autora. Byłem naogół mało doświadczony, a w sprawach sztuki zupełnie nieukształcony, a jednak poczułem, że Ruszczyc jest głęboko zżyty z ziemią i domem, że je miłuje gorąco i odtwarza z męską mocą i serdeczną bliskością. W chaotycznych doznawaniach dyletanta z mińskiego zaścianka, pełnych konwencjonalnego romantyzmu i surowych barokowych przerostów, zaczęło przebłyskiwać światło i ład, idące od osoby Ruszczyca. Ujrzałem, jak łatwo wielkość może kojarzyć się z prostotą, jak wymowna być może powściągliwość uczuć stężonych i ukrytych, jak niechybnie wypowiada się talent w obrazach o treści pozornie codziennej i zwykłej. Ta osobowość typu dotąd nieznanego pociągała mię swem bogactwem i wielostronnością, ale uderzała najbardziej rasowość artysty i ziemianina, tworząca całość o najwyższej próbie gatunkowej. Wizerunek ów kreśliłem sobie domyślnie i niedokładnie — wszak zaczynałem dopiero poznawać człowieka, na zgłębienie którego zamało byłoby całego życia. Ale już wtedy czułem to jakieś przepełniające otuchą ciepło psychiczne, jakiego doznajemy, biorąc udział w sprawie dobrej i ważnej. Uczucia, wzbudzone przez Ruszczyca, stanowiły już zalążek wzbogacenia duchowego, pokarm dla myśli i serca, podnietę dla woli, obietnicę rozszerzenia i rozjaśnienia mętnych widnokręgów mego niezdarzonego życia. Zaczynał je opromieniać słoneczny uśmiech czarodzieja z wileńskiego Zarzecza.

Warunki, do których powróciłem, pozostawały zewnętrznie te same, a jednak uległy zasadniczej odmianie przez związanie z myślą o Ruszczycu. Czekałem wieści od niego z pewnym niepokojem, ale nie potrzebowałem czekać długo — nadeszły niebawem w postaci listu i pierwszych dwuch numerów „Tygodnika Wileńskiego“. List był krótki: powoływał się na naszą rozmowę wileńską, polecał mojej uwadze pismo i odsyłał do jego zawartości, ale i między wierszami listu można było wyczytać niejedno. A pismo mówiło samo za siebie i odrazu pochłonęło mię całkowicie.

Z temi pierwszemi numerami „Tygodnika Wileńskiego“ przeżyłem zbyt wiele, by nie opowiedzieć o tem dzisiaj, gdy pismo jest już nieledwie rzadkością bibliograficzną. Wyszło „Tygodnika“ ogółem tylko 16 zeszytów w ciągu jednego kwartału, a za ostatni zeszyt pod tytułem „Wilno—Warszawa“ władze rosyjskie zamknęły pismo. Należy je przypomnieć współczesnym, jako rzecz doniosłą i piękną, niedocenioną w swoim czasie, potem zaś z powodu zawieszenia rychło zapomnianą. A przecież tak wymownie charakteryzowało i epokę i ludzi i artystę, który je wydawał.



F. RUSZCZYC

OKŁADKA „TYGODNIKA WILEŃSKIEGO"
COUVERTURE DE LA REVUE „TYGODNIK WILEŃSKI"

Pismo było niepodobne do żadnego innego, a znałem mniej więcej wszystkie ówczesne. Było serdeczne i swojskie, proste i poważne, dźwięczało utajonym patosem przywiązania i wspominania, jak staroświecka piosenka patrjotyczna, otwierało oczy na najdroższe legaty przeszłości, jak wiekowy skarbczyk antenatów. A obok tego mówiło o muzyce i teatrze, o literaturze i plastyce rzeczy dostępne, ale niebanalne, tchnące atmosferą wysoką i czystą. Do tego poziomu dostrajały się obfite ilustracje i to pomimo nieuniknionych w ówczesnych warunkach usterek graficznych, gdyż dzieło uszlachetnienia drukarstwa wileńskiego znajdowało się dopiero jeszcze w zaraniu późniejszego rozkwitu. Te pachnące świeżą farbą drukarską zeszyty były cennym łącznikiem z ich redaktorem i czytając je, doznawałem wrażenia, że z nim obcuję. Uczyłem się poznawać z nich i samego Ruszczyca i cały świat spraw jemu drogich, a tak lekceważonych lub niedostrzeganych przez wielu. Pojąłem, że do liczby tych ślepców należę i ja pomimo, że dotąd uważałem siebie za dostatecznie uświadomionego i aktywnego patrjotę. Czytając, stwierdziłem ze zdumieniem, jak słabo rozeznaję się w sprawach naszych, jak nowym jest dla mnie kąt patrzenia na nie Ruszczyca. Podobnie jak wszystko, co pochodziło z jego rąk, „Tygodnik" stanowił rewelację. Uczył wartości czynnej miłości ojczyzny, pogłębionej przez wiedzę i pokrewieństwo duchowe ze szczytowemi przejawami naszej kultury. Ten patrjotyzm nie nadużywał frazesów i haseł, nie spekulował na przelotnych emocjach i łzawych nastrojach. Był przepojony trudem nieustannego wmyślania się w nasze polskie tysiącolecie i w nasze pięćsetlecie litewskie, z tamtem złączone; czerpał z nich przykłady nietylko dla pokrzepienia serc, ale i dla budowania przyszłości. Czynił to nieznacznie, bez programowego nacisku, samym doborem faktów i przypomnień, samym układem i związaniem treści i ilustracyj, wśród których było wiele rysunków Ruszczyca, zrobionych specjalnie dla pisma. Ale to wszystko umiał on tak podać, że poruszał sumienia, rozbudzał godność, targał sercami. Sposób podania był dyskretny, jak przelotne słowo lub błysk spojrzenia i to z pewnością nietylko z uwagi na rosyjską cenzurę: cały Ruszczyc był w tym umiarze, w tem okiełzaniu wrzenia uczuć przez objektywne przedstawienie faktów, ażeby niczego nie narzucać i pozostawić każdemu zasługę odruchów własnych. Ulotne marginesy, ściszone napomknienia, subtelne półtony tłumionego wzruszenia, a pod niemi — gorejący ogień.

Już okładka pisma wyróżniała się oryginalnym i miłym wyglądem. Staroświecki ornament osypywał ją bujną kwiecistością, a pośrodku, w otoku kształtu serca widniał wypisany ręką Ruszczyca tytuł. „Tygodnik Wileński" wznawiał tradycję takiegoż pisma, które wychodziło w Wilnie przed stu niemal laty w roku 1815-tym i zaraz na pierwszej stronicy podawał podobiznę tego wiekowego przodka. A w przedmowie od redakcji czytało się te ważkie słowa: *„Dajemy nowemu wydawnictwu nazwę dawną, ufni, że ciągłość jest rękojmią odradzania się"*. Ile treści w aforyzmie oględnym ze względu na cenzurę, ale dla wszystkich dobrze zrozumiałym. Dalej mówiła przedmowa o poszanowaniu tradycji, jako podstawy kultury narodowej, co było tak charakterystyczne dla psychiki Ruszczyca. Nuta pisma była swojska, bezpośrednia, nieledwie domowa, a jednocześnie wysoka i szlachetna, nawiązująca rzeczywistość do zapomnianej przeszłości. W numerze drugim (z dnia 9 stycznia 1911 r.) ideologja pisma występowała już zupełnie programowo, w formie zwartej i pięknej, prawdziwie godnej Ruszczyca. Rysunek naczelny wyobrażał młodocianego Mickiewicza w wieńcu kwiecistych gałązek, a następna stronica pod odręcznie wypisanym nagłówkiem „24 grudnia — 6 stycznia" przynosiła czytelnikom wzruszający opłatek wigilijny, te słowa, pełne tragicznej powagi:

„W wieczór wigilijny, gdy po domach zasiadano do stołu, wysyłaliśmy z tłoczni naszej na miasto pierwsze zeszyty tego pisma — opłatek, na jaki nas w tym dniu stać było... A gdy dzwony biły na pasterkę, szliśmy z tłumem przez ciche ulice... Wieczór rozmyślań... Ostatnie dni roku i pierwsze nowego — to jakby dwulicowy Janus, zwrócony twarzą jedną w przeszłość, drugą w przyszłość.



F. RUSZCZYC — RYSUNEK Z „TYGODNIKA WILEŃSKIEGO"

Wiemy, co było: wypatrzeć, odgadnąć pragniemy, co będzie. Nie wiemy. Lecz wiemy, jak było i w tem, że było — moc nasza.

Te stężone do ostatecznych granic wyrazy dźwięczały z surową prostotą biblijnego wersetu, były naprawdę jak „kamienie, przez Boga rzucane na szaniec". Nie dziw, że w tem usposobieniu Ruszczyc wiąże wigilję z datą urodzin Wielkiego Pielgrzyma i Wieszcza Ewangelji Polskiej i tak mówi dalej:

„Przed 55 laty zamkęły się nazawsze oczy, których powieki ból tak często zamykał, ból bez słów, niemy... 55 lat temu żyć przestał. A jednak czujemy, że patrzy na nas. Bo też nie przestał, i nie przestanie być naszym Guślarzem, za którym idąc, obchodzimy święto „Dziadów" przeszłości naszej lub w mroku nocy gwiazd przewodnich szukamy.

„Z nim też wchodzimy w rok nowy. Biedni, wyzuci z praw, jakie przysługują nawet narodom bez nazwy, *jakże bogaci jesteśmy*. Jakie dziwne misterjum — te dzieje nasze i jak dziwnie przez dni roku obchodzić możemy pamiątki naszych narodzin, potęgi, upadku i nadziei.

„I oto w dniu, w którym ongi szli wiedzeni blaskiem gwiazdy Betlejemskiej Trzej Królowie, w dniu, kiedy wierne tradycjom na ich pamiątkę ludy wszystkich stref wypisują nad progiem swych domostw imiona ich, wspomnijmy imiona naszych Trzech Wielkich Mocarzy — Wieszczów i w skupieniu i braterskim zespoleniu *znaczmy drzwi domów ducha naszego* literami:

M. S. K.

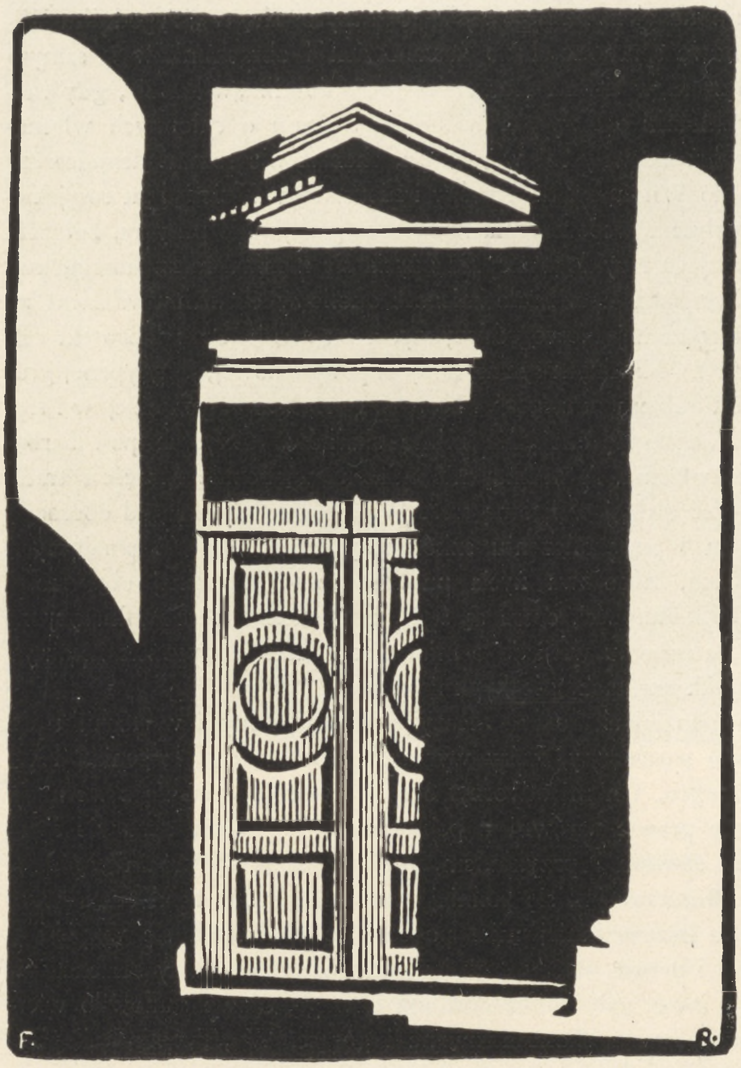
. . . .

. . . .

Styczeń i luty roku 1911 zeszły mi na obcowaniu z myślą Ruszczycowską w „Tygodniku Wileńskim", który co tydzień dawał mi nowe sposobności do zastanowień i obrachunków z samym sobą. Pamiętałem, z jaką tkliwością brzmiał w ustach Ruszczyca przymiotnik „wileński", gdy mówił o swojem piśmie, a jego zwięzłe wzmianki o ukrytych walorach Wilna i o chłonnych własnościach tej zdetronizowanej stolicy również utkwiły mi w pamięci, chociaż nie rozumiałem jeszcze całej ich wagi. Stosunek mój ówczesny do Wilna był dość luźny i nieustalony. Dziesięć lat rosyjskiego gimnazjum w tem mieście pozostawiły mi wspomnienia mieszane: politycznie przykre, koleżeńsko i ogólnie dodatnie, ale nie przekraczające zwykłego stopnia zżycia się z miastem szkolnem, które się później opuszcza dla innego, uniwersyteckiego. Malowniczość okolic wileńskich uważałem za rzecz powszednią, nawykły do piękna rodzimej Nowogródczyzny, a na architekturę i zabytki całkiem nie umiałem patrzeć, będąc w tem nieodrodnym synem doby popowstaniowej, przysypanej gruzem i rumowiskami, przytajonej w kulturalnem zdziczeniu. Kurzawa przebrzmiałych dziejów i troska o sprawy doraźne czyniły, że przechodziło się obojętnie mimo skarbów, ukrytych pod barbarzyńskim uniformem zruszczenia i zażydzenia. A zresztą nie miałem widocznie szczęścia trafić do otoczenia, któreby mię nauczyło patrzeć głębiej w istotną treść Wilna i odróżniać ją od obecnego zewnętrznego pokostu. Lubiłem owszem i po skończeniu szkół przyjeżdżać tam do znajomych i krewnych, ale muszę wyznać ze wstydem, że połowa życia przeszła mi w zupełnej obojętności względem architektury wogóle i w nieświadomości, czem są style, a zwłaszcza barok i klasycyzm wileński. I to jest tem dziwniejsze, że dla pejzażu wiejskiego miałem od dziecka wyczucie nieomylne i świat piękna, widziany w łatwiejszych skrótach, nie był mi obcy.

Ale w mieście byłem ślepy. Była to jakaś ułomna nieczynność oczu i myśli w stosunku do formy i ducha budownictwa, jakiś zastój psychiczny, który wymagał gruntownego leczenia. Tego cudownego lekarza znalazłem w Ruszczycu. On mi otworzył oczy i wyzwolił drzemiące we mnie siły, które dały mi pokochać architekturę prawie narówni z pejzażem, a w Wilnie zostawić serce na zawsze. A zanim to uczynił żywem słowem i przykładem, już rozpoczął tę przemianę swojem słowem pisanem w „Tygodniku". Ruszczyc jak się później przekonałem, nie miał daru słowa w znaczeniu ozdobnego krasomówstwa, a jeszcze mniej miał popędu do wyrażania się w piśmie, ale jeśli, znaglony potrzebą, czynił jedno i drugie, wtedy dawał niezrównane przykłady szlachetności stylu, wypowiadając zdania zwięzłe, a jasne, nabrzmiałe dostojną powagą. Słowo stanowiło wierny odpowiednik jego natury: było mocne, proste, skoncentrowane i gorące. W „Tygodniku" pisywał mało, prawdopodobnie tylko zniewolony koniecznością poruszania spraw bardzo istotnych. Podpisywał swe artykuły pseudonimem „o-K-o", i widzę się zmuszonym powiedzieć o nich nieco więcej, ponieważ są naprawdę godne uwagi, a nie dostąpiły jej w swoim czasie.

W trzecim zeszycie „Tygodnika" znalazłem dłuższą jego rzecz pod tytułem „Piękno naszej Katedry", ilustrowaną dobremi zdjęciami Platera i Zubowicza, dłuższą, jak na Ruszczyca, bo zawierała tylko kilkadziesiąt wierszy. Ale jakich wierszy! Czytając zdawało mi się, że słowa jego otwierają jakieś nieznane czy zapomniane aspekty, że ukazują mi w nowem, czarującem świetle to Wilno, na które przecież latami patrzałem obojętnie. „Kto pragnie doznać bezpośrednio wzruszeń wzniosłych — tak mówił Ruszczyc o Katedrze — kto podziwiać chce śmiałość, prawie zuchwałość budowniczych, niech zestawi akordy, na jakie złożyły się ubiegłe wieki i wielkie talenty... Niech wsłucha się w organowe uderzenia — echa trzech epok. Podwaliny pogańskie wieży, królewska apoteoza Patrona Litwy, wreszcie kamienne, niewzruszone oblicze klasycznego Piękna, oto trzy części składowe symfonji Wileńskiej Katedry... Zapada zmrok... Gasną kolumny... rozpływają się cienie, zanurzają się w mrok szeregi klęczących figur u ofiarnika na szczycie, jeszcze widzą słońce trzy figury symboliczne, aż wreszcie i one szarzeją i tylko złoty krzyż, jakby zawieszony nad mgłą,



F. RUSZCZYC PORTAL KATEDRY (1913)

długo jeszcze żarzy się, jak pochodnia... A potem noc. I tu nowe dziwy. Stań, czytelniku, pod portykiem i poprzez kolumny — olbrzymy, spójrz w górę i patrz, jak dziwnie głębokie jest niebo i jak się snują łańcuchy gwiazd... Czy mogą być godniejsze ramy dla nich, jak te proste w linjach filary, które genjusz grecki do istnienia powołał, a którym tęsknota kazała stanąć w stolicy litewskiej?"

Tak uczył Ruszczyc wilnian poznawać i cenić swoje „gubernjalne miasto", o którem mówiąc zaraz obok nie mógł się powstrzymać od oburzenia i ironji: „Szczęśliwy Jundziłł, że los zaoszczędził mu bólu dla niego największego — oglądania dziś swego ukochanego dziecięcia. Ongi wielki rozsadnik swojskiej i obcej flory*) po gruntownem wytrzebieniu jest dzisiaj terenem innych „nasażdienij"... Szczęśliwy i Poczobut, bo zapłakałby gorzko, gdyby wszedł na podwórze swego obserwatorjum i tam, wśród pustki cmentarnej, odczytał umieszczony przez siebie, a dziś tak dziwnie brzmiący napis: „Addidit antiquo virtus nova lumina coelo"... Ale Gucewicz, twórca Katedry, ujrzałby dzieło swoje niemniej wspaniałem, jak przed wiekiem...". A na dokończenie tego obrazu malował z ukrytą pasją jego współczesne tło w artykule o ogrodzie Botanicznym, podając wyjątki z rosyjskiego przewodnika Miłowidowa po Wilnie. Bezduszna i trywjalna treść tego urzędowego sprawozdania o zdewastowanym ogrodzie prof. Jundziłła tworzyła kontrast poprostu makabryczny ze świetną przeszłością: „Obecnie ogród Botaniczny—cytował—służy za miejsce przechadzek mieszkańców miasta. W ogrodzie zbudowano.... "piękny" teatr letni**)... Naprzeciwko teatru został przez przedsiębiorcę prywatnego***) zbudowany dom, w którym mieszczą się bufet, cały szereg oddzielnych pokoi i niewielka sala ze sceną****), kilka osobnych domków, w których sprzedają mleko, herbatę, kawę i piwo". Groteskowe zestawienie prof. Jundziłła z „prywatnym przedsiębiorcą" Szu-

*) Ogród Botaniczny.

**) Nędzną budę w „dacznym" stylu rosyjskim.

***) Przez osławionego Szumana.

****) Trzeciorzędny kabaret o cechach domu publicznego.



F. RUSZCZYC PRZESZŁOŚĆ (1903)

manem, a nauki uniwersyteckiej z atrakcjami ordynarnej spelunki tworzyło „repoussoir" w całem znaczeniu słowa. Czuło się nieledwie litość dla bezmiernej barbarji rosyjskiej.

Byłby jednak w błędzie ten, ktoby sądził, że „Tygodnik Wileński" zaprzątał się wyłącznie sprawą zabytków przeszłości. Przeciwnie, — był on różnostronny i żadne ważniejsze zdarzenia aktualne nie uchodziło uwagi redaktorów. Pomijał tylko pospolitość i sensację, a fragmenty teraźniejszości zestawiał z tem, co niegdyś „było", by na tle dawnej wspaniałości tem dobitniej zarysowało się jej dzisiejsze poniżenie. W ten sposób rzecz każda ukazywała się w świetle uderzających sprawdzianów porównawczych, a mówiąc o sobie, służyła jednocześnie celom wyższym, ukrytym między wierszami. Linja ideologiczna Ruszczyca była wolna od wszelkiego mentorstwa, ale przewijała się nieustannie, maskowana subtelnie, a przytomna na każdej szpalcie pisma. Trzeba było podziwiać, jak niezmordowanie i konsekwentnie była ona prowadzona. Dawało to miarę, co może wielkie uczucie, wsparte przez mocną wolę i niepospolite wszechstronne uzdolnienia. Uczyłem się z tych kart poznawać dynamikę wewnętrzną redaktora, dla którego nic z tego, co polskie nie było obcem, a wszystko stanowiło podnietę dla myśli twórczej.

Treść plastyczna pisma była zespolona z zawartością słowną jaknajściślej: widać było, że redaktorem jest malarz. Ilustracje nie były luźnemi i przypadkowemi dodatkami ani ozdobnym balastem, łatwym do usunięcia bez szkody dla całości: wyrastały organicznie z treści tekstu, miały rolę równorzędną, a czasem nawet przeważającą, gdy były rysunkami Ruszczyca. Słowo i obraz wspierały się wzajemnie i mówiły o jednem. Oprócz rysunków były szeroko uwzględnione fotografje amatorów i zawodowców wileńskich, jak Plater, Dederko, Zubowicz, Zahorski, Fleury, Strauss, a w dalszych zeszytach znalazły się i moje zdjęcia.

Karty tytułowe miały szczególną wartość i powab dzięki rysunkom Ruszczyca, przeważnie ad hoc przez niego wykonywanym, czem żadne inne pismo nie mogło się wówczas poszczycić. Pamiętam, jak mię uderzył rysunek „Herbu z bramy Zamkowej“ w zeszycie, poświęconym królewskiemu zamkowi wileńskiemu. Właśnie niedawno udało mi się było poznać Ruszczycowską „Przeszłość“. Pozostawałem pod głębokiem wrażeniem tych ośnieżonych murów, martwiejących w pustce zimy i opuszczenia, tych dumnych emblematów monarszych nad bramą, którą śnieg przysypuje coraz gęstszym całunem. Czuło się niemy ból serca, rozpaczającego nad przebrzmiałą wielkością, a surowa biel zimowego władztwa zdawała się uosabiać niszczycielskie podmuchy rosyjskiej północy. Jeszcze nieostygły z tego wrażenia otrzymałem nowy zeszyt „Tygodnika“ i w nim znalazłem herb z bramy wileńskiego Zamku Dolnego, powtarzający echowo tamtą posępną zimową opowieść. Wytworne zawiłości kamiennego kartusza, uwieńczone majestatem Jagiellońskiej korony, oprusza śnieg i ciężkiemi płatami kładzie się w zagłębieniach muru... śnieg cichy, obojętny, okrywający grobową martwotą wszystko, „co było“. Patrząc na ten obraz ja, człowiek przeszło trzydziestoletni, przeżywałem nanowo wiekową tragedję niewolnika tem głębiej, że teraz bolałem nietylko nad przeminionym majestatem ojczyzny, ale i nad zatraconem jej dostojnem pięknem, którego dotąd nie umiałem cenić.

Inny zeszyt mówił o „Napoleonie w Wilnie“ i o wznowieniu dwuch sztuk napoleońskich na



F. RUSZCZYC HERB NA BRAMIE ZAMKU DOLNEGO W WILNIE (1911)

scenie wileńskiej. Czyż mógł Ruszczyc nie ukazać rodakom „boga wojny", niosącego wolność ludom? Czy mógł nie zawołać do sumienia i wyobraźni przypomnieniem nadziei, związanych z „rokiem owym" tysiąc osiemset dwunastym, który był przecież rokiem wiosny ludów, a wiosna może przyjść znowu. Zanim przyjdzie, trzeba się krzepić pięknem, które „kształtem jest miłości". Więc Józef Wierzyński w tymże zeszycie zapowiada Ruszczycowski wieczór artystyczny „Sny o pięknie", zapełniony inscenizacją obrazów Burne Jones'a, Rossetti'ego i innych i przygotowuje do niego publiczność, pouczając o angielskiej szkole prerafaelitów, o dążeniach i cechach tego kierunku malarskiego. Będąc u Ruszczyca na Zarzeczu*) widziałem wiele wydawnictw ilustrowanych, dotyczących prerafaelitów, oczami ciemnego laika podchwytałem raczej intuicyjnie ich tęskny i wzniosły urok i słyszałem od Ruszczyca przelotne napomknienia, że sam mu ulega. Nie domyślałem się wówczas, co ten czarodziej potrafi stworzyć omal z niczego, ile wykrzesze piękna z banału „żywych obrazów", zaimprowizowanych z przygodnego materjału ludzkiego w wileńskich sferach towarzyskich. Nie danem mi było widzieć tych legendarnych „Snów o Pięknie", które długo potem żyły na ustach całego Wilna zachwyconem wspomnieniem. Nie widziałem ich z własnej winy, bo wtedy jeszcze byłem daleki od zrozumienia, jak ważnem jest wszystko, czego dotyka Ruszczyc, więc nie przyjechałem na ten czas do Wilna. Co ja wtenczas wiedziałem o tej świetnej epoce wileńskiej? Nie miałem nawet pojęcia, że Ruszczyc już w roku 1909-ym urządził „Bazar", kwiecisty, kolorowy i puszysty, jak pastelowa baśń wiośniana, którym zadziwił najtępszych i najoporniejszych. Że w tymże roku inscenizował i wystawił „Lillę Wenedę" w teatrze Nuny Młodziejowskiej, który był zjawiskiem, nie mającem równego w całej Polsce. Że w Młodziejowskiej pali się ogień miłości dla sztuki, pojmowanej po polsku, po Ruszczycowsku, i że jest ona artystką i obywatelką jego pokroju, pełną poświęcenia dla „Sprawy". Skądże miałem o tem wszystkiem wiedzieć ja, zaprzątnięty drobnemi troskami i zabawkami na mińskiem odludziu i nie mający pojęcia o wspaniałych przejawach myśli i sztuki, zachodzących prawie na moich oczach. Dziś jeszcze, po trzydziestu prawie latach, myślę o tem z żalem i wstydem.

Chciałbym tu mówić o sobie jaknajmniej, bo o Ruszczyca mi chodzi, nie o siebie, ale życia nasze tak się zaczęły splatać od tego czasu i tak bliskiemi torami biegły aż do końca, że trudno będzie je oddzielić od siebie w tem opowiadaniu. Więc nie mogę przemilczeć, że nieznajomość tych trzech jego dzieł dekoracyjnych była mi w późniejszych latach ciężkim wyrzutem i że odczuwałem ją jak niepowetowaną stratę. Tę stratę zacząłem rozumieć już wkrótce, gdy znalazłem w „Tygodniku" liczne reprodukcje motywów prerafaelickich, podług których układał Ruszczyc owe żywe obrazy, gdy przemówił jego rysunek na programie wieczoru, gdy zabrzmiały sugestywnie teksty słowne, ułożone przez niego, a wygłoszone na wieczorze przez Juljusza Osterwę**).

. . . .

Czas płynął. Wiejską monotonję zimy przerywało mi pismo, zawsze niecierpliwie oczekiwane i korespondencja z Ruszczycem, któremu posyłałem materjały, jakie mogły się przydać dla pisma. On pisał mało, zajęty jak zawsze realizowaniem jakichś pięknych „niemożliwości". Wspominał o zamiarze urządzenia wystawy plastyki w Mińsku i radził mi przygotować się do niej z memi fotografjami. Już wtedy uważał za możliwe współistnienie w jednem miejscu rzeczy tak, zdawało się,

*) Ziemianin i szlachcic w każdym calu, Ruszczyc nie mówił „do mnie", lecz zapraszał do siebie „na Zarzecze", tak właśnie, jak gospodarz zaprasza do swego dworu na wsi. Zauważyłem odrazu tę jego formę wysłowienia z przychylną jednomyślnością.

**) Na szczęście widział „Sny o Pięknie" i opisał w swoich wspomnieniach Józef Wierzyński.



F. RUSZCZYC RYSUNEK DO PROGRAMU „SNÓW O PIĘKNIE“ (1911)

niewspółmiernych, jak fotografja i malarstwo, już wtedy sięgał w dalszą przyszłość i wiedział, że i w fotografowanie można włożyć duszę. Wszak jeszcze przede mną zachęcał przyjaźnie do tej pracy Stefana hr. Zyberk-Platera i Jana Zubowicza, młodziutkich, a obiecujących gimnazjalistów wileńskich. Zubowicz umarł młodo, zamordowany przez bolszewików w roku 1918-ym, ale Plater nie zawiódł oczekiwań Ruszczyca i z pewnością wdzięcznie go dzisiaj wspomina. W tych drobnych faktach zarysowywała się czujna metoda pedagogiczna Ruszczyca w stosunku do całego otoczenia. Jak magnes opiłki — przyciągał do siebie wszystko, co było żywe i pragnęło czegoś lepszego i piękniejszego. Nie zliczyć ludzi, którzy go za to błogosławią.

Wzmianka o wystawie w Mińsku zelektryzowała mię i pobudziła do jeszcze większej aktywności fotograficznej, jeśli to było możliwe przy mojej krańcowości. Wystawiać prace w prawdziwym

salonie artystycznym i to razem z Ruszczycem — to było więcej, niż mogło mi się przyśnić w najbardziej szalonych snach. Ale Ruszczyc, jak Napoleon, jednem słowem czynił z żołnierzy marszałków i wyróżnienie, które mię spotkało nie było odosobnione: w przyszłości miał mi ich więcej zgotować ten dobroczynny władca, wprowadzający ferment pragnień do spokojnie drzemiących dusz.

A czynił to wogóle po mistrzowsku. Pokazywał nędzarzowi jakiś utracony raj w całym blasku piękności, a potem bez słów zachęcał i kusił: „Popatrz — to wszystko może być twoje — tylko zechciej, tylko stań się godnym..." Stosował tę metodę w skali ogromnie rozciągłej, od spraw małych do najważniejszych. Każda zresztą była dlań ważna, gdyż wszystko umiał zużytkować do swoich tajnych celów, oscylujących pomiędzy polską prawdą, a powszechnem pięknem. Dowody tego wciąż napotykałem w „Tygodniku". W zeszycie ósmym napisał artykuł p. t. „Przed stu laty" — o roku Napoleońskim 1812-ym. Ale w nim o Napoleonie, ani o wojnie wprost ani słowa. Dał obrazek stylowego wnętrza z epoki cesarstwa, jakiś salonik z mahoniowemi meblami, jakie sam miał na Zarzeczu i tak powiedział: „...gdy „oni" byli daleko, w zaciszu domu przy lampie pochylały się nad misterną robotą jasne główki, lub drobne rączęta cierpliwie kreśliły girlandy róż i niezapominajek w imionniku... obok w półmroku pokoju ktoś grał rzewną piosenkę na klawikordzie...".

Oto Ruszczycowska metoda trącania ukrytych strun, napomykania lekkiego, jak szelest motylich skrzydeł, a tak straszliwie ważkiego, jak te ołowiane kule, które latały tam, dokąd poszli „oni". Trudno rzec kto tu przemawia silniej. Malarz, który „widzi" te dwa obrazy, jeden w zacisznem wnętrzu domu, drugi na polu bitwy? Poeta, kilku prostemi słowami wskrzeszający świat ukochań i poświęceń? Patrjota, w którym serce pierwej drga i płomieni się, zanim ręka zacznie kreślić lub malować?

A po ukazaniu tego obrazka napoleońskich czasów, który w parę lat później przeobrazi się w inscenizację dramatu „Warszawianki", Ruszczyc porównywa „domy" dawne i dzisiejsze, doszukuje się, dlaczego tamte budzą tyle serdecznych drgnień, gdy dzisiejsze są obojętne i brzydkie.

„...bo jest w owym czasie czar wiosny, młodości zapał, i utracone później głębokie wczuwanie się... Zaczęliśmy od tego, że ostudziliśmy nasze mieszkania. Wpuściliśmy do nich tandetę bezduszną, *tanią,* i zasypaliśmy nią to, co było *drogiem.* Żyjemy sami wśród tych rzeczy bezsensownych i wychowaliśmy wśród tych brutalności młode dusze. Bezmyślnem brzdąkaniem rozstroiliśmy delikatne struny i sami zatraciliśmy słuch. I domy dawne z cichem, ciepłem światłem, ze sprzętami, stanowiącemi z niemi jednolitą całość, stały się zbiornikami okropności, wystawianemi w oknach spekulujących pałaców tandety. Nieznacznie, nieświadomie zaczęliśmy schodzić do poziomu tych pierwotnych ludów, które sobole oddają za perkal, a kość słoniową za kulki szklane i ołowiane spinki. W dziedzinie wartości zatraciliśmy wszelki krytycyzm... nasze umeblowanie, książki... rozrywki.. to *zatrważające projekcje stanów wewnętrznych...* Odnajdźmy siebie — tamtych dawnych. Odnajdźmy harmonję, jaką ci ludzie z przed stu lat mieli w sobie i naokoło siebie wytwarzali. Zacznijmy od rzeczy małych, codziennych. W nich już wypróbujmy siebie... Od własnych ognisk zacznijmy... Przecież z płomyków wątłych świec, bronionych dłonią, powstają morza światła. Pamiętajmy o tem..."

Tak. Osłaniał dłonią wątłe płomyki światłości, ogrzewał sercem nierozkwitłe pączki piękna i miał w tych gestach macierzyńską słodycz i troskliwość. Nie było dla niego rzeczy błahych, bo w każdej umiał sięgać do głębi i odnajdywać odblaski świateł wiecznych. Był organizacją psychiczną, ukształtowaną i zrównoważoną z taką doskonałością, że każde jej działanie stawało się skuteczne i zupełne, składało się na dokonanie przedziwnej harmonji. Dlatego z jednaką celowością rysował miotłę i łopatę stróżowską, jako nagłówek do wskrzeszonych w „Tygodniku" „Wiadomości Brukowych", projektował znaczek Pogotowia Ratunkowego dla Magistratu, podawał reprodukcje



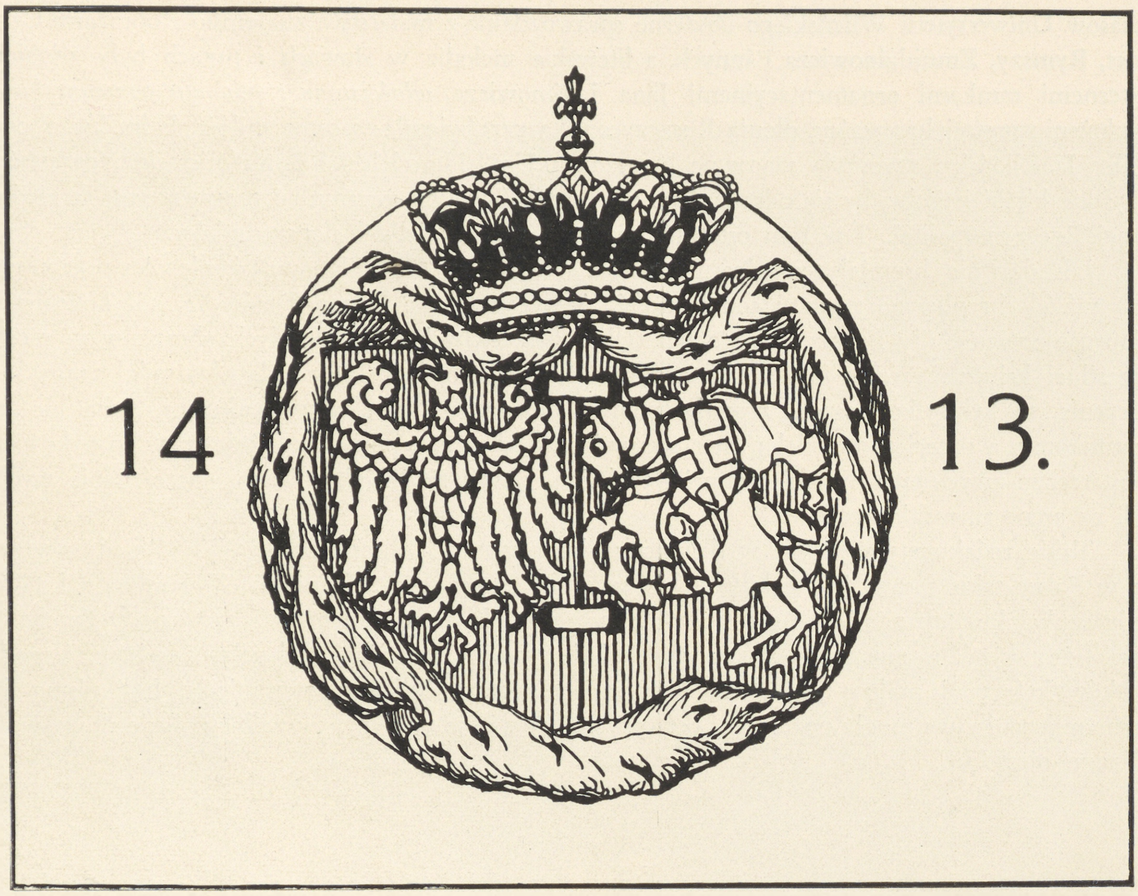
F. RUSZCZYC MEDAL KU CZCI ELIZY ORZESZKOWEJ

empirowych biletów wizytowych „de la Comtesse de Plater, Chancellière de Lithuanie" z przed stulecia, jako wzór wytwornej grafiki; rysował medal dla Elizy Orzeszkowej, wyczarowywał nieziemskie „Sny o Pięknie" na dochód jakiegoś przytułku, wzywał duchy trzech wieszczów do wigilijnego obcowania, lub wydawał książki i pisma, jakich jeszcze w Wilnie nie widziano. Dlatego i Tygodnik Wileński" tworzył serdeczne archiwum, kunsztowny relikwiarz, gdzie obok koronnych klejnotów i pysznych regaljów błyskały skromne panieńskie turkusy, wyjęte z czeczotkowej toaletki, barwiły się zasuszone kwiaty lub wyblakłe wstążki pamiątkowe, gdzie uniwersały i pieczęcie spotykały się z rodzinnemi listami i rejestrami gospodarskiemi. I nie było w tych wspominkach kolekcjonerskiej sztywności ani zakurzenia; rzutowane na tło współczesne, nabierały rumieńców życia, niekiedy aż nazbyt krwawych i przemawiały to organowemi grzmotami wielkości, to zwiewnym szeptem pobratymczej tęsknoty.



F. RUSZCZYC

PROGRAM „WIECZORU BAJEK I ZABAWEK" (1912)
PROGRAMME DE LA SOIRÉE „CONTES ET JOUETS"



F. RUSZCZYC UNJA HORODELSKA. RYSUNEK Z „TYGODNIKA WILEŃSKIEGO“

Chciałoby się wymienić przynajmniej z tytułów szczegółowy skład Ruszczycowskiego „Tygodnika“, o którym dzisiaj tak doszczętnie zapomniano. Ale to nie miałoby celu, gdyż powiedziałoby jeszcze zamało. Kto chce poznać Wilno z przed wojny, niech powróci do żółknących kart pisma i posłucha ich opowieści.

Tu zatrzymam się już tylko na numerze „litewskim“, ułożonym przez Ruszczyca ze szczególną pieczołowitością. Rozpoczyna go wzmianka o zbliżającej się pięćsetletniej rocznicy Unji Horodelskiej i rysunek w kształcie wielkiej pieczęci. Na nim w gronostajach godła Orła i Pogoni, związane „mocno“ sznurem pieczęci, nakryte królewską koroną, okolone znamienną datą 1413. I obok początkowe zdania wiekopomnego aktu, takie rzetelne, takie godne w swojej patrjarchalnej powadze.

„Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobie święcąc, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiść, łagodzi waśnie, użycza wszystkim pokoju, skupia, co się rozpierzchło, podźwiga, co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się gróźb niczyich...“

Po tych słowach kilkanaście stronic tekstu i przeszło czterdzieści ilustracyj mówiło o Litwie, o jej dziejach, sztuce i obyczaju, o jej związku z Polską i o wspólnych kolejach dobrej i złej doli. Obok okazów rzeźby ludowej szły wzory ludowego tkactwa, po artykule o literaturze litewskiej

z czasów Uniwersytetu Wileńskiego obszerne sprawozdanie z malarstwa znajomiło z obrazami Czurlanisa, Rymszy, Zmujdzinowicza i innych, a litewskie melodje w słowach i nutach były zdobione misternemi ramkami ornamentacyjnemi Jana Jakimowicza, *włościanina z powiatu poniewieskiego.* W ułożeniu materjału uważną dłonią Ruszczycowską przeświecała ta sama miłość, która kształtowała ideę Jagiellońską, stworzyła szacowne karty aktu Unji Horodelskiej i, nieśmiertelna, przetrwała wszystkie klęski i groby, by się odradzać po przez wieki w tylu wiernych i prawych synach zjednoczonej Rzeczypospolitej.. I w tym ostatnim, godnym swych wielkich poprzedników.

Jak dziwnie brzmiał ten głos Ruszczyca wśród szczęku kajdanów, jak głęboką przejmował czcią wśród chrapliwego zgrzytu codzienności. A wszak to nie była ani polityka, ani konspiracja, ani organizowanie siły fizycznej — to był tylko zbiór cichych słów i nikłych obrazków w niemej i bezsilnej księdze, garstka nieważkich argumentów uczuciowych, które lada głos mógł zmusić do milczenia, to był tylko poszept prawdy, pobłysk piękna, — oręż obronny kultury i ducha, nie grożący nikomu, a przecież na daleką metę straszniejszy od armat, pocisków i żołnierzy: to była wiara w ostateczne zwycięstwo miłości czynnej i twórczej, równa tej, z jaką pierwsi chrześcijanie wychodzili na arenę rzymskich cyrków...

Takie redaktorstwo i takie wydawnictwo było zaprawdę apostolstwem. Gdzie kiedy stworzył kto w Polsce takie pismo, jak te kilkanaście zeszytów skromnego „Tygodnika Wileńskiego“? Gdzie kiedy szukał kto tak namiętnie po przez piękno drogi do polskiego serca i sumienia? Trzeba się dziwić, że tak późno zniszczyły „Tygodnik“ władze rosyjskie, ale jeszcze bardziej podziwiać można rodaków, którzy tak mało o nim wiedzieli i prawie nie zauważyli jego zamknięcia. Jeśli pisma ówczesne milczenie swe mogły pozorować cenzurą, to czemże je wytłomaczy wolne polskie słowo w odrodzonej ojczyźnie?





F. RUSZCZYC

DWÓR W BOHDANOWIE (1901)
MAISON DE CAMPAGNE

ROZDZIAŁ III

R U S Z C Z Y C W M I Ń S K U

W lutym 1911-go roku pojechałem do Wilna. Trafiłem na czas, kiedy wydawanie „Tygodnika Wileńskiego“ odbywało się z całym rozpędem i miałem odrazu sposobność przypatrzeć się jego przebiegowi. Ruszczyc zapoznał mię z Wacławem Gizbert - Studnickim, archiwarjuszem Zarządu Miejskiego, z którym we dwuch dźwigali cały ciężar wydawnictwa. Ci dwaj ludzie stanowili w tym wypadku szczęśliwe skojarzenie: Ruszczyc kreślił ogólne wytyczne pisma lub cyzelował szczegóły ilustracyjne, Studnicki dawał mu dokumentarną podstawę i naukowe opracowanie. Obaj zresztą byli entuzjastami Wilna, gotowymi pracować dla niego z równym fanatyzmem. Różnemi drogami zdążali do tego samego celu.

Byłem szczerze ucieszony z poznania Studnickiego, którego Ruszczyc cenił wysoko jako współpracownika, a niebawem i sam poznałem bliżej zacnego i kochanego „archiwarjata“, jak go nazywano żartobliwie w przyjacielskiem kółku, ponieważ był skończonym dystraktem we wszystkiem, co nie dotyczyło jego ścisłej wiedzy historycznej i żył w stałem nieporozumieniu z krawatem i kołnierzykiem. Studnicki stanowił okaz naukowca-idealisty, wczuwającego się w sprawy naszej przeszłości i myślą i sercem. Był doskonałym znawcą archiwaljów wileńskich, rozmiłowanym w Wilnie z całą pasją swej popędliwej natury. Jego sangwiniczny temperament przysparzał mu wielu przeciwników, ale w pracy badawczej był czynnikiem pożytecznym i twórczym. A mimo scysyj, jakie Studnicki miewał nieraz z różnymi ludźmi, nikt nie poważyłby się kwestjonować czystości jego intencyj. Przyjemnie było patrzeć na przyjacielskie sprzęgnięcie tych dwuch ludzi w pracy redaktorsko-wydawniczej, w której obaj byli zdaje się nowicjuszami, ale którą traktowali z całym zapałem pjonierów, świadomych podniosłości jej celu. W archiwum miejskiem, zagnieżdżonem w murach franciszkańskich przy ulicy Trockiej, Studnicki miał gabinet, założony od podłogi do sufitu aktami i foljałami. Wyglądało to na coś pośredniego między pracownią doktora Fausta, a bibljoteką romansów rycerskich Don Kiszota z La Manczy. Szanowny kurz wieków przysypywał dosłownie te skarby i trzeba było chodzić wśród nich ze zręcznością akrobaty, a gospodarz w białym kitlu roboczym na tem tle wyglądał całkiem średniowiecznie. Lubił pokazywać swe bezcenne znaleziska, dotyczące dziejów Wilna i wyciągać z nich wnioski w sposób żywy i oryginalny, a dla wybrańców miał kufer okuty, wywołujący swą zawartością podziw i kichanie. Odwiedziliśmy Studnickiego parokrotnie w ciągu mego pobytu w Wilnie, a długie rozmowy na temat różnych ciekawych dokumentów kończyły się dopiero za progiem na schodach. Osoba Studnickiego i jego archiwum, poznane z ręki Ruszczyca, były dla mnie jeszcze jedną „nauką o ludziach i rzeczech“ i wpro-

wadzały mię do świata nowego, którego istnienia nawet się nie domyślałem. Późno odbierałem wykształcenie, ale za to nauczycieli miałem nie byle jakich.

„Tygodnik Wileński" musiał wychodzić regularnie i wymagał wciąż mnóstwa niecierpiących zwłoki załatwień. Najtrudniejsza była sprawa ilustracyj, gdyż Wilno podówczas nie miało porządnego zakładu cynkograficznego i odbicie na łamach pisma każdej kliszy groziło niespodzianką czarnej plamy zamiast obrazka. Ruszczyc zaprowadził mnie do kliszarni Dancyga przy ulicy Ludwisarskiej, jedynej bodaj wówczas istniejącej i bardzo prymitywnej. Tam dokonywał różnych prób z cynkotypami i staczał bohaterskie walki z zamorusanymi żydowinami, tłomacząc im braki techniczne i wysilając się, by wykrzesać iskierkę zrozumienia z niechlujnych i zarozumiałych fachowców. Ale ich niedbalstwo i ignorancja były niesłychane i Ruszczyc przechodził z nimi każdego tygodnia prawdziwe udręczenia, na temat których później dowcipkował ze swoją pogodną ironją. Wszystkich w Wilnie umiał Ruszczyc nałamać do swoich zamierzeń artystycznych, ale zdaje się, że tego jednego Dancyga nie potrafił nigdy przezwyciężyć, gdyż ilustracje w „Tygodniku" do końca pozostawiały wiele do życzenia.

Zdarzenia te odbywały się na tle nieustannego podniecenia mej wrażliwości, żłobiącego w duszy mocne ślady. Możnaby je opisać w djalogach i obrazach, któreby wiele powiedziały o Ruszczycu. Niestety, brak pamięci do szczegółów nie pozwala mi utrwalić niejednego powiedzenia lub faktu godnego uwagi. Zostawało mi zawsze tylko wrażenie sumaryczne, sens i barwa faktu, ale niezapisane detale wkrótce bladły i znikały, a wtedy nie byłem świadom obowiązku notowania wszystkiego, co dotyczyło Ruszczyca. Stąd zaś powstały straty niepowetowane, których doniosłość dzisiaj dopiero oceniam w całej pełni.

Przez tych parę dni chodziliśmy dużo po mieście. Wilno, jako zespół architektoniczny, nie było mi już wówczas obojętne i te lub inne widoki jego miałem sfotografowane, ale były to zaledwie przebłyski późniejszego uświadomienia jego piękności. Po drodze Ruszczyc zwracał moją uwagę na pewne punkty lub objekty, ale czynił to zlekka i przelotnie, nie śpiesząc z wtajemniczeniem i odkładając je do chwili sposobnej, gdy Wilno przemówi do mnie samo. Zresztą była zima i odwilż, kiedy spocone mury w brudnem świetle chmurnego dnia tracą wiele ze swej wymowy. Więc Ruszczyc mi opowiadał o uroku Wilna w majowej szacie i namawiał żebym przyjechał wtedy oglądać je z nim razem, a gdy mówił o wyglądzie miasta na wiosnę, zdawało się, że opisuje twarz ukochanej kobiety, tyle tkliwego przywiązania dźwięczało w jego głosie. Ale słowa były zwięzłe i oględne: nie chciał, by jego umiłowanie narzucało się komuś nieproszone — wolał czekać, aż ślepy przejrzy i sam Wilnu do nóg upadnie. Przy Ruszczycu zacząłem obok głębi treści cenić umiar formy.

„Tygodnik Wileński" w owym czasie orjentował Ruszczyca w stronę Mińska, ponieważ projektowana tam wystawa sztuki przybierała coraz realniejsze zarysy, a w związku z nią musiał wyjść numer, poświęcony temu „mojemu" miastu". Było ono coprawda moje tylko geograficznie, jako że Peresieka leżała o trzy mile od Mińska. Ale po za tem nie miałem do niego serca i czułem się daleko bardziej wilnianinem. Urodzony w Nowogródzkiem, Mińsk poznałem dopiero jako człowiek dorosły, więc nie miałem z nim żadnych zrostów uczuciowych z dzieciństwa, a jego zdziczały rosyjsko-żydowski wygląd i wybitne odpolszczenie nie mogły mnie usposobić do niego przychylnie. Nawet w wartościach zasobnego Wilna niebardzo jeszcze umiałem się rozeznać, więc tem mniej mogłem się interesować ubogim, bezstylowym Mińskiem i traktowałem go wyłącznie, jako dom zajezdny, przykry, ale nieunikniony w tych krótkich chwilach, których nie spędzałem u siebie na wsi. A będąc zakutym wieśniakiem, nie rozumiałem życia po za przyrodą, lekceważyłem każde miasto i uważałem je za więzienie. Z Ruszczycem jednak było inaczej: jego lata dziecięce i szkolne wiązały go z Mińskiem mocno, gdyż jego ojciec był wyższym urzędnikiem na kolei Lipawskiej i dłu-



F. RUSZCZYC RYSUNEK (1916)

go przemieszkiwał wraz z rodziną w Mińsku — stąd sentyment dla rodzinnego miasta i konieczność poświęcenia jemu numeru „Tygodnika" jeszcze przed wystawą. A na wystawę Ruszczyc miał sam przyjechać do Mińska, ja zaś miałem mu dostarczyć fotografij i zająć się sporządzeniem nowych zdjęć z wystawy do zeszytu następnego.

Wróciłem z Wilna bardzo przejęty zadaniem, jakie na mnie włożył Ruszczyc, a zarazem miotany niepewnością, czy moja praca będzie na poziomie wymagań tak poważnej imprezy. Nie przeczuwałem jeszcze, że stosunek nasz ułoży się na stałe w ten sposób, że on mię będzie wciąż przerażał przecenianiem moich możliwości, że będzie mi wciąż „dawał role", coraz nowsze i trudniejsze i budził we mnie ambicję, by sprostać każdej. Później dopiero zrozumiałem, jak bliskim mi jest ten człowiek, ale już wtedy czułem, że niczyjego sądu nie obawiam się tak strasznie, jak jego, że niczyje zdanie nie przejmuje mię taką tremą, jak zdanie dobrego i wyrozumiałego Ruszczyca. Odczuwałem instynktownie, że pomimo najlepszego serca, musi on być w sprawach rzetelności artystycznej surowym i nieubłaganym — inaczej nie byłby tym, z kim liczyło się całe Wilno. Więc wydobywałem fotografje z tek, wykańczałem śpiesznie, co się dało, przerabiałem je na różne sposoby, ale zwątpienia nie opuszczały mnie i mocno męczyły. Dywersję wywołała obłożna choroba, która przetrzymała mię w łóżku przez parę tygodni i na inne tory zwróciła myśli. Nie zdążyłem jeszcze zupełnie wyzdrowieć, gdy nadeszła wigilja wystawy, dzień 11 marca, i musiałem jechać do Mińska w całkiem żałosnym stanie fizycznym i duchowym.



F. RUSZCZYC RYSUNEK Z KSIĄŻKI „ŻÓRAWCE“

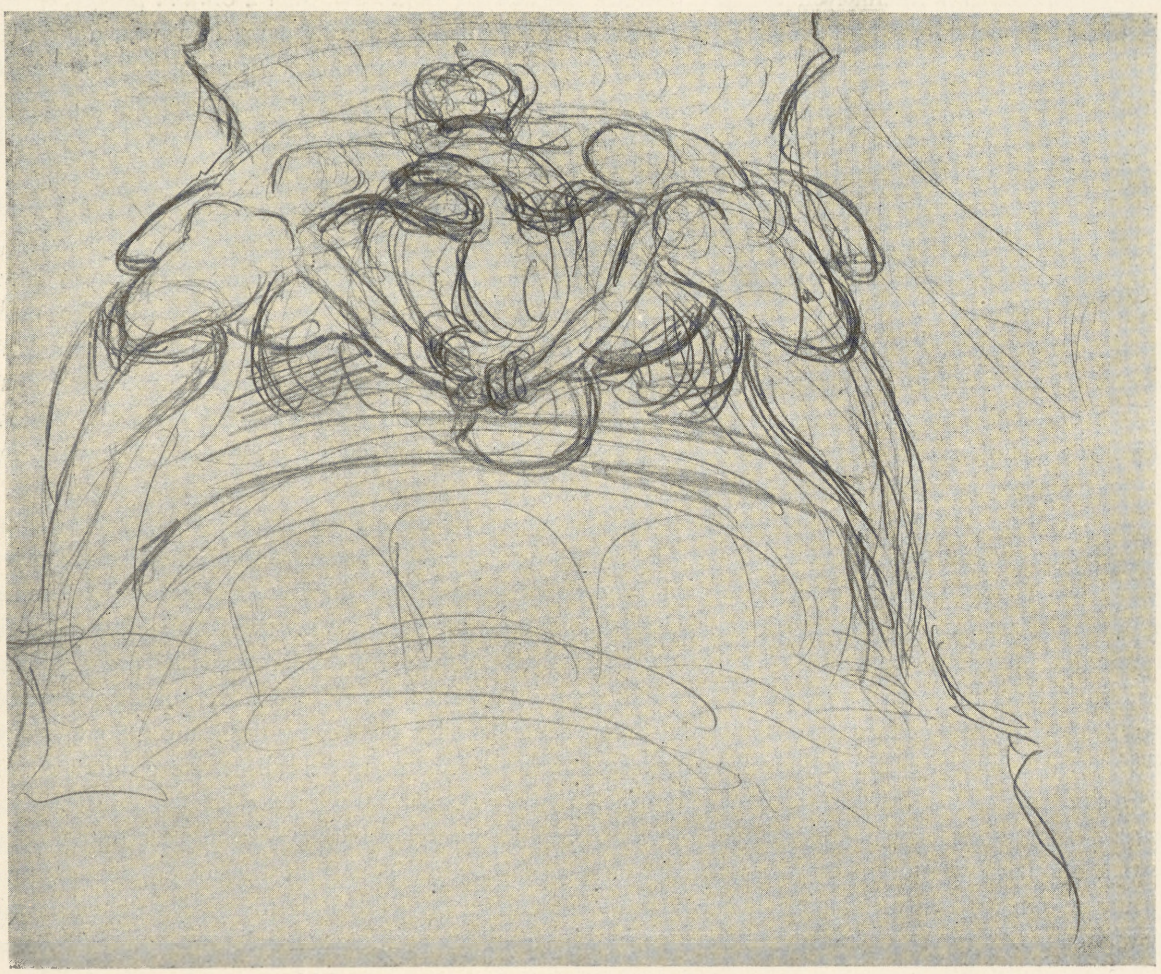
Tam zastałem już Ruszczyca, zajętego ostatniemi przygotowaniami wraz z rzeźbiarzem Jarosławem Tyszyńskim. Ta pierwsza za mojej pamięci wystawa sztuk pięknych w Mińsku mieściła się w salach „Ogniska“, polskiego klubu towarzysko-kulturalnego. Przewodniczącym zarządu był Hieronim ks. Drucki-Lubecki, człowiek światły i literacko uzdolniony. Cały zarząd gorliwie popierał inicjatywę Ruszczyca, a polska „kolonja“ mińska żywo interesowała się takiem niebywałem przedsięwzięciem. Rzeźbiarz Tyszyński z kilku innemi osobami stanowili miejscowy wydział wykonawczy i czynnie pomagali Ruszczycowi w niełatwem przy ówczesnych warunkach zadaniu. Tyszyński miał bardzo oryginalną powierzchowność, duże bladoniebieskie oczy i wydłużone, przesubtelnione rysy, lecz nosił się nieco teatralnie, w aksamitnem ubraniu, z długiemi włosami i z kokardą zamiast krawata, co mu nadawało oryginalny, ale trochę zniewieściały wygląd. Różnił się tem wyraźnie od Ruszczyca, który unikał wszelkiej afektacji i wolał być artystą w duszy, niż w ubraniu. Ale mnie wówczas charakteryzacja Tyszyńskiego jeszcze imponowała. Obok Tyszyńskiego brali udział w organizacji wystawy mińszczanie Józef Iwaszkiewicz, Otton Krasnopolski i Bogusław Adamowicz.

Trafiwszy do tego towarzystwa, poczułem się odrazu swojsko w atmosferze przedednia wernisażu, gdy trzeba doprowadzić do końca wszystko, co się odkładało na ostatnią chwilę, gdy się stacza walki o młotek i gwoździe, segreguje i przymierza do ścian obrazy i robotę przeplata gęsto pogaduszkami i dowcipami. W salach wisiały już dzieła matadorów, jak Stanisławski, Wyczółkowski, Pruszkowski, Witkiewicz, Weyssenhof, w komplecie stawili się malarze wileńscy, ustawiano rzeźby Dunikowskiego, Wittiga, Madeyskiego i innych. Ale ja widziałem tylko jeden obraz i nie mogłem oderwać od niego oczu. To było Ruszczycowskie „Nec mergitur“. Stało pośrodku sali w dobrem świetle i stanowiło niewątpliwie okrasę całej wystawy. Obraz ten zdumiewał swą nadzwyczajną barwnością już zdaleka, zanim się zdążyło rozpoznać, co przedstawia, a gdy się doń zbliżyło, przy-

kuwał uwagę niepodzielnie. Przeżyłem z nim chwile niezapomniane. Był to pierwszy obraz Ruszczyca, jaki wogóle widziałem w oryginale. I oto ten obraz sam przychodził do mego głuchego zaścianka mińskiego, by mnie budzić z odrętwienia i wołać do życia.

Byłem niezupełnie przytomny. Tylko odruchowo uczestniczyłem w ogólnym pracowitym rwetesie, robiłem jak przez sen to i owo, niekiedy nawet pod wskazówkami Ruszczyca, który przy robocie zupełnie się odmieniał: stawał się milczący, skoncentrowany, patrzący bacznie nasrożonym wzrokiem; wszędzie był, wszystkiego sam dojrzał, pracując bez pośpiechu, ale i bez przerwy, z planowością urodzonego organizatora. Oczy jego widziały zawczasu pomyślaną całość, a myśl łączyła manifestację artystyczną z pjonierstwem kultury polskiej na tej wschodniej rubieży, zapomnianej od Boga i ludzi, więc był skupiony w sobie i oddzielony od zewnętrzności jakąś nieprzenikliwą ścianą zadumy. Zresztą krył się w tem starannie i co chwila czynił wysiłek, by na powitanie przychodzących ukazywać twarz, rozjaśnioną uprzejmym uśmiechem.

Nie chcąc mu przeszkadzać, zająłem się przeglądaniem ścian, na których wśród kolorowych malowideł moje fotografje zdawały mi się nikłe, a mimo to zwracały uwagę i budziły zainteresowanie. Kiedyindziej byłbym uszczęśliwiony z wyróżnienia, jakie je spotykało w tak zaszczytnem to-



F. RUSZCZYC SZKIC DO „NEC MERGITUR“ Z ORŁEM I KORONĄ (1904)

warzystwie, ale w tych warunkach myśli moje były gdzieindziej — nie mogły się oderwać od tego purpurowego rozpłomienionego korabia, zwyciężającego morskie odmęty. Widywałem niejedną wystawę w Warszawie i Krakowie, miałem za sobą niemało różnorodnych wrażeń, doświadczonych przy Chełmońskim i Wyspiańskim, przy Grottgerze i Matejce: albumy tych ostatnich były mi w dzieciństwie drugim elementarzem, nierównie milszym i bardziej pouczającym, niż zwykły literowy i tej okoliczności może zawdzięczam, że w malarstwie rozeznawałem się nieco lepiej, niż w rzeźbie i grafice. Ale tu było coś zupełnie nowego: już nie przeżycie, tylko wstrząs nagłego objawienia. Rozdzierały się przed oczami jakieś zasłony, rozpraszały jakieś tumaniejące opary, ukazywała się jakaś nowa olśniewająca prawda. Majestat mocy, czar piękna, wezbranie uczucia, władcza sugestja wizjonerska, — wszystko było w tym obrazie, i nie umiałbym powiedzieć, co mię w nim uderzało najwięcej. Nie zastanawiałem się ani wtedy, ani potem, czy ma on oznaczać Polskę, czy Sztukę, bo był świadectwem tego szczytowego stanu duszy, w którym już niema rozdziału na uczucia cząstkowe, gdyż wszystkie są wzniesione i złączone w mistyczną jedność. A obok tego treść rzeczowa była niezwykle piękna: niewoliła oko barwnością, śmiałą aż do zuchwalstwa, a jednak sharmonizowaną po mistrzowsku, budziła podziw przepychem i rozrzutnością kolorów, świateł, błysków rozjarzonych i mieniących się, jak powódź bajecznych klejnotów. Szła z obrazu potęga, groza, tajemniczość, ale górował nade wszystkiem szturmujący niebiosa poryw uczucia i wiary. W tym fantastycznym temacie, nie mającym nic wspólnego z jakąś znaną rzeczywistością, było doskonałe zespolenie prawdy uczucia z polotem wyobraźni. Ten niesamowity okręt na nieprawdziwem morzu pod nierealnem niebem był dla mnie prawdą niewątpliwą, oczywistą, jak dzień, jak słońce: czuło się ją wszystkiemi władzami duszy.

A po kontemplacji przychodziła nauka, zbawiennie pożyteczna dla naiwnego laika. Od obrazu niewidzialne nici sympatji prowadziły do autora i uczyły doszukiwać się w nim jego własnej koncepcji dzieła, niezależnej od formy ucieleśnienia, domyślać się jego stanów uczuciowych i pobudek wewnętrznych, które wizję wywołały. Zaczynałem pojmować, że obraz — to tylko mała cząstka, znikoma chwila życia artysty, a on sam — to ogromny świat, mieszczący w sobie nieskończoność życia. Stawało się oczywistem, że artysta jest nieprzebraną kopalnią takich urzeczywistnień, jak ten obraz, ale przedtem musi je przepracować w trudzie duchowym, przeboleć, przeżyć... W podniosłem wtajemniczeniu odsłaniało mi się misterjum twórczości i święta groza przed powagą życia ogarnęła mię jak płomieniem.

Nazajutrz był wernisaż — wielka i rzadka uroczystość dla polskiej „mniejszości" w Mińsku. Przyszły oczywiście tłumy, tak zwany kwiat inteligencji i elita ziemiaństwa, moc moich znajomych osobistych, wśród których czułem się zapewne dobrze i musiałem spędzić przyjemnie ten pamiętny dzień. Dziś już nie wiem, jak on przeszedł i co go zapełniło: wszystkie drobne wydarzenia przysłoniła mi osoba Ruszczyca, rozrywanego przez otoczenie i jaśniejącego radością. Przyglądałem się jemu zdala, mając za kompensatę — widok jego zwycięskiej nawy. Gorączka niezaszanowanej rekonwalescencji nie opuszczała mnie przez te dni, czułem wciąż obawę, by mnie nie zmogła i czyniłem wysiłki, by się jej nie poddać. Tak przeszedł dzień, a wieczorem zebraliśmy się w głównej sali „Ogniska" na odczyt rzeźbiarza Jana Boguszewskiego. Boguszewski miał pociągłą, uduchowioną twarz i zapatrzone oczy wieszczbiarza, mówił o rzeźbie rzeczy głęboko wyczute głosem fanatycznego kaznodziei, w którym brzmiało szczere uniesienie. Czuło się w nim duchowe pobratymstwo z Ruszczycem i z tym nieznanym światem, który mi tamten otwierał. Była to raczej natchniona improwizacja niż odczyt*). „...Skądś zdaleka rozlegają się miarowe uderzenia młotów — mówił Bogu-

*) Została utrwalona w N. 14 „Tygodnika Wileńskiego".



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. FRAGMENTY „NEC MERGITUR“ (1904)

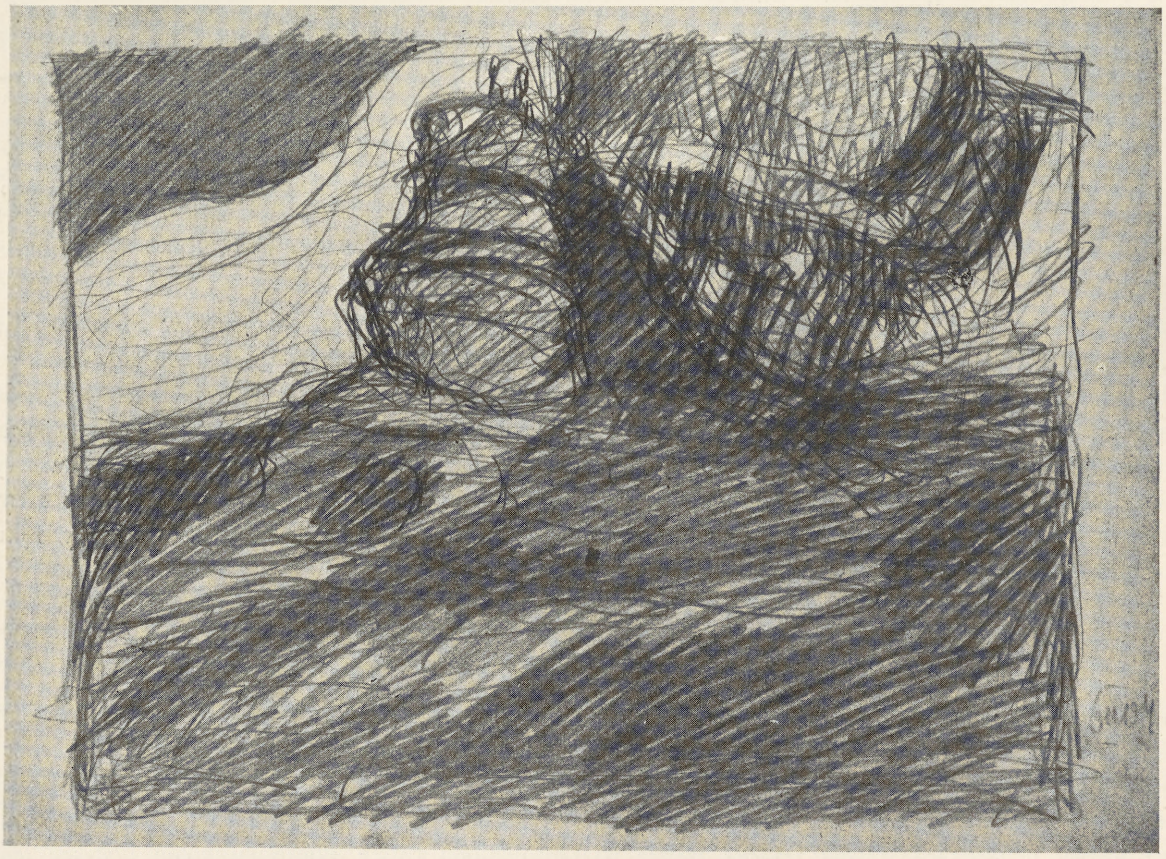
szewski — to rzeźbiarze wykuwają duszę ludzką, nową, piękną, wolną... jesteśmy w epoce wielkiej sztuki, wielkich pożądań i upadków wielkich.. żyjemy w ciągłem napięciu i oczekiwaniu cudu... cudu posągów i gmachów, wyrastających z ziemi w przymierzu z naturą, z powierzem i słońcem, zdala od ciemnych i dusznych miast... Są wioski górskie, przyczepione do skał, gdzie każda chata jakby ze skały wykuta, ze skały wyrasta. Są górskie szczyty, zdaleka niby zamki ogromne i jakowiś rycerze widziane... czemuż się od nich nie uczy architektura i rzeźba, że posąg i budowla z ziemi wyrastać powinni... Ziemia czeka... czekają święte gaje litewskie... ludzie się budzą z młotem w ręku, z żądzą tworzenia w piersi..

Die Geister sind erwacht!
Es ist Lust zu leben...“

Tym okrzykiem zakończył. Na sali zrobiło się cicho, jakgdyby po niej przeleciało jakieś nieziemskie tchnienie. Takie przynajmniej było moje wrażenie, a ten dwuwiersz, niewiem skąd wzięty, stał się symbolicznem hasłem mojej nowej epoki życia i często potem dźwięczał mi echem najpiękniejszego wspomnienia... Tyle lat upłynęło od tego wieczoru, tyle zdarzeń wstrząsnęło i światem i moim losem, a przecież dzisiaj jeszcze widzę rozpłomienioną twarz Boguszewskiego i słyszę jego słowa żarliwe, padające w głąb duszy, jak deszcz na spieczoną rolę, jeszcze dzisiaj czuję ten dreszcz

ekstazy, który mię przenikał... Ale nietylko to: wznawiam i przypomnienie twardych, mężnych postanowień, wówczas poczynionych, pamięć ślubów dozgonnych... I jeszcze jedno pamiętam: gdy Boguszewski przemawiał, światło padło pod jakimś szczególnym kątem na gałązkę rośliny dekoracyjnej w rogu sali i rzuciło na ścianę jej cień osobliwy, czarujący tajemniczą ekspresją. Po odczycie pokazałem go Ruszczycowi i długo bez słów wpatrywaliśmy się w tę gałązkę, wiedząc, że czujemy obaj to samo... Co?... Nie wyraziliśmy tego słowami, by nie pomniejszyć odczuwania, lecz nieraz później wspominaliśmy, jak coś bardzo drogiego, i ten wieczór i tę gałązkę.

Ale najważniejsze było jeszcze przede mną. Dziwnie bogate we wrażenia, dziwnie bujne i kwieciste były te dni. Po odczycie odbyło się zebranie towarzyskie i kolacja w większem gronie, której szczegóły zatarły mi się zupełnie, gdyż siedziałem daleko od Ruszczyca i byłem zbyt zajęty własnemi myślami. Było już dobrze po północy, gdyśmy wyszli z „Ogniska". Ruszczyc pożegnał u wyjścia swych licznych wielbicieli, wziął mię pod ramię i skręcił w boczną ulicę. Szliśmy jakiś czas w milczeniu po ciemnych i pustych arterjach miasta, którego obrzydły kształt dzienny zakrywała dobroczynna noc. Zauważyłem, że i on jest podniecony i skłonny do poufniejszej rozmowy, która się też niebawem zawiązała. Tematem jej były wrażenia minionego dnia. W obydwuch nas nagromadziły się pewne potencjały odczuwań, które domagały się wyładowania. Coś się rozgrzewało, coś rosło, uskrzydlało, myśli chaotyczne skupiały się i rozwidniały w śmiałe skróty, odpadały pomyślenia zbędne i przypadkowe, a jakaś łaska prawdy jedynej świtała zbawczą jasnością. Już nie wie-



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. „NEC MERGITUR" (1904)



F. RUSZCZYC NEC MERGITUR (1904).



F. RUSZCZYC

MŁYN W KAROLINKACH (1910).
MOULIN À KAROLINKI PRÈS WILNO.

dzieliśmy, gdzie się znajdujemy i prawdopodobnie nie jeden raz przeszliśmy te same ulice, zanim stanęliśmy u drzwi hotelu, gdzie zamiast pożegnania Ruszczyc wciągnął mię do wnętrza. Tam w jego pokoju prowadziliśmy dalej rozmowę. Myśli były szczere i ważkie, słowa lotne i zuchwałe, głowy gorzały, serca biły rytmem zgodnym, wartkim, mocnym... oczy przenikały zapory codzienności i witały cudowne odsłanianie się tajników życia...

O czem mówiliśmy wtedy?... nie potrafię powtórzyć i to jest zresztą obojętne. W godzinach wyrocznych dusza zbliża się w zachwyceniu do niepoznawalnej, najwyższej „Jedności", która jest istotą wszystkiego. A gdy taką chwilę przeżyją razem dwie dusze, to ich zbratanie pozostawia smugę światłości, która nie umiera, bo jest nie z tego świata.

Ta noc miała za otoczenie brudny hotelik żydowski, bo innych wówczas nie było w Mińsku. Odrapane sprzęty i plugawe ściany pokoju rozszerzały się naszym oczom w amfiladę wspaniałych sal, a zadymione papierosami powietrze rozbłękitniało się w sferę podniebnych światokręgów. Ruszczyc mówił o sztuce, o kraju, o swych zamierzeniach, których uczestnikiem chciał i mnie widzieć. Dał mi poczuć, że pragnie, bym pracował z nim dla wspólnej sprawy. W słowach zwartych i oględnych, ale głosem wzruszonym dawał mi ujrzeć głębie swej płomiennej uczuciowości, swego żarliwego marzycielstwa, swej męskiej, czynnej postawy życiowej. Był prosty i dobry, a zarazem wzniosły i godny uwielbienia...

Kiedy nad ranem podał mi rękę na pożegnanie, w ujęciu jej poczułem mocny uścisk brata...

. . . .

Nazajutrz trzeba było fotografować wszystko na naszej wystawie, bo zależało na tem i mnie samemu i musiałem dać obfity materjał Ruszczycowi do Tygodnika. Ten trzeci dzień zeszedł mi cały na robocie, niełatwej ze względu na jej nowość i uciążliwej fizycznie. Jestem przekonany, że w innych okolicznościach byłbym do niczego niezdatny i leżałbym w łóżku. Ale przy takim lekarzu, jak Ruszczyc, czułem się zelektryzowany i w ustawicznem napięciu nerwowem potrafiłem wykonać rzecz niezgorzej. Zeszyt wystawowy, zapełniony memi zdjęciami, stał się moim egzaminem wstępnym, zdanym dobrze.

Ale przed tym numerem Ruszczyc słusznie uważał za potrzebne powiedzieć więcej o swem rodzinnem mieście. Treść „Tygodnika" układał na kilka numerów naprzód w określonej kolejności, budując jakąś z góry uplanowaną całość. Cokolwiek czynił, to było zawsze konstrukcyjne, nigdy ułamkowe ani przypadkowe. Natchnienie kojarzyło się w nim harmonijnie z dojrzałym rozmysłem. Więc i zeszyt 13-ty „Tygodnika", który otrzymałem wkrótce po opisanych zdarzeniach, został cały poświęcony Mińskowi. Zgromadzał skrzętnie ostatki kultury i myśli polskiej, ocalałe w zalewie rosyjskiego nihilizmu i odtwarzał z nich dawną świetność miasta. Jak uczony prehistoryk z odłamków skorup i żelastwa odgaduje zaginione dzieje ludzi, którzy się niemi posługiwali, tak Ruszczyc z tych skąpych pozostałości polskiego promieniowania wskrzeszał jego obraz retrospektywny, pełny chlubnych świadectw i krzepiących pouczeń. A czynił to swoją mistrzowską metodą zestawień i lakonicznych komentarzy słownych o miażdżącej wymowie. Jak wytrawny szermierz, tworzący skuteczne wypady i zasłony nieznacznemi poruszeniami ręki i szpady, używał minimalnych środków dla osiągnięcia najprzedniejszych wyników. Więc narysował w „Tygodniku" wytworny rokokowy szczyt dawnego kościoła, przerobionego przez Rosjan na koszary i uwieńczonego nędzną nadbudówką drewnianą w cynicznym stylu „kolejowym" i podpisał: „Dawny kościół Dominikański, dziś „kałancza"*), rysunek z natury". A obok umieścił fragment kamienicy frontowej z głównej ulicy, do-

*) „Kałancza" — wyraz rosyjski, również szpetny, jak jego treść, oznaczająca wieżową nadbudowę.

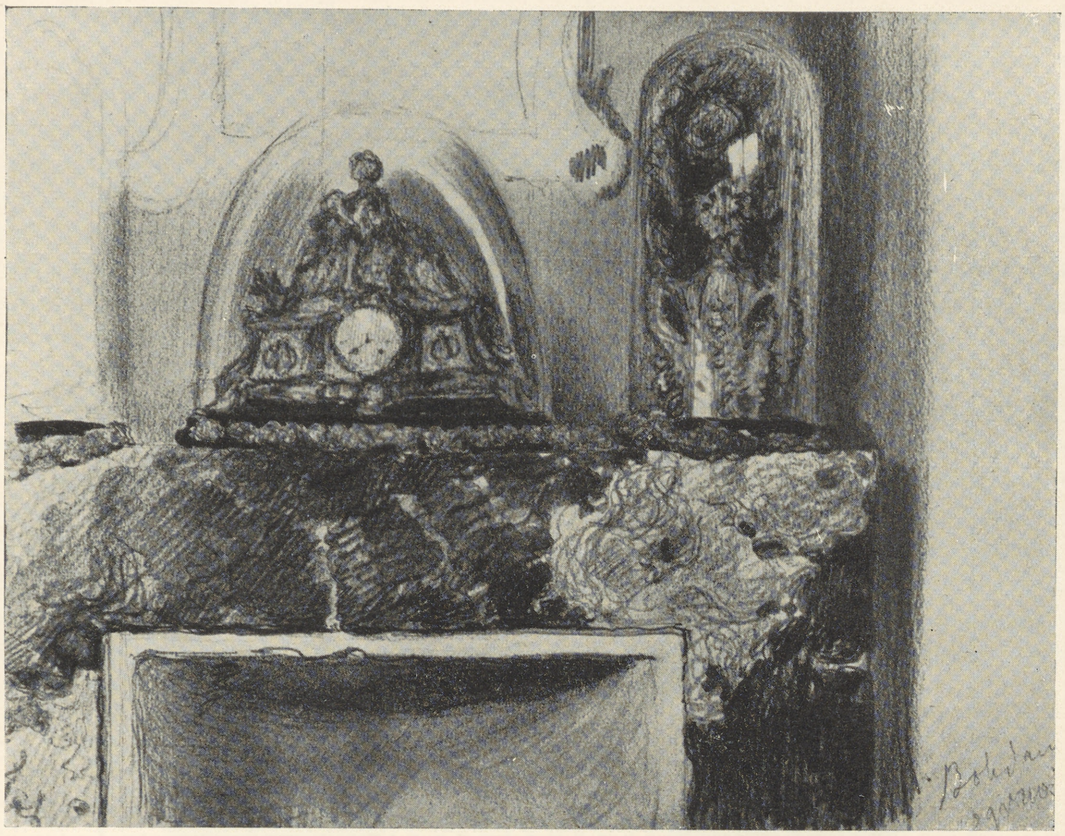
słownie opancerzonej paskudnemi żydowskiemi szyldami potwornej wielkości i znów podpisał: „Jedno z upiększeń ulicy Gubernatorskiej — rysunek z natury". Dla nas komentarze były niepotrzebne, ale najzabawniejsze jest, że Rosjanie z pewnością nie rozumieli ironji tych ilustracyj i brali teksty za dobrą monetę. Rysunkom akompanjował artykuł „o-K-a" pod tytułem „Dwa światy", napisany kutym w granicie stylem Ruszczycowskim:

„Dziwne miasto.. jedna olbrzymia zmora zdziczenia i znieczulenia na wszelkie tradycje i aspiracje. Barbarja. Tryumf napływowego nihilizmu... Na tych architektonicznych straszydłach maski-szyldy, cyniczne swą jakby umyślną ohydą... A nad niemi skalpowane szczyty i stropy dawnych świątyń... A jednak... w tem mieście, siedzibie tryumfującego wandalizmu byli i są ludzie, których... wytrwała praca, wielkie przywiązanie do skarbów zagrożonych wysuwają na czoło społeczeństwa. A ziemia ta — to ziemia, od wieków użyźniona kulturą naszą. Nie statystyka urzędowa... nie nazwa decydują: — decyduje pierwiastek etyczny, to, co lepsze. W tem słuszność i przyszłość".

Tak ostrożnie i „międzywierszowo" musiał wówczas wyrażać się pisarz o sprawach drogich i ważnych, najbliższych polskiemu sercu. A przecież to był rok 1911 — w sześć lat po pomrukach pierwszej rewolucji rosyjskiej i na trzy lata przed wichrem wielkiej wojny, która miała zmieść to władztwo dzikości. Przyniosła nam wolność, ale, niestety — pozostawiła Mińsk w granicach imperjum bolszewickiego, wraz z tylu innemi miastami i dzielnicami, wraz z ludźmi, pamiątkami i z ziemią, przepojoną polskością.

Wyglądowi miasta, zobrazowanemu w tych rysunkach, przeciwstawiał Ruszczyc swoim zwyczajem zwięzłą, bezosobistą, objektywną pozycję — spis ludzi sławnych i zasłużonych z Mińszczyzny, wyjęty z szóstego tomu „Słownika Geograficznego". Przewijali się tam długim szeregiem alfabetycznym krajanie: Czeczott, Chodźko, Chodkiewicz, Domejko, Felińska, Korzon, Kościuszko, Kondratowicz, Moniuszko, Mickiewicz, Naruszewicz, Reytan, Siemiradzki, Zan i wiele innych nazwisk, o brzmieniu dobrze znanem każdemu. I — kropka. Bez komentarzy, jak zawsze. Komentarz słuchacz miał sobie sam dośpiewać — to była stała zasada pedagoga-Ruszczyca. I to nietylko z powodu cenzury. Nie było człowieka, bardziej liberalnego i więcej szanującego cudzą osobowość. Nigdy najmniejszego nacisku. On tylko przedstawiał i pokazywał, nietylko nic nie narzucał, ale nawet określać i wnioskować nie lubił. Każdemu pozostawiał zasługę i przyjemność osobistej aktywności. A mimo to w wyniku ostatecznym był przecież despotą, tyranem bezwzględnym i władczym: wszystko musiało ulegać i służyć razem z nim jego bóstwom. Był cudownym, błogosławionym despotą w tem znaczeniu, w jakiem byłaby tyrańską kultura polska, gdyby ją dzisiejsi „mocarstwowi" litwini odważyli się wpuścić na swoją Kowieńszczyznę — władczą mocą „lepszości", niezwyciężoną walką na serca i dusze.

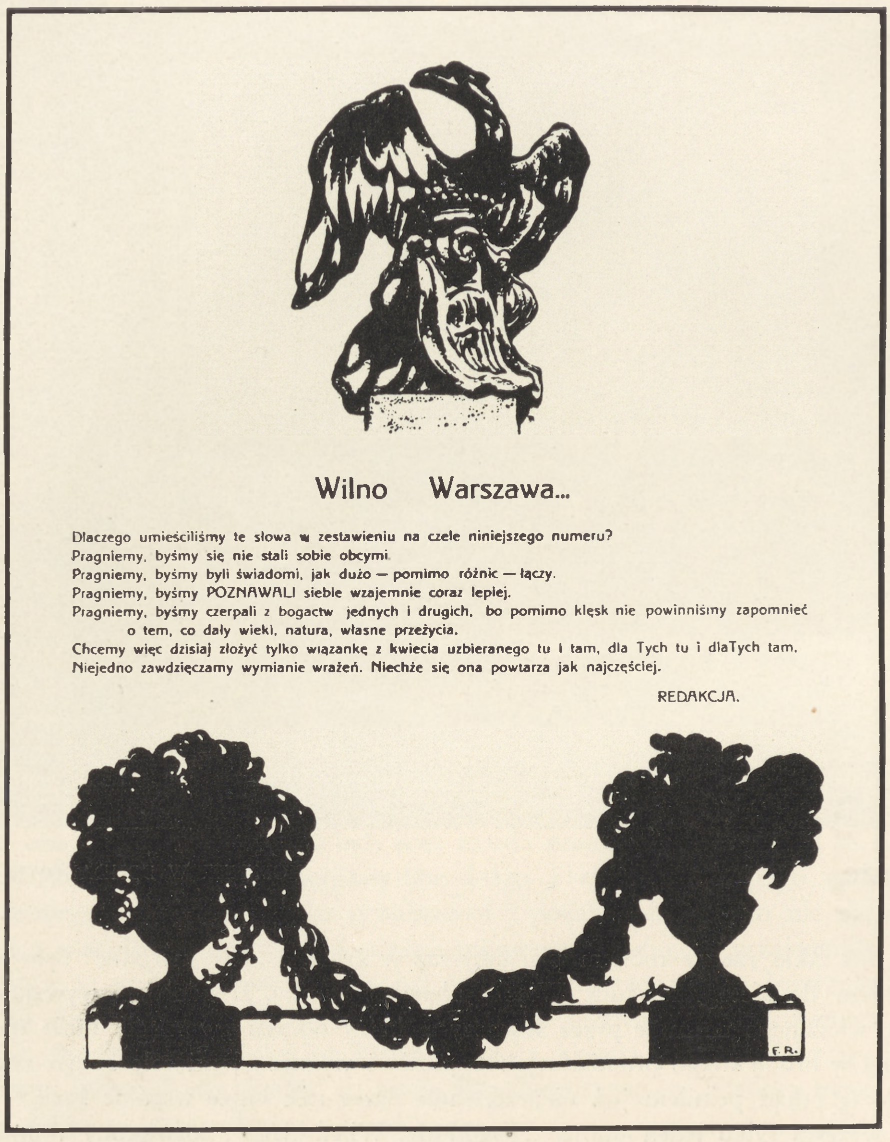
W początku kwietnia przyszedł długo oczekiwany numer czternasty o wystawie. W nagłówku znalazłem Ruszczycowski rysunek — girlandy bluszczu, oplatające napis tytułowy i stanowiące jakby rozmnożenie naszej ślicznej gałązki z wieczornego odczytu. A na drugiej stronie ujrzałem jej powtórzenie w mojem własnem zdjęciu. Tak umiał Ruszczyc powiedzieć zdaleka jednym gestem więcej, niżby potrafiły najwymowniejsze słowa. A potem następowała reprodukcja „Nec mergitur" i mój artykuł pod tym samym tytułem, pisany na gorąco, wprost po powrocie z Mińska. Moja ambicja autorska niewiele dziś sobie obiecuje chwały z formy tej recenzji, rażącej deklamatorstwem i nadużywaniem literackiego banału, ale w treści tego, com pisał, byłem szczery i starałem się dać wyraz rzetelny przeżyciom, które tu opowiedziałem. Zaraz potem szedł Boguszewskiego odczyt „O rzeźbie", szczęśliwie zanotowany w urywkach, a wszystko gęsto przeplatały moje zdjęcia, zarówno tematy samodzielne, jak reprodukcje obrazów i widoki wystawy, robione specjalnie dla „Tygodnika". Do dziś niebardzo rozumiem, w jaki sposób potrafiłem je wykonać po ludzku, nie mając żad-



F. RUSZCZYC KOMINEK W BOHDANOWIE (1903)

nej praktyki, bo takie rzeczy robiłem pierwszy raz w życiu, a „Nec mergitur“ było obrazem, wyjątkowo trudnym do sfotografowania. Więc czułem się dumny, że zdołałem wywiązać się należycie z zadania, włożonego na mnie przez Ruszczyca, który odrazu „wprzągł“ mnie do swego rydwanu, wciągnął w orbitę swego promienistego krążenia i wyznaczył mi rolę swego satelity fotograficznego. Rolę tą odtąd pełniłem już nieprzerwanie przez całe nasze wspólne życie.

Potem wyszedł tylko jeden numer „Tygodnika Wileńskiego“, poświęcony Wilnu — Warszawie“, a więc zjednoczeniu, jakie w minionych wiekach wiązało te dwa „miasta gubernjalne“ cesarstwa rosyjskiego. Dostojna i surowa w linjach korona kazimierzowska mieściła na dwuch tarczach herby Wilna i Warszawy, a pod nią imiona tych miast, wypisane romańskiemi inicjałami, łączyła *jedna drobna kreska.* W tekście grubego zeszytu podwójnego kreska ta nabrzmiewała do wymiarów wieczystego przymierza Korony i Litwy, a mówiła o niem tylko zestawieniami poglądowemi, ale z tą elokwencją milczącego objektywizmu, jaka była właściwa takim dwum „buntowszczykom“, jak Ruszczyc i Studnicki. Nic też dziwnego, że ten zeszyt był ostatnim debiutem, łabędzim śpiewem „Tygodnika“. Nawet gruboskórne władze rosyjskie musiały w końcu przejrzeć jego nieprawomyślność i urzędnik gubernjalny, obwieszczający Ruszczycowi zamknięcie pisma, zdobył się na cyniczny dowcip, że dzieje się to nie z powodu treści, lecz jedynie z powodu tej małej, ledwie widocznej kreseczki. Nie wolno było złączać nawet kreską z farby drukarskiej dwuch miast, leżących przecież w odrębnych i obcych sobie dzielnicach, nie związanych niczem, oprócz przynależności do wielkiego imperjum rosyjskiego.



F. RUSZCZYC RYSUNEK Z „TYGODNIKA WILEŃSKIEGO“

Tak zakończył krótki żywot „Tygodnik Wileński“, efemeryda dwuch donkiszotów, bardziej zauważona przez cenzurę rosyjską, niż przez polskie społeczeństwo. Nie mógł spełnić swego zadania w całej rozciągłości, ponieważ trwał krótko i był podobniejszy do przelotnego uśmiechu lub westchnienia, niż do kropli wody, drążącej kamień, a ludziom trzeba latami wbijać do głowy abecadło, jeśli się chce, by je zapamiętali. Więc dzisiaj nikt prawie nie wie o istnieniu tych szesnastu zeszytów Ruszczycowskiej myśli i troski, Ruszczycowskiego wspominania „tego, co było“. Ale „w tem że było, moc nasza...“ powiedział i wyrył to w wielu sercach. W dzisiejszej wolnej Polsce nasze radości i smutki są inne, przemoc wroga stała się anachronizmem, ale pozostanie nazawsze Ruszczycowski testament, nakazujący znać i szanować tradycję, a Polskę jutra jednoczyć w Janusowym posągu z Polską dnia wczorajszego, bolesną ale szczytną.

Karty Tygodnika są mi szczególnie drogie, gdyż odczytuję w nich niepośledni ułamek życia i pracy Ruszczyca. Udało mi się zachować komplet tego pisma, o czem wspominam w tym celu, by przyszli badacze epoki Ruszczycowskiej Wilna mogli sięgnąć do tego rzadkiego już dziś źródła i opracować je należycie. Jest ono pięknem świadectwem wszechstronności człowieka, który dowiódł, że można być gorącym patrjotą, konspiracyjnym politykiem, skrzętnym miłośnikiem dawnego obyczaju, ofiarnym nauczycielem i sługą społeczeństwa, nie przestając być — wielkim artystą. Przyszły monografista Ruszczyca niewątpliwie oceni i uwydatni wartość plastyczną jego rysunków i ornamentów zdobniczych, wykonanych dosłownie na kolanie, w ostatniej nocy przed oddaniem do kliszarni. Rysował je piórem, ołówkiem, patykiem, najprostszemi narzędziami, przystosowanemi do techniki drukarskiej, robił pod nakazem chwili, niecierpiącej zwłoki, a jednak w spontanicznym wybuchu natchnienia, które spływało nań odrazu, ilekroć poczuł w sercu, że coś narysować „trzeba". Wolny od cienia tendencji w swojej sztuce był przecież mądrym wychowawcą o wyraźnym kierunku, ale ten prozelityzm rodził się nie ze spekulacji rozsądku, tylko z wrzącej uczuciowości, ujawniał się w formie czystego artyzmu. Kresa jego rysunku była wstrzemięźliwa, ograniczona do najkonieczniejszej charakteryzacji, prosta i mocna, a przecież bogata, żywiołowa, wymowna, rozmiłowana w barokowej bujności, nie mniej patetyczna, niż jego plama malarska. Ruszczyc był artystą zupełnym tak samo w kreskowaniu swych drobiazgów rysunkowych, jak w malowaniu wielkich płócien pejzażowych. Dał niezliczone dowody swego talentu graficznego w zdobionych przez siebie licznych wydawnictwach, a „Tygodnik Wileński" jest jednem ze zwierciadeł, w których odbija się ta jeszcze niedoceniona rola Ruszczyca.



ROZDZIAŁ IV

W BOHDANOWIE

Nastało lato roku 1911-go, kiedy „Tygodnik Wileński“ był już tylko wspomnieniem pełnem żalu, jaki budzi każde przemijanie. Pocieszałem się myślą, że jeśli zbrakło głosu Ruszczyca w druku, to on sam dalej istniał, i jakąś obiecującą jasnością zahaczał o moje życie. Więc znowu próbowałem streszczać doznane wrażenia.

Kimże był ten niedawno poznany człowiek, taki odmienny od wszystkich, takim nieprzepartym pociągający czarem? Co było jego istotą, jego najważniejszą sprawą życia? Czy malarstwo? Nie było zagadnienia artystycznego, któregobyśmy nie poruszali w naszych rozmowach, ale w ich różnorodnym zespole samo malarstwo zajmowało bodaj najmniej miejsca. Częściej, niż na obrazy, patrzaliśmy razem na jakiś promień słońca na murze, na jakiś cień, błądzący po ścianie nikłą sylwetką. Więc może polityka? Nigdy nie słyszałem z jego ust haseł agitacyjnych, tak często nadużywanych przez innych. Wewnętrznie musiał zapewne być czującym patrjotą, bo któż nim nie był w owych więziennych czasach, ale w rzadkich wynurzeniach na ten temat był małomówny i rzeczowy, zachowując te uczucia dla siebie. Dawał im wyraz wprawdzie w zamkniętym „Tygodniku“, ale w tem piśmie o obliczu artystycznem poruszał także wiele spraw innych. Więc chyba i to nie było kluczem do jego duszy. O pomniejszych celach i drobnych ambicjach nie mogło być mowy w takim człowieku. Zachodziłem w głowę i nie mogłem go zdefinjować, bo szukałem szczegółów, zamiast starać się o ogarnięcie jego istoty. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że Ruszczyc jest człowiekiem wyjątkowym, uniwersalnym, do którego nie mogły mieć zastosowania wzory przeciętne i określenia ułamkowe, — że jest poprostu — sobą, osobowością odrębną i zupełną, szczególnie od Boga obdarzoną.

Ale w tych poszukiwaniach musiałem jednak powracać do sprawy narodowej. Pionowa zmarszczka między oczami Ruszczyca i akcenty głosu w pewnych chwilach świadczyły, że są w nim głębie ukryte, jątrzące tem boleśniej, im mniej się uzewnętrzniają. Gdy w numerze mińskim „Tygodnika“ pisał o zbezczeszczeniu pamiątek swego rodzinnego miasta, o pochodzie barbarzyńców na nasz kraj, — twarde słowa jego padały ciężko, jak głazy. Gdy wydawał ostatni zeszyt tego pisma o związkach między Warszawą a Wilnem, jego rysunki miłośnie kreśliły symbole tego zjednoczenia, a wtórzyły im napomknienia nawpół nieme, nabrzękłe tajonem wzruszeniem. A kiedy od myśli chmurnych nawracał do widnokręgów jasnych i szerokich, — wówczas nie mówił ani o malarstwie, ani o polityce, ani o ludziach, tylko *o całej sztuce, o całem życiu, o wszystkiem jego pięknie i prawdzie,* a te pojęcia ujmował jako jeden nierozdzielny byt, mieszczący w sobie wszystko, czem można i należy żyć. Żył wielkim, syntetycznym planem życia. Dawał przykład podporządkowania szczegółów istnienia jego całości, ukazywał obraz człowieka harmonijnego, którego czyny, choćby po-



F. RUSZCZYC

SZKIC DO BALLADY

ESQUISSE POUR „LA BALLADE"

zornie różnokierunkowe, służą wiernie wyższemu celowi i nieomylnie do niego zdążają. Łączył spontaniczność z rozwagą, zapał z ładem, a czyny w nich zrodzone składał na jakimś niewidzialnym ołtarzu. Wierzyło się, że ten ołtarz jest bardzo wysoki i daleki, że trzeba skłonić przed nim głowę, że można przed nim uklęknąć.

Przy takich wyczuciach już niebardzo dziwiłem się, że słynny pejzażysta w codziennem obcowaniu traktuje malarstwo jakoś drugorzędnie i woli od niego zwykłą gawędę z zecerem lub



FOT. J. BUŁHAK. F. RUSZCZYC W BOHDANOWIE W R. 1911.

wędrówkę po pracowniach wileńskich rzemieślników. Przyzwyczajałem się do myśli, że artysta tej miary, zamiast oddawania się bezpośredniej pracy plastycznej, może zajmować się wielu innemi rzeczami, dość od niej dalekiemi, że może naprzykład wydawać pismo ilustrowane o obliczu dyskretnie osłoniętem, ale mającem na względzie jakąś bardziej ogólną sprawę, niż malarstwo, a nawet sztuka. Musiała to być sprawa wielkiej wagi, jeśli Ruszczyc porzucał dla niej tyle innych. A cóż mogło być tą „sprawą", jak nie kraj i ziemia, ta sama heroiczna „Ziemia" w ciemnych skibach pod chmurnem niebem z błękitnemi prześwitami, która była największem dziełem i zapewne najważniejszem przeżyciem Ruszczyca? Przecież to były czasy, gdy w Wilnie panoszyły się pomniki Katarzyny i Murawjewa, gdy śmietniki barbarzyństwa zasypywały nasze skarby i świętości, a społeczeństwo tępiało i drewniało w okowach sytego znikczemnienia... Któż z niedobitków myślących i czujących mógł przechodzić obojętnie mimo takiej rzeczywistości?

Nietrudno już było zrozumieć, że ta rzeczywistość przesłaniała Ruszczycowi sprawy własne. Nie mógł zamykać się w twórczości pejzażowej jego duch żarliwy, trwożący się o całość polskiego życia, zagrożonego w swoich podstawach. Jak malować dalej tę ziemię, którą wróg odbiera, której oblicze profanuje i niszczy? Trzeba bronić ziemi i walczyć o jej polskie soki duchowe. Trzeba sprządz powszechne Piękno z jakąś wysoką Prawdą i z tego zjednoczenia uczynić stawkę całego życia. A potem szukać pola walki i skutecznej broni. Tem polem walki o Piękno, zespolone z Prawdą, był dla Ruszczyca przez pewien czas „Tygodnik Wileński" *), a po za nim — całe Wilno.

Mozolnie dochodziłem do tych wniosków, nienawykły do rozumowania na podobne tematy, ale wreszcie stawało się dla mnie jasnem, że to pismo było jednym z pierwszych zwiastunów przełomu, jaki wówczas zachodził w Ruszczycu, ważkiem ogniwem przemiany, za którem przyjść miały ogniwa dalsze, by przekształcić jego życie i pchnąć je na nowe tory. Te dziwne obrazy odgadywanego cudzego życia widziałem, jak przez mgłę, ale czułem się szczęśliwy, że w tej mgle przebłyskują zarysy i światła, nadające i mojemu życiu jakąś nową, dotychczas nieznaną wartość.

Taka to była niepisana „publicystyka" Ruszczyca, którą wówczas odczytywałem między wierszami „Tygodnika Wileńskiego".

Na początku lata posłałem był Ruszczycowi paczkę mych fotografij pejzażowych i rodzajowych, do których przywiązywałem większą wagę. Nie umiałem wyrazić inaczej myśli i uczuć, tak jeszcze mało skrystalizowanych i zdawało mi się, że tylko w ten sposób zdołam napomknąć o czemś tajemnem i wstydliwem komuś dalekiemu, a bardzo miłemu.

Wkrótce otrzymałem od niego odpowiedź w tych słowach: „Gdym rozpakował fotografje, ogarnęła mię taka radość i niecierpliwa chęć dzielenia się, że zawiozłem je zaraz na Wileńską, by pokazać Matce... a gdyby pan wiedział, jak one były oglądane i co się przy tem mówiło, miałby pan jako autor satysfakcję... A jak ja mam podziękować?... Gdy patrzę na pańskie prace doznaję wrażenia takiego, jak patrząc z balkonu swego **): jestem szczęśliwy, że w jednym czasie żyjemy... Wiem, jaką długą drogą do tego się doszło, ile lat ukrytych, ile lat milczenia... I oto na drogach naszych spotkaliśmy się... Ma pan przyjaciół oddanych... Jako taki, mocno pana ściskam".

Oprócz tych słów było w liście ciepłe zaproszenie do Bohdanowa, dokąd Ruszczyc wraz z matką przenosił się na wakacje. Wszystko to spadło na mnie nagle i niespodziewanie, ude-

*) Poprzedziły go, jak się wkrótce przekonałem, trzy inne zwiastuny: „Grunwald", „Żórawce" i „Immortele" — trzy pierwsze kroki w służbie powszechnego piękna.

**) Na Zarzeczu pod n-rem 24-tym. Balkon z widokiem na kościoły i ogród Bernardyński, opisany w rozdziale pierwszym. Widok ten był radością i chlubą Ruszczyca: był istotnie niezwykle piękny i chętnie pokazywany przez niego gościom.



F. RUSZCZYC

BALLADA (1900)
BALLADE



F. RUSZCZYC

POWIEW WIOSENNY
BRISE PRINTANIÈRE

rzyło mię swoją powagą, jak wyrok losu, olśniło, jak błyskawica. List wywołał oczywiście odruch natychmiastowy. Chociaż życie moje było wówczas trudne i zawikłane, odłożyłem wszystko na stronę i pośpieszyłem tam, dokąd mię wzywano tak serdecznie.

Około północy wysiadłem na stacji Wojgiany kolei Mołodeczno—Lida w głębokiej Oszmiańszczyźnie, skąd było tylko dwie wiorsty do Bohdanowa. Ruszczyc spotkał mię sam na dworcu i powitał, jak starego przyjaciela. Był mi naprawdę rad, i, jadąc z nim pierwszy raz, nie miałem wcale wrażenia, że przybywam do ludzi nieznanych. Ale wrażenie było mocne. Zapamiętałem czarne sylwety wielkich drzew, dłużących się na gwiazdzistem niebie, przepaścisty korytarz wjazdowej



F. RUSZCZYC STARY DOM (1903)

alei, niski dom, wtulony w gąszcze, zarośnięty ganek, przestronne pokoje, staroświeckie meble... A potem już tylko jakieś bezprzytomne poddanie się radości, rozpłynięte w ciche niepamiętanie... Tak zapewne wygląda każde niespodziewane szczęście życia....

Nazajutrz poznałem domowników, panią Alwinę Ruszczycową, matkę Ferdynanda, wątłą i szczupłą staruszkę o bardzo żywych oczach i miłym uśmiechu, pana Józefa Wierzyńskiego, przyjaciela jego i towarzysza lat dziecinnych, wreszcie pana Wacława Adamowicza, narzeczonego jego siostrzenicy, panny Eugenji Korffówny i pana Jana Worobjewa. Inne osoby dzisiaj już mało pa-

miętam, bo postać główna przesłaniała mi mocno dalsze plany Bohdanowskiego obrazu. Wierzyński miał długą czarną brodę i coś bajronicznego w zachowaniu się, Adamowicz wypukłe czoło i cienki profil grottgerowski, niemniej oryginalny i anachroniczny, a Worobjew mówił bardzo dużo i z wybitnie cudzoziemskim akcentem, dlatego zdołałem ich zauważyć pomimo mego oszołomienia. Wzruszający widok sprawiała miłość, jaką otaczał Ruszczyc swoją matkę. Przebijało to z każdego słowa i spojrzenia, zwróconego do niej. Ten dobry syn żył w ścisłem duchowem zjednoczeniu z matką, jak się później przekonałem i miał w niej najbliższego przyjaciela i powiernika.

Przy pięknej pogodzie lipcowej rozpoczął się ciąg tych niezapomnianych dni Bohdanowskich, które były dla mnie jednem uniesieniem. Jednak nie wydaje mi się, żebym wówczas ocenił należycie sam Bohdanów. Dziś, gdy go znam dobrze i uważam za najpiękniejszy okaz szlacheckiego gniazda, gdy już nauczyłem się odczuwać wartość tych nielicznych naszych siedzib, oszczędzonych przez wojnę — dziś mógłbym opowiadać o Bohdanowie bez końca *). Ale wówczas byłem sam ziemianinem, mieszkałem stale na wsi we własnym domu, jadłem chleb z własnej ziemi i nie rozumiałem, by mogło być inaczej, więc w wiejskiem otoczeniu i warunkach widziałem rzecz normalną i mniej wartą uwagi, niż osoba gospodarza. Bohdanów wydał mi się dużym, ładnym starym dworem, mocno zasiedziałym i zamożnie zagospodarowanym, ale nie umiałem dostrzec, ile powagi mają jego cieniste starodrzewy, jaką szacowną kroniką pokoleń jest jego domostwo, jak malowniczo jest rzeźbiony krajobraz dokoła dworu. A przedewszystkiem nie mogłem wiedzieć, jak



FOT. J. BUŁHAK — BOHDANÓW. MIEJSCE, GDZIE POWSTAŁA „ZIEMIA"

*) Patrz książkę autora pod tytułem „Ruszczycowskie Dożynki", wydaną w roku 1935-tym.



F. RUSZCZYC

ZIEMIA (1898)
LA TERRE



FOT. J. BUŁHAK

FERDYNAND RUSZCZYC W BOHDANOWIE W R. 1911
FERDINAND RUSZCZYC À BOHDANOW EN 1911

ciasno splotło się z tą ziemią życie Ruszczyca i jego rodu, ile podniet twórczych dała mu ona w przeciągu wielu lat współżycia, jak często była dlań natchnieniem, ostoją i źródłem głębokich odczuć. Te hieroglify cudzej duszy nauczyłem się rozpoznawać dopiero z czasem, stopniowo i nieskoro, może w nagrodę za to, że poszedłem za głosem przeznaczenia, że przyjąłem rękę, wyciągniętą mi przez Ruszczyca i nie sprzeniewierzyłem się nigdy jego wskazaniom. A on uczył wiele swoim przykładem, choć całkiem mimowolnie i bez zamiaru. Najwięcej może uczył Ruszczyc *uwagi,* rozumianej jako stan skupionego moralnego postrzegania, uwagi, która szanuje to, co szczere, żywe i ludzkie i *nie pomija niczego, co warte pochylenia głowy.* Nie wiem, czy dużo skorzystałem z tych nieumyślnych lekcyj życiowych mego miłego nauczyciela, ale to wiem napewno, że bez nich byłbym popełnił jeszcze więcej błędów i niesprawiedliwości niż te, do których się dziś poczuwam.

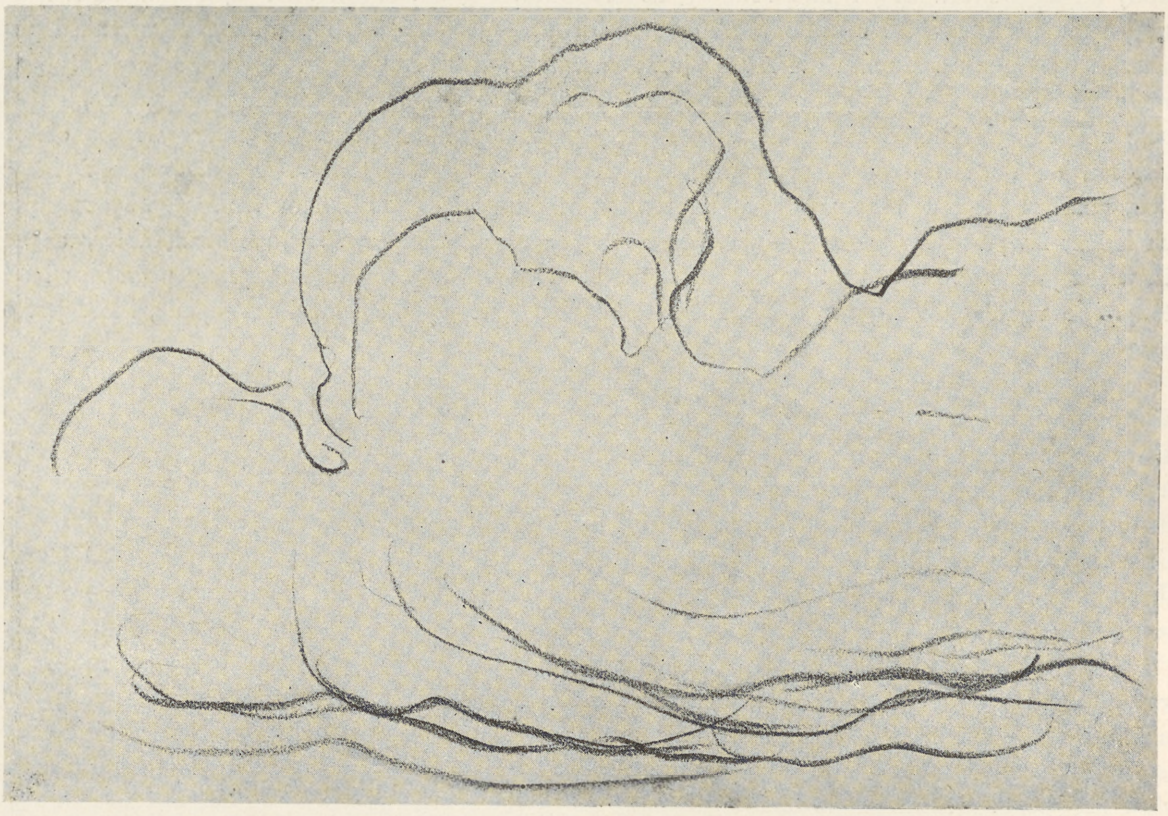
Jednak i wówczas, mimo niedokładności i rozstrzelenia mych wrażeń, zapamiętałem je, jako niezwykłe. Bohdanów był naprawdę wzorem siedziby szlacheckiej. Miał cechy patrjarchalności i gościnności, prawdziwie staropolskiej. Dom był niepokaźny, skromny, ale duży, przestronny, obliczony na wygodne wczasy licznej rodziny, domowników i gości, daleki od miejskiej wystawnej ciasnoty i taniej elegancji. Wszystko w nim miało cechy długowieczności, powolnego narastania i przeistaczania się bez uszczerbku dla rzeczy już istniejących, z zachowaniem tego, co *współżyjącem trwaniem zasłużyło już na poszanowanie,* choćby to było tylko krzywe drzewko, niepotrzebnie wyrosłe pod samą ścianą domu. Zasłużone sprzęty pamiętały kilka pokoleń i miały własne oblicze, dostosowane do charakteru mieszkańców. Dom żył stuleciami, kształtował się kolejnością żyć ludzkich, nabierał od nich duszy, bogacił się nabytkami ich pracy i pamiątkami ich losów, był rządzony ich ładem i wyczuciem tak troskliwie, że stawał się nieodłączną atmosferą mieszkańców, cząstką ich własnej istności. A oprócz tego dzięki obecności artysty, Bohdanów był nasycony powabem i prostotą piękna jakby nieumyślnego i posiadał to nieuchwytne wykończenie i zestrojenie, które jest tajemnicą stylu.

Byłem zdumiony, gdy Ruszczyc zaprowadził mię do „muru“ *), gdzie miał pracownię i pokoje osobiste i pokazał mi tam salon. Poznałem w nim odrazu „Pokój Babuni“, jego obraz, który tak ceniłem za urok domowej ciszy i intymności. Wszystko tam było zupełnie jak na obrazie, nie brakło najmniejszego szczegółu prócz chyba samej „Babuni“, do której pozowała jego matka, jak mi to powiedział z jasnym uśmiechem zadowolenia, świadczącym, że inaczej być nie mogło. Pewnie — któż inny miał stanowić uosobienie zacnego zacisza Bohdanowskiego, jak nie — „Mama“? Słowo to wymawiane było głosem przyciszonym i miękkim, w którym dźwięczało niemal dziecinne przytulenie.

Nie będę opisywał szczegółowo treści tych tych kilku dni. Wypełnione były mojem milczącem oczarowaniem, a ze strony Ruszczyca radośnem „pokazywaniem“ mi całego Bohdanowa. Ziemianin u nas pokazuje swój dom z takiem samem uczuciem, z jakiem matka pokazuje swoje dziecko. Zarówno dwór, ogród i obejście gospodarskie, jak krajobraz okoliczny uderzyły mię szczególną właściwością: giętą pochyłością terenu, pozbawioną szerszych powierzchni płaskich i równinnych. Grunt to wznosił się, to opadał, tworząc dynamiczne profile wielkich górzystości i spadzistości. Byłby w tem może pewien niepokój, gdyby one miały mniejszą skalę, ale przy dużych obszarach tego pofalowania odczuwało się w nich majestatyczną powagę i aktywną płynność. Ziemia tu nie była bierna i nijaka: uczestniczyła swoim linearnym wyrazem w jakiejś dramatycznej akcji, pełnej stałego napięcia, tak właśnie, jak to było w obrazach Ruszczyca. Ziemia i człowiek oddziaływali na siebie wzajemnie i zrastali się w jedno.

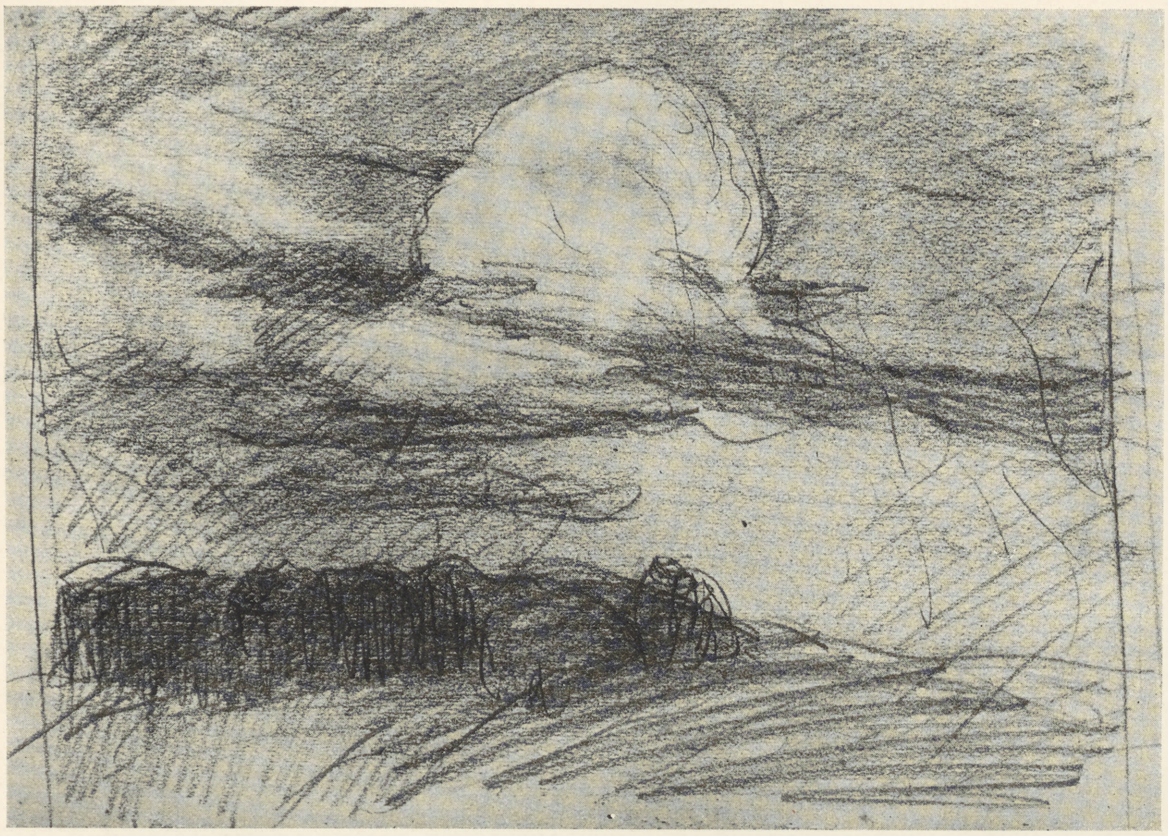
*) Drugi dom murowany, stojący opodal drewnianego, obydwa z końca XVII w.

Chodziliśmy dużo po polach, wylegiwaliśmy się w trawie zagajników i naogół zachowywaliśmy się jak żaki wakacyjne, wałęsające się bez programu wszędzie, dokąd ich ponosi lekkomyślna ochota, znajdująca na każdym kroku okazje do cieszenia się ze słońca, z lata i z życia. Ta ochota aż promieniowała z Ruszczyca. Opanowany w formach, chował ją w sobie i wyjawiał tylko dyskretnie. Ale wewnątrz było w nim nieustanne wrzenie, jakieś wulkaniczne kotłowanie życiowych sił, raźnych, uśmiechniętych do świata całą zorzą jego apolińskiej słoneczności. Sprawiała to widocznie domowa atmosfera, otoczenie i ludzie, wszystko tak mocno kochane, sprawiała to ziemia „Bohdanowska", z którą tak chętnie przebywał. Nie było dla niego nic droższego i ważniejszego, niż dom i rodzina. Chyba Wilno, ale to było jedno, nierozłączne z ziemią ojczystą. Chyba — Piękno, ale to znów było to samo. Życie dla Ruszczyca było obrazem, wykończonym do najdrobniejszej kresy i plamy: wszystko w niem było ważne i potrzebne, służące wspólnie jednemu celowi. Był on jak drzewo, pysznie szerzące się do słońca rozłożystą koroną, ale oddychające równocześnie każdą żyłką listka i każdym zwojem podziemnych korzeni.



F. RUSZCZYC. ZE SZKICOWNIKA. OBŁOK „ZIEMI"

Ogród w Bohdanowie był wielki, pełny ogromnych drzew, gęstych zdziczałych zarośli, słonecznych polanek i zagubionych ścieżek, a kończył się krętą rzeczułką w olszynie, gdzie panowała jakaś zaświatowa samotność. Ruszczyc pokazał mi tam miejsce, które posłużyło za temat do jego obrazu p. t. „Potok wiosenny", znajdującego się w warszawskiej Zachęcie. A potem poszliśmy dalej aleją wjazdową. Dwa rzędy stuletnich brzóz, szumiących na wietrze, miały w swem pochyleniu coś niespokoj-



F. RUSZCZYC SZKIC DO „ZIEMI“ (Z ODMIENNĄ LINJĄ WIDNOKRĘGU) (1898)

nie wędrowniczego, jak szereg pielgrzymów, idących w daleki świat. Być może zresztą, że nastrój ten poddała mi wiadomość, że tu właśnie powstały jego obrazy: „W świat“ i „Wychodźcy“. Napomknął któregoś dnia o tem przelotnie, nieskory do rozwodzenia się nad takiemi rzeczami. Ale ja zapamiętałem to tem łatwiej, że mi ofiarował dużą reprodukcję obrazu „W świat“ w wybornem wiedeńskiem wykonaniu z wierszem Kasprowicza, zaczynającym się od słów: „Żywicielko droga, ziemio czarna“. Odtąd nie umiałem inaczej widzieć tej alei brzozowej, jak przez pryzmat jego obrazów.

Stamtąd skierował mię ku północnej stronie i tam pokazał mi pagórek z jodłami, rysujący się na widnokręgu znajomą garbatą sylwetą. Znajomą dla każdego, kto pamiętał patetyczną linję horyzontu „Ziemi“. Popatrzył na nią. „Tu malowałem „Ziemię“ — rzekł poufnie, nawpół do siebie,— i obłok zadumy zaciągnął jasność jego twarzy, a ja odczułem wagę tego zwierzenia, ale milczałem, nie śmiejąc nawet powiedzieć, jak mię ono wzrusza. Stałem przed ołtarzem, gdzie kiedyś dopełniona została tajemnica najwyższego uwielbienia. I myślałem, że oto namalował on obraz sławny, o którym ludzie z pewnością sądzą, że przyszedł mu łatwo przy jego mistrzostwie techniki. A nikt nie wie, ile potrzeba było przedtem przeżyć z temi polami, ile wychodzić po nich w wiosenne poranki, w jesienne szarugi i zimowe zamiecie, ile trzeba było włożyć w nie przywiązania, trudu i bólu, by powołać do życia na obrazie. I znowu, jak niedawno w Mińsku wobec „Nec mergitur“, zatrzymałem się z uczuciem świętej grozy przed ciemną przepaścią tworzenia, o której tak nic nie można wiedzieć, która dotyka codziennej rzeczywistości, a tak blisko graniczy ze sprawami wiecznemi.



F. RUSZCZYC. SZKIC DO „ZIEMI“ (1898)

Świerkową aleją od podwórza folwarcznego poszliśmy wzgórzem, panującem nad doliną rzeczki Holszanki i doszliśmy do cmentarza. Ruszczyc otworzył bramkę, wprowadził mię do grobów rodzinnych, ocienionych wysokiemi sosnami i pokazał mogiłę swego ojca i inne mogiły, tłómacząc imiona i pokrewieństwo. Spoczywali tu w rodzinnej spójni jego przodkowie, jakby utrzymujący i po śmierci straż na tem najwyższem wzniesieniu Bohdanowskiej ziemi, a potomek przychodził do nich w odwiedziny i przyprowadzał obcego przybysza, którego uznał za bliskiego i wprowadził do swojego domu. Odczułem znów powagę tego gestu wewnętrznego i zadrżałem przed zobowiązaniem, jakie na mnie wkładał. Ale widziałem w nim jeszcze jedno wtajemniczenie w sprawy tego domu i przyjmowałem je z korną gotowością. Pomodliliśmy się u grobu ojca Ferdynanda, Edwarda, a potem długo patrzaliśmy przez pnie sosen, jak zdala zagubia się Holszanka wśród zieleni łąk, a wioskowe chaty rozsypują się za łąką długim różańcem. Nie powiedział mi wówczas Ruszczyc, że stracił ojca bardzo niedawno: zbyt świeże i ciężkie musiało być to wspomnienie. Pokazywał mi później portret szanownego starca o wyniosłej postawie i sędziwej brodzie, jak również inne wizerunki nieżyjących członków rodziny, a w krótkich objaśnieniach, w ruchu ręki nawet, ujmującej fotografję, był odruch rzewnego uczucia i mocnego instynktu rodzinnego. Ruszczyc dawał piękny przykład, że człowiek żyje nietylko życiem własnem, ale jednoczy się ze zmar-



FERDYNAND RUSZCZYC JAKO STUDENT UNIWERSYTETU W PETERSBURGU.
FERDINAND RUSZCZYC, ÉTUDIANT DE L'UNIVERSITÉ DE ST. PETERSBOURG.



EDWARD RUSZCZYC, OJCIEC ARTYSTY. RZEŹBA KSAWEREGO DUNIKOWSKIEGO (1902)
EDOUARD RUSZCZYC, PÈRE DE L'ARTISTE. SCULPTURE DU PROF. X. DUNIKOWSKI.



F. RUSZCZYC. SZKIC DO „ZIEMI“ W UKŁADZIE OSTATECZNYM (1898)

łymi przodkami wspólnotą pokrewieństw i przywiązań i odradza się w następnych pokoleniach, utrzymując nieprzerwaną więź tradycji rodowej.

Powiedziałem, że w murze Ruszczyc miał pracownię. Było w niej kilka obrazów wykończonych, o których zachowałem trwałe wspomnienie, ale sztalugi były puste, pendzle i przybory malarskie pochowane i nic nie znamionowało jakiejś pracy w toku. Przekonałem się wkrótce, że cały dorobek pejzażowy Ruszczyca był już wtedy po za nim, i że odtąd żaden większy obraz nie został przez niego namalowany. A od dawnych przyjaciół Ruszczyca słyszałem, że nikt nie widział go nigdy przy robocie, jeśli był zajęty któremś ze swych wielkich płócien. Pracował wtedy w zupełnem odosobnieniu, nie dopuszczał widzów do procesu powstawania, zanim nie mógł pokazać dzieła skończonego. I to zdawało mi się zrozumiałem u artysty, dla którego pejzaż był czemś więcej, niż estetyczną rozrywką. Przy całej skromności Ruszczyc był całkowicie świadom swych sił i zadań, więc pełen poczucia powagi i odpowiedzialności; musiał przeto traktować swą pracę, jak tajemniczy obrzęd obcowania z naturą i z Bogiem. Wiedziałem od Wierzyńskiego, który mieszkał z Ruszczycem dłużej we Włochach pod Warszawą,w okresie jego największej aktywności malarskiej, że obrazy Ruszczyca były nieraz malowane jednym tchem, jako wynik ogromnie intensywnej pracy i wielkiego majsterstwa. Więc domyślnie odtwarzałem przebieg pracy w ten sposób: pomysł obrazu powstawał w nim jako zakończenie pewnego okresu odczuć, podpatrzeń i przemyśleń; chwila jasnowidzenia kładła kres ich dojrzewaniu i oblekała je w ciało plastyczno-barwne, zrodzone od-

razu w najwyższym akcie twórczym, bez wahań i błąkań. Wizja doznana wylewała się w formę fizyczną z rozpędem wichru i z potęgą burzy. Obraz rodził się, stawał i był gotowy do życia. Nic więc dziwnego, że tego widzieć nie było danem nikomu: chwile o takiem napięciu duchowem nie mogą mieć świadków.

Myślę, że nie bez związku z tem samotnictwem była i tematowość obrazów, nie zawierająca postaci ludzkich w podaniu realistycznem, anegdotyczno-rodzajowem, a stosunkowo rzadko godząca się nawet na oddalony, szkicowy sztafaż. Akcja w dramatach pejzażowych Ruszczyca przypadała elementarnym siłom przyrody, wcielonym w barwy i kształty. Tylko w „Wychodźcach“ i w „Dożynkach“ znalazłem większe ugrupowanie postaci ludzkich i tylko w ostatnich fabułę zaznaczoną i zróżnicowaną. A i ta była traktowana plamowo, jako akcesorja pomocnicze i celowo pozbawiona precyzji. W innych obrazach, jak „Ziemia“, „Ballada“ sztafaż był jeszcze oszczędniejszy i jeszcze bardziej stonowany. Większość zaś pozostałych pejzaży, to upostaciowanie samej przyrody, panującej niepodzielnie i przemawiającej władczo za siebie i za człowieka. Ta predylekcja do motywu bezludnego staje się zrozumiała po wniknięciu w psychikę pejzażysty. Obcuje on z człowiekiem niechętnie, bo ten częściej staje w poprzek jego zamierzeniem, niż się z niemi zespala. Pejzażysta łatwiej odnajduje uczucia ludzkie i własne na obliczu ziemi i tam je odczytuje swobodnie, nieskrępowany obecnością natrętnych świadków. Ludzie raczej przeszkadzają artyście w tajemnem obcowaniu z niezmiernem pięknem natury, i to obcowanie jest najowocniejsze i najczystsze, gdy artysta pozostanie sam na sam z ziemią. Wszelkie akty uwielbienia odbywają się samotnie.



F. RUSZCZYC — SZKIC DO „STARYCH JABŁONI“ (1900)



F. RUSZCZYC

ZIEMIA (1898)
LA TERRE



F. RUSZCZYC W ŚWIAT (1901)

Obrazy wykończone pokazywał Ruszczyc bez niechęci, ale z pewnym odcieniem obojętności, jak rzeczy, od których się już uczuciowo odeszło. Nigdy przytem nie prowadził rozmów fachowych, nie opowiadał, jak inni malarze, o widzianych motywach, które chciałby malować, nie zagłębiał się w subjektywne arkana rzemiosła plastycznego. Jeśli chciał podzielić się z kimś wrażeniem, które go cieszyło, co zresztą wydarzało mu się nieczęsto, wówczas czynił to gestem ręki i przymrużeniem oczu i dopowiadał krótkim wykrzyknikiem. „O! właśnie, to jest takie... O, takie właśnie!" i dłońmi wzniesionemi czynił jakieś tajemnicze passy w powietrzu. A o dawnych swoich obrazach nic nie mówił: były dla niego już odświętowanemi godami, już dopełnioną służbą, już odmówioną modlitwą, a nowych, mimo swego czujnego widzenia przyrody, nie przewidywał, porywany coraz bardziej w wir innych prac i zamierzeń.

Trzy obrazy z jego pracowni utkwiły mi wówczas w pamięci i stały się przedmiotem długiego obcowania w chwilach, gdy mieszkając w murze obok, pozostawałem sam. Były to „Jabłonie", „Brzegi Wilejki" i „Dożynki". „Jabłonie" na jednem płótnie przedstawiały zwikłane pnie i konary,



F. RUSZCZYC STARE JABŁONIE (1901)

pokręcone w jakimś szale rozrostu i wijące się do góry sprężonemi ramionami, a na drugiem były grona zielonych jabłek krągłych, jędrnych, nasiąkłych sokami ziemi, wprost krzyczących o jej błogosławionej płodności. Było jasnem, że jabłka wydała ta sama brunatna „Ziemia", uwieczniona apoteozą chmur, od której zaczął Ruszczyc, niby nowożytny Anteusz, stwarzanie swego mocarstwa.

Te jabłka łącznie z innemi dostrzeżeniami pomagały mi kreślić dalej portret Ruszczyca. Miał on głęboki sentyment dla płodów ziemi, sentyment, któryby można nazwać piastowskim, tyle w nim było kmiecego miłowania żywiącej roli. Kłosy i kwiaty, liście i owoce miały dla niego symboliczność tajemnych bóstw ziemi. Lubił je i pieścił myślą i wzrokiem, odtwarzał pendzlem i ołówkiem, nadawał im istotność mocną i wyrazistą, dochodzącą do potęgi żywiołu. Kochał wdzięk młodych wiosennych obietnic i pyszny dosyt letniego dokonania. Zapełniał szkicowniki rysunkami liści, gałązek i kwiatów, a szczególnie kwiat jabłoni był przedmiotem jego nieskończonych studjów. Wzruszały go pączki i zawięzie, unerwienie listowia i ząbkowanie jego obwodu, a ule brzęczące pszczelim gwarem i przelewające się miodem i woskiem, synonimy najdrzewiejszego sielskiego bogactwa, budziły w jego duszy jakieś pogańskie wielbiące echa. Pochwalał rozrodczą tężyznę natury, wyrastanie konarów, rozwijanie się pąków listowia, a w każdym objawie ludzkiego żywota, w każdym etapie przyrostu duchowego widział, jak w ewangelicznej przypowieści — pokrewne odbicie tamtych zjawisk przyrodzonych. Wpatrzony w gwiazdy ponad głową, nie zapominał o glebie pod swemi stopami i całą swą istotą tkwił w jej elementarnem bytowaniu. Dlatego tak bliski był mu i pejzaż, i Bohdanów, i wiejskie Wilno i polna nasza Polska. Kochał prężność i soczystość życia, jego obfitość i pełnię, kochał ziarna i nasiona, polne kwiaty i ciężkie, chrzęszczące wieńce zbożowe. Miał dla nich poszanowanie człowieka pierwotnego, wiecznie zdumionego cudem natury i pochylającego się kornie nad jego tajemnicą.

Kochał się nawet w dźwiękowej postaci takich pojęć, jak kwiat, drzewo, wiosna, młodość i wymawiał je z poufnym, serdecznym naciskiem, w którym wibrowało zachwycenie, gorejące w tej duszy, jak wieczna lampa przed świętym ołtarzem. Słowa te były w jego ustach melodją i — wy-

znaniem. Wstydliwem wyznaniem miłości i wiary, zdziwionej, że nie jest powszechną i że musi szukać współwyznawców. Przelotność i niedopowiedzenie tego wyznania uzupełniały oczy, płonące mistycznym entuzjazmem.

Ale zupełnie inaczej wymawiał to, co dotyczyło ludzkiego świata wewnętrznego. Wtedy renesansowy poganin przeistaczał się w średniowiecznego rycerza — krzyżowca. Słowo „ojczyzna", „cześć", „poświęcenie" rzadko bardzo wychodziło z jego ust, ale jeśli już zostały wypowiedziane, to w tonie powagi i skupienia, nieledwie surowego. Były wymawiane z największą powściągliwością, jakby należące do sfery *świętości niewymownych*. Głos jego wtedy przycichał, nabierał akcentów ukrytej dynamiczności i mówiący jakby prosił słuchacza o wybaczenie, że poucza o rzeczy tak oczywistej i nie wymagającej tłómaczenia.



F. RUSZCZYC WYCHODŹCY (1902)

Rozmiłowaniu w żywych tematach roślinnych pozostał wierny do końca. Nawet ostatnie, przedśmiertne jego prace malarskie pastelami *lewą ręką* wykonane w roku 1936-tym, to wiosenne rozkwitłe bzy z przed ganku w Bohdanowie i kwitnące w sadzie jabłonie. Ostatni rysunek jego chorej ręki, jaki mi stamtąd przysłał — to wieniec laurowy z trzydziestką w środku, jako życzenia z powodu mego jubileuszu. Życie rośliny i drzewa było jego wysoką radością, przedmiotem ciągłego wżywania się w odwieczny porządek ziemi: odtwarzał je w stylizowanych ornamentach na swoich niezliczonych rysunkach, szczodrą ręką rzucanych Wilnu przy każdej sposobności i czynił to z rozkoszą i pasją. Kochaniu życia dawał wspaniały wyraz plastyczny i *w tym zakresie aż do końca swoich dni nie przestał być czynnym malarzem,* pełnym świeżości i mocy. Dużo mi o tem opowiedziały te jabłonie w moich ówczesnych rozmyślaniach Bohdanowskich.

Od „Jabłoni" przechodzę do innych obrazów. „Brzegi Wilejki" — to była pospolita, dobrze wszystkim znana szluza w Nowej Wilejce pod Wilnem, zagradzająca drogę i tworząca szeroki rozlew wodny. Pospolita w naturze, była potężna na obrazie. Mam go przed oczami, jakby dzisiaj. Rozlane wiosenne wody podmywają wzgórza, z których spełzają ostatnie płaty marcowego śniegu.

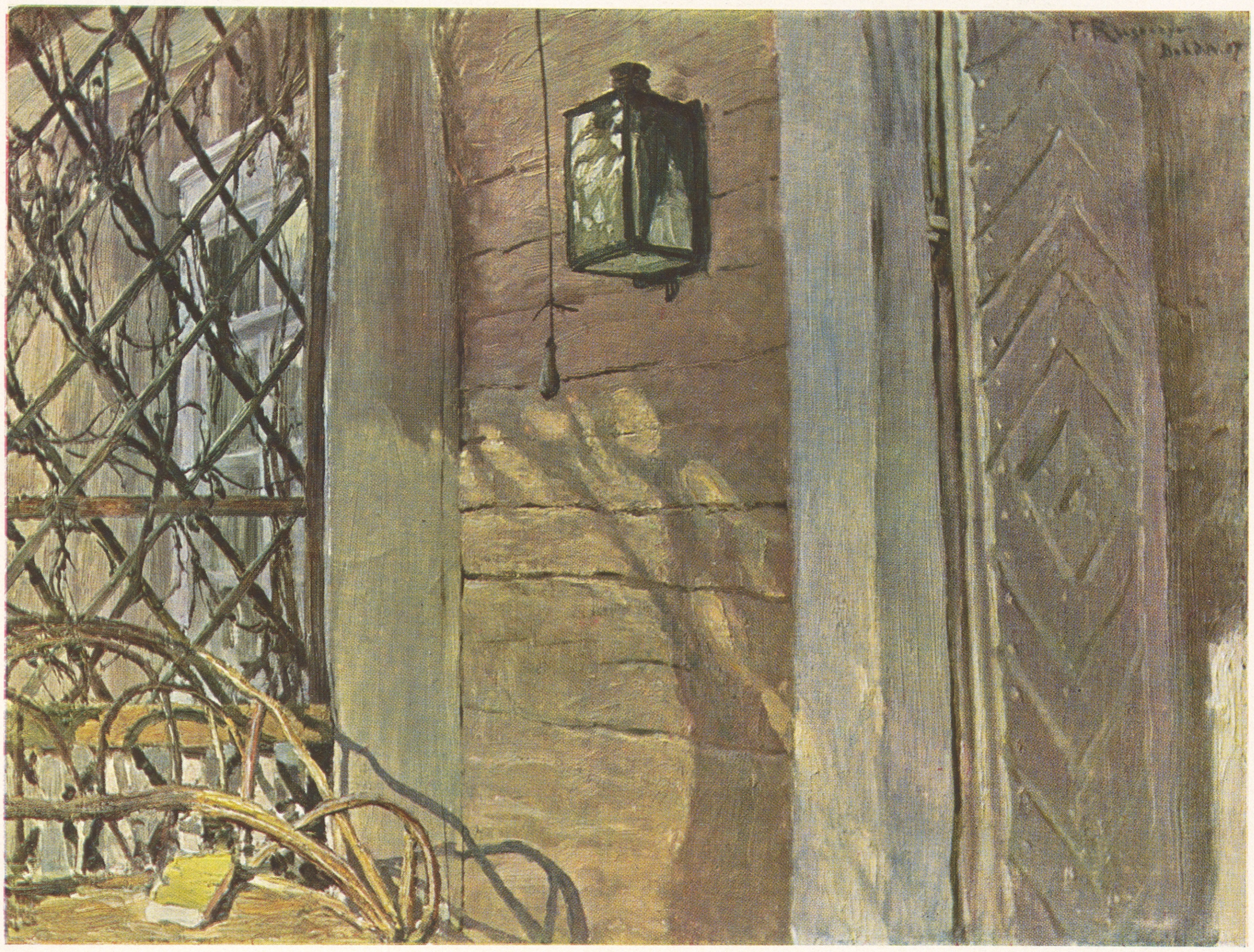


F. RUSZCZYC BRZEGI WILEJKI (1901)

Wątły mostek w głębi wygina się gąsieniczym podrzutem, na pierwszym planie kaskada powodzi pieni się, napiera, zdobywa szluzę i ze wściekłym impetem toruje sobie drogę naprzód, oniemal prosto na widza. Woda zdaje się być żywem jestestwem, tyle w niej szumnej potęgi i młodego, szczęsnego rozmachu.

A wreszcie — „Dożynki", przepysznie kolorowe, mieniące się łuną rozjarzonych ognisk, rojne postaciami tańczących par, co zastygły w chochołowej obrzędowości jakichś pogańskich sobótek. Znowu elementarny zew ziemi wybucha z każdej plamy obrazu. Pod rozwiesistą brzozą, u stołów starsi pogadują i drzemią, a na skłonie pagórka stłoczoną młodzież porywa wir godowych pląsów. Na twardym obrysie widnokręgu, na tle bledniejącego nocnego nieba odcinają się dwie pary konturami swawolnych wywijasów, a nad całą gromadą unosi się powiew sakralny, płynący z ziemi i z nieba. Z ziemi, co oddała ludziom plony lata i z matczyną pobłażliwością przygląda się igraszkom swoich siewców i żniwiarzy. Z nieba, które ponad zwartym parasolem czarnej sosny zaczyna prześwitywać zorzą poranka i roztapia trwanie krótkiej nocy w seledynach i szafirach wschodu. Na dole jeszcze płoną czerwone ognie dożynek, a już na niebie odbywają się nowe dziwy świetlne. Złote i różane pasemka przewijają się między drzewami i zapowiadają bliskie przyjście słońca. Przełomowa chwila świtania wspaniałem zmaganiem się dnia i nocy podkreśla potęgę wiecznych żywiołów *).

*) Opisuję treść tego obrazu szczegółowiej, gdyż on już prawdopodobnie nie istnieje; został zatracony w Mińsku w czasie inwazji bolszewickiej.



F. RUSZCZYC

BLADE SŁOŃCE (1907)
SOLEIL DE PRINTEMPS



F. RUSZCZYC DOŻYNKI (1903)

Nigdy może jeszcze nie doświadczyłem przed obrazem tylu wzruszeń, ile ich doznałem w te ciche wieczory w Ruszczycowskiej pracowni, gdy gospodarz i goście, zajęci chwilowo gdzieindziej, dawali mi możność spokojnego przyglądania się. Nie wyobrażałem sobie poprostu, by można było farbami wyczarować na skrawku płótna taki olbrzymi świat najważniejszych spraw życia. Znałem przecież malarstwo polskie nienajgorzej, nieobce mi były w oryginałach dzieła naszych mistrzów pejzażu, którym szczególnie interesowałem się. Ale tam było co innego. Tamte obrazy, choć piękne i sugestywne, nie przemawiały do mnie z taką mocą. Pokazywały jakiś ułamek rzeczywistości, dawały jakieś pojedyńcze wrażenie, odczute i odtworzone, ale ten moment nie wykluczał możliwości istnienia obok niego wielu podobnych. *Nie był unikatem,* nie stanowił ostatniego słowa, był oddaniem kolejnego przeżycia, jakich mogło być wiele, jak wiele bywa warjacyj muzycznych na ten sam temat. Obrazy innych malarzy dawały wzrokowi rozkosz, a myśli miłe odpocznienie. A dzieła Ruszczyca budziły jakiś twardy i szorstki niepokój, grozę, olśnienie, bo był w nich cały świat, bohaterska wielkość idei wcielonej, żywiołowa potęga i — *niepowtarzalność.* Podkreślam, że kiedy poznałem bliżej twórczość plastyczną Ruszczyca, uderzyła mię jej niepowtarzalność tematowa, przy stałej, uporczywej powtarzalności ideowej. Malując coraz inne obrazy, mówił on przez całe życie

o jednem. A mówiąc rzeczy najważniejsze, nie opowiadał, nie interpretował, lecz — płomieniał, wybuchał, stwarzał i rzucał na kolana przed wielkością.

Zauważyłem przytem, że budowa obrazu Ruszczycowskiego, pomimo całego bogactwa kolorystycznego, była raczej surowa i oszczędna, wyzbyta z wypieszczonej gładkości i sumiennego realizmu, które przywykłem uważać za normalną cechę pejzażysty. Gama barwna jego plam była głęboko nasilona, świetna, pełna miąższości, to oparta na mocnych przeciwstawieniach i wtedy lubująca się w tonach zimnych, groźnie majestatycznych, to znów — łagodna i pogodna, przeduchowiona, nieledwie zaświatowa w jaśnieniu tonów subtelnych i wiotkich. Ale ten drugi rodzaj był rzadki: przeważały tony minorowe, organowe brzmienia dramatycznej wzniosłości. Ruszczyc był mocarzem techniki i nie było dla niego nic niemożliwego w tej dziedzinie. A jednak — mistrz ujawniał się w samoograniczeniu: nie położył ani jednej plamy zbędnej, nie raczył uwzględnić ani jednego szczegółu przypadkowego, brał z widzialności tylko minimum konieczne dla wyrażenia swej myśli i to minimum tak stężał i wyogromniał, że z przedmiotu-konkretu czynił twór nowy, wcielenie idei własnej, przewyższające rzeczywistość o całą przepaść, jaka dzieli *objawienie od opowieści.* A w środkach, prowadzących do tego, był nieubłaganie surowy i prosty. Surowość ta godziła się z jednolitym charakterem artysty, a odpowiadała materjalnemu procesowi tworzenia, jak go tu domyślnie naszkicowałem. Powściągliwość wymowy plastycznej nadawała jego dziełom w wyniku ostatecznym patetyczność i moc czasem aż przerażającą i trudną do zniesienia, jak pęd huraganu. A wzmagała ją nowość, niepowtarzalność, czyniąca dzieło samoistnem, niepodobnem do innego, z niczem nieporównanem. Każdy obraz Ruszczyca był *jedynym,* miał byt pełny i odrębny, ponieważ stanowił *epokę* w życiu artysty, streszczał lata serdecznego trudu wyznawcy, a nie godziny przyjemnych wrażeń wirtuoza. Dawał nietylko rozwiązanie zagadnienia malarskiego, przeprowadzone z niemylną trafnością, ale równolegle — przynosił rozstrzygnięcie problemu psychicznego, spowiedź duszy czujnej i gorącej, wyjawienie filozoficzne spraw ziemi i życia. Patos jego nie był emfazą postawy przybranej, lecz szczerym wskaźnikiem napięcia uczuciowego, uroczystem stwierdzeniem tego napięcia, jak uśmiech ekstazy, w którym trudno odróżnić rozkosz od boleści. Obrazy jego tchnęły patosem bohaterskim i mistycznym, nie tracąc jednak nic ze swej surowej prostoty. Taki sam był w mowie. Wystrzegał się wyrażeń kwiecistych, obniżających powagę treści. Słowo uroczyste wyrywało mu się w rzadkich chwilach, natychmiast tłumione i sprowadzane do definicji ścisłej lub żartobliwej. Miał zawiele smaku, by pozwalać sobie na deklamację, dlatego cały żar i moc *istotnego patosu* wewnętrznego wcielał w swe działa plastyczne.

Niełatwo przychodziło sondowanie tych głębin nowicjuszowi, mało przygotowanemu do poznawania cudzej duszy i napotykającemu we własnej tyle chaosu. Wiele z tego, co podaję za wrażenia z Bohdanowa, musiało narosnąć we mnie i zaokrąglić się do kształtów uświadomionych znacznie później. Ale początki tych dociekań datują się od owego czasu; odrazu nęciło mię pracowite wgryzanie się w te nieznane obszary twórczości, do których prowadziły ścieżki mało widoczne, strome i kamieniste. Czasami zdawało mi się, że ślady ich gubią się zupełnie, że trzeba będzie błąkać się pociemku lub całkiem nawrócić z drogi. Stawało się bezradnie przed tym Ruszczycowskim Monsalwatem. Jego wyniosła surowość była poważną trudnością dla widza, nawykłego do innych poziomów i spotykającego po raz pierwszy podobne zjawisko. Trzeba było przezwyciężać w sobie otrząsy naiwności i wygodnictwa, zagłuszać protesty zdawkowego estetyzmu, dźwigać się mozolnie w górę — i dopiero wtedy — jakby w nagrodę za wysiłek — wstępowało się zwolna do groźnie pięknego przybytku Ruszczycowskiego świata.

. . . .

Fotografowałem w Bohdanowie oczywiście dość dużo, usiłując wypowiadać plamami to, czegobym słowami nie potrafił. O słowa nie kusiłem się nawet, wiedząc z wielu poprzednich doświadczeń, jak są one dalekie od pierwowzorów uczuciowych. Dopiero w dwadzieścia lat później, po zgruntowaniu możliwości fotograficznych, zdecydowałem się powrócić do słowa i szukać w niem na odmianę środków, uzupełniających plastykę. Ale wtedy aparat był nieodstępnym towarzyszem naszych wczasów. Wierzyński podżartowywał, patrząc na moje fotograficzne podrygi, że odstawiam pejzaże, jak wyżeł kaczki, a Ruszczyc chociaż powstrzymywał się od podobnych komentarzy, ale wzrokiem i uśmiechem zachęcał mię do roboty i cieszył się z niej w duchu.



F. RUSZCZYC OKŁADKA DO „ŻÓRAWCÓW"

Chwilami bawiliśmy się jak dzieci i do zabawy zaprzęgaliśmy także aparat. Zachowałem do dziś wizerunek Wierzyńskiego w białym, niby więziennym płaszczu na piwnicznem tle ciemnego korytarza z miną dożywotniego skazańca. Kiedyś znów przy rannem wstawaniu przyoblekliśmy Ruszczyca w królewską purpurę starego wyświechtanego koca i pozowaliśmy go na Bolesława Śmiałego, a potem na króla wikingów. Z tych improwizacyj historycznych nic nie wyszło, ale jego głowa w profilowym zwrocie wypadła niezgorzej i dała mi jeden z lepszych portretów Ruszczyca, jaki posiadam w zbiorze. Pokoje Bohdanowskie nastręczały wiele tematów do zdjęć, gdyż były nacechowane artystycznym ładem i smakiem gospodarza, który z błyskawiczną orjentacją inscenizatorską odgadywał moje intencje i ułatwiał ich wykonanie w naturze. A tymczasem dokoła, we dworze, szło pracowite życie wiejskie niezmiennym trybem, zwożono koniczynę, zabierano się do wczesnych w tym roku żniw. Ruszczyc nie wtrącał się do szczegółów gospodarskich, ale nie omijał żadnej sposobności, by pogawędzić z czela-



F. RUSZCZYC OKŁADKA DO „GRUNWALDU"

dzią, uśmiechnąć się do służby i rzucić mimochodem jakieś dobre słowo. Traktował każdego z przychylnością i wyrozumieniem i wywoływał nawzajem oznaki sympatji. Był szczerze lubiony przez całe otoczenie. Zawdzięczał to swojej dobroci i ludzkości: w każdym widział żywego człowieka, mającego własne radości i cierpienia, dostrzegał je i uwzględniał z iście braterskiem odczuciem. Ale najpiękniejszy był jego stosunek do matki. Swoje czterdzieści lat męskiego wieku miał dla całego świata, ale nie dla niej. Przy niej stawał się dzieckiem, przychodzącem do matki z każdym uśmiechem, z każdą troską i nie rozumiejącem życia inaczej, jak z nią na pierwszem miejscu. Niepodobna było patrzeć bez wruszenia, jak ją prowadził do stołu i podsuwał jej krzesło, a kiedy po przyjeździe dałem mu kilka najnowszych fotografij, zgarnął je szybkim gestem i zawołał ze ślicznym młodzieńczym odruchem: „Chodźmy do mamy!".

Szczęśliwe dnie mijały niepostrzeżenie i tylko czasem myślałem z trwogą, że wkrótce skończą się te „wakacje duszy" i trzeba będzie znowu spotkać oko w oko codzienną rzeczywistość. A ta rzeczywistość siłą wieloletniej inercji ciążyła nademną przemożnie, i wprawiała mię w stan nieznośnej rozterki. Zdaleka przypominała mi, że niebawem stąd wyjadę, obrazy Bohdanowa zbledną, a znów, jak ciemne chmury, powrócą pytania nierozstrzygnięte, trudności nieprzebyte... Szliśmy właśnie wieczorem we dwuch drogą polną, jeszcze mokrą po przelotnym deszczu, i ja milczałem, zaprzątnięty swemi troskami. Ruszczyc spojrzał na mnie parę razy badawczo, choć nieznacznie, ale potem zatrzymał się na mnie wzrokiem tak przyjaznym i współczującym, że wywołał we mnie bezpośredni odruch szczerości. „Panie Ferdynandzie, zawołałem z rozpaczliwą determinacją, stawiając wszystko na jedną kartę — może wydam się panu śmieszny, ale proszę mi powiedzieć otwarcie: czy ja jestem artystą? czy przynajmniej mogę stać się nim kiedyś? bo jeśli nie, to doprawdy nie warto żyć..".

Nie uśmiechnął się. Owszem — spoważniał. Popatrzył mi w same oczy długo i serdecznie, a razem jakby trochę smutno. Wreszcie powiedział ścicha: „Poco panu słowa? Czyż pan nie czuje tego w sobie? W tem wszystkiem, tu naokoło, co nas otacza i czem tak mocno żyjemy... obydwaj... Poszliśmy w służbę, w której niema spoczynku ani zwolnienia... Ale właśnie dlatego... „Tu urwał i powtarzał swoje ulubione „właśnie" ze szczególnym akcentem, co robił zawsze, gdy chciał czemuś przytwierdzić w głębi przekonania. A kiedy mu chciałem wyłuszczyć powody moich zwątpień, uprzedził mię i zaczął tłumaczyć, że te niepewności przeżywa każdy artysta, jeśli jest rzetelny i dużo od siebie wymaga. Mówił z powagą starszego brata, nie tając przeciwności, jakie mogę spotkać na



F. RUSZCZYC

KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO NA MAJESTACIE
LE ROI LADISLAS JAGIEŁŁO



F. RUSZCZYC

KARTA TYTUŁOWA „ŻÓRAWCÓW"
ILLUSTRATION DU LIVRE „ŻÓRAWCE"

nowej drodze, lecz utwierdzając mię w przeświadczeniu, że wybrałem ją słusznie. Opowiadam to dość długo, a Ruszczyc rzekł wtedy może tylko kilka słów, bo nigdy nie mówił wiele, ale w tych krótkich słowach zawarł wszystko, czem może wesprzeć nowicjusza dobry przyjaciel i mądry nauczyciel.

Tegoż dnia otrzymałem od niego dwie książki z owych jego wydawnictw, drukowanych na „najdroższym, bo na wekslowym papierze“, jak lubił mawiać, książki, niedawno wyszłe w świat z jego ilustracjami i ozdobnikami. Były to „Żórawce“, duży tom zbiorowy wileńskich poetów, literatów i muzyków, i „Immortele“, wybór wierszy i myśli Słowackiego. A Wierzyński ofiarował mi swoje „Wspomnienia wielkich dni“ o obchodzie grunwaldzkim, również przez Ruszczyca zdobione. Wszystkie trzy były wydane w Wilnie w tym samym pamiętnym dla mnie roku 1910-tym i stanowiły *pierwsze próby Ruszczycowskiej grafiki książkowej*. Czułem się dumny i szczęśliwy z ich posiadania i zaraz tejże nocy przewertowałem je do ostatniej stronicy. W „Grunwaldzie“ znalazłem rysunek piórem „Król Władysław Jagiełło na majestacie“, który mię ucieszył podwójnie, bo przypomniał mi, że widziałem na Zarzeczu jego oryginał, zaczęty przez Ruszczyca, i że już wówczas uderzyła mię wspaniałość tronowego baldachimu nad królem w postaci olbrzymiego pióropusza. „Żórawce“ miały niezwykle piękną okładkę z lecącym żórawiem. Okładka ta, świetnie zreprodukowana sposobem mezzotinty przez wiedeńskie zakłady graficzne Löwy'ego, stanowiła prawdziwy obraz. Były tam w potężnym skrócie tylko trzy plamy, lądu, wody i ptaka z szeroko rozpiętymi skrzydłami — trzy elementy, wyrażone mocno najmniejszą ilością środków technicznych: ciężko leżały widziane z góry obszary czarnego lądu, pozębione w twarde cyple i zatoki, przeświecała odblaskami dziwnych świateł opływająca je woda, a nad niemi, wysoko w niebie, szybował ogromnym rozmachem skrzydeł żóraw-wielkolud, symbol wieszczej tęsknoty. Czy nie była to modlitwa artysty do tego Boga, co „lubi huczny lot olbrzymich ptaków i rozpętanych koni nie kiełza?“... A wewnątrz książki wdzięczną niespodziankę, jakby przejście od organów do klawikordu — drugą strunę Ruszczycowskiej liry — przynosiły kolorowe rysunki motywów z Włochów pod Warszawą, niewypowiedzianie delikatne i nikłe w jasnych tonach pastelowych. A wreszcie — kłosy. Pięć motywów zdobniczych, improwizowanych z kłosów w sposób niebywały, właściwy tylko temu piewcy „Ziemi“. Kartę tytułową stanowił napis, wykwitający z dwuch tęgich kłosów jęczmiennych, wąsatych i strzępiastych, jak bajeczne stwory, rzuconych na czarne tło z jakąś rozkochaną ochotą. Dalej inne lżejsze interpretacje zawsze tych samych kłosów z dekoracyjnie wydłużonemi ościami, na jednym rysunku przeobrażały się w struny i tworzyły prześliczną, jedyną w swoim rodzaju lirę. Lira szeleściła złotostrunnie i odsłaniała tajemne zakątki zrostów Ruszczycowskich z ziemią, na które patrząc, myślałem z nabożną obawą, czy to jest możliwe, by to wszystko działo się nie we śnie, lecz naprawdę, żebym jutro miał tak poprostu ujrzeć tego wielkiego poetę ziemi i obcować z nim, jak równy z równym?...

A przecież i to jeszcze nie było wszystko. Za „Żórawcami“ szły „Immortele“ i te tworzyły jedną barwną symfonję. Cała książka była pomyśleniem jednolitem w stylu i tonie, nie wyłączając papieru i oprawy. Kremowa płócienna okładka ze złotym napisem otwierała się na przepyszną pomarańczową złocistość wnętrza, które jaśniało taką radością, z jaką przebija się letnie słońce przez ciepłe żółte firanki. Trzeba wiedzieć, że Ruszczyc miał w grafice dwa ulubione kolory: jeden głęboki, szafirowo-granatowy, tchnący powagą i zadumą, i drugi — słoneczny, pomarańczowo-złoty, rozśpiewany, wezbrany uniesieniem szczęścia. Ten zwłaszcza ostatni był mu najmilszy i później w drukarstwie wileńskiem nazywał się krótko — kolorem Ruszczycowskim. Więc i wewnętrzna okładka była utrzymana w tym jarzącym kolorze, soczystym, jak dojrzałe owoce słonecznej Italji, a cała księga, złożona ze szlachetnie ciepłego papieru kremowego, miała każdą stronicę tekstu obra-



RYSUNKI F. RUSZCZYCA

WILNO NAKŁAD KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO

1910.

mioną pomarańczową otoczką gałązek mimozy, wdzięcznie zaplecionych. Słowacki i mimoza — jakie wnikliwe podpatrzenie i zobrazowanie! W tekście było dwanaście rozdziałów Juljuszowej myśli, poprzedzonych tyluż nagłówkami rysunkowemi ze zwięzłą kreskową treścią, która łączyła najwyższy poziom graficzny z ideą, sharmonizowaną z tytułami rozdziałów. Rozdział „Bóg — Religja" miał ciemne, gwiaździste niebo, „Duch — Serce" — płomieniste spirale wznoszące się wzwyż, jak ofiarowanie biblijne, „Natura — Piękno — Poezja" — krzak kwitnących róż na cierniowem kratowaniu, „Radość — Smutek" — skłębiony obłok ze wspartą na nim tęczą, nakoniec rozdział „Ziemia — Ludzie" miał przecudowny rytm kłosów zbożowych, przewijający się i wirujący z wybuchową bujnością. A na to bogactwo wyrazu składała się niesłychana prostota i oszczędność



FOT. J. BUŁHAK — NIEBO W BOHDANOWIE

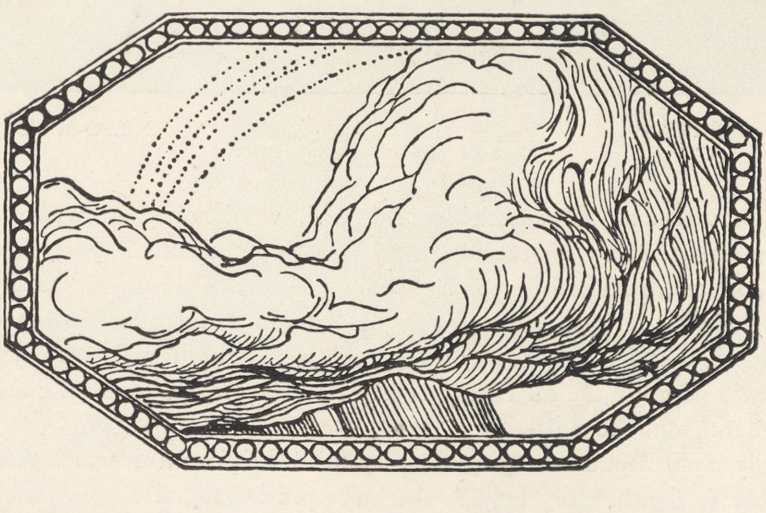
kresy graficznej, oczyszczonej z wszelkiej nieistotności, wzniesionej do wyżyn idei czystej. Myślę, że dzieła Słowackiego nigdy jeszcze nie miały takiego ilustratora i takiej szaty zdobniczej i jestem przekonany, że te „Immortele" można byłoby pokazać z dumą na każdej wszechświatowej wystawie pięknej książki. A jednocześnie wiem, że bardzo mało mówiono o nich w swoim czasie i w Wilnie i w Polsce, a dziś — słuchanoby o nich, jak o żelaznym wilku, bo dziś już nikt nie pamięta, albo i nie wie poprostu, że taka książka istniała. Hojnie, po pańsku rzucał Ruszczyc perły swego talentu pod nogi publiczności.

Sam on wtedy mało zajmował się swemi pracami i książkami i wolał pokazywać mi zbiory i pamiątki rodzinne w domu, który był ich skarbnicą przebogatą, albo też widoki Bohdanowa i okolic w naszych częstych wędrówkach. Cieszył się po dziecięcemu z odnajdywania miejsc, szczególnie ciekawych i budzących wspólne odczuwania, zachowywał na pewne chwile jakieś malownicze niespodzianki, by mię olśniewać i znęcać się nademną nadmiarem piękna, jakie nastręczał krajobraz okoliczny. Piliśmy te słoneczne wakacje pełnemi garściami, jak chłopaki na wagarach, zło-

piący źródlaną wodę prosto z krynicy. Czuliśmy się szczęśliwi młodą i żywą beztroskliwością artystów i dzieci. Gdy Ruszczyca spotkało coś miłego w domu, biegł dzielić się tem z matką, po za domem przeżywał niejedno z drugą swoją matką, z ziemią Bohdanowską. A mnie przypadło w udziale być świadkiem tego podwójnego szczęścia synowskiego.

Prawdziwe święto ziemi mieliśmy któregoś wieczoru, gdy przeleciała gwałtowna burza letnia, niebo napiętrzyło się barokową architekturą sinych, śnieżystych i płowych obłoków, a te zaczęły staczać ze sobą gigantyczne podniebne boje. Wyszliśmy wszyscy po za dwór w stronę toru kolejowego, skąd widziało się graniczne dworskie przysady, sklepione zielonemi kopułami. Bukiety klonów pięły się na górę pokrętnym szeregiem, a nad nimi rozegrywało się patetyczne widowisko, epilog niedawnej burzy. Rozżarzały się dołem jakieś pożarne, rudopłowe smugi, wyżej przelewały się zwały posępnych stalowych chmurzysk, a nad niemi wykwitała plastyczna biel kumulusów, pokreślona lotnemi pasemkami uciekającej czerni i błękitne prześwity nieba, uśmiechnięte czarowną obietnicą. Długo podziwialiśmy te odcienie barw i przemiany obłocznych kształtów, nie będąc w stanie oderwać oczu od nieba, które zdawało się wysilać, by pokazać wszystką swoją moc i wspaniałość. Nie mogłem powstrzymać się od żartobliwej uwagi, że widocznie niebo w Bohdanowie jest inne, niż na całym świecie i popełnia plagjaty z obrazów, jakie się znajdują w tym dworze, albo też może istnieje między niebem i dziedzicem jakieś tajemne porozumienie, wyzyskiwane na przyjazd gości, by ich olśnić, ogłuszyć i unicestwić. A wtedy Ruszczyc zajaśniał najszczerszą radością i przyświadczył mojej uwadze, jako wierutnej prawdzie. Bo zresztą to niebo było naprawdę jego własne, wypatrzone i miłośnie przeniesione na płótno, bo to całe piękno otaczające było w nim roztopione tak samo, jak on był w nie sercem i duszą wrośnięty. Więc cieszył się z mojego powiedzenia i darzył mię swoim dobrym, jasnym uśmiechem.

Takie było przyjęcie, jakie mi wówczas zgotowali w Bohdanowie Ruszczyc i jego ziemia.





F. RUSZCZYC

AFISZ WYSTAWY ROLNICZEJ W SZAWLACH (1910)
AFFICHE DE L'EXPOSITION D'AGRICULTURE À SZAWLE



F. RUSZCZYC

WIOSNA (1906)
LE PRINTEMPS

ROZDZIAŁ V

CIĄŻENIE KU WILNU (ROK 1912)

Panie Janie. Tak się złożyło, że jeden list pański pozostał bez odpowiedzi, gdyż nie zdążyłem odpisać, a wkrótce widzieliśmy się. Bywa zaś czasem tak, że wbrew temu, co się zwykle twierdzi, tylko pisać można, a mówić — chyba w zupełnym zmroku, kiedy się siebie tylko słyszy. Powodem jest ten pierwiastek — jeden z najdroższych w zbliżeniach ludzkich, który słusznie nazwał pan młodzieńczo wstydliwym. Oto po liście pańskim chciałem panu powiedzieć, jak drogiem mi było to, co niósł mi, przyjaźń pańską i zaufanie. Dawno już zgadywałem to, o czem wspomina pan z dawniejszego życia swego, wiedziałem nie dlatego, żeby ktoś o tem mówił,—dziwnym trafem nie mieliśmy prawie wspólnych znajomych; zresztą dobrze, że nikt nas ze sobą nie „zapoznał". Wiedziałem zaś dlatego, że czytałem całą opowieść z prac pańskich, z kryjących się za niemi niezliczonych samotnych chwil, spędzonych sam na sam z naturą. I zdaje mi się, że w tem leży głównie łatwość i konieczność naszego zbliżenia się. Dlatego też bliskim mógł się stać Bohdanów, ze swoim osadem innych żyć".

„I jeszcze jedno. Mówiłem kiedyś o tem, jak cenię zawsze ciągłość, to, jak jedno z drugiego wynika. W tem najwięcej zawiera się nowych możliwości. Przychodzą same. Otóż wyobrażam sobie dalszą pracę każdego z nas, jako wciąż nową, chociaż tym samym idącą szlakiem. A czując w tem towarzysza, pragnę, by pan już nigdy nie czuł się sam. Bo w życiu zdarzyć się mogą nowe zawody, a z niemi wrócić mogłoby uczucie osamotnienia. Doznałem tego kilkakrotnie, niechże pan nie czuje już nigdy pustki koło siebie".

Pomijam dalszy ciąg tego listu, który zawierał realne projekty zatrudnienia mnie w Wilnie, gdyż cechą Ruszczyca było, że tęcze swych marzeń opierał na mocnych podstawach rzeczywistości. Był przecie plastykiem, człowiekiem teatru, inscenizatorem Lilli Wenedy. Umiał wcielać w życie to, czego zapragnął w wizjach artysty. List kończył się słowami „co do otwarcia w Wilnie pracowni zdjęć artystycznych, wie pan, jak myślę; widzę ją w najdrobniejszych szczegółach i dzisiaj nie wyobrażam sobie Wilna bez pana".

Mówiąc o stosunku Ruszczyca do mnie i o takich jego bezpośrednich objawach, jak ten z przytoczonego listu, chciałbym unikać wszystkiego, co mogłoby mieć pozory przechwalania się. Nie potrafię jednakże ograniczać się do objektywnego przedstawiania rzeczy, nie potrafię przemilczeć gorących porywów uczuciowych, jakie jego osoba we mnie budziła. Ruszczyc stał się ośrodkiem mego życia — wyznaję to nietylko bez fałszywego wstydu, ale z radością i dumą, że mię to spotkało. Darzył mię swą przyjaźnią i częstem towarzystwem; ze zwykłą swą dobrocią i delikatnością starał się nadawać charakter koleżeńskiej równorzędności naszym stosunkom. Ale ja korzystałem bardzo niewiele z tych jego poufałych intencyj i w sobie, w swem usposobieniu wewnętrznem nigdy nie przekroczyłem granicy, dzielącej ucznia od mistrza. Taki stosunek wystarczał mi najzupełniej i dawał mi prawdziwe zadowolenie. Przyjmowałem go z wdzięcznością i nie pragnąłem więcej. W Wilnie,



F. RUSZCZYC

PROGRAM LILLI WENEDY (1909)
PROGRAMME DE „LILLA WENEDA“

w ciągu dwudziestu lat nie przyszło mi naprzykład nigdy na myśl, bym mógł pójść do niego nie wzywany, ot tak sobie, na pogawędkę; zbyt ceniłem jego czas i zbyt dobrze rozumiałem, że nie należy tego czasu nadużywać, a jeśli mimo to widywaliśmy się bardzo często, to dlatego, że on tak chciał i że zawsze była jakaś wspólna „sprawa“ do załatwienia. Więc zniewolony mówić tu o mych uczuciach dla Ruszczyca, daleki jestem od chęci wykorzystywania ich dla nędznej własnej chwały.

Zresztą przykład delikatności szedł z góry, wszelkie rady Ruszczyca w stosunku do mnie miały cechy zaledwie sugestyj, ostrożnych napomknięć, choć w wyniku stawały się nakazami wiążącemi. Przyjmowałem je z radością, ale i z obawą, gdyż zawsze zdawały się przekraczać moje możliwości. Ja byłem aż nazbyt ostrożny i nieufający sobie, a on mierzył siły na zamiary i chciał zawsze najwyższego i najlepszego, na miarę wileńskiej „Ody do Młodości“. Bo Ruszczyc tkwił usposobieniem głęboko w tamtej epoce, cenił ją i wielbił fanatycznie. Przetwarzał obraz „Wilna z przed stu lat“ na modłę duchowości własnej i wznawiał jego atmosferę swemi czynami, dążeniami i samym faktem swego istnienia. Wzorem umiłowanych poprzedników promieniował rzęsiście i dobroczynnie i był nie tylko szerzycielem piękna, ale i ewangelicznym „łowcą dusz“. Nie uniknęła tych sideł i moja osoba. Więc może należy mi wybaczyć, że o tej osobie będę tu mówił niekiedy — wszak i w małej kropli wody załamuje się tęczowo jaśnienie wspaniałego słońca, a ja nie mógłbym inaczej przedstawić wnętrznej istoty Ruszczyca, jak ukazując jej oddziaływanie na bliskie i znane mi otoczenie.

Przerażała mnie, jak już powiedziałem, dobrotliwa tyranja Ruszczyca, który odtąd w ciągu wielu lat dawał mi wciąż nowe role i zadania coraz trudniejsze, a zawsze z przekonaniem, że je wypełnię należycie. Ja zaś zaczynałem od wątpienia w siebie, w którem było coś z neurastenji, ale także niemało ziemiańskiej nieporadności i inercji. Zarozumialstwa, właściwego młodemu wiekowi, pozbyłem się wcześnie. Minąwszy trzydziestkę dość bezbarwnie i widząc w swem życiu pustkę pomimo poczucia drzemiących w głębi zdolności, byłem przeświadczony, że już niczego więcej nie dokonam, a to uczy skromności. Z rezygnacją kłóciły się jednak we mnie jakieś tęsknoty ukryte, jakieś uparte nadzieje, i one stanowiły nieustanną rozterkę mego życia, przeżywaną zupełnie samotnie. Jeden Ruszczyc umiał to przeniknąć, zechciał ratować mię od zmarnowania się, nauczył wierzyć w swe siły i wskazał sposoby ich wyzwolenia — cóż dziwnego, że nie mogę pominąć milczeniem powodów mego przywiązania i wdzięczności dla niego?

Tej jesieni ważył się mój los. Chcąc odmienić życie i rozpocząć je w nowym kształcie, przy boku Ruszczyca, musiałej wyjść z mgławicy odruchów i stanąć na jakimś gruncie realnym. Trzeba było skończyć z sybaryckim dyletantyzmem i zająć się w Wilnie rzeczową pracą. Łatwiej jednak przychodziło rozumieć to, niż wykonać. Na szczęście był Ruszczyc. On z właściwem sobie poczuciem rzeczywistości odrazu „skomponował“ nowy obraz, „widziany w najdrobniejszych szczegółach“, obraz mojej pracowni w Wilnie, fotograficznej i inwentaryzatorskiej. Ruszczyc był pierwszym regjonalistą i miłośnikiem Wilna, pierwszym konserwatorem jego zabytków wówczas, gdy nie znano jeszcze u nas nawet tego słowa, nie tylko tej czynności. Porozumiał się z prezydentem miasta p. Michałem Węsławskim i postanowił założyć „miejskie archiwum fotograficzne“, powierzając mnie jego prowadzenie.

Zarząd Miejski, pomimo rosyjskiego ukostjumowania, był naonczas czysto polski — wybitną rolę, obok prezydenta Michała Węsławskiego, grali w nim Andrzej Tupalski, Ksawery Zubowicz i Konrad Niedziałkowski, ludzie ze sfery ziemiańskiej, a Ruszczyc był ich nieoficjalnym doradcą artystycznym. To też pomyślany przez niego „Gorodskoj fotograficzeskij archiw“ został stworzony od ręki. Ja miałem inwentaryzować pod wskazówkami Ruszczyca zabytki architektury wileńskiej w szeregu zdjęć ogólnych i fragmentów i tworzyć z nich całe albumy, a to zadanie łączyło się już

dostatecznie ściśle z zakładem fotograficznym, który miałem przedtem założyć i wyposażyć własną inwencją. Otwarcie pracowni nie było trudne, jeśli zważyć, że już w Peresiece miałem kompletnie urządzoną ciemnicę, laboratorjum i altanę fotograficzną, które dawały mi dużo przyjemnego zatrudnienia i przyczyniały jeszcze więcej wydatków zgoła nieprodukcyjnych, gdyż nie przychodziło mi nawet na myśl brać pieniądze za moje zdjęcia. W Wilnie miało się to zmienić i nabrać charakteru pracy zawodowej i płatnej, chociaż długo jeszcze po jej rozpoczęciu nie mogłem siebie wyobrazić w roli „procederzysty“, zarobkującego doraźnie. Głęboko jeszcze tkwiły we mnie szlacheckie przesądy, ale zmysł „kompozycyjny“ Ruszczyca był od nich mocniejszy i odniósł bez trudu zwycięstwo nad moją ziemiańską pruderją. I tak powstała nowa Ruszczycowska inscenizacja pod tytułem: „Fotografowanie Wilna przez Bułhaka“.

List Ruszczyca z 13 listopada donosił o sfinalizowaniu tej sprawy w Magistracie i dora-



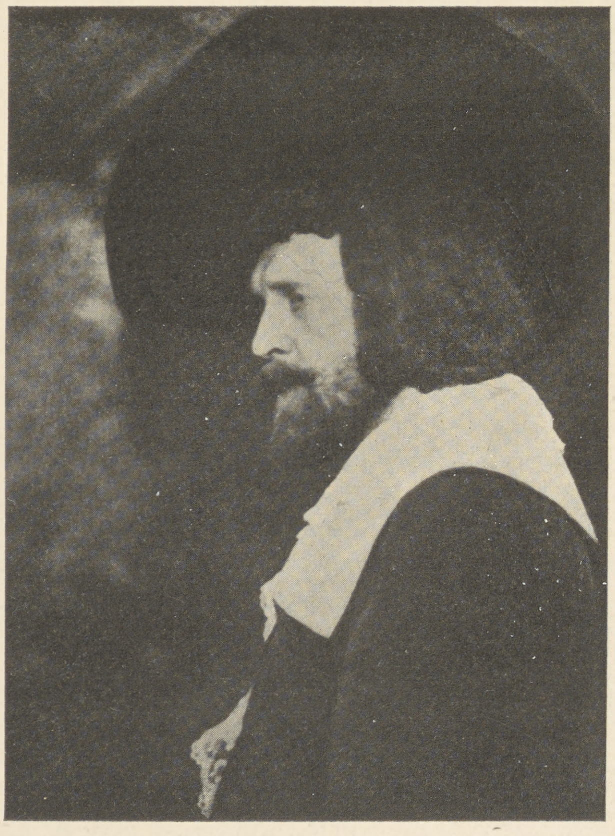
F. RUSZCZYC POGOŃ. RYSUNEK DLA J. BUŁHAKA

dział mi już uprzednio planowaną przeze mnie podróż artystyczną po niemieckich ośrodkach graficzno-drukarskich dla uzupełnienia i pogłębienia mych wiadomości. Żaden ojciec nie potrafiłby wykazać więcej troskliwości o syna, niż ten artysta ujawnił w stosunku do człowieka jeszcze przed rokiem nieznanego. To też listowna rozmowa z nim nie mogła mi już wystarczyć i w końcu listopada pojechałem do Wilna, a raczej — „na Zarzecze“, które odtąd przez długie lata dźwięczało mi, jak nazwa wileńskiego dworu Ruszczyca. On sam również tak je traktował i listy swe datował z „Zarzecza“.

Spędziłem z nim kilka dni i wtedy zostały szczegółowo omówione nasze projekty. Zagranicę miałem wyjechać z początkiem następnego roku, a potem w ciągu lata przenieść się i zainstalować w Wilnie tak, by jesienią rozpocząć normalną pracę fotograficzną. I znowu przytem miałem sposobność podziwiać taktowną i miękką rękę Ruszczyca, który, czyniąc dla mnie tak wiele, nie wy-

szedł nigdy z roli towarzysko beztroskliwej. Najpierw nieznacznie nakierowywał mię i przyprowadzał do określonej decyzji, a wtedy tuszował nawet pozory swego uczestnictwa i pozostawiał mnie samego przy powziętej inicjatywie. Obmyślał sposoby wykonania, wkładał w moje sprawy moc żywego i czynnego zainteresowania, a potem przypisywał mnie całe „dobrodziejstwo inwentarza", jako moją prawowitą własność. Tylko wielki takt i dyskretna dobroć serca mogła w człowieku z gruntu szczerym i prostolinijnym wyrobić takie zasoby najprzedniejszej dyplomacji. Była w tem Ruszczycowska „uwaga" i jego planowy prozelityzm artystyczny. Dobierał ludzi do swego Wilna.

Z tego pobytu wileńskiego zapamiętałem „bal na Zarzeczu", zabawę kostjumową, z której Ruszczyc potrafił zrobić niepowszednie widowisko. Zgromadził u siebie dobór towarzystwa wileńskiego, wiele pań wytwornych i oryginalnie pięknych, grono artystów, literatów i przyjaciół i pod pozorem zwyczajnej rozrywki stworzył z nich obraz, filmowo ruchliwą mozaikę barw i tanecznego wirowania. Ale do nowego obrazu było potrzebne przedewszystkiem tło, a jasny salon mieszkania wydawał się Ruszczycowi nieodpowiednim. Więc w ciągu *jednego dnia przeistoczył go własnoręcznie* w gwiaździsto-błękitny przybytek. Byłem świadkiem i uczestnikiem tej metamorfozy wraz z Wierzyńskim i kilku innymi znajomymi. Obiliśmy cały salon bibułką szafirowo-granatową, w ulubionym głębokim tonie Ruszczycowskim, ściągniętą ze wszystkich sklepów wileńskich, a na tem tle nocnego nieba zajaśniały fryz i desenie ścienne ze złotych liści i gałązek, już nie wiem skąd na poczekaniu zdobytych przez przemyślnego czarodzieja. Piec kaflowy musiał oczywiście także zniknąć pod szafirową dekoracją i pamiętam, że mieliśmy z jego kantami dużo kłopotu. Przy robocie Ruszczyc odmieniał się do niepoznania, stawał się surowy, małomówny, chwilami nawet despotyczny, gdy coś szło nie po jego myśli, ale w takim wypadku chodziło zawsze o rzecz, nigdy o osobę. Dopiero wieczorem, gdy się rozsypały po salonie motyle konstelacje gości w fantastycznych przebraniach, zdołałem ocenić konieczność i wartość tego złoto-granatowego wnętrza. Powiewne, tęczowe postacie kobiece i męskie stylizacje i groteski grały na tem tle kolorowo i rzęsiście. Bal był prześliczny. Niejeden z gości widział w nim zapewne tylko sposobność do wytańczenia się i poflirtowania, w czem zresztą wszyscy braliśmy ochoczy udział, ale Ruszczyc miał prócz tego w oczach obraz, jeden z tych obrazów, które coraz częściej zaczynał „układać z żywych ludzi". I ja wolałem chwilami rolę widza i przyglądałem się z zajęciem temu wspaniałemu kalejdoskopowi, w którym wytworny, jaśniejący urodą gospodarz tworzył zjawisko o wysokim poziomie estetycznym. Ruszczyc, ubrany w czarny aksamitny strój infanta hiszpańskiego, z koronkową krezą i piórami na



F. RUSZCZYC W STROJU HISZPAŃSKIM Z BALU KOSTJUMOWEGO

szerokim kapeluszu, jaśniał szlachetnym wdziękiem i dworskością. Zamaszysty płowy zarost i jasna falująca czupryna zawsze nadawały jego głowie charakter skandynawski, tłomaczący się duńskiem pochodzeniem jego matki. Wtedy, na balu, strój cudzoziemski jeszcze podkreślał egzotyczną pańskość i rasowość jego postaci i czynił z niego królewicza z bajki, przypadkowo zabłąkanego wśród tłumu zwyczajnych śmiertelników. A do walorów plastycznych trzeba było dodać jego promienny uśmiech, czar wzroku i głosu, subtelność słowa i dowcipu, polor i prezencję ruchów. Był naprawdę królem balu, słońcem w barwnym gwiazdozbiorze tego szafirowego firmamentu i wszystkie oczy spoczywały na nim z zachwytem.

Nic też dziwnego, że taki mężczyzna oddziaływał mimowolnie na wrażliwość kobiecą i opanowywał wyobraźnię od pierwszego wejrzenia. Ruszczyc miał u pań niezwykłe powodzenie, o którem mówiono w Wilnie dużo i niezawsze z należytą bezstronnością. Zazdroszczono mu tryumfów, jakie odnosił dzięki swej urodzie i swym niepospolitym warunkom. A on niewiele dbał o te przewagi i nie przydawał swemu powodzeniu żadnego znaczenia, żyjąc naprawdę w całkiem innym świecie, mocno odległym od erotycznego tokowiska, jakie go otaczało. Możeby go sądzono sprawiedliwiej, mniej powierzchownie, gdyby wiedziano, jak nikłe były najponętniejsze powaby kobiece wobec piękna jego własnego świata i jak żałośnie wyglądałaby każda kobieta, któraby spróbowała wtargnąć do tego świata z ambicją królowania. Płaskie posądzenia są jedynie krzywem zwierciadłem, w którem odbija się nie oblicze Ruszczyca, lecz zawistne maski pustych gadułów i plotkarzy. Więc sądy o Ruszczycu były często niesłuszne, krzywdzące, dalekie od rozumienia jego istoty i jego stosunku do miłości.

To też celem tych moich wspomnień jest nie tylko chęć obcowania z cieniem utraconego przyjaciela, ale pragnienie, by go pokazać ludziom takim, jakim był w swoich prawdziwych intencjach i dążeniach, a nie w lekkomyślnej ocenie niepowołanych. Chcę, by chociaż teraz został on poznany i oszacowany należycie, o co w Polsce zawsze jest łatwiej po śmierci, niż za życia.

A jakim był przyjacielem, niech powie krótki list, datowany „Zarzecze, 28 grudnia 1911 godzina 3-cia".

„Piszę w nocy i tylko kilka słów, lecz pragnę, by doszły moje najgorętsze życzenia i uściśnienia serdeczne jeszcze w ostatnim dniu roku, który dał mi pana".

. . . .

Część zimy i wiosnę spędziłem zagranicą, a gdy w maju 1912 roku powróciłem z podróży, dostałem od niego taki list:

„Nie powitało pana żadne nawet słówko odemnie. Ale kiedy pan — co z naszej ziemi wyszedł — do tej ziemi wrócił, to chyba czuł pan wszystko, czego brak było tam... Jak z miejsc wszystkich miałem od pana drogie dla mnie wieści i mogłem przez przysłane jakby z innego świata kartki być pańskim towarzyszem podróży, tak znowu tu chodziliśmy przez cały czas razem, patrząc na ludzi, na wypadki, a najwięcej na to tło przedziwne, z którem tamto tak mało harmonizuje. I oto teraz z niecierpliwością oczekuję widzenia się... Musimy się widzieć koniecznie i jaknajprędzej. Jest sprawa umowy co do zdjęć dla Zarządu Miejskiego, recte dla Komisji Archeologicznej, przez którą zostałem upoważniony do pertraktacyj. Piszę jakby w interesie, kiedy pełen jestem wdzięczności za tyle dobroci i przyjaźni...".

Lato miałem smutne i ciężkie, chociaż gorące i czynne, bo zapełnione przewożeniem do Wilna moich ruchomości, złożonych z mebli, książek i utensyljów fotograficznych, stanowiących mój przyszły warsztat pracy. Wieloletnie życie rodzinne we własnym domu tworzy nawarstwienie pokładów rzeczowych i uczuciowych, których poruszanie z miejsca nie odbywa się bezboleśnie. Takie przenosiny, choćby przedsiębrane w najlepszych nadziejach, nadwyrężają różne zastarzałe zrosty du-



F. RUSZCZYC RYSUNEK DLA J. BUŁHAKA

chowe i mają zawsze posmak katastrofy. Coś się przełamuje, coś przemija, odchodzi w przeszłość nieodwołalnie, — nadciąga nowe, nieznane i niepewne, obiecuje, ale i grozi, nęci, ale i przeraża...

Postanowienie radykalnej zmiany życia przechodziło ze sfery myśli w dziedzinę czynów i wymagało nietylko energji, ale i pewnej bezwzględności, z jaką odjeżdżający porzuca tych, co pozostają. A taka bezwzględność nie przychodzi łatwo i wiele kosztuje. Więc przeżywałem tego lata kryzys o nasileniu dotąd nigdy nieodczuwanem. Krzepiła mię tylko myśl o mocnem oparciu, jakie mię czekało w Wilnie, ale i ta nie była zdolna rozproszyć tragicznej świadomości, że oto opuszczam

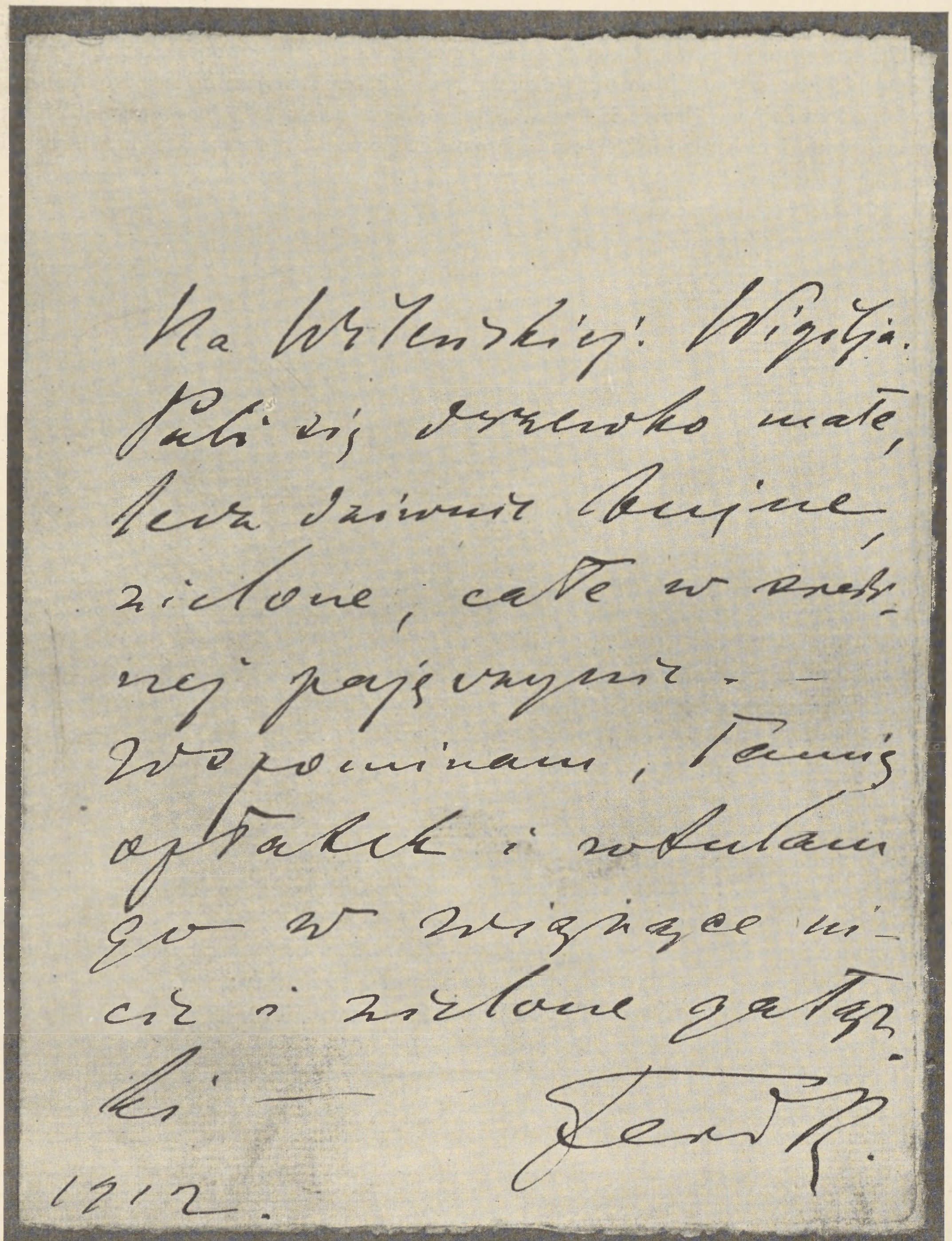
dom i rodzinę i idę w świat — szukać czegoś dalekiego i niepewnego. W tem przygnębieniu było jakby przeczucie, że już nigdy nie powrócę do swego domu i ziemi, które zresztą sprawdziło się całkowicie, bo wkrótce nastąpiła wielka wojna, odcięła mię od rodziny na kilka lat, a zamykający ją pokój w Rydze oddał Mińszczyznę Rosji i pozbawił mię domu nazawsze.

To półrocze należy do najcięższych wspomnień mego życia. Odetchnąłem z ulgą, gdy minęła jesień, skończyły się bezustanne wędrówki i transporty pomiędzy Mińskiem a Wilnem i kiedy nareszcie znalazłem się w mojem mieszkaniu przy ulicy Portowej, wśród stosów skrzyń, kufrów i walizek, niby rozbitek, wyrzucony na obce brzegi i nie wiedzący, co one mu przyniosą. Ale nie czas było żałować rzeczy przeminionych, trzeba było zakasać rękawy i zabrać się do budowania przyszłości w Wilnie — przy Ruszczycu...

A oto jakim on mnie listem powitał, gdym rozpoczynał ten okres wileński:

„Słowa pańskie dziwnie mi dobrze zrobiły, bo przyszły w czasie, kiedy bolały „słowa niewymówione" i kiedy tak dalekiem wydawało się „święto duszy". Przyszły w niedzielę i był mi ten dzień „Niedzielą" między dniami innemi. Skądś — z przestrzeni — bo jadę pociągiem, niech dojdzie pana to echo bratnie, a jak myśli moje oczekiwały pana, nich te słowa powitają pana u progu nowych urzeczywistnień".

Pierwsze wileńskie „urzeczywistnienie" tej jesieni było nie moje, ale właśnie Ruszczyca, gdyż całe moje mieszkanie zostało skomponowane przez niego „aż do najdrobniejszych szczegółów", jak zawsze, gdy coś zamyślił i wykonał. Był to ciąg tygodni projektowania, narad, obliczeń, wybierania materjałów, dobierania kolorów, słowem — prawdziwa inscenizacja Ruszczycowskiego obrazu—pracowni fotograficznej, mającej utrwalać „Stare Wilno". Porwał mię ten kochany tyran w wir swojej niezmordowanej pomysłowości i pracowitości, wpędził w chroniczną gorączkę potulnego wykonywania jego zarządzeń, dręczył rzemieślników, dekoratorów i tapicerów, biegał ze mną po mieście dla wyszukania potrzebnych rekwizytów, nie wahał się chodzić po parę razy dziennie do sławetnej „Sory Kłok" na Niemiecką, by dobrać do koloru jakąś tkaninę, zaraził mię swem radosnem szaleństwem stwarzania z pustych ścian pięknych wnętrz mieszkalnych, uczył mię każdej godziny dnia, że niema rzeczy błahych, gdy się komponuje obraz. Zanim jeszcze powstała moja pracownia, zanim mogłem zrozumieć, jak ona będzie wyglądała, — on już ją powołał do życia: w myślach kazał, by się stała i była piękna. Jako jej godło narysował tę uskrzydloną głowę kobiecą, oplecioną wężami, która była mi odtąd drogą pamiątką na całe życie: błogosławił nią wzloty ku pięknu i ostrzegał przed zatrutem wężowiskiem nizin. Miejsce mej przyszłej pracy ogarniał zawczasu wiedzącem spojrzeniem, uczynił z niego swoje dzieło, które pokochał mocniej i wcześniej, niż ja sam. Rozwinął i wyładował na nie szczodrze zasoby swego talentu: projektował kolumny i kotary do salonu, rysował godła ozdobnych papierów i druków, układał teksty zawiadomień, każdą czcionkę wybrał podług koniecznego wzoru, wbicia każdego gwoździa do ściany sam dopilnował, na każdy obrazek wybrał osobiście miejsce najlepsze. On był głową i ręką — ja jego cieniem i pomocnikiem. Ile wówczas przeżyłem wrażeń — od uniesień wdzięcznej radości i zachwytów wzroku — do straszliwego przemęczenia i skłopotania, do ustawicznej tremy i rozpaczy, że coś się nie uda, lub nie zrobi na czas — to mnie jednemu tylko wiedzieć. Ruszczyc sam się zamęczał robotą i innych także nie oszczędzał, a kto z nim dłużej razem popracował doraźnie, ten — po skończeniu — tylko dyszał z bezsilnie zwieszonemi rękami i czuł się jak ten djabeł Twardowskiego po wyskoczeniu ze święconej wody. Ten początek grudnia 1912 roku — to były szalone dnie, rozpłomienione temperamentem Ruszczyca, okraszone słoneczną jego aurą, piękne, niezapomniane dnie — pierwszy występ artystyczny Ruszczyca w mojej obecności, pierwsza próba tych naprawdę bezgranicznych możliwości, jakie kryły się w tym cudownym człowieku.



Na Wileńskiej Wigilji.
Pali się drzewko małe,
lecz dziwnie bujne,
zielone, całe w srebr-
nej pajęczynie. —
Wspominam, Pamięć
ostatek i otulam
go w wiszące ni-
cie i zielone gałąz-
ki — Ferd. R.
1912.

AUTOGRAF F. RUSZCZYCA Z ROKU 1912
AUTOGRAPHE DE F. RUSZCZYC

Przychodził zwykle od samego rana w rozwianym paltocie i już w przedpokoju grzmiał jasnym wybuchem wesołego słowa. Układał zaraz porządek dnia, jak dowódca plan bitwy, wydobywał z kieszeni różne szkice lub notatki i owiewał mię gorącem tchnieniem swojego kipiącego jestestwa. A w kieszeni, wypchanej, jak sakwa żydowskiego lichwiarza, nosił całe archiwum, bo i spraw było wiele i niebardzo był czas na opróżnianie kieszeni z rzeczy załatwionych, więc się tam nagromadzały materjały, z których możnaby urządzić małe archiwum. Plan bitwy musiał być wykonany do ostatka i moja ogłuszona osoba nie miała innego wyboru, jak słuchać dowódcy ślepo i spełniać jego rozkazy po wojskowemu, bo łagodny w życiu, Ruszczyc w robocie był bezlitosny i już czasem nie wiedziałem, kto co robi i dla kogo w tej niby mojej pracowni. A ta despotyczna postawa człowieka niezmiernie delikatnego dawała tylko miarę, jakim był wielkim artystą i jakim oddanym przyjacielem.

Ale za to, kiedy nastał dzień 8 grudnia, uroczyste otwarcie pracowni dla zaproszonego towarzystwa wileńskiego, było na co popatrzeć. Trudno mi było uwierzyć, że te pokoje, piękne, wytworne, intymne, noszące wszędzie cechy Ruszczycowskiego dotknięcia — to moja własna pracownia, w której mam odtąd żyć, mieszkać i oddawać się ulubionym zatrudnieniom. Jakiż to był kontrast ze wszystkiem, com był dotychczas przywykł uważać za wzór urządzenia domowego, jaka wysoka skala przy szlachetnym umiarze, jaka stylowość, osiągnięta prostemi środkami! W ciągu krótkiego czasu douczyłem się tego, czego mi jeszcze mogło braknąć po doświadczeniach z Zarzecza i z Bohdanowa; pojąłem dokładnie i na całe życie, na czem polega istota godnego wnętrza mieszkalnego, a czego nie powinno ono zawierać, jeśli ma być spokojne i estetyczne, a nie krzykliwie strojne i bezmyślnie „upiększone".

W dniach otwarcia mojej pracowni 8 i 9 grudnia przeszły przez nią tłumy doborowej publiczności i pomimo znużenia i tremy, miałem niejedną chwilę niezwykłą. A ówczesna publiczność wileńska mogła ze znacznie większą słusznością być nazwana „elitą", niż dzisiejsza powojenna. Inna była rasowość, elegancja, inny gest i obyczaj. Nie widziało się w twarzach i postaciach dzisiejszej gminnej brzydoty, prostactwa, dorobkiewiczostwa. Tamci ludzie mogli być lepsi lub gorsi, ale mieli rasę i styl, bo zresztą pochodzili prawie wyłącznie ze sfer ziemiańskich, które nadawały ton ówczesnemu Wilnu. A dzięki nazwisku i udziałowi Ruszczyca całe Wilno polskie przyszło obejrzeć moją pracownię, gęsto zapełnioną ekranami, pełnemi mych prac, i odrazu przychylnie przyjęło mię do swego środowiska.

Kiedy drugiego dnia zamknęły się drzwi za ostatnim gościem, byłem już u kresu sił i nerwów i żegnając Ruszczyca, nie umiałem mu nawet podziękować za wszystko, co dla mnie uczynił. Ale on wiedział bez słów o moich uczuciach i odchodząc, popatrzał mi tylko w oczy z serdeczną uwagą, jakby krzepiąc i dodając otuchy do nowego życia...

A na Boże Narodzenie przysłał mi te słowa: „Wigilja. Pali się drzewko małe, lecz dziwnie bujne, całe w srebrnej pajęczynie. Wspominam, łamię opłatek i wtulam go w wiążące nicie i zielone gałązki...".

ROZDZIAŁ VI

RAZEM W WILNIE (ROK 1913)

Grudzień przeminął i moja instalacja w Wilnie stała się faktem dokonanym. Zacząłem oswajać się nieco z nowem życiem i w styczniu mogłem już rozejrzeć się dokoła przytomniejszym wzrokiem i zrobić jakiś bilans ubiegłego roku. W nim wśród tylu nowych i ważnych dla mnie wydarzeń na czoło wysuwała się osoba Ruszczyca i jego praca wileńska, która zdawała się wzbierać i rozlewać coraz bardziej szeroko i wartko. Te lata były okresem jego najbujniejszej działalności inscenizatorskiej i graficznej i obfitowały we wciąż nowe dokonania, następujące po sobie z zawrotną szybkością. Drugi równie płodny okres miał przyjść po przerwie wojennej w odzyskanem Wilnie, przy odbudowywaniu Uniwersytetu i organizowaniu Wydziału Sztuki. Pasja twórcza kotłowała w tym przedziwnnie obdarzonym człowieku i wyładowywała się z niepowstrzymanym rozmachem. Zaledwie skończył jedną pracę, już zaczynała się inna, rodził się pomysł nowy, dojrzewał i urzeczywistniał się z niechybną doskonałością. Gdyby możliwe było ścisłe zestawienie chronologiczne wszystkich ówczesnych prac Ruszczyca, tych opraw scenicznych, widowisk, bazarów przez niego pomyślanych, tych książek, pism i wydawnictw, przez niego ilustrowanych, tych jego afiszów, programów i druków o różnorodnem przeznaczeniu, a o jednakim stopniu elokwencji graficznej — dopiero wtedy uwidoczniłaby się jego fenomenalna pracowitość i płodność inwencji twórczej, ujęte w karby zawsze tej samej myśli przewodniej.

Ostatnie miesiące absorbowały mię mocno własnemi sprawami na Portowej, ale rad wracałem od nich do „Zarzecza“, by zagłębiać się w coraz piękniejszy świat książki Ruszczycowskiej. Rok 1912 przyniósł był dwie nowe rzeczy w tej dziedzinie: zeszyt „Litwy i Rusi“, poświęcony Syrokomli i album „Wilno z przed stu lat“, zawierające reprodukcje widoków Wilna Smuglewicza.

Nie zwrócono dostatecznej uwagi na to odgałęzienie twórczości Ruszczyca, tem cenniejsze, że zupełnie dotąd nieznane, torujące nowe drogi książce polskiej. Powinnoby powstać studjum, poświęcone wileńskiej grafice książkowej. Wszak Ruszczyc był jednym z wskrzesicieli pięknej książki, zapomnianej i zagubionej w popowstaniowym upadku smaku. To, co było przed nim w tej dziedzinie, znajdowało się na przeciwległym biegunie estetyki. Wprawdzie miała Polska od roku 1901-go „Chimerę“ Miriama, — dostojną kapliczkę dla wtajemniczonych, „laurową i ciemną“ zagadkę dla laików, ale po za tym wspaniałym unikatem estetyka druku była u nas w powijakach i nawet lepsza książka polska była uboga, brzydka i pretensjonalna. A cóż mówić o książce wileńskiej, niegodnej spadkobierczyni świetnych tradycyj dawniejszych epok? Jako przykład weźmy do ręki wileńskie „luksusowe“ wydawnictwo z roku 1904-go, „Katedrę Wileńską“ dra Władysława Zahorskiego, drukowaną na drogim papierze i obficie ilustrowaną. Co za niezdarność układu, czy wprost brak kierownictwa estetycznego, jaki niemrawy wymiar kolumny i marginesu, jakie prostactwo w szeregowaniu rozdziałów bez przerwy, jakie szablonowe ozdobniki i inicjały. A przecież wystarczyło kilku lat pracy Ruszczyca, by to wszystko zmieniło się radykalnie, by zrozumiano, że



F. RUSZCZYC

OKŁADKA DO „LITWY I RUSI"
COUVERTURE DE LA REVUE „LITWA i RUŚ"

książka i druk nie są tylko informacją tłoczoną, ani formalnie obojętnym dokumentem treści myślowej, lecz tworem artystycznym samym w sobie, dziełem sztuki, dającem oczom radość niezależnie nawet od swej zawartości słownej. Ruszczyc złotym pługiem talentu przeorał zachwaszczone ugory drukarstwa wileńskiego i wsiał w nie plenne ziarna szlachetnego piękna formy, rodzące do dziś dnia. Ale mało kto wie, jakim kosztem odbyła się ta przemiana i ile się przy tem napracował i namęczył reformator. Przesiadywał po oficynach drukarskich, wchodził w fachowe konszachty z maszynistami i zecerami, nie dosypiał nocy, spędzając je na próbach układu, czcionki, koloru, stał się bezpłatnym kierownikiem artystycznych firm wydawniczych, nie szczędzącym czasu, trudu, a nieraz i własnych kosztów byleby rzecz doprowadzić do należytego poziomu i uczynić tak piękną, jak to sobie wymarzył. Byłem świadkiem, ile położył fatygi i pracy, nim go zadowolniło wykonanie w drukarni takiej drobnostki, jak moje fotograficzne godła i blankiety. Ale wzory ich były pomyślane przez niego i narysowane z całą powagą dzieła artystycznego, więc odbitki drukarskie musiały być wykonane bez zarzutu. Trzeba było mieć naprawdę ofiarność misjonarza estetyki, by spędzać całe dnie w drukarniach, nie otrzymując za to nie tylko ani słowa uznania lub podzięki, ale— owszem — spotykając się z niezrozumieniem i znosząc złe humory tępych właścicieli. Słyszałem nawet o takim, który po wykonaniu w jego oficynach świetnych druków pod kierunkiem Ruszczyca, nie tylko nie czuł za to dla niego wdzięczności, ale utyskiwał z mieszczańskim grymasem, że Ruszczyc „szwenda mu się po drukarni i przeszkadza w robocie". Jadnakże takie gaffy popełniali tylko ludzie, zwani „inteligencją" — zwyczajni rękodzielnicy, zecerzy, maszyniści i nakładacze umieli lepiej poznać się na Ruszczycu: słuchali go, jak wyroczni, cieszyli się z każdej chwili z nim spędzonej przy wspólnej pracy, gotowi byli bez szemrania po wiele razy narządzać maszyny i przerabiać robotę, byle zyskać pochwałę Ruszczyca i ucieszyć się z nim udanym wynikiem wspólnych zabiegów. A on lubił i cenił wileńskich rzemieślników, miał z nimi wiele cichych koleżeństw artystycznych i gorąco wychwalał ich dobrą wolę, zdolności i wyczucie.

Ktoś dokładniej znający te rzeczy powinienby napisać osobne wspomnienie o stosunku Ruszczyca do wileńskiego rzemiosła. Pokazałoby się wtedy, jak skutecznie wcielał on na gruncie wileńskim tradycje Ruskina i Morrisa i jaki miał szacunek i zrozumienie dla samorodnego poczucia piękna prostych, często mało piśmiennych rękodzielników. Sam widziałem, ile miał wśród nich entuzjastów po pracowniach wileńskich, a wszystkim jest znana jego współpraca z oświeconym i artystycznie uzdolnionym stolarzem, p. Oszurką. A przecież współdziałał z tylu innymi w różnych przedsięwzięciach artystycznych, ze złotnikami, rytownikami, snycerzami, z malarzami pokojowymi, tapicerami, dekoratorami, hafciarkami. Był częstym i mile widzianym gościem w warsztatach czcigodnego księdza Lubiańca przy zakładach Serca Jezusowego, oddał mu wiele przysług artystycznych, a jeden z tamtejszych młodych stolarzy, Antoni Bobienia, miał inny, niecodzienny wyraz twarzy, gdy wymawiał słowa „pan Ruszczyc" i witał go zawsze radosnym uśmiechem. Wszędzie zasiewał Ruszczyc ziarna piękna i te mu wschodziły bujnie na żyznej glebie wileńskiej.

Jeszcze w sierpniu 1912 roku namówił Ruszczyc redaktora „Litwy i Rusi" do poświęcenia zeszytu tego miesięcznika pamięci Syrokomli. Ale ja w owym czasie przechodziłem moją gorączkę emigracyjną i dopiero na początku następnego roku zdołałem zapoznać się z tą piękną pracą ilustratorską. Było tam kilka plansz Ruszczycowskich, utrzymanych w schyłkowym stylu XIX wieku — więc portret „lirnika wioskowego", dom, w którym zmarł w Wilnie przy ulicy Botanicznej (dzisiaj Królewskiej), widok Borejkowszczyzny i ilustracja do wiersza: „Pojechał Jasio wyszukać żony". W „Borejkowszczyźnie" poranne mgły zasnuwały pasmami bieli skromny domek z gankiem na słupach, brzoza przed domem zdawała się szumieć smętkiem samego nieudolnego dzierżawcy, a cały obrazek, jak senna zjawa, ledwie szarzał w perłowem świtaniu poranka. Kompozycja do wiersza



F. RUSZCZYC — DOM, W KTÓRYM MIESZKAŁ SYROKOMLA

o Jasiu była obramiona gotyckim ornamentem z dwoma aniołami, podającymi sobie ręce w przymierzu serc, a na obrazku to samo przymierze symbolizowała „brzózka pochyła, co do jaworu pierś przytuliła...". Wzruszająca opowieść o kochaniu na tamtym świecie, ubrana w prześliczną szatę graficzną.

Ale najwięcej poruszył mnie rysunek przed tekstem, który przedstawiał ukwiecone imię „Syrokomla" na tle autentycznego wyszywania włóczkowego, jakich tyle wyrabiano w tamtych czasach



F. RUSZCZYC

PEJZAŻ RZECZNY Z WILEŃSZCZYZNY (1895)
PAYSAGE. ENVIRONS DE WILNO

po naszych dworach. W tym napozór nieznacznym drobiazgu widniała subtelna intencja artysty, umiejącego wygrywać najcichsze melodje na strunach serdecznego wspomnienia. Wszak te włóczkowe robótki pochodziły z „Pokoju Babuni"... a któż z nas nie chowa wspomnień o jakimś starym domu z epoki naszych rodziców? Któż nie pamięta ze swych młodych czasów tych białych kap i serwetek domowej roboty, niekoniecznie pięknych i niezawsze użytecznych, ale takich nieuniknionych, pełnych poczciwej intencji, tak zrośniętych z zapachem świętojańskich ziół i bielonego pułapu, z miłą prostotą i niedzielną ciszą niskich pokoi... Ja dziś jeszcze widzę, jak żywą, jedną taką kochaną babunię, w dworku swoim w Skrobówku pod Horodyszczem. „Ciocią Idalką" nazywał ją cały powiat. Widzę włóczkowe serwetki, przez nią wyszywane, statecznie okrywające stoliki i kanapowe poręcze w saloniku. Widzę wysokie niemalowane progi sieni, na półce w jadalni kalendarz z własnoręcznemi notatkami i napisem: „Daj Boże szczęśliwy" na okładce i barometr z brunatnym bernardynem, wróżącym z domku pogodę. Czuję woń leczniczych ziół i świątobliwej stęchlizny, przesycający wszystko dokoła, słyszę dobry starczy głos cioci, wydający wieczorną dyspozycję gospodarczą zatabaczonemu Józikowi, pełniącemu łączne funkcje ekonoma, furmana i lokaja.. I jak się przykłada muszlę do ucha, by posłyszeć w niej szum dalekiego morza, z którego ona przyszła, tak chciałoby się przyłożyć do serca ten Ruszczycowski włóczkowy deseń, by wznowić czar dawnych wspomnień i obraz tamtych czasów, zabarwionych taką zacną serdecznością.



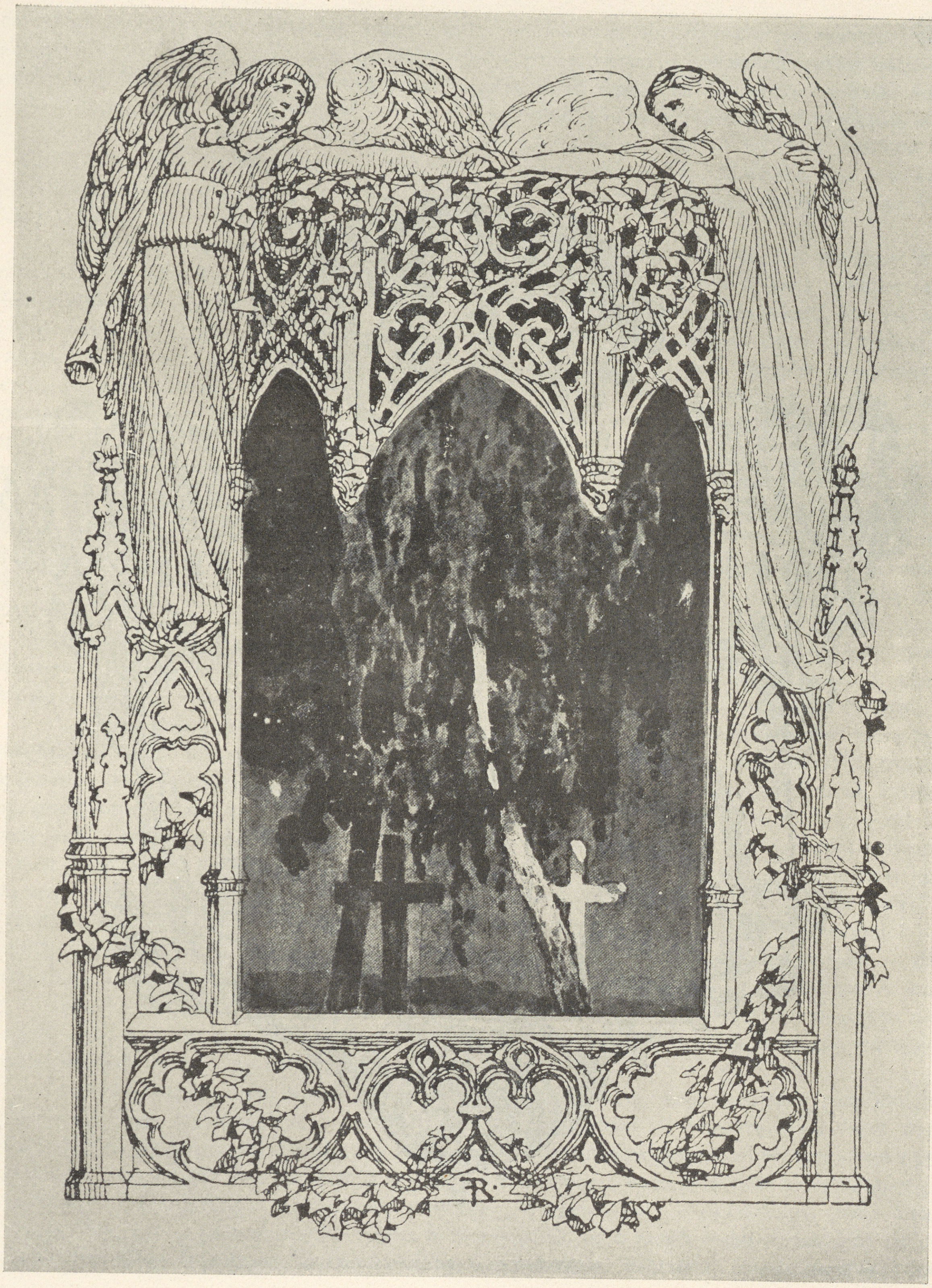
F. RUSZCZYC BOREJKOWSZCZYZNA

Drobiazgi w rodzaju tej włóczki rzucają wyraziste światło na pewne stany uczuciowe Ruszczyca. Najbardziej osobiste i utajone, odbijają się one w jego twórczości z niezmienną ciągłością. Od pierwszych dziecinnych prób rysunkowych aż do ostatnich prac przedśmiertnych jest on wnikliwym piewcą „Domu“, a ten dom — to nie miejsce błogich wczasów, lecz ostoja rodu, tradycja pracy, misterjum ogniska rodzinnego. Obcując z nim, zaprzęga całą potęgę i krasę swej formy malarskiej w służbę powinności serdecznych, prowadzących niedostrzegalnie od „Domu“ aż do „Ziemi“, a linja, łącząca te dwa punkty jest niezmiernie rozciągła. Z jednej strony potrąca ona o bezgraniczne obszary odczuć poprostu kosmicznych, sięga krańcem niebios i tam, na przepastnych zwałach obłoków, kreśli znaki wróżebne. Potem schodzi do wspomnień „Przeszłości“, rozżarza wileńskie znicze, zagrzebane w gruzach spustoszenia, uprząta rumowiska i sposobi je pod zasiewy idących czasów. Ale w tej drodze nie pomija żadnego domowego wołania, zatrzymuje się przy każdej kapliczce domowych bóstw, przy każdym zakątku swojskiej codzienności. Wszystko tam widzi, zapamiętywa, pokazuje jakby mimochodem, ale tak wyosobnione i spotęgowane intymnością widzenia, że każdy drobiazg staje się klejnotem i relikwją.

Jakże często linja twórczości Ruszczyca od wyniosłej glorji „Ziemi“ schylała się ku poziomowi Bohdanowskich pól, przewijała się między drzewami sadu i strzechami budynków i zagłębiała się w cienie niskiego drewnianego domu z belkowanym pułapem! Stawała się wówczas uważna, tkliwa, nieledwie nabożna, malowała z przejęciem zakątki pokoi, stare kantorki i portrety, lustra i kandelabry, wskrzeszała jakieś okruchy przedmiotów i nikłe ich zespoły, a w każdą cząstkę tych rzeczy, w każdą ich kolorową plamę wszczepiała nieśmiertelną moc miłości wiernej, a mądrej!... Przedmioty, zachowywane przez całe pokolenia, nabierały życia, nabrzmiewały sentymentem, napełniały się dziwnemi opowieściami o odwiecznych sprawach rodu i obyczaju, stawały się szacownemi symbolami wytrwania i oddania. Domowe drobiazgi świata Ruszczycowskiego dostawały duszy w jego rękach i wyrastały do tych samych wyżyn, na których zrodziła się „Ziemia“. I szeptały z płócien słowa dobre i ciche, jak matczyna kołysanka, słowa, przesiąknięte wonią tradycji, czarem ukochania, wdziękiem czułego obcowania, delikatnym, jak dotknięcie różanych płatków. A razem były te obrazy domu w swej prostocie doskonale piękne, podobne duszy ich twórcy, i nieskazitelnem pięknem formy głosiły wierność artysty domowi, który go wykołysał, ludziom, którzy go zamieszkują i ziemi, na której ten dom spoczywa.

Dziwnie sugestywna była ta druga struna twórczości Ruszczyca — wjolinowa, jasna i cicha, grająca niedomówieniami, operująca pastelową świeżością barw, urocza, jak zatajone wstydliwe wyznanie. Tworzyła konieczne dopełnienie dla tamtej naczelnej struny, basowej, grzmiącej rozkołysaniem spiżowego dzwonu, uderzającej w ton hymnu i dramatu. A niemniej podziwu godna była w Ruszczycu kompozycyjna wszechwiedza, z jaką traktował elementy niewidoczne, a jednak współgrające w ogólnym układzie obrazu. Mistrz ten, nie znoszący precyzowania, pamiętał jednak o każdym potrzebnym szczególe, jak piszący symfonję muzyk nie pominie żadnej kropki lub kreski, istotnej dla wyrażenia myśli muzycznej.

A tak postępował Ruszczyc nietylko w swoich kompozycjach plastycznych, ale i w ogólnym planie kształtowania życia Wilna, którego stał się nieumyślnym dyktatorem. Wśród nawału innych prac uznał za potrzebne przypomnieć wilnianom wygląd ich miasta przed stu laty. Jak zabiegliwy gospodarz schyla się nad pożarzyskiem i przeszukuje zgliszcza, by wyratować to, co się ostało pod popiołami, tak Ruszczyc z pohańbionych murów wileńskich wywołał echa przeszłości: wydostał przy pomocy Studnickiego z Muzeum Czapskich w Krakowie fotografje Smuglewiczowskich widoków Wilna z początku XIX wieku, gdy jeszcze istniały ruiny zamku królewskiego i resztki murów obronnych i bram wileńskich, i stworzył dla nich wspaniałą oprawą graficzną — całe al-



F. RUSZCZYC

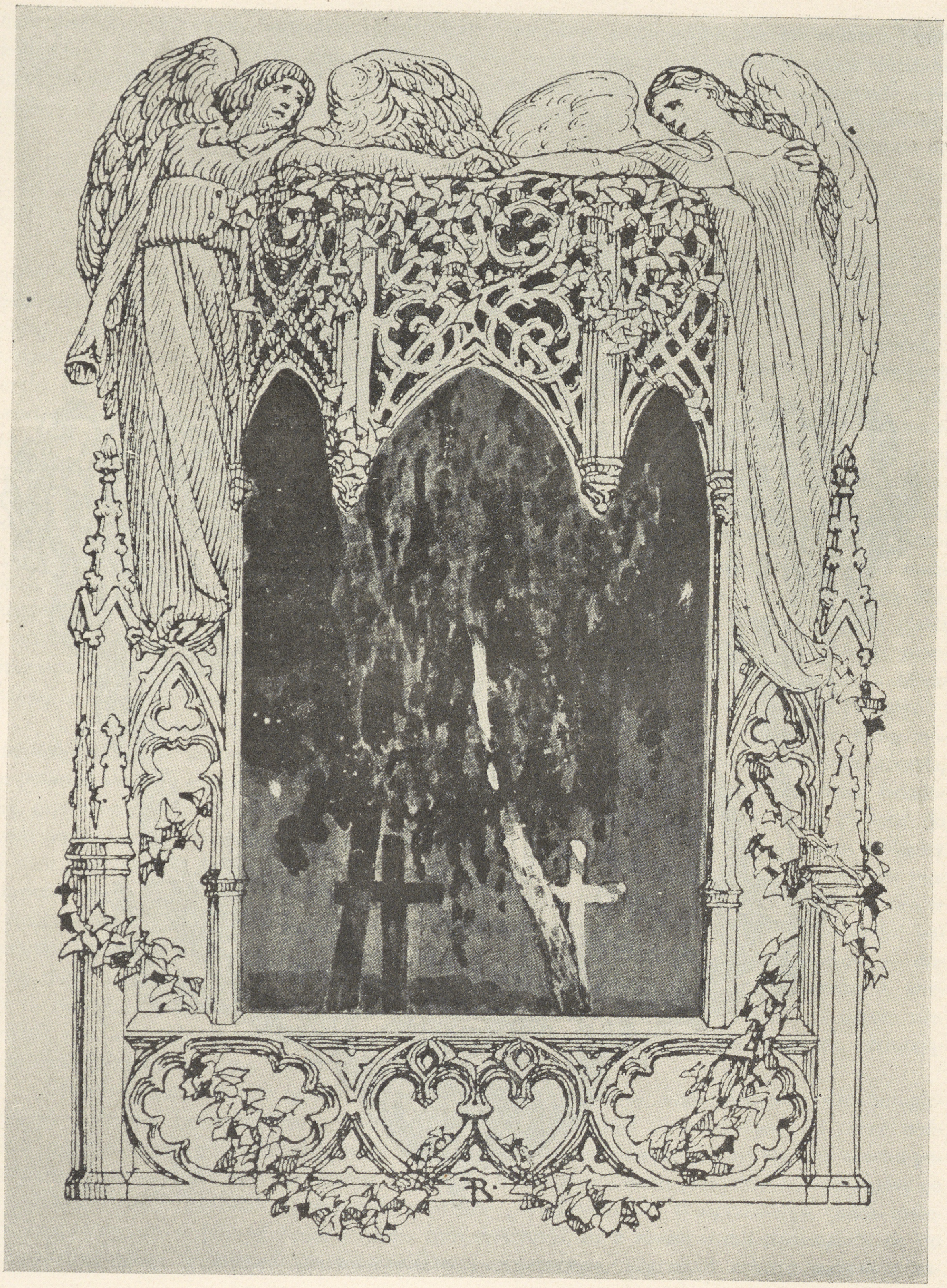
ILUSTRACJA DO WIERSZA SYROKOMLI
ILLUSTRATION DU LIVRE „SYROKOMLĄ“

Drobiazgi w rodzaju tej włóczki rzucają wyraziste światło na pewne stany uczuciowe Ruszczyca. Najbardziej osobiste i utajone, odbijają się one w jego twórczości z niezmienną ciągłością. Od pierwszych dziecinnych prób rysunkowych aż do ostatnich prac przedśmiertnych jest on wnikliwym piewcą „Domu", a ten dom — to nie miejsce błogich wczasów, lecz ostoja rodu, tradycja pracy, misterjum ogniska rodzinnego. Obcując z nim, zaprzęga całą potęgę i krasę swej formy malarskiej w służbę powinności serdecznych, prowadzących niedostrzegalnie od „Domu" aż do „Ziemi", a linja, łącząca te dwa punkty jest niezmiernie rozciągła. Z jednej strony potrąca ona o bezgraniczne obszary odczuć poprostu kosmicznych, sięga krańcem niebios i tam, na przepastnych zwałach obłoków, kreśli znaki wróżebne. Potem schodzi do wspomnień „Przeszłości", rozżarza wileńskie znicze, zagrzebane w gruzach spustoszenia, uprząta rumowiska i sposobi je pod zasiewy idących czasów. Ale w tej drodze nie pomija żadnego domowego wołania, zatrzymuje się przy każdej kapliczce domowych bóstw, przy każdym zakątku swojskiej codzienności. Wszystko tam widzi, zapamiętywa, pokazuje jakby mimochodem, ale tak wyosobnione i spotęgowane intymnością widzenia, że każdy drobiazg staje się klejnotem i relikwją.

Jakże często linja twórczości Ruszczyca od wyniosłej glorji „Ziemi" schylała się ku poziomowi Bohdanowskich pól, przewijała się między drzewami sadu i strzechami budynków i zagłębiała się w cienie niskiego drewnianego domu z belkowanym pułapem! Stawała się wówczas uważna, tkliwa, nieledwie nabożna, malowała z przejęciem zakątki pokoi, stare kantorki i portrety, lustra i kandelabry, wskrzeszała jakieś okruchy przedmiotów i nikłe ich zespoły, a w każdą cząstkę tych rzeczy, w każdą ich kolorową plamę wszczepiała nieśmiertelną moc miłości wiernej, a mądrej!... Przedmioty, zachowywane przez całe pokolenia, nabierały życia, nabrzmiewały sentymentem, napełniały się dziwnemi opowieściami o odwiecznych sprawach rodu i obyczaju, stawały się szacownemi symbolami wytrwania i oddania. Domowe drobiazgi świata Ruszczycowskiego dostawały duszy w jego rękach i wyrastały do tych samych wyżyn, na których zrodziła się „Ziemia". I szeptały z płócien słowa dobre i ciche, jak matczyna kołysanka, słowa, przesiąknięte wonią tradycji, czarem ukochania, wdziękiem czułego obcowania, delikatnym, jak dotknięcie różanych płatków. A razem były te obrazy domu w swej prostocie doskonale piękne, podobne duszy ich twórcy, i nieskazitelnem pięknem formy głosiły wierność artysty domowi, który go wykołysał, ludziom, którzy go zamieszkują i ziemi, na której ten dom spoczywa.

Dziwnie sugestywna była ta druga struna twórczości Ruszczyca — wjolinowa, jasna i cicha, grająca niedomówieniami, operująca pastelową świeżością barw, urocza, jak zatajone wstydliwe wyznanie. Tworzyła konieczne dopełnienie dla tamtej naczelnej struny, basowej, grzmiącej rozkołysaniem spiżowego dzwonu, uderzającej w ton hymnu i dramatu. A niemniej podziwu godna była w Ruszczycu kompozycyjna wszechwiedza, z jaką traktował elementy niewidoczne, a jednak współgrające w ogólnym układzie obrazu. Mistrz ten, nie znoszący precyzowania, pamiętał jednak o każdym potrzebnym szczególe, jak piszący symfonję muzyk nie pominie żadnej kropki lub kreski, istotnej dla wyrażenia myśli muzycznej.

A tak postępował Ruszczyc nietylko w swoich kompozycjach plastycznych, ale i w ogólnym planie kształtowania życia Wilna, którego stał się nieumyślnym dyktatorem. Wśród nawału innych prac uznał za potrzebne przypomnieć wilnianom wygląd ich miasta przed stu laty. Jak zabiegliwy gospodarz schyla się nad pożarzyskiem i przeszukuje zgliszcza, by wyratować to, co się ostało pod popiołami, tak Ruszczyc z pohańbionych murów wileńskich wywołał echa przeszłości: wydostał przy pomocy Studnickiego z Muzeum Czapskich w Krakowie fotografje Smuglewiczowskich widoków Wilna z początku XIX wieku, gdy jeszcze istniały ruiny zamku królewskiego i resztki murów obronnych i bram wileńskich, i stworzył dla nich wspaniałą oprawą graficzną — całe al-



F. RUSZCZYC

ILUSTRACJA DO WIERSZA SYROKOMLI
ILLUSTRATION DU LIVRE „SYROKOMLĄ“

bum, narysowane własnoręcznie, a walorami artystycznemi stokrotnie przewyższające bezpretensjonalne szkice Smuglewicza, mające raczej wartość dokumentów epoki. Spiknął się z niespokojnym duchem archiwum miejskiego, Studnickim, nieocenionym do wynajdywania starych akt, kompromitujących rabunkową gospodarkę moskiewską, dostał teksty objaśniające do fotografij i obfity



F. RUSZCZYC RYSUNEK Z OKŁADKI KSIĄŻKI „WILNO Z PRZED STU LAT"

materjał historyczny i uczynił z tego wszystkiego pomnikową rzecz o znamiennym tytule: „Wilno z przed stu lat". Nie domyślały się władze rosyjskie, ile dynamicznej i wręcz dynamitowej treści mieściło się w takiem niewinnem wydawnictwie „archeologicznem". Po książce o Syrokomli było ono dla mnie powtórnem objawieniem ducha Ruszczycowskiego w tym czasie, a przypiski Studnickiego łączyły prostotę gołębia z chytrością węża. Znowu kapitalna księga o wysokim poziomie artystycznym, oceniona niedostatecznie i dziś już stanowiącą rzadkość bibljograficzną. Ona mię nauczyła lepiej rozumieć i Ruszczyca i Wilno, niż dziesiątki innych rzeczy i długo obcowałem z jej kartami, wczytując się w martyrologję naszej stolicy.

Na okładce dał Ruszczyc stylizowaną bramę Subocz, potężnie warowną, a w niej herb Wilna ze świętym Krzysztofem. Wewnątrz, obok portretu Smuglewicza, wytworna karta tytułowa mieściła wzruszający symbol — lampę oliwną, przewróconą i dymiącą ostatniem tchnieniem. Jak ten artysta umiał środkami malarskiemi wyrazić uczucia Polaka! Jak bez tendencji umiał być niebezpiecznym podżegaczem politycznym. Jak umiał potężnie zagrać na strunach naszych wyziębionych serc!... Na każdej stronicy jakiś inicjał, emblemat, zastawka, końcówka w lapidarnej technice graficznej przemawiały stylem epoki. Obrazy dawnego Wilna ukazywały jego bogactwo architektoniczne, a nadewszystko przedstawiały w wielostronnych ujęciach Królewski Zamek Dolny, którego potworne zniszczenie aż do tła przez Rosjan i Żydów opiewał dyskretnie rzeczowy komentarz historyczny. Ogółem było tam około 25 rysunków Ruszczyca, a na końcu — jego prześliczny plan starego Wilna, wykonany w barwach i utrzymany w stylu tamtoczesnym. Wstawała jak żywa historja tych wileńskich pamiątek, tych porujnowanych kościołów i kaplic, tych poniszczonych bram miejskich i murów obronnych, które równano z ziemią z taką samą szatańską zaciekłością, z jaką dzisiejsza Rosja wytępia u siebie wszelkie ślady kultury i religji. A nad tem piekłem ludzkiej złości i zdziczenia unosił się nieśmiertelny duch katowanej Polski, bezbronny, a niezwyciężony, przemawiający górnie wizerunkami tamtego czasu i całą tą dostojną księgą dawnej wspaniałości. Objawił się w niej duch Ruszczyca i dawał, jak zawsze, świadectwo nierozdzielności Piękna i Prawdy.

A mnie uczyła ta księga Ruszczycowska nieznanej dotąd mowy kamieni i wieków, którą można usłyszeć tylko szukając w nich odbicia wielkich uczuć i wielkich czynów przeszłości. Uczyła, że pomniki dziejów można pokochać sercem tylko wtedy, gdy się je ogarnie naprzód myślą świadomą, gruntownie ukształconą. Uczyła, że za każdą świątynią i pałacem stoi ktoś, co je powołał do życia wolą, ambicją, trudem lub talentem. Że marmury i granity są zimne i nieme, dopóki szukamy w nich plastycznego piękna jedynie, gdyż zawsze mogą być zaćmione przez inne, wspanialsze monumenty obce. Trzeba *wiedzieć,* kiedy, jak i dlaczego one powstały, wyczuć ducha ich twórców i fundatorów, przeżyć zaklęte w nich myśli i uczucia, wzloty i upadki ludzkie, by zrozumieć naprawdę, czem jest architektura, a zwłaszcza — czem są zabytki naszych polskich dziejów — dumne słupy kultury, opierające się do ostatka wschodnim wiatrom dzikości i zniszczenia. A wtedy — pokocha się nazawsze te kamienne pamiątki za wielkość radości i tryumfów, za ogrom nieszczęść i bólów, jakie są w nich ukryte. I będzie się je czciło świadomie, jak Ruszczyc, nieustającem nabożeństwem kornego obcowania.

Któregoś rana Ruszczyc wcześnie wpadł do mnie, przerywając moje medytacje nad Smuglewiczem. Gdy mu powiedziałem o moich wrażeniach, uśmiechnął się przyjaźnie, ale zaraz wrócił do sprawy swego przyjścia, związanej z nowemi projektami. Smuglewicz był wydany w roku poprzednim i stanowił dla niego przeszłość już daleką wobec wiru i waru pomysłów nowych, które go przepełniały. Teraz chodziło o wystawienie w Wilnie „Warszawianki" Wyspiańskiego, praca inscenizacyjna była już w pełnym biegu i trzeba było stwierdzić, co z moich mebli nadawałoby się do tej sztuki na scenę. Wpadł tedy do mnie jak wicher wiosenny, zagrzmiał echem majowej bu-

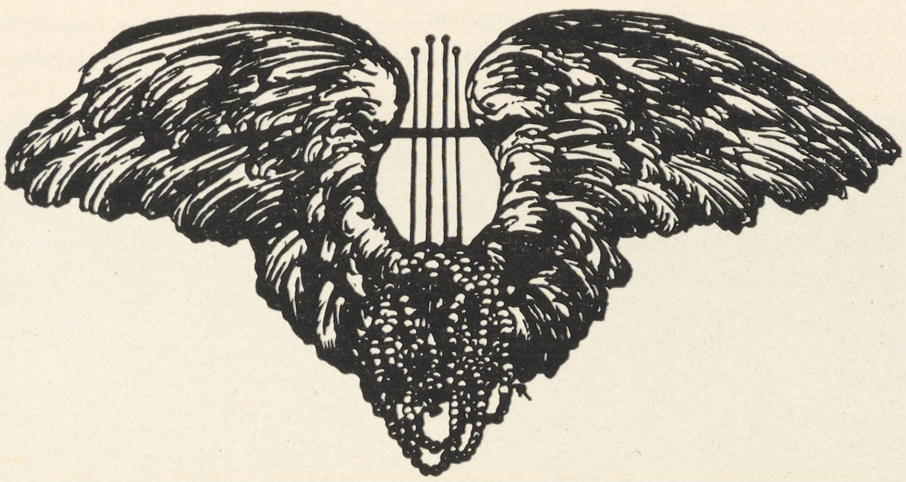
rzy, w której jest więcej słońca, niż grozy, zapowiedział na wieczór zebranie u mnie „Koła Artystycznego“, wyliczył znajomych, gdzie już robił nieudane rekwizycje mebli do „Warszawianki“, zasekwestrował parę moich gratów na ten cel, przejrzał jakieś moje zdjęcia, narysował na papierze jakieś hieroglify, wygłosił mosiężnym tembrem swoje zwykłe „no tak, właśnie — właśnie“, zakręcił się na pięcie i tyle go widziałem. Ale nie było w tem trzpiotowatej lekkomyślności — przeciwnie — dojrzała rozwaga, szła zawsze w parze z porywami temperamentu i osłaniała jego upajanie się czynną radością życia. Dopóki siedział naprzeciw mnie w fotelu i słuchał, był spokojnym i uważnym rozmówcą, wyglądał tak, jakgdyby miał spędzić na tem miejscu jeszcze długie godziny. Ale to było tylko wielkie opanowanie: nie tracił nigdy z oczu planu dnia, pełnego treści, i nie przesiedziałby ani chwili dłużej, niż tego wymagała konieczność. Zdążył mi jednak wówczas opowiedzieć z beztroskim humorem, jak osobliwie poznali się księgarze wileńscy na jego wydawnictwie Smuglewiczowskiem, jak utyskiwali na powiększenie przez niego preliminowanej liczby ilustracyj i na wywołane tem podniesienie kosztu wydawnictwa, jak ostrożnie i „delikatnie“ próbowali zepchnąć na niego te dodatkowe koszta, zachowując jednak sobie wszystkie korzyści nakładców i sprzedawców, jakie czynili wysiłki, by on, dając bezinteresownie swój artyzm, dopłacił im do niego jeszcze w gotówce.

Wieczorem odbyło się u mnie zebranie „Koła Artystycznego“ na którem obecny był Ruszczyc. Zdaje się, że i ta rzecz była przez niego pomyślana i przeprowadzona: interesował się ruchem kulturalnym starszej młodzieży szkolnej i szukał z nią zbliżenia, jak zawsze — celowego. Przyszło wtedy ze trzydzieści osób obojga płci, całkiem mi nieznanych — obecnie są to już ludzie dojrzali na stanowiskach społecznych lub znani literaci i artyści. Deklamowano wiersze, grano na fortepjanie, przeglądano szkice i rysunki, dysputowano o sztuce i literaturze, było gwarno i wesoło, jak zwykle wśród młodzieży. Ruszczyc unikał przodowania lub mentorstwa i starał się przestawać z każdym na stopie koleżeńskiej, co mu łatwo przychodziło przy jego talentach towarzyskich, dowcipie i swadzie, ale jednocześnie był wewnętrznie skoncentrowany i czujny. Widać było, że szuka w tym tłumie — swoich ludzi. Zresztą zebranie mimowolnie poddawało się jego autorytetowi i bardzo nieznacznie było kierowane przez niego.

Po tem zebraniu nie widziałem go blisko tydzień, będąc sam mocno zajęty. Z paru przypadkowych spotkań na ulicy wnioskowałem, że robota u niego pali się, że z „Warszawianką“ dodochodzi do końca. Nie miał on naogół zwyczaju mówić o swych pracach przed ich całkowitem wykończeniem: o najkapitalniejszych pomysłach nie posłyszało się od niego ani słowa przed właściwym czasem, tak zamknięty był w sobie twórca. Przed tą premjerą musiał pracować z niezwykłem wytężeniem, bo wyglądał blado i mizernie, jak człowiek chronicznie niewywczasowany. Nagabywanie o sprawy teatralne zbyt żartem, że marzy tylko o jednem: żeby raz porządnie się wyspać, ale w oczach miał iskry i powiedział mi na pożegnanie: „Zobaczy pan w niedzielę“.

Teatr Polski w roku 1913-tym pod dyrekcją Pawłowskiego i Strycharskiego mieścił się w budzie cyrkowej na placu Łukiskim. Cyrk był chwilowo nieczynny i jego opróżnienie dawało przytułek naszej kopciuszkowatej Melpomenie. Nie była ona zresztą wybredna i nieźle dawała sobie radę w tej niegodziwej drewnianej szopie. W dniu 13 stycznia na „Warszawiance“ teatr zapełnił się po brzegi — całe Wilno przyszło oglądać inscenizację Ruszczyca i dramat Wyspiańskiego, wystawienie którego, pomimo licznych skreśleń cenzora, było naonczas zadaniem drażliwem i przeobraziło się w wielką manifestację patrjotyczną. A jednocześnie było niezwykłem świętem sztuki. U wejścia spotykały programy, wykonane w słonecznym kolorze Ruszczycowskim. Program oficjalny musiał mieć tekst rosyjski obok polskiego, co tworzyło w takim zwłaszcza dniu nieznośny dysonans. Więc ograniczono się do niewielkiej liczby druków urzędowych, a właściwe, tylko polskie progra-







F. RUSZCZYC

AFISZ „WIECZORU POEZJI“
AFFICHE DE LA „SOIRÉE DE POÉSIE“

my, rozdawano z nadrukiem: „Dodatek do Kurjera Wileńskiego". Ten wybieg chronił od inwazji moskiewszczyzny i był oczywiście pomysłem Ruszczyca. Ciepła złocista karta programu była otoczona dostojnym gronostajowym szlakiem, a wewnątrz, przez tekst, przeświecała bladym zarysem uskrzydlona harfa, z której spływały perły. Na karcie motto: „Szlakiem tęsknoty" tak przemawiało słowami Norwida:

„Bo nie zginęło żadne utęsknienie,
I żadna boleść nie przewiała marnie,
I żaden uśmiech, blady nieskończenie...
Jest taki anioł co skrzydłami garnie
I śmiech i boleść i to niedotkliwe
Człowieka chaos bierze w dłoń, jak żywe...

. . . .

Spytam się tedy wiecznego człowieka,
Spytam się dziejów o spowiedź piękności.
Cóż wiesz o pięknem?...
.... Kształtem jest — Miłości".

. . . .

„Wieczór Poezji" składał się z trzech części, z „Wstępu do Nieboskiej Komedji", z obrazu pod tytułem „O czem tu dumać na paryskim bruku" i z „Warszawianki", wszystko w oryginalnej i pięknej oprawie dekoracyjnej Ruszczyca. Wstępu Krasińskiego już dziś nie pamiętam — wrażenia jego doszczętnie wymazały doznania następne. Te wprost olśniewały, dobywały najgłębszy krzyk serca, najgórniejszy zachwyt oczu.

W paryskiej mansardzie, przy oknie stał Mickiewicz i patrzał w dal. Przed jego wyobraźnią przesuwała się wizja dziedzińca Uniwersytetu Wileńskiego, jak ją znamy ze sztychu Wilczyńskiego, pochód profesorów w togach wśród arkadowej rytmiki gmachu przed strzelistą fasadą kościoła Świętego Jana. I mówił wygnaniec o swojej wielkiej tęsknocie za krajem słowami wstępu z „Pana Tadeusza". A my, patrząc na tę zjawę z zewnętrznem drżeniem, ze łzami, których już nie trzeba było wstydzić się, nie wiedzieliśmy, nędzarze, tego, o czem wiedział, co prorokował wieszczy duch Ruszczyca: że „słowo stanie się ciałem" już niezadługo, że to widzenie za lat kilka przeistoczy się w żywą, cudną rzeczywistość naszego Uniwersytetu, wskrzeszonego w wolnej Polsce; że to, czego nie doczekał Mickiewicz, stanie się udziałem Ruszczyca, i że on sam, jako profesor w uroczystej todze, będzie kroczył po tem podwórzu od kościoła do podwojów uczelni... Twórcze i wskrzesicielskie są tęsknoty wielkich dusz — ślepe i niewidzące oczy zwykłych śmiertelników....

Nie ochłonęliśmy jeszcze po tem olśnieniu, gdy przyszła „Warszawianka". Ogarnął nas biały czar komnaty empirowego dworu i jasnych siostrzanych postaci dwuch polskich dziewic, a na tej bieli legły krwawe stygmaty męki i bohaterstwa, zmroczył ją krzyk rozpaczy i patos szaleństwa... I zabrzmiała ta straszliwie piękna pieśń:

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był...

. . . .

Są uczucia, których godną oznaką zewnętrzną może być tylko — pokorne milczenie. Pochylić głowę — zgiąć kolana — uczcić szczytność chwili milczeniem...

. . . .

. . . .

„Warszawianka“ miała w tym sezonie zimowym dwadzieścia pięć przedstawień, potem już bez dwuch poprzedzających obrazów. Sam widziałem ją chyba z dziesięć razy, bo fotografowałem dla Ruszczyca i często z nim do teatru wpadałem, biorąc w naszem święcie udział, na jaki mię było stać. Niektóre meble na scenie były z mego salonu, ale więcej jeszcze dał Ruszczyc własnych, spotykając się z niechęcią ich użyczenia przez innych posiadaczy. Zachowało się kilka moich zdjęć salonu z dwiema siostrami a także ze sztabem Chłopickiego, oraz pojedyńczych postaci scenicznych, ale żadna fotografja nie odda nastroju Ruszczycowskiej inscenizacji, tej uroczystej bieli salonu kolumnowego, z monumentalnem popiersiem „boga wojny“ między oknami, tych girlandowych obramień, wieńczących ściany, tego jękliwego klawikordu, kryjącego w swych strunach tajemnicę zgonu, tych wreszcie młodych dziewic w białych szatach zaślubin ze śmiercią. Żyliśmy potem długie tygodnie tym dramatem, odnajdując w nim coraz nowe czary, a sukces Ruszczyca był całkowity, przechodzący wszelkie wyobrażenie: teatr był oblegany stale i do końca sezonu sztuka miała świetne powodzenie. Potem „Warszawianka“ pojechała w objazd po całym kraju i po cesarstwie



F. RUSZCZYC SZKIC DO INSCENIZACJI „WIECZORU POEZJI“

rosyjskiem, zawędrowała nawet do Petersburga i święciła wszędzie długie tryumfy, co ja odczułem doraźnie, bo z nią pojechały w świat i moje meble, których zastępstwa przygodnemi Ruszczyc wolał uniknąć, więc potem mawiało się żartobliwie, że moja kanapa ma niezwykłe uzdolnienia aktorskie, bo grała „Warszawiankę" po całym świecie. A gdy po wielu miesiącach i kolejach powróciła na miejsce, miała wygląd nietyle dumny, ile sfatygowany i trzeba było ją oddać na kurację do stolarza. Ten rok 1913-ty, ostatni przed wybuchem wojny, był w Wilnie rokiem Ruszczycowskim i jestem szczęśliwy, że mogłem być jego naocznym świadkiem.

A oto echo prasy warszawskiej o tych inscenizacjach: „...oglądaliśmy „Orlę" i „Warszawiankę", okraszone dekoracyjnemi wysiłkami Ruszczyca. Piszę „wysiłkami", bo w Wilnie, przy braku wykwalifikowanych malarzy, przy ubóstwie kasy teatralnej, zarówno wnętrza „Warszawianki", jak salonów w Schönbrunn musiały powstać *osobistą* pracą Ruszczyca, który sam malował, sam kroił, sam szył niemal i projektował kostjumy dam dworskich, — niestrudzony, imponujący miastu i ludziom ogromem niewdzięcznej nieraz, zawsze bezinteresownej pracy". Nawet w oczach protekcjonalnej krytyki warszawskiego olimpu Ruszczyc zasłużył na pochwałę.

Dopiero po „Warszawiance" zrozumiałem z całkowitą jasnością posłannictwo artystyczne Ruszczyca w Wilnie. Zrozumiałem, że malarstwo, to tylko mała cząstka jego osobowości, że nierównie większem jest to, co czyni Ruszczyc przy pomocy swej sztuki — promieniowaniem swej duszy. Że namalować obraz — to może być wiele, ale — oddać siebie — to jest daleko więcej. Ukazał mi się w całej wymowie i powadze natchniony przywódca i organizator życia artystycznego i kulturalnego w Wilnie i kraju.

Ale muszę jeszcze wrócić do premjery. Po wybuchu gorączkowego entuzjazmu całej widowni, która utworzyła jakby jedną wielką rodzinę i długo otaczała Ruszyczyca serdecznym ściskiem, przyszedł epilog: wyludnienie teatru, gaszenie świateł. Znaleźliśmy się w kilku razem z Ruszczycem, i poszliśmy, jako że było najbliżej, „do Bułhaka". Przepełniało nas uniesienie, radość szczególna, mocna poczuciem jakiegoś pomnożenia i wzbogacenia życia w powszechnem zbrataniu. Zadzwoniły gęsto kielichy, bo wówczas szampan nie był jeszcze zbytkiem, dostępnym tylko dla nielicznych uprzywilejowanych „demokratów". Ruszczyc promieniał, darzył nas dobrem słowem i uśmiechem, chociaż był bardzo znużony i trzymał się resztkami sił. Spędziliśmy tę noc na bezprzytomnych wy-



FOT. J. BUŁHAK

F. RUSZCZYC. SCENA Z „WARSZAWIANKI"



F. RUSZCZYC. OKŁADKA DO KSIĄŻKI „POGRZEB LALKI"
COUVERTURE DU LIVRE „POGRZEB LALKI"

wnętrzeniach, na porywach wylewnej uciechy, kiedy naprawdę człowiek jest drugiemu bratem i kiedy słowo idzie z serca prosto do serca. Nie wiem, o czem mówiliśmy, ale czuliśmy się głęboko szczęśliwi przyjęciem Ruszczycowskiej komunji piękna. Oparty w rogu kanapy, Ruszczyc brał udział w naszem oszaleniu, ale stopniowo przycichał, a gdy wybiła jakaś godzina poranna, zauważyliśmy, że usnął. Nawet jego żelazny organizm wypowiedział posłuszeństwo po ostatnich tygodniach nieludzkich trudów. I spał wśród nas cicho, spokojnie, jak dziecko, zmęczone całodzienną zabawą...

To nas otrzeźwiło. Zrozumieliśmy, że musi już być bardzo późno i że nasze święto trzeba kończyć. W milczącem porozumieniu podeszliśmy do Ruszczyca, wzięliśmy go ostrożnie na ręce i zanieśliśmy na łóżko. Nie czuł nic, spał kamiennym snem zwycięscy olimpijskiego... Długo patrzałem ze wzruszeniem na tę piękną głowę w uśpieniu... Ale gdy się nazajutrz obudziłem dość wcześnie i poszedłem do pokoju sąsiedniego, by powiedzieć gościowi dzieńdobry, zastałem łóżko puste, Ruszczyca ani śladu, jakby ta noc była tylko sennem marzeniem. On nie miał czasu na długie wylegiwanie się. Popędził do pracy, może już do realizowania jakiegoś nowego pomysłu. Śpieszył do swojej twórczości, jak do kochanki.

. . . .

W tym samym sezonie zimowym Ruszczyc wystawił jeszcze „Orlę“ Rostanda i znowu przez jakiś tydzień szalał w gorączce dekoratorskiej. Tym razem miałem sposobność zaglądnięcia za kulisy sprawy i podziwiania jego doskonałej planowości pomyślenia, połączonej z płomiennym zapałem wykonywania. Stary dekorator teartralny Jabłonowski, który był jego pomocnikiem w rzeczach technicznych, ledwo zipiał po kilku dłuższych seansach całonocnych i wreszcie obdarzył Ruszczyca temi słowami nietyle wymówki, ile najwyższego uznania: „Z panem — to można dowoli napracować się“.

Nigdy nie słyszałem, by któryś ze współpracujących rzemieślników narzekał na nadmiar pra-



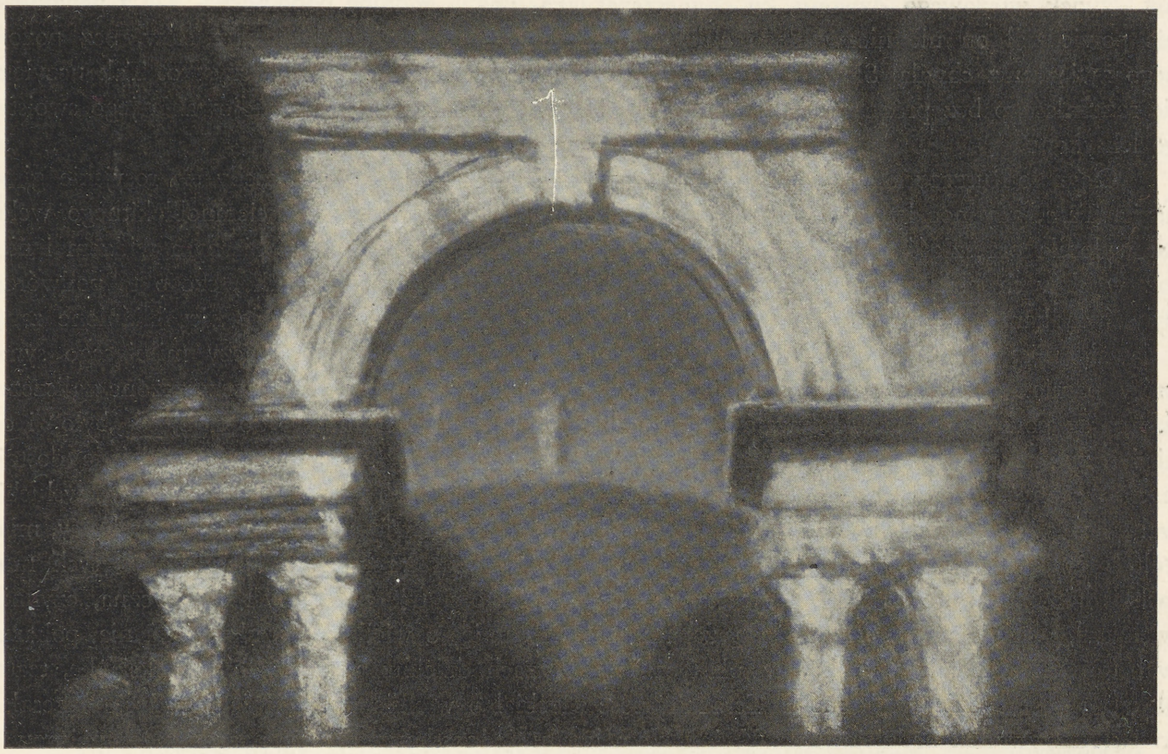
FOT. J. BUŁHAK F. RUSZCZYC. SCENA Z „ORLĘCIA“

cy i surowe wymagania Ruszczyca: mówili o tem z pogodą i zrozumieniem, zachęceni jego przykładem, przejęci jego zapałem, porwani czcią dla wielkości dzieła artystycznego. Zapominali o sobie i uczyli się myśleć tylko o dziele.

Oprawa „Orlęcia" była oczywiście wspaniała, salon rokokowy w pałacu Schönbrunnu pełen finezji, a widok na ciemno-błękitną nocną perspektywę parku urzekał poetycznym nastrojem. Ten ostatni Ruszczyc wykonał osobno, jako szkic pastelowy i podarował go Wierzyńskiemu, który ma go po dziś dzień. Fotografowałem naturalnie i tę sztukę, bo zresztą wkrótce ustalił się zwyczaj, że wszystko, co zrobił Ruszczyc, trafiało przed mój aparat i było przezemnie starannie rejestrowane. „Orlę" w jego interpretacji było równie piękne, jak widowiska poprzednie, ale nie mogło dorównać wrażeniom, jakie przeżyłem z „Warszawianką". „Orlę" miało wielkie powodzenie w mieście i te dwie sztuki stanowiły niewątpliwie okrasę sezonu i epokę w rozwoju teatru wileńskiego.

Przyszła wiosna, a z nią zaczęły się niezapomniane dla mnie wędrówki po mieście w towarzystwie Ruszczyca, który lubił w chwilach wolnych wałęsać się po naszych zaułkach i przystawać w admiracji przed malowniczemi lub monumentalnemi widokami. Tej zimy poznałem był z jego ręki „Stare Wilno" w obrazach Smuglewicza. Teraz wprowadzał mię do tegoż miasta żyjącego i na każdym kroku pokazywał rzeczy, o których nie miałem dotąd pojęcia. Zamało jeszcze umiałem patrzeć, ale nie była to ślepota przyrodzona: stosunek mój do natury świadczył o wręcz przeciwnych dyspozycjach. Było to raczej bielmo, którem mi zaciągnęło oczy moje dawne otoczenie. Życie obecne zdejmowało mi je coraz skuteczniej przy pomocy Ruszczyca. Czyniłem szybkie postępy — wystarczały krótkie chwile, lekkie jego napomknienia, żebym potrafił iść dalej i samodzielnie prowadzić moje poszukiwania odkrywcze po Wilnie, a potem po całej Polsce. Dawna inercja była jakby stanem równowagi niestałej: przy najlżejszem pchnięciu spokój martwoty przeobrażał się w ruch i pęd, w jakim przeżyłem resztę życia. Włożyłem w nie dużo trudu i pasji i pod tym względem nie potrzebowałem nawet zachęty mego mentora, gdyż te właściwości miałem wrodzone i trzeba tylko było sposobności, by się mogły należycie przejawić.

Ruszczyc miał w Wilnie na każdym kroku swoje ulubione zakątki, do których rad wprowadzał i wtajemniczał w ich piękno. Jednym z najważniejszych był kościół Świętego Piotra i Pawła na Antokolu, przepełniony rzeźbą figuralną i ornamentacyjną. Tam stawał on w niemym zachwycie nad rozkoszną wybujałością tamtoczesnego życia, podziwiał bogactwo palmowych i różanych bukietów, kochał się w enigmatycznym uśmiechu dziewczyny z karjatydy, w młodzieńczym wdzięku głów, zdobiących górne fryzy. Współczuł z boleścią szatana, tolerował umizgi faunów do nimf, tryumfował ze zwycięskim Świętym Kazimierzem, który „in aere apparens vicit Moscos", zabawiał się stylizowanemi uszami kłopouchych słoni i wzruszał plecionym koszyczkiem, jakby tylko co przyniesionym z Łukiskiego rynku. Całą istotą swoją współżył z roześmianą zawieruchą oszalałej radości, jaka się przelewa w tym kościele. A ja szedłem jego śladami, uczyłem się podchwytywać jego odczucia i wynajdywać własne i zdaje się, że nie byłem w tem uczniem niepojętnym. Uczyłem się od niego, że w architekturze nie należy widzieć czegoś oderwanego od czasów i ludzi, a stworzonego dla marnego celu przelotnej potrzeby lub rozrywki. Od tego zdawkowego sposobu pojmowania sztuki budowniczej szedłem w głąb jej istoty, doszukiwałem się w niej odbicia i pobudek człowieka, który ją stworzył i charakteru ludzi, dla których była tworzona. Zdumiony, postrzegałem w przejawach sztuki monumentalnej przyczyny żywe i konieczności bezpośrednie, wypływające z duszy narodu i z ducha dziejów, ucieleśnienie wielkich uczuć i pragnień, krzepnięcie obyczaju w tradycję, a tradycji—w święte księgi narodowej męki, cnoty i chwały. Z nabożnem rozradowaniem odnajdywałem te nici niewidzialne, a takie mocne z chwilą ich uświadomienia, nici wiążące żywoty jednostek z całą przeszłością narodu, nici tęczowe i złociste, albo żałobne i krwią ociekłe, wszystkie wy-



F. RUSZCZYC SCHÖNBRUNN. SZKIC DO INSCENIZACJI „ORLĘCIA“

przędzone na czarodziejskim warsztacie sztuki, ale przedtem wysnute z najtajniejszych pokładów sumienia.

Do naszych wędrówek przyłączał się czasem i Wacław Studnicki, któremu także niejedno miałem do zawdzięczania w tych latach. Studnicki był żywą kroniką dziejów Starego Wilna i umiał oświetlić każdy jego zakątek datami i danemi faktycznemi w głęboki i szczególny sposób. Ale Ruszczyca pociągał więcej duch miasta, ów tak często podkreślony w jego przemówieniach genius loci, i plastyczne uzewnętrznienie tego ducha na tle wileńskiej przyrody. Dużośmy tej wiosny wychodzili po zaułkach i podwórzach, szukając fragmentów i aspektów, podziwianych z rosnącym fanatyzmem. Widziały nas nieraz i Popowszczyzna, i góry Altarji, i sady Misjonarskie i Wizytkowskie, i zielone wzgórza Rossy, i niewiarogodna scenerja Karolinek. Zresztą Ruszczyc niezawsze mógł sobie pozwalać na takie wagarowanie, a przy jego wrącej pracowitości trzeba się dziwić, że kiedykolwiek wogóle znajdował czas na pokazywanie mi Wilna. Niebawem poszedłem je poznawać i zdobywać sam, a przed Ruszczycem tylko zdawałem sprawę z poczynionych zdobyczy. Ustalił się zwyczaj, który trwał kilka pierwszych lat, że każde moje nowe zdjęcie najpierw było jemu pokazywane i w ten sposób otrzymywało wizę życiową.

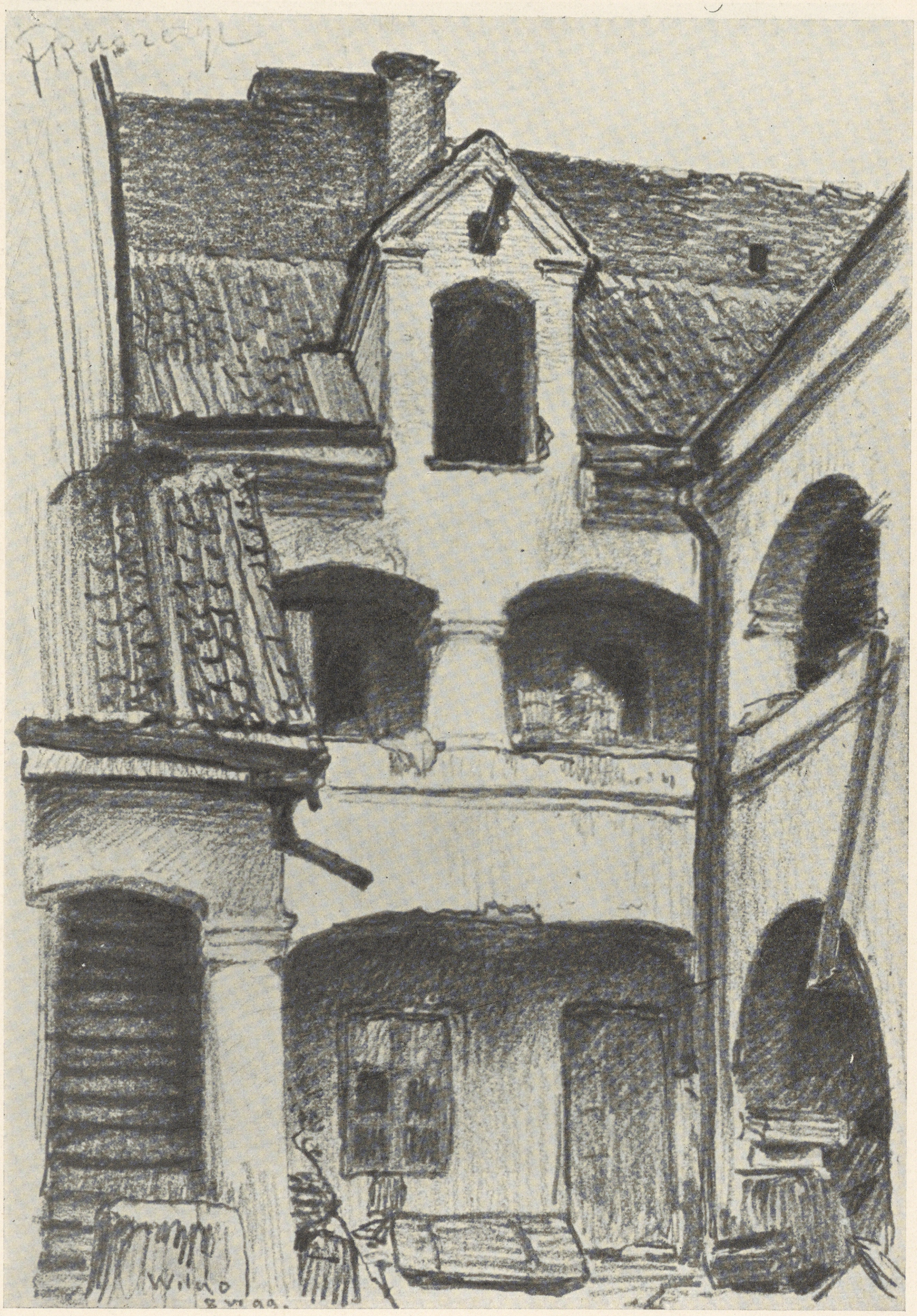
Kiedyś w księżycową noc znaleźlismy się przed Katedrą. Było późno i ruch uliczny ustał już był zupełnie. Stanęliśmy u głównego portalu i stamtąd patrzaliśmy, jak ogromne kolumnowe trzony dźwigają się ku granatowemu niebu, a pomiędzy niemi przelewają się strugi zielonkawego światła, nasiąkniętego nocnem milczeniem. I znowu, jak już nieraz, wyczuwaliśmy w tem kamiennem i srebrnem milczeniu myśli największe i najlepsze, które nam szeptało to serce grodu, bijące wiecznym rytmem. A gdy wreszcie Ruszczyc przemówił, głos jego brzmiał niemniej wyrocznie,

niż dźwięk wieżowego dzwonu, co obwieszczał jakąś późną godzinę popółnocną. Ale z pewnością nie powiedział on nic niezwykłego ani patetycznego: rzucił może jakieś parę słów, bez pozornego związku z chwilą. Słowa były zwykłe, ale ich intonacja starczyła za wszystko. Tak uczyłem się rozumieć go bez próżnych słów i takie chwile służyły mi za klucz do studjowania jego swoistego leksykonu.

Ciągnęło Ruszczyca przemożnie do murów pouniwersyteckich, gdzie mieściły się rosyjskie gimnazja. Tam, gdy noc letnia skryła ohydę dziennego barbarzyństwa i z za ciemnobłękitnego welonu wyłoniła przeszłość, dając jej złudzenie życia, — tam nie umiał on być biernym widzem i nieraz w słowach gorzkiego zachwycenia zestawiał z dzisiejszością to wszystko, czego te podwórza były świadkami przed wiekiem. Śnił sny o dawnej wielkości... Otwierały się niezabliźnione rany i dawały miarę uczuć tajonych, jakie w nim budziło Wilno: porywy rozpaczy miłującego syna, który pamięta świetne dzieje swego rodzimego domu, a dziś ogląda jego zbezczeszczone zgliszcza. Ale zaraz powracała wiara, spływało uciszenie nadziei, rozpalała się miłość do tego, co „było" i co kiedyś znowu powróci. Ze szczególnem wzruszeniem wspominał czasy filareckie, plejadę dostojnych uczonych, zacne życie młodzieży akademickiej, śledził ich cienie wśród murów, wsłuchiwał się w odgłosy i echa ich obecności. Dla młodocianego Mickiewicza, studenta tej wszechnicy, miał kult, graniczący z wizjonerstwem. Odnajdywał, czuł, widział Mickiewicza, chodząc po tych murach i dziedzińcach. Żyła w nim nieustanna myśl o wielkości tej epoki, myśl ekstatyczna, czynnie wielbiąca, ogarniająca innych pożogą zapału. Budził pamięć o wielkości i tęsknotę za nią, pokazywał tę wielkość, jak Matejko, w plastycznych obrazach dziejów, wszczepiał ją w książkę, teatr, plakat, ulotkę, gdzie tylko mógł. Teraźniejszość zazębiał o wielkie wydarzenia i tradycje przeszłości i stąd wywodził nadzieje jutra. Każdy ułamek bytu jednostkowego, czy narodowego, pojmował jako *ciągłość,* nieprzerwaną i niezniszczalną w założeniu duchowem. Stąd płynęło jego mistyczne przywiązanie do murów i pamiątek, wyobrażających nawarstwianie pokoleń i czynów, a to odbicie ciągłości pracy człowieczej odnajdywał i w przyrodzie, w wiecznej powtarzalności odradzającego się życia, w nienapatrzonej tajemnicy nasienia, kwiatu i owocu. Od nich powracał znowu do drzew sadzonych przez przodków nie dla siebie, lecz dla synów i wnuków, do ulów pszczelich, odnawiających się co roku w miodowej obfitości, do niezgłębionego misterjum współżycia człowieka i natury...

Mówiąc o zapracowaniu Ruszczyca w owych czasach, mam na myśli nie tylko działalność ściśle artystyczną. Był on pochłonięty inscenizacjami teatralnemi i zdobnictwem graficznem, ale do tego dochodziło całe mnóstwo zatrudnień o charakterze ogólniejszym, społeczno-artystycznym. Miał ożywione stosunki w mieście ze wszystkimi, którzy reprezentowali jakąś myśl, jakiś zawód lub stanowisko i mogli z tego tytułu być jemu pomocni w budowaniu Wielkiego Wilna kultury i ducha polskiego. Sprawy te taił w sobie głęboko i wyjawiał tylko nieznacznie, w miarę doraźnej potrzeby, ale późniejszy okres wyzwolonego Wilna i doniosła w niem rola Ruszczyca pokazały, jak wielkie i dalekosiężne były jego marzenia dawne, piastowane w cichości czasu niewoli. Jeśli przyjeżdżał do Warszawy lub z za kordonów ktoś znaczniejszy z Polaków, ten nie mógł w Wilnie pominąć Ruszczyca, już wówczas uważanego za rzecznika piękna i polskości miasta.

Ale mimo powagi i posłuchu, jakie budził w otoczeniu, zadanie jego nie było łatwe i przynosiło mu niejedno rozczarowanie. Gruba jeszcze była powłoka „lawy", okrywająca rzeczy i ludzi po ostatnim wybuchu wulkanu rozpaczy narodowej. Nieraz mawiał z goryczą, że mu przeszkadza we współpracy z ludźmi miejscowymi rosyjska „zakwaska", jak zwykł był nazywać zrusyfikowanie i bierną obojętność na najważniejsze nasze sprawy. Marzył dla Wilna o godnej architekturze, nawiązanej do dawnych tradycyj, o ozdobieniu miasta poważnemi gmachami publicznemi



F. RUSZCZYC

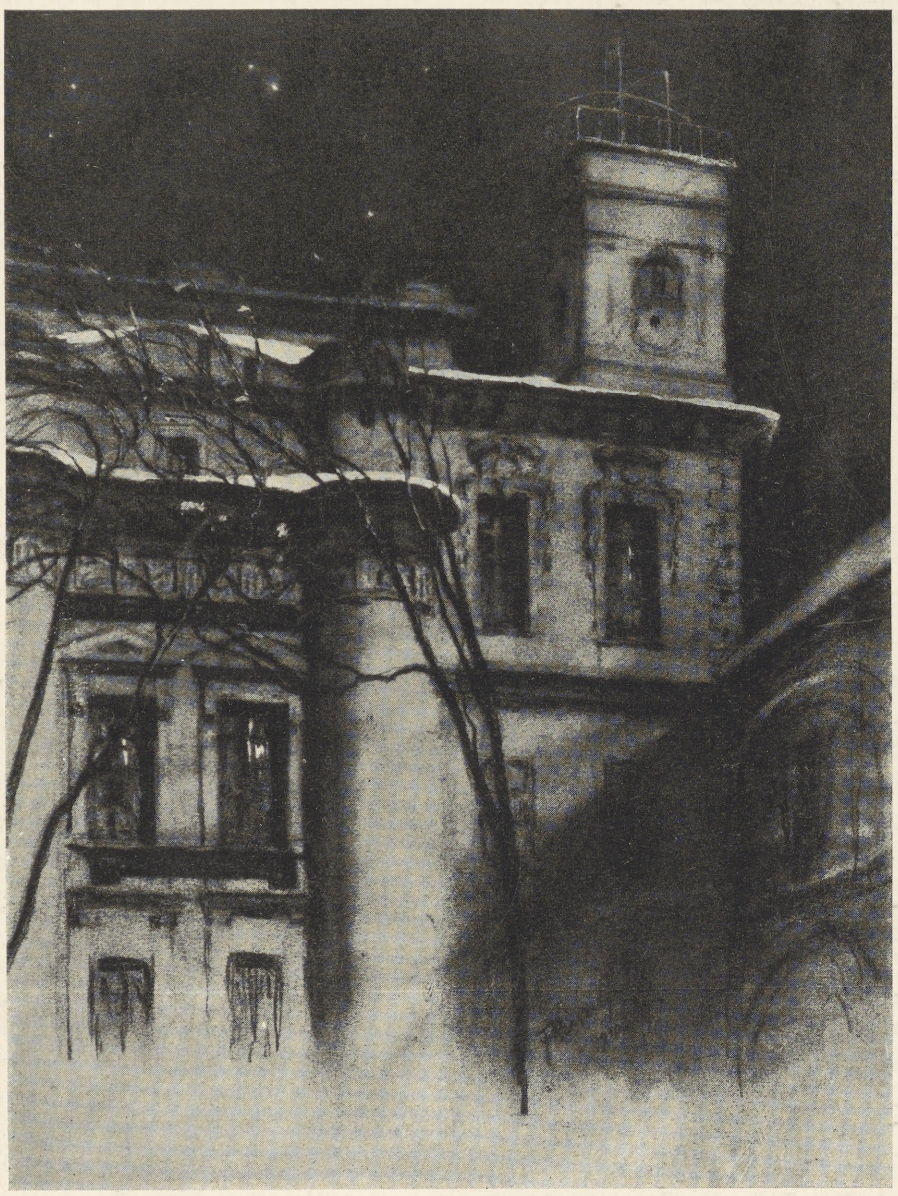
PODWÓRZE DOMU P. ROMEROWEJ W WILNIE (1899)
UNE COUR DE WILNO



F. RUSZCZYC

ZAUŁEK BERNARDYŃSKI W WILNIE (1906)
RUE DES BERNARDINS À WILNO

i w pierwszym rzędzie pragnął teatru, którego Wilno nie miało wcale, bo nie można było przecież uważać za teatr ani cyrkowej budy na Łukiszkach, ani szumanowskiej spelunki w ogrodzie Botanicznym, ani secesyjnego drewnianego dziwoląga w Bernardyńskim, ani poratuszowej ruiny. A sprawa była dojrzała, znaleść się mogły fundusze, i chodziło tylko o wybór budowniczego i miejsca. Ruszczyc był za postawieniem teatru na brzegu placu Łukiskiego i upatrzył w tym celu Czesława Przybylskiego, najzdolniejszego architekta warszawskiego, wsławionego kilkoma pierwszorzędnemi dziełami, człowieka dużej kultury i rzetelnego artystę. Rozpisano jakiś konkurs, wyróżniono projekt Przybylskiego, który zdawał się mieć aprobatę Magistratu i już cieszył Ruszczyca nadzieją



F. RUSZCZYC OBSERWATORJUM ASTRONOMICZNE (1910)



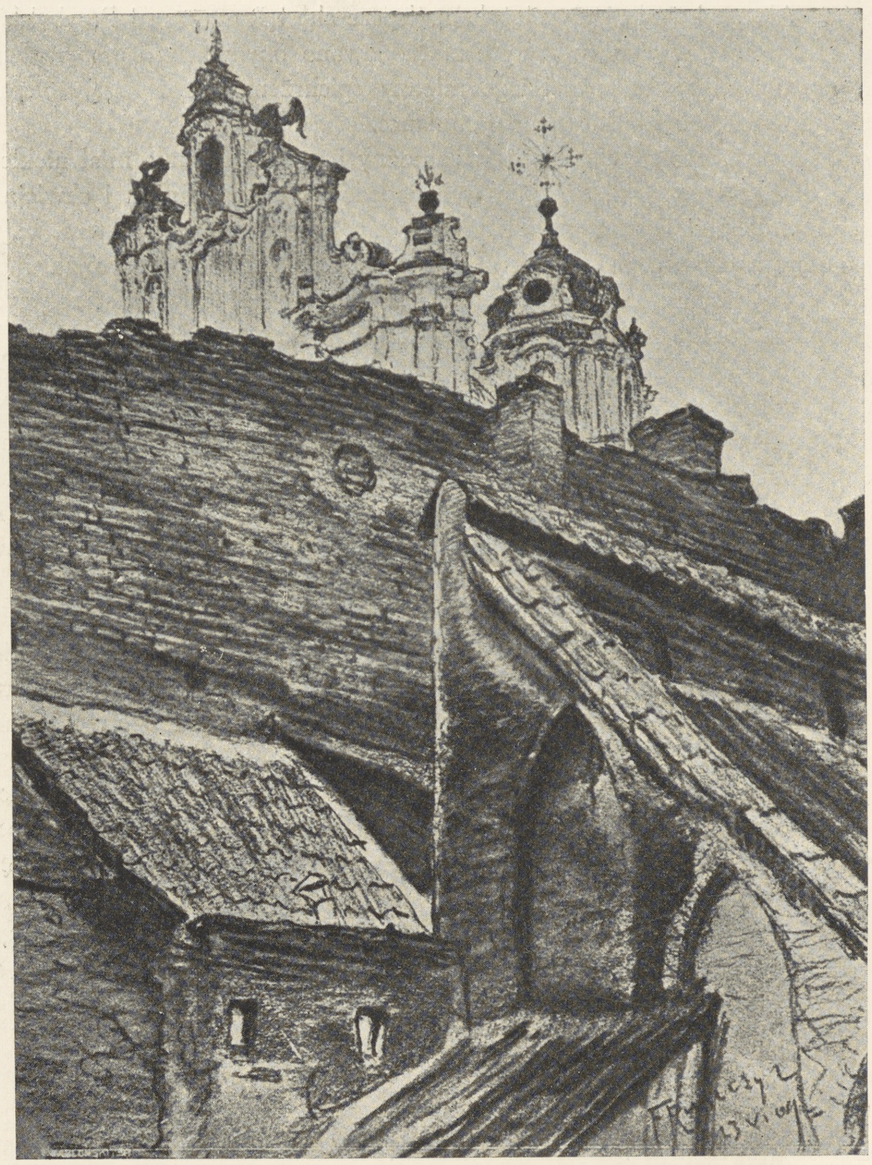
F. RUSZCZYC

ZE SZKICOWNIKA. OBSERWATORJUM ASTRONOMICZNE. (1910)
OBSERVATOIRE ASTRONOMIQUE DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO

urzeczywistnienia. Ale „zakwaska" zwyciężyła najlepsze chęci Ruszczyca i Przybylskiego. Powstały jakieś zakulisowe knowania, w wyniku których zlikwidowano obydwuch dyplomatycznie i wybudowano kompilacyjny dziwoląg, coś pośredniego między śpichrzem a synagogą, co panoszy się po dziś dzień pod nazwą Teatru Polskiego na Pohulance.

Mecenas Tadeusz Wróblewski, człowiek zamożny i ustosunkowany, miał niekiedy popędy do mecenasowania i sztukom pięknym, ale linja tych popędów była dyletancka i chwiejna. U niego to wówczas koncentrowało się Towarzystwo „Szubrawców", odznaczające się, tem, że, jak sobie żartowano, składało się z z bardzo porządnych ludzi, przeważnie już nieco przyciężkich. Odbywały się tam co tydzień wieczorne zebrania, na których można było spotkać cały świat artystyczny, literacki i naukowy Wilna, a nierzadko i kogoś znacznego z zaborów i z Cesarstwa Rosyjskiego. Widziano tam chętnie każdego, kto był „kimś" i podejmowano gościnnie w trybie klubowym. Ja zostałem wprowadzony tam przez Ruszczyca i rychło polubiłem te zgromadzenia sobotnie, przeciągające się do późnej nocy. Ruszczyc był czynnym członkiem klubu Szubrawców i jednym z jego filarów. Zdawała się wówczas dojrzewać sprawa budowy bibljoteki Wróblewskich, którą z porady Ruszczyca miał mecenas powierzyć temuż Przybylskiemu. Księgozbiór Wróblewskiego był poważny i sięgał kilkudziesięciu tysięcy tomów. A że mieścił się w rozsypce w prywatnem dziesięciopokojowem mieszkaniu przy placu dziś Napoleona, a wówczas „Murawjewa", którego pomnik zaglądał do jego okien, więc umyślił właściciel zbudować na pomieszczenie książek osobny gmach. Projektowane było, zawsze za poradą Ruszczyca, nabycie dwóch ładnych dworków (dawniej Rzewuskich), stojących naprzeciw siebie na dużym dziedzińcu przy ulicy Mostowej 1. Dworki byłyby połączone w głębi i zamknięte nowym gmachem bibljotecznym. Przybylski zaprojektował stylowe, pełne smaku rozwiązanie architektoniczne tej nieruchomości, które świetnie godziło się z charakterem dworków, a jednak nie było pozbawione monumentalności i odbywał z Wróblewskim liczne konferencje, dające nadzieję realizacji projektu. Ruszczyc zcicha promieniał radością, że jego ukochane dworki Rzewuskich będą odnowione z pjetyzmem i powołane do nowego życia i nie mógł się powstrzymać od podzielenia się z nami swoją radością; cieszyłem się z tego szczerze nawet ja, nowicjusz i laik. Wszak Wilno było „nasze" i wszystko, co w niem stawało się lepszego, było naszą wygraną i naszem dobrem. Nie umieliśmy czuć tego inaczej. Ale rozczarowanie nie kazało długo na siebie czekać. Ruszczyc miał zwyczaj wkładać w swoją pracę całego siebie, nie pytając, czy i ile będzie miał za to w gotówce, więc i Przybylski widocznie uległ jego przykładowi i nie zabezpieczył się formalnie. Dość, że Wróblewski w końcu ochłódł do tego planu z właściwą sobie zmiennością upodobań, Przybylski został na lodzie ze swoim szkicem i pracą, a Ruszczyc miał nową sposobność do stwierdzenia „zakwaski" wileńskiej. W wyniku zaś ostatecznym Wróblewski po latach kupił niewykończone mury przy ulicy Teatralnej po samobójcy Bunimowiczu i tych także nie zużytkował.

Niemniejszy zawód w sprawie upiększania Wilna spotkał Ruszczyca ze strony Magistratu w związku z jego usiłowaniami ściągnięcia do Wilna Zdzisława Kalinowskiego, młodego i obiecującego budowniczego warszawskiego. Nie było wówczas w Wilnie ani konserwatora, ani architekta miejskiego na jakimś minimalnym poziomie artystycznym. Urbanistyką, *nieznaną nawet z imienia,* rządzili jacyś inżynierowie od kanalizacji, jacyś technicy budowlani rosyjskiego chowu, i można sobie wystawić, jak wychodziło miasto na ich macoszej opiece. Nabierało dzięki nim „kazionnego" charakteru Tambowa czy Kaługi, z domieszką śmiesznie pretensjonalnych dywagacyj wiedeńsko-secesyjnych. Przykładem bękarciej architektury owej doby jest budynek wodociągowy miejski w ogrodzie Bernardyńskim, mizdrzący się potwornie jeszcze dzisiaj w sąsiedztwie pięknych starych kościołów, jak owa nadęta żaba z Lafontaine'a, która chciała dorównać wołowi. Budował to straszydło magistrackie niejaki pan Szenfeld, inżynjer z Warszawy i budował — bagatela! — na wzór kościoła



F. RUSZCZYC WIDOK Z ZAUŁKA ŚWIĘTOMICHALSKIEGO W WILNIE

św. Anny i Bernardynów. Dobrze pamiętam, jak pan inżynjer, stojąc na rusztowaniu w pozie Napoleona pod piramidami, wyrzekł do mnie wiekopomne słowa: „Tym budynkiem zakasuję tamte dwa kościoły". Ach, czemuż nie skasowano wtedy — i jego samego wraz z jego kunsztem!

Ale na to trzeba było mieć nieco więcej kultury, niż mieli w sprawach artystycznych wszyscy ojcowie miasta, razem wzięci, po za tem zresztą bardzo porządni i zacni ludzie i nienajgorsi Polacy. Nie popisali się także i z Kalinowskim. Ruszczyc widział, że w Magistracie jest niedobrze z urbanistyką i ochroną zabytków — te ostatnie były częściej niszczone, niż ratowane i jedynym wyłomem w tej zasadzie stało się, wskutek starań Ruszczyca — zaproszenie mnie, jako fotografa, na oddawcę ostatniej posługi przedwcześnie umierającym gmachom. Rozstając się z łezką w oku z ory-

ginałem, fundowano sobie na pocieszenie — kopję fotograficzną przyszłych nieboszczyków i moim obowiązkiem było utrwalać ostatnie chwile tych architektonicznych skazańców. Więc umyślił Ruszczyc sprowadzić kogoś umiejętnego i czującego na stanowisko architekta miejskiego i wybór jego padł na Zdzisława Kalinowskiego. Został upoważniony przez Magistrat do prowadzenia pertraktacyj i wszystko zdawało się już być na najlepszej drodze. Ale zaledwie zdążył kandydat zerwać się z Warszawy i przeflancować do Wilna, gdy powiał inny wiatr, sprawa poszła pod sukno, a Kalinowski musiał z niczem wracać tam, skąd przyjechał. Zdaje się, że nawet nie przeproszono ani Ruszczyca ani Kalinowskiego. Nigdy dotąd nie widziałem Ruszczyca tak oburzonego i rozgoryczonego, jak wówczas: było tego zawiele nawet na jego anielską dobroć i cierpliwość; nie klął wprawdzie, ani piorunował, ale czuł się dotknięty bardzo głęboko i boleśnie i dużo się nasłuchałem wtedy o rosyjskiej „zakwasce“ luminarzy wileńskich. A przecież nie było w tem wszystkiem złej woli ani chęci uczynienia mu przykrości. Przeciwnie — ojcowie miasta i sam czcigodny pan Michał Węsławski, prezydent, lubili Ruszczyca i szanowali szczerze i z pewnością czynili nieraz heroiczne wysiłki, by się liczyć z jego zdaniem. Winien był duch czasu, wschodnie wpływy i uzależnienia, bierność spokojnego bytowania, wygodnego materjalnie, ale obezwładnionego i pozbawionego inicjatywy.

Latem pojechałem na parę miesięcy zagranicę, trochę dla kuracji, a więcej dla poznania Nadrenji, Niemiec Południowych i Czech. Na kolej odprowadził mię Ruszczyc w asyście paru znajomych z pewną ostentacją, w której była ukryta serdeczna intencja i pamiętam na odjezdnem czyjeś żartobliwe uwagi, że mię żegnano jak szacha perskiego. Szczegół błahy, ale świadczący o „uwadze“ Ruszczyca, która go nigdy nie zawodziła. A wyjeżdżałem z poczuciem, że ten wypoczynek jest zasłużony, bo pierwsze półrocze wileńskie miałem bardzo pracowite i nie pozbawione dodatnich wyników. Czułem się już w Wilnie ugruntowany, miałem za sobą setki zdjęć architektonicznych i pejzażowych, warsztat mej pracy rozwijał się nad wyraz pomyślnie. Już nie wiem, ile w tem było mojej własnej zasługi, ale że stało się to nie bez cichej pomocy Ruszczyca, w to nie wątpię ani na chwilę. Nie było przecież nowego zdjęcia, któregobym nie pośpieszył jemu pokazać, jak tylko przyszedł do mnie, a niemałą radość sprawiały mi jego pochwały, stwierdzające, że stoję już pewniejszemi nogami na mojej drodze. Gdy go prosiłem o krytykę, wybuchał swym dobrym, grzmiącym śmiechem i odpowiadał, że teraz, to już nie krytykować, ale — konfiskować tylko może moje obrazki wileńskie. No i oczywiście wypełniałem z radosną gorliwością rolę, jaką mi był powierzył — fotografowanie zabytków, materjałów historycznych lub jego własnych szkiców i projektów, wchodzących w orbitę jego działalności wileńskiej.

Gdy powróciłem z zagranicy, Ruszczyc przy pierwszem widzeniu wziął mię na stronę i rzekł tym swoim rzadszym, lekko drżącym głosem: „Chciałem panu jednemu z pierwszych powiedzieć, że wczoraj na Tambowskiej *) pito zdrowie Giny Rouckówny i moje“. Zaskoczony tą zupełnie dla mnie nową wiadomością, wyjąkałem jakieś dobre życzenia i uściskałem go serdecznie. A potem długo myślałem o tej nadchodzącej przemianie w jego życiu, które pragnąłem, aby było najszczęśliwsze. I znowu podziwiałem szczególną formę, w jakiej mi zakomunikował o swych zaręczynach. Każdy inny mówiłby o sobie samym, zwłaszcza w chwili tak uprawniającej do tego. Ale przez jego usta taka forma nie mogłaby przejść — *on mówił tylko o tych, którzy pili zdrowie jego narzeczonej.*

Na początku września pojechaliśmy razem do Bohdanowa, który był całkiem wyludniony, pełny pak z meblami, majstrów, przeróbek i przedślubnego rwetesu. Ostatnie przygotowania na przy-

*) Mieszkanie państwa Rouckow przy ulicy Tambowskiej, obecnie Tombakowej.



F. RUSZCZYC MOTYW Z KAROLINEK

jęcie młodej pani dobiegały końca; narzeczony obchodził ze mną dom i pokazywał mi wszystkie zmiany, jakie w nim przeprowadził. Uporządkował stary dom drewniany, mający przeszło dwieście lat wieku (z roku 1690-go), przerobił w nim sień i jadalnię, wprowadzając do nich smukłe kolumny i nowe drzwi ze ślicznemi wiankami własnego rysunku. W tym domu miała dalej mieszkać matka, a dla siebie i żony usłał gniazdo w „murze", to jest w równie starym piętrowym domu murowanym, gdzie miał pracownię i pokoje gościnne. W wykończenie tych wnętrz przy całej wiejskiej ich prostocie, włożył Ruszczyc wiele starań i smaku wytrawnego dekoratora i uczynił z nich jeszcze jedno dzieło sztuki, żywe i wtopione w życie ludzkie. Dzisiaj żałuję, że za mało fotografowałem wówczas te piękne i zaciszne wnętrza, odbijające jego szlachetną i wytworną osobowość. Po roku przyszła wojna i obróciła w niwecz tę domową inscenizację Ruszczyca.

Był wrzesień pogodny i bezchmurny. Bladobłękitne niebo szerzyło się w nieskończoność słoneczną cichością i oddychało zamyśleniem, jakby schylone nad chwilą przełomowych rozstrzygnięć. W ogrodzie sypały się na ziemię przedwcześnie pożółkłe liście, a jedna jarzębina stała nieruchoma, cała w koralowych gronach i krwawo jarzyła się na turkusowem niebie, aż tragiczna dosytem pożegnalnego piękna. Było wokoło łagodnie, dobrze i smutno. Ruszczyc, który lubił Staffa, powtarzał za nim półgłosem w jakiemś urzeczeniu: „...po długich latach pierwszy raz idę jesienną tą aleją... jak mija czas... jak mija czas...".

. . . .



F. RUSZCZYC KOŚCIÓŁ Ś. JANA (SZCZYTY WILEŃSKIE) (1926)

Jakoś w drugiej połowie września miała odbyć się w Wilnie wystawa przemysłu i sztuki ludowej pod nazwą „Bazaru", zainicjowana oczywiście przez Ruszczyca. Zanadto kochał się on w naszych wzorzystych płótnach, kolorowych kilimach, paskach i palmach wielkanocnych, zbyt cenił artystyczne poczucie ludu, by mógł pominąć sposobność urządzenia z tego jeszcze jednej świetnej manifestacji artystycznej własnego układu. Zmobilizował całe Wilno, postawił na nogi wszystkich interesujących się przemysłem ludowym, uradzał z paniami Pauliną Kończanką, Anną Mohlówną, Heleną Sokołowską oraz z panami Ignacym Turskim i Witoldem Czyżem (który wówczas nazywał się jeszcze Jeleńskim), słowem — przewrócił do góry nogami całe Wilno. I w rezultacie mieliśmy coś niebywałego — salę miejską na Ostrobramskiej, przeistoczoną w jeden olbrzymi, barwisty namiot sielskiego czarodziejstwa. A w tym namiocie — skarby nieświadomego, przeczuwanego piękna, ujawnienie twórczego obcowania ludu z wzorzystą i kwiecistą naturą, oddanie jej krasy z trafnym instynktem pierwotnej szczerości.

Afisz Ruszczycowski tego Bazaru był również porywający w barwności, jak sama wystawa: wyobrażał czarnego rycerza „Pogoni" na ciemno-czerwonem tle, ujętego w ramę powiązanych palm i pasów, a te cieszyły wzrok widokiem czerwcowej łąki, rozkwitłej wszystkiemi barwami tęczy. Afisz ten był dla mnie nowym przykładem: pouczał, jak bliska może być sztuka do życia, gdy ją uprawia taki artysta, jak Ruszczyc; jak łatwo publiczna informacja użytkowa staje się w takich rę-



F. RUSZCZYC

AFISZ BAZARU PRZEMYSŁU I SZTUKI LUDOWEJ
AFFICHE DE L'EXPOSITION D'ART POPULAIRE



F. RUSZCZYC

AFISZ BAZARU PRZEMYSŁU I SZTUKI LUDOWEJ (1913)
AFFICHE DE L'EXPOSITION D'ART POPULAIRE

kach obrazem, mającym wszystkie cechy dzieła sztuki. A wreszcie świadczył o intuicji, z jaką autor umiał trafić do prostych chłopskich dusz i podpatrzyć ich tajemne tęsknoty za czystem i bezinteresownem pięknem.

Na wystawie były wiejskie kobiety, przybyłe z dalekich zakątków, które tkały te płótna o harmonijnem zestawieniu kolorów i odcieni, nieraz zadziwiającem swoją wytwornością i umiarem. Ktoś zapytał jedną z nich, jak ona przychodzi do takich pomysłów? Kobieta była onieśmielona i zresztą zupełnie nie umiała wyrazić swych myśli, do czego sposobność nadarzała się zapewne po raz pierwszy w życiu. Więc jakby tłumacząc się i usprawiedliwiając z takich zachcianek, niegodnych człowieka dorosłego, zawołała: „Panoczku! dykżeż — kwietki!“ (Panie — toć to przecie kwiatki!). Jednem słowem powiedziała więcej i lepiej, niżby to uczyniła uczona rozprawa estetyczna. A Ruszczyc wiedział dobrze, co czują te pracownice skrzętne, nieświadome artystki, i po bratersku przychylał się sercem i myślą do zamkniętego świata ich głuchych utęsknień.

Numer „Wsi Ilustrowanej“, poświęcony tej nowej inscenizacji wileńskiego mistrza, miał jego okładkę z kolorowych palm wielkanocnych, przewiązanych paskami i był zapełniony okazami tkactwa i rzeźby ludowej i przedmiotami wiejskiego bytu. Był wydany „jako widomy znak pokoju, jako niezatarty ślad miłowania tych szlachetnych pierwiastków duszy ludzkiej, które milkną, zduszone w gwarze walki“. Tak mówiła przedmowa i to hasło odpowiadało serdecznym dążeniom Ruszczyca, który imprezom artystycznym umiał nadawać podkład szeroki i, zapatrzony w sztukę, nigdy nie zapominał o życiu.

. . . .

. . . .

Była to już szósta inscenizacja Ruszczyca w tym urodzajnym roku 1913-tym, jeśli uwzględnić, że jego „Wieczór Poezji“ składał się z trzech osobnych tematów, wymagających każdy odrębnego pomysłu i traktowania, że po nim było „Orlę“, a po „Orlęciu“ — własne „gniazdo rodzinne“ w Bohdanowskim domu, skomponowane tak miłośnie na przyjęcie młodej małżonki.

A tymczasem specjaliści od wyszukiwania plam na słońcu, krzywili się na to „rozpraszanie się“ Ruszczyca na „fatałaszki“ i przyświadczali z odcieniem zadowolonej wyższości, że Ruszczyc już się „skończył“, bo nie maluje „olejno i ręcznie“ obrazów do zawieszania nad kanapą. Sztuka w ich pojęciu była tylko deserem, który się spożywało w określonych dawkach: nie wypadało narzucać się z nią przy wszystkich dziennych sprawach i czynić z niej treści całego życia. Było to oburzające naruszenie odwiecznie ustanowionego porządku, niestateczna lekkomyślność, może nawet poprostu jakieś wywrotowe manjactwo. Piękno jest pięknem, oczywiście, nikt temu nie przeczy — ale życie nie jest poematem, życie — to rzecz poważna. I przytem — tak marnować duży majątek, piękne imię, chwałę medali i odznaczeń, patent oficjalny na wielkiego pejzażystę, honorowe miejsce w „Zachęcie“?...

Serdecznie i bezinteresownie bolały nad upadkiem Ruszczyca wileńskie pięknoduchy, cieszące się opinją estetów i znawców sztuki i uważające siebie szczerze za takich. Jakże dużo było wówczas w Wilnie „kanapowych“ znawców, a jak mało rzeczywistych. Ale nie należy sądzić ich zbyt ostro. Ludzie ci chcieli po swojemu dobra i Ruszczyca i sztuki, tylko nie wiedzieli, jak daleko wyprzedzają swoją dobę wybrańcy, obdarzeni talentem twórczym i darem widzenia rzeczy, zakrytych dla ogółu.

Jeszcze jedno wspomnienie z tego roku, dotyczące nas dwuch, a równe w swem napięciu chwilom, przeżytym tamtej pamiętnej nocy po wystawie w Mińsku. Ilekroć mieliśmy jakiś wspólny wieczór wolny, spędzaliśmy go w miejscu przygodnem i najbliższem, nie dbając o jego charakter.



F. RUSZCZYC KARTA TYTUŁOWA DO „WSI ILUSTROWANEJ"

To też kiedyś po teatrze znaleźliśmy się z Ruszczycem w kabarecie Szumana w ogrodzie Botanicznym. Była to spelunka podkasanej muzy na poziomie gustu rosyjskich „unteroficerów", poziomie charakterystycznym dla owych czasów i dla wszystkiego, co u nas kultywowała Rosja. Marka fabryczna rosyjska gwarantowała zawsze gatunek najniższy. Nie przeszkadzało to, że w tym baraku topili wysokie pensje urzędnicy rosyjscy i swoje magnackie fortuny nasi ziemianie, nadający ton ówczesnemu Wilnu.

Więc znaleźliśmy się dość nieoczekiwanie dla siebie u Szumana i to na środku sali, w otoczeniu prawdopodobnie dość plugawem, bo prawdę mówiąc, zajęci byliśmy rozmową i nie dostrzegaliśmy szczegółów tego otoczenia. A rozmowa nasza była tak samo oderwana od rzeczywistości obcej, a związana z rzeczywistością „naszą", tak samo dotycząca „wszystkiego", jak tamta mińska. Było to po jakiemś ważniejszem wydarzeniu artystycznym, które nas rozgrzało i poniosło daleko. Czuliśmy się podnieceni i spragnieni szczerości, mówiliśmy otwarciej niż zwykle, a przychodziło to tem łatwiej, że już mieliśmy za sobą wspólny rok wileński i wiele razem odczutego. Więc pomijam treść rozmowy, która się ulotniła z pamięci, wznawiam nastrój, kolor i ton tej chwili, malujące Ruszczyca, który umiał pozostać sobą wśród takiej dzikiej i ordynarnej tłuszczy i mówił rzeczy piękne i podniosłe, głębokie i z pod serca wyjęte, jak nigdy.. Przedziwny i niezapomniany był właśnie ten



F. RUSZCZYC

OKŁADKA DO „WSI ILUSTROWANEJ" (1913)
COUVERTURE DE LA REVUE „WIEŚ ILUSTROWANA"

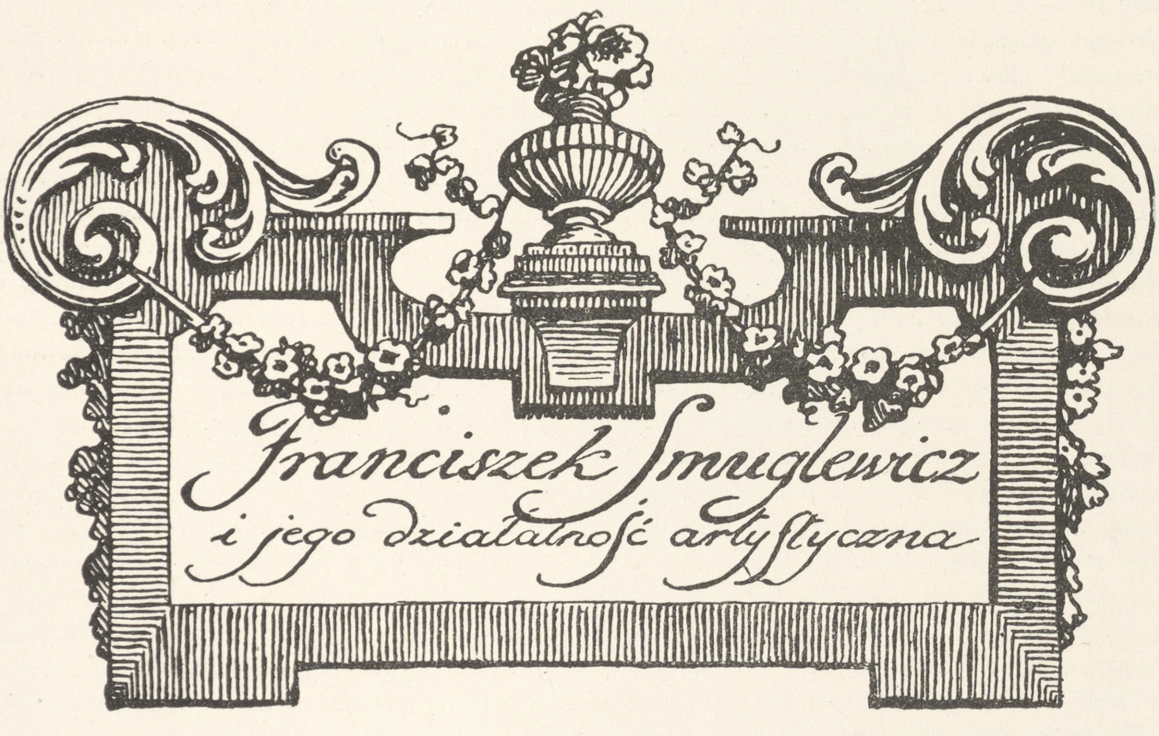
kontrast między nami i otoczeniem, znamienne to, że ono nam zupełnie nie przeszkadzało, bo stwarzaliśmy atmosferę własną, i ta stanowiła nasze prawdziwe środowisko, błękitne, i świetlane. Wspomnienie to chowam w skrytce najdroższych pamiątek i nieraz w życiu, gdy przytłoczył mię jego ciężar, krzepiłem się i czerpałem siły do wytrwania, odtwarzając w myślach przeżycia owej nocy.

. . . .

. . . .

. . . .

W dniu 13/26 października odbył się ślub Ruszczyca, na którym byłem obecny, a potem straciłem Ruszczyca z oczu na parę miesięcy. Wyjechał z żoną do Bohdanowa.



ROZDZIAŁ VII

LATA WOJNY (1914—1919)

Wstępem do tego pięcioletniego okresu zawieruchy wojennej było wydarzenie, jaknajmniej dostosowane do niej swoim charakterem, a mianowicie wielka inscenicja Ruszczycowska Balladyny Słowackiego w Teatrze Polskim w Warszawie w maju 1914 roku. Los na swoją rękę przygotowywał inną tragedję i niedaleki już jej prolog zechciał poprzedzić najczarowniejszym uśmiechem, na który — dla mnie osobiście, składały się — zadowolenie z odnalezienia siebie w gorliwej pracy i wileńskie piękno majowe, po raz pierwszy oglądane otwartemi oczami. Było spokojnie, słonecznie, zielono i kwiecisto, chciało się żyć, pracować i cieszyć się z samego faktu życia. Każda chwila dnia była miła, każdy zakątek Wilna uroczy. Nie czuło się w niem wcale miejskiej twardzizny i tłoku. Nawet obiady można było w tem kochanem mieście spożywać w warunkach nieomal wiejskich, wśród rozbudzonej i rozśpiewanej przyrody, a któż nie pamięta dziecinnej radości swej, kiedy rodzice uznawali za możliwe przenosić posiłki z jadalni do pachnącej bzami altany przed gankiem, a każdy talerz i potrawa nabierały w tem otoczeniu znamion niezwykłości i cieszyły dziecięcą wyobraźnię? Więc i w sielskiem Wilnie obiadowało się w maju w restauracji na górze Trzykrzyskiej, przezwanej z rosyjska Klubową, od mieszczącej się tam letniej siedziby Klubu Szlacheckiego. Kuchnia restauracyjna lokowała się opodal — dosłownie — w dawnem mieszkaniu profesora Jundziłła, który przed stu laty sprawował tu rządy nad swoim ulubionym Ogrodem Botanicznym. Nie można powiedzieć, by to był najwłaściwszy użytek z pamiątki historycznej tej doniosłości, ale wówczas byliśmy przyzwyczajeni do takich profanacyj i jedna więcej nikogo nie dziwiła. Zresztą możnaby się spierać, czy nie gorszym od niej wandalizmem było wycięcie już za polskich czasów dziesiątków najpiękniejszych parowiekowych topoli w tym samym ogrodzie i to tylko dlatego, że komuś z osób wpływowych zachciało się urządzić na tem miejscu ogrodu Botanicznego — boisko dla wyczynów sportowych. Dość, że wówczas ten zakątek klubowy był ślicznem miejscem wypoczynkowem, stoły stały w altanach wśród gąszczy kwitnącej zieleni, wróble i jaskółki przekrzykiwały kelnerów, a oddech kwitnących bzów neutralizował kuchenne zapachy. Wiele razy już po wojnie bywaliśmy z Ruszczycem i kolegami z Wydziału w tym uroczym ogrodzie, niejedną zorzę letnią spotkaliśmy tam z kielichami w ręku, niejeden wschód słońca widział nas, opuszczających tę górę i wałęsających się po sennych ulicach w wesołym gwarze kompanji, by wyszukać jakiśporanny efekt oświetlenia lub nacieszyć się rozbłyskaniem jakiejś wieżycy w różowej sukience wschodu. Wiele moich i Ruszczyca wspomnień splotło się nierozłącznie z cienistemi stropami i liściastemi ścianami tego zielonego przybytku na Trzykrzyskiej Górze.

Tego roku już koniec kwietnia był ciepły i słoneczny i Ruszczyc, który po zimie spędzonej

w Bohdanowie powrócił był z żoną na stałe do Wilna, chował w zanadrzu nowe sezonowe olśnienie. Spotykaliśmy się tamtemi czasy nieco rzadziej, bo i on prowadził bardziej zamknięte życie domowe i ja byłem całkiem pochłonięty memi zatrudnieniami fotograficznemi, które rozwijały się nadspodziewanie pomyślnie i dawały mi wciąż nowe sposobności do zasłużenia na miano starego wilnianina. Świętowałem majowe zaślubiny z krajobrazem i architekturą wileńską, upajałem się niewymownym czarem poznanej i pokochanej oblubienicy, a ta, już pozyskana i powolna, nie skąpiła mi



F. RUSZCZYC. RYSUNEK NA PROGRAMIE „BALLADYNY". 1914

swoich uśmiechów, łask i wtajemniczeń. Z kamerą w ręku powoływałem do życia monumentalność i krasę świata wileńskiego, który był już nietylko Ruszczycowskim, ale i moim własnym, wypatrywanym i przeżywanym samodzielnie po odbyciu u mistrza terminu wstępnego. Gorące było tempo mojej pracy i obfite w plony. Była to jakby wzbierająca w przypływie morska fala. Porywała zdobywczo, unosiła szumnie naprzód i nie wiedziało się w uniesieniu, czy może być kres tego rozkosznego pędu. Ale kres zbliżał się, zaczajony, nieuchronny — do wystrzałów w Sarajewie już było niedaleko.

Tymczasem jednak maj był niezwykle piękny i obiecywał mi nowe Ruszczycowskie dzieło

sceniczne. Ale Balladyna miała być grana w Warszawie i Ruszczyc wyjechał tam zawczasu dla niezbędnych prac przygotowawczych, nie pokazując mi jej początków wileńskich, więc nie miałem żadnego pojęcia o tej inscenizacji.

Przyjechałem do Warszawy w przeddzień premjery i zaraz poszukałem Ruszczyca w Teatrze Polskim. Wyglądał rzeźko i wesoło, ale był strasznie zajęty, poprostu rozrywany. Poznajomił mię z Wincentym Drabikiem, słynnym dekoratorem Teatru Polskiego, do którego to zmniejszone nazwisko niezbyt pasowało przy jego masywnie ciosanej staturze. I pokazał mi kartony swoje do scen, które już nazajutrz miały być grane. Kartony zachowały się i dzisiaj są własnością dyrektora Szyfmana. Niedługo mogłem się im przyglądać, bo Ruszczyc był jak na gorących węglach i musiałem go niebawem porzucić na pastwę wszelakich harpij teatralnych, które go ścigały i szarpały bez wytchnienia. Z jedną Wysocką i z jej królewskim płaszczem miał cały dramat, niemniej od Balladyny groźny i gwałtowny.

A nazajutrz odbyła się premjera. Podobno warszawianie odnieśli z niej dominujące wrażenie dłużyzny, gdyż trwała do godziny drugiej w nocy i uniemożliwiła pójście na kolację po teatrze. Istotnie — i ja również nie znalazłem po zakończeniu przedstawienia żadnego otwartego lokalu. Ale zresztą czułem się dostatecznie „nasycony“ tem, co widziałem w ciągu tych pięciu godzin. Słowa są naprawdę zbyt ubogie i dalekie od rzeczy — czyż można wciąż powtarzać liczmany o fantastyczności i feeryczności? Ruszczyc wczuł się i wcielił w ducha jakiejś przeddziejowej „Starej Baśni“, przejrzał epokę, o której nikt nic wiedzieć nie może, zaklął w żywe kształty mit polskiego Antyku, namiętną grozę i naiwną prostotę pierwotnych dusz ludzkich, potęgę i mistyczność dziewiczej przyrody. Chata wdowy i pałac Kirkora były godne „zielonego sosnami teatru“ Słowackiego. Świetlica miała piastowskie wrzeciądze i zaciosy, sala zamkowa tchnęła prymitywizmem jakiegoś niesamowitego gotyku, gdzie kolumny wyrastały drzewami, a rzeźbienia stropu układały się kształtem przedwiecznej puszczańskiej czeluści. Las z chatą pustelnika był równie mityczny, ale dla mnie już nieobcy, bo miał bliskie pokrewieństwo nastroju i scenerji z „Bajką zimową“. A postacie ludzkie! Szkarłatno-złocisty rycerz Kirkor z zasłoniętą przyłbicą, rozrastającą się w skrzydlatego orła białego! Władczyni Balladyna, w zielonej wzorzystej mantji, sztywnie spadającej do ziemi, z drapieżnem wejrzeniem złego sumienia i krwawym stygmatem zbrodni na czole. Słodka, niewinna gołębica - Alina, Goplana wiotka i mglista, utkana z oparów jutrzenki i niesiona na skrzydłach jaskółczych, Grabiec sprośnie komiczny, żywcem zdjęty z karty króla dzwonkowego, blady, ponury Kostryn, lotny Skierka, kudłaty, przekorny Chochlik, rycerze, dworzanie, muzykanci i ucztownicy — wszyscy jakże prawdziwie polscy, choć tak fantastyczni i anachroniczni! A żeby jeszcze wrócić do sali zamkowej — jakie tam jelenie rykowiska i spięcia szalonych koni zdobiły ostrołuki kolumnady, jakie najście dzikiej, surowej przyrody czuło się na komnaty zamkowe, jaki ostry wiew boru przepajał i kształtował rzeźbione wspaniałości książęcego zamku!

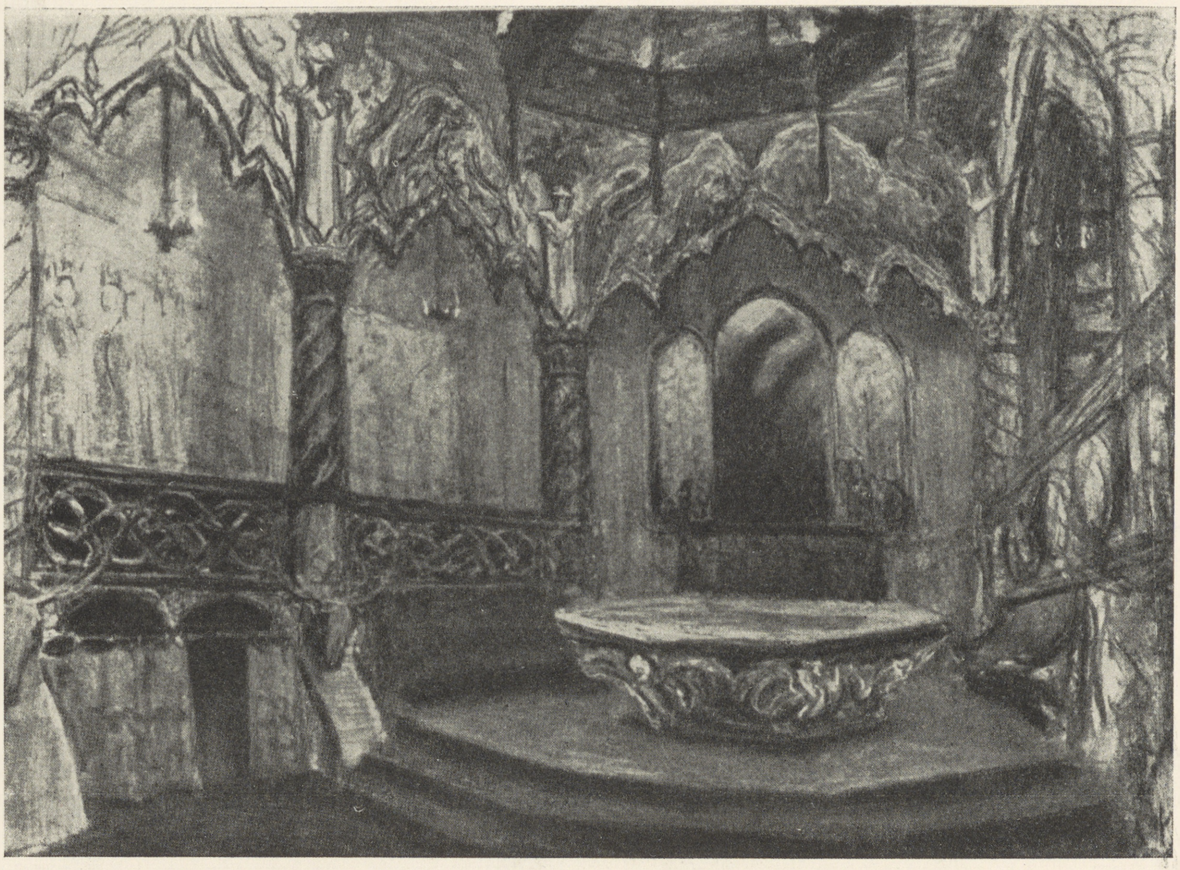
Ruszczyc powołał do życia nowy, własny świat lechickiej baśni, zestrojony ze światem Słowackiego bratniem współistnieniem. I wprowadzał doń z nienasyconą pasją swoje dwie naczelne tonacje, grał mistrzowsko na swoich dwuch ulubionych strunach: na męskiej strunie dynamicznej mocy i pędu, i na młodzieńczej i wiośnianej — nikłego, bezbronnego wdzięku kwiatów, miotanych wichrem. A z rozwiązaniem kolorystycznem szło w parze niebywałe bogactwo plastyczne, bo tym razem artysta nie potrzebował krępować się środkami, jak w Wilnie, i mógł je zbliżyć i nagiąć do żądań swojej renesansowej natury.

Zbieram tu drobne okruchy zapamiętań i odczuć, nie stojące w żadnym stosunku do mych wrażeń bezpośrednich. Tych już nie zdołam odgrzebać, ale wiem, że były potężne, przygniatające, a zarazem pełne uszczęśliwienia. Usiłowałem dać im wyraz, szukając Ruszczyca w loży jego małżonki



F. RUSZCZYC

INSCENIZACJA „BALLADYNY". KIRKOR. (1914)
MISE EN SCÈNE DE „BALLADYNA". KIRKOR



F. RUSZCZYC INSCENIZACJA „BALLADYNY“. SALA W ZAMKU KIRKORA. (1914)

i składając mu tam gorące powinszowania, lecz zdawałem sobie sprawę, że w tych warunkach słowa moje nie wyzwoliły się z kleszczów konwenansu. Rzeczy istotne, jak słusznie pisał mi kiedyś Ferdynand, można mówić tylko na cztery oczy i to jeszcze zaledwie o zmroku, kiedy się nie widzi swoich twarzy... A tryumf jego był dla mnie nietylko wydarzeniem artystycznem, ale sięgał głęboko w sferę uczuć osobistych... Nie wiem zresztą, czy ten jego występ warszawski można było nazwać tryumfalnym, bo jednak Wilno i Warszawa, choć obydwa miasta polskie, nie mówią tym samym językiem i nieraz to, co nas wstrząsa do głębi — tam nadaje się tylko do zrobienia dowcipnego kawału lub do zabłyśnięcia krytyczną blagą. Operetka często zagłusza tam dramat, a „Warszawka“ przesłania Warszawę.

Wyjechałem nazajutrz po premjerze i nie miałem możności zaznajomienia się z głosami krytyki urzędowej i prywatnej. A potem wnet przyszło lato — sierpień, wybuch wojny, stłumienie i stłamszenie wszystkiego, czem żyło się tak bujnie i ochoczo... Gdy zagrają armaty — skrzypce milkną...

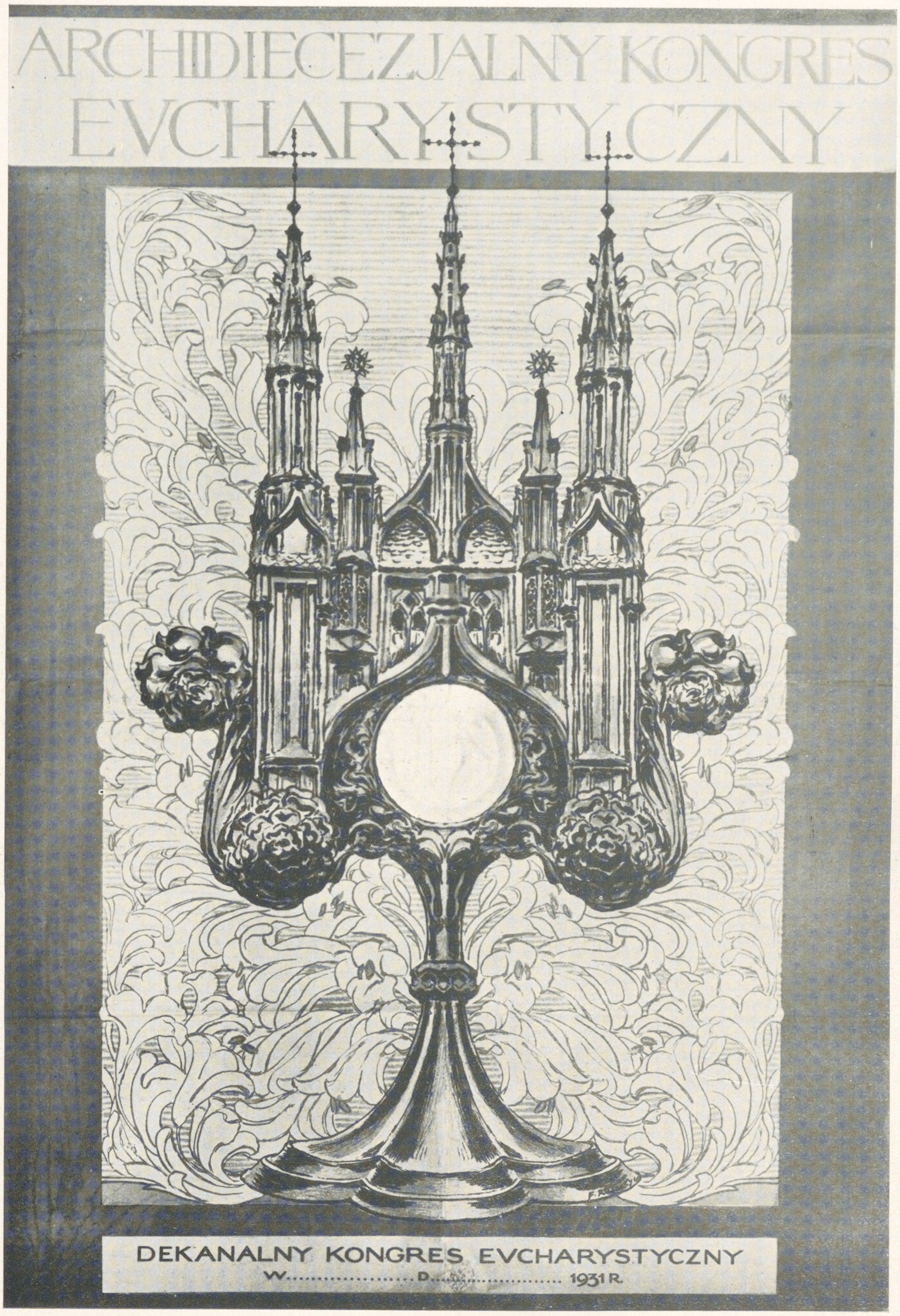
. . . .

Zapuszczam zasłonę na cały ten rok aż do lata następnego 1915-go, gdyż nie mogę w tym czasie znaleźć prawie żadnego wspomnienia związanego z Ruszczycem, któreby było warte zanotowania.



F. RUSZCZYC

INSCENIZACJA „BALLADYNY" (1914)
SZCZEGÓŁY SALI W ZAMKU KIRKORA
MISE EN SCÈNE DE „BALLADYNA". DESSINS DE DÉCORATION



F. RUSZCZYC PLAKAT ARCHIDJECEZJALNEGO KONGRESU EUCHARYSTYCZNEGO W WILNIE (1931)

AFFICHE POUR LE CONGRÈS EUCHARISTIQUE DE L'ARCHIDIOCÈSE DE WILNO

Ludzie, jak ślimaki weszli w swe skorupy, a moja skorupa była i ciasna i oddalona od Wilna, z którego wyjechałem, gdyż panika wojenna przerwała moją pracę i unicestwiła moje zamierzenia. Wegetowałem na wsi bezbarwnie aż do następnego maja i niewiele wiem, co robił przez ten czas Ruszczyc. Przypominam go sobie jednak niezłamanego i uporczywie czepiającego się możliwości życia czynnego, do czego miał więcej ode mnie danych i atutów. Ale i wtedy starał się podtrzymać mnie na duchu i doradzał mi, żebym korzystał z przymusowej przerwy, dającej wiele wolnego czasu i uporządkował w regularną kolekcję albumową niezliczone moje zdjęcia wileńskie i inne, zrobione w ciągu tych paru lat. Usłuchałem go i niebawem przekonałem się, jak zbawienna była jego rada i jak zawsze mądra jego opieka. Bez tego rygoru porządkowego, bez przejrzystej ewidencji nie byłbym nigdy potrafił dojść do moich późniejszych osiągnięć, a w miarę rozrastania się zbioru jego skatalogowanie byłoby coraz trudniejsze. Więc nawet z tego najgorszego okresu prostracji i duchowego wynędznienia została mi po nim cenna i ważna pamiątka.

Jeszcze w roku 1914-tym wykonuje Ruszczyc sześć nalepek-marek dla Pogotowia Ratunkowego Magistratu Wileńskiego. Jak zawsze, oczywiście — bezinteresownie. Zadawalniał się zwykle nagrodą w tej formie, że pracy jego nie odrzucano lekceważąco i raczono ją przyjąć i rozpowszech-



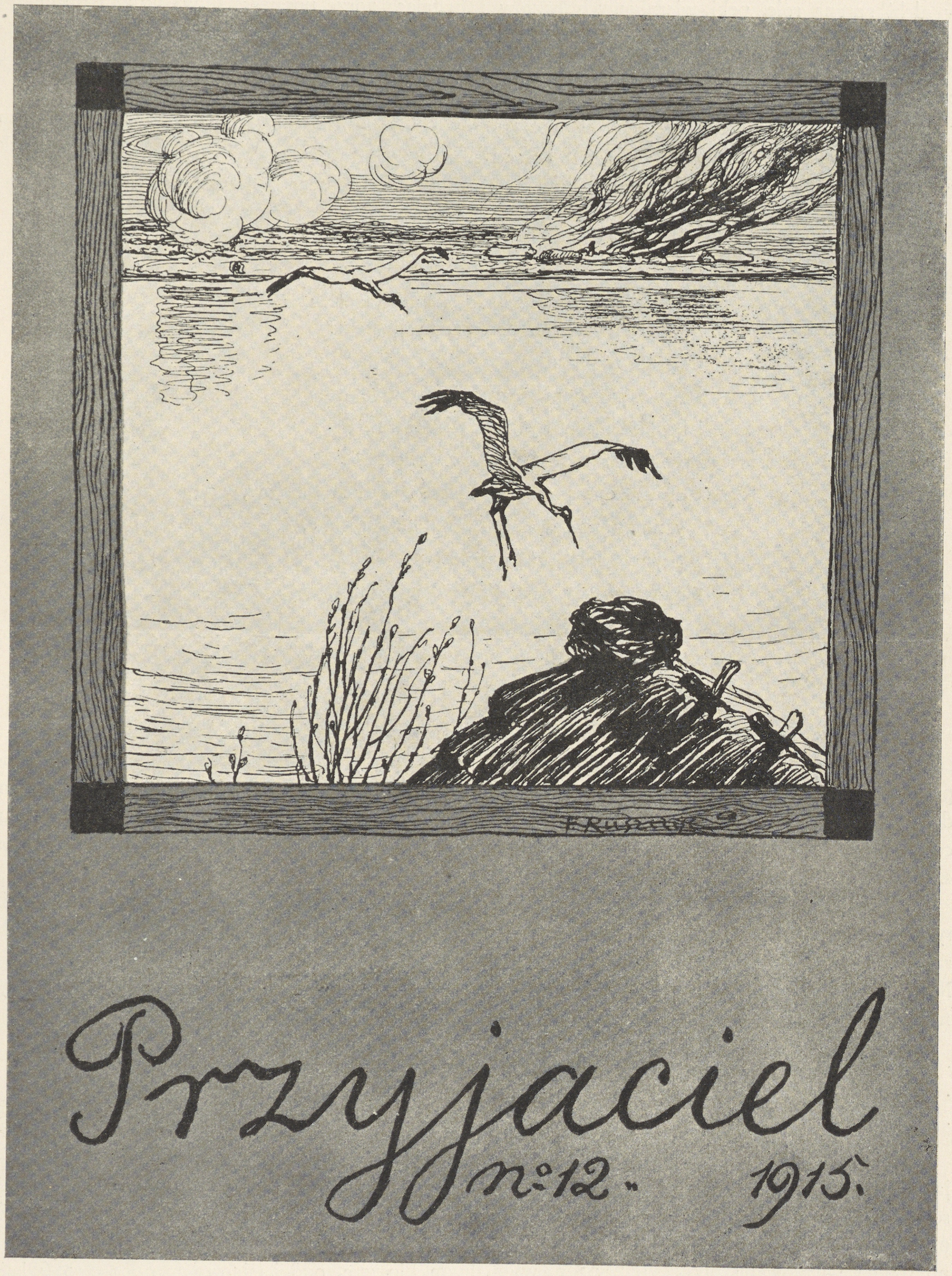
F. RUSZCZYC MARKI POGOTOWIA RATUNKOWEGO WILEŃSKIEGO (1914)

niać. Nalepki przedstawiały widoki kościołów wileńskich, nieistniejącej bramy Subocz, zamku w Trokach i postacie królowych z kościoła Ś. Piotra na Antokolu; były mocne w wyrazie, piękne w barwie i wzorowo odbite w litografji. Ażeby uniknąć języka rosyjskiego nie miały innego tekstu, jak tylko cyfry roku i wartości w kopiejkach, jako że litera „k" była utrakwistyczna.

Lato 1915-go roku zastaje nad obydwuch w Wilnie. Z zachodu — od Suwałk i Augustowa ciągną tabory rosyjskiej ewakuacji, coraz bliżej huczą grzmoty dział, panika coraz powszechniejsza zwiastuje koniec panowania moskiewskiego i zbliżanie się potęgi niemieckiej. Ruszczyc postanawia zwinąć mieszkanie na Zarzeczu i przenieść się z rodziną do Bohdanowa, by na miejscu stawić czoło nawałnicy i próbować ocalić z niej co się da. Ja waham się pomiędzy pragnieniem powrotu do swoich pod Mińsk, a obawą o los mojej placówki wileńskiej; pojmuję, że nie nadawałbym się do roli uciekiniera w głąb cesarstwa rosyjskiego, a zbyt dużo własnego życia włożyłem już w swój nowy warsztat, by go skazywać na zniszczenie. Zresztą los rozstrzyga bezemnie, bo wkrótce już nigdzie dalej nie można wyjechać. Jak wszyscy, jestem unieruchomiony na miejscu. Motory niemieckich samolotów wywiadowczych warczą nad miastem i na ich spotkanie coraz wykwitają białe szrapnelowe obłoczki nigdy nie trafiających rosyjskich zenitówek. Ulice dudnią grzechotem i brzękiem taborów we dnie i w nocy i szatańską kakofonją napełniają powietrze. Moskale pośpiesznie i wstydliwie zabierają i wywożą z Wilna pomniki Katarzyny, Murawjewa i Puszkina — jedyne dowody i okazy swojej działalności kulturalralnej na Litwie w przeciągu stulecia, i ja, ukryty za roletą w mieszkaniu mecenasa Wróblewskiego przy placu, fotografuję moment detronizacji Murawjewa. Jeden sołdat siedzi na jego głowie i wieńczy ją swemi pośladkami, a drugi otacza miłośnie jego szyję siedmiorakim skrętem postronka i koniec węzła podsuwa mu pod nos jakby do powąchania. Zachowane fotografje świadczą, że nie przesadzam w opisie tej sceny. Przypadek, zrządzenie losu, Deus Mirabilis sprawiają, że Wieszatiel wileński sam skończył swoją tutejszą karjerę ze strykiem na szyi — w kilkadziesiąt lat po niesławnej śmierci. Jeszcze i za grobem nie mógł rozstać się z akcesorjami swego katowskiego fachu.

Ruszczyc żegna się ze swojem Wilnem. Czyni to z równą godnością i ofiarną powagą, z jaką w niem i dla niego żył. Zabezpiecza i porządkuje na odjezdnem to, co w niem jest najdroższego — zbiory muzealne Towarzystwa Przyjaciół Nauk, obrazy, rękopisy, oręż, pamiątki. Wraz z drem Zahorskim, Brensztejnem, Rostworowskim i Wierzyńskim spędza ostatnie tygodnie na wprowadzaniu ochronnego ładu do młodej instytucji, mającej nabytki duże, ale chaotyczne. Daje nowe dowody swego pjetyzmu dla zagrożonego skarbu kultury narodowej, wśród huku armat czyni akt wiary, że nic z tego skarbu nie może zginąć, akt niezłomnej nadziei, że pomimo wojny wszystko się zachowa i służyć będzie przyszłości. Kiedy pali się dach domu ojczystego, a on dachu ratować nie zdoła, ochrania w tem domostwie i do serca przyciska — relikwje i kwiaty. Pozostaje wierny do końca na stanowisku i uczy, że jeśli nie giną relikwje pod butem najeźdźców, to dlatego, że czyni je niezniszczalnemi wiara i moc ducha i czynne miłowanie takich, jak on.

Uczuciom tym daje jeszcze inny wyraz. Nieledwie strzemiennego ilustruje dwa efemeryczne wydawnictwa wileńskie, które niebawem przestaną wychodzić, „Przyjaciela" i „Jutrzenkę". Przełomowa chwila wojenna nadaje tym pismom charakter szczególnie tragiczny, a piękne w nich rysunki Ruszczyca potęgują nastrój i zniewalają do ogarnięcia ich wzruszonem spojrzeniem. „Przyjaciel" ma na okładce obraz w dębowej ramie z czarnemi narożnikami, rzekłbyś — zdjęty gdzieś ze ściany staroświeckiego dworu, ale treść obrazu jest całkiem aktualna: bociany ulatują przez wodę precz od płonącej wioski, nad którą unoszą się potworne dymy pożogi i gęste obłoki złowróżbnych granatów. A okładka „Jutrzenki" także mówi o wojnie, ale już inaczej, z odcieniem nadziei: pożarne dymy na pierwszym planie rozchylają się posłusznie pod wiosennym wiatrem, i ukazują



F. RUSZCZYC

OKŁADKA „PRZYJACIELA“ (1915)
COUVERTURE DE LA REVUE „PRZYJACIEL“.

w głębi zoraną rolę, pęki wierzbowych baziów i świtającą zorzę poranka. Inny rysunek wewnątrz mówi to samo: ozdabia winjetami wiersz Słońskiego „Na zgliszczach", który podawano sobie wtedy z ust do ust. U góry mży zwiewna firanka brzozowych listeczków, a u dołu kłosista niwa żytnia porasta nad świeżemi mogiłami, jak symbol zmartwychwstania.

Ten sam rysunek ozdobił pocztówkę z wierszem Słońskiego, który wówczas był w rękach i w sercu każdego, gdyż wyrażał nadzieje i obawy wszystkich Polaków. Wiersz jest tak mocny, tak wiernie oddaje miotające nami uczucia, że pragnę go tu przypomnieć — sobie i innym:

Czy ty wyrośniesz z tych czerwonych ran,
które żołnierzom siwy mróz całował,
Ty, krwią dymiąca od progów do pował,
mrąca na gruzach postrzelanych ścian?
Czy znów pszenicą porośnie twój łan,
który wróg ogniem orał i tratował,
i kto, o Polsko, będzie cię budował,
komu dziś w ręce włoży kielnię Pan?
Czy krwią wpisana w księgi ludzkich dziejów,
Ty znajdziesz dzisiaj takich kołodziejów,
którym anioły każą czynić ład?
Czy krew twa wsiąknie w bezpłodne ugory
po to, by z niej się wylęgły upiory
na grobach, w które brata spychał brat?

Taką „sztukę stosowaną" uprawiał Ruszczyc w Wilnie na pożegnanie. Nigdy nie użył talentu swego na fraszki i każde dotknięcie jego ołówka czy pióra było czynem artystycznym, co mu nie przeszkadzało być czynem dobrego Polaka. Wartość jego prac była tak wysoka, że ta „polska tendencja" tuszowała się w niej i gubiła i wszystko przemawiało zgodnie i mocno. Bo tendencja w sztuce jest tylko wtedy szkodliwa, jeśli płynie z głowy, nie z serca, i jeśli woła głośniej, niż artyzm, z którym powinna stapiać się i zespalać bez reszty.

Latem oni zwijają mieszkanie na Zarzeczu i wyjeżdżają do Bohdanowa. Chwila opuszczenia tych drogich kątów jest straszna nietylko dla Ferdynanda, ale i dla mnie — wszak z niemi splotło się tyle żywych strzępów naszego życia. Wszak były one widownią tylu chwil pięknych i rzadkich. Mam ze sobą aparat — wśród paru pożegnalnych zdjęć robię także portret pani Giny, który był nam potem zawsze pamiętny... Odwraca się karta w księdze Wilna i wileńskiego „Zarzecza".

. . . .
. . . .
. . . .

W ciągu następnych lat nic prawie nie wiem o Ruszczycach. Oni są w Bohdanowie — ja w Wilnie, a warunki wojennej okupacji niemieckiej przytwierdzają każdego na głucho do miejsca pobytu. Nie można ruszyć się nigdzie, środki lokomocji istnieją tylko dla panów i zwycięsców, niewolnicy mają siedzieć w swoich klatkach i dziękować za niezupełnie odjęte prawo do życia. Wilno staje się izolowaną wyspą, nakrytą niewidzialnym kloszem, oddzielającym je od całego świata.



Na zgliszczach.

Te pola, które deptał
i ogniem orał wróg,
chabrami i rumiankiem
zasieje z wiosną Bóg.
Porosną wonnem zielem
żołnierskie groby wkrąg,
zadzwonią ostre kosy
śród naszych pól i łąk.
I chabry i rumianki,
wieńczące każdy grób,
żołnierzom, co polegli,
pokłonią się do stóp.
Pokłonią się niziutko
tym smutnym grobom wkrąg
od tej podartej ziemi,
od tych zdeptanych łąk.
Te dwory, które burzył
morderczym ogniem wróg,
powoli odbudować,
pomoże dobry Bóg.
Na zgliszczach, co wystygły
we mgle jesiennych słot,
zadzwoni lekka kielnia,
uderzy ciężki młot.
Tak stare nasze smutki,
radości, łzy i śmiech
wniesiemy w nowe kąty,
w podcienia nowych strzech.
Piastowym obyczajem,
gościowi u swych wrót,
pod lipą postawimy
sycony z plastrów miód.
I opowiemy, kreśląc
na czołach krzyża znak,
o Tej, co nie zginęła,
a Której wciąż nam brak.

Edward Słoński.



F. RUSZCZYC

RYSUNEK Z „JUTRZENKI“ (1915)
DESSIN POUR LA REVUE „JUTRZENKA“



F. RUSZCZYC WOJNA. RYSUNEK Z „JUTRZENKI“ (1915)

Nie dochodzą żadne wieści znikąd, prócz urzędowych i ocenzurowanych, nie wiemy nic o całym świecie, a najmniej wiemy, co się dzieje o miedzę, w powiatach, w dalszym kraju, w Warszawie... Trzeba się stulić i ścisnąć, ukryć się jak zwierz w legowisku, zaciąć zęby w milczeniu, zdobywać trudny chleb codzienny, w którym jest coraz mniej ziarna, a coraz więcej brukwi i kory drzewnej. Trzeba wyzbyć się ludzkich pragnień i związków z daleką rodziną, niewiadomo czy jeszcze istniejącą gdzieś na świecie, trzeba przekreślić wszystko, co swobodne, osobiste, myślące, polskie, — przyswoić sobie naturę płazu i czołgać się po ciasnym okólniku w otoczeniu innych płazów z pośród cywilnych autochtonów. A przedewszystkiem trzeba — nie myśleć, nie tęsknić, nie troszczyć się o nic i o nikogo, prócz tej ślimaczej ścieżki, bo inaczej — można stracić zmysły. Żyję więc w Wilnie sam, oderwany od wszystkiego, co bliskie, jak liść od pnia. Rodzina, dom, Ruszczyc i Bohdanów przestały dla mnie istnieć... A jednak — żyję...

„Niech życie będzie oporne. Co wybuchnąć ma — ciasnych wymaga ścian“.

Są to słowa Ruszczyca, wypowiedziane w kilka lat później na jego wykładzie inauguracyjnym na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Wówczas ich oczywiście nie znałem, bezbrzeżnie daleki od tej niewyobrażalnej wizji, graniczącej z niemożliwością, z gorączkowem majaczeniem... Ale,



F. RUSZCZYC

RODZINA ARTYSTY (1916)
LA FAMILLE DE L'ARTISTE

wiedziony jakimś instynktem, wcieliłem w swoje życie tę zasadę Ruszczyca. Odjęte mi było wszystko. Została była tylko moja pracownia fotograficzna, tak niedawno i z takim trudem dźwignięta, zostawała mi moja dziecięca radość z polśniewania słońca na białych murach wileńskich, z kręglenia się soczystej zieleni w wileńskich ogrodach. Zostawała lekkomyślna beztroska w obliczu pogodnego błękitu, zdolność cieszenia się z perłowych i sinych chmur na naszem zmiennem niebie, wieczna tęsknota do modrych widnokręgów, ciągnących myśli w dal ku nieznanemu. Zostawała namiętna pasja fotograficzna, zaciekłe postanowienie zachowawcze — nie dać się zmorom rzeczywistości i utopić ich groźbę w trudzie i w marzeniu. Ale przedewszystkiem utopić je w pracy nieustannej, uporczywej, w pracy zdobywczej i radosnej mimo wszystkiego. Cóż, że jutro może przyjść koniec, jeśli dzisiaj — słońce świeci tak jasno i rzęsiście? Jeśli rozkwitają bzy, a jabłonie osypane pączkami, gotują się do swych białych zaślubin z wiosną?

Niemiecki konserwator, porucznik Manfred Bühlmann, którego niebawem poznałem i o którym będę tu mówił niżej, słusznie mi kiedyś powiedział w związku z mojem fotografowaniem, że: „das Schönste im Leben entsteht—trotzdem". Powiedział to samo, co później Ruszczyc, — dwaj ludzie obcy, nic o sobie nie wiedzący, wypowiedzieli najważniejszą prawdę i tajemnicę życia, której ja jeszcze nie znałem i do której dochodziłem poomacku.

Tak więc trwałem w swojej pracy fotograficznej i ta niebawem rozwinęła się nadspodziewanie bujnie. Jeszcze przed rokiem moje widoki Wilna i krajobrazy wiejskie nie miały wielkiego miru u rodaków. Zwracali na nie uwagę nieliczni artyści, ale przeciętna publiczność żądała odemnie tylko fałszowanych kopij swych twarzy, dokumentów osobistych, któreby stwierdzały, że wszyscy są młodzi, przystojni i zdatni do sakramentu małżeństwa. Zachowałem na pamiątkę list jakiegoś klijenta, wystosowany do księgarni wileńskiej, która sprzedawała moje widoki. List był dosłownie tej treści: „Widoki Bułhaka są bardzo nędzne — odsyłam je Panom wszystkie z powrotem". Ale przy Niemcach, bardziej otrzaskanych z fotografją artystyczną, prace moje nabrały odrazu całkiem innego rezonansu i działalność moja skoczyła ogromnym susem naprzód. Dość zestawić dwa następujące fakty. W parę dni po zajęciu Wilna przez Niemców jakiś porucznik na ulicy czynił mi ostrą i brutalną wymówkę, że mu zasłaniam widok afisza, który chciał przeczytać, kiedy ja stałem przed nim i nie mogłem wiedzieć o jego obecności za mojemi plecami. A w kilka dni potem — naczelnik niemieckiej dyrekcji kolejowej w randze generała — podawał mi utensylja fotograficzne i służył mi za pomocnika przy dokonywaniu zdjęć z najwyższego piętra gmachu na Pohulance.

Nigdy jeszcze nie żyłem w takiej wysokiej temperaturze artystycznej inwencji i wydajności, w takiem oszalałem upojeniu pracą, jak tego lata 1916-go roku i zbiory moje zdjęć wileńskich powiększyły się kilkakrotnie. Byłem wciąż potrzebny okupantom i dzięki ich opiece, zresztą nie bezinteresownej, przedostawałem się do takich zakątków wileńskich murów, ogrodów i gmachów, które za panowania rosyjskiego były mi całkowicie niedostępne; przy tej sposobności poznajomiłem się z już wspomnianym porucznikiem, drem Manfredem Bühlmann'em, architektem i historykiem sztuki, przydzielonym do zarządu miasta przez okupantów w charakterze konserwatora. Wiosna tego roku była wczesna i kwiecista, jabłonie wileńskie odprawiały swoje białe misterja i wszystkie poranki majowe schodziły mi na wędrówkach fotograficznych, których wynikiem było olbrzymie wzbogacenie mego zbioru i wiele rzeczy naprawdę wyczutych i udanych. Gdy fotografowanie było surowo wzbronione całej ludności cywilnej, ja z porucznikiem niemieckim chodziłem wszędzie swobodnie z aparatem i przynosiłem do domu obfite plony. Dużo plondrowałem u Misjonarzy, Wizytek i w okolicy Rossy. Śpiesząc z kamerą pod pachą do tych pięknych sadów, czułem się nieraz, jakby mi urastały skrzydła. Żyłem w jakiemś urzeczeniu, oderwanem od całego życia, od siebie samego nawet. Pracowałem gorąco i zwycięsko, starając się nie myśleć o niczem innem, poza tą pracą błogosławioną i szukając w niej ucieczki i zapomnienia.



F. RUSZCZYC

„OTALA". PORTRET SYNA (1917)
PORTRAIT DU FILS DE L'ARTISTE

Zatrzymałem się nieco na osobie Bühlmanna jeszcze dlatego, że w związku z nim było wydanie numeru „X Armee Zeitung", wychodzącej w Wilnie, i tekst tego numeru uwzględniał wyłącznie i szczegółowo twórczość Ruszczyca. A być może, że i jedyny przyjazd Ruszczyca do Wilna w ciągu okupacji został ułatwiony wskutek rozgłosu, jakiego to pismo przysporzyło artyście. Ruszczyc zresztą bawił w Wilnie krótko, a warunki, w których spotkaliśmy się, były tak mało sprzyjające jakimś wywnętrzeniom, że z tego widzenia nic mi w pamięci nie pozostało. Wiedziałem z głuchych pogłosek, że żyje on wraz z rodziną w warunkach, urągających najskromniejszym wymaganiom ludzkim, ale nie miałem jeszcze pojęcia, do czego może dochodzić nędza przyfrontowa, a szczegółowo dowiedziałem się o tem dopiero po odzyskaniu Wilna przez Polskę. Ruszczycowie mieszkali wraz z dwojgiem dzieci w dwuch najmniejszych izdebkach Bohdanowskiej oficyny, żyli jak w niewoli, zamknięci, i unieruchomieni, o głodzie i chłodzie, bez światła, często bez mleka dla dzieci. We własnym dworze, w dużym majątku, obfitującym we wszystko, rodzina otrzymywała z rąk okupantów z łaski żebracze okruchy, a Ruszczyc kręcił z wosku i gałganków stoczki, by mieć co zaświecić w długie zimowe wieczory. Był czas, kiedy żywili się szczawiem i inną zieleniną, bo mąki i chleba nawet kupować w niemieckiej kantynie nie było im wolno. Słuchając tych opowieści, czułem wstyd, że sam te czasy przeżyłem we względnym dobrobycie i nie wiedziałem, ile oni cierpią. Mogłem tylko domyślać się tego z dwuch listów, jakie miałem od Ruszczyca w ciągu tych czterech lat. Jeden w roku 1916-tym był przywieziony przez panią Ginę, drugi przyszedł w dwa lata później, również okazyjnie, bo poczta wówczas była nie dla nas. W pierwszym liście dziękował mi Ruszczyc za posłane mu fotografje, a o warunkach życia wyrażał się po swojemu: „W ciasnych naszych dwuch pokoikach, napchanych i nieźle zaludnionych, potrafił pan zmieścić jeszcze cały kawał Wilna. Te dachy i dymy wileńskie przenosiły mię stąd — *w mrocznych godzinach* — na szczyt świętojański, skąd wszystko, a więc i zmiany teraźniejsze — *drobnieje...* A tak trzeba czasem powietrza... Wszystkie te motywy poruszyły dawne wspomnienia i rozbudzają nowe marzenia. *Widocznie zawsze bogactwa tworzą się strasznym kosztem...* Ale też patrząc i myśląc o tem, *co nasze, tak się jest dumnym i radosnym...* Ściskam i bardzo, bardzo dziękuję. Do zobaczenia się (miesiące teraz *nie robią różnicy).* Ferd."

Czemuż tak późno zrozumiałem w całej pełni znaczenie tego listu, w niewielu słowach tak nabrzmiałego treścią! Warto się nad nią zastanowić. Do mieszczucha, siedzącego w Wilnie okupowanem, pisze „właściciel" Bohdanowa, że jemu, w jego mrocznych godzinach braknie powietrza do oddychania. A pomimo tego patrzy on na wszystko z poziomu najwyższej wieżycy wileńskiej i mówi ze spokojem o naszych bogactwach, tworzących się kosztem powszechnego zniszczenia materjalnego. On, wyzuty przez przemoc ze swego mienia, on, zbierający źdźbła trawy i okruchy mąki, by nakarmić swoje dzieci, on — czuje się *dumny i radosny.* Bo „ciągle mu się śni, że Ta, co nie zginęła, powstanie z naszej krwi". Bo wie, że tym kosztem zapracowuje się na Polskę, że za tę cenę zdobywa się wolność... Inni w znośnych warunkach ogólnych wegetują w Wilnie w gryzącej mgle niepewności, narkotyzują się pracą lub rozrywkami, by doczekać jutra nieznanego i może jeszcze gorszego. On — żebraczy pan Bohdanowa, wyzbyty ze wszystkiego, pozbawiony nawet chleba dla dzieci — czuje się *dumny i radosny.* On widzi to, co przed innymi jest zakryte. Gdy mu odjęte zostało Piękno, — on w natchnieniu — żyje Prawdą.

List drugi z lipca 1918 roku namawiał mię, żebym spróbował uzyskać pozwolenie władz niemieckich na przyjazd do Bohdanowa pod pretekstem jakichś prac fotograficznych. „Nie wiem — pisał — czy Pan wrócił już z Mińska, nie wiem, jakie są pańskie zamiary na lato, ale przypuszczam, że w mieście pan nie wytrzyma... Pragnę bardzo, żebyśmy tu mogli chodzić i gawędzić... Tyle przez te lata się przeżyło i teraz jeszcze niedawno — że powstałaby luka, gdybyśmy nie mogli tego wszyst-



F. RUSZCZYC „JARSKIE" IMIENINY W CZASIE OKUPACJI W BOHDANOWIE (1916)

kiego powiązać... Czeka więc na pana Bohdanów, jak kiedyś. Tylko stół — *jarski*. Gina wkrótce wybiera się do Wilna. Ja zostaję tutaj. Prosi o tę niespodziankę i ściska F.".

Ale ja niestety nie mogłem spełnić jego życzenia, chociaż zbiegało się ono jaknajbardziej z mojem własnem. Po świeżem zdobyciu przez Niemców Mińska otworzyła mi się nareszcie droga do domu i całe to lato spędziłem w Peresiece z odzyskaną rodziną. List Ferdynanda dostałem dopiero jesienią, po powrocie do Wilna. A od września 1918 roku wypadki potoczyły się coraz szybciej, coraz bardziej decydująco i o wyjeździe do Bohdanowa nie mogło już być mowy. Nasuwała się na nas druga nawała od wschodu. Świat cały cieszył się z zawieszenia działań wojennych i bliskiego pokoju, a my przysłuchiwaliśmy się odgłosom nowej burzy, nadciągającej od strony bolszewickiej.

Już po zakończeniu wojny dał mi Ruszczyc swój rysunek wyobrażający ganek w Bohdanowie ze zwieszającym się sztandarem niemieckim z okazji jakiejś wilhelmowskiej uroczystości. Pruski orzeł wraz z żelaznym krzyżem złowrogo czerniał na płótnie i panoszył się buńczucznie, jakgdyby miał wiecznie tu pozostać. Ale wówczas już wszędzie w Wilnie powiewały nasze jasne kolorowe sztandary i widniały nasze białe orły, a tamten posępny ptak był tylko koszmarnem wspomnieniem.

Pomimo wszystkich udręczeń Ruszczyca i jego rodziny w Bohdanowie, los ich w pasie, doty-



F. RUSZCZYC

SZTANDAR NIEMIECKI NA GANKU W BOHDANOWIE (1916)
L'ÉTENDARD ALLEMAND À BOHDANÓW EN 1916.

kającym bezpośrednio frontu i wciągniętym w sferę działań wojennych, mógł być jeszcze gorszy, gdyby nie szczególny szacunek, jaki Niemcy żywili dla osoby tak wybitnej i zasłużonej. Żadnemu artyście nie poświęciła „X Armee Zeitung“ tyle uwagi i miejsca, ile Ruszczycowi. Numer ten zawierał osiem niezłych reprodukcyj jego obrazów i rysunków, wykonanych w tem samem Wilnie i w tych samych zakładach, gdzie dotychczas reprodukcje były tak mizernie parodjowane przez nieukształconych i zarozumiałych miejscowych wydawców. Dość obszerny tekst krytyczny, odzywał się pochlebnie o malarzu, i kreślił jego sylwetę artystyczną trafnie i przychylnie, ale z iście germańskiem zakończeniem, które tu przytaczam dla jego naiwnego cynizmu. „Od wybuchu wojny przebywa artysta w swoim majątku Bohdanowie, oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od frontu. Tam chwilowo zamienił on pendzel na pług i zapewnia przytem, nie wiemy w jakiej mierze słusznie, że dzisiaj miarka zboża lub kartofli więcej jest przydatna ludziom, niż najpiękniejszy obraz“. Nie wiedzieli jeszcze wtedy syci zaborcy, zamieniający bagnet na pług w cudzych zagonach, że za dwa lata przekonają się o słuszności zdania Ruszczyca na podstawie własnego gorzkiego doświadczenia.

W owych ciężkich czasach wracałem nieraz myślą do Bohdanowa, ale dopiero dziś rozumiem, ile trzeba było hartu, by się nie ugiąć moralnie i fizycznie w tych strasznych warunkach, dochować małe dzieci w zdrowiu i samym doczekać się cało lepszych czasów. Pani Gina Ruszczycowa, choć taka młoda i ledwie rozpoczynająca życie, okazała się godną towarzyszką Ferdynanda i dała dowody tych zalet prawdziwej kobiety-Polki, najlepszej żony i matki, niezawodnej



F. RUSZCZYC „EDZIO“. PORTRET SYNA. (1916)

w niedoli towarzyszki, pełnej oddania i wytrwałości, które zjednały jej ogólną cześć i sympatję, a w ostatnich latach życia chorego męża wywołały uwielbienie w każdym, kto ją bliżej poznał. Dopiero po twardej próbie wojennej okazało się, jaki szczęśliwy i mądry wybór uczynił Ruszczyc, pojmując ją za żonę. Tylko z taką przyjacielską i hartowną duszą mógł on przetrwać odpornie tę straszliwą czteroletnią niewolę niemiecką we własnym domu. Nie odrazu zdałem sobie sprawę z doniosłości jego przejść. Jak on musiał drżeć o swoje drobne dziatki wśród groźnego zamętu wojennego, jak musiał troskać się o pamiątki domowe, o tyle najdroższych sercu rzeczy w swoim wypieszczonym przed wojną Bohdanowie, o swoje prace, obrazy, zbiory, o te wszystkie złote miody, nagromadzane pieczołowicie w komórkach woskowych swojej mistycznej pasieki. A przecież i to bladło wobec zagrożenia wszelkich spraw zbiorowego życia, wobec klęski, jaka dotykała cały kraj, poryty okopami i zasypany gruzami, obrócony w potwornie zdeptany majdan rabunku i katowni...

„Niech życie będzie oporne. Co wybuchnąć ma — ciasnych wymaga ścian".

O! było oporne jego życie. Ciasne były ściany, które to życie dławiły przez całe lata i zmusiły tego promiennego artystę przemycać woreczkami mąkę dla dzieci lub kręcić świeczki z wosku i szmatek...

Ale w tych ścianach, ścieśnionych do ostateczności — i wybuch też nastąpił wspaniały, porywający, wulkaniczny, gdy pękły okowy niewoli. Ale też cudowne przyszło Zmartwychwstanie



F. RUSZCZYC — KU WILNU (NOC PRZED WIELKĄ SOBOTĄ 1919 R.)



F. RUSZCZYC

WKROCZENIE WOJSK POLSKICH DO WILNA W R. 1919
ENTRÉE DE L'ARMÉE POLONAISE À WILNO EN 1919

w pamiętną Wielką Sobotę, gdy w Wilnie zastukotały polskie karabiny, zagrzmiały polskie armaty. Ale wysoko, potężnie, podniebnie wystrzeliła twórczość Ruszczyca od tego wiosennego święta wileńskiej Wielkanocy...

Jak Mickiewicz w roku wojny Napoleońskiej, tak samo Ruszczyc w „roku owym“ 1919-tym — „jedną taką wiosnę miał w życiu“. A z nim — i my wszyscy. Na jej wspomnienie ręce same składają się do modlitwy, ramiona otwierają się do wielbiącego uchwytu, a na usta wybiega uśmiech bezmiernego uniesienia, szczęsny aż do bólu. Czemuż już tylko wspominać można te dnie jedyne? Czemuż tak rychło przeminęły, jak sen czarowny? Czemuż nie można przeżyć ich raz jeszcze?

. . . .

I oto w tych dniach kwietniowych znaleźliśmy się w Wilnie znowu razem. Ruszczyc przyjechał jednokonnym wózkiem, ubrany w wyszarzaną kurtkę i długie buty, a był to jedyny strój „galowy“, jaki wówczas posiadał. Przyszedł do mnie zaraz, jak tylko nasza ulica została oczyszczona z bolszewików. Był wymizerowany i blady, miał radosny płomień w oku i białoczerwoną kokardę na piersi. Padliśmy sobie w objęcia serdecznie, po wiejsku, po naszemu. Zaraz go musiałem sfotografować i zdjęcie to jest bodaj najlepszym portretem z okresu powojennego, bo w profilu wiernie zarysowuje budowę jego czoła i orli zakrój twarzy. Opowiedział mi, jak w Turgielach spotkał się z naszem wojskiem, zdążającem na odsiecz Wilna, w urywanych, zachłystujących się zachwytem słowach mówił o doznanych wrażeniach, które znajdowały oddźwięk w przeżyciach moich. Nie będę tu podawał szczegółów, ponieważ przedziwną tę podróż Ruszczyc opisał wkrótce dokładnie w „Tygodniku Ilustrowanym“, w artykule p. t. „Wspomnienia świadka“ i opis ten wszedł do niedawno wydanej książki jego p. t. „Liść wawrzynu i płatek róży“, dokąd odsyłam ciekawych. Opowieść ta kryje wśród wierszy prostych i objektywnych niezmierne pokłady uczucia i wrażliwości, i wyłuskiwanie z nich tych złotych ziaren hamowanego szczęścia, tych brylantowych iskier tłumionej ekstazy jest coraz nową, nieustającą radością dla tego, kto sam podobne chwile przeżył.

Co się czuło w owe dnie kwietniowego Zmartwychwstania, tego nie można wyrazić żadnemi słowami, bo każde słowo jest zimne, marne i nieme wobec ogromu szczęścia, jakie nas wtedy spotkało. Wiosenne słońce opromieniało nasze zachwycenie, wiosenne niebo posyłało nam blade uśmiechy matki zbolałej, ale szczęśliwej, wiosenny wicher gnał nas w dal — witać odzyskaną wolność, miasto, ludzi, kraj, całą Ojczyznę. Było aż straszno, czy zdoła serce pomieścić tyle radości, żarliwej i górnej, czy się nie zmącą myśli pod jej nadmiarem, czy wytrzymają oczy olśniewającą jasność tej młodej swobody?...

Cały ratunek w tej szczęsnej opresji stanowiła jej krótkotrwałość. Nie było czasu na roztkliwianie się. Wokoło otaczały nas same ruiny i ugory zapuszczone, wołające o kielnię i pług. Trzeba było wszystko budować od nowa, trzeba było oczyszczać pożarzyska i rumowiska, zachowywać i zabezpieczać ocalałe resztki. Ruszczyc odrazu stawał do roboty i ja za nim. I wówczas to zaczęła się ta jego najważniejsza i najszczytniejsza, przez całe życie marzona praca dokoła Uniwersytetu i Wydziału Sztuki, która stanowi apogeum jego twórczego żywota. Spełniło się jego widzenie z „Wieczoru Poezji“ — stał się rzeczywistością obraz dziedzińca uniwersyteckiego, połączonego z kościołem Świętego Jana, zaludnionego profesorami i studentami, obraz podziwiany zdala tęsknem wejrzeniem wygnańca-Mickiewicza na paryskim bruku. Spełniło się w sześć lat po poczęciu tej wizji proroczej w „Wieczorze Poezji“.

Jest w „Konradzie Wallenrodzie“ taki heksametr: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“.

A my, po stokroć szczęśliwi, mogliśmy ten wiersz odwrócić. Wyzwolona ojczyzna była szczęśliwa i my z nią razem.



FOT. J. BUŁHAK

FERDYNAND RUSZCZYC W WILNIE 20 KWIETNIA 1919 r.
FERDINAND RUSZCZYC À WILNO EN 1919



FOT. J. BUŁHAK FERDYNAND RUSZCZYC JAKO DZIEKAN WYDZIAŁU SZTUK PIĘKNYCH U. S. B. W R. 1919

FERDINAND RUSZCZYC EN TENUE DE DOYEN DE LA FACULTÉ DES BEAUX ARTS DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO

ROZDZIAŁ VIII

U CELU

1578 — 1803 — 1919

Za panowania Jego Królewskiej Miłości Króla Stephana... narodziny, zapoczątkowanie.

Roku 1803—odnowiona i przekształcona WSZECHNICA—widok w historji jedyny, bo współzawodnictwo w zasługach i sławie Nauczycieli i Uczniów, Kierowników i Następców.

A potem, po ćwierci wieku gorejącego blasku—popioły...

A potem — w wiek prawie potem — z popiołów, użyźnionych krwią bratnią, Cud i Tryumf życia.

Szczęśliwe pokolenie nasze.

Spragnieni, drżący ze wzruszenia i niecierpliwego wyczekiwania przypadamy do murów tych i piszemy, tworząc dla Przyszłości legendę:

ROK 1919 — PRAWDZIE I PIĘKNU.

. . . .

Tak pisze wczorajszy więzień okupacji niemieckiej i bolszewickiej, niezłomny w niewoli, radosny w wyzwoleniu. Tak pisze w uniesieniu budowniczy Wydziału Sztuki, duch twórczy i opiekuńczy wskrzeszonego Uniwersytetu Wileńskiego — Ruszczyc, nareszcie stojący u celu i „w niecierpliwem wyczekiwaniu" kołatający do wrót marzonego szczęścia, Ruszczyc, nie umiejący odczuwać tego szczęścia inaczej, jak pospołu z całym krajem i obwieszczający kamiennemi zgłoskami na wydartych przemocy murach, że w roku 1919-tym spełnione zostały jego marzenia. „Szczęśliwe pokolenie nasze...". Szczęśliwe pokolenie Ruszczyca w tych murach Mickiewiczowskiej młodości składa hołd Prawdzie, zespolonej z Pięknem, a on sam, „dumny i radosny" stoi na Monsalwacie zielonych wzgórz i kościelnych szczytów i stamtąd ogląda chmurną przeszłość, pełną trudów i walk, dzisiejszą promienną rzeczywistość, przez siebie wywróżoną i przyszłość, dla której całem swojem życiem tworzy — LEGENDĘ.

Czyż nie cudowny to obraz?

. . . .

By lepiej zrozumieć, czem były dla Ruszczyca te epokowe wydarzenia, których widownię stanowiło i Wilno, zajrzyjmy do jego pośmiertnej książki pod tytułem „Liść wawrzynu i płatek róży". Tam w rozdziale „Tygodnik Wileński" są takie słowa. „Biedni, wyzuci z praw, jakie przysługują nawet narodom bez nazwy, *jakże bogaci jesteśmy.* Jakie dziwne misterjum — te dzieje nasze, i jak dziwnie przez dni roku obchodzić możemy pamiątki naszych narodzin, potęgi, upadku i nadziei". Tak mówił w roku 1910-tym, za panowania moskiewskiego, a w kilka lat potem, za okupacji niemieckiej, powtarza tę myśl prawie dosłownie: *„Widocznie zawsze bogactwa tworzą się strasznym kosztem... Ale też patrząc i myśląc o tem, co nasze, tak się jest dumnym i radosnym..."*.

Połóżmy nacisk na to zestawienie, które wcale nie jest przypadkowe. W niewoli, w nędzy, wśród zniszczenia dóbr materjalnych i ogólnego przygnębienia, Ruszczyc nie zwątpił w to nasze jedyne bogactwo — w nieśmiertelność ducha polskiego. Gdy tylu było ślepych, co poddawali się zwątpieniu i rozpaczy, on wierzył w lepszą przyszłość i nie ustawał w pracy nad jej przybliżeniem. Tęsknoty swe żywił nadzieją na długo przed wojną, właśnie wtedy, gdy „przestał malować" i zajął się redagowaniem „Tygodnika Wileńskiego", wtedy jeszcze, gdy nad Polską panowała noc koszmarna, a ręce jego podbierały okruchy prawdy i piękna z pod nóg przechodniów, nieuważnie depcących je w pogoni za chlebem codziennym. Rok 1919-ty przyniósł tedy wraz z tchnieniem wolności wymowną odpowiedź tym, którzy zapytywali, dlaczego Ruszczyc nie maluje. I niebawem zobaczymy, jakie wspaniałe obrazy zacznie on malować — z ludzi i wypadków — obrazy, które można tworzyć jedynie w *wolnej ojczyźnie.* Będzie nietylko opowiadał w odczytach „o naszych niewidzialnych bogactwach" — będzie te bogactwa, przez tylu niedojrzane, ukazywał wszystkim, będzie je rozmnażał w swych cudotwórczych dłoniach, obdarowywał niemi miasto i cały kraj. I to wszystko uczyni — jako odszkodowanie — wzamian za tych kilkanaście nienamalowanych pejzaży, których mu nie mogli wybaczyć współcześni.

Wracam do niezapomnianych dni kwietniowych. Po radości odczuwań wstępnych przyszedł zapał pracy tak gorączkowej, że nie sposób jej ogarnąć ani opisać. Przyrównaćby ją można do wiosennego szturmowania ciepłych wichrów, co budzą glebę z zimowego otępienia, a w zwojach korzeni i w łodygach traw wywołują wartkie krążenie soków... Popłynęły miesiące pełne wydarzeń, żłobiących w duszy głębokie ślady.

Krótka kontrofensywa bolszewicka na Wilno w ostatnich dniach kwietnia, zlikwidowana w ciągu jednego dnia przez nasze wojska, odzyskiwanie przez nie terenów wschodnich coraz szersze i dalsze, zatrzymanie się latem postępu naszego natarcia gdzieś na pół drogi do Mińska Litewskiego, wreszcie — ku jesieni — zdobycie Mińszczyzny i powrót mój z rodziną do odzyskanej Peresieki, a w Wilnie — po ochłonięciu z ekstazy pierwszych dni kwietniowych — nawrót do wzmożonej pracy fotograficznej, zawodowej i osobistej, chwytanie na kliszę tych historyczych wypadków, których świadkiem lub uczestnikiem danem mi było zostać...

Przez te miesiące nie mieliśmy z Ruszczycem czasu na dawne chwile własne, wspólnie spędzane. Porwały go w swe obroty koła życia, wirujące szalonym rozmachem, poniosły go za sobą te niezliczone tryby naprawianego mechanizmu miasta, gdzie musiał on pilnować i motoru i każdego kółka i śrubki. Spotykaliśmy się nieledwie codzień, ale tylko w momentach uroczystości, zebrań organizacyjnych i tych różnych zakładzin fundamentów, przy których jego udział był zawsze przodujący i niezawodnie pomocny. Porozumiewaliśmy się krótkiem spojrzeniem i szliśmy każdy w swoją stronę, — ja — do swych spraw fotograficznych, on — na szerokie rozłogi budowania społecznego. Ze sobą naprawdę byliśmy tego lata bardzo mało — zbyt głośno wołało każdego życie, zbyt pochłaniało i wciągało w swoje zawrotne tempo.

I tu zaznaczyła się wyraźnie różnica, jak dzieli zwykłych śmiertelników od wybrańców. Dla mnie po ochłonięciu z pierwszych chwil uniesienia, wyzwolona ojczyzna stała się miłym i zacisznym przybytkiem pracy artystycznej *osobistej,* życia rodzinnego osobistego. Dla Ruszczyca Polska, odzyskana trudem życia, była areną dalszych wysiłków, polem nieustającej pracy publicznej, wytężonej i twórczej. Dochodziły mię wieści, że ma być wskrzeszony uniwersytet wileński, że odbywają się narady przygotowawcze„ tworzą się komisje, że aż kipi w sferach naukowych wileńskich, ale, ja, pochłonięty własną pracą, słuchałem o tem jednem uchem i nie zdawałem sobie sprawy z doniosłości tych niewyraźnych jeszcze zaczynów, co na jesieni miały przobrazić się w wiekopomne dzieło Uniwersytetu Stefana Batorego. Pojąłem to dopiero wtedy, gdy Ruszczyc otworzył mi oczy i ukazał w całej wielkości piastowany obraz w przededniu jego wcielenia. Nie umiałem patrzeć i widzieć tak daleko, jak on.

A przecież Ruszczyc nie poprzestaje na tem ogromnem zadaniu. Prócz prac przygotowawczych uniwersyteckich jest czynny wszędzie jako inicjator i jako wykonawca. Odrazu na początku przeżył najgórniejszą chwilę wjazdu do Wilna wraz z wojskiem polskiem. Wrażenie jest wstrząsające — musi je utrwalić. Więc chwyta ołówek — to, co najprostsze, najbardziej bezpośrednie, i rysuje. Cóż ma narysować *pierwszego* w wybawionem mieście, jak nie znak hołdu dziękczynnego dla *Wybawiciela?* Powiedział przecie w jednym ze swych przemówień, że piękno ziszczone budzi w człowieku chęć dziękczynienia za nie i że to pragnienie jest miarą wzbogacenia wewnętrznego, jakie przynosi piękno. Przepełniony wdzięcznością, rysuje *klucze Wilna* i ofiarowuje je Józefowi Piłsudskiemu. Ofiarować chce chociaż rysunek, zanim nie będą odlane w metalu i wręczone Wodzowi prawdziwe klucze w kształcie plastycznym. Ale na rysunku Ruszczyca są one bodaj jeszcze piękniejsze, niż w najlepszym odlewie. Dostojnie spoczywają na gronostajach, kunsztowne i majestatyczne, ciężkie od tylu mąk serdecznych i radości promiennych, mówiące o wieczystym ślubie Orła i Pogoni, piastujące między zazębieniami wizerunek wileńskiego Patrona z Boskiem Dzieciątkiem na ramieniu. Jak tamto bezimienne wotum w kaplicy Ostrobramskiej dziękowało „Matce za Wilno" głosem całej udręczonej ludności, tak te klucze Ruszczyca są również aktem dziękczynnym wiernego serca i wielkiej duszy, aktem, w którym złączyły się i spłynęły serca wszystkich wilnian. Nie jest to przypadkiem, że klucze Wilna składa Piłsudskiemu Ruszczyc: właśnie Przodownikowi i Strażnikowi Grodu przystoi pierwszemu wyjść na spotkanie Wodza-Wybawcy i wrę-

TABLICE HISTORYI

Są rękopiſy – rzadkie, cenione bardzo – pergaminy, na których przez liter ſzeregi przeświecają inne, pożółkłe, nie odrazu czytelne, dawno ſpiſane, pierwotne. I widzi ſię jedno piſmo wyraźne, bliżſze, a za niem drugie – dalekie. PALIMPSESTY.

Są mury dziwne, złożone z uwarſtwień, mury, co roſły wiekami, przechodziły czaſu koleje, niſzczone i odnawiane, przerabiane wedle upodobania pokoleń. Zmienne było ich przeznaczenie, żyły i gaſły i znowu wracały do życia Tablice dziejów.

Na rozlewnych i bezkreſnych jak morze, ongi ſtrojnych w bujne ſtepowe kwiecie, potem zaś wypalonych huraganem najazdów przeſtworach ziemi naſzej niedużo pozoſtało pomników – znaków dawnej pełni życia. Twierdze siły mocarnej kruſzyły ſię, a twierdze potęgi ducha tonęły w zalewie Potopu. Z rzadka i w części tylko ocalałe, jak maſzty zatopionych okrętów, wyſtają ponad równinę, wſkazując miejſca dawnych zmagań ſię, znacząc miejſca wygaſłych ogniſk.

Strażnice na ſzańcach, broniących kultury od Wſchodu i przy okopach – granicach Plemienia na Zachód, murów tych oſtatki stoją jak słupy przydrożne długiego poprzez wieki pochodu naſzego. Wymowne na nich zgłoſki – rocznice. Po cztery znaki – a w nich surmy zwycięſtwa lub ſtłumione weſtchnienie bólu.

Takim słupem – pomnikiem, przyczółkiem Zachodu, wyſuniętym w mroczną próżnię wſchodniej nicości, wyſtaje ponad poziomy równinne twierdza Batorowej Wſzechnicy Wileńſkiej.

„Academia et Univerſitas...“

Tablica, wyrwana ze ſwego miejſca przez dzikich niſzczycieli i tylko dzięki ich rozleniwieniu nie potrzaſkana, w gruzach ocalała a przed dwoma mieſiącami na jaw wydobyta. Dolny wierſz: „Societatis Jesu“ kiedyś, – zapewne po kaſacie Zakonu, – zamalowany, natomiaſt górne dwa pozoſtały były niezmienne, a jako wyraz Wſzechnicy odrodzonej więcej jeſzcze mówiły.

Dziś tablica ta wróci na miejſce ſwoje.

Dziś też wraca życie do arkad krużganków, w zaciſzne podwórza. Odżyje, zaludni ſię ten świat i mury o szronie wieków będą państwem Młodości.

Odwykłym od wczytywania ſię w pożółkłe, zatarte zgłoſki przypomnimy Ojców mowę, a tym ſzczęśliwym, do których przyſzłość należy i któ-

rzy o przyszłości stanowić będą, przekażemy straż czystości wy-
mowy tej.

1578 ~ 1803 ~ 1919

„Za panowania Jego Królewskiej Miłości Króla Stephana ....
narodziny, zapoczątkowanie.

Roku 1803 — odnowiona, przekształcona na modłę rozbudzonej i z no-
wemi hasłami kroczącej Europy Wszechnica — widok w hi-
storyi jedyny, bo współzawodnictwo w zasługach i sławie Nauczycieli i
Uczniów, Kierowników i Następców.

A potem — po ćwierci wieku gorejącego blasku — popioły....

A potem — w wiek prawie potem — z popiołów, użyź-
nionych krwią bratnią, Cud i Tryumf Życia.

Szczęśliwe pokolenie nasze.

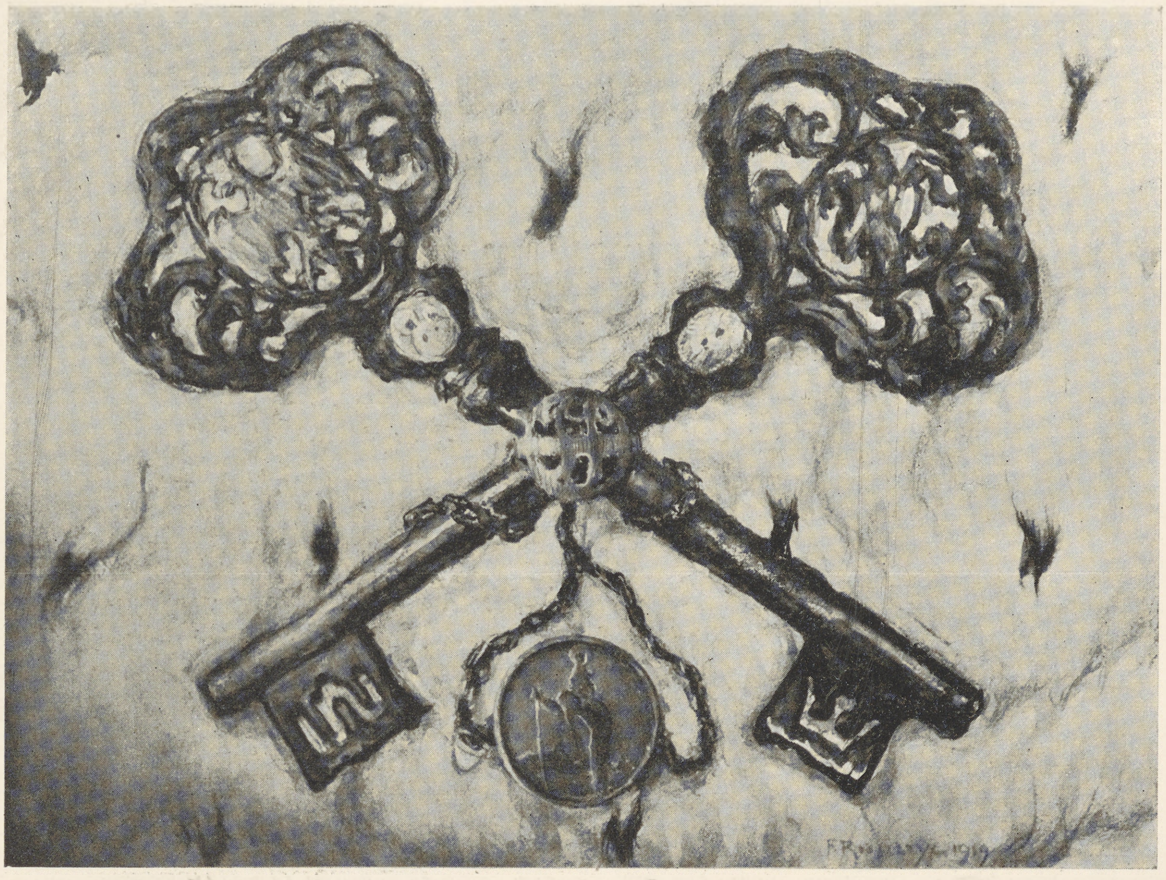
Spragnieni, drżący ze wzruszenia i niecierpliwego wyczekiwania, przy-
padamy do murów tych i piszemy, tworząc dla Przyszłości legendę:

Rok 1919 — Prawdzie i Pięknu.

Ferdynand Ruszczyc.



FASCIMILE DWUCH STRON NRU 40/41 „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ Z LISTOPADA 1919 ROKU.



F. RUSZCZYC KLUCZE WILNA (1919)

czyć jemu klucze duchowych bram miasta. Tak w pochodzie wojennym od stolicy Korony spotykają się u bram Stolicy Litewskiej ci dwaj Synowie naszej Ziemi. Odtąd — aż do śmierci — będzie istniała więź tajemna między Artystą i Wojownikiem, jakieś wspólne zapatrzenie w te same szczyty. Ostatnia wypowiedź publiczna Ruszczyca, na krótkie miesiące przed jego zachorowaniem będzie poświęcona Piłsudskiemu, jego stosunkowi do Wilna i do Sztuki*). Obadwaj żywili te same uczucia — obadwaj czcili wielkość i kochali piękno, a wileński Wydział Sztuk Pięknych miał w Piłsudskim do końca jego dni troskliwego opiekuna i możnego protektora. Ruszczyc zachował dla Piłsudskiego dozgonną wdzięczność, wysoką cześć i wierne oddanie. Te klucze, narysowane wtedy przez Ruszczyca, są kluczami do serc ich obydwóch.

Zaraz potem przychodzą konieczności dalszych uzewnętrznień uczuć przepełnionego serca. Powstaje projekt medalu na pamiątkę wyzwolenia Wilna, bez niepotrzebnych napisów, samemi kształtami wyrażający wszystko: na jednej stronie profil Piłsudskiego, marsowy a zadumany, na drugiej — uskrzydlona głowa orła królewskiego, o wyrazie potęgi równej z tamtą. Tak w duszy artysty zespala się w jedno człowiek z symbolem w majestacie królewskości.

Wrażenie osobiste ze spotkania się z naszemi wojskami, idącemi na odsiecz Wilna i z wjazdu

*) Patrz książkę Ruszczyca „Liść wawrzynu i płatek róży", rozdział 31.

ich przez Ostrą Bramę, muszą się wylać nie tylko w słowie, lecz i w obrazie. Powstaje rysunek, przedstawiający wkroczenie konnicy do miasta pod sklepieniem warowni, kiedy to „nad nimi i wraz z nimi do ciemni bramy zlatuje chorągiewek rój, jak rój barwnych motyli...". To wszystko musi być utrwalone. Ruszczyc nie zapomina nigdy, że ma obowiązek tworzyć „legendę dla przyszłości". Więc w dniu 17 maja wychodzi numer wileński „Tygodnika Ilustrowanego" i na parę ty-



F. RUSZCZYC MEDAL WYZWOLENIA WILNA (1919)

godni przedtem mamy moc wspólnej pracy. Obchodzimy pozostałości panowania bolszewickiego w Wilnie, kasyna i kluby przy ulicy Mickiewicza, gdzie jeszcze wiszą różne krwawe emblematy i brzydkie bohomazy wraz z djabelską gębą Lejby Trockiego, a w sentencjach na ścianach nad wszystkiemi innemi przeważają napisy w żargonie żydowskim. Nieodłączny aparat utrwala te efemeryczne potworności, a różne inne moje zdjęcia z całego tego okresu wchodzą do numeru Tygodnika i tam próbki ohydy wschodniej dziwnie odbijają od wzniosłego tła „Kluczów", medalu

Piłsudskiego i tryumfalnego jego wjazdu do Ostrej Bramy. Artysta wie, jakim mocarzem jest „repoussoir" i w ułożeniu tego zeszytu operuje mistrzowsko kontrastami.

Tak urzeczywistnia Ruszczyc swoje „Sny o Pięknie", marzone czasu niewoli. Na dzisiaj wszystkie one uosabiają się w jednem, w postaci orła, królewskiego orła białego. Odtąd będzie on rysował z namiętnem rozmiłowaniem orły na wszystkiem, o co woła potrzeba dnia każdego: na



F. RUSZCZYC MEDAL WYZWOLENIA WILNA (1919)

sztandarach, plakatach, nagłówkach, zaproszeniach, znaczkach i kartach chlebowych. A każde takie rysowanie będzie wybuchem wdzięcznego serca, wezbranego niewymownem szczęściem... Jest znowu jakieś pobratymstwo między artystą, a orłowem godłem — wypowiedź duszy, spragnionej wielkości, wiązanie mocy własnej z potęgą ptaka-symbolu, nabożne zapatrzenie się w tysiącletni majestat ojczyzny. I jakże piękne są te orły Ruszczycowskie, jak o całe niebo przerastające ten banalny i pomylony wzór, jaki sobie wybrała za godło nasza państwowość urzędowa. Dlaczego lepiej

nie wzięto dla niej któregoś orła Ruszczyca z tym ogromem szlachetnej siły, z tym wspaniałym wyrazem królewskości, w której jest tyle odwiecznego ducha polskiego? A przedewszystkiem — dlaczego nie wzorowano się na tym dostojnym orle z medalu „Wyzwolenia Wilna“, gdzie godło i Wódz zdają się być obadwa ptakami z tego samego podniebnego szlaku?

Jeszcze w kwietniu Ruszczyc zajął się kartami chlebowemi. W Wilnie po wypędzeniu bolszewików była głodna pustka. Mąka amerykańska, udzielana nam przez zagranicę za drogie pienią-



F. RUSZCZYC KARTA CHLEBOWA (1919)

dze, nadchodziła wolno i w ilościach niedostatecznych, więc Magistrat musiał na razie regulować zaopatrzenie miasta za pomocą kart żywnościowych. Ale czyż można pozwolić, by je sporządzono po biurokratycznemu w formie jakichś bezdusznych świstków? Wprawdzie pójdą one do rąk pospólstwa, które dba raczej o wypiek, niż o estetykę, ale wyzwolone Wilno musi mieć szeroki dostęp do „piękna powszechnego", musi i w tym drobnym akcie codziennym odczuć Ruszczycowską „niedzielę duszy". Wszak każdy ma w sobie iskrę bożą, choć nie każdemu danem jest jej wyjawienie. Więc niechże ci zgłodniali, ci wydręczeni okropnościami wojny skosztują nareszcie żywiącego polskiego chleba wolności, wydanego za piękną kartą. I w tym znikomym napozór celu tworzą się dzieła sztuki — dwie różnego koloru karty żywnościowe, z herbami województw, z insygnjami państwowości, gdzie biały orzeł króluje pośrodku w oplotach zbożowych snopów, spływających błogosławieństwem spokojnego dostatku.A ku jesieni, gdy się otworzy wskrzeszona Wszechnica, dojdzie trzecia karta, co będzie jeszcze bardziej chlebem dla ciała i duszy. Przyniesie wszystkim radosną wieść o „Uczelni". Będzie miała u góry napis „Uniwersytet Wileński", orła obok postaci Batorego i Piłsudskiego, a pod niemi wizerunki Uniwersytetu i naszych wielkich poetów i uczonych wileńskich. Będzie doraźnem abecadłem narodowem, pouczającem lud wileński o jego ogromnych, dotąd „niewidzialnych bogactwach" ducha. Tak obok chleba żytniego rozdawany jest w tym pamiętnym roku ręką Ruszczyca chleb sztuki.

Mnożą się okoliczności, w których jest ciągła potrzeba wdania Ruszczyca, a właściwie żadne wydarzenie nie powstaje bez jego udziału, jeśli ma związek ze słowem drukowanem. Polska Macierz Szkolna wydaje znaczek na zbiórkę w dniu Trzeciego Maja — dostaje orła na gwiaździstem tle, niosącego na skrzydłach otwartą księgę. „Związek Obrony Woli Ludu" otrzymuje lecącego orła ze świętym Krzysztofem między skrzydłami, „Liga Obrony Powietrznej Państwa" — złączone skrzydła orłowe w mocnych barokowych wolutach. Twórczość Ruszczyca jest prawdziwie uskrzydlona, a każdy jej przejaw plastyczny ma odpowiednik w głębokich przeżyciach samego artysty. Jest to jakby ustawiczny wzlot szczęsnego uniesienia ku tej najwyższej polskiej Prawdzie, tak cudownie zespolonej z polskiem Pięknem po tyloletniem daremnem wyczekiwaniu. Zapatrzenie w symbol wskrzeszonej królewskości. Orle loty na skrzydłach natchnienia.

Powstaje Komitet Budowy Pomnika Wyzwolenia w Wilnie. Ruszczyc rysuje afisz na zbiórkę i na nim umieszcza skrzydło swobody i skruszony łańcuch niewolniczy — skrzydło ma w sobie jakąś rzeźką prężność, a okowy rozwierają się bezsilnym chwytem szatańskich szponów. W roku następnym tenże Komitet znów potrzebuje nowego plakatu. Ruszczyc przypomina sobie o afiszu swoim z grudnia roku 1914-go, który został zakazany przez rosyjskie władze i leży bezużytecznie. Zbierano wówczas w Wilnie ofiary dla „mieszkańców" Królestwa Polskiego, dotkniętych wcześniej niż my zniszczeniem wojennem, i Wilno pierwsze stanęło do apelu. Zdawało się, że uwikłana w wojnę Rosja będzie mniej czujna na naszym gruncie i Ruszczyc stworzył wtedy pierwszego swego królewskiego ptaka na amarantowem tle, pierwszy raz zaczął śnić sen o potędze w kształtach realniejszych. Ale było zawcześnie — orła jego zamknięto w ciemnicy jeszcze na kilka lat, ostatnich, ale jakże trudnych do przetrwania. Teraz został wypuszczony na wolność i zamiast do ofiar na rzecz królewiaków, nawoływał do budowania w Wilnie — pomnika WYZWOLENIA.

Było to wydarzenie drobne, ale o symboliczności znamiennej, piszące historję każdego z nas, a przedewszystkiem dzieje samego Ruszczyca. Te dwa zestawienia plakatu, jedno niedoszłe, drugie tak świetnie ziszczone — to były dwa bieguny o rozpiętości niezmiernej, a o wymowie iście wzruszającej. Jakże tu nie pisać całych stronic o Ruszczycowskich orłach, kiedy w nich odbija się epoka jego życia najpiękniejsza i najpłodniejsza, apogeum jego twórczości, a te orły, jeden od drugiego wspanialsze, tak wiernie wyrażają uczucia, które napełniały ich twórcę i czyniły go „radosnym i dumnym".



F. RUSZCZYC AFISZ TOWARZYSTWA POMOCY OFIAROM WOJNY (1914)

AFFICHE DU COMITÉ DE SAUVETAGE DES VICTIMES DE LA GUERRE



F. RUSZCZYC

AFISZ TOWARZYSTWA POMOCY OFIAROM WOJNY (1914)
AFFICHE DU COMITÉ DE SAUVETAGE DES VICTIMES DE LA GUERRE.

W czerwcu zakłada Ruszczyc Towarzystwo Miłośników Wilna i na dzień 15-go zwołuje zebranie członków założycieli, na czele których staje sam z Wacławem Studnickim, Michałem Brensztejnem i piszącym. Nazwiska założycieli są uwidocznione na ozdobnem zawiadomieniu jego pomysłu, wypisanem szlachetną czcionką starożytnego kroju i zaopatrzonem w pieczęć z ukoronowanem godłem. Na zebranie przyszło wiele osób, chętnych do udziału w każdej robocie wileńskiej i zapełniło salę po brzegi. Słuchano przemówienia Ruszczyca z entuzjazmem, bo w tych pierwszych miesiącach wolności wilnianie wszyscy czuli się bliscy sobie i serdeczną gotowością otaczali wszelkie sprawy swego ukochanego miasta. Był to śliczny okres powszechnego braterstwa, zespół twarzy pogodnych, splot serc czystych i bijących zgodnym rytmem. Zdawało się, że w tem wiośnianem, uśmiechniętem Wilnie niebo zstąpiło na ziemię i sprowadziło erę rajskiej szczęśliwości. Wszystko jest przychylnie otwarte, podatne kształtowaniu, podległe woli organizującej. Jak miękka glina rzeźbiarska, modeluje się wszystko i układa w twórczych dłoniach artysty: polskie Wilno oddaje się Ruszczycowi z miłosną uległością.

Ósmego września tegoż roku wygłosił on odczyt pod tytułem „Co się złożyło na Wilno?". Odczyt zachował się niestety zaledwie w bruljonowym skrócie i dlatego nie mógł wejść do książki z jego przemówieniami. Nastrój tego zgromadzenia był również odświętnie podniosły, to, co mówił Ruszczyc — również głębokie i piękne. Czynił jakby zwielokrotnienie wszystkiego, cośmy odczuwali sami, gdy malował zasadnicze rysy miasta, jego pejzażu, architektury i dziejów. W tych ostatnich podkreślał twórczą rolę ludzi silnych i ambitnych, którzy nie bali się oddawać siebie całych jakimś wysokim porywom. Stawiał ich dzieła za przykład do naśladowania dzisiaj, uczył ich wzorem brać Wilno nie „na wagę, nie na ilość", nie po kupiecku, lecz po rycersku i po artystowsku. Od przeszłości przechodził do przyszłości i mówił o tem, co można zrobić z takiego skarbu, jak Wilno, roztaczał perspektywy jego rozwoju, świetności i ozdobnego ładu, które sprowadzi rozbrat z dyletantyzmem, podział prac i ról i świadomość środków i celów. Kraj nasz jest zasobny w olbrzymie możliwości, mało widzialne, bo głęboko ukryte w ziemi i w duszach ludzkich. Trzeba tylko je wydobyć, wywołać na jaw, pchnąć do uzewnętrznienia. Czego potrzeba do tego? Tylko ludzi — kilku ludzi mocnych i wielkodusznych, takich, jak dawniejsi. A wyrażając przeświadczenie, że ci ludzie się znajdą i wezmą w swoje ręce losy miasta, skończył temi krótkiemi słowy, które dźwięczały jak nakaz, jak prośba, jak wyznanie:

„Wilno jest warte życia!"

On to wiedział najlepiej, on, który Wilnu poświęcił swoje życie tak ofiarnie.

Dla przypomnienia sobie tej chwili przeglądam notatki, odnalezione w archiwum Bohdanowskiem. Patrzę na te pośpiesznie kreślone znaki, na słowa skracane stenograficznie, na tę profuzję myśli, długo hamowanych, a teraz wylewających się niepowstrzymanym pędem. Skróty, podkreślenia, rzuty aforystyczne, litery i znaki, gorączka twórcza, żądza wypowiedzenia się — nareszcie, po tylu latach milczenia. Te karty owiane żarem myśli i czynu — to cała historja dwudziestu lat życia Ruszczyca od chwili, gdy się narodziła „Ziemia" wraz z jego samowiedzą, aż do owego szczęśliwego roku 1919, kiedy ta ziemia stała się wolna i niepodległa. „Uświadamiać sobie szczęście!" pisze na marginesie w zbożnem zachwyceniu, a potem rzuca ten szczytny wykrzyknik: „Wilno jest warte życia"... Czy można krócej powiedzieć więcej?... Francuz — Henryk IV Nawarski miał cynicznie oświadczyć przy zmianie wyznania, że Paryż jest wart jednej mszy. Polak Ruszczyc mówi o swojej stolicy inaczej, głębiej, szlachetniej, czuje bardziej po ludzku, po słowiańsku, po naszemu. Tamto powiedzenie przeszło do anegdoty historycznej, ale to jest bardziej warte uwiecznienia i uszanowania.

Tymczasem, gdy to się działo w Towarzystwie Miłośników Wilna, zaczynało być wiadome z pogłosek, że w gmachu Sądu Okręgowego przy ulicy Mickiewicza 36 mieści się „Tymczasowy Ko-



F. RUSZCZYC RYSUNEK DO WYDAWNICTWA „WILNO I ZIEMIA WILEŃSKA"

mitet Wykonawczy Odbudowy Uniwersytetu Wileńskiego", jeszcze bez przypisania go imieniu Stefana Batorego, co było późniejszym pomysłem Ruszczyca, gorąco przez niego bronionym. Sfery oświecone Wilna jęły się interesować coraz żywiej sprawą przyszłego uniwersytetu i coraz częściej słyszało się nazwiska uczestników tych narad, wśród których przedewszystkiem wspominano Ferdynanda Ruszczycą, Stanisława Władyczkę i Józefa Ziemackiego, szczególnie gorliwie krzątających się dokoła odbudowy uczelni. Przechodzi jakiś czas i znowu mówi mi Ruszczyc o uniwersytecie, tym razem już obszerniej i w formach bardziej konkretnych. Mają być stworzone wszystkie pięć wydziałów podstawowych pełnej uczelni wyższej i nie tylko one, ale więcej jeszcze—więcej, niż gdziekolwiek w Polsce, bo obok nich ma być ufundowany Wydział Sztuk Pięknych. Tak samo, jak za czasów Mickiewicza w tem samem Wilnie... I roztacza przedemną obrazy przyszłego dzieła: szerzenie piękna obok wiedzy, placówka nauki i sztuki, jakiej już nigdzie niema, ale która musi być w Wilnie, bo w Wilnie wszystko powinno być najlepsze. Żarliwa ambicja Ruszczyca chce zawsze najwyższego w zakresie duchowym. On sobie ten uniwersytet dawno umyślił, on marzenia o nim snuł, chodząc nocami po podwórzach i krużgankach, zagrabionych i sprofanowanych przez wrażą przemoc. Kie-



F. RUSZCZYC

WIELKA PIECZĘĆ UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO
GRAND SCEAU DE L'UNIVERSITÉ D'ÉTAT POLONAIS À WILNO

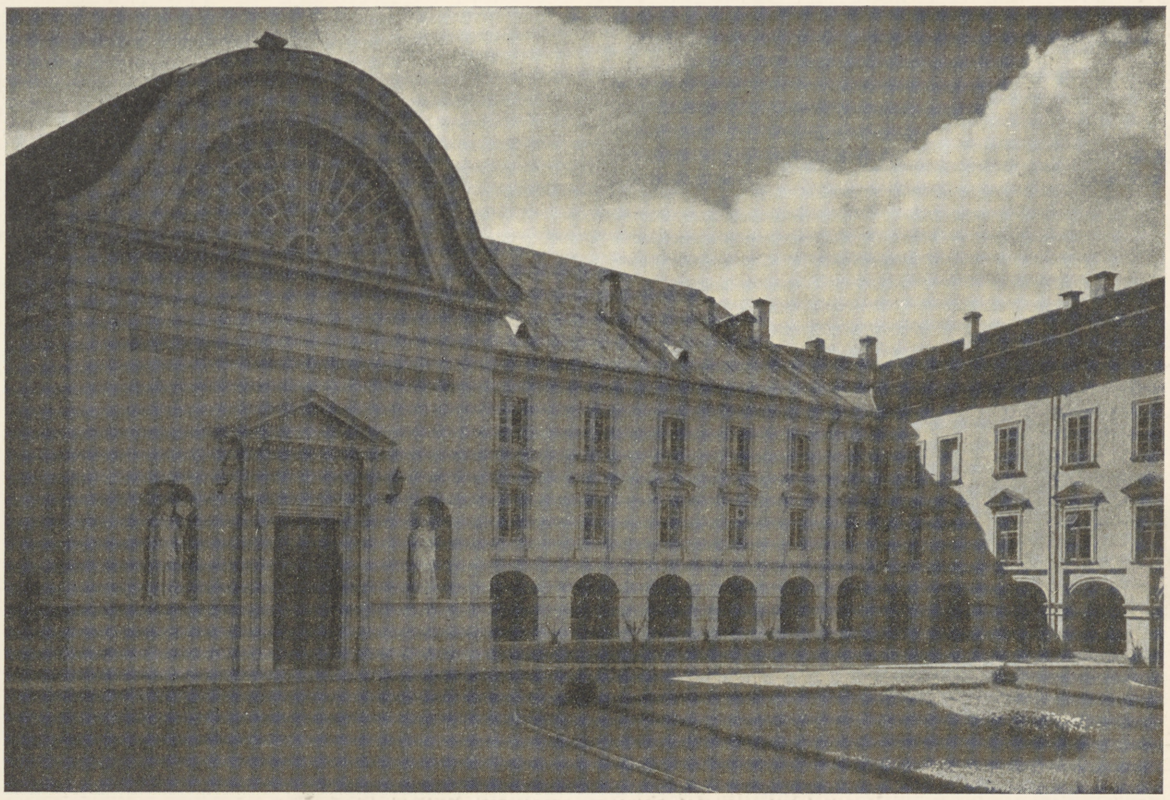
dy inni odczuwali zbladłe piękno tych gmachów już tylko archiwalnie, jako pamiątkę niepowrotnego „wczoraj“, on przeżył z niemi długie „dzisiaj“, całą mocą pragnął dla nich innego „jutra“ i takie widział w dalach i głębiach proroczej myśli. Tam, gdzie szkoła rosyjska usiłowała zabijać dusze młodzieży naszej, tam właśnie zostanie odbudowana wszechnica polska i w niej ołtarz, poświęcony pięknu. Wszyscy są przeciwni łączeniu sztuki z nauką, tylko nieliczni z Marszałkiem Piłsudskim popierają koncepcje Ruszczyca. Czeka go walka niełatwa, ale w końcu musi tak być, jak on umyślił, bo tego wymaga i dawna tradycja Mickiewiczowska i potrzeba braterstwa nauki i sztuki pod jednym dachem. Niech naukowcy przestaną być głusi na wołanie piękna, niech artyści nie zasklepiają się w swoim zawodzie, niech patrzą szerzej i staną na wyższym poziomie nauki i kultury... Opowiadając mi to, marzy o swem wielkiem zadaniu życia, kształtuje je i cyzeluje, jak rzeźbiarz miłowane oblicze. Traci zwykłą powściągliwość, daje się porwać natchnieniu, oczom pozwala gorzeć, a głosowi grzmieć, zrzuca powłokę opanowanego europejczyka i ciska słowa namiętne, nabrzmiałe wielkiem ukochaniem. Wolą swoją stwarza dzieło, jak Pigmaljon ożywia je miłośnem tchnieniem i przed stworzonem klęka w podziwie, w pokorze, jak przed świętym ołtarzem... Nareszcie u celu! Alma Mater pod skrzydłami białych orłów... Nagroda za to, że „przestał malować“... „Uświadamiać sobie szczęście!“... „Wilno jest warte życia!“...

. . . .

. . . .

Dopiero wtedy otwierają mi się oczy. Zaczynam rozumieć ogrom wydarzeń, jakie dzieją się wkoło mnie i na jakie, niebaczny, tak mało dotąd zwracałem uwagi. Dopiero wtedy porzucam swój mały światek fotograficzny i swoją pasywność, przystaję gorliwie do Ruszczycowskich krzątań, wypytuję go o szczegóły, idę z nim do murów uniwersyteckich, dokąd jego ciągnie ustawicznie. A tam już odbywa się czyszczenie Augjaszowych stajen moskiewskich. Żeby doprowadzić mury do względnej przyzwoitości i zdatności, trzeba przedewszystkiem wymiatać, wyrzucać, zdzierać brudy, tandetę, plugastwo dzikiego czynownictwa. Więc chodzimy po tych dziedzińcach, korytarzach i salach długie godziny, oglądamy kolejno szanowne gmachy i wnętrza, przeistoczone w śmietniska. Ja, który w nich przebywałem tyle lat w gimnazjum rosyjskiem, odnajduję znajome miejsca, sale szkolne, nawet „karcer“, w którym nas zamykano za rozmowę po polsku. Znajduję również i zabieram na pamiątkę tabliczkę z nad drzwi którejś mojej klasy, dochowaną bez zmiany po trzydziestu latach. Witam te stare mury, gdzie przeżyłem dzieciństwo i młodość i obcuję z niemi nanowo, czyniąc przedziwne zestawienia. Patrzę na nie innemi oczami z chwilą, gdy wiem, że w nich powstanie uczelnia artystyczna i że Ruszczyc będzie jej kierownikiem. Powracamy wciąż na te dziedzińce, zaglądamy do sal, układamy sobie, jak one odzyszczą dawny wygląd. Błąkamy się jak lunatycy w tym zaklętym kręgu marzeń, witamy szacowne głazy i płyty jak pątnicy, co pierwszy raz ujrzeli święte kamienie Kaaby Mahometa. Dzięki Ruszczycowi pryska skorupa obojętności, jaka zasklepiała moje serce i uczę się kochać te mury, rozumieć odwieczną ich mowę...

Wielkie wrażenie robi wkrótce potem znalezienie gdzieś w rumowiskach prastarej tablicy marmurowej z napisem „Academia et Universitas Societatis Jesu“. Szeroki i prosty krój liter świadczy o jej dawnem pochodzeniu — jest to jakby zagrobowy głos przeszłości, błogosławiący dzisiejszemu budowaniu. O tej tablicy napisze wkrótce potem Ruszczyc w swoim natchnionym manifeście pod tytułem „Tablice Historji“, którego każda myśl jest wzniosłością, a każde słowo — klejnotem stylu. Powie tak: „Tablica wyrwana ze swego miejsca przez dzikich niszczycieli, w gruzach ocalała, a przed dwoma miesiącami na jaw wydobyta... dziś tablica ta wróci na miejsce swoje...“. Ile tryumfującego poczucia prawości zawiera w sobie to oświadczenie, takie rzymskie i takie polskie...

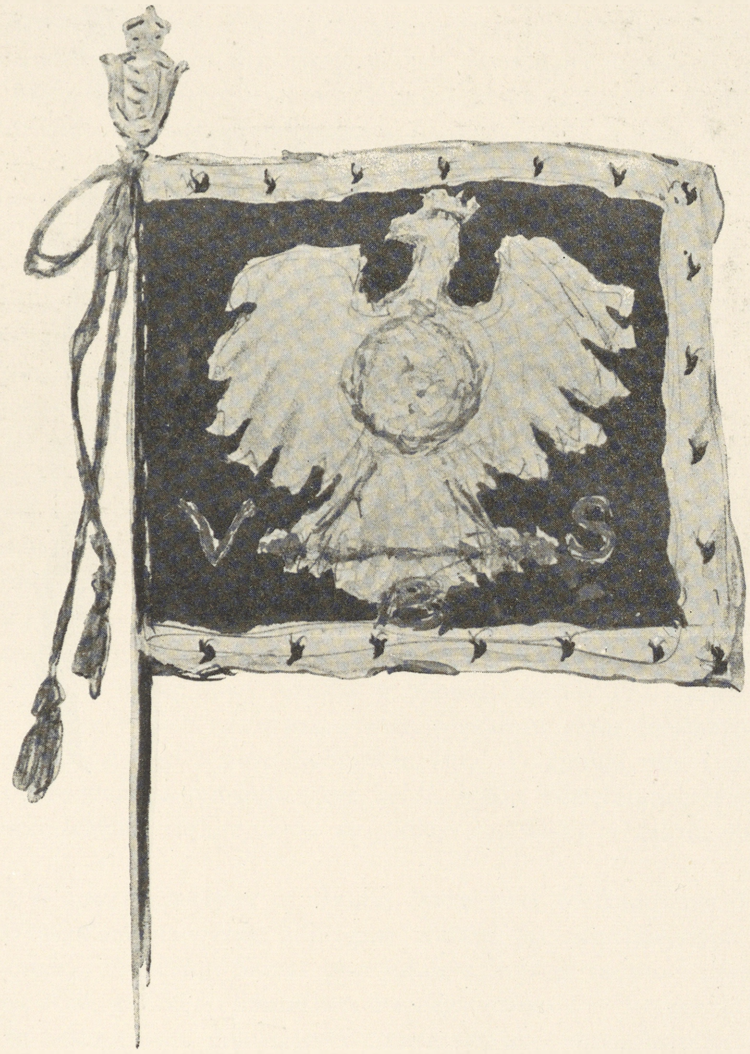


FOT. J. BUŁHAK U. S. B. DZIEDZINIEC SKARGI

Patrzę na Ruszczyca, krzątającego się po murach w jakiemś nieustannem wrzeniu tworzącej myśli. Uczucia te biją od niego zdaleka, promieniują, udzielają się innym. Mnie owiewają gorącem tchnieniem, jak ożywczy wicher wiosenny, co budzi z martwoty zimowej, każe prostować ramiona i wyciągać je do słońca. I myślę o tem, jak cudownie łączy się dzisiejszość z tradycją, która zdawała się pogrzebana, ale w której wskrzeszenie *nie wolno było nie wierzyć,* jak na zmartwychwstających ruinach będą narastały żyzne pokłady przyszłych prac i dokonań... Jaki szczęśliwy ten Ruszczyc, że wszystko przewidział, poznał, ukochał i dzisiaj zdobył gorącą wiarą i trudem ofiarnym... Postać jego wyrasta jeszcze bardziej w moich oczach. Duch jego nabiera nowej wielkości...

Wędrujemy i bobrujemy po całym kwartale uniwersyteckim, czyniąc w nim przeróżne odkrycia i stwierdzając nieprawdopodobne ich zaniedbanie i oszpecenie przez niedołężną gospodarkę rosyjską. Ci barbarzyńcy mieli wstręt do piękna i zaciekle niszczyli wszelkie jego ślady w tych murach. Ruszczyc wybiera miejsca na sale wykładowe, pomieszczenia dla dziekanatów, biur i kancelaryj. Na dziekanat Sztuki przeznacza lokal w podwórzu domu Nr. 5 (później nazwanego przezeń podwórzem Sarbiewskiego) i cieszy się tam z pięknych rzeźbionych plafonów, których moskale nie potrafili jakoś zniszczyć. Siedziba ta naszego dziekanatu jest zresztą czasowa i potem Ruszczyc przenosi ją do jeszcze piękniejszej gotyckiej sali sklepionej, przy ulicy Uniwersyteckiej 3. Dziedzińce otrzymują wszystkie chrzest z rąk Ruszczyca, a z ich nazw widać, jak te były przez niego zawczasu i gruntownie obmyślane. Więc podwórze główne od Świętego Jana nazwane zostaje dziedzińcem rektora Piotra Skargi, następne, przyległe do tamtego, gdzie są resztki wieży astronomicz-

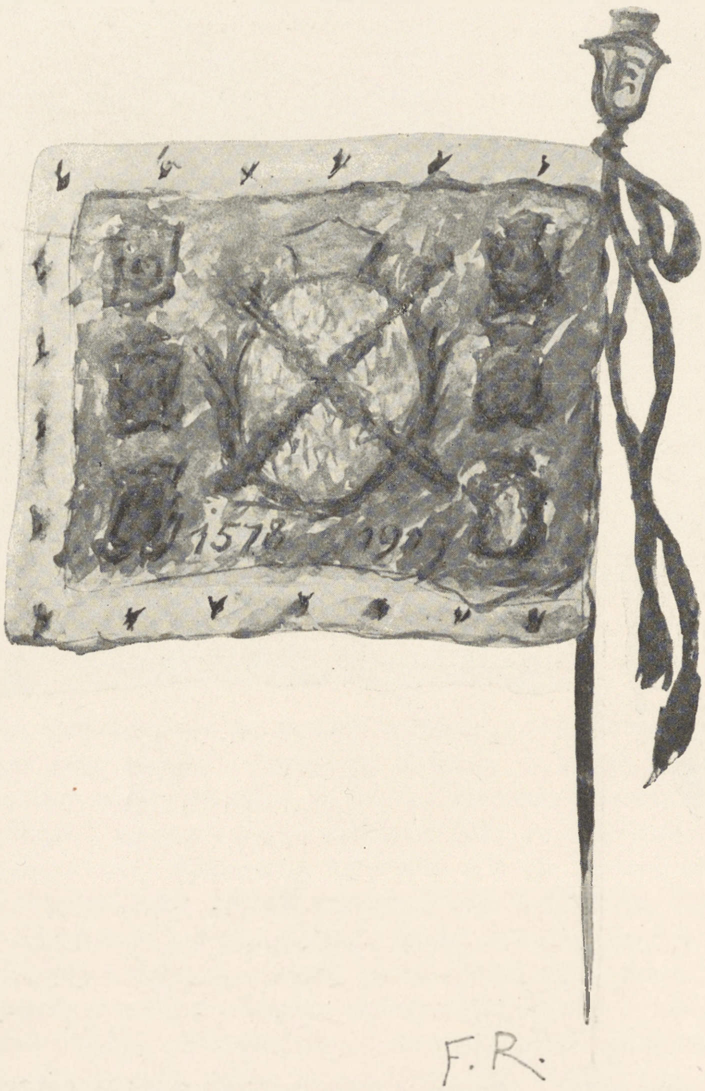
nej i znaki zodjaku — dziedzińcem Poczobutta. Z tkliwem przejęciem uzasadnia przedemną żywem słowem, dlaczego te imiona wybiera — zawsze ze skarbca swoich „bogactw niewidzialnych". Dalej mają iść dziedzińce Sarbiewskiego, Smuglewicza i Mickiewicza, ten ostatni z wylotem na ulicę Zamkową mieścił za czasów rosyjskich drugie gimnazjum klasyczne, a przechodząc z Ruszczycem przez dziedziniec poprzedzający ja jeszcze nie wiem, że przy nim będzie mieścił się Zakład



F. RUSZCZYC SZTANDAR UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO

Fotografji Artystycznej, którego kierownictwo zostanie przez niego mnie powierzone. Przy tem wszystkiem Ruszczyc usiłuje zachowywać postawę spokojną, i choć oczy i uśmiech zdradzają falowanie wewnętrzne, nie znać w nim żadnego improwizatorstwa ani dorywczości: wszystko jest przemyślane, z góry przesądzone, wszystko się układa logicznie i konstruktywnie w jeden skończony obraz, w jeden żywy organizm podobnie, jak bitwa rozwija się niechybnie podług planu wodza, jak wznosi się budowa podług rysunków architekta. Salę z kolumnami na pierwszem piętrze,

gdzie się składało egzamina maturalne rosyjskie, nazywa „Aulą kolumnową“ i widzi już przywróconą jej dawną dostojną postać. O piętro wyżej znajduje się sala, w której mieściła się cerkiew gimnazjalna, skąd uciekało się od galowych nabożeństw za cara. Tej przypisuje imiona Jana i Jędrzeja Śniadeckich, ale krzywi się na jej specyficzny charakter, mocno „prawosławny“ i przewiduje konieczność gruntownych przeróbek, by ją doprowadzić do przyzwoitego wyglądu. A kiedy w ten



F. RUSZCZYC SZTANDAR UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO

sposób mury, oczyszczone z brudów i brzydoty obcego władania, odzyskują powoli swe dawne oblicze, to imiona Mickiewicza, Skargi, Śniadeckich zrastają się z niemi same, jakby wracające do swej prawowitej własności i nazajutrz po tem zamianowaniu wydaje się, że dziedzińce zawsze tak się nazywały, że nie mogły nazywać się inaczej. Nowe nazwy nabierają odrazu patyny wieków w duchowem złączeniu z murami, tak trafne i niezawodne jest wyczucie Ruszczyca.

Przez niego otwiera mi się widok na wiekopomne dzieło odbudowy uniwersyteckiej, odsłaniają się jego sprężyny, działające w ukryciu już od chwili opuszczenia Wilna przez Niemców. Już w grudniu roku ubiegłego przyjeżdżał z Warszawy prof. Stanisław Władyczko i porozumiewał się z Komitetem Narodowym Wileńskim, który ogłosił za unieważniony dekret carski o skasowaniu Uniwersytetu Wileńskiego i uznał tę uczelnię za nanowo powołaną do życia w dawnej, nieustającej ciągłości. Prof. Józef Ziemacki zostaje tymczasowym rektorem, dr. Władysław Zahorski przewodniczącym Komisji Rewindykacyjnej. Komisja Organizacyjna Uniwersytetu liczy około setki osób ze społeczeństwa wileńskiego. Stolica daje swoją sankcję powstającej uczelni, na przyszłego rektora jest upatrzony prof. Michał Siedlecki z Krakowa. Zaproszone są na katedry do Wilna najtęższe siły naukowe i najświetniejsze osobistości ze wszystkich dzielnic Polski. Każde miasto uniwersyteckie deleguje kogoś swego do Wilna i przychodzi jemu z pomocą w tej radosnej potrzebie.

O tem wszystkiem i o wielu innych szczegółach dowiaduję się z ust Ruszczyca w urywkowych jego opowiadaniach pośród szperania po krużgankach, poddaszach i zakamarkach naszego „miasta“ uniwersyteckiego. „Miasta“ — bo zajmuje cały kwartał, „naszego“ — bo odtąd wszystko, co dotyczy uniwersytetu, jest dla mnie sprawą Ruszczyca, a wszystko, co Ruszczycowskie, jest dla mnie ważne i bliskie. A zawsze jeszcze nie przeczuwam, jak ciasno i nierozerwalnie zwiąże on mnie niebawem ze swojem dziełem. Na jesieni przychodzi któregoś dnia do mnie Ruszczyc i wbrew zwyczajowi zasiada w jadalnym pokoju na dłuższą pogawędkę. Chwilę i miejsce pamiętam dokładnie. Oznajmia mi, że prace przygotowawcze w Uniwersytecie już dobiegają końca, że on został powołany na Dziekana Wydziału Sztuk Pięknych i dobiera grono profesorów i wykładowców na swoim Wydziale. Rola Ruszczyca, wyjątkowo czynna i pełna inicjatywy, od pierwszych chwil odbudowy predestynowała go na stanowisko dziekana wydziału, przez siebie pomyślanego, a były nawet głosy poważne i liczne opinje za tem, by jemu zaproponować pierwsze rektorstwo. To też słuchając go, witam mile, a bez zdziwienia nowego Dziekana i cieszę się z nim razem z tego dowodu uznania i z szerokich kompetencyj, jakich mu ta godność użycza do dalszej pracy, wieńczącej jego tyloletnie pragnienia i wysiłki. Widzę nowy rozdział w pisaniu Legendy Przyszłości, czuję nowe ogniwa, coraz mocniejsze w tym wieńcu miłowania i woli, wiązanym przez Ruszczyca od czasów, gdy powrócił do swego miasta i zawarł z niem śluby wieczyste. Przejmuje mię i onieśmiela powaga chwili, a serce rwie się do złożenia mu milczącego hołdu, hołdu wdzięczności, że on jest taki godny uwielbienia, że wszystko ważne i piękne dzieje się podług jego woli i że danem mi jest odczuwać to z nim razem.

A wtedy — on — jeszcze pogłębia te uczucia aktem swej wielkodusznej dobroci. Mówi mi, że dla Wydziału ma aspiracje najwyższe i pragnie widzieć go najpełniejszym. Dlatego oprócz zwykłych katedr normalnej Akademji Sztuki przewiduje nauczanie rzemiosł artystycznych ze sztuką związanych, a więc obok grafiki — liternictwo, introligatorstwo i — fotografję artystyczną. Tego ostatniego słucham ze zdumieniem, graniczącem z przestrachem i chęcią ucieczki. Prawie nie słyszę dalszych jego słów, gdy mi oświadcza, że na kierownika działu fotograficznego przeznacza moją osobę. Patrzę na niego wielkiemi oczami i myślę, że się przesłyszałem. Nominacja na wojewodę wileńskiego nie zdziwiłaby mnie więcej od tej uniwersyteckiej i nie wydawałaby mi się fantastyczniejszą. Ale on stanowczo i konsekwentnie rozwija swoje zamiary, wykłada swój punkt widzenia, zwarty, skończony, nie dopuszczający zmian ani objekcyj. Przebywam dłuższą chwilę w stanie zupełnej konfuzji władz myślowych, odpycham te ponętne perspektywy, bronię się wewnętrzną postawą od wyroku tego dobrotliwego tyrana. Ale znam go nie od dzisiaj — wiem, że nie mówi nic na wiatr. A on z uśmiechem zstępuje do mego zmieszania i uspakaja mnie łagodnie i rzeczowo, tłumacząc, że bywa tak zawsze, że niemożliwości dnia dzisiejszego przeistaczają się w zwyczajne



F. RUSZCZYC

ŁAŃCUCH REKTORA U. S. B.
CHAINE DU RECTEUR DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO

trudności jutra, a w normalne osiągania dni następnych. Widzę już, że mój opór na nic się nie zda, że Ruszczyc widocznie lepiej odemnie wie, co czyni i co być powinno. A wreszcie rozumiem, że kiedy dowódca daje zlecenie szeregowcowi, to rzeczą tego jest nie mędrkować, tylko słuchać i starać wypełnić rozkaz według sił. A siły — wiem dobrze — trzeba mierzyć na zamiary. Nie od dzisiaj jestem w szkole Ruszczycowskiej, nie od dzisiaj znam jej regulamin, twardy a szczytny.

Więc w końcu przyjmuję propozycję wykładania i uczenia fotografji na Wydziale Sztuki (jakbym mógł jej nie przyjąć!) i wtedy zaczynam pojmować, dla czego już oddawna tak przyjemnie mi było nazywać Uniwersytet „naszym", choć mi się nie śniło, bym mógł w nim zająć jakieś stanowisko. Czuję głęboką odpowiedzialność, jaką w ten sposób biorę na siebie i ta odpowiedzialność jest długo moją tajną obawą i troską. Rozproszy ją dopiero praktyczne zetknięcie z zadaniem i nawyk w jego wypełnianiu. Ale tymczasem słodko jest wiedzieć, że się będzie pracowało obok Ruszczyca w takiem dziele, słodko jest mieć prawo zastosować do tego dzieła słowo „nasze". Wiem przecie, jak tkliwie i uroczyście dźwięczy ono w ustach Ruszczyca, gdy on je łączy z myślą o Wilnie, z troską o Wilno, z pracą dla Wilna. Podpisałem cyrograf temu łowcy dusz na życie i śmierć.

Odtąd rozpoczyna się i dla mnie szał radosnej pracy, jeszcze bliżej zespolonej z działalnością Ruszczyca. Ta dochodzi do najwyższego nasilenia — objawy jej następują po sobie z zawrotną szybkością, z ogłuszającą liczebnością. Ruszczyc nietylko tworzy swój wydział — staje się dyktatorem w dziedzinie architektonicznego i dekoracyjnego uporządkowania murów uniwersyteckich i przywraca im ład, daje szaty poważne i godne. Bierze w posiadanie przez nikogo nie kwestjonowane stuletnie dziedzictwo myśli filareckiej i do tych murów, pamiętających jej tradycje, wprowadza *dostojeństwo formy,* jako równoważnik do podniosłości treści. Jest odtąd strażnikiem piękna na Uniwersytecie i arbitralnie a mądrze kieruje jego kształtem zewnętrznym w każdym szczególe budowniczym, w każdym dyplomie i druku, w każdym obchodzie i uroczystości. Obejmuje ambasadę Piękna na Uniwersytecie Stefana Batorego i ta jego rola jest niemniej ważna i płodna, niż działalność profesorska i dziekańska. Zajmuje na Wszechnicy stanowisko wyjątkowe za powszechną zgodą i z powszechnem uznaniem, stanowisko bezprzykładne w dziejach uniwersytetów.

. . . .

. . . .

Wyliczam kolejno najważniejsze czynności Ruszczyca w tym okresie wstępnym, stanowiącym zenit jego szczęsnego tworzenia. Rysuje pieczęć—godło Uniwersytetu ze wspaniałym orłem, trzymającym w szponach berło rektorskie, a w sercu mającym tarczę z Pogonią. Na frontonie przy ulicy Świętojańskiej umieszcza w rzeźbie orła z wilczemi kłami Batorowemi oraz tablicę z tarczą herbową i ze stylowym napisem. Na fasadzie przy ulicy Zamkowej umieszcza nad bramą także herb własnego rysunku, barokowo stylizowany. Odnajduje wizerunek dawnego berła rektorskiego, zaprzepaszczonego przez bezład rosyjski i kieruje odtworzeniem nowego berła w drzewie, zanim nie będzie następnie wykonany w metalu. Rysuje łańcuch rektorski, powiązany z prześlicznych medaljonów, z motywami, symbolizującemi charakter każdego wydziału — arcydzieło kunsztu i wzniosłego rozumienia ducha uczelni. Łańcuch jest tymczasowo wykonany przez snycerza w drzewie gruszkowem, bośmy zbyt ubodzy na rzeczy zbytkowne i w tej postaci służy lat kilka, zanim w lepszych czasach nie zostanie odtworzony w metalu złoconym. Szczegółowy opis tego klejnotu snycerskiego jest podany w książce z przemówieniami Ruszczyca, co mnie zwalnia tu od podawania bliższych szczegółów i tamże w rozdziale 27-mym opisane są jego prace przy odnowieniu gmachów. Podobnież powstają dzięki Ruszczycowi pierścień rektorski, togi i birety rektorskie i dziekańskie, wszystko podług jego rysunków i przy jego pieczołowitym wglądzie w wykonanie. Wszelkie druki ozdobne Rektoratu i Senatu Akademickiego są jego dziełem.



F. RUSZCZYC

ŁAŃCUCH DZIEKANA WYDZIAŁU SZTUK PIĘKNYCH U. S. B.
CHAINE DU DOYEN DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO

Ale — czy tylko to? Przecież Uniwersytet Wileński zawdzięcza Ruszczycowi właściwie *wszystko — bo sam fakt swego powstania.* Nietrudno zbierać miód do gotowego ula, który istnieje oddawna i oddawna jest pełen pszczół. Prawdziwa zasługa, prawdziwe dzieło — to stworzenie *nowego ula tam, gdzie go nie było.* Wiarą, wolą, zapałem i pracą powołać go do bytu, otoczyć najtroskliwszą opieką i staraniem, by się w nim gęsto roiły pszczoły i dały początek całej pasiece miododajnej — oto jest dzieło na wielką miarę! I tego dzieła dokonał *sam jeden* — Ferdynand Ruszczyc, artysta-malarz, uważany przez nieświadomych za marzyciela z nierealnych regjonów sztuki. Jemu zawdzięcza Wilno posiadanie Uniwersytetu w roku 1919-tym.

Pouczyły mię o tem rozmowy z naszym nieodżałowanym pierwszym rektorem, prof. Michałem Siedleckim, prowadzone z nim w Bohdanowie już po śmierci Ferdynanda. Od niego dowiedziałem się ważnych a nieznanych szczegółów historji narodzin Uniwersytetu Wileńskiego. W czerwcu 1919 roku odbyła się w Warszawie, w gmachu Uniwersytetu, narada profesorów z całej Polski i treścią jej było zagadnienie, *czy można powołać do życia uniwersytet w Wilnie w warunkach ówczesnych,* które pozostawiały wiele do życzenia.Zdania były podzielone, obawiano się wpływów wschodnich, mogących przenikać wraz z wychowankami uniwersytetów rosyjskich, a nie było pewności, czy się da zgromadzić zespół profesorski, któryby potrafił im się przeciwstawić. Szalę wahań przeważył Ruszczyc. On jeden z pośród delegatów wileńskich umiał sprawę umotywować i obronić. Wystąpił z przemówieniem krótkiem, ale pełnem ognia, polotu i entuzjazmu, a jednocześnie mówił rzeczowo i mocno, jak człowiek, przeświadczony o słuszności sprawy, gruntownie przemyślanej. Zwrócił powszechną uwagę, przekonał, porwał słuchaczy. Dowiódł, że Wilno nie wyrzekło się dawnych tradycyj z przed stu lat, że istnieją w niem warunki wskrzeszenia tych tradycyj, że znajdą się ludzie, którym można będzie bez obawy powierzyć tę placówkę kultury zachodniej, najdalej wysuniętą na rubieże północno-wschodnie, że uniwersytet w Wilnie jest koniecznością polskiej racji stanu. I przytem, jak zawsze, oddziaływał i przekonywał nie djalektyką, ale — wagą własnych walorów, nieodpartemi argumentami swej osobowości twórczej. Wpoił w zgromadzenie uczonych przeświadczenie, że jest słuszną i żywotną sprawa, która ma takiego rzecznika, przyjmującego za nią pełną odpowiedzialność. Przekonał, że musi być uniwersytet w mieście, które ma takich synów i takich posłów. Uczynił na obecnych wrażenie najodpowiedniejszego kandydata na rektora przyszłej uczelni, a to nie było mało, jeśli zważyć, że zgromadzenie składało się z pierwszorzędnych sił naukowych całego kraju. Później otrzymał konkretną propozycję tego rektorstwa, której zresztą nie przyjął, ponieważ wolał zachować sobie płodniejszą rolę kuratora ideologji Wszechnicy Wileńskiej, strzegącego jej wysokiego poziomu i dostojeństwa. A wiemy, jak to stanowisko opiekuna przeobraziło się wkrótce siłą samego życia — w dyktaturę moralną i estetyczną, którą piastował do końca dyskretnie a owocnie.

Dlatego nie jest przesadą twierdzić, że nietylko Wydział Sztuk Pięknych jest dziełem Ruszczyca, lecz że i sam Uniwersytet w dużej mierze zawdzięcza jemu swoje istnienie. Ruszczyc miał zawsze w pamięci wyjątkowe stanowisko dawnego uniwersytetu z czasów Mickiewicza, gdy stanowił on jakgdyby polskie ministerstwo oświaty w zaborze rosyjskim i roztaczał jasne szlaki myśli polskiej po wszystkich ziemiach zabranych od Wilna aż do Krzemieńca. Na tym wspaniałym wzorze budował swoje zamysły. Miał w stosunku do wskrzeszonej uczelni wymagania i ambicje najwyższe: pragnął, by była prawdziwą świątynią nauki i ogniskiem kultury europejskiej i łacińskiej, by przyciągała najlepsze siły naukowe i moralne, umiała pozyskać zaufanie społeczeństwa i wejść z niem we współżycie bliskie i skuteczne. Kto wie, czy odbudowa Uniwersytetu Wileńskiego nie zostałaby odłożona na lata, gdyby nie inicjatywa Ruszczyca i nie jego umiejętna i gorliwa obrona tej inicjatywy.



FOT. J. BUŁHAK

DZIEKANAT WYDZIAŁU SZTUK PIĘKNYCH U. S. B.
LE DÉCANAT DE LA FACULTÉ DES BEAUX ARTS DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO

Tak to pracował Ruszczyc w owych pięknych i gorących czasach. Łatwiej jest wyliczyć nowe nabytki artystyczne, które Uniwersytet wówczas zawdzięczał Ruszczycowi, niż ogarnąć obszary jego mniej widocznej pracy nad uporządkowaniem gmachów. Aula Kolumnowa i Aula Śniadeckich otrzymują godniejszą postać pod jego bezpośrednim nadzorem i kierownictwem, już zupełnie urzędowem. Zamurowane przez Rosjan krużganki parterowe dziedzińca Skargi mają być otwarte i przywrócone do dawnej postaci. Tablica Akademji Jezuickiej i posąg Matki Boskiej, widniejący na sztychu Wilczyńskiego, wracają na swoje miejsce. Ale to nie wyczerpuje niezliczonych sposobności wkraczania jego do każdego zakątka murów, z czego wynika zawsze jakieś ulepszenie, jakieś przywrócenie dawnego kształtu, jakiś pokłon przed tradycją, jakieś „wdziewanie czystych szat" ku świętowaniu „niedzieli duszy". Ruszczyc żyje odtąd myślą o ukochanej Wszechnicy i pracą dla jej dobra i piękna. Cel życia osiągnięty. Prawda i Piękno zespolone w widomym obrazie Wydziału. Pracownik Boży stoi u wrót szczęścia dobrze zasłużonego, u wrót Domu, który „zdobi wiankami" i dla którego „szyje i wdziewa szaty godowe"... A teraz, „poprzez czasy powszednie", będzie się on „trudził w sadzie, by nie zabrakło kwiatów, by drzewa zakwitły i owoc wydały..." jak to powie niebawem w swoim wykładzie inauguracyjnym.

Długie jeszcze lata będzie się trudził Ogrodnik Boży, długo będzie hodował barwne kwiaty i soczyste owoce. Oto dziś stoi u celu marzeń, u wrót swego rozkwitającego sadu. Zdobyte klucze duchowego Wilna — na nich wyryty napis: „Wilno jest warte życia".



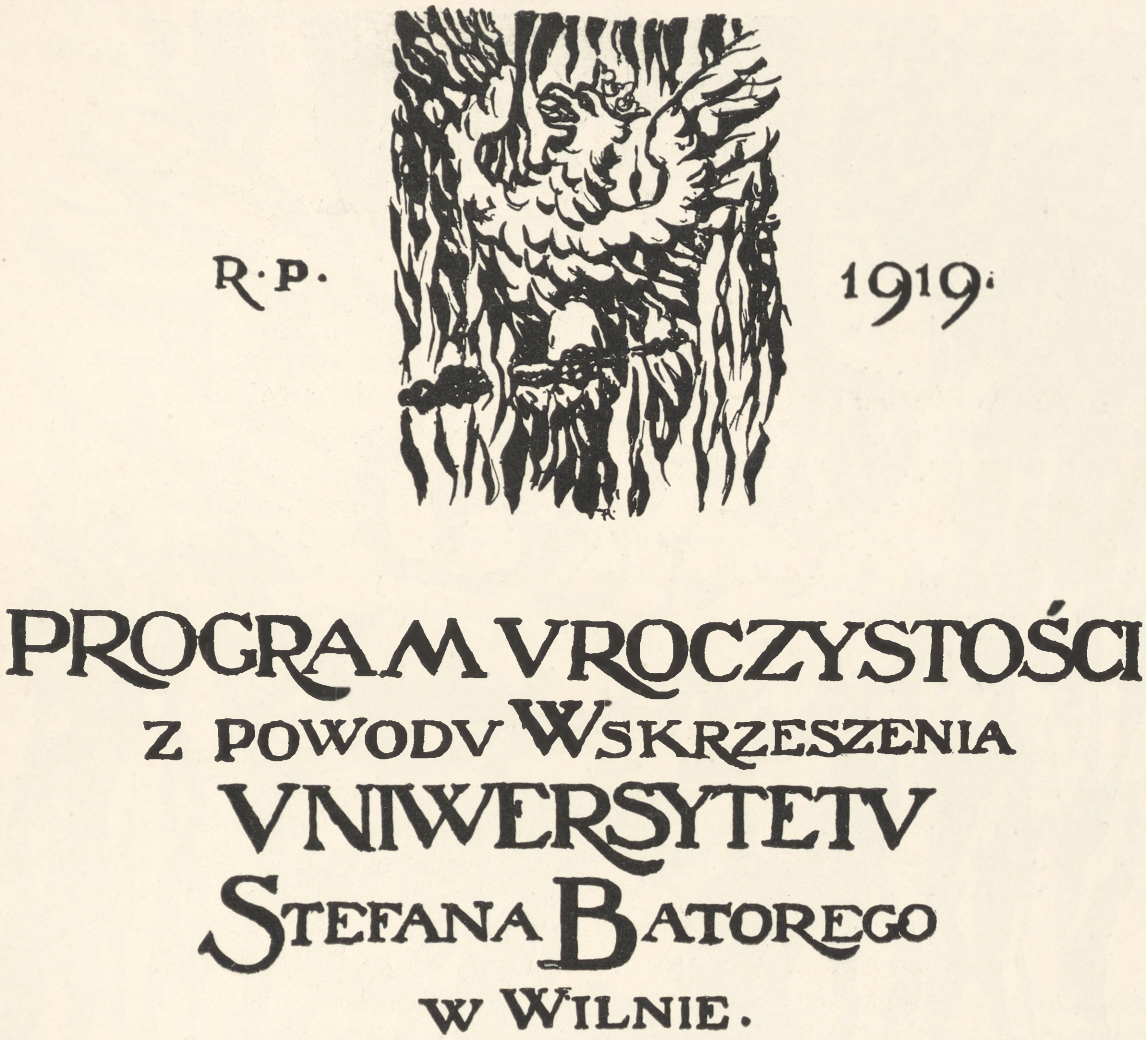
ROZDZIAŁ IX.

ALMA MATER VILNENSIS (1919—1920)

Wilno gotuje się do wielkiej, niebywałej uroczystości wskrzeszenia swego Uniwersytetu. Ze wszystkich stron są oczekiwani goście, delegacje, uczeni, artyści i inne znamienite osoby. Ma przyjechać Władysław Mickiewicz. Cała Polska pragnie wziąć udział w tem święcie nauki wileńskiej, sztuki wileńskiej, wyzwolenia wileńskiego. Wilno jest na ustach i w sercach całej Polski. Jest ono niby ozdrowieńcem, któremu należą się szczególne względy i troskliwa opieka, jest umiłowanym benjaminkiem, któremu wszystkie dzielnice oddają to, co mają najlepszego — posyłają swych najwybitniejszych mężów nauki, by ci pomogli czemprędzej rozpalić w grodzie Mickiewicza dawne wygasłe ogniska. Już zawczasu zjazd zapowiada się licznie, ożywienie miasta jest wyjątkowe, napięcie wzruszonego oczekiwania ogromne. Wprawdzie wilnianie od kilku lat ostatnich są zahartowani na skoki termometru dziejowego: zaznali już niejednej gorączki zachwytu i niejednego dreszczu śmiertelnego przerażenia; niema takiego tonu, niema takiej struny w gamie uczuć, na któreby nie musieli się nastrajać z dziś na jutro. Ale od czasu ostatniej Wielkanocy, od czasu wiosennych dni wyzwolenia, Wilno, choć nawykłe do chwil niecodziennych, nie miało jednak tak osobliwej, jak dzisiejsza. Nerwy są naprężone, jak cięciwa łuku, myśli podniecone do ostateczności; wśród pospólstwa krążą różne fantastyczne pogłoski i słychać nawet, że mają zjechać do Wilna królowie z dalekich stron, by uczcić „Polski Uniwersytet". W tradycji ludu jeszcze nie zagasły dawne przypomnienia. Przez sto lat nie zdołały ciemne moce zasłonić odblasków, jakie szły od zorzy Jagiellońskiej i Mickiewiczowskiej.

Ruszczyc jest nieuchwytny. Jest wszędzie i nigdzie, bo ma tysiące spraw, zajęć i terminów, które go wichrem noszą po mieście. Ukazuje się i znika, jak letnia błyskawica. Jest jakby zdematerjalizowany, wyzbyty z pospolitych ludzkich słabości, nie odczuwający zmęczenia i przepracowania. Niema dla niego rzeczy niemożliwych: siły nadludzkie służą wiernie ogromowi zamiarów i zadań. Bo on pojmuje te dni inaczej, niż wszyscy. Widzi w nich nie tylko święto nauki, przyobleczone w kształty obchodu mniej lub więcej okazałego. On, który treść tego wydarzenia wypieścił w duszy i uczynił z niej cel życia, — on musi jej nadać formę wysokiego piękna. Forma musi być godna treści. On namaluje obraz nowy, obraz całego odświętnego Wilna, utworzony z *żywych ludzi i wypadków,* jaśniejący barwami szczęścia. On wznowi czasy pradawnej, młodocianej ludzkości, która kochała się w igrzyskach i misterjach, czyniąc z nich moment najpełniejszego odczuwania urody życia. On stworzy apoteozę królewskości duchowej Wilna.

Tego wszystkiego ja oczywiście nie wiem tak dokładnie zawczasu, domyślam się tylko z krótkich słów Ruszczyca, z jego oszalałego wirowania i z podniesionej temperatury w całem



F. RUSZCZYC — PROGRAM UROCZYSTOŚCI U. S. B. (1919)

mieście. Pewne światło rzuca mi na to przelotna godzinka, schwytana wespół z nim na jakiejś przygodnej kolacji, gdzie na jego propozycję pijemy bruderszaft i odtąd już mówimy sobie po imieniu. Jest to wprawdzie rzecz czysto zewnętrzna, któraby mogła istnieć lub nie, bez wpływu na nasze już ugruntowane stosunki, ale nie byłoby się szlachcicem litewskim, gdyby się nie odczuwało przyjemności przejścia do zwrotu poufalszego w stosunku do osoby miłej i bliskiej.

Jeszcze więcej, niż skąpe napomknienia Ruszczyca mówi mi o przyszłej wspaniałości obchodu to, com u niego zobaczył z jego rysunków, gdym w przededniu złapał go jakimś cudem w domu, w jego ciasnem mieszkaniu przy ulicy Uniwersyteckiej. Jak dowódca przed walną rozprawą, czynił rewję swych zastępów graficznych, świeżo otrzymanych z drukarni. Było tam druków mnóstwo i wszystkie tryumfalnie piękne. Znowu podniebny wzlot orłów polskich, orłów Ruszczycowskich, już nie wiedziałem jak je nazywać, tak stapiał się ten wyraz jego wielkodusznych uczuć z symboliką naszej odzyskanej mocarstwowości. Opiszę te druki dla pamięci potomnych.



F. RUSZCZYC

ORZEŁ Z „PROGRAMU UROCZYSTOŚCI WSKRZESZENIA U. S. B. W WILNIE" (1919)
AIGLE DE POLOGNE SUR LE PROGRAMME DES SOLENNITÉS DE LA RÉOUVERTURE DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO EN 1919.

Najpierw afisz ścienny. „Program Uroczystości z powodu Wskrzeszenia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie". Duże litery romańskie, odbite z kliszy barwą czerwoną, a klisza wykonana z jego własnoręcznego napisu; w każdej literze dynamicznie wyrysowanej czuję bicie jego serca, każda ich kresa jest okrzykiem zachwytu. Ponad czerwienią tekstu unosi się orzeł rozskrzydlony w wichrze jakichś sztandarowych strzępów, a głowę ma dumnie wzniesioną, wskazującą na te wyżyny, do których dąży. Poniżej zapowiedź, że „w piątek dnia 10 października, w południe, z wieży Katedralnej po raz pierwszy rozlegnie się hejnał, który odtąd stale o tej godzinie rozbrzmiewać będzie". Oczywiście — to także jego pomysł — on projektuje i ogarnia myślą całość obrazu we wszystkich szczegółach. U dołu plakatu obwieszczenie o „Pochodzie Uroczystym" w sobotę po nabożeństwie z Katedry do Uniwersytetu, o tym cudownym pochodzie, którego jeszcze dziś mam pełne oczy. Baby o nim mówiły, że to królowie polscy wrócili z wygnania. Starzy ludzie biegli za nim, jak dzieci, z łuną ekstazy na twarzach. W pochodzie ma wziąć udział *sto dwadzieścia osiem organizacyj wileńskich.* Potem następowały dalsze szczegóły uroczystości dwudniowej, przyczem po otwarciu Uniwersytetu w Sobotę, miało w Niedzielę nastąpić osobno otwarcie Wydziału Sztuk Pięknych. Sześć kart wstępu rozmaitych kolorów określały liczbę poszczególnych obchodów, przedstawień, rautów i zgromadzeń, których skład i porządek był wszystek pomyślany przez siedzącego naprzeciw mnie Mistrza Ceremonjału. „Wieczór uroczysty w teatrze Polskim w układzie i inscenizacji Ferdynanda Ruszczyca", miał osobny program na papierze koloru lila, od którego wykwintnie odbijał srebrny orzeł Batorowej Wszechnicy. Jakże rychło przyzwyczailiśmy się, że Wszechnica nasza ma swego własnego orła, na którego patrzymy z miłością i dumą. Ale szczytem wszystkiego było zaproszenie na otwarcie Uniwersytetu. Na dużej karcie papieru czerpanego widniała czarno-czerwona tarcza z herbami na czterech polach, z wilczemi kłami pośrodku. Tarczę nakrywała majestatyczna korona w kształcie wielkoksiążęcego kołpaka litewskiego, a całość godła występowała z kremowego tła z iście monarszą krasą i mocą, rzekłbyś, jakiś dostojny starodawny przywilej czy uniwersał królewski. Wnętrze rozkładało się na dwie połowy - stronice, wypisane po polsku i po łacinie antyczną czcionką odręczną, z przepysznemi barokowemi inicjałami i końcowym ornamentem siedemnastowiecznie zwartym, bujnym i mięsistym. Tekst zaproszenia głosił:

> *„NAJWYŻSZEM NIEBIOS ZRZĄDZENIEM, SIŁĄ MYŚLI NIEZGASŁEJ, CZYNEM POLSKIEGO ORĘŻA, WOLĄ NACZELNIKA, UNIWERSYTET STEFANA BATOREGO POWSTAŁ ZE SNU NIEWOLNEGO. ROK PIERWSZY NOWEGO ŻYCIA WSZECHNICY, A DWUCHSETNY PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY JEJ SŁUŻBY DLA NARODU ROZPOCZNIE SIĘ W DNIACH 10, 11 I 12 PAŹDZIERNIKA ROKU BIEŻĄCEGO UROCZYSTYM OBCHODEM, NA KTÓRY ZAPRASZAJĄ*
>
> *REKTOR I SENAT AKADEMICKI.*
>
> *Wilno, w miesiącu Wrześniu R. P. 1919.*

Na czwartej stronicy tego dokumentu był narysowany medaljon z dwoma skrzyżowanemi berłami rektorskiemi i biretem po nad niemi. Przed Ruszczycem byliśmy przyzwyczajeni do pewnej banalności emblematów rysunkowych, ograniczających się do suchego, dokumentarnego przedstawienia rzeczy. Ale nie takie było ujęcie Ruszczyca: jego kresa graficzna miała żywość i wyrazistość je-

Najwyżſzem Niebios Zrządzeniem, Siłą Myśli niezgaſłej, Czynem Polſkiego Oręża, Wolą Naczelnika Vniwerſytet Stefana Batorego w Wilnie powſtał ze ſnu niewolnego.
Rok pierwſzy nowego życia Wſzechnicy a dwóchſetny pięćdzieſiąty piąty jej Służby dla Narodu rozpocznie ſię w dniach 10., 11. i 12. Października roku bieżącego uroczyſtym obchodem, na który zapraſzają

Rektor i Senat Akademicki.

Wilno, w mieſiącu Wrześniu R. P. 1919.



F. RUSZCZYC — ZAPROSZENIE NA UROCZYSTOŚCI WSKRZESZENIA U. S. B. W R. 1919

INVITATION AUX SOLENNITÉS DE LA RÉOUVERTURE DE L'UNIVERSITÉ DE WILNO EN 1919

stestwa organicznego i każdym ciągiem, splotem i załomem mówiła o ścisłym związku, zachodzącym między psychiką artysty i jego techniką.

Takie było zaproszenie Ruszczyca na otwarcie Wszechnicy. Nie można było oderwać od niego oczu. Biła z niego monumentalność, rozmach i uroczyste piękno, promieniowało najwyższe miłowanie i uniesienie. Niepodobna oddać tego słowem niedołężnem, dalekiem od poziomu dzieła. Zrozumie to ten, kto samo dzieło ujrzy.

A nazajutrz przyszła ta uroczystość. Opisać ją to znów zadanie ponad siły. Wyjmuję kilka słów relacji z listopadowego numeru „Tygodnika Ilustrowanego" o wskrzeszonym Uniwersytecie :

„W imieniu Narodu Polskiego stanął ten akt historyczny... czuć było, że uroczystość wileńską odświęca cały naród... zajaśniała ona własnem światłem, nacechowana przepiękną powagą, niepospolitą wystawnością i tym ciepłym nastrojem serdecznym, którego tajemnicę przechowała po dziś dzień ojczyzna Syrokomli i Chodźki... Była jak błysk szabli polskiej, zapadającej do pochwy po rozprawie z dziczą bolszewicką... Dziwna to była uroczystość: pogodna, serdeczna, malownicza i — rzewna".



F. RUSZCZYC — TABLICA U. S. B. NA FRONTONIE OD ULICY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

W tym dniu nie mogłem być blisko Ruszczyca, ani przyjrzeć się dokładnie wszystkiemu, właśnie z powodu zadań, jakie mi on zlecił. Straciłem zapewne wiele, ale, jak zawsze, wiem, że tak było trzeba. Oto wyjmuję z teki i kładę przed sobą małą kartkę — w środku czerwieni się Batorowy orzeł, a ręką Ruszczyca wpisana jest data owych dni i słowa: „Karta wstępu dla fotografa p. Jana Bułhaka. Wszędzie. F. Ruszczyc". Wilgotnemi oczyma oglądam tę pamiątkę — zawarła się w niej najważniejsza treść naszego współżycia. Bo choć najpierw moje pejzaże zwróciły uwagę twórcy „Ziemi", ale tem mocnem ogniwem, które nas połączyło, było fotografowanie Wilna i całego świata rzeczy, związanych z niem, służba fotograficzna przy Ruszczycu. W ciągu mych opowiadań mało wspominałem o tem, że właściwie rzadko bywaliśmy z nim we dwuch: — trzecim był zwykle aparat i ustawiczna potrzeba używania aparatu dla utrwalania świata Ruszczycowskiego, który stopniowo stawał się moim. A później przekonałem się z radością, że moje krajobrazy i zdjęcia architektoniczne budzą w nim poważne zainteresowanie i są przez niego często zużytkowywane w różny sposób, a przedewszystkiem w pokazach przeźroczy, jako ilustracje do jego odczytów. Już pierwsze dwa wykłady uniwersyteckie Ruszczyca były mocno oparte na moich pracach, wykład o „Pięknie powszechnem" szeroko omawiał treść wielu z nich, a po zgromadzeniu odczytów i przemówień Ferdynanda w jedną księgę („Liść wawrzynu i płatek róży") stwierdziłem ze zdumieniem, jak często i chętnie manipulował on przy nich przeźroczami z moich zdjęć. Więc i w tych pamiętnych dniach miałem w porozumieniu z nim swoje osobne zadania fotograficzne, które unieruchomiły mnie w pewnych miejscach i dla tych zadań musiałem poświęcić niejedno wrażenie osobiste. To też nie byłem w Katedrze i nie widziałem uroczystego ceremońjału z togą rektora Piotra Skargi, spotykającą Senat Akademicki, nie słyszałem natchnionego przemówienia arcybiskupa Teodorowicza. Ale zato cały już wspomniany numer „Tygodnika" o naszym Uniwersytecie składał się prawie wyłącznie z moich fotografij, a było ich tam bodaj około pięćdziesięciu.

Co widziałem i zapamiętałem? Pierwszego dnia — kolorowy, tłumny, dostojny pochód z Katedry do Uniwersytetu, ułożony przez Ruszczyca w zbrataniu z Matejkowskiem widzeniem polskich splendorów. Przemówienie Piłsudskiego w Auli Kolumnowej słowami mocnemi, jak cięcia szabli, a tak serdecznemi — że mogłyby jak kwiaty oplatać głowicę tej szabli, już włożonej do pochwy na święto pokoju i pracy. Wieczorem — w teatrze na Pohulance w inscenizacji Ruszczyca fragmenty „Zygmunta Augusta" i „Legjonu" Wyspiańskiego, tak przedziwnie współbrzmiące z odczuciami tych dni:

„Powstaną, kiedyś powstaną
i będą nad nami drżeć,
kiedyś godzinę wołaną
będziemy, będziemy mieć.
Powstaną nad nami, powstaną
w powietrzu będą drżeć
chorągwie, — to będzie wczas rano
nim liście zaczną drżeć...

. . . .

Przyjdą, przyjdą wielką rzeszą
jak chadzali legjonami,
z chorągwiami, z chorągwiami...

. . . .

Drugiego dnia nastąpiło osobne otwarcie Wydziału Sztuki — nasze najpiękniejsze święto; na niem słyszałem Artura Górskiego, mówiącego o „wieszczeniu w sztuce" i mogłem zbliska przyjrzeć się sędziwemu białemu starcowi, synowi Adama Mickiewicza, i odczuć ze drżeniem wewnętrznem wagę tej osobliwej chwili, w której on, jakby wysłaniec swego Ojca, powracał do Wilna i przynosił wskrzeszonej Uczelni ojcowskie błogosławieństwo. A co musiał odczuwać Ruszczyc, który tę „godzinę wołaną" wymarzył, przybliżył i zdobył mocą swego czynnego, twórczego umiłowania?...

. . . .

. . . .



Zaiste — nazbyt wiele szczęścia — nazbyt wiele wzruszeń przyniósł nam ten wiosenny rok 1919-ty. Nie mogło pomieścić tego żadne serce, nie mogła wytrzymać tego nadmiaru żadna wrażliwość ludzka... zostawało tylko iść do Ostrej Bramy i tam powtarzać słowa owego votum: „dzięki ci, Matko za Wilno"...

. . . .

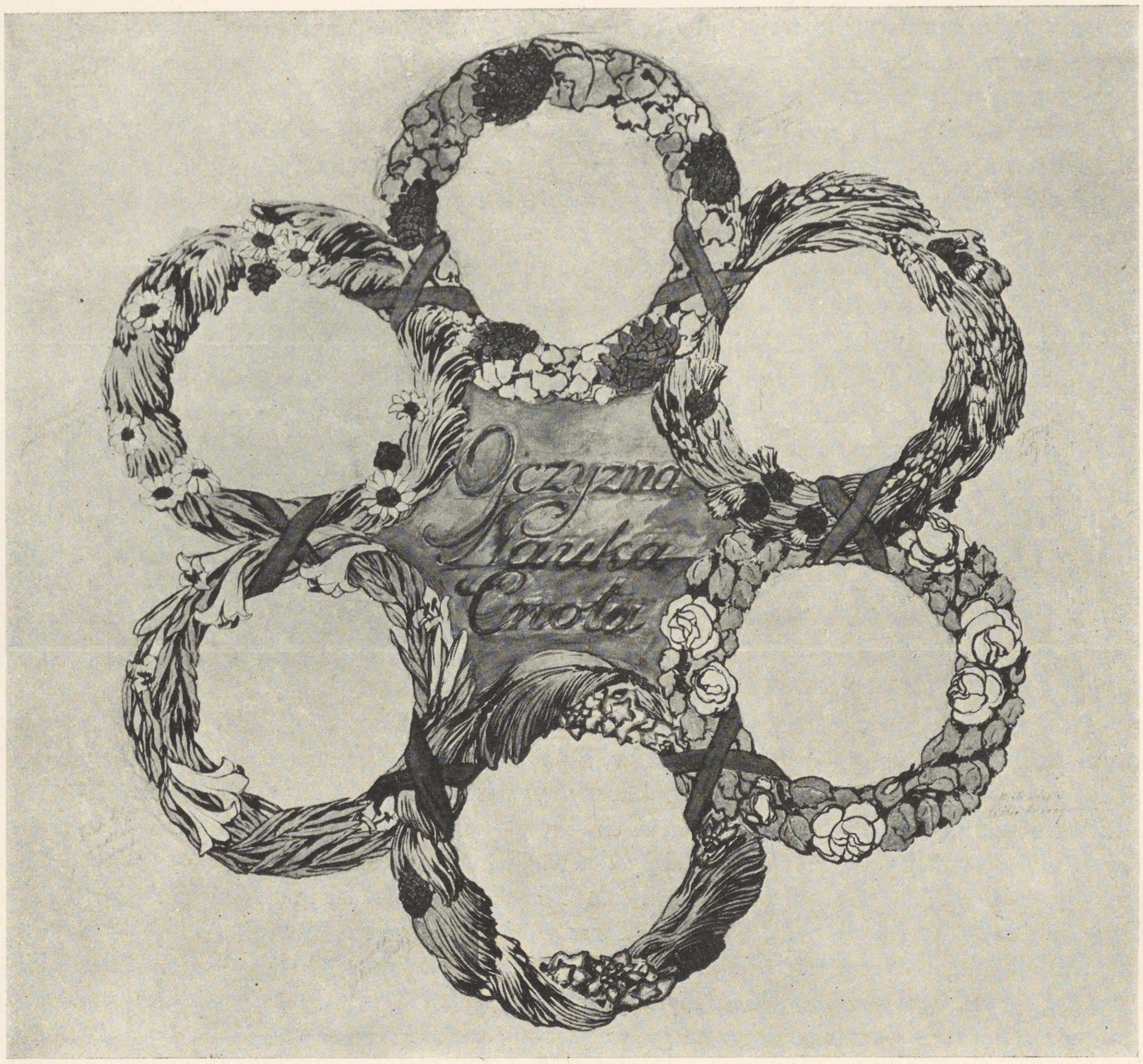
. . . .

. . . .

Po rautach, teatrach i uroczystych obchodach goście rozjechali się i przyszedł dzień powszedni uniwersytetu, ogólne zgromadzenie profesorów, a po niem rozpoczęcie wykładów w ten sposób, że każdy wygłaszał wykład inauguracyjny publiczny w sali Śniadeckich. Ale i taka powszedniość miała niemało znamion odświętności. Pamiętam chwilę, gdy się zebrali w prowizorycznem konklawe, przy Uniwersyteckiej 5 wszyscy wykładający dla wzajemnego poznania się. Było tam wśród kilkudziesięciu osób wielu wybitnych uczonych z całej Polski, osobistości tej miary, co Kallenbach, Zdziechowski, Koneczny, Lutosławski, Siedlecki, Parczewski... Każdy kolejno wstawał, mówił swoje imię i nazwę miasta, skąd przybył do Wilna, a kiedy — wśród przejmującej ciszy — padały lakoniczne, a ważkie słowa z ust przedstawicieli myśli polskiej, kiedy odzywały się jedno po drugiem wszystkie miasta Ojczyzny — ta charytatywna geografja Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, śpieszącej na odsiecz warowni wileńskiej, miała przedziwną wymowę i czyniła wrażenie jakiejś genealogji biblijnej. Był to jakby wznowiony akt Unji Korony i Litwy na bezkrwawem już polu walki o Prawdę... I wracało się chętnem sercem do słów, które napisał Zdzisław Dębicki, wyrażający to, cośmy czuli wszyscy: „Jakiemże uczuciem w tej chwili stawającego się cudu bić musi serce polskie, z jakiem słowem zwrócić się ma Polak ku dawnemu Uniwersytetowi Wileńskiemu, który właśnie tego cudu jest sprawcą, jak ma wielbić pamięć tych, co swoją wiedzą, swoją miłością i swoim genjuszem ocalili Wilno od niechybnej zagłady? Naprawdę — niema na to słów i niema za to podzięki...".

Przepisuję to z numeru 40/41 „Tygodnika Ilustrowanego" z listopada 1919-go roku. Numer ten był cały znowu dziełem Ruszczyca. Miał na karcie tytułowej jego rysunek. „Dawną Wszechnicę Wileńską", podwórze Skargi, widziane w rzucie pionowym z góry, z dzwonnicy Świętojańskiej. Potem przychodziła jego wypowiedź pod tytułem „Tablice Historji", podana wyżej w reprodukcji. Był to manifest tryumfującego bojownika i dźwięczał jak głos archanielski, otrąbiający zwycięstwo w imię Pana Zastępów.

Zeszyt był zapełniony treścią podniosłą i umiejętnie przez Ruszczyca dobraną, a skreśloną przez wybitne pióra. Wśród obfitych ilustracyj był sztandar projektowany przez niego dla 11 puł-



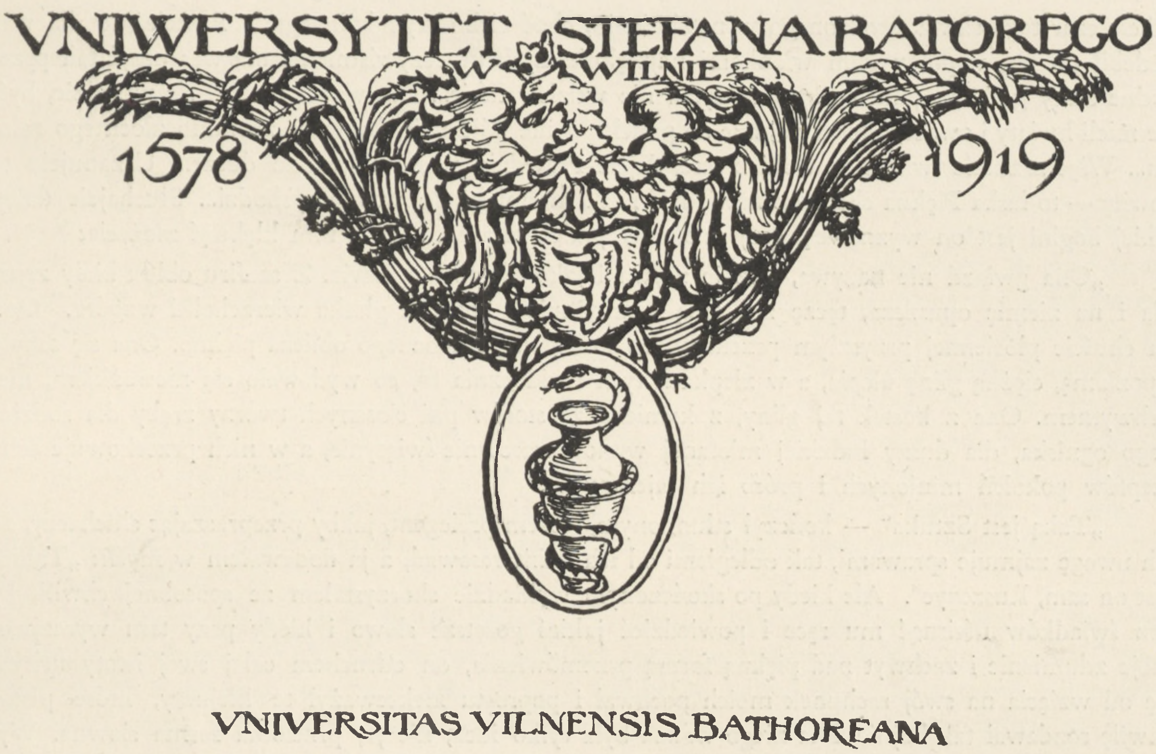
F. RUSZCZYC SZTANDAR MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ U. S. B.

ku ułanów, oraz wizerunki berła, łańcucha i pierścienia rektorskiego, zawsze jego pomysłu lub z jego inicjatywy powstałych.

. . . .

. . . .

Życie Uniwersytetu rozpoczęło się cyklem „Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich“ w listopadzie w Sali Śniadeckich, cyklem, dostępnym dla całego miasta, a równolegle wykładami inauguracyjnemi profesorów dla audytorjum wewnętrznego. W dniu 20 listopada mówi Ruszczyc o „Tradycjach sztuki w Wilnie“ i tem przemówieniem występuje w nowej, dotychczas nieznanej roli prelegenta i poety, władającego najszlachetniejszemi odcieniami mowy. Jest wzruszony nad wyraz, prze-



F. RUSZCZYC — DYPLOM WYDZIAŁU LEKARSKIEGO U. S. B.

mawia głosem przyciszonym, jakby onieśmielonym, bo nie lubi narzucać się innym ze swoim intymnym światem piękna. Dykcja mu nie dopisuje, głos załamuje się chwilami i ja, chwytając niespokojnie te urywane zdania, myślę ze smutkiem, że wiele z tego będzie stracone dla słuchaczy. A mowa jest mądra, głęboka i piękna, a przytem prosta. Jest w niej pokora wielkości. Przerzucam się od podziwu i radości do troski na myśl, jak ją przyjmą ci obcy, słuchający w milczeniu ludzie. Ruszczyc mówi:

„Sztuka jest niema, rozkłada dary swe — kwiecie barwne i pełne grona owoców — i cicho odchodzi. Wyrazem jej — nie słowo, a pismem — nie zgłoski - litery. Kto poznać i wniknąć chce, przyjrzy się tym kwiatom, nasyci się ich barwą, upoi się ich wonią... Gdy nadchodzi święto, Sztuka wspólny dom wiankami zdobi, szyje i wdziewa szaty godowe. A poprzez czasy powszednie trudzi się w sadzie, by nie zabrakło kwiatów, by drzewa zakwitły i owoc wydały. Trudzi się w pasiece by był wosk i miód..."

Czy można skromniej i prościej, a razem wierniej opowiedzieć ludziom, kim się jest i co się czyniło i czynić będzie dalej? Gdy on mówi o Sztuce, słuchacz widzi przed sobą jej kapłana i sługę, który przecież także jest wzruszająco niemy — nie umie grzmieć z aplombem i retoryką powołanych fachowców — może tylko rozłożyć swoje dary i odejść, jeśli nie będzie zrozumiany. Oto staje on bezbronny w tej wielkiej, zimnej sali wobec tylu również może zimnych słuchaczy. Wyrazem jego — nie jest słowo — jeno myśl i uczucie, jeno obraz, jakie one ze sobą prowadzą. Więc — modlę się w duchu—miejcież litość — nie nad tym rozbrojonym artystą, ale nad samymi sobą. Nie popełnijcie zbrodni nierozumienia, przychylcie się sercem do mówiącego, uczcijcie wielkość jego ofiary, — poj-

mijcie czar tego słowa, zrodzonego w natchnieniu, choć cicho wymówionego... Przecież to dla was ozdobił on ten wspólny dom wiankami najpiękniejszych urzeczywistnień i dla was uszył tak przecudne szaty godowe, jakich nigdy w życiu nie wdziewaliście... Dla was natrudził się w sadzie, byście mieli kwiaty i owoce, a teraz pójdzie do pasieki i nie bójcie się, by wam zabrakło złocistego miodu... Więc zrzućcie twarde powłoki z serc, dajcie Prawdzie wejść w wasze dusze... Uszanujcie tę chwilę — to łaska Piękna chce was nawiedzić i tak nieśmiało do was przychodzi... Słuchajcie dalej, jakiej bogini jest on wyznawcą, spójrzcie przy jakich ołtarzach wy z nim klęknąć możecie:

„Ona gwiazd nie nazywa, lecz je zrywa i jako klejnoty oprawia. Z szafiru obłok biały zgarnia i na ziemię opuszcza, tęczę znikomą wstrzymuje i kosmate głaska wierzchołki wzgórz. Ona na chuście płóciennej przyszłym przekazuje pokoleniom ukochanego oblicza piękno. Ona się schyla i poziomą, ciężką glinę ulepia, a w zlepkach tych uwidocznia to, co wydawało się nieważkiem, nieuchwytnem. Ona z kostek tej gliny, z kamieni, ze stosów pni ciosanych tworzy zręby dla rodzinnego ogniska, dla duszy ludzkiej miotanej wznosi warownie-świątynie, a w nich przechowuje echa szeptów pokoleń minionych i próśb ich tajemnych...“

„Taką jest Sztuka“ — kończył stłumionym głosem prelegent, jakby przepraszając słuchaczy, że ich uwagę zajmuje sprawami, tak odległemi od ich zainteresowań, a ja dodawałem w myśli: „Takim jest on sam, Ruszczyc“. Ale kiedy po skończonym wykładzie skorzystałem ze sposobnej chwili, by bez świadków uścisnąć mu ręce i powiedzieć jakieś gorętsze słowo i kiedy przy tem wyraziłem moje zdumienie i zachwyt nad piękną formą przemówienia, on odruchem całej swej istoty uchylił się od wzięcia na swój rachunek moich pochwał i poprostu zlekceważył te klejnoty, które przed chwilę rozdawał tak hojnie. Dla niego ważna była tylko idea, nie jej przelotna forma słowna. Wypowiedział ją tak, jak mu podyktowało uczucie, ale jeszcze i to kunsztowne słowo, intuicyjnie wybrane z pomiędzy najpiękniejszych, było dla niego narzędziem zbyt szorstkiem, zbyt dalekiem od tych sfer, które miało wyobrażać.

W parę tygodni potem, 7 grudnia, Ruszczyc mówi znowu w Auli Śniadeckich o „Pięknie powszechnem“. Przedtem prosił mię był o sporządzenie większej ilości przeźroczy z moich motywów pejzażowych i wileńskich do tych, które już były uprzednio wykonane na jego życzenie i rzutowane na pierwszym wykładzie, jako uzupełnienie pokazu reprodukcyj dzieł plastyki. Nie bardzo rozumiałem, poco mu jest potrzebna taka ilość moich krajobrazów, nie związanych przecież z retrospekcją sztuki, ale wystarczało mi, że on je chce mieć, więc doręczyłem mu wszystko podług wzorów, z pracowitym namysłem przez niego wybranych. Ruszczyc zawsze odznaczał się uwagą w stosunku do cudzej pracy artystycznej i co do mojej nie mogłem nigdy uskarżać się na brak zainteresowania z jego strony, lecz tym razem udzielił fotografjom wyjątkowo dużo czasu i zastanowienia. Po oddaniu przeźroczy zupełnie o tem zapomniałem.

Wykład Ruszczyca należał do cyklu powszechnych więc zgromadził jeszcze więcej słuchaczy, niż poprzedni. Było wiele osób z miasta, tłum wyborowej publiczności i oto znowu słyszę ten głos, wibrujący lekkiem drżeniem, zmatowany przez gwałt, jaki mówca musiał sobie zadawać, by przezwyciężyć swoją niechęć do wypowiadania się i swoją niewiarę w wartość słowa. Dykcja, na początku zamącona, potem krzepnie i nabiera jasności, kiedy mówca wypowiada te słowa:

„Gdy podziwiamy dzieło artysty — symfonję muzyczną, lub kompozycję w kamieniu, malowidło lub strofy sonetu, — ujmujemy nasz zachwyt w to jedno słowo: piękno. I gdy słyszymy o bohaterskim czynie, nie myślimy o korzyści, o skutkach zbawiennych tego poświęcenia. *Pierwszem słowem, jakie zrywa się i pada, jak liść wawrzynu albo jak płatek róży,* jest znowu ten sam wyraz — widzimy w tym czynie — piękno...“.

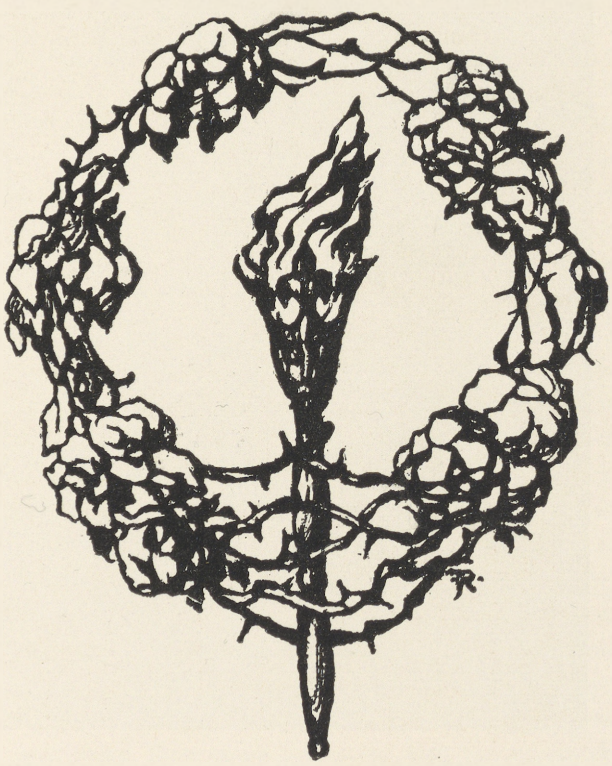
O, drogi mówco-dyletancie, — czy i te listki wawrzynu, czy i te różane płatki były dla ciebie jeszcze słowami nazbyt ciężkiemi i twardemi?

. . . .

. . . .

Po określeniu istoty piękna, rozsypanego po całym świecie, Ruszczyc zastanawia się nad jego rolą w życiu. „Czy piękno jest potrzebne?“ zapytuje. „Potrzebne, skoro widok jego w naturze, lub wyczucie w dziele sztuki wzbudza w nas wdzięczność, a poczuwanie się do wdzięczności jest najlepszym probierzem wewnętrznego wzbogacenia naszego... musimy zdać sobie sprawę, że życie jest naczyniem, którem człowiek czerpie i które do ust niesie, że tylko przez ten krótki okres widzimy i poznajemy... Na drogę, którą idziemy, nie wrócimy już nigdy, przejdziemy ją tylko raz, niepowrotnie... I pomyślmy, ile piękna ginie marnie, niepostrzeżenie, ile przemija koło nas dlatego, żeśmy nie nastawieni, że nie wbieramy jego w siebie... Ażeby je dojrzeć, — powiada dalej — potrzeba uwagi. (Tej uwagi, która była naczelnem zawołaniem jego życia). „Otóż chciałbym — mówi — wysylabizować dziś kilka wyrazów z olbrzymiego słownika natury, chciałbym zaprowadzić państwo *za kulisy patrzenia*“.

Tu widzę ze zdumieniem, jak się zaczynają na ekranie przesuwać moje pejzaże i słyszę głos Ruszczyca, mówiącego: „do zilustrowania wziąłem szereg motywów z kolekcji p. Bułhaka. Te najprostsze. By zastosować określenie Zola — są to fragmenty natury, widziane poprzez temperament artysty“. I wtedy z jeszcze większem osłupieniem stwierdzam, że tych moich obrazów jest mnóstwo, i że każdy z nich jest interpretowany słowami Ruszczyca w sposób prześliczny, piękniejszy nieraz od samych motywów. Trwa to dobre pół godziny, a ja czuję się zawstydzony i szczęśliwy i z ulgą stwierdzam, że na sali jest ciemno. Wiem, że on to robi nie dla mnie, że w sztuce nie zna brata, ani przyjaciela. Więc czyni to dla samego przedmiotu!... Więc same moje obrazki są warte, by na nich osnuć wykład o pięknie powszechnem!... Myśl ta jeszcze zwiększa moją radość, bo przecież mam za sobą już kilkanaście lat zmagań, w ciągu których żyłem tylko tem jednem... Na salę dają światło, a Ruszczyc zbliża się ku końcowi. „Tak więc nie minął czas cudów“ — mówi. „Otaczają nas dziwa, tylko sięgnąć po nie. Piękno jest wszędzie. *I piękno nie potrzebuje szczudeł. Piękno gnieździ się w najbliższem i w najprostszem...* Piękno, jak sprawiedliwość i prawo, jest nie do wytępienia. Powinniśmy domagać się tego piękna powszechnego, brać je dla siebie, powinniśmy dusze nasze w czyste ubrać szaty, by zasiąść do wspólnego stołu, zastawionego przez naturę, a ukwieconego przez stęsknione za pię-



F. RUSZCZYC RYSUNEK DO KSIĄŻKI CZARNECKIEGO.

knem pokolenia ludzkie... Piękno powinno być Niedzielą naszej duszy. To też dzisiaj tu chodziło o taką chwilę, o to, co nazwał poeta „próżnowaniem niedzielnem...".

Tym razem po wykładzie nic już jemu nie mówiłem. Patrzałem mu tylko w oczy, szczęśliwy, że on jest i że dał mi przeżyć taką chwilę. A on uśmiechał się do mnie swym najlepszym uśmiechem.

. . . .

. . . .

Uniwersytet nie mógł się pomieścić w zbyt szczupłych ramach kompleksu gmachów, ograniczonego ulicami Świętojańską, Uniwersytecką, Skopówką i Zamkową i musiał odrazu rozszerzyć się na atynencje dodatkowe, jak pałac Sapieżyński na Antokolu, jak b. Szkoła Junkierska na Zakretowej i gmachy na Nowogródzkiej i na Małej Pohulance. Nie starczyłoby więc w gmachu głównym miejsca dla Wydziału Sztuki i Ruszczyc odrazu upatrzył na ten cel mury poklasztorne Bernardynów, przylegające do tegoż kościoła i do Gaju Bernardyńskiego. Wybierając pomieszczenie odpowiednio obszerne i dające się przystosować do wymagań technicznych, szukał jednak budynków o starej tradycji i stylu i za nic nie chciałby widzieć swego Wydziału w lokalu nowocześnie banalnym. A ponieważ inne wydziały kierowały się wymaganiami wręcz przeciwnemi, więc podział nastąpił łatwo i bezboleśnie, bo nikt się nie ubiegał o „ruderę" Bernardyńską, w której gnieździły się wojska rosyjskie, a potem szczury magistrackie. Wydział Sztuki był już zaznaczył swoją osobną uro-



FOT. J. BUŁHAK

PIERWSZY SENAT AKADEMICKI U. S. B. W ROKU 1919
(RUSZCZYC PIERWSZY SIEDZĄCY PO LEWEJ STRONIE)

czystością otwarcia w innym dniu pewną autonomiczność w ramach uczelni ogólnej i teraz dążył do posiadania oddzielnego gmachu, jakgdyby siedziby własnej, nieco na uboczu od gmachów głównych. Klasztor był niemały i miejsca byłoby w nim dosyć przy najpomyślniejszym nawet rozroście Wydziału, gdyby nie dalszy ciąg wstrząsów wojennych, o których będzie niżej, a w następstwie których część klasztoru znowu zajęły wojska i wydział nasz musiał zadowolnić się tą częścią jedynie, którą zdołał odrazu obsadzić.

U Bernardynów rozpoczęły się znowu wszystkie te kłopotliwe, a miłe zatrudnienia, raz już przez Ruszczyca przeżywane w gmachu głównym — wybór sal, adaptacje, przeróbki, kroczenie po śladach przeszłości, odkrywanych przy przebudowach, słowem cały pracowity i frasobliwy rwetes, jaki przebywa gospodarz, wnoszący się do własnego domu, porządnie zrujnowanego, po długiem błąkaniu na obczyźnie. Nie będę już tego opisywał szczegółowiej *), i tylko powiem, że Ruszczyc był niezmordowany w urządzaniu swojej uczelni artystycznej i pracował nad jej uporządkowaniem ze zwykłą gorliwością i inwencją. A inwencji trzeba było mieć niemało, bo przecież zaczynało się od niczego, — od gruzów i dziur w dachach. Miasto po pięciu latach działań wojennych, po niewiarogodnych „wędrówkach narodów", po łupiestwie wszystkich kochanych sąsiadów i po własnym bezwładzie — przedstawiało obraz wysoce żałosny i każda poważniejsza intromisja była twardym do zgryzienia orzechem. Z pieniędzmi także nie było ani łatwo, ani bogato, i te rosnące z setek w tysiączki markowe jednostki pieniężne o tendencji wyraźnie inflacyjnej i o wartości codzień mniejszej znaczyły niewiele w efekcie rzeczowym. Wielką pomocą stał się Ruszczycowi w tych trudnych czasach prof. Juljusz Kłos, pozyskany przez niego dla działu architektury na naszym wydziale. Do architektury przykładał Ruszczyc szczególną wagę, zarówno dlatego, że kraj po wojnie wołał o odbudowę i stworzenie kadr budowniczych z sił miejscowych było najpilniejszą potrzebą, jak i dlatego jeszcze, że ambicją jego było nawiązanie do tradycyj dawnego uniwersytetu, który mógł się pochlubić nazwiskami Podczaszyńskiego, Gucewicza, Szulca i innych utalentowanych architektów wileńskich. Wogóle Ruszczyc zabiegał bardzo gorliwie o przyciągnięcie najlepszych sił pedagogicznych do Wydziału Sztuki i miał z tem wiele kłopotów, bo niejeden profesor na razie przyrzekał, ale potem nie dotrzymywał obietnicy. Pierwszy rok akademicki rozpoczęliśmy w dziesięciu. Malarstwo miało oprócz Ruszczyca trzech przedstawicieli: profesorów Józefa Czajkowskiego, Benedykta Kubickiego i Stanisława Bohusz- Siestrzeńcewicza. W grafice Jastrzębowski zawiódł i dopiero w następnym roku na jego miejsce przyszedł Mieczysław Kotarbiński. Rzeźbiarstwo zostało powierzone Bolesławowi Bałzukiewiczowi. Architekturę polską wykładał prof. Juljusz Kłos, anatomję artystyczną prof. Jerzy Alexandrowicz, drukarstwa i introligatorstwa uczył Bonawentura Lenart, a mnie z Bronisławem Zapaśnikiem przypadła fotografja artystyczna, co było mi tem milsze, że Zapaśnik był moim kolegą i przyjacielem od lat dziecinnych. Zresztą przyjaciółmi staliśmy się sobie wzajemnie niebawem wszyscy, bo pod egidą i za przykładem Ruszczyca wytworzył się między nami stosunek przyjaznej koleżeńskiej zażyłości, jaki się nieczęsto zdarza. Było nam naprawdę dobrze ze sobą. Jeden tylko Czajkowski nie mógł pogodzić się z wileńskiemi brukami, porządkami i z właściwościami poczciwego niechlujstwa, spotęgowanego jeszcze przez okres powojenny, więc narzekał i piorunował na Wilno ze zgryźliwością beznadziejnego śledziennika i po roku opuścił nasz zespół i miasto, otrząsając proch ze swoich sandałów. Siestrzeńcewicz i Kłos umieli także niegorzej strzępić języki na wileńskich słabiznach, ale pierwszy czynił to nałogowo, a w gruncie rzeczy nie umiał żyć bez Wilna, tak je kochał w skrytości swej zgorzkniałej duszy. Kłos zaś pomimo dostrzeganych braków łatwo orjentował się w ukrytych walorach miasta i wkrótce zżył się z niem tak gruntownie i serdecznie, że zasłużył sobie na miano prawdziwego wilnianina i stał się nim w zupełności.

*) Patrz „Liść wawrzynu i płatek róży", rozdział 28.



F. RUSZCZYC DWOREK PRZY ULICY MOSTOWEJ 3

Obaj byli to zacni i rozumni ludzie, obdarzeni dużym talentem, ostrym intelektem i indywidualnościami, zarysowanemi swoiście i zajmująco. Siestrzeńcewicz nie wytrzymał ustawicznej groźby wojennej, wiszącej temi czasy nad Wilnem i po ofensywie bolszewickiej 1920-go roku porzucił Wilno, by już do niego nie wrócić. Umarł zdala od swego kochanego miasta, żałowany przez wszystkich, którzy go bliżej znali i umieli cenić. Ale Kłos pozostał Wilnu wierny aż do śmierci: odgrażał się często, że ma Wilna dosyć, szarpany przez różne komplikacje wewnętrzne i przez niesprawiedliwości ludzkie, ale wytrwał do końca, który przyszedł tragicznie i przedwcześnie wkrótce po zachorowaniu Ferdynanda. Z ich ubytkiem utracił Wydział podstawowych przedstawicieli starszej generacji, a wślad za nimi zabrała śmierć Bolesława Bałzukiewicza, rzeźbiarza i Ludwika Sokołowskiego architekta, pozyskanego w drugim roku akademickim.

Sokołowski, choć dobry kolega i wytrawny pedagog, należał do ludzi źle aklimatyzujących się w nowem środowisku: mimo wielu lat pobytu w Wilnie nie zżył się z niem bliżej i, obecny tu ciałem, był myślą raczej zawsze w Warszawie. Ale Bałzukiewicz, biedaczyna boży trochę w rodzaju świętego Franciszka z Asyżu, przyjaciel wszystkich zwierząt, szczery rzeźbiarz, a jeszcze lepszy człowiek i towarzysz, był kochany przez nas wszystkich za swoje gołębie serce i delikatność odczuć, ubraną w formę zaniedbanego prostactwa. Całemi godzinami milczał mrukliwie i palił wieczną fajkę, wyduszając z siebie tylko monosylaby, a rozmównym stawał się dopiero po którymś dalszym kieliszku i wówczas obecni musieli radzi nieradzi słuchać, jak to było illo tempore w Paryżu na Montmartre z Wiwulskim i wszelaką bohemą artystyczną.

Do przelotnych ptaków należeli Mieczysław Kotarbiński, malarz-grafik i Jerzy Remer, konserwator i historyk sztuki, przybyli do Wilna nieco później. Z tą jednak różnicą, że Kotarbiński nie zagrzał miejsca dłużej, niż parę lat i wkrótce uległ przyciąganiu centralnego słońca warszawskiego, a Remer całe sześć lat opierał się mężnie stołecznym pokusom i przez ten czas potrafił zżyć się z miastem i ludźmi i pozostawić w Wilnie sporo dobrych wspomnień i gorliwej pracy w duchu wileńskim i Ruszczycowskim. Pokochał Wilno i poddał się jego oczarowaniu, a jako historyk sztuki i konserwator, miał możność wcielania tych uczuć w życie. Urzeczony osobą Ruszczyca i duchem Wilna, pragnął szczerze pozostać z niemi nazawsze. Ale zagłębianie się w zabytkach wileńskich zrodziło w przedsiębiorczym i konstruktywnym umyśle Remera nowy pomysł: ratowania zabytków w całej Polsce przez utworzenie sieci oczek konserwatorskich, poddanych jednolitemu kierownictwu naczelnemu. A gdy ten pomysł opracował i doprowadził do stadjum dojrzałości, jemu samemu przypadło kierownictwo centralne, które wymagało przeniesienia się do Warszawy. I tak popadł Remer w rozterkę, przygotowaną własnemi rękami. Sentyment zatrzymywał go w Wilnie, a nieposkromiona żądza pracy organizatorskiej popychała go ku szerszym horyzontom warszawskim. Musiał przejść okres łamania się wewnętrznego. Pamiętam taką chwilę kiedyś u Wizytek. Był dzień bladoniebieski, cicho uśmiechnięty, pełny westchnień klasztornych klonów, kiedy Wilno opanowuje człowieka najsłodszą tyranją serdecznego piękna. Chodziliśmy po ogrodzie i spo-



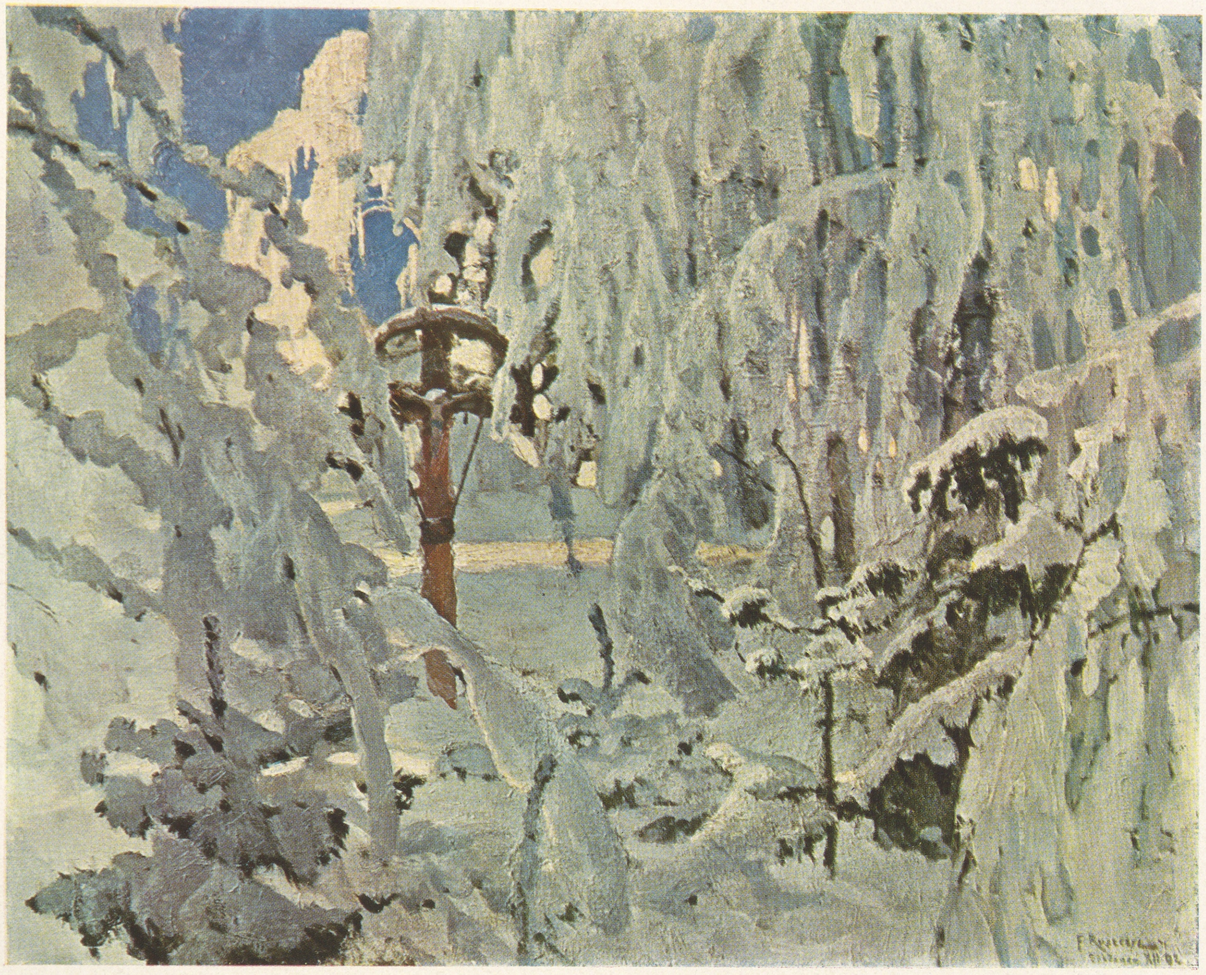
F. RUSZCZYC PO BALU (1901)

glądali w czarowne przymglenia jesiennej dali. Wspominaliśmy tyle razem przeżytego i żegnaliśmy jego smętne przemijanie. Remer był wzruszony — żałował miasta, Ruszczyca i nas wszystkich — tego bractwa gorejącego ognia Ruszczycowskiego. Żegnał się w szmerze spadających liści, w łagodnej pieszczocie bladego słońca ze wszystkiem, co tu pozostawił. Głęboko zapadł mi w pamięci ten dzień ostatni, a i on go z pewnością nie zapomniał...

Zresztą wszyscy nasi wykładający, którym tak niewiele miejsca tu poświęcić mogę, byli ludźmi zasłużonymi i utalentowanymi, zaznaczyli się każdy w swoim zawodzie wybitniejszą działalnością i prowadzili ją dalej na Wydziale w swoich pracowniach i w nauczaniu. Stosunek profesorów do młodzieży był prawdziwie ojcowski i koleżeński zarazem, w czem przodował Ruszczyc, jak o tem świadczą jego przemówienia, zamieszczone w „Liściu wawrzynu i płatku róży". Niemniej bliski był stosunek wzajemny Ruszczyca i zespołu profesorskiego Wydziału: swobodny, przyjacielski, równy, pozbawiony wszelkiej urzędowości, możnaby powiedzieć — rodzinny, lecz dlatego właśnie, że rodzinny, nacechowany dobrowolnem i naturalnem poddaniem się wszystkich jego duchowej supremacji, pełny z ich strony wielbiącego szacunku i oddania. Ale te ukryte odcienie występowały tylko w chwilach szczególnych — na codzień było to zgrane koło dobrych kompanów bez pedantyzmu, ale i bez rozwichrzonej cyganerji, gromada artystów i sumiennych pedagogów, prowadzących z zapałem neofitów wykłady, pracownie i nauczanie młodzieży w nowej



F. RUSZCZYC LAS W ŚNIEGU (ALEJA W BOHDANOWIE, 1902)



F. RUSZCZYC

LAS W ŚNIEGU (1902)
FORÊT EN HIVER

uczelni. Po paru latach takiego życia nasz Wydział był znany na całym uniwersytecie ze swoich przykładnych stosunków i z pewnością budził w niejednym zespole zazdrość dla swej pogody i harmonji.

Mój Boże! jak żywo i serdecznie stają mi przed oczyma wszyscy koledzy z Wydziału z tych kilku pierwszych lat jego istnienia... Pisząc o Ruszczycu nie mogę udzielić tutaj każdemu z nich tyle miejsca i uwagi, ilebym pragnął, ale wspominam ich wszystkich, dziś już nieżyjących lub rozproszonych po świecie, ze szczerą sympatją, z głębokiem uznaniem dla ich zalet, z ciepłym uśmiechem rozrzewnienia na myśl o ich ciekawych i oryginalnych obliczach, na myśl o tylu latach z nimi spędzonych w entuzjastycznej pracy, w nieprzymuszonej zabawie, w rozigraniu temperamentów artystycznych, w troskach i wesołości, w przemianach dobrej i złej doli. Było to zaprawdę wartościowe i jedyne w swoim rodzaju grono, dobrane przez Ruszczyca, ściągnięte ze wszystkich końców świata, od Petersburga i Taganrogu, do Gracu i Paryża. Wieczny pokój kolegom, przedwcześnie zmarłym, serdeczne spojrzenie wślad za żyjącymi, a tu już nieobecnymi ślę z tego miejsca, gdzie jak z wysokiej góry oglądam całe przeminione życie. Każdemu dobremu życzę, by takich miał towarzyszy pracy i wczasów, takich kolegów i przyjaciół, by w takiej kochanej kompanji przeżył swoje dojrzałe lata...

Na radach wydziałowych Ruszczyc przewodniczył z powagą i przejęciem i nie żałował czasu na wszelkie najnudniejsze punkty porządku dziennego, roztrząsając je kolegjalnie w pocie czoła do głębokiej północy. Najwięcej dawały się we znaki biurokratyczne okólniki, wysmażane w Warszawie w tak zawiłym i strupieszałym stylu, że mimo wysiłków niezawsze można było zrozumieć, czego ci magowie paragrafu chcą od biednych artystów. Rada kończyła się dopiero wówczas, gdy po pięciu godzinach zakopconego ślęczenia nikt nie mógł dłużej wytrzymać z głodu, a przez mgłę dymu nie widział siedzących na przeciwległym końcu stołu. Wtedy część oficjalna zostawała uznaną za wyczerpaną, a nieurzędowy dalszy ciąg posiedzenia przenosił się do Żorża lub Brystolu, gdzie już byliśmy bezpieczni od paragrafów ustawy i od straszaków porządku dziennego. Przychodził „porządek nocny", przy którym wszyscy czuli się jeszcze bardziej towarzyszami i spędzali długie godziny na wesołych i beztroskliwych gawędach do białego rana. Nie były to ani uczty Petronjusza, ani pijatyki moczymordów, ale właśnie coś położonego w złotym środku. Bawiliśmy się jak dzieci, każdy mówił i robił, co chciał, mogły być na dobie kawały tłuste, byle dowcipne, a mogły innym razem odbywać się rozstrząsania platońskie lub być staczane homeryckie boje o sprawy sztuki, przyczem każdemu groziła karykatura i wzięcie na fundusz, a trafny żart i ostry dowcip były bardzo cenione... Zdarzały się zresztą na tych kolacjach po Radzie Wydziałowej i momenty podniosłe, gdy jakieś większe wymiary wydarzenia czy zamierzenia nastroiły towarzystwo na wyższy kamerton, a wzajemna szczerość wraz z polotem fantazji jeszcze zacieśniła nasze braterskie koło i zatrąciła o tradycje Starego Wilna. Były te knajpowe wigilje nieraz terenem ważnych narad i decyzyj, źródłem niejednego artystycznego pomysłu i dokonania, były, słowem, integralną częścią naszego zbiorowego życia i częścią wcale nie pośledniejszą. Przez lat dziesięć, aż do kryzysu roku 1930-go, który zgasił dawny humor i rozmach, były te miesięczne zgromadzenia nasze niezmiennie programowemi: nie było do pomyślenia, by po zamknięciu rady ktoś zechciał pójść prosto do domu — niktby tego nie uczynił, nazbyt sobie ceniąc wieczór w zgranej kompanji, a jeśli była wiosna czy lato i wczesny wschód zastawał nas gdzieś w klubie na górze Trzykrzyskiej, to potem szło się jeszcze na przechadzkę i witało się senne zarysy miasta, kościołów i wieżyc, błękitniejące nad niemi niebo i „różanopalcą jutrzenkę", wychylającą się z za gór. Wiele dobrych i cennych wspomnień pozostawiły mi te nasze niezliczone rady wydziałowe „extra muros" pod przewodnictwem Ferdynanda,



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. PRZYJAZD DO BOHDANOWA (1898)

najmilszego towarzysza, wytwornego rozmówcy, wiernego kompana, który był duszą naszych zgromadzeń, królem Artusem tego „Okrągłego Stołu"...

A nasze życie koleżeńskie? Przecież były chwile, kiedy stanowiliśmy naprawdę jedną rodzinę, gdzie była i przyjaźń, i troskliwość, i rada, i posłuch tej radzie. Niech zaświadczy wydarzenie z Bolkiem Bałzukiewiczem. Chłop był zacny, szczery, czysty jak djament, ale nie miał szczęścia do kobiet, i żył w wiecznej tęsknocie za tą wymarzoną, romantycznie ukochaną przyjaciółką i żoną, jasnym promieniem w życiu artysty. W poszukiwaniach swego ideału doznawał ustawicznych niepowodzeń i rozczarowań: topił je w milczącej pracy, ale oczy miał smutne i gdzieś w dal zapatrzone. A myśmy jemu współczuli i pragnęli serdecznie ziszczenia jego wielkiej tęsknoty.

Wreszcie raz kiedyś gruchnęła po wydziale wieść sensacyjna: „Bolek żeni się na serjo!". Zawrzało bractwo radością, choć mało który coś wiedział o tej Bolkowej wybrance. Oznaczony został dzień cichego ślubu u św. Rafała, a ślub na życzenie pana młodego miał się odbyć tylko z dwoma świadkami z pośród kolegów wydziałowych, a następnie została zapowiedziana uczta weselna w pełnym składzie. Ale gdyśmy się zebrali na nią całym kahałem, państwo młodzi i świadkowie jesz-

cze byli nieobecni i wypadło czekać na nich dobre parę godzin. Wreszcie wrócili z bardzo rzadkiemi minami i — bez Bolkowej oblubienicy. O przyczynę nie wypadało pytać i uczta weselna przeistoczyła się w zwykłą „wydziałówkę", na której staraliśmy się „faire bonne mine au mauvaix jeu". Potem pokazało się, że Bolek omal nie wpadł w matnię i nie dostał żony, którąby mogła zabić wszystkie jego iluzje. Koledzy dowiedzieli się o niej takich rzeczy, że poprostu porwali Bolka od ołtarza, rozgadali się z panną na cztery oczy i uratowali go od zguby — w ostatniej chwili. A on, mimo swego zakochania, mimo zapadnięcia się całego gmachu swych marzeń — usłuchał przyjaciół i poddał się ich okrutnej, ale koniecznej decyzji. Wierzył nam, że go kochamy i pragniemy jego dobra. Ale odtąd oczy jego stały się jeszcze smutniejsze...

Zapędziłem się w opowiadaniu o kilka lat naprzód i muszę powracać do przerwanego wątku. Ale takie antycypacje są nieuniknione, boć nie raport urzędowy piszę, tylko wspomnienia z połowy życia i to tej najlepszej, najbardziej pełnej i płodnej. A rzeczy żywe z trudnością poddają się ciasnocie szufladek porządkowych i wyrastają obok siebie tak, jak drzewa i krzewy lasu, w różnym czasie i w różnych skupieniach. I tak jest dobrze: niema nic piękniejszego nad zmienną rozmaitość życia, a w jego pozornej chaotyczności jest nieodrazu widoczny ład i powiązanie.

Mówiłem o Ruszczycu dziekanie i profesorze, organizatorze Wydziału i opiekunie artystycznym całego Uniwersytetu. Później będę miał jeszcze sposobność ukazać go w innych rolach i przy innych czynnościach, bo natura zawsze go popychała do brania ponad siły, choć te siły były olbrzymie i zdawało się, bezgraniczne, wystarczające na wszystko. Przy takiem przeciążeniu pracą — na bezpośrednie szkolenie studentów zostawało czasu niewiele i osobom nazbyt przyczepskim lub nieżyczliwym podobało się podnosić zarzuty, że Ruszczyc był mniej profesorem niż dziekanem. Otóż sądzę, że te zarzuty były mało przemyślane i jeszcze mniej uzasadnione. Nie uniknąłby ich żaden wielki artysta postawiony w warunkach Ruszczyca, bo daremnie jest mówić „ne sutor ultra cre-



F. RUSZCZYC — ZE SZKICOWNIKA. BOHDANÓW (1905)

pidam" ludziom, którzy uważają siebie za wszechwiedzących, a nie rozumieją po łacinie. Rzecz naturalna, że nie mógł Ruszczyc lubować się w elementarnej belferce i ślęczeć nad raczkowaniem początkujących — do tego miał grono profesorów, w którego czynności wglądał sumiennie choć bez ostentacji i nacisku. Więc krytyka tego rodzaju w stosunku do niego nie ma więcej sensu, niż wypominanie braku przepisowego guzika strażakowi, który uratował człowieka z płonącego domu. Sądzę, że te kilka słów apologji wystarczą. Jeśli Ruszczyc nie był korepetytorem młodzieży akademickiej, to za to był w całej pełni jej kierownikiem, doradcą i opiekunem, a zakres swego oddziaływania rozszerzał na całą młodzież wileńską, nie poprzestając na uniwersyteckiej, nie zapominał nawet o szkołach średnich, o nauczycielstwie szkół powszechnych, o żołnierzach. Oto wyjmuję z jego archiwum streszczenia trzech wykładów*), o których nawet nie wiedziałem, że były wygłoszone, a przecież nie tylko te musiały istnieć, skoro tak wiele obcował z młodzieżą od początków swego okresu wileńskiego, od czasów „Koła artystycznego młodzieży" jeszcze przed wojną. Wszędzie docierała jego myśl troskliwa, wszędzie niósł dobrą nowinę o „niewidzialnych bogactwach", o „niedzieli duszy", o konieczności uświadamiania piękna i szczęścia. Wszędzie tłumaczył, że „ludziom potrzeba innego świata", takiego, „jak w niebie", że „utwór sztuki jest projekcją ładu i harmonji świata wewnętrznego", że „człowiek jest soczewką załamującą światło aż do stanu rozpłomienienia". Przykład dawał z siebie samego: płomieniał sam i zapału swego udzielał tym, do których się zbliżał. Gdy w roku 1922 zainicjował wydawnictwo młodzieży akademickiej pod tytułem „Alma Mater Vilnen-

*) WYKŁAD RUSZCZYCA W „OGNISKU" DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ, 6 LUTEGO 1920 R.

Szkoła rosyjska. System więzienny. Przywiązanie do życia koleżeńskiego, do poszczególnych nauczycieli, ale nie do szkoły.

Szkoła, a piękno. Instynkt, pociąg do świata klasycznego. Tablice szkolne. Grecja, Rzym, Włochy, Książki. Klasycy. Oprawy. Szukanie ilustracyj. Przerysowywanie.

Coś po za murami, jak botanika, zoologja wówczas. Co było w dziecku — zeszyty z rysunkami, pisma, modele teatru, wnętrza plastyczne.

Świat piękna.

Czem jest piękno? Częste nieporozumienia. Jak moralność — nie wyjątkowo, nie na niedzielę. Nie legumina, nie kwiat na kożuchu, nie puder i perfumy.

Określenie piękna.

Struktura wszechświata i najmniejszej jego cząstki.

Podziw — wdzięczność dla Stwórcy.

To samo w twórczości. Jedno i drugie — wypływa ze struktury wewnętrznej w naturze, w sztuce, w czynach ludzkich.

W naturze:

Od ziarna w ziemi do kłosa, kwiatu, od poczwarki do motyla.

W sztuce:

od fundamentów, rusztowania do odrobienia ścian,
od kartonu, masy, gliny — do powierzchni,
od pustej, bliskiej płaszczyzny płótna — do głębi i siły kolorytu,
od klawjatury i słownika — do harmonji i rytmu.

W życiu:

nie wrażenie, nie wygląd, nie poza — związek pomiędzy myślą, uczuciem, wolą, a emanacją tej woli.
Rytm, chodzenie, rytm zbiorowy (wojsko—skauci—karność).
Ład. Ładnie. Porządek wewnętrzny, harmonja. Utwór ludzki i czyn — projekcja świata wewnętrznego.
Pogarda u nas dla porządku („pedanterja"), dla pracy („brak zdolności"). Przyczyna: wewnętrzne lenistwo.
Złożone czynniki piękna, jak czynniki życia. Narodziny życia i piękna. Chwila poczęcia — motyw. Co pozostaje?
W jaskiniach. Świat grecki. Chusta Weroniki. Bohaterstwo, najszczytniejsze dążenia. Chorągiew.
Człowiek — soczewka, odbijająca światło aż do stanu rozpłomienienia.



F. RUSZCZYC

OKŁADKA DO ROCZNIKA „ALMA MATER VILNENSIS" (1922)
COUVERTURE DE L'ANNUAIRE „ALMA MATER VILNENSIS"

sis", zaraz odział ją w piękną okładkę własnego pomysłu, dał do tekstu dwa swoje artykuły i patronował przez kilka lat temu rocznikowi z gorącą życzliwością. A jednocześnie nie wywierał na młodych redaktorów żadnego nacisku: pozostawiał im wolną rękę co do treści, a sam dbał o poziom ogólny i piękną szatę i uczynił z „Alma Mater" księgę poważną, stanowiącą trwałą pozycję w ruchu artystycznym i umysłowym akademików wileńskich. Probierzem stosunku do nich był szacunek i zaufanie, jakie mu okazywali samorzutnie, ceniąc w nim artystę i przewodnika, człowieka wielkiej kultury i dobroci. Do dziś zostało mi wrażenie niejednej okoliczności, świadczącej, że młodzież uważała Ruszczyca za swego najlepszego ojca i opiekuna i żałuję, że zamało pamiętam nazwiska i szczegóły, które te wrażenia spowodowały. Zostało z tego tylko uczucie wzruszenia i podziwu. Ale wiem, jaki miał wysoki autorytet moralny, jakim umiał być prawym arbitrem w waśniach studenckich i zajściach między nimi delikatniejszej natury, wiem jak bezapelacyjnie przyjmowali oni jego rozstrzygnięcia.

Tak oto zarysowuje się stosunek tego Nauczyciela do swoich uczni. Jak w malowaniu swych obrazów, podobnie w obcowaniu z młodzieżą trzymał się on zasady kompozycji artystycznej — hierarchji motywu naczelnego nad szczegółami: pomijał sprawy przypadkowe i nieistotne, dbał o poziom i kierunek myśli i czuć, a poddając bryły cielesności nakazom ładu moralnego, zagrzewał dusze i ukazywał im dalekie gwiazdy przewodnie.

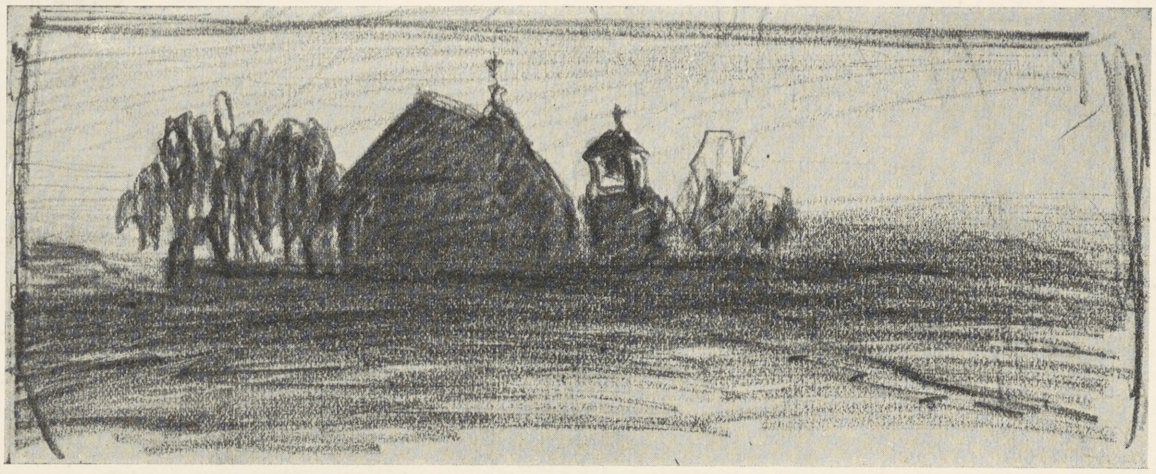
Niech zresztą o Ruszczycu - nauczycielu przemówi świadectwo jednego z jego uczniów, stu-

2) ODCZYT RUSZCZYCA DLA ŻOŁNIERZY W ŚWIETLICY POMOCY ŻOŁNIERZOWI POLSKIEMU 10 MAJA 1920.

Pochody na wschód. Krucjaty. Poznanie Wschodu. Arabji. Wojna domowa — obecna. Poznanie własnego kraju. Wiosna 1919 roku. Obecna wiosna.
Co przywiązuje? Poznanie Wilna, przeszłość i piękno. Co dała natura i człowiek? Zmaganie się ludów, ras. Płodozmian dziejów i stylów.
Przechadzki po Wilnie, w porządku chronologicznym. Gmachy — książki. Wilno drewniane. Wilno gotyckie. Wieże strzeliste św. Anny, skala Bernardynów i św. Jana. Wilno renesansowe. Zamek dolny. Domy z atykami. Mury i bramy. Zygmunt August. Kaplica św. Kazimierza. Materjał. Wilno barokowe. Św. Piotr. Dominikanie, św. Katarzyna, Misjonarze. Domy i pałace prywatne. Wilno w końcu XVIII wieku. Obserwatorjum astronomiczne, Biała Sala. Wilno w dobie klasycyzmu. Gucewicz. Katedra. Ratusz.
Wśród upadku — nakaz Wilna: „tędy — wzwyż (ad astra)". Wszystkie nauki. Sztuki. Mickiewicz..
Od Kościuszki do Piłsudskiego. Kultura. Rok 1863. Fuit Troia. Moskale. Niemcy. Wszyscy chcą Wilna, a kogo Wilno chce?
Poranek Wielkiej Soboty, 19 kwietnia 1919 roku.
Z rąk oprawcy.
Jak na Wilno patrzeć?

3) WYKŁAD RUSZCZYCA DLA ZJAZDU NAUCZYCIELI SZKÓŁ POWSZECHNYCH W DNIU 5 SIERPNIA 1919 ROKU. „TEATR I MALARZ".

Teatr — słuch i wzrok. Poeta i malarz. Połączenie wszystkich sztuk. Malarzem jest i autor i aktor i dekorator. Widz, widownia. Świadomość środków dla otrzymania wizji. Przykład — Wyspiański (Wesele — Warszawianka).
Czego ludziom potrzeba: bajki. Dziecko i lalka, dziecko i konik, sztuka — zabawa.
Ludziom potrzeba „innego świata" — „Jak w niebie".
Teatr daje urzeczywistnienie fantazji. Im prostszy umysł, tem bardziej je odczuwa.
Środki — skromne i kombinowanie środków. Trzeba widza — wziąć.
Widownia, scena, złudzenie.
Słowo, żywy człowiek — akcja — światło — dźwięk. Wizja nie potrzebuje czasu. Słowacki — „nowy gaj fantazji — zielony sosnami teatr".
Księga dla analfabetów.



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. KOŚCIÓŁ W BOHDANOWIE

denta Ignacego Widawskiego, obecnie już inżynjera-architekta. Cytaty wyjmuję z artykułu Widawskiego p. t. „Pamięci pierwszego Dziekana", drukowanego w „Słowie" wileńskiem z dnia 13 listopada 1936 roku.

„Zanim poznałem profesora Ruszczyca, był on dla mnie legendą... legendą przedziwną, romantyczną, porywającą, drgającą tajemniczą treścią... Legenda stała się pociągającą nie do odparcia. W parę miesięcy po otwarciu (U. S. B.) byłem już studentem Wydziału Sztuk Pięknych, choć jeszcze w mundurze wojskowym... Od tej chwili Ruszczyc stał się żywym człowiekiem, dostępnym i bliskim, a jednak — nie przestał być legendą".

„...panował swym nieprzepartym urokiem, narzucał niechcący swój potężny, a zdawało się zupełnie nieodczuwalny wpływ zarówno studentom, jak profesorom. Braliśmy od niego pełnemi garściami, nie zdając sobie czasem z tego sprawy... Dziekan nie uczył rzemiosła malarskiego. Trzeba było przychodzić do niego z gotową techniką. Trzeba było już umieć mówić. On zaś uczył tylko posługiwać się tą mową plastyki, wydobywał z każdego, co ten miał sam do powiedzenia, *uczył wysokiej kultury artystycznej.* Każda rozmowa z Mistrzem, każde z nim obcowanie dawało *więcej, niż wszystkie wykłady i studja...* Urok i wpływ Dziekana sprawiał, że stosunki między profesorami i studentami układały się w formy serdecznego niemal koleżeństwa, bez cienia przecież poufałości...".

„Nieskończenie hojny w swem różnorodnem bogactwie, rozrzutny niemal, rozsiewał wokół błyski swego genjuszu, nie ceniąc się wcale, jakgdyby istotnie chciał swój niewyczerpany skarbiec artyzmu przelać w nas młodych, oddać bez reszty, bodaj z duszą razem, przyszłym piewcom, malarzom i budowniczym Jego ukochanego miasta...".

W dniu 30 maja 1920 roku — dziwnym przypadkiem w dniu swego patrona — urządza Ruszczyc w Uniwersytecie obchód czterechsetletniej rocznicy śmierci Rafaela. Pragnie ukazać oczom młodzieży tę „gwiazdę, jedną z najwspanialszych, co zaświeciła w małem italskiem Urbino i wpisała je w księgę świata". Dekoruje wnękę Auli Śniadeckich przepysznem złocistem tłem, sporządzonem według swego rysunku, na tło rzuca portret Rafaela i w natchnionem przemówieniu maluje młodocianą postać genialnego artysty w sposób niezrównany. Nie będę się silił na opis: mowę

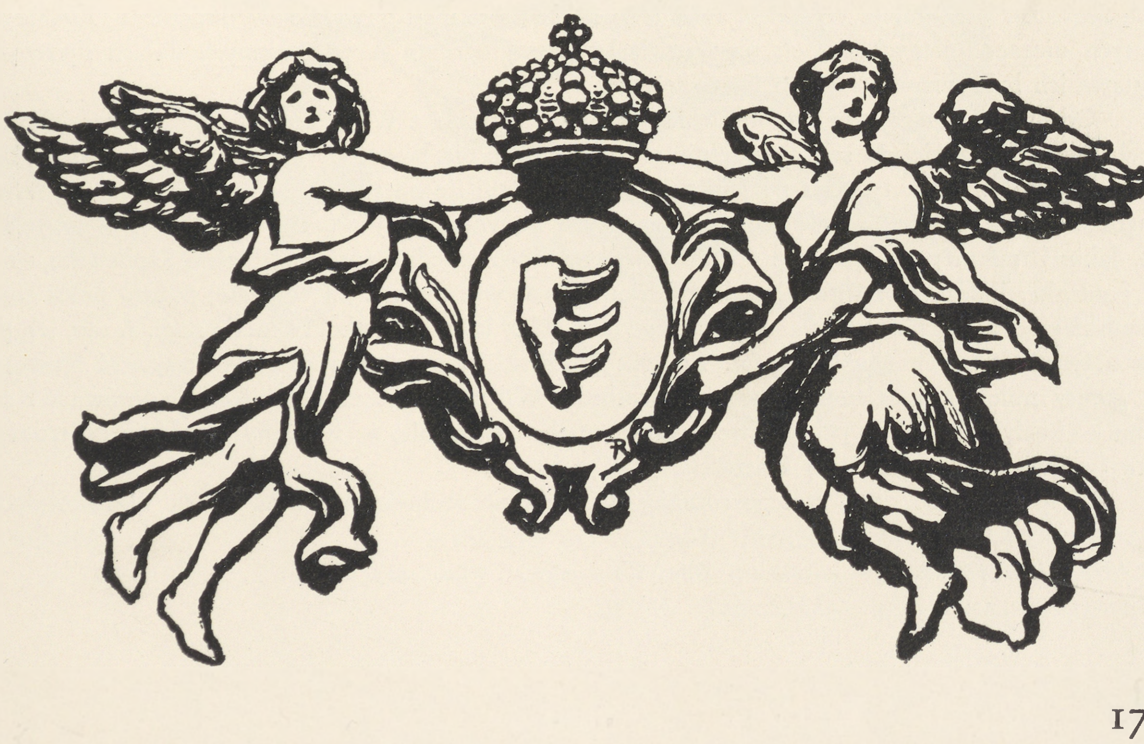
tę znajdziemy w jego książce, a tu wystarczy powiedzieć, że polotem entuzjazmu i wytwornym wdziękiem przeszedł w niej siebie...

Tak to układało się nam i wartko biegło życie w pierwszym roku naszej „Alma Mater“ wileńskiej. Minęła zima, wiosna, przyszedł początek lata tak pogodny i znojny, jak było nasze ówczesne życie. Bywają takie chwile przed niewidzialną jeszcze, ale nadciągającą gdzieś z za widnokręgu burzą, gdy przyroda dochodzi do szczytowego punktu urody i blasku, gdy błękitniej rozgłębia się niebo, śnieżyściej krąglą się i unoszą obłoczne zastępy, a światłocień lśni klejnotami, ułożonemi ze szmaragdów, malachitu i złota. Przyroda jakby staje w dosycie własnej piękności i obudza w człowieku patrzącym pragnienie, by to czarowne „dzisiaj“ na dłużej zatrzymać. Ale czar leży właśnie w pożegnalnej przelotności i niebawem znika pod nawałą ciemnych chmur, w pomrukach nadciągającej burzy...

Podobnie było tego lata. Już czerwiec był trwożny, zmącony echami krótkotrwałych tryumfów kijowskich i bezpośredniem zagrożeniem na froncie pod Połockiem, bo trzeba nie zapominać, że przez cały czas, gdy działy się wydarzenia tego roku akademickiego, Polska znajdowała się w stanie wojny z bolszewikami, a Wilno leżało nie tak daleko od strefy przewlekających się działań wojennych. Czasem cichły one na całe miesiące czasem wzmagały się, ale zawsze wisiały nad Wilnem nieustającą groźbą. A my, niebaczni, żyliśmy, pracowali i cieszyli się życiem z taką niezachwianą lekkomyślnością, jakby wkoło nas i w całym kraju był pokój i cisza. Była to cisza przed burzą. W początkach lipca nastąpił odwrót naszych wojsk na całym froncie, panika, chaos, widmo klęski. Trzeba było przeżyć poniżenie i rozpacz ewakuacji Wilna. Zagrożone zostało, podane na zagładę wszystko, cośmy budowali z takim zachwytem, wszystko czem żyliśmy tak mocno i bujnie: Uniwersytet, miasto nasze, kraj, cała ojczyzna...

Zbyt łatwo i tanio one się nam dostały — trzeba, było jeszcze raz je zdobywać, płacąc najwyższą cenę — cenę krwi. Znów przypominają mi się słowa Ruszczyca: „widocznie zawsze bogactwa tworzą się strasznym kosztem...“.

Ale i to nieszczęście przetrwaliśmy zwycięsko, a bogactwa nasze w pożodze, grabieży i zniszczeniu — jeszcze się powiększyły. Rozmnożyły się tak cudownie, jak chleby biblijne.



ROZDZIAŁ X

NA TUŁACZCE I NA NOWYM DOROBKU

W połowie lipca 1920-go roku poczucie klęski było powszechne. Od wschodu szła paniczna groza — bez walki opuszczano Wilno. Z rozpaczliwego przygnębienia odrywały tylko resztki instynktu zachowawczego i chęć ratowania tego, co się jeszcze da. Ratowania już tylko przedmiotów ruchomych, bo miasto i ziemię trzeba było porzucać w palącym wstydzie bezsilności. Ostatni wyjechali z Wilna Ruszczyc i rektor Michał Siedlecki, którego w tych strasznych dniach nauczyłem się cenić, jako człowieka wielkiego hartu moralnego. Dał piękne tego dowody, pozostając z Ruszczycem do ostatnich chwil i nieledwie pod strzałami zabezpieczając lub wywożąc ruchomości uniwersyteckie. Michał Siedlecki, człowiek wielkiej kultury, łączył w sobie cechy artysty i uczonego i dlatego umiał ocenić Ruszczyca tak, jak nikt inny z licznych przybyłych do Wilna profesorów. Przez cały czas istniało między nimi harmonijne współdziałanie, wynikające z wielu pokrewieństw duchowych. Praca tych dwóch ludzi na uniwersytecie — to najpiękniejsze karty dziejów młodej uczelni. Nie mogąc tu rozszerzać się nad działalnością rektora Siedleckiego, odsyłam do „Księgi Pamiątkowej ku uczczeniu 350-letniej rocznicy założenia Uniwersytetu Wileńskiego", gdzie są umieszczone „Wspomnienia z pierwszych dwóch lat organizacji Uniwersytetu" jego pióra. Skromność i wielkoduszność Siedleckiego nabiera na tych kartach akcentów szczególnie wysokich. Imię jego splata się nierozerwalnie z imieniem Ruszczyca w tych niezapomnianych dniach pierwszych lat naszej uczelni. A w okropnych dniach lipcowych postawa ich była wzorem męstwa i poświęcenia.

Odsuwam z niechęcią wspomnienia tej naszej ucieczki z Wilna do Warszawy, przedsiębranej w chaosie i beznadziei. O swojej rodzinie nie wiedziałem nic, bo oni wyruszyli z taborem z pod Mińska i dopiero w kilka tygodni później mieliśmy odnaleźć się na tułaczce. Wyjeżdżałem w jednym wagonie z prof. Kłosem, Józią Bułhakówną, moją kuzynką i z Józefem i panią Relą Wierzyńskimi. Jakimś trafem przyplątała się do naszego grona jeszcze jedna znajoma, Naścia Szpilewska, młoda panienka, która w ostatnich latach mieszkała u nas w Peresiece. Jak w czasie pożaru prerji amerykańskiej od niebezpieczeństwa uciekało zgodnie jedną ławą wszystko, co miało nogi. A oto, jak pisze o tych strasznych chwilach prof. Ludwik Janowski, wierny towarzysz uniwersytecki Ruszczyca, gorący miłośnik i dziejopis dawnej Wszechnicy Wileńskiej: „...ten cios nie da się porównać z niczem — kiedy zabijaliśmy paki uniwersyteckie, miałem wrażenie, że wbijamy gwoździe do trumny jakiejś największej, najdroższej świętości..." *).

Wolę zacząć od dnia, którego rocznicę dziś właśnie obchodzimy -- od święta Wniebowzięcia

*) Ludwik Janowski, „W promieniach Wilna i Krzemieńca". Wilno, 1923.



F. RUSZCZYC

RYSUNEK DO PLAKATU UROCZYSTOŚCI PIERWSZEJ ROCZNICY WYZWOLENIA WILNA (1920)

DESSIN SYMBOLISANT LA LIBÉRATION DE WILNO

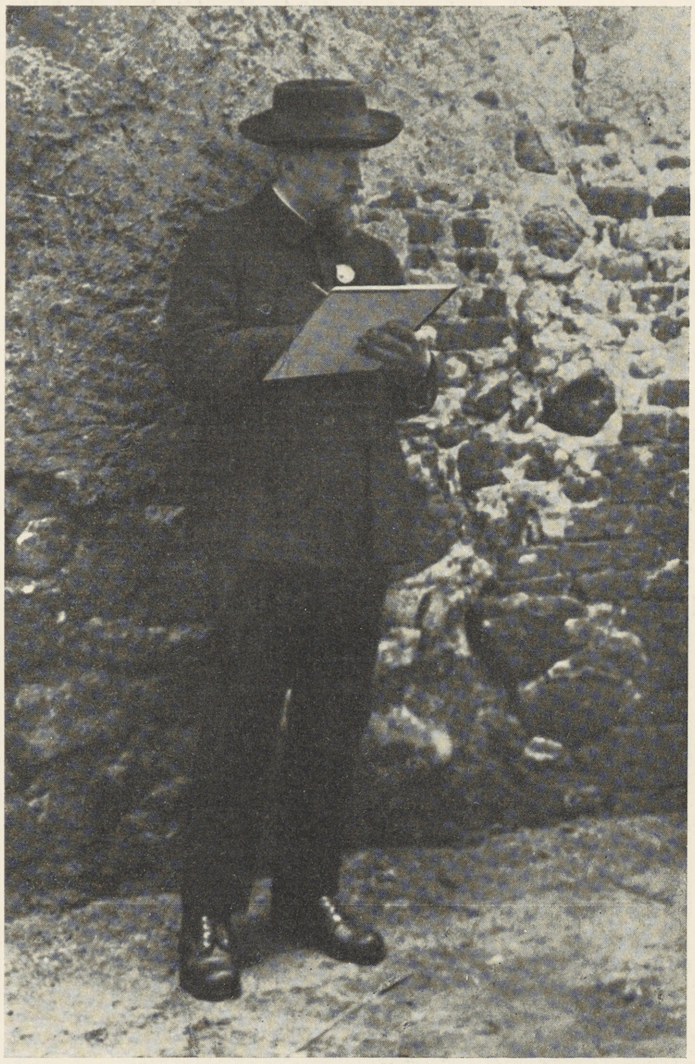


FOT. J. BUŁHAK

FERDYNAND RUSZCZYC JAKO ŻOŁNIERZ-OCHOTNIK
W WARSZAWIE W R. 1920

FERDINAND RUSZCZYC EN UNIFORME DE VOLONTAIRE PENDANT
LA CAMPAGNE DE 1920

Matki Boskiej, pamiętnego dnia cudu Wisły, kiedy hordy bolszewickie runęły z pod Warszawy w dzikim popłochu, kiedy wszystko, co żyło i czuło po polsku, chwyciło za broń i aktem wiary i męstwa ocaliło od zguby kraj, a z nim całą Europę. Pomijam wrażenia i uczucia własne z tych dni cudownych, bo nie można wciąż pisać superlatywów i czytelnik młodszy, który tego sam nie przeżył, gotów upatrywać przewrażliwienie i przesadę tam, gdzie jest raczej wstrzemięźliwość. Trzeba pamiętać, że były to inne czasy: dzisiejsze obfitują w słotę, chłód i jednostajną szarugę, ale tamte pełne były gromów i błyskawic, złowrogich chmur i świetnych rozbłysków słońca. W tamtych czasach żyło się nie nędzą, fałszem i nudą dnia powszedniego, jak dzisiaj, ale skrajnemi biegunami odczuwań i wstrząsów, mocnych, jak życie i śmierć. To też śmiało powiedzieć można, że żadne słowo nie było zbyt uroczyste dla wyrażenia tego, co się przeżyło wtedy w Warszawie, w dniu „Cudu Wisły".



FOT. J. BUŁHAK F. RUSZCZYC W PŁOCKU (1920).

Ruszczyc wdział mundur szeregowca, a w kilka dni po zwycięstwie pod Radzyminem delegowano nas obu i Adama Grzymałę - Siedleckiego do Płocka, byśmy słowem, ołówkiem i aparatem zobrazowali stan miasta po oczyszczeniu od bolszewików. W Płocku nie było ani jednej całej szyby i nocowaliśmy mimo chłodu przy otwartych oknach. Na ulicy piętrzyły się jeszcze barykady, a domy były popstrzone ołowianą ospą. Ruszczyc rysował, ja fotografowałem, Adam Siedlecki konferował z Płocczanami i pisał. Powstał z tego Ruszczycowski numer „Tygodnika Ilustrowanego" o Płocku (Nr. 39 z 25.IX.20 r.), a wkrótce potem przyszedł październikowy marsz generała Żeligowskiego na Wilno, przyszła radość niezmierna z jego odzyskania, zamącona jednak faktem ogłoszenia w Wilnie jakiejś dziwnej „Litwy Środkowej". Natychmiast wyruszyliśmy z Warszawy koleją, Ferdynand z panią Giną, rektor Michał Siedlecki i ja. Uszczęśliwienie nasze zmniejszała troska o to, w jakim stanie znajdziemy nieszczęśliwe miasto, które w tym krótkim czasie znieść musiało jeszcze dwie okupacje, bolszewicką i litewską. Pilno nam było czemprędzej ujrzeć Wilno, a jak na złość podróż nasza trwała sześć dni, bo kolejnictwo było zdezorganizowane, pociągi improwizowano doraźnie i nieraz parowozy odkradano sobie wzajemnie, a nim się zdobyło nowy parowóz, tkwiło się na stacjach ca-

łemi dniami bez ruchu. Zmienialiśmy codzień pociągi i wypróbowaliśmy wszystkie typy wagonów od niechlujnej towarowej „tiepłuszki“ do pulmana, wędrując po wszystkich czterech klasach. Przez parę dni mieliśmy dosyć komfortowy wagon sypialny, ale bez wody, i tę musieliśmy zdobywać na stacjach w pocie czoła i na wagę złota. „Mieszkaliśmy“ w tym wagonie cierpliwie i próbowaliśmy pocieszać się po Ruszczycowsku, „uświadamiając sobie szczęście“, że znowu wracamy do naszego Wilna. Było z czego się cieszyć, że oto kraj już jest wolny od najścia bolszewickiego, że Wilno jest odzyskane, a jednak pamiętam nastroje bardzo mieszane. Nie wiedzieliśmy przecie, co zastaniemy na miejscu, przewidywaliśmy pustkę i zniszczenie, a zresztą trudno było zachować pogodny optymizm po tylu przejściach do nadziei do rozpaczy, od poniżenia do otuchy, od depresji zwyciężonych do radości zwycięsców. Odczuwało się jakieś stępienie i ogłuszenie. Ja czułem się zdrewniały i ze zdumieniem stwierdzałem w sobie zanik wszelkiej wrażliwości — zawiele tego było na moje nerwy, ale Ruszczyc i rektor Siedlecki nie byli pozbawieni animuszu i spędzali długie godziny na naradach i gawędach, jak to oni znowu zaczną odrabiać wszystko nanowo. Którejś nocy Ferdynand narysował rektora Siedleckiego „na gorącym uczynku“, gdy ten, znużony, zasnął na ławce w stosie ciepłego przyodziewku. Nakoniec na siódmy dzień dobrnęliśmy do Wilna.

Tam, na zbiedzonych i opustoszałych ulicach wileńskich, otępienie jak ręką zdjęło. Co tu długo mówić — przecież powróciło się do swego miasta odzyskanego — chciało się z radości całować kamienie ulicznych bruków i padać w objęcia każdego spotkanego przechodnia. Oko witało serdecz-



F. RUSZCZYC REKTOR M. SIEDLECKI W WAGONIE POWROTNYM DO WILNA W PAŹDZIERNIKU 1920 R.

nie każdy zakątek murów, każdą strzelistość wieżyc, a najnędzniejsze domki wydawały się miłe i swojskie po bezdusznym szychu warszawskim. Trzeba było utracić to miasto jedyne, zostać wyrwanym z niego przemocą, żegnać jego obraz nazawsze; trzeba było poczuć się tułaczem bezdomnym i zdala śnić o swoim kraju, mieście i ludziach bez nadziei powrotu do nich, by zrozumieć, jakie mocne, nierozerwalne więzy łączą człowieka z najbliższą ojczyzną, jak nic nie może jej zastąpić w życiu, jak potężna jest siła, która przykuwa serce nasze do Wilna.

To były moje wrażenia osobiste w chwili wkraczania do miasta. A co musiał czuć Ferdynand? On, źródło gorejącej miłości, której nadmiaru tak szczodrze udzielał innym? Ujrzymy to niebawem w jego odczytach, w jego listach, w jego gorączkowem „obejmowaniu w posiadanie" Wilna i Uniwersytetu. Odzyskał utracone kochanie, więc się niem pieści, lituje nad niem, że nędzne i obdarte, więc je przyciska do serca i ogrzewa swem tchnieniem, jak matka pisklęta w wystygłem gnieździe...

Wracam do kolejności zdarzeń. Dzień 21 października był chmurny i zimny, stalowa opona wisiała nad miastem i malowała na szaro jego oblicze. A jednak nigdy nie wydało się ono tak miłem i kochanem, jak tego dnia. Mnie Ruszczycowie zabrali do swego mieszkania przy Uniwersyteckiej 7 i stamtąd rzuciliśmy się chciwie na pierwszy rekonesans — czego braknie, co ocalało? Niepodobna opisywać szczegółowo tych wszystkich wstrząśnień przy odszukiwaniu, odnajdywaniu, witaniu miejsc i rzeczy, w których zostawiło się cząstkę samych siebie. Dość, że gdy wieczorem pierwszego dnia zeszliśmy się u Ruszczyców, mieliśmy twarze jasne i szczęśliwe, bo wszystko znaleźliśmy nietknięte, nieomal tak jak zostawiliśmy — i Uniwersytet ze wszystkiemi pracowniami i zbiorami, i nasze prywatne mieszkania i ruchomości, jakgdyby jakaś ręka opiekuńcza broniła naszych skarbów od zniszczenia, jakby ta bezimienna, wierna, czujna myśl wileńska, dziękująca „Matce za Wilno", mocnym puklerzem otoczyła i uratowała od zguby i miasto i rozsiane w niem ślady myśli, prac i umiłowań Ruszczyca.

Po parodniowym pobycie ja musiałem wracać do Warszawy. Tam był przeniesiony cały mój dorobek fotograficzny, tam były rozpoczęte prace w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gdzie miałem zobowiązania, wreszcie za Warszawą była moja rodzina, która po sześciotygodniowej tułaczej ucieczce z wozami i końmi osiadła pod Ciechanowem. A potem w grudniu przyszła choroba, która mię zatrzymała w Warszawie nadspodziewanie długo i dopiero w kwietniu roku następnego pozwoliła wrócić na stałe do Wilna. Więc o tem półroczu wileńskiem będę mówił tylko z drugich rąk.

Oddaję głos Rektorowi Siedleckiemu, cytując wyjątki z jego wspomnień: „Nikt nie może opisać radości, z jaką zobaczyłem Uniwersytet nietylko nie zrabowany, ale poprostu nietknięty... Kiedy wszedłem do Zakładu Zoologji... ku wielkiemu zdumieniu zastałem na tablicy w sali wykładowej niezmazane rysunki i napisy, jakie wykonałem na ostatnim wykładzie w poprzednim roku szkolnym... W pierwszych godzinach mego pobytu w Wilnie miałem wzruszający dowód przywiązania młodzieży uniwersyteckiej do Wszechnicy Stefana Batorego. Właśnie wynalazłem jakiś kącik w gmachu uniwersyteckim, gdzie mogłem się przebrać po podróży, kiedy wpadło do mnie kilku zmęczonych, ale rozpromienionych żołnierzy, uczniów Uniwersytetu z p. Kiersnowskim*) i Podoskim na czele. Przybiegli z frontu, mając tylko parę godzin czasu, prosto z rowów strzeleckich na to tylko, aby ujrzeć rektora i napewno przekonać się, że Uniwersytet zacznie nowe życie. Poczciwe chłopaki wzruszyły mię głęboko. Wiem, że wszyscy czuli tak samo, jak oni...".

A oto w relacji tegoż pierwsze dnie życia uniwersyteckiego.

*) Tadeuszem. (Przyp. red.).

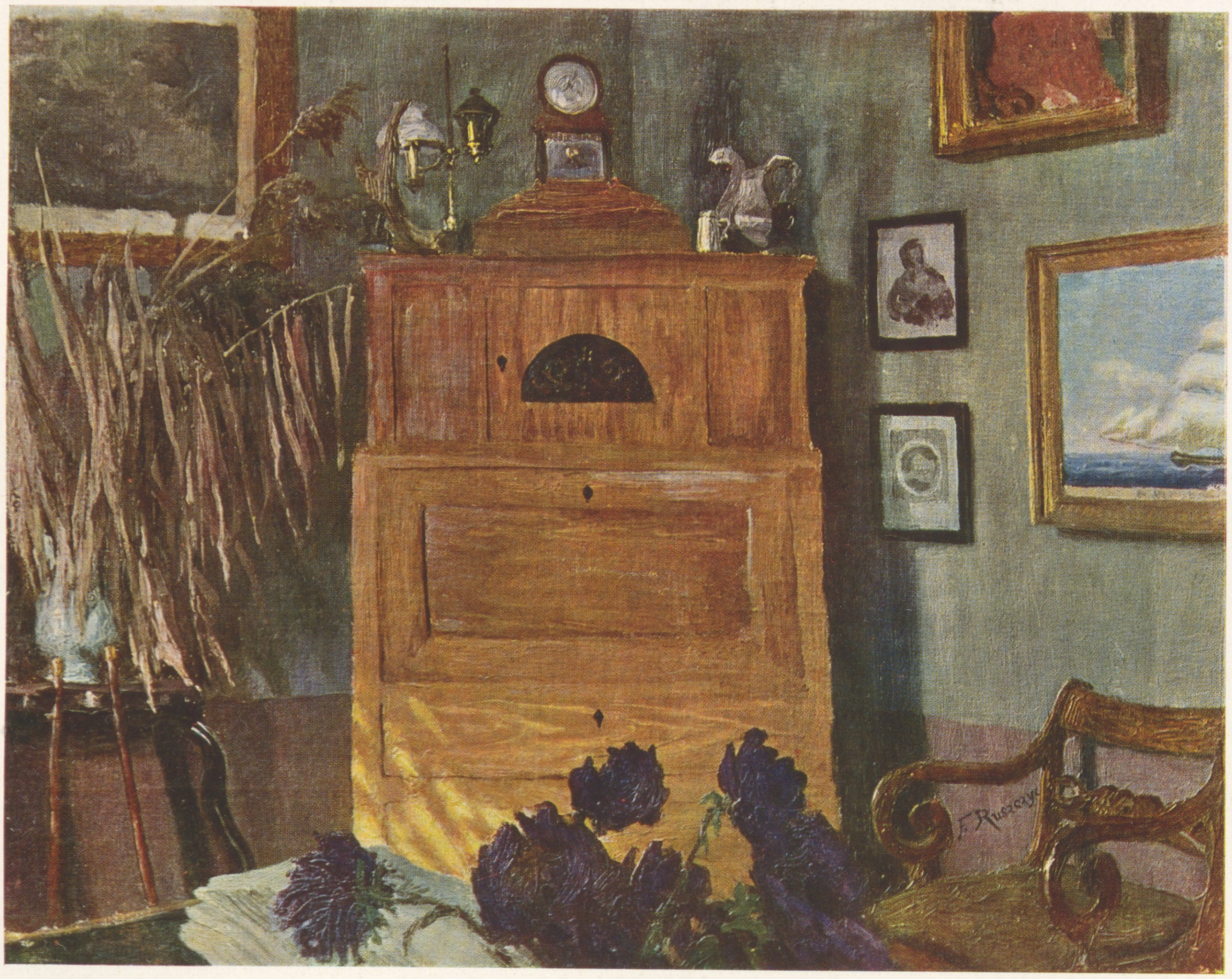


F. RUSZCZYC KANTOREK W BOHDANOWIE

„Nie było ani kancelarji, ani kwestury, słowem trzeba było na początek wszystko samemu wykonać. Pani Ruszczycowa zasiadła przy maszynie do pisania, i, choć niebardzo wprawna, pisała wezwania, które wystosowałem odrazu do wszystkich kolegów, aby jaknajprędzej wracali na stanowisko".

Wiele dobrego możnaby powiedzieć o roli ówczesnej tych dwóch ludzi. Ostatni opuścili uniwersytet w dniach klęski, pierwsi wracali do niego po odzyskaniu Wilna, by wziąć na siebie ciężar odbudowy. Nie dziw, że kochał to wszystko Ruszczyc, krew z krwi, kość z kości Wilna. Ale profesor Siedlecki, krakowianin? Skąd on umiał się zdobyć na tyle objawów serdecznej miłości do nowego uniwersytetu, skąd potrafił troskać się o niego po macierzyńsku, po Ruszczycowsku? Może dlatego, że wielka dobroć i sumienność była naczelną cechą jego charakteru. Kochał naturę i piękno, kochał życie i młodzież, więc musiał rychło przyrosnąć uczuciem do serdecznego oblicza Wilna. Był to człowiek szacowny, w którym równoważyły się umysł i serce. Imię jego zapisało się wdzięcznie w pamięci Wilnian i wraca zawsze na usta, kiedy się mówi o pierwszych dwóch latach naszego uniwersytetu. Nikogo też nie żegnaliśmy później z takim żalem, jak jego. Oto jeszcze parę zdań z jego wspomnień, gdy już nas opuszczał, by powrócić do Krakowa.

„...na dworcu żegnali mię koledzy i przedstawiciele ludności, a zwłaszcza młodzież akademicka, która utworzyła długi szpaler wzdłuż pociągu. W wieczornym mroku ostatniemi postaciami, któ-



F. RUSZCZYC

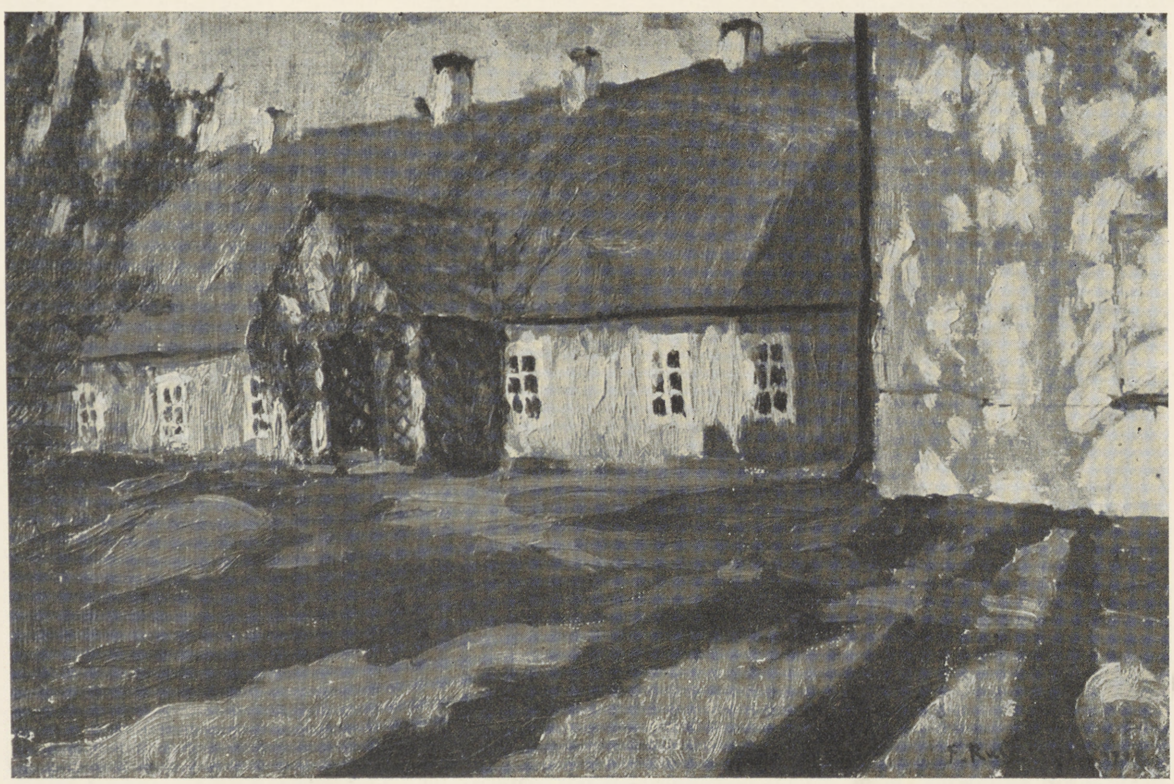
KANTOREK W BOHDANOWIE
VIEUX SECRÉTAIRE

re wryły się głęboko w moją pamięć, *były właśnie sylwety tych zacnych chłopców i dziewcząt, których serca i uczucia zawsze byłem pewien i od których nigdy nie doznałem przykrości...*

„Kończąc wspomnienia... muszę podkreślić, że dzisiaj, po dziesięciu latach od chwili, kiedy zacząłem moją działalność w Uniwersytecie Stefana Batorego... uważam te dwa lata mego życia za najpiękniejsze i najmilsze... Najserdeczniej zaś wspomnieć muszę o młodzieży wileńskiej, której serca byłem zawsze pewien i która nigdy mnie nie zawiodła...".

Zatrzymałem się nieco dłużej na osobie profesora Michała Siedleckiego, by pokazać, jaki szeroki zasiąg miała siła atrakcyjna Ruszczyca i jakie szczęśliwe dopełnienie znalazła w tym zacnym człowieku przy kładzeniu pierwszych zrębów naszej uczelni. Był to dla mnie wówczas widok wzruszający, jak Kraków i Wilno podało sobie ręce w osobach Siedleckiego i Ruszczyca, by wypisać na frontonie w dziedzińcu Skargi naczelne hasło filareckie „Ojczyzna, Nauka, Cnota".

Całą zimę musiałem jeszcze przesiedzieć w Warszawie, choć rwało się serce do Wilna. Echa jego dochodziły mię z listów Ferdynanda, w których była uporczywa wola zgromadzenia jaknajprędzej rozproszonego zespołu nauczycielskiego i rozpoczęcia normalnego życia na uniwersytecie. Wielu profesorów ociągało się z powrotem, bo przecież Wilno było takie niezachęcające i niepewne dla obcych, którzy mieli ściślejsze związki z innemi miastami. Była obawa, że się nie uda zgromadzić dostatecznego zespołu sił naukowych, a nastroje panujące podawały w wątpliwość samą przyszłość i byt uczelni wileńskiej. Ciężar walki z upadkiem ducha spoczywał na tych, którzy powrócili do Wilna pierwsi i Ruszczyc miał tu znowu sposobność do ratowania swojej umiłowanej placówki posta-



F. RUSZCZYC — BOHDANÓW NA WIOSNĘ.

wą, pełną wiary i energji, do odbudowywania jej ofiarną pracą za wszystkich nieobecnych. Oto co pisał on do mnie temi czasy, obfitemi w naszą korespondencję, jak żadne inne.

„Dwukrotne okazje w tygodniu przywożą nam za każdym razem ludzi, tak że potrochu zaludnia się Wilno, a w szczególności i Uniwersytet. Wszystkie jego części już uruchomione: Rektorat, Dziekanaty, Senat, a dziś mieliśmy już nawet swoją naradę wydziałową. Było nas sześciu"...

Krzepił się bezgranicznym optymizmem, ugruntowanym w żarliwym trudzie własnym i nie poddawał się zwątpieniu, choć tyle miał do niego powodów i w Uniwersytecie i w ówczesnych warunkach politycznych. „Wszystkie potworności — pisał, — które zwartym kołem nas otaczają, od bolszewizmu do Ligi Narodów, to ciągłe podminowywanie gruntu, działają na mnie wprost prowokacyjnie. A wobec tego ludu wileńskiego, który pozostał nam wierny, na nas czekał, a teraz na nas patrzy, poprostu ma się zobowiązania. Wszyscy więc robimy, co można, *tylko kołdra jest coraz krótsza*... Znowu jest się *w fazie wykradania sobie nocy*. Jest późno i w tej chwili. Jak tu wrócisz, znowu na miłym gruncie wileńskim gawędzić będziemy. Pracy jest huk, a w tej decydującej chwili takby się nie chciało o czemś zapomnieć, czegoś nie przewidzieć. I robić trzeba wszystko naraz i jednocześnie...".

Ruszczyc jest zawsze wierny sobie. Żyje i pracuje w wielkiej skali całego życia wileńskiego.



F. RUSZCZYC — INSCENIZACJA LILLI WENEDY. GROBOWIEC.

Troszczy się nietylko o Wydział, nietylko o Uniwersytet. Troszczy się o Wilno — o polskie Wilno i czyni to z całą precyzją i skutecznością męża stanu. Ale w listach swoich mówi skromnie tylko o rzeczach najbliższych.

„Śród śnieżycy wypadków człowiek zziębnięty ogląda się za ciepłem, a najlepiej się czuje w zakątku przy własnem ognisku. Od potworności, jakie nam gotują konstelacje polityczne, odwrócić może myśl tylko intensywna, odurzająca praca, uparte dążenie, jakgdyby się budowało na niezachwianym gruncie. Jakoś w tym czasie szczególniej często wspominałem zeszłe lato i jesień, absorbującą, a niczem nie skrępowaną pracę, jakąś ciągłą improwizację. *Dziś nowy obudził się głód takiej pracy. A im większe są przeszkody i uniemożliwienia, tem uporczywiej człowiek naciera...* Tydzień ten całkiem był warjacki. Posiedzeń bez liku, opracowanie na gwałt budżetu na rok. Sypiało się niedużo. Przechodząc dziś przez dziedzińce nasze wspominałem, coś tak ładnie powiedział o wydeptanych ścieżkach... Trzeba, byśmy w komplecie znowu podjęli przerwaną pracę... Korytarze uniwersyteckie pełne zapisujących się... Dla różnych referatów i listów z doby pozostaje tylko noc. Gina jak zwykle dotrzymuje mi towarzystwa. Dzieciaki miłe śpią, a my oboje zasyłamy ci serdeczne pozdrowienia. Powrotu do zdrowia i do Wilna...".

„Gina opowie ci, jak pełne pracy i zadowolenia były te tygodnie, kiedy wreszcie ruszyło wszystko tak, jak było potrzeba. Były chwile piękne. Szkoda, żeś nie mógł przeżyć ich tu z nami. Wspominaliśmy ciebie przy wszystkich tych okazjach. Będziesz też miał relację przez Kłosa. Zresztą sam tu niedługo będziesz. Pozostawiłbym więc wszystko do spotkania się tutaj, lecz pragnę jeszcze powiedzieć, jak głęboko poruszył mnie list twój z d. 22 grudnia, który doszedł tu z opóźnieniem, i jak wielką dał mi radość. Stało się, jak to czasem bywa, chociaż brzmi paradoksalnie, *że przymusowe rozstanie nie oddala, lecz zbliża*. I bywa wtedy, *że pisać łatwiej, niż mówić*. A żeś tak mnie wyczuł i moje pragnienia i za gorącą chęć pomocy w pracy, dziękuję ci stokrotnie. W liście tym — jak wogóle w obecnym czasie, po miesiącach burz i słot — jest jakiś powrót do wiosny naszej przyjaźni. I powiem ci, że *sama praca staje się nanowo młodą*. Mozolna była droga, ale *gdy się nowe zdobyło wzgórze, widzi się, że dalej są nowe wymarzone urzeczywistnienia*. Oczekuję więc ciebie. Wilno z jego możliwościami bujnego życia przykuwa za każdym razem więcej. *Wracajcie więc wszyscy do tej naszej oazy, aby szaleństwo marzeń o Renesansie stało się ciałem*. Twój Ferd".

Dręczony jakąś upartą malarją, mogłem tylko zdaleka brać udział w tem Ruszczycowskiem „szaleństwie marzeń", połączonem jednak zawsze z wolą i umiejętnością urzeczywistnień, dzięki jego olbrzymiej pracowitości, nie szczędzącej siebie, swych wczasów i swego zdrowia. Kto wie, ile lat dłużej byłby on żył i zachował siły, gdyby nie ten nadmiar pracy, to wieczne wigilje do białego rana, przepełnione szaleństwem marzeń i urzeczywistnień. Tęskniłem za Wilnem, rwałem się do niego, ale więziły mnie na miejscu choroba i różne zahaczenia warszawskie, których zlikwidowanie wymagało dłuższego czasu. Żyłem w ciągłej rozterce. Trudno mi było pogodzić się z nieobecnością tam, gdzie wszystko było takie drogie i wołało mię tak serdecznie, gdzie Ruszczyc przeżywał swoją drugą wiosnę uniwersytetu.

Zaraz na wstępie dał jej wyraz w odczycie swym „O niewidzialnych bogactwach", wygłoszonym w końcu listopada, już niewiem gdzie i z jakiej okazji, ale łatwo sobie wyobrazić, że w mało zaludnionem Wilnie ówczesnem było to jakieś serdeczne rodzinne zgromadzenie wszystkich wilnian z generałem Żeligowskim na czele. Ciasne, ciepłe i patrjarchalne było wówczas nasze miasteczko. Było tak zbiedniałe, że w porę przychodziły te Ruszczycowskie „bogactwa niewidzialne", to wszystko, co on całe życie kochał i dla czego pracował w zachwycie — bogactwa stracone i odzyskane, więc nanowo uświadomione, więc jeszcze droższe, jeszcze bardziej warte miłowania i trudu. „Przybyła nam świadomość — mówi — żeśmy coś bardzo kochali. I przybyło nam świadomości, że coś bar-



F. RUSZCZYC RYSUNEK Z AFISZA „POMOCY OFIAROM WOJNY"Z R. 1915-go.

dzo ukochać należy... coś, czego nazwać nie można, co nawet pokazać trudno, a co nas najbardziej raduje".

Tak odbudowuje on w owych czasach Wilno duchowe, a zawsze w skali najszerszej, najwyższej. Trzeba wznowić zaufanie ludzi do stałości nowego układu wydarzeń politycznych, do tego, że Wilno pozostanie „nasze", co będzie się ważyło jeszcze przez czas długi. A jakże tego lepiej dokonać, jak nie przez wskazanie jego bogactw niewidnych, ukrytych w głębiach serdecznego rozumienia. Trzeba więc przypomnieć wszystkim te skarby, by poruszyły dusze i wole.. Wokoło nędza, rozstrój, zbieranie resztek, porządkowanie rumowisk.A on mówi, że nam przybyło skarbów, żeśmy stali się bogatsi. Nędzarz do nędzarzy mówi o obfitości, bo jest on zawsze posiadaczem skarbów, których nic go nie może pozbawić. Na modłę obrazu własnego stwarza cały świat okolny, daje mu dumne poczucie polskiej wolności i posiadania niezniszczalnych bogactw jej tysiącletniego trwania...

Odbudowywanie Wilna po tylokrotnych najazdach i okupacjach nie było rzeczą łatwą. Po odzyskaniu miasta przez generała Żeligowskiego w październiku wyglądało ono jak pustynia. W pierwszych dniach nieliczni przechodnie wykrzykiwali do siebie przez ulicę jak w lesie. Uniwer-

sytet świecił pustkami i wykładowcy nie kwapili się z powrotem, uważając placówkę za niepewną, jeśli nie straconą. Byli profesorowie, co się poprostu obrażali za wezwanie do powrotu, rozsyłane na wszystkie strony Polski przez Ruszczyca i rektora Siedleckiego przy pomocy pani Giny w roli kancelistki. Zaraz po nich wrócili intendent Latwis, profesorowie Patkowski i Alexandrowicz oraz asystent Witold Sławiński. Niewiele było ludzi, na których mógł się oprzeć rozproszony uniwersytet, i w owych trudnych dniach zdawał się on być raczej fikcją, niż rzeczywistością. Trzeba było wysiłkiem wiary i woli zwalczyć szkodliwe nastroje defetystyczne i tego zadania podjął się Ruszczyc ze szczupłem gronem towarzyszy. Ujawnił wtedy wspaniałą moc ducha, energję i wszechstronność, ogarniał wszystkie sprawy życia wileńskiego swojem opiekuńczem skrzydłem, zabiegał o przywracanie ładu i wiary, jak kapłan, jak wódz, jak władca i kierownik duchowy całego miasta. Mógł za Mickiewiczem powiedzieć, że kocha i cierpi za miljony, ale pewnie nie zdawał sobie nawet sprawy z tego i pracował, zakasawszy rękawy, jak szeregowiec i jak robotnik, a budził ducha i krzepił nadzieje, jak misjonarz i wyznawca. Na tułaczce tego strasznego roku 1920-go i na nowym dorobku w odzyskanem Wilnie Ruszczyc złożył dowody najwyższego hartu moralnego i zasłużył na miano pierwszego obywatela swojego miasta i kraju, stojącego na niedosiężonej wysokości.

Na wigilję Bożego Narodzenia Ruszczyc zbiera swoją gromadkę młodzieży w murach pobernardyńskich. Czasy są niespokojne. Trzeba młodzież pokrzepić, umocnić, zbliżyć do stałych wartości Wilna. Więc im mówi o Tomaszu Zanie, o jutrzejszym „dniu Adama"' o tamtych ludziach, w których była wielka linja życia i bezpośredniość dawania się, tworząca ten do dziś niezgasły „spiritus loci". I nie wie Ruszczyc, nie przeczuwa z pewnością, że on sam jest najpierwszym kontynuatorem i najdogodniejszym spadkobiercą epoki Mickiewiczowskiej, że mówiąc o niej, *mimowoli mó-*



F. RUSZCZYC MARKI POCZTOWE LITWY ŚRODKOWEJ (1920)

wić musi o własnej wielkiej linji życia, o własnej bezpośredniości dawania siebie całego umiłowanej sprawie...

Jeśli Wilno przeżyło w roku 1920-tym powtórną okupację bolszewicką z ponurą rozpaczą, to następująca po niej okupacja litewska wzbudziła w prostym ludzie wileńskim tylko odrazę i wzgardę. Wilno patrzało z uczuciem wyższości na swych jednodniowych panów, tak całkowicie nienadających się do tej odpowiedzialnej roli. Wilno nie czuło żadnej wspólnoty z najeźdźcami litewskimi, prawiącymi bez przekonania o tradycjach przedjagiellońskich, i w duchu dochowywało Polsce wierności równie powszechnej i głęboko z serca płynącej, jaką zadokumentuje niebawem w czasie plebiscytu Sejmu Wileńskiego. A Ruszczyc pamięta o wszystkiem. Naczelną jego cechą — uwaga, by niczego nie pominąć. Więc po przemówieniu do miasta, po mowie do młodzieży uniwersyteckiej, urządza obchód powstania styczniowego (w dniu 23 stycznia 1921 r.) i tam mówi o ludzie wileńskim, „o jego wierze i wierności, na której, jak na mocnej opoce, budować będziemy przyszłość kraju". — „Wierzmy — powiada — w ten lud, i dajmy, czego instynkt jego łaknie, aby nam zgodnem echem odpowiedział i aby duch, jaki się w nim zachował, pozostał niezmiennym na wieki". Jakie to dziwne zjawisko, — ten malarz i profesor, występujący ze skończoną świadomością i wytrawną taktyką w roli polityka i męża stanu?... I naturalnie rysuje plakat ku uczczeniu bohaterów 1863 roku, na którym anioły unoszą męczeńskie serce i krzyż, oplecione cierniami.

A wszystko, jak do mnie pisał, trzeba robić jednocześnie, bo ludzi jeszcze jest mało i trzeba nadrabiać wytężoną pracą. I niema — rzeczy drobnych. Ważne jest wszystko, co dotyczy Wilna. Więc Ruszczyc rysuje wzory do znaczków pocztowych tego zabawnego noworodka „Litwy Środkowej", w której chwilowo znajduje się miasto. Daje ujście swemu rozmiłowaniu w pięknościach wileńskich, umieszczając na znaczkach kościoły i góry, wieżyce i rzeźby z kościoła św. Piotra. Miejscowe wykonanie litograficzne jest dość prymitywne, ale każda marka pocztowa Ruszczycowska stanowi piękny obrazek wielobarwny i cenną pamiątkę. Nawet sprawa obłożenia akcyzową opłatą zapałek nie uchodzi jego uwagi i banderole, oklejające każde pudełko, są jego rysunku.

W tym stanie rzeczy mija zima. W połowie kwietnia 1921 r. powracam do Wilna, wioząc ze sobą w osobnym wagonie towarowym swoje skrzynie z negatywami i albumami, swoje ruchomości fotograficzne, ciągane przez pół roku po całej Polsce, bo i w Warszawie były one już przygotowane do dalszej drogi, do nakazanej, ale już niewykonanej — ewakuacji. Wracam bogatszy o komplet zdjęć stolicy i jej okolic, zrobionych w ciągu tego półrocza tułaczego, a także bogatszy o wiele przeżyć i doświadczeń w myśl zasady Ruszczycowskiej, że prawdziwe nabytki tworzą się zawsze kosztem ofiar materjalnych. Bo oto jest już po pokoju ryskim. Polska straciła dzielnice wschodnie, Witebsk, Mińsk, Bobrujsk, Borysów, Słuck i szmat ogromny kraju aż do Kamieńca Podolskiego, wszystko, co już posiadała w roku ubiegłym i co mogła z łatwością zachować — a przy tem oderwaniu wschodnich rubieży od Rzeczypospolitej, padły ofiarą i mój dom i ziemia — już nie mam własnego kąta rodzinnego, już nie mam nic, prócz naszych — bogactw niewidzialnych, prócz tych skarbów, których twórcą i rozdawcą jest Ruszczyc. Łatwiej jest przeboleć stratę majątku — ciężko bardzo stracić dom i kawałek ziemi, do której przyrosło serce. Ale nie czuję się upośledzonym. Polska jest wolna. Wilno jest nasze. Uniwersytet nietknięty i w pełni ruchu. Moja praca piętnastoletnia ocalała. Będę dalej pracował z Ruszczycem. Jesteśmy „bogaci" wszyscy, a więc i ja także... Wraz z pierwszemi wiosennemi listkami na wierzbach powracam do Wilna, opuszczając bez żalu Warszawę, gdzie miałem warunki jaknajlepsze, gdzie dużo posunąłem naprzód moją pracę, rozszerzając jej zakres wileński do znacznie większych wymiarów, ale pomimo tego czując się tam jak na wygnaniu, które porzucało się z radością, śpiesząc do biednych, ale miłych kątów wileńskich.

Zaledwie zdążyłem zadomowić się w Wilnie i wpaść w kołowrot pracy jeszcze bardziej in-



F. RUSZCZYC

OBŁOK (1901)
LE NUAGE



F. RUSZCZYC

MŁYN ZIMĄ (1902)
MOULIN EN HIVER



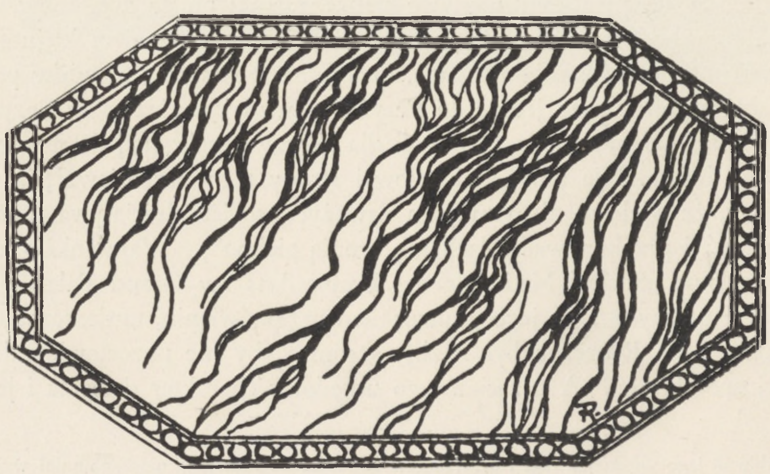
F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. SZKIC DO WYCHODŹCÓW. (1898)

tensywnej i szalonej, niż była zeszłoroczna, gdy przyszedł maj i nastąpił wyjazd Ruszczyca do Paryża. Wyzwolona Polska urządza tam wystawę sztuki, niemal prosto z okopów, niemal prosto od dymiącego karabina przechodzi do pendzla, rylca i dłuta i zgromadzeniem klejnotów sztuki w stolicy świata chce zamanifestować swoje istnienie. Delegatem zrzeszenia artystów polskich jest Ruszczyc i w tym charakterze oficjalnym jedzie do Paryża, ujawniając niezwykłą rozpiętość swych zainteresowań i możliwości, od rysowania banderoli dla akcyzy zapałczanej do reprezentowania sztuki polskiej w metropolji świata. Nie znam zakulisowej strony tego przedsięwzięcia propagandowego, ale jestem przekonany, że wiele w niem musiała zaważyć osobista inicjatywa Ruszczyca. To było w jego stylu — walczyć, i przekonywać szlachetną bronią piękna*). Wzmianki o tej wystawie, święconej uroczyście w salonie „Société Nationale des Beaux Arts" w Grand Palais paryskim znalazły się w sprawozdaniu Ruszczyca i w jego francuskiem przemówieniu, umieszczonym w „Liściu wawrzynu i płatku róży", ale Ruszczyc był nazbyt skromny, by nie pozostawić całkowicie w cieniu swej osoby przy tej sposobności. A przecież jego urzędowy charakter delegata i jego osobiste kom-

*) Przytem — dowód jego wielkiej uwagi i przyjaźni w stosunku do mnie: — nie zapomniał wziąść kilku moich fotografij do Paryża i umieścić ich na wystawie, gdzie byłem jedynym fotografem między plastykami.

petencje i walory, jako artysty i organizatora pierwszej wystawy artystycznej odrodzonej Polski, wysuwały go na czoło tej doniosłej imprezy kulturalnej i musiały niewątpliwie pozostawić pewne ślady we wspomnieniach wyższych sfer paryskich. Wszak wileński ambasador piękna stał się na ten okres ambasadorem Prześwietnej Rzeczypospolitej i o tej jego roli musiała być zapisana w annałach Paryża niejedna karta, o której już nie będziemy wiedzieli. Wiemy jednak, że Ruszczyc był tam otoczony wielkim poważaniem i wyróżniany na wszystkich uroczystościach, zarówno związanych z wystawą polską, jak i na innych, odbywających się współcześnie. Zachował się w archiwum odpis ręką Ruszczyca przepięknej mowy Piotra Claudel'a, wiernego przyjaciela Polski, na zebraniu poświęconem pamięci Mickiewicza, gdzie czytamy między innemi te słowa: „Niema w historji większego cudu, jak ten, co się stał z narodem, materjalnie wykreślonym, a pozostającym tylko w dziedzinie wiary, w dziedzinie idei. I oto wiara zwyciężyła, myśl stała się ciałem. Z trzech mocarstw, które były się rozsiadły na mogile Polski, co zostało? A na ich miejscu ukazuje się oblicze męczeńskie jeszcze, ale żywe i młode Narodu, który zamrzeć nie może, bo przez to już przeszedł, bo był umarły, a zmartwychwstał. A więc Panowie, nie bądźmy mniej wierzący, niż ci wielcy poeci, z których dzisiaj czcimy ostatniego, a którzy podczas długiej nocy grobowej wierzyli w Ojczyznę swoją, w tę Ojczyznę, co nie z ciała była, ale z zespołu dusz miłujących i wierzących. Ich rozpacz nawet była po to tylko, by doskonalszem stało się upewnienie..."

Rząd francuski zakupił wtedy obraz Ruszczyca „Powiew wiosny" do Muzeum Luksemburskiego, a autor został odznaczony krzyżem Legji Honorowej. Było to pierwsze wogóle odznaczenie Ruszczyca, gdyż order „Odrodzenia" we własnej ojczyźnie otrzymał on dopiero w dwa lata później. Ale tę komandorję „Polonia Restituta" dostał już nietylko za zasługi artystyczne i kulturalne, lecz wyraźnie „za zasługi około przyłączenia Wilna i Ziemi Wileńskiej do Polski". I otóż znowu występuje w całej wymowie uniwersalność tego człowieka i doskonała skuteczność jego działań: artysta i nauczyciel, godny najwyższych dowodów uznania za prace we własnym zakresie, otrzymuje pierwsze odznaczenie za działalność społeczno-polityczną. A przecież tę politykę prowadził on nie intrygą, nie zakulisowemi wpływami, nie oparciem o siłę fizyczną, a tylko i jedynie swojem bezbronnem Pięknem i swojem bezmiernem oddaniem Sprawie. Jeszcze raz dowiódł, ile w świecie faktów materjalnych znaczą nieważkie i niewidzialne przejawy Ducha.





F. RUSZCZYC

MŁYN ZIMĄ (1902)
MOULIN EN HIVER

ROZDZIAŁ XI

WALKA O WILNO (1922—1926)

Na początku roku 1922-go Wilno znajduje się zawsze jeszcze w jakieś pozageograficznej, nierealnej „Litwie Środkowej". Wskutek całego splotu okoliczności, wśród których nienajmniejszą rolę odegrywa sławetna „umowa suwalska", sprawa wileńska pozostaje zadrażniona, trudna do rozstrzygnięcia i przewleka się w sposób nieznośny. Wilno chce należeć do Polski bez zastrzeżeń i na wszelkie sposoby tę swoją wolę ujawnia, ale Warszawa, opanowana przez manję federacyjną, niebardzo się kwapi z przyjęciem wileńskich afektów patrjotycznych i trzyma je w zawieszeniu. A w Europie aż się gotuje od intryg i matactw miedzynarodowych. Wszystko, co wrogie Polsce, żeruje na naszych wahaniach wewnętrznych, na naszej obawie stwarzania faktów dokonanych, chociaż przykłady Tryestu i Kłajpedy dostatecznie świadczą, że jedynie ta metoda jest naprawdę skuteczna. Chwiejność naszej polityki sprzyja powstaniu najdziwaczniejszych pomysłów związku Wilna z Litwą Kowieńską, wśród których wykwita perfidny projekt kantonalny Hymansa. W tych okolicznościach dochodzi wreszcie do zwołania Sejmu Wileńskiego, jako zgromadzenia przedstawicieli ludności Ziemi Wileńskiej i tylko nie możemy zrozumieć, po co mają z nami razem głosować niekwestjonowane obszary województwa Nowogródzkiego. Odczuwamy ciągle, że stolica traktuje nas, jak ciało obce. Wciąż wmawiają w nas jakąś odrębność, wciąż odsuwają nas słowem „wy", gdy my chcemy powrócić do Polski całkowicie, bez żadnych zastrzeżeń, zburzyć wszelkie słupy graniczne między Litwą a Koroną.

Na przełomie roku 1921—1922-go zbiera się Sejm Wileński. Pewne koła, inspirowane z Warszawy, wyłażą ze skóry, by nas skłonić do „sfederowania się" z Polską węzłem luźniejszym, ale zabiegi te są daremne, zakusy kończą się całkowitem niepowodzeniem. Cała polska ludność Wilna od księdza do nauczyciela, od dorożkarza do kuchty, jest za bezwzględną inkorporacją do Polski i uchwała przedstawicieli Ziemi Wileńskiej w dniu 20 lutego 1922-go roku miażdżącą większością tę wolę ludności wyraża i potwierdza. Stanowisko Wilna jest tak niezachwiane i jednomyślne, że Warszawie nie pozostaje nic innego, jak uznać je i uszanować. Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej czyni to w dniu 24-go marca tegoż roku. Nakoniec jesteśmy przyjęci do Polski, choć nas tam niebardzo chcia-

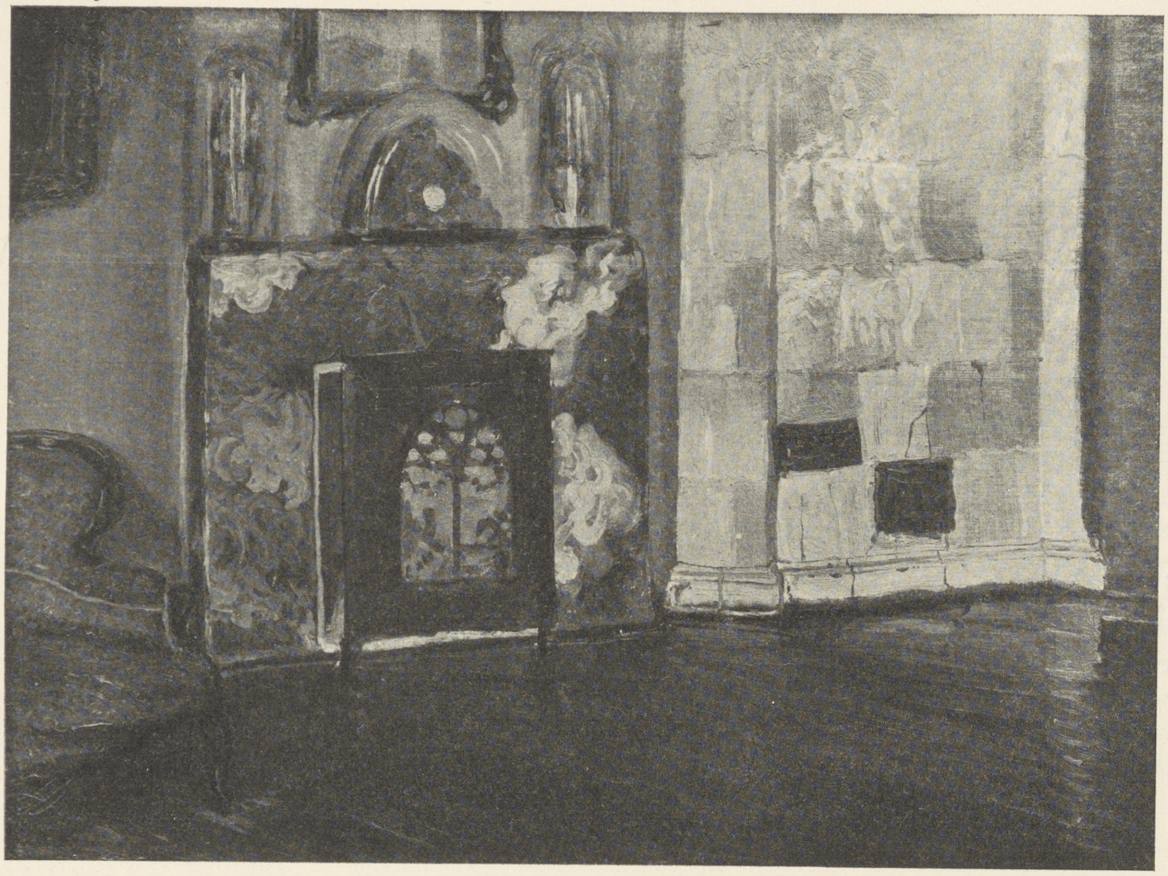


F. RUSZCZYC
PIECZĘĆ SEJMU WILEŃSKIEGO 1922 ROKU

no. Ale i ta uchwała nie usuwa tymczasowości, nie rozstrzyga sprawy definitywnie wobec nacisku wpływów międzynarodowych, którym jesteśmy dziwnie powolni. Sejm Warszawski zapowiada jakiś osobny „Statut Ziemi Wileńskiej", mający być opracowanym w przyszłości, do Wilna zamiast wojewody przyjeżdża „Delegat Rządu", mający sprawować tu władzę jakby zastępczo i jeszcze upłynie dobre kilka lat, zanim te chwiejności zostaną usunięte, zanim nie zainstaluje się u nas zwyczajny wojewoda wileński, a nasze eksterytorjalne „państwo wileńskie" nie przeobrazi się w normalne województwo polskie. (Stało się to 20 stycznia 1926 roku). Przez cały ten czas będzie wrzało w angielsko-żydowskiej Lidze Narodów od knowań i wysiłków, by utrzymać w Polsce stan zamętu i niepewności, będą Wilno najeżdżały rozmaite wysokie, a niepowołane komisje zagraniczne, traktujące nas jak Botokudów, będzie musiała ludność obrzucać zgniłemi jajami różnych nieproszonych kontrolerów w rodzaju rosyjsko-francuskiego pułkownika Chardigny i bronić się rękami i nogami od cudzoziemskich doradców i zbawców. Przez cały ten czas sprawa wileńska nie będzie schodziła z porządku obrad europejskich i, jako niezałatwiona na forum międzynarodowem, będzie wymagała wiele czujności, dyplomacji i zabiegów.

Musiałem naszkicować ówczesne tło polityczne, gdyż tylko w związku z niem staje się zrozumiała i poddaje się należytej ocenie działalność Ruszczyca w ciągu tych lat. Już w poprzednim rozdziale widać było z jego korespondencji, jak go niepokoi i oburza sieć intryg, oplątująca sprawę wileńską. Bacznie śledził ten stan rzeczy i żywo się nim przejmował pomimo, że miał dosyć zajęć i kłopotów z restaurowaniem życia uniwersyteckiego i z wznowieniem innych swych zatrudnień po klęskach 1920-go roku. Ale Ruszczyc miał trafne poczucie perspektywy i gradacji wydarzeń życiowych i zaraz stawał do obrony szańców najbardziej zagrożonych, co mu zresztą nie przeszkadzało mieć na oku całego obwarowania grodu. Więc zabiera się odrazu do energicznego przeciwdziałania i poświęca mu niesłychany zasób energji, starań i umiejętności. Wyłania się z niego wytrawny polityk i dyplomata rzadkiego rodzaju, bo taki, co toruje drogę do urzeczywistnienia swych dążeń nie kłamstwem, lecz prawdą i formuje opinję miarodajną nie bałamuctwem, tylko szczerością i powagą swej postawy. Jak zawsze wybiera drogę prostą i broń szlachetną. Postanawia przekonać obcych, że Wilno i Wileńszczyzna były i są polskie nietylko liczbą, trwaniem i prawem stuleci władania, ale duchem, układem życia, mową, charakterem i przejawami wielowiekowej kultury. Postanawia dowieść im, że w tym kraju istnieje mocne samopoczucie narodowe, nie mogące pomieścić się w ramach żadnej innej państwowości, oprócz polskiej. Gdy przyjeżdżają do Wilna różni cudzoziemscy wysłańcy, dziennikarze, uczeni, mężowie stanu, przemysłowcy, Ruszczyc jest na usługi wszystkich. Informuje, bo włada dobrze językami obcymi, odbywa konferencje, czyni honory domu z dystyngowaną uprzejmością, oprowadza po mieście i pokazuje po swojemu jego zabytki, zdumiewa i zachwyca dowodami wysokiej kultury i odwiecznej polskiej tradycji, zupełnie nieoczekiwanemi dla wykształconych, ale nieuświadomionych cudzoziemców. Używa wszelkich środków, jakich mu dostarcza jego uniwersalność i pomysłowość, spotyka od wczesnego rana na dworcu pociągi z przyjezdnymi dostojnikami, roztacza przed nimi wszystkie zasoby wiedzy i talentu, osobistego czaru i wytwornej prezencji, nie pomija żadnej sposobności do propagandy, jest zawsze pierwszy na stanowisku, nie zna wytchnienia. Prowadzi nowy „kulturkampf" wileński, nietylko uczciwszy, ale i skuteczniejszy od Bismarkowskiego.

I będzie to czynił, nie zaniedbując przytem licznych swych zatrudnień normalnych, przez kilka lat następnych w tempie jeszcze wzmożonem, aż dopóki przynależność Wilna do Polski nie zostanie ugruntowana nieodwołalnie i uznana powszechnie, aż dopóki sprawa wileńska nie zejdzie ze stołów obrad międzynarodowych, a z niemi nie opuści głów perfidnych macherów politycznych. Ujawni on przytem wrącą pasję przy całkowitem opanowaniu zewnętrznem, złoży dowody niesły-



F. RUSZCZYC KOMINEK W SALONIE BOHDANOWSKIM

chanej orjentacji i daru przekonywania w tłomaczeniu obcym istoty Wilna, obok gorliwego prozelityzmu zajaśnieje wykwintem rasowości i kultury. Wydepcze z cudzoziemcami wileńskie drogi i zaułki, kościoły i gmachy, bibljoteki i muzea, pokaże im pomniki, księgi i dokumenty polskiego ducha w Wilnie, zadziwi ich i olśni przedstawieniem dawności tego ducha w wiekach przeszłych i widokiem jego niechybnych szans na przyszłość. Zdobędzie wielką zasługę w sprawie ostatecznego przyłączenia Wilna do Polski, gdyż użyje w tym celu sposobu oczywistego i nieodpartego, a zarazem takiego, jakiego nikt inny nie mógłby posiadać ani użyć: *argumentu swoich niepospolitych walorów osobistych, argumentu osoby własnej, jako najwyższego wzoru tradycji, kultury i ducha polskiego na ziemi wileńskiej*. Przekona, że Wilno Ruszczyca musi być polskie.

Gdy Ruszczyc w tych latach oprowadzał po mieście niezliczone wycieczki i delegacje zagraniczne, zaślepieni wilnianie dworowali pocichu, a czasem i głośniej, z tej jego rzekomej „manji“ i uważali ją za dziwactwo albo nawet za pretensjonalność. Tak to każdy sądzi rzeczy podług własnych zasobów i miarek. A tymczasem był w tem głęboki sens i przenikliwe posunięcie taktyczne. Ruszczyc skuteczniej kształtował opinję zagranicy co do niewyraźnej sprawy wileńskiej, niż dziesiątki krajowych komitetów i dygnitarzy. Rozumiano to zresztą dobrze w wyższych sferach rządowych Warszawy i zasypywano Ruszczyca depeszami i ekspresami z ministerstw, poleceniami i prośbami o zaopiekowanie się, podziękowaniami za już załatwione przyjęcia znakomitych gości cudzoziemskich lub całych zespołów, organizacyj i komisyj.

Dziś o tem już się nie pamięta lub łatwo zapomina. Na szczęście pozostały trwałe ślady przeszłości w archiwum Bohdanowskiem i te są bardzo wymowne. Z tego archiwum, zbyt obszernego, by je można było poznać w ciągu jednego roku, zbadałem dwie paczki, porządnie związane i zaopatrzone w napis: „wycieczki zagraniczne". Jest to poprostu kancelarja ambasadora. Setki listów, kart i biletów wizytowych znakomitych osobistości świata, najpoważniejszych organizacyj Europy i Ameryki, podziękowania, zaproszenia na oficjalne uczty i rauty, rewizyty, zawiadomienia. Wojewodowie wileńscy wciąż uciekają się do pomocy Ruszczyca i bez niego nie przyjmują żadnych odwiedzin politycznych. Ministerstwa różne, a przedewszystkiem Ministerstwo Spraw Zagranicznych wciąż udają się, jak w dym, do Ruszczyca. Żadna międzynarodowa recepcja wileńska nie jest do pomyślenia bez niego, żadna narada o charakterze informacyjnym nie może odbyć się bez jego udziału. A potem — ileż tam podziękowań wysokich władz stołecznych, świadczących o doniosłej roli, odegrywanej przez Ruszczyca i o wadze politycznej jego akcji na gruncie wileńskim. Gdyby opublikować tę korespondencję, dopiero wtedy okazałoby się, kim był Ruszczyc w dyplomacji i polityce odrodzonej Polski. Pokazałoby się, jak słusznie i zasłużenie otrzymał Ruszczyc wysoki order od Rządu Polskiego, udzielony nie za całokształt prac artystycznych i społecznych, lecz — specjalnie — za zasługi w sprawie połączenia Wilna z Polską, jak głosi wyraźnie dyplom Prezydenta*).

Dopiero teraz, po śmierci Ruszczyca, wyszło na jaw — dowiaduję sie o tem od pani Giny, — że proponowano jemu trzykrotnie godność Ministra Sztuki i Kultury i że dopiero po jego kategorycznej odmowie, stanowisko to zostało powierzone komu innemu. Ale Ruszczyc odmawiał stale — wolał swoje Wilno, zaszczytów nie pragnął, a nie wierzył w możność pracy trwałej i nieskrępowanej na tym wysokim urzędzie. I rzeczywiście miał ten urząd tylko jednego ministra i został zlikwidowa-

*) Dla dowodu i na wieczną rzeczy pamiątkę przytaczam tu statystykę służby dyplomatycznej Ruszczyca, zaczerpniętą z dwóch zbadanych pakietów.

Rok 1921—23. *Trzy wizyty zagraniczne.* Delegacja Uniwersytetu w Helsinki. Wycieczka dziennikarzy angielskich z Londynu. P. Atilio Begey z Italji.

Rok 1922. *Dwie wizyty.* Międzynarodowa Komisja Sanitarna. Wycieczka dziennikarzy szwajcarskich.

Rok 1924. *Cztery wizyty.* Pułk. Lazar, szef sztabu generalnego w Rumunji. Wycieczka węgierska. Wycieczka szefów wydziałów prasowych Łotwy i Estonji. Wycieczka lotników francuskich.

Rok 1925. *Dwanaście wizyt.* Delegacja przemysłu, kupiectwa i prasy ze Szwecji i Holandji. Wycieczka parlamentarzystów francuskich. Związek studentów węgierskich. Wycieczka parlamentarzystów estońskich. Stowarzyszenie jugosłowiańskie „Obilic". Wycieczka kolejarzy rumuńskich. Profesor Simpson z Edynburga. Wycieczka parlamentarzystów angielskich z Londynu. Profesor Caldwell z Montrealu w Kanadzie. Profesor Mac Callum Scott z Londynu. Profesor Machray Robert z Londynu. Komandor Leurque z Brukseli. Wycieczka estońska.

Rok 1926. *Cztery wizyty.* Paul Boncour, deputowany i minister, delegat Ligi Narodów, znany przyjaciel Polski. Wycieczka lekarzy czechosłowackich. Wycieczka attachés wojskowych dziesięciu państ europejskich.

Rok 1927. *Trzy wizyty.* Les Amis de la Pologne. Wycieczka prawników rumuńskich. Wycieczka rolników fińskich.

Rok 1928. *Jedna wizyta.* Baron Engelhardt z Monachjum.

Rok 1929. *Jedenaście wizyt.* Parlamentarzyści francuscy (28 osób). Wycieczka Ligi Narodów. — Sekcja hiszpańska. Dr. Teodor Rittler, profesor prawa w Innsbrucku. Wycieczka dziennikarzy estońskich. Wycieczka dziennikarzy z południowych Niemiec. Wycieczka finansistów szwajcarskich. Wycieczka dziennikarzy rumuńskich, włoskich, jugosłowiańskich, estońskich i znowu rumuńskich.

Czyni to razem 44 przyjęć i pokazów Wilna, załatwionych przez Ruszczyca w ciągu tych kilku lat, a przytem nie wiemy, czy nie było ich znacznie więcej, gdyż sam słyszałem o takich, których w aktach nie znajduję. Jeśli wziąść pod uwagę, że w niektórych latach było po kilkanaście takich wycieczek, trwających nieraz przez parę dni, że następowały one po sobie jedna za drugą, w krótkim okresie letnim, że nieraz Ruszczyc musiał latem porzucać Bohdanów i spieszyć na przyjęcie „gości" zagranicznych, to widać, jaki ogrom trudu i czasu musiał on włożyć w obsługę takiej „wędrówki narodów". A te wędrówki nie były przecież prywatno-turystyczne. Każda zgłaszała się do władz polskich w Warszawie i była stamtąd urzędowo polecana Ruszczycowi, nieraz ze szczególnym naciskiem.

ny, jak wiele innych rzeczy, dotyczących kultury. Warszawa miała jakieś dziwne upodobanie —niszczyć w czasach późniejszych różne lepsze pomysły kulturalne początkowe.

W roku 1923-cim rząd polski ocenił doniosłą działalność Ruszczyca i nadał mu order „Odrodzenia Polski", podkreślając w dyplomie, że go udziela za jego „zasługi około przyłączenia Wilna i Ziemi Wileńskiej do Polski". A w następstwie, na schyłku życia, dwa otrzymane przez Ruszczyca odznaczenia, hiszpańskie i portugalskie, były niewątpliwie również wynikiem jego działalności dyplomatycznej i stosunków, zawiązanych z jej powodu z zagranicą.

W kampanji ówczesnej Ruszczyca każdy z nas na Wydziale brał udział wedle możności. Za jego inicjatywą Ministerstwo Spraw Zagranicznych postanowiło dla propagandy polskości Wilna ofiarować członkom Ligi Narodów albumy wileńskie z memi fotografjami. Juljusz Kłos napisał do tych obrazków obszerną przedmowę i objaśnienia pod tytułem „Polskie Wilno", co zostało przetłumaczone na języki obce, wytwornie wydrukowane i dodane do każdego albumu. W ten sposób Wilno mówiło do cudzoziemców o swoich walorach polskich i dawało im do ręki dokument, przekonywający lepiej, niż wywody prawnicze. Wogóle Kłos był nieocenionym towarzyszem i prawą ręką Ruszczyca w pracy uniwersyteckiej i zajmował wybitne miejsce w naszem przyjacielskiem gronie. Miał gruntowną wiedzę i subtelne poczucie architektury i niebawem napisał przewodnik po Wilnie, przewyższający swym poziomem wszystkie poprzednie. Przewodnik ten odegrał również niemałą rolę



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. MŁYN W BOHDANOWIE

w akcji Ruszczycowskiej o Wilno, gdyż uwzględniał przedewszystkiem charakter jego kultury i zabytków, jego dziejów i sztuki. W tej książce *„kamienie wołały o polskość Wilna“*.

Pisanie przewodnika nie obeszło się bez zabawnych epizodów towarzyszących. Kłos był zdolny i pracowity, ale skończony neurastenik. Miał miękkie serce i nie potrafił uchylać się od pokus męskiej kompanji przy kieliszku lub damskiej przy flircie, choćby miał najpilniejszą robotę. Był przytem wiecznie niewyspany, bo pracował długo nocami, odrabiając dzienne zaległości i mitręgi, a na posiedzenia, gdzie nań czekano, umiał spóźniać się całemi godzinami. Mawiał też z humorem, że urodził się o parę godzin zapóźno i odtąd przez całe życie bezskutecznie usiłuje nadrobić to spóźnienie. Więc machał ręką z desperacką rezygnacją na te swoje mankamenty, z których był powszechnie znany, ale one nie przeszkadzały temu, że był człowiekiem wielkiej pracowitości i oddania naszym wspólnym sprawom. Czy to chodziło o Wydział, gdzie Kłos sprawował prodziekaństwo, a później i dziekaństwo, czy o zabytki i budownictwo wileńskie, czy też o jakieśkolwiek z mnogich zainteresowań artystycznych i posunięć taktycznych Ruszczyca, zawsze Kłos sekundował mu wiernie (choć z pozornem opryskliwem wzdraganiem), zawsze mu pomagał umiejętnie i skutecznie, z ogromnym nakładem pracy i całkowitem poświęceniem (klnąc przytem niemiłosiernie i nie zostawiając poczciwej nitki na sobie i na całym świecie). Nie było rzeczy, którejby nie wydrwił swym ostrym językiem, ale nie było też takiej, dla którejby nie ofiarował całego siebie, jeśli tego wymagał mistyczny krąg, złożony z Uniwersytetu, Ruszczyca i Wilna. Miał wiele dobroci, umysł wyszkolony i wybitnie krytyczny, wiedzę rozległą, głębokie wyczucie artystyczne, a pewne nieskoordynowane właściwości charakteru okupywał wysokiemi zaletami serca i umysłu, więc był ceniony i lubiany na Wydziale przez Ruszczyca i przez nasze ściślejsze kółko.

Nikt bardziej od Kłosa nie mógł być predestynowany do napisania pierwszego przewodnika po Wilnie, rozumowanego i syntetycznego, i dlatego też stworzył on dzieło oryginalne, głęboko wkraczające w istotę dziejową i psychologiczną zabytków wileńskich, stworzył przewodnik po duszach ludzi i zwierciadło wspaniałości kultury polskiej w Wilnie. Jeśli dodać do tego prace Kłosa o architekturze ogólnej, a zwłaszcza polskiej z obszernem uwzględnieniem budownictwa drewnianego, cykliczne jego prelekcje na te tematy, niezliczone odczyty na miejscu i objazdowe po wszystkich miastach kraju i jego najgłuchszych zakątkach, fachowe kierownictwo przy inwentaryzacji zabytków i ich opisach, dokonywanych przez studentów-architektów, — wtedy dopiero pokaże się, jak poważną pomoc i podporę zdobył sobie był Ruszczyc i jakiego wartościowego człowieka pozyskał był dla Uniwersytetu i dla Wilna. Zasługi wileńskie Kłosa są bardzo znaczne i bardzo niedocenione pomimo, że doskonały jego przewodnik po Wilnie doczekał się już trzeciego wydania i jest stale rozchwytywany. Przez wiele lat, bo aż do choroby Ruszczyca i do zgonu Kłosa, co nastąpiło w niedalekich od siebie odstępach, ci dwaj ludzie byli w równej mierze przewodnikami po duszach ludzi dawnego Wilna. Ukazywali szacowność tradycyj wileńskiej stolicy, budzili podziw i cześć dla jej splendorów we wszystkich, którzy poznawali Wilno z ich ręki. Mało które miasto może poszczycić się takimi „przewodnikami“.

Więc żeby powrócić do tragikomedji ciężkiego porodu Kłosowego przewodnika, trzeba nadmienić, że zamówiło go Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w osobie ówczesnego przewodniczącego Oddziału wileńskiego, prof. Kazimierza Sławińskiego. Rzecz była pilna i związana z różnemi nieprzekraczalnemi terminami, a niedotrzymanie terminu groziło poważnemi następstwami. Kłos oczywiście podjął się pisania ze zwykłem wzdraganiem się, podszytem rzetelną ochotą do rzeczy sobie bliskiej, zobowiązał się co do terminu dość zresztą odległego i naturalnie nic na porę nie zrobił tak z powodu zapracowania, jak i dla swoich nieuniknionych dystrakcyj. Sławiński, naciskany z Warszawy, deptał Kłosowi po piętach bez miłosierdzia i doprowadził go do stanu desperackiego, panicznego strachu przed swoją osobą. Kłos uciekał od Sławińskiego, jak od zapowietrzonego. Krył się przed nim



F. RUSZCZYC

SZKIC DO „MŁYNA ZIMĄ“
ESQUISSE POUR LE „MOULIN EN HIVER“



F. RUSZCZYC MŁYN W BOHDANOWIE

po wszystkich kątach wileńskich, przemyśliwał o zmianie mieszkania, przybiegał do mnie na ratunek, próbował chować się u mnie przed prześladowczem widmem siwobrodego profesora i przed rewolwerem (pewnie nienabitym), którym ten miał mu rzekomo grozić, słowem — wyszukiwał najdziwaczniejsze wyjścia z tego trudnego położenia, a nie mógł długi czas wpaść na najprostsze: — wziąść się w kluby, odłożyć inne prace, a szczególniej rozrywki towarzyskie, zamknąć się na klucz w swoim gabinecie u Bernardynów, gdzie co wieczór odchodziły całe rauty, i raz wreszcie przenieść na papier to, co miał już oddawna w głowie. Upłynęło parę miesięcy rozpaczliwych szamotań, w których Sławiński był myśliwym, a Kłos — tropioną zwierzyną, aż wreszcie, po długich i ciężkich cierpieniach, przewodnik ujrzał światło dzienne i zachwycił wszystkich swoją treścią, a kochany Julek z rozwianym włosem i okularami na nosie uśmiechał się radośnie, jak uwolniona z ciężaru położnica i dzielił się z nami swojem szczęściem, że męki porodowe już się skończyły i że nikt już więcej nie będzie go zachęcał tak doraźnie do opisywania piekna zabytków wileńskich.

Rozumie się samo przez się, że Ruszczyc nie wypuściłby takiej ważnej i cennej książki bez przyczynienia się do jej wyglądu i okładka jego pomysłu przedstawiała królewskie gronostajowe tło, a na

niem w purpurowem polu ukoronowany i ukwiecony medaljon ze świętym Krzysztofem we środku. A wewnątrz książki ilustracje były prawie wszystkie moje. Nie trzeba było nawet prosić Ruszczyca o tę okładkę, sam się z nią ofiarował, choć z czasem było mu zawsze krótko i każda taka praca kosztowała go wiele. Można wogóle powiedzieć bez obawy, że po wojnie, w okresie uniwersyteckim, Ruszczyc nie wykonał ani jednej ze swych licznych prac rysunkowych we dnie, gdyż dzień był potrzebny na inne sprawy i zajęty do ostatniego kwadransa. Rysowanie odbywać się musiało w nocy, albo całkiem z rana i domowi wstając, znajdowali Ruszczyca już gotowego do wyjścia, bo nie kładł się wcale. A kiedyindziej budzono go nierozebranego po krótkiej parogodzinnej drzemce nad deską rysunkową, na której leżała już skończona robota. Wielu zgłaszających się do niego po jakiś rysunek, mawiało naiwnie: „co to dla pana znaczy, wszak to jedna chwila — i rysunek gotowy". Pewnie — trudno, by laicy mogli zrozumieć, że Ruszczyc w ten sposób oddawał im małemi cząsteczkami swoje zdrowie i życie, całego siebie. Nic nie zostawił dla siebie, wszystko, co miał, oddał swoim wilnianom...

Niepojęta była jego energja, wytrzymałość i umiejętność wyzyskiwania czasu. Wiemy, ile miał na głowie oprócz zatrudnień uniwersyteckich, a przecież była jeszcze absorbująca walka o Wilno w okresie sejmu wileńskiego i w ciągu kilku lat następnych. Ta zaś wymagała nieustannej czujności i działalności wytężonej. Prócz doraźnej akcji uświadamiającej na gruncie, jaką opisałem, były



F. RUSZCZYC MOTYW Z OGRODU W BOHDANOWIE



F. RUSZCZYC — OKŁADKA DO PRZEWODNIKA PO WILNIE PROF. J. KŁOSA
COUVERTURE DU LIVRE „WILNO“, DE M. J. KŁOS

jeszcze potrzebne odczyty. W lutym i marcu 1922 roku, w miesiącach uchwał sejmowych wileńskiej i warszawskiej, dotyczących Wilna, Ruszczyc wygłosił cztery duże przemówienia z przeźroczami o Wilnie i podał do pism dwa artykuły podobnej treści, których nie przytaczam, by się zanadto nie rozszerzać, bo zresztą są one wszystkie w jego tyle już razy wspomnianej książce. Zwrócę tylko uwagę na te odczyty, gdzie zarysowuje się nowa cecha charakteru Ruszczyca, spotęgowana w nim i wysubtelniona w tych latach, — dyplomatyczność, stawianie siebie w położeniu strony drugiej, umiejętność patrzenia na rzecz *od zewnątrz*. Gdy przemawia do fińskiej Misji Wojskowej, która zjechała do Wilna w roku 1922-gim, maluje obraz wysiłków narodów wyzwalających się z niewoli po upadku wspólnego wroga — Rosji i podkreśla wspólność interesów politycznych Finlandji i Polski. W roku następnym witać ma wycieczkę bułgarską. Przy całkowitem braku cech wspólnych między Polską a mieszańcami turańsko-mongolskimi zdawałoby się niemożliwem znalezienie jakiegoś punktu zaczepienia. Ale on znajduje go bez trudu, chwyta właściwy ton zainteresowania, trafia do uczucia, związuje obydwie strony jednotą mowy słowiańskiej i wychodzi z tego zagadnienia tryumfatorem w przemówieniu szczerem, rycerskiem i wytwornem.

Rok 1922-gi i następne — to okres najbujniejszy życia naszego Wydziału pod względem artystycznym i koleżeńskim. Grono nasze jest zwarte, przyjacielskie, pracowite i wesołe. Opowiadałem już to i owo uprzednio, więc tu dodam tylko parę szczegółów. Ruszczyc dobierał ludzi bardzo starannie podług własnego klucza artystycznego i pozyskanie odpowiednich było jego ustawiczną troską. Bardzo się cieszył, gdy zdobył Jerzego Remera, który po przyjeździe odrazu zamieszkał u mnie, więc zbliżenie nastąpiło szybko. Remer był historykiem sztuki i konserwatorem, a z temi kwalifikacjami łączył niepoślednie zdolności literackie, których złożył piękny dowód, pisząc pierwsze studjum o Ruszczycu w latach późniejszych. Ruszczyc cenił wysoko jego przejęcie się sprawami Wilna i tę jego podwójną rolę wykładowcy na naszym Wydziale i konserwatora w Województwie, co czyniło, że był łącznikiem między obydwoma ciałami. Kiedyś, będąc na górze Zamkowej i pokazując Remerowi miasto w opalowej perspektywie jesiennego osłonecznienia, Ruszczyc rzekł mu żartobliwie „Oddaję ci Wilno". A Remer podniósł rękawicę żartu, ale przytem odrzekł z powagą: „Przyjmuję", bo już był intuicyjnie przeznał atmosferę wileńską i stosunki w naszem gronie i czuł się usposobionym do przyjęcia naszych „święceń". Odrazu zachował się ze zrozumieniem i z poczuciem odpowiedzialności, zyskał wkrótce zaufanie Ruszczyca i przez wszystkie lata pobytu swego w Wilnie nie zawiódł nigdy tego zaufania, kładąc dużo trudu i serca w konserwację zabytków, a zwłaszcza w odnowienie kaplicy Ostrobramskiej i kościoła św. Teresy. Z jego to inicjatywy została podjęta konserwacja Cudownego Obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, przeprowadzona przy stałym, gorliwym jego udziale organizatorskim i historyczno-badawczym. Konserwacja zakończyła się podniosłą uroczystością Koronacji Obrazu, już przywróconego po wiekowem zaniedbaniu do dawnej nieskazitelnej postaci. Uroczystość ta, rozpoczęta przed Bazyliką, a uwieńczona pochodem do Ostrej Bramy, rozkołysała całe miasto, a dla naszego Wydziału była szczególnie drogiem i bliskiem wydarzeniem, bo cała wyszła z naszego środowiska: inscenizował ją Ruszczyc, dekoracje architektoniczne przed Bazyliką wykonał Kłos, pieczę nad Obrazem miał Remer, a fotografowanie Oblicza Matki Boskiej w kolejnych przemianach konserwacji było powierzone mnie. I tak każdy złożył Jej hołd ze swej pracy pod przewodnictwem Ruszczyca, ale urzeczywistnienie odnowienia wiele zawdzięczało energji i wiedzy Remera. Przybyło nam jedno mocne i piękne przeżycie wspólne, które zacieśniło nasze przyjacielskie węzły i utworzyło jeszcze jedną kartę w kronice Ruszczycowskiego Wilna. W tej kronice w ciągu lat sześciu rola Remera była poważna i godna szacunku i uznania, a nasza czwórka w tych próbach i pracach wileńskich nabierała chwilami prawdziwie filareckiego zabarwienia i czuła się naprawdę szczęśliwą. Piękne to były i niezapomniane czasy. Remer napisał entuzjastyczne stu-

dja o Ruszczycu i o Wilnie, a potem już w Warszawie nową obszerną pracę o Wilnie i jego architekturze, stanowiącą udatną próbę syntetycznego ujęcia miasta pod względem historycznym, kulturalnym i artystycznym.

Współżycie naszego zespołu na Wydziale idzie w parze ze zbliżeniem między nami a studentami. Z biegiem czasu i pracy następuje zżycie się coraz ściślejsze. Przoduje zawsze Ruszczyc, którego uwagi nie uchodzi żadna wybitniejsza osobowość wśród młodzieży, żaden przejaw uzdolnień lub charakteru, żadna sposobność do budzenia i kształtowania młodych dusz. Ruszczyc pojmuje swoją misję nauczycielską bardzo szeroko, jego „nauczanie piękna" przekracza niebawem ramy programów akademickich i objawia się w festynach, widowiskach i wszelakich imprezach sceniczno-dekoracyjnych, gdzie twórczemu rozmachowi Mistrza sekunduje współpraca wykonawcza uczniów. Z okazji balów akademickich, obchodów Bratniej Pomocy i innych pretekstów są urządzane przeróżne „wieczory wileńskie", z czynnym udziałem studentów jako malarzy, dekoratorów, aktorów i autorów tekstów. Szczególnie pięknie i współtwórczo wypadają w dniu 11 lutego 1922-go roku „Igrzyska na Zamku Dolnym", przenoszące akcję do czasów Zygmunta Augusta i Barbary. Znika przedział między widownią a sceną, wszystkich obecnych ponosi i rozgrzewa retrospekcja dawnej wspaniałości wileńskiej stolicy, a Ruszczyc zażywa słodkiego i dumnego zadowolenia na widok swoich studentów, którzy za jego przykładem uczą się krzesać iskry piękna i rozniecać ogniska jego umiłowań. Chyba tylko średniowieczni mistrzowie kunsztów artystycznych we Włoszech przeżywali ze swymi uczniami chwile tak radosnego zjednoczenia duchowego, jak ten „profesor" i „dziekan" w mieście Wilnie w XX-tym wieku.



F. RUSZCZYC — STODOŁY W BOHDANOWIE

Lata 1923—24 przyniosły powiększenie grona profesorskiego na Wydziale naszym, paru nowo przybyłych wykładowców zżyło się z nami rychło i praca nasza szła trybem równym i ochoczym. Wówczas to, w czasie naszych wesołych zebrań zaczęło się rysowanie karykatur i układanie do nich wierszowanych tekstów, co dało pochop do założenia księgi pamiątkowej Wydziału, która wkrótce zapełniła się treścią słowną, rysowniczą i fotograficzną o jednolitym nastroju i pewnym poziomie artystycznym. Znalazły w niej odbicie nasze wczasy, uśmiechy, sympatje a przedewszystkiem nasz kult dla Ferdynanda, choć maskowany żartobliwością. Księga została dedykowana jemu i myślę, że nikt z zainteresowanych nie potrafiłby dzisiaj przeglądać jej obojętnie. Odnalazłby w niej wiele chwil cennych, przebytych w przyjaznej spójni licznej gromady; wiele podniosłych nastrojów, miłych wieczorów i biesiad koleżeńskich, w których brały udział i nasze panie, żony profesorów, pani Gina Ruszczycowa i pani Marja Kłosowa z córką „Ninką", zwaną u nas „źdźbełkiem", jako że była cząsteczką „Kłosa". Przychodził nieraz na te zebrania i Józio Wierzyński, towarzysz lat dziecinnych Ruszczyca ze swoją żoną, śliczną, dowcipną i pełną wdzięku panią Relą i ci lub owi z naszych bliższych znajomych. Kłos wykopał był sobie w Grodnie setnego chłopa, malarza Marjana Słoneckiego, tkwiącego w garnizonie grodzieńskim i ściągnął go do Wilna na asystenta po przejściu jego do cywila. To serdeczne malarzysko lwowskie było mimo młodego wieku łyse jak kolano, miało pyszny humor i dźwięczny baryton, więc stało się niebawem benjaminkiem naszej familji wydziałowej. Słoneckiemu zawdzięczamy moc melodyjnych i dowcipnych piosenek na tematy aktualne, komponowanych przez niego doraźnie w wierszu i śpiewie, co wprowadzało nową jeszcze nutę do naszego zespołu. Wkrótce, ze względu na zwiększającą się paczkę, zaniechaliśmy chodzenia do restauracji i woleliśmy zbierać się w mieszkaniach prywatnych, u Ruszczyca, Kłosa i u mnie na Jagiellońskiej. Kłos zajmował mieszkanie przedwojenne Ruszczyca na Zarzeczu pod numerem 24-tym, co nas jeszcze bardziej zachęcało do składania mu wizyt. Były one gwarne i rojne i Słonecki miał sposobność stwierdzić kiedyś śpiewanemi rymami, że na imieniny Ferdynanda zebrała się „cała wydziałowa banda" i umiał zręcznie przypiąć łatkę każdemu „bandycie" — co wszystko zostało zachowane w „Księdze pamiątkowej". Zaczęto się interesować nami na mieście i niejeden znajomy, a zwłaszcza — znajoma pocichu wzdychali do przywileju trafienia do naszego koła, co niektórym było przyznawane, ale nieczęsto i tylko w drodze łaskawego wyjątku. Nasza „banda" ówczesna była tak miła, zajmująca i zgrana, jej zebrania obfitowały w tyle wesołych i dobrych wspomnień, że obawiam się zejść na manowce w mem opowiadaniu i muszę skrócić ten temat. Więc powiem tylko jeszcze, że prawie żadne takie zebranie nie obeszło się bez Ruszczyca, bo gdyby go zabrakło, byłby prysł urok całego wieczoru. Ruszczyc siłą rzeczy stanowił punkt centralny towarzystwa i wszystko skupiało się wokoło niego. A jeżeli kiedyindziej milczał i przysłuchiwał się rozmowom innych, to i wtedy samą obecnością oddziaływał niepostrzeżenie. Trzeba było, żeby Ruszczyc był z nami. Czuliśmy podświadomie, że jest coś, co z niego emanuje i w nas wchodzi, jakaś jego nadzwyczajna siła witalna, która nas wzbogaca i jednoczy w żywy zbiorowy organizm. *Bez Ruszczyca był każdy tylko jednostką, z nim—byliśmy całością zwartą i mocną.* Takie przynajmniej było moje odczuwanie, a jestem przekonany, że było ono nieraz podzielane przez innych. Nie są to rzeczy, któreby można było analizować i udowadniać — można je tylko czuć. Na tem jednak zatrzymam się bez wyczerpania tematu, bo mówię bez przesady, że możnaby napisać całą księgę z naszego ówczesnego życia, pracy na wydziale i z naszych przyjacielskich zebrań. Tam, na drożdżach zabawy, żartu i improwizacji fermentowało i rodziło się to wszystko, co nam potem przyświecało przez długie czasy i czyniło pracę łatwiejszą i milszą.

Oto jedno z ech naszych zebrań wydziałowych, wiersz przelotnego gościa, Witolda Hulewicza, przysłany Ruszczycowi z Warszawy 15 marca 1924 roku:

Wyjeżdżając, każdy lubi
wpisać się do księgi jubi-
leuszowej. A więc i ja—
chociaż muza dziś nie sprzyja,
piszę, wielką czując tremę,
chcąc dziękować za tę Reme-
rową dobroć, pod niebiosy
chcąc wysławiać wasze Kłosy,
i te — (rety!) — Retingery
i te mury prawie Jery-
chońskie i tę twierdzę ducha,
i te foto-szczyty Bułha-
kowskie nakształt poematu,
i rysunki pana Matu-
siaka i te jasne Blanki,
i te skarpy i krużganki,
i tę ziemię, co jest polska,
dokąd mię zawiodła Solska,
gdzie przylgnąłem tak odrazu,
i rozmowny wielce Bałzu-
kiewicz. Słowem — prędzej skonasz,
a nie zliczysz, — no i Pronasz-
kowie dwoje i pan Soko-
łowski — i to Źdźbło, co wpada w oko...
I wreszcie krótko mój zachwyt uchwycę:
Takiem braterstwem ja się — Ru — szczycę!

Trzymając się jako tako chronologicznego następstwa zdarzeń wspomnę, że w roku 1923-cim dał Ruszczyc okładkę swego pomysłu do książki prof. Ludwika Janowskiego p. t. „W promieniach Wilna i Krzemieńca". Idea Jagiellońska łączenia dzielnic węzłami serc miała w nim gorliwego wyznawcę i gdy miała powstać książka, mówiąca o pobratymstwie „promienistem" tych dwuch dalekich od siebie miast, nie trzeba było zachęcać Ruszczyca do udziału w pracy — zwłaszcza, że chodziło o złożenie pośmiertnego hołdu człowiekowi tak wyjątkowo zasłużonemu, jak prof. Janowski, i dla naszego uniwersytetu i dla sprawy oświaty na Litwie i Rusi.

W tymże roku rysuje Ruszczyc okładkę do książki pod tytułem „Sokolstwu Polskiemu — Gniazdo Wileńskie" i obchodzi na swoim wydziale radosną uroczystość otwarcia „Sali Architektury". O tej powiedzieć muszę nieco obszerniej. Dział architektury był stałą troską i ambicją Ruszczyca, który dobrze rozumiał, że dla praktycznego odziaływania sztuki na kraj, zrujnowany wojną, nie wystarcza kształcenie pojedyńczych artystów i szkolenie nauczycieli rysunku, lecz trzeba, by ta sztuka uczyła ludzi odbudowywać domy, świątynie i miejsca pracy. Nie bez trudności udało mu się przeprowadzić u władz centralnych ustawowe rozszerzenie działalności Wydziału i zyskać stałe katedry architektury, obsadzone przez Kłosa i Sokołowskiego, oraz przez parę sił pomocniczych. Gdy to się stało, trzeba było rozeprzeć się szerzej w mało urządzonym gmachu Bernardyńskim i dzięki wyjednanym kredytom odnowić i zaopatrzyć odpowiednio większą salę, by wydostać się z dotychczasowej ciasnoty, przy której prymitywna kreślarnia mieściła się poprostu na koryta-

rzu. Do architektury młodzież garnęła się chętnie i licznie, rozumiejąc jej doniosłość praktyczną i bezpośredniość życiowego zastosowania. Dział ten rokował świetny rozwój i podniesienie ogólnej wziętości i zasięgu Wydziału Sztuki. Warszawa patrzała niechętnie na nasze usiłowania i nie kwapiła się z pomocą. Więcej spotykał Ruszczyc z tamtej strony przeszkód, niż poparcia, ale jednakże w końcu postawił na swojem. Mało kto wie, ile go to kosztowało pracy, narad, planowań, sprawozdań i urzędowej pisaniny w stylu świętego Biurokracego, w czem mu dzielnie pomagał Kłos, niezmordowany w pracy organizacyjnej i mistrz od redagowania bibuły kancelaryjnej. Parę lat życia włożył Ruszczyc ze swoim sztabem przybocznym w zmontowanie nauki budownictwa i w końcu, po osiągnięciu celu, zapragnął je uświetnić uroczystem otwarciem nowoodnowionej sali. Otwarcie odbyło się z wielką pompą, w obecności całego miasta w dniu 28 stycznia 1923-go roku i przemówienie Ruszczyca („Liść wawrzynu", rozdział 20) świadczyło o jego wielkiej radości z tej zdobyczy.

Zresztą nietylko z architekturą miał Ruszczyc kłopoty i przeciwności do zwalczania. Dotyczyły one całego Wydziału Sztuki, przeciwko któremu powstawały w Warszawie jakieś głuche prądy, zmierzające do usunięcia tego Wydziału z Uniwersytetu Stefana Batorego. Co pewien czas przychodziły z Warszawy pogłoski o zagrożeniu Wydziału naszego i można sobie wyobrazić, jak te fermenty dręczyły Ruszczyca i jak go raniły w najboleśniejsze miejsce. Godziły przecież w najdroższe dzieło jego życia, w to jedyne, czego dla siebie pragnął od wyzwolonej ojczyzny w nagrodę za tyle zasług — prawa do dalszego pracowania na swojej wymarzonej i wywalczonej placówce naukowej i artystycznej. Odebranie jej Ruszczycowi byłoby równoznaczne z moralnym wyrokiem śmierci i z tego zdawano sobie sprawę nawet w Warszawie, gdzie tak mało troszczono się o Wilno i tak mało rozumiano jego potrzeby. Ale zakusy wciąż się ponawiały i tworzyły błędne koło niepewności, gróźb, uspokojeń i nowych popłochów, nigdy nie kończących się. Nie wiem, czy w ciągu swego trzynastolecia profesorskiego miał Ruszczyc chociaż parę lat całkiem spokojnych i wolnych od takich zgrzytów, przynajmniej jego archiwum zawiera sążniste teki, pełne papierów i dokumentów, zatytułowane „Obrona Wydziału Sztuki". Była to ustawiczna walka szlachetnego Donkiszota, zapatrzonego w swoje ideały, z bezdusznie złośliwemi wiatrakami, a automatyzm i zdrewniałość tych wiatraków byłyby jednak w końcu zmogły marzycielskiego rycerza, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że Wydziałowi użyczał stałego, acz nieoficjalnego poparcia i opieki Marszałek Piłsudski. Był on od pierwszych dni listopadowych 1919-go roku gorącym przyjacielem Wydziału Sztuki, cenił Ruszczyca, jako jego twórcę i jako wybitnego artystę, rozumiał głęboki związek, zachodzący między człowiekiem i jego dziełem, między artystą i sztuką, miał dla bezbronności piękna sentyment mocnego człowieka czynu. Wreszcie wystąpił Marszałek jawnie i w liście do rektora U. S. B. z dnia 11 marca 1924-go roku, przesyłając na ręce Uniwersytetu swoje pobory, napisał te znamienne słowa : „...obok tego gdyby jakaś część, chociażby niewielka, była dana na najniepraktyczniejszy, lecz



F. RUSZCZYC
PIECZĘĆ UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO



F. RUSZCZYC WYDZIAŁ SZTUK PIĘKNYCH (MURY BERNARDYŃSKIE). (1927).

tem bardziej drogi mi Wydział Sztuki, byłbym rad. Dumny zawsze jestem, że Wilno ma taki wydział, jakiego niema gdzieindziej, a tak się boję, że zimne podmuchy poziomego głupiego rozumku zdmuchnąć mogą i ten ledwo tlejący płomyk piękna w życiu, że chciałbym choć trochę protestu z mojej strony złożyć...“ Wskutek tak wyraźnego oświadczenia Marszałka Piłsudskiego liczono się z Ruszczycem i wysiłki, ponawiane w celu skasowania Wydziału Sztuki, kończyły się na niczem. Ale ile przy tem namęczył się i nacierpiał Ruszczyc, to już tylko Bogu jednemu wiadomo. Są to sprawy zakulisowe, które mało przenikały do wiadomości ogółu, więc należało o nich tu wspomnieć, żeby wiedziano, że Ruszczyc był nie tylko karmiony chlebem uznania i odznaczeń, ale także pojony żółcią zawiści i szkodnictwa. Nie można oczywiście uogólniać tego powiedzenia i należy odróżniać czynniki życzliwe od nieprzyjaznych, ale zdawałoby się, że taki człowiek, jak Ruszczyc, nie powinien był mieć nikogo przeciwko sobie, bo nigdy nie dbał o siebie i nie zabiegał o nic dla własnej korzyści lub chwały. Przyziemna złość powinna była stępić żądło choćby o kryształ jego duszy i o złoto jego serca. A warowała tylko z powodu możnego Protektora, na którego Ruszczycowska oaza wileńskiego piękna wywierała jakieś magiczne przyciąganie, i w którym budziła serdeczną sympatję, tak cichą i rzewną, jaką budzi widok bezbronnego kwiatu. Jednego Przyjaciela miała praca Ruszczycowska, ale za to niezawodnego. Była jakaś wzajemność uczuciowa między tymi synami jednej ziemi, wiernymi całe życie swemu „miłemu miastu“.

Troszcząc się nieustannie o Wydział Sztuki, Ruszczyc nie spuszczał z oka ogólnych spraw uniwersyteckich, i każdą sprawę, jaką wziął do serca, umiał doprowadzić do realizacji z miłosnem wykończeniem wszystkich szczegółów. A jednocześnie zabiegał o solidne podstawy nauczania sztuki,

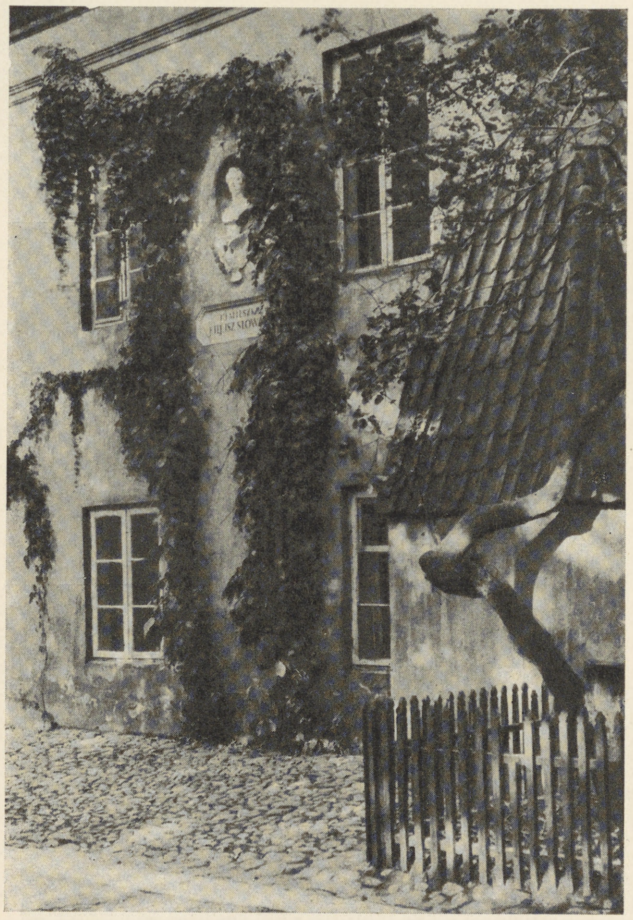
o mocne podwaliny kultury estetycznej i wiele wysiłków włożył w gromadzenie zbiorów muzealnych swego wydziału. Nabywał gdzie się dało obrazy, książki, dzieła graficzne, rękopisy, wszystko co dotyczyło przeszłości Wilna. Doprowadził między innemi do pożądanego końca pertraktacje o nabycie wartościowych kolekcyj Antoniego Szutinasa i Lucjana Uziębły oraz bezcennych kamieni litograficznych Albumu Wilczyńskiego, należących do pani Sorokowej i znajdujących się w Paryżu. Kamienie te w liczbie kilkuset zostały przywiezione przez prof. Morelowskiego do Wilna już po śmierci Ruszczyca i obecnie dają możność ponownego odbicia plansz słynnego „Albumu Wileńskiego" z połowy XIX wieku.

Na jesieni tegoż roku Ruszczyc zwiastował mi nowinę, że zmienia mieszkanie. Dawno już były zapomniane zaciszne uroki przedwojennej siedziby na Zarzeczu i Ruszczyc pierwsze cztery lata profesorskie zajmował ciasny i niewygodny lokal przy ulicy Uniwersyteckiej 7, ponieważ nie miał czasu pomyśleć o sprokurowaniu sobie lepszego, choć mu się to odrazu należało. Owszem — innym kolegom potrafił dostarczyć dobrych urzędowych pomieszczeń, ale siebie pozostawiał zawsze na szarym końcu, czem wywoływał narzekania nawet cierpliwej i wyrozumiałej pani Giny. Więc kiedy mi zapowiedział tę nowinę, nie chciało mi się wierzyć, by to mogło być naprawdę, i Ruszczyc musiał mię zaprowadzić na miejsce, jak niewiernego Tomasza, i tam, na podwórzu domu Nr. 24 przy ulicy Zamkowej, pokazał mi z miną tryumfatora swe przyszłe gniazdo. Mieszkanie było praktycznie nienajlepsze, choć dość przestronne, ale miało zalety w naszym guście — rząd pięknych starych kasztanów na dziedzińcu, widok ponad niemi na szczyty Świętego Jana, no i tradycję,



FOT. J. BUŁHAK — MIESZKANIE RUSZCZYCA PRZY ULICY ZAMKOWEJ 24

że sto lat temu zajmował je profesor Becu, że młody Julek Słowacki przebywał w niem u ojczyma, a sztych z albumu Wilczyńskiego przedstawiał Jędrzeja Śniadeckiego na tle tego samego dziedzińca. Te zalety swego przyszłego mieszkania wyrecytował mi kochany marzyciel głosem poprostu wzruszonym i taka radość błyszczała w jego oczach, jakby mu podarowano wszystkie pałace Alhambry i Eskurjalu z dodatkiem wiszących ogrodów Semiramidy. Przejęcie się Ruszczyca udzieliło się i mnie i oglądałem to wszystko z uciechą, byłem pełen uznania dla jego umiejętności wynajdywania sobie mieszkania i nie splamiłem się żadną myślą lub wątpliwością praktyczną. Nasz punkt widzenia był ściśle dekoracyjny, a Ruszczyc w swoim czasie, jeszcze przed wojną, podobnież wybierał mieszkanie na Zarzeczu, gdy po odwiedzeniu tam Wierzyńskiego i po stwierdzeniu wyjątkowo pięknego widoku na ogród Bernardyński i Altarję, zdecydował się na przenosiny i zakontraktował mieszkanie *w ciągu jednego dnia*. A tu były jeszcze atuty tradycji czasów Mickiewiczowskich, tak cenne i tak szczęśliwie nadarzone. Cieszyliśmy się obaj jak dzieci. Ale pani Gina była nieco mniej od nas zachwycona walorami tych nowych apartamentów i byłaby z pewnością wolała mniej patyny dziejów, a więcej pospolitych nowoczesnych udogodnień. W końcu zresztą przychylała się zawsze do życzeń i upodobań swego małżonka, bo miała za zasadę, by jego woli stawało się zadość; kłopoty domowe i powszednie zabierała na własny rachunek, a o niego dbała, by po swojej ciężkiej pracy i po swych troskach miał wytchnienie w tem, w czem je chciał upatrywać.



FOT. J. BUŁHAK POPIERSIE SŁOWACKIEGO MIĘDZY OKNAMI MIESZKANIA RUSZCZYCA PRZY UL. ZAMKOWEJ 24

Zadowolenie Ruszczyca było zrozumiałe: miejsce wprost odurzało wonią przeszłości i otwierało ponętny przestwór dla wyobraźni, zachęcało do rozmyślań i wspominań. Zbliżenie do cieni owych wielbionych ludzi „z przed stu lat“ uskuteczniało się we wspaniałej oprawie roślinnej i architektonicznej. Nie zapomnę nigdy jego wielkiego rozradowania, połączonego z nabożnem przejęciem się dostojnością miejsca. Zaraz mi powiedział, że tu, pomiędzy środkowemi oknami pierwszego piętra ściany wschodniej, musi być wmurowane popiersie Słowackiego. I istotnie, po roku popiersie wynurzało się z owalnej niszy, a kwitnące kasztany zaglądały do okien Ruszczyca i pieściły oblicze Juljusza marmurową siatką polotnego światłocienia. Inni ludzie, zajmując nowe mieszkanie, myśleli o kanalizacji i kranach z wodą bieżącą. On wołał kasztany i Słowackiego.

Pisywaliśmy do siebie z Ruszczycem rzadko, gdyż przy obcowaniu bez dłuższych przerw brakło nam do tego sposobności i potrzeba. Ale tak się zdarzyło, że byliśmy kiedyś na kolacji w kilku bez Ferdynanda i mówiliśmy o nim wiele i serdecznie. Wiedzieliśmy,

że ma zmartwienia z powodu nowych usiłowań Warszawy, godzących w byt Wydziału, a zanadto go kochaliśmy, by nie otaczać czcią jego pracy i nie współczuć mu w doświadczanych przeciwnościach. Zresztą istnienie Wydziału było przecież i dla każdego z nas sprawą wysokiej wagi, sprawą własną. Więc tego wieczoru osoba Ferdynanda była nam szczególnie wyraziście i rzewnie przytomna; wspominając różne wspólne przeżycia, obcowaliśmy z nim wyjątkowo długo w sposób, graniczący naprawdę z jakąś mistyczną komunją. Oddalony stawał się nam jeszcze bliższy, nieobecny ułatwiał oglądanie swego prawdziwego oblicza, wolnego od przypadkowości chwili, promieniejącego światłem pierwiastków wiecznych. Stawało się oczywistem, że spotyka nas rzadkie i wielkie szczęście — żyć współcześnie z Ruszczycem i pracować przy jego boku. Że wystarczy odsunąć tę myśl na chwilę od siebie i przypatrzeć się jej z pewnej odległości, by zrozumieć, żeśmy świadkami wydarzeń znacznych wymiarów, tworzących historję miasta i kraju. Że całem życiem wdzięcznego oddania nie zdołamy odpłacić się temu najdroższemu człowiekowi za skarby serca, któremi nas osypał w tyloletniem przyjacielskiem obcowaniu, za wspaniałe objawy jego talentu i ducha, które dał nam zbliska podziwiać. Przechodziły na nas fluidy jego żarliwej i wzniosłej duszy, wiecznie zatroskanej o rzeczy najwyższe i najpiękniejsze, tęczowym ogrodem rozrastał się wkoło nas świat jego piękna, tak heroicznie broniony i tak hojnie rozmnażany. Gdy nie było w pobliżu tego prostego i dobrego przyjaciela, którego ręce ściskaliśmy z powszednią poufałością, wtedy serca chyliły się do jego stóp i oddawały się jemu w kornem i miłującem rozrzewnieniu. Był przecież naszym mistrzem i przywódcą — kochaliśmy go i cieszyliśmy się z jego istnienia. Czuliśmy, jakiem szczęściem jest sama myśl, że oto mogłyby się otworzyć drzwi i mógłby za chwilę zabrzmieć jego głos, zajaśnieć jego uśmiech, czuliśmy, jaką otuchą — samo przeświadczenie, że on jest i będzie zawsze z nami i że będzie nam zawsze świeciło słońce jego radosnych oczu...

Na takich myślach i odczuciach upłynęła nam owa noc jak jedna chwila. Była to zaiste całkiem niezwykła noc naszego naogół niekoniecznie przeciętnego życia wspólnego. To też wróciwszy późno do domu, snułem dalszy ciąg tej serdecznej wizji i czułem potrzebę przeniesienia myśli na papier i posłania jemu, zanim nie zbladną i nie zszarzeją w trzeźwiącej jasności poranka. I oto, co on mi nazajutrz odpisał:

„Przed wieczorem wpadłem na chwilę do domu, zastałem list twój i parę innych, lecz musiałem dalej lecieć i zabrałem je z sobą. I dopiero teraz, po radzie miejskiej, wśród ciszy po wysiłku — otworzyłem list twój".

„Długa jest doba, a krótka i nieczęsta godzina rosy. Taką chwilą rosy jest Twój list. Już od paru kolegów wiedziałem, że byliście wczoraj razem i że było dobrze, wyjątkowo dobrze. Ale dopiero tyś mi opowiedział, jak było. I żeś miał chęć i potrzebę powiedzenia mi tego zaraz, za to jestem ci głęboko, serdecznie wdzięczny".

„Wiem, że za to, coś mi powiedział, dziękować nie można, ale również nie chcę do jutra odkładać i chcę tylko, byś wiedział, że „w tych ciężkich i samotnych trudach" twój uścisk dał mi radość i ciepło. I przyniósł mi umocnienie w wierze, że to, co nasze, pozostanie i rosnąć i mnożyć się będzie. W uścisku braterskim — Twój Ferd".

ROZDZIAŁ XII

MIĘDZY WILNEM A BOHDANOWEM (1925 — 1927)

W latach późniejszych pani Gina Ruszczycowa zamieszkała w Bohdanowie z powodu gospodarstwa i interesów majątkowych, które wymagały bliższego dozoru. Przyjeżdżała jednak czasem do Wilna i wówczas chętnie brała obok Dziekana udział w naszych zebraniach koleżeńskich. Ale częściej odwiedzał ją Ferdynand na wsi i stąd był w ciągłym ruchu między Wilnem a Bohdanowem, za którym zawsze mocno tęsknił. Tam spędzał krótkie wczasy wśród swojej coraz liczniejszej dzieciarni. Były to jego najmilsze wypoczynki, ale zawsze skąpe i niedostateczne, bo wciąż go odrywały sprawy wileńskie i uniwersyteckie. To też bywał ustawicznie w drodze i to dość uciążliwej, bo trzeba było jechać do Bohdanowa drogą okólną z przesiadaniem w Lidzie lub Mołodecznie, gdy linja powietrzna stanowiła tylko połowę tych 170 kilometrów. Po przepracowaniu i po bezsennych nocach wileńskich wyjeżdżał nieraz tak przemęczony, że zdarzało mu się przespać swoją stację i pojechać dalej w kierunku stacji węzłowej. Potem musiał kołatać się z powrotem w mroźne zimowe noce, czekać na dworcu lub szukać furmanki, zanim dobrnął do domu, do rodziny i wytchnienia. Nieraz te nocne podróże okupywał przeziębieniem i anginą, na którą łatwo zapadał. A taki tryb życia i na tym żelaznym organizmie nie mógł nie pozostawiać śladu i coraz bardziej podkopywał jego siły żywotne.

W Wilnie ranek Ferdynanda miał porządek ustalony i zaczynał się około dziesiątej, ponieważ pracował on najczęściej do późna w nocy, a nieraz i do samego rana. We dnie nie dawano mu czasu na rzeczy wymagające skupienia, i on sam również go sobie nie zostawiał, zajęty niezliczonemi posiedzeniami, komitetami i naradami. Rysunki zdobnicze, pomysły graficzne, układanie szczegółów inscenizacyj, wszystko, co malował, rysował lub pisał, mógł on robić tylko w nocy i tem chronicznem niedosypianiem sterał przedwcześnie zdrowie. Wszak ojciec jego żył 80 lat, matka 81 rok i rodzina ich była wogóle długowieczna, a on przeżył tylko 66 lat, w pełni zaś zdrowia zaledwie 62. Spalał się na żużle w ogniu swego entuzjazmu, swojej pasji twórczej. Wskutek takiego trybu życia wstawał późno, o ile nie miał spotkania jakiegoś zagranicznego dygnitarza lub delegacji cudzoziemskiej do pociągu warszawskiego o ósmej rano, co było dla niego tragiczne, ale czemu poddawał się z niezmienną gotowością. Nieraz mi potem opowiadał z humorem swoje peregrynacje i niespane wigilje, to wieczne doganianie godzin i łatanie dnia nocą. Wzdychał, marząc beznadziejnie o dobrych dziewięciu godzinach wywczasu. Nazywał swoje życie z rosyjska „tryszkin kaftan", od bajki Kryłowa tej nazwy, albo mawiał wprost, że „kołdra jest coraz krótsza". Porównywał siebie do śpiącego w zimnym pokoju pod nazbyt krótką kołdrą. Jeśli okryje nią nogi, to ziąb chwyta za szyję, jeśli naciągnie na głowę, to marzną gołe nogi. Ilustrował porównanie wymowną mimiką, w której z poza żartu przeglądało śmiertelne znużenie.



F. RUSZCZYC

ZE SZKICOWNIKA. MOTYW Z NOWEJ WILEJKI (1899)
FEUILLE D'UN CAHIER D'ESQUISSES

Chcąc napewno zastać go w domu, przychodziłem na „petit lever" o dziesiątej, kiedy leżał jeszcze w łóżku. Jeśli była zima, miewał na nogach prócz kołdry — tej zakrótkiej — futro powozowe, szerokie i puszyste, bo lubił ciepło, a mieszkanie, pomimo swoich walorów historycznych, było przewiewne i nie dawało się ogrzewać należycie. Kołdra była zaścielona gazetami, których codziennie musiał mieć kilka i które czytywał pilnie. Częstował mnie śniadaniem przy łóżku i gawędził, przeciągając się leniwie i walcząc z resztkami senności. Robił na pismach notatki i podkreślenia, a po przeczytaniu tegoż dnia odsyłał do Bohdanowa pani Ginie, która musiała wiedzieć o wszystkiem, co w gazetach zwróciło jego uwagę. Pisywał do niej często i obszernie, posyłał jej szczegółowy dziennik czynności i wrażeń i choć rozdzielony, przeżywał wszystko razem z nią. Jak niegdyś z matką, tak po jej utracie z żoną żył w serdecznej, przyjacielskiej jedności. Pani Gina gospodarowała w Bohdanowie, starając się wprowadzić ład w interesy majątkowe, dosyć zapuszczone. Wogóle odsuwała od niego kłopoty i troski materjalne i czyniła, co mogła, by mu pozostawić pogodę i swobodę myśli, konieczne przy tylu jego zatrudnieniach.

Ruszczyc miał wtedy kucharkę, starą i dość pokraczną Magdalenę, typową „babę" wileńską i ta symbioza obfitowała w różne osobliwe przejścia, które nam potem opowiadał z dziecinnem rozbawieniem. Kiedyś Magdalena zostawiła wejściowe drzwi kuchenne otwarte i poszła sobie w świat na pogawędkę, z której wróciła dopiero po dobrej godzinie. Przez ten czas mieszkanie było na opiece boskiej. Gdy po powrocie pan próbował tłumaczyć jej delikatnie, że tak robić nie wolno, bo mogliby złodzieje okraść mieszkanie, Magdalena ujawniła na tę sprawę pogląd zgoła odmienny: „A chtoż jej bendzie okradać, ta kwatera!" zawołała z oburzeniem. Była szczerze zażalona na swego pana, że nie może zrozumieć tak prostych rzeczy. „Tak jaż tylko do turka" tłumaczyła przekonywająco, a to znaczyło, że poszła na małą chwileczkę po bułki do tureckiej piekarni, a licząc na rychły powrót, uważała zamykanie drzwi za zbyteczne. Innym razem nie mogła dać sobie rady z wielu odwiedzającymi, którzy odchodzili z niczem, bo zastać pana w domu było niełatwo. Więc z życzliwości dla obydwuch stron wpadła na kapitalny pomysł i naznaczyła wszystkim audjencję na godzinę siódmą rano, nie pytając Ruszczyca, czy ta pora nie będzie dla niego cokolwiek zawczesna. Zrana sumiennie obudziła go o siódmej, nie wiedząc, że dopiero co był się położył i wyprawiła do salonu, a tam, jak w poczekalni dentysty, podpierał ściany wianuszek z kilku nieszczęśników. I trzeba było wszystkich załatwić. Ruszczyc mieszał śmiech z westchnieniami, gdy to opowiadał.

Ale te zajścia nie przeszkadzały dobrej harmonji cierpliwego artysty z jego kuchenną władzą. Podziwiał on trafną prostotę i żywość wysłowienia wileńskiego ludu, daleką od nudnego szablonu zryczałtowanych mieszczuchów. Lubił prymitywizm i oryginalność tych powiedzeń, samodziałowych, jak nasze kolorowe wileńskie „radziużki" i „paściłki". Lubował się i smakował w tej serdecznej formie spostrzegawczości i wylewności. Podkreślał z podziwem, że Magdalena powiedziała mu kiedyś z gderliwem uznaniem „Ale pan — *to żywo żyje!*". Trudno określić Ruszczyca krócej i lepiej. W jednym tylko wypadku żywość ta przygasała: — gdy trzeba było załatwiać uprzykrzony kołowrotek interesów urzędowych i spraw pieniężnych. To się nazywało eufemistycznie „tańcem Anitry". Z rezygnacją poddawał się tym koniecznościom, wypełniając je akuratnie do samego końca, jak dziecko, któremu dano do wypicia gorzkie lekarstwo. Ale ile go to kosztowało! Jaki gwałt musiał zadawać swojej naturze! Wpadał do mnie rano, wyciągał z kieszeni plikę papierów i dokumentów, brał potrzebny podpis na jakimś wekslu, chował do kieszeni, żegnał się pośpiesznie, wzdychał i mówił z żałosnym uśmiechem: „Znowu taniec Anitry...". Takie to było niemiłe, nieistotne, zabierało tyle drogiego czasu, którego miał zawsze zamało... po co ta męka?... Całe życie wzdychał do swobody, a w Wilnie przez połowę życia nie miał chwili wolnej dla siebie i dla rodziny.

Powracam do plastyki z roku 1924. W dniu 15 lutego Ferdynand inscenizuje „Cyda" w prze-



F. RUSZCZYC INSCENIZACJA CYDA. (1924)

kładzie Wyspiańskiego. Grają go w „Lutni“ przy gościnnym współudziale Ireny Solskiej. Akcja dzieje się na tle dekoracyj sali zamku królewskiego w Sewilli o pysznie wzorzystym charakterze maurytańskim. Salę podpierają bogate kolumny spiralne, a stroje oddają wiernie sztywny, koturnowy przepych epoki. Ale w prologu nie może się obejść bez polskiej transpozycji hiszpańskiego majestatu królewskiego. I oto widzimy króla Jana Kazimierza i królową Marję Ludwikę w sali tronowej w asyście dworu, słuchających przemówienia personifikowanej Wisły. Tron wieńczą przepyszne makaty z herbami Korony i Litwy i przypominają widzom, że obowiązek, honor i bohaterstwo są przytomne i czczone nietylko w Hiszpanji. W czerwcu Sokolstwo Dzielnicy Mazowieckiej urządza zlot w Wilnie i Ruszczyc obdarza je barwnym litograficznym afiszem, gdzie w błękitach sokoły ulatują ponad szczytami baszty na Zamkowej górze. W tymże czasie odbywa się Zjazd prawników polskich i zaproszenie na tę uroczystość jest znowu dziełem Ruszczyca. Temida z zawiązanemi oczyma, z mieczem i tarczą w jednej ręce, a z wagami w drugiej, odcina się jasno od gobelinowego tła, na którem Święty Krzysztof brnie przez fale Wilji ku Zamkowej górze. O wartości graficznej tych prac już przestaję mówić, bo byłoby to powtarzaniem niejednokrotnie powiedzianego o odrębności i wymowie kresy rysunkowej Ruszczyca.

Latem na wsi przeglądam zabrany ze sobą „Tygodnik Wileński“ z pamiętnego roku 1911-go i pod tem wrażeniem, odnawiającem wiele drogich wspomnień, dzielę się niemi listownie z Ferdynandem. Na to on mi odpisuje zaraz: „Ucieszyła mnie bardzo kartka twoja, żem ci dał dobry wieczór. Lubię te lata wspomnień, kiedy się wyszło na drogę, na której zetknęliśmy się z sobą, a szcze-



F. RUSZCZYC INSCENIZACJA CYDA. (1924)

gólniej te miesiące „Tygodnika Wileńskiego“.. Z jakąś fantazyjną lekkomyślnością pchaliśmy ze Studnickim ten wózek, ludziska z sąsiednich pól przyglądali się nam i głową kiwali, a jednak i dziś sumienie upewnia, że to nie było złe i tam, gdzie już dziś kursują pociągi z licznymi pasażerami, wspomina się drogę, odbytą w samotnej dryndulce. Towarzyszowi owych wojaży serdeczny uścisk. F.“. A do Bydgoszczy, gdziem się zatrzymał po objeździe Pomorza u Adama Grzymały-Siedleckiego i stamtąd posłał Ferdynandowi parę wspólnych z Adamem słów pozdrowienia, odpisuje mi on z Bohdanowa między innemi: „Staram się dojść do tego momentu absolutnej ciszy i spokoju w sobie, który jest niezbędny przynajmniej raz na rok, jak ten dzień, gdy się na parostatkach gasi kotły, by je nieco przeczyścić... Pozdrów odemnie Grzymałów. Odczyty o Fredrze musimy doprowadzić do skutku. Wogóle pragnę, by po gromadnych wycieczkach zaczęli do Wilna przyjeżdżać „ludzie“. Statek, goniący resztami pary, wzdycha do chwili bezwietrznej ciszy, by dać odpocząć przegrzanym kotłom, ale wystarczy wspomnieć o odczycie Fredrowskim Siedleckiego, a już parostatek gotów zapłonąć ogniem i pożeglować znów ku brzegom wileńskim.

W roku następnym spędzam tydzień w Bohdanowie, którego nie odwiedzałem już bardzo długo, bo od owej jesiennej bytności z roku 1913, opisanej w rozdziale szóstym. Pierwsze lata uniwersyteckie były przepełnione wydarzeniami i pracą, a wakacje swoje zużywałem tak całkowicie na wędrówki fotograficzne po kraju, że jakoś nie znalazło się nigdy czasu na krótki choćby odpoczynek w miłem gnieździe Ruszczyca, do którego i on sam zaglądał tylko przelotnie. To też po przyjeździe witałem się tam z ludźmi i z drzewami, z chmurami i z powietrzem Bohdanowskiem, obchodziłem ze wzruszeniem wszystkie stare kąty, a Ferdynand mi towarzyszył i brał udział w tych przywitaniach. Ale teraz nie było w Bohdanowie tak pusto i cicho, jak niegdyś. Była obok niego pani Gina, a bardzo jeszcze niestarej parze towarzyszyło czworo dzieci. Prócz tego dom był pełny krew-

nych i domowników, we dworze wrzało, jak w ulu i wtedy to poznałem tę nową atmosferę Bohdanowa gościnną, gwarną, dostatnią i przychylną każdemu dobremu. Tworzyli ją harmonijnie oboje małżonkowie, bo pani Gina była prosta, szczera, nieprzymuszona i ujmowała swoją spokojną naturalnością. Stanowiła uosobienie rozwagi, ładu i cichego zrozumienia wszystkiego, co było Ruszczycowskie i Bohdanowskie, zdawała się istnieć po to, by usuwać mężowi z drogi to, co brzydkie, codzienne i przykre, pozostawiając go jego własnym drogom i pracom i dając po nich błogie domowe wytchnienie. Rzadki to był i szczególny dom. Owiewał przybysza odrazu jakiemś dobrem uciszeniem, uczył być lepszym nieznacznie i bez nacisku dostrajał do swojej atmosfery zdrowej i czystej. Wszystko w nim było bezpretensjonalne, samorosłe, napozór zwyczajne i nawet skromne, a szacowną głębię i dostojne piękno poznawało się dopiero stopniowo i tylko w miarę własnej chęci i spostrzegawczości. Nic się tam nie narzucało, nic nie krzyczało, nie pozowało — wszystko było sobą i trwało w tym bycie z godną prostotą. Dom obfitował w skromny dostatek, jak ul, przeciążony miodem, przygarniał i żywił każdego gościnnie, a do smacznego domowego chleba dodawał dobre słowo, przychylny uśmiech, okruchy serdecznej uwagi. Zapasy tych dóbr cielesnych i duchowych zdawały się niewyczerpane, były rozdawane na wszystkie strony z wdzięczną chętnością i starczyły zawsze i dla wszystkich. Zaiste, był to prawdziwy nasz litewski dom, w którym mieszkał Bóg i staropolska cnota.

Zajęty wnętrznym obrazem Bohdanowa, tym razem znowu, jak niegdyś na początku, skrzywdziłem sam dwór pewną wstępną nieuwagą, by najpierw przyglądać się ludziom i podziwiać ich z uczuciem wdzięczności, że mię chcieli przyjąć do swego koła. Ale potem zadomowiłem się naokoło szerzej, poznałem urok prostej ścieżki ze dworu do plebanji i do kościoła, otoczonego klonami, odczułem budującą symbolikę tej ścieżki, łączącej dwa pokrewne światy i żyłem, opijałem się powietrzem Bohdanowskiem, jak ozdrowieniec w rzeźkim powiewie gór. Znałem już teraz tradycje dawnego Bohdanowa, wiedziałem, jak godnie utrzymał je Ferdynand, jak je przymnożył własnem życiem i założoną przez siebie rodziną, kochałem go za to i błogosławiłem w myślach. Wtenczas napisałem dla nich obojga wiersz, dołączony na końcu moich „Dożynek Ruszczycowskich". Nie kwalifikuję go bynajmniej wysoko, bo odrazu miał przeznaczenie okolicznościowe i prywatne, ale właśnie dlatego pragnę go tu przypomnieć w przypisku. Niech mówi nie o autorze, lecz o tych, kogo opisuje, a usterki może okupi intencja *). Dałem w nim wyraz wzruszeniu, jakie we mnie budziła

*) ŚCIEŻKA DO PLEBANJI.

Wiatrami gnany, wiatrom podany,
szarych pielgrzymów rząd w ziemię wrósł:
— idzie od dworu przez żytnie łany
rozwiany szereg sędziwych brzóz.
Wieczne pielgrzymy, drzewa - olbrzymy
przed białą bramą trzymają straż —
szumią dworowi: — my cię bronimy,
ostań w pokoju, rodzicu nasz.
A między żyta, wstęgą rozwita,
zapada ścieżka wśród kłośnych drżeń,
i w pozłocistej dali wykwita
kościół wtulony w lipowy cień.
Z wiatru podmuchem, zbożnym łańcuchem
wiąże ta ścieżka kościół i dwór,
a wszystko wieńczy modrym bezruchem
wysokie niebo i glorja chmur.
Zapłata niwa złote ogniwa
pomiędzy niemi na wieczny ślub,
i falowaniem płowem w dal spływa
lipom — krzyżowi — Bogu do stóp...
. . . .
O stary dworze! Ognia, krwi morze
przeszło nad tobą, a ty wciąż trwasz,
i, jako dawniej, w brzóz rozhoworze
stoi aleja i trzyma straż.
Znów się kołysze twoje zacisze
szumem konarów u białych wrót,
a w ich rozwiewie, jak dawniej słyszę
twego wytrwania miłosny trud.
Hartowny bólem, znów pszczelnym ulem
złocisz w swem wnętrzu piastowy miód,
w koronie blasków siermiężnym królem
wskrzeszasz majestat ojcowych cnót.

O polski dworze! Gdy ziemia gorze,
gdy zmieść cię pragnie i swój i wróg,
ty trwasz w wierności świętym oporze
przy ścieżce z śladem pielgrzymich nóg.



FOT. J. BUŁHAK BOHDANÓW. ŚCIEŻKA OD DWORU DO KOŚCIOŁA

ta ścieżka, tak charakterystyczna dla dworu Bohdanowskiego. Ścieżka istniała pewnie całe stulecia. Przysady prowadziły do kościoła dalszą drogą pod prostym kątem i tędy kierował się ruch konny. Ale dla domowego ruchu pieszego istniała drożyna naprzełaj przez pole — prawidłowa przekątnia, gładko wydeptana, lekko wijąca się wśród łanów i rżysk. Była w tej linji kierunkowej jakaś pociągająca dynamiczność, jakieś pielgrzymie dążenie w dal, jakiś uczuciowy poryw ku zacisznym wyokrągleniom drzew, kryjących kościołek. Wystarczało pójść tą ścieżką, żeby nogi same niosły ku jakiejś dalekiej tęsknocie, żeby poczuć, że się idzie nią ku wielkiemu, dobremu Bogu, który się opiekuje tą ziemią i ludźmi, a że szło się od dworu, więc ścieżka prześlicznie wiązała ze sobą obydwa punkty i zdawała się być symboliczną wstęgą miłującego zjednoczenia. Wiązała dwa światy i było jasnem, że nie mogą one istnieć poosobno, że się dopełniają wzajemnie i tworzą wyższe jedno, którego sens wewnętrzny należy do tajemnic „Ziemi". Dużo wychodził Ruszczyc tą ścieżką śladem przodków i jeszcze w czasie choroby odbywał pieszo tę drogę, mającą blisko pół kilometra. Kochał on bardzo swój drewniany kościołek parafjalny z piękną dzwonnicą, dbał o jego prezencję i służył księżom poradą artystyczną i pomocą materjalną, a ołtarze kościelne odnawiał i malował własnemi rękami.

A jak on kochał Bohdanów! Jak kochał tę ziemię ojcowską, z którą zapoznał się bliżej dopiero jako dorastający młodzieniec, bo w czasach jego dzieciństwa rodzice mało bywali w Bohdanowie, wydzierżawionym i nie urządzonym do stałego zamieszkiwania. O tem powiedział mi szkic, jaki znalazłem w jednym z jego niezliczonych albumów rysunkowych. Nosi datę 11 listopada 1898 roku i tytuł — „Ojczyzna". Wśród pagórkowatych pól wije się droga z rzędem słupów telegraficznych,



F. RUSZCZYC GNIAZDO. (1908)

a tą drogą idzie młody mężczyzna ubrany po miejsku, z walizką w ręku, jakgdyby tylko co wysiadł z wagonu. Postać jego, widziana z tyłu, jest cała w ruchu śpiesznym, nieledwie ekstatycznym, podniesiona głowa kieruje wzrok śladem drogi — ojczystej drogi, prowadzącej do domu. To on sam, Ferdynand, dwudziestoośmioletni laureat Akademji Petersburskiej. Obleciał Europę i wraca do „Pustki“ Bohdanowskiej, aby w niej uwić „Gniazdo“. Tyle lat był na obczyźnie, z takim trudem bronił swej polskiej duszy wśród różnorodnych wpływów cudzoziemskiego otoczenia i oto staje na progu „ojczyzny“. Więc ogarnia tę ziemię zachwyconemi oczyma, a hołdem powitalnym i dziękczynnym będzie jej synteza — obraz „Ziemia“, który się niebawem narodzi. A potem przyjdzie „Gniazdo“ — ten sam dom Bohdanowski z „Pustki“, ale jakże odmienny nastrojem. Znikną deski, kryjące oczodoły martwych okien, otoczenie zaludni się wysokiemi drzewami dziedzińca. Nad opiekuńczemi jodłami będą wprawdzie przeciągały i w „Gnieździe“ groźne siwe kłębowiska chmur, ale okna domu ożyją i będą patrzały pogodnie, a w jednem z nich przytuli się gniazdo jaskółcze.

. . . .

. . . .

Ludno było wtedy w Bohdanowie, a pomimo tego gość przyjeżdżający nie czuł się nigdy obco w tej rodzinnej atmosferze, nie mającej w sobie nic salonowego. Mam z tego pobytu wiele zdjęć



FOT. J. BUŁHAK BOHDANÓW W ROKU 1925

i grupę całej rodziny, w której było bodaj więcej, niż dwadzieścia osób, bo jest to prawidłem, że rodziny dobre i zacne są zawsze liczne. Zresztą w tym dworze po dziś dzień siada do stołu latem conajmniej ta sama liczba osób i w tem niema żadnych letników ani obcych, a gdy się gromada skurczy do tuzina, to gospodarze utyskują, że przy stole jest pusto i radziby cały świat do siebie przygarnąć. A mimo takiego liku i gwaru jest tam porządek i ład, spokój i umiarkowanie, wesołość i pogoda. Bohdanów nie zna, co bezład i rozprzężenie. Ten tydzień dał mi zaznać na nowo dawno nieodczuwanej słodyczy domowego ogniska i błogich wczasów letnich. A Ruszczyc mógł tym razem zgasić kotły na swoim statku i opuścić żagle, by się nie wydymały w kierunku Wilna i razem ze mną oddychał łaskawą ciszą swego domu i sadu. Wyglądał jak ogrodnik, który spogląda na dojrzewające jabłonie i cieszy się z ich pierwszych rumieńców, wyglądał jak żniwiarz, który pieści ręką zbożowy łan, nawisły ciężkiemi kłosami.

Potrzebował on bardzo tej dobrej, krzepiącej ciszy domowej, bo rok następny przyniósł mu ciężkie zmartwienie, które przyszło nagle, z bezwzględnem okrucieństwem. Jesienią 1926-go roku Ministerstwo skasowało dział architektury na naszym Wydziale, czyli zmniejszyło Wydział o połowę, pozbawiając go najistotniejszej części składowej. Motywowano to zarządzenie oszczędnością, ale nikt w to nie wierzył, gdyż profesorzy pozostali i trzeba było ich opłacać. Od czasów udręczeń wojennych, zadawanych przez wrogów, nie doświadczył Ruszczyc ciosu równie dotkliwego, jak to dziwne zarządzenie władz centralnych, nie dające się wytłumaczyć żadnym rozsądnym motywem. Niech mówią fakty. W roku 1925-tym Minister zwiedza Wystawę sprawozdawczą naszego Wydziału i wyraża uznanie dla osiągniętych wyników. W ciągu roku akademickiego 1925/26 wydziały architektury Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Politechnik Warszawskiej i Lwowskiej wydają pochlebną opinję o równorzędności studjów architektonicznych na wydziale naszym z wydziałami architektury wymienionych uczelni. Przedkładają się Ministerstwu równie przychylnie brzmiące opinje



F. RUSZCZYC

PUSTKA (1902)

SOLITUDE



F. RUSZCZYC SZKIC DO „PUSTKI"

innych ciał naukowych polskich i uchwały wyższych organów i instytucyj państwowych, które jednogłośnie domagają się utrzymania w Wilnie zagrożonego Działu Architektury. Prócz argumentacji teoretycznej samo życie przemawia za tem w sposób kategoryczny, bo ustami studentów i absolwentów-architektów wileńskich i potrzebą ich praktycznego zatrudnienia. Wileńszczyzna chce mieć własną wyższą szkołę budownictwa i głośno się dopomina o jej zachowanie. Odpowiedzią na to wszystko jest milczenie, ignorowanie, wreszcie nakaz likwidacji działu, który był najpotrzebniejszy i rozwijał się najlepiej. Tak nazwany przez Marszałka Piłsudskiego „poziomy rozumek", nie mogąc zagasić całego ogniska, rozpalonego przez Ruszczyca, strawił bezmyślnie z niego tyle płomienia, ile potrafił zagarnąć swym podziemnym zasięgiem.

Ten rok 1926-ty nie był pomyślnym dla Ruszczyca na Uniwersytecie i przyniósł mu dużo niezasłużonych trosk i goryczy tak samo, jak wprowadził w konsternację cały nasz zespół nauczycielski i studencki. Ruszczyc nigdy nie pogodził się z obcięciem jednej ręki jego Wydziałowi i zawsze, do końca pamiętał boleśnie tę niepojętą krzywdę, wyrządzoną jego najdroższej pracy i sprawie. Tylko jego żywiołowy optymizm i inwencja twórcza pozwoliły mu po niejakim czasie wrócić do równowagi i — mimo przeszkód — rozmnażać dalej swoje „niewidzialne bogactwa", zwyciężając zło — sercem i uśmiechem.

ROZDZIAŁ XIII

ODWIECZERZ (1927—1932)

Burzliwy i skwarny był dzień, pełny zmagań i niepokojów, ale jarzył się słonecznością, olśniewał żarem kolorów i głębią błękitu. Były obłoki zwaliste, strzelające ku zenitowi śnieżnemi spiętrzeniami, a w ciemnych wnętrzach kryjące piorunowe błyski i nagłe wichru porywy. Były ławice chmur, ogarniające widnokrąg sinemi skrzydłami i mroczące złocistą glorję słońca. Były i modre prześwity lazurów, dające radość oczom, niosące duszy jasną nadzieję... Ale oto już przeminęło letnie popołudnie. Ma się na odwieczerz. Wiatr ścichnął i odpoczywa na szczytach drzew. Zrzedniałe chmury rozchodzą się, perłowieją, rozsypują się białemi stadkami po turkusowej łące niebios, są drobne i ciche, jak myśli niewinnego dziecięcia. Po błękicie przepływają po to jedynie, żeby swemi czystemi szatkami krasić jego przepastne dno, a łaskawem nachyleniem weselić dusze utrudzone. Ku zachodowi skłania się słońce, choć świeci jeszcze rzęsiście w wieczornem uciszeniu...

Znojny dzień życia Ruszczycowego ma się ku wieczorowi. Ale wróży długie jeszcze godziny ciepła i blasku, długie chwile spokojnego trudzenia się, by nie zabrakło ludziom miodu i wosku, kwiatów i owoców. Po ciężkiej orce w głębokich bruzdach „Ziemi", po ufnych wyglądaniach odnowy wśród wiotkich gałązek „Wiosny", po zdobywczym pędzie w nurtach „Wilejki" i „Nec mergitur" bliżej jest wędrowcowi do zacisza „Gniazda", do obwieszonych owocami jabłoni Bohdanowskich, pełnych wspomnień różanej kwiecistości, a już niosących ciężar letniego dokonania, ochłodę słodkiego miąższu i ziarna przyszłych narodzin. Ale dusza wędrownika nie zna spoczynków i schyłków. Panuje w niej zawsze lato upalne i szumne, a dopóki tego lata, słońce jego życia i na odwieczerz nie przestaje świecić promieniście i ogrzewać żarliwie. W niepamięć idą chwile zamroczenia dziennej jasności — wszak na krańcu nieboskłonu dal sinieje i nęci zawsze tem samem czarownem wołaniem, a godzina wieczorna przyozdabia ją jeszcze barwniejszemi ponętami... Więc trzeba iść naprzód — jak ten oracz za pługiem — iść bez wytchnienia zagonem rodzimego pola i sposobić je pod nowe siewy.

. . . .
. . . .

Siódmego czerwca 1927-go roku wygłasza Ruszczyc na „Środzie Literackiej" odczyt pod tytułem „Trzecie Wilno". Jest to Wilno przyszłości, jakiem on je widzi w swoich pragnieniach i oczewaniach. Roztacza wspaniałe pomysły wyzyskania niezwykłych warunków miasta i przeistoczenia jego w perłę miast polskich przez wprowadzenie doń ozdobnego ładu i podniesienie naturalnych walorów estetyczną oprawą. Kreśli plany dalekosiężne, odpowiadające jego renesansowemu rozma-

chowi, ale plany nie marzycielskie, owszem — ugruntowane mocno w możliwościach terenowych i w ambitnych tradycjach wieków. Przestrzega przed zmarnowaniem bezcennych skarbów, jakie miastu dały natura i przeszłość. Kończy hasłem, wypisanem w „Nordiska Museet“ w Sztokholmie:

„To dziedzictwo ojców naszych przechodzić ma na naszych synów tak długo, póki w naszym kraju młode serce bić będą“.

I dodaje stamtąd zaczerpniętą przestrogę:

„Może nadejść dzień, kiedy wszystko złoto nie starczy, by wskrzesić obraz minionych stuleci).*

Obok Kłosa Remer dzielnie staje przy boku Ruszczyca i już wszyscy trzej troszczą się o „Trzecie Wilno“ i starają się urzeczywistniać je stopniowo, ale z uporczywą ciągłością. Nie bez ich wpływu zapada decyzja odnowienia Obrazu Ostrobramskiego, które prowadzi za sobą kolejno restaurowanie kaplicy, a potem całego kościoła świętej Teresy. Przy robotach malarskich w tym kościele pracuje jeszcze jeden cenny pomocnik, asystent Kłosa, malarz Marjan Słonecki. W tych przedsięwzięciach Ruszczyc bierze czynny udział i niejednokrotnie rzuca na szalę swoją inicjatywę, ale już nie potrzebuje wglądać we wszystkie szczegóły, gdyż ma zastępców pewnych i umiejętnych, ożywionych tą samą serdeczną gorliwością. Ja przy nich przeżywam niezapomniane chwile w kaplicy Ostrobramskiej i w refektarzu przy fotografowaniu Cudownego Obrazu, który odnawia prof. Rutkowski z Warszawy przy pomocy Słoneckiego. Niełatwa sprawa doprowadzenia kaplicy i Obrazu do porządku jest sposobnością do gorliwej współpracy nas już kilku z Ruszczycem na czele, co jeszcze bardziej zacieśnia istniejące między nami węzły i czyni z nas jakieś zbożne bractwo świętego Łukasza, zapatrzone w słodkie oblicze Matki Ostrobramskiej. Przychodzą nowe przeżycia i pogłębiają się odczucia dawne. Znalezienie wśród zdjętych z obrazu wot tabliczki z napisem „Dzięki Ci Matko za Wilno“, daje Ruszczycowi i mnie chwilę rzewnej zadumy, w której ogarnia nas duch inwokacji Mickiewiczowskiej z „Pana Tadeusza“, a ręce i serca łączą się jeszcze ciaśniej, jeszcze goręcej dla służby kochanemu miastu.

Po ukończeniu odnowienia Obrazu następuje koronacja, święto wiernych serc i zamkniętych w sobie dusz ludu wileńskiego. Ruszczyc układa szczegóły dekoracji Obrazu przy Katedrze i przyozdabia wnętrze kościoła, dogląda zaproszeń i programów uroczystości, inscenizuje wspaniały pochód do Kaplicy Ostrobramskiej. Obraz, niesiony jako feretron, zostaje umieszczony na swojem odwiecznym miejscu nad łukiem „Warowni Wileńskiej“. W tych kierowniczych pracach zapał artysty-dekoratora jednoczy się z miłującą czcią synowską dla Najświętszej Matki Ostrobramskiej i te uczucia promieniują Ruszczycowi z oczu pomimo jego opanowania.

Remer coraz więcej lgnie do Ruszczyca i niebawem wydaje napisane przez siebie studjum o nim p. t. „W służbie sztuki. U źródeł twórczości Ferdynanda Ruszczyca“, o którem już wspomniałem. Książka zostaje wydrukowana przed imieninami Ferdynanda, a w dniu tym 30 maja 1927 roku, schodzimy się wszyscy z Wydziału u mnie, by odświętować trzydziestolecie jego pracy artystycznej,

*) Odczyt nie zachował się w rękopisie i jako jego ślad pozostała w archiwum Ruszczyca tylko kartka z następującem streszczeniem, przygotowanem do rozwinięcia w przemówieniu.

WILNO („WIE ICH ES SEHE).

Pozycja (dolina wśród wzgórz). Zaułki — linja najmniejszego oporu. Co groziło (plan rządowy, tramwaje). Ostra Brama—Ratusz. Dom miejski. Pałac Paca. Poczta. „Dom Baryczków“. *Plac Katedralny. (Jagiełło i Jadwiga).*

Most. Strona Kalwaryjska. Zygmunt August. Bulwary. Ogrody. Sztuka. Mury Bernardyńskie. Ogród Bernardyński. Scena na wolnem powietrzu.

Góry. Skansen. Dr. Haselius. „Djurgarden“. „Freiluft Museum“.



F. RUSZCZYC SZKIC DO OBRAZU „W ŚWIAT“

które właśnie w tym roku przypada. Oprócz kolegów uniwersyteckich są obecni Wierzyński, Studnicki, Czesław Jankowski, p. Rela Wierzyńska, p. Eugenja Kobylińska-Masiejewska i sam wojewoda Raczkiewicz. Po zwykłych pogawędkach i powitaniach Kłos robi porządek, srogo pilnując ceremonjału, my otaczamy kołem solenizanta, a Kłos podaje mu książkę Remera i wypowiada w ładnych i ciepłych słowach nasze uczucia i życzenia. A potem nastaje jedna z tych naszych szalonych wieczornic, w których napozór nie działo się nic szczególnego, ani odmiennego od zwykłego koleżeńskiego zebrania, ale które — wiemy to wszyscy dobrze — były dla nas skrzydlate, kolorowe i pozostawiły nam drogie wspomnienia na całe życie. Rozochoceni, upojeni jeszcze bardziej nastrojem niż winem, przemawiali jeden za drugim ci i owi, nietyle może podnosząc objektywne zasługi Ruszczyca, ile poprostu ciesząc się z niego i dziękując mu za to, że jest na świecie i między nami. Nie chciałbym się powtarzać, ale tu jest miejsce na podkreślenie tej słoneczności Ruszczyca, która budziła w ludziach taką radość, jaką budzi pogodny i jasny poranek. Nie było w niej analizy ani motywowania, tylko jedno ogólne, promienne uszczęśliwienie. Obcując z Ruszczycem, każdy stawał się lepszy, radośniejszy, głębiej czujący wartość i godność życia.

Majowy świt obłękitniał już dawno szyby, a myśmy trwali w serdecznych wynurzeniach. Było nam dobrze, jak zawsze, ale jeszcze lotniej, podnioślej... Mówiliśmy wiele i przytem szczerze i gorąco. A szczególną uwagę solenizanta ściągnęła p. Kobylińska, przemawiając w imieniu ludzi „szarych, do których zaliczała siebie. Ruszczyc prosił potem o szkic tego przemówienia i odtąd z sympatją zapamiętał młodą, wówczas jeszcze mało znaną autorkę. Powiedziała ona między innemi tak: „...może pana Ruszczyca zainteresuje, jak ktoś nieznany, ktoś z tłumu tworzy o nim bajkę. Mnie obchodzą tylko ludzie, którzy pobudzają wyobraźnię do twórczych odruchów. Nie narzucam się nikomu ze swojem zdaniem, ale jakże często nie rachuję się wewnętrznie z kimś uznanym, bo mi się wydaje naprzykład, że taki pan jest tylko sprawną maszynką do wytwarzania artystycznych lub naukowych wartości. Maszyny ludzkie nie przemawiają mi do wyobraźni.

„Ale są ludzie, na których widok myśl czyni skok nagły w dziedzinę bajecznych niespodzianek. Byłam jeszcze podlotkiem, gdy po raz pierwszy zobaczyłam pana Ruszczyca na ulicy... spotkany artysta przyczynił się wiele do wzmocnienia we mnie tęsknoty do rzeczy bardzo dalekich i bardzo nieuchwytnych, ale których odbicie migotało we mnie... A gdy po latach w wędrówce życia spotka się postać dawno znaną, co w zaraniu młodości szlachetnym wyrazem pociągnęła oczy i duszę do marzeń skłoniła, postać, z której późniejsze próby pomimo wszystko nimbu tej szlachetności



F. RUSZCZYC BIAŁY MAZUR

nie zdarły — ogarnia serce ciepło tej wyższej ludzkiej miłości, czyste porywy bolesnego uwielbienia dla człowieka prawdziwego, dla jego upadków i wzlotów, dla tego wszystkiego, z czego wypływa twórczość. Twórczość — to, co po życiu pozostaje, czem człowiek pustkę grobu zapełnia... każdy tęskni do jakiejś twórczości i czasem całe życie jest tragicznem zmaganiem się z niemożliwością, rozpaczliwem wołaniem z samotności swojej... O tem wiedzą twórcy, ale nie ci pyszni, co patrząc w strumienie, płynące z ich bujnego życia, odwracają się z lekceważeniem od wszystkiego, co nie jest nimi, i, jak dumni zaborcy, strzegą zazdrośnie tronu swojego.

„Nie taka jest duma człowieka o bożym stygmacie. Królewskość jego jest pełna najsłodszej pokory, która wypływa z poczucia własnej mocy. *On się na tron nie wdzierał — on go odziedziczył po innych królach-duchach.* Jego stosunek do świata bywa czasami rycerskim gestem ślicznego przeproszenia: „Przedemną schylają się głowy. Jestem ponad wami... Lecz nie patrz na mnie groźnemi oczyma, cierpiący, zazdrośny bracie. Sam wiem, że to nietylko moja zasługa...".

„I oto jest król z bajki, nad czołem którego słońce stoi w chwale. Ale on, idąc do ludzi blask nad czołem przygasza, myśląc, że spotkać może duchy inne, co blaskiem jego świetności olśnione, a słabsze, zwątpią, że płomyk nad nimi migocący, ma sens istnienia. Jeżeli to uczynił Syn Boży, a siebie przez to nie poniżył, to i artysta — król ze swojej świetności nic nie utraci.

„Oto bajka moja o Ruszczycu. Bajka o nim łączy się z bajką o Wilnie, o rosnących w cieniu murów jego młodych istnieniach twórczych, z których wiele w promieniach dobrotliwych źrenic Ruszczyca okrzepło i skrzydła do lotu rozwinęło. A we mnie bajka o nim łączy się z tęsknotą cichą do czystych uniesień najpierwszej młodości, do niedotkniętej bólem wiary w istnienie wielu snów cudownych na ziemi, wiary w to, że jeżeli ktoś jest Polakiem, a jeszcze twórcą w dodatku, to już napewno musi być szlachetny".

Słowa p. Kobylińskiej znalazły głęboki oddźwięk w naszych odczuciach i przyczyniły się jeszcze do podniesienia nastroju tego wieczoru. Piękne, wniosłe to były chwile i dzisiaj wspomina się je z żalem, że przeminęły, ale i z radością, że były. I dopiero dzisiaj, gdy niema już na świecie większości tych ludzi, rozumiem, jakie było rzadkie i cenne to, cośmy przeżywali, jak pokrewne aurze naszych przodków z przed stulecia. To było zawsze to samo wierne sobie, młodzieńcze, skrzydlate Wilno...

. . . .

. . . .

Stałem dążeniem Ruszczyca jest, by Wilno było piękne, godne i mocno związane z przeszłością. Więc albo agituje i popycha odpowiednie czynniki do restaurowania gmachów zabytkowych, albo tego odnawiania — jak w Uniwersytecie — sam zbliska dogląda i pilnuje, by nie poszło drogą fałszywą... Bo każdy gmach starożytny, mający coś do powiedzenia o „starem Wilnie" — musi być doprowadzony do dawnego świetnego wyglądu z całym pjetyzmem i ścisłością historyczną. Na tym punkcie Ruszczyc jest rygorystą. Dawno mu już leżało na sercu opuszczenie, w jakiem pozostawał park i pałac Sapieżyński na Antokolu, stała siedziba szpitali wojskowych, niegdyś rosyjskiego, potem niemieckiego, wreszcie polskiego. Monumentalna a mocno zmasakrowana brama parkowa północna była oddawna jedną z jego cichych sympatyj wileńskich. Otóż w roku 1928-ym starania Ruszczyca doprowadzają do uporządkowania tego magnackiego pałacowego okola. Sam pałac, położony na prawo od bramy wjazdowej, ma na fasadzie liczne okna, bogato zdobione barokową sztukaterją, a przytem każde okno inaczej. Ten klejnocik architektoniczny zostaje przeznaczony na klinikę okulistyczną Uniwersytetu Stefana Batorego, odnowiony z wielką pieczołowitością, i tryumfujący Ruszczyc bierze udział w uroczystym otwarciu kliniki, które obwieszcza narysowane przez niego wy-

kwintne zaproszenie. Pierwsza i czwarta stronica tego zaproszenia mają wizerunki pałacu i bramy Sapieżyńskich z własnoręcznie stylizowanym podpisem: „Dawny pałac XX Sapiehów, obecnie Klinika Okulistyczna i Wojskowy Oddział Oczny“ (związanie dnia wczorajszego z dzisiejszym wieńcem „piękna użytecznego“). Stronice wewnętrzne zaproszenia są wykonane w tonie ciemno szarym i obok tekstu zawierają motywy ornamentacyjne lecących aniołów, wzięte z murów sąsiedniego klasztoru Trynitarzy. Wszystko jest piękne w sposób wyszukany i szlachetny i tchnie Ruszczycowską radością, że oto staje się nowe pomnożenie wileńskich skarbów.



F. RUSZCZYC PAŁAC SAPIEŻYŃSKI NA ANTOKOLU (1928)

Ale to było tylko preludium do symfonji koncertowej tych dwuch lat 1928—29, które przyniosły Ruszczycowi dawno upragnione odnowienie całych murów uniwersyteckich w śródmieściu łącznie z Wydziałem Sztuki w murach Bernardyńskich. Od tych ostatnich zaczyna się restaurowanie i, jak zwykle, zawdzięcza wiele nietylko pracy i zabiegom Ruszczyca, ale i jego orjentacji i dyplomatycznej zręczności. Wprost na lekceważoną sztukę i na odnowienie jej przybytku nie danoby ani grosza, bo wszak „tyle jest pilniejszych i ważniejszych potrzeb“. Więc trzeba było szukać dróg okólnych. Powstaje projekt urządzenia w Wilnie w ogrodzie Bernardyńskim Wystawy Regjonalnej, a jeśli powstaje, to przedewszystkiem dlatego, że tego chce i to umie poddać, gdzie należy, Ruszczyc. W takiej wystawie jest zainteresowane miasto — stąd jedno źródło funduszów, a nadto można na taką imprezę otrzymać zapomogę od władz centralnych — źródło drugie. A jeśli Ruszczyc zaproponuje oddanie gmachu swego Wydziału u Bernardynów na pomieszczenie wystawy — a dzieje się to w czasie wakacyj letnich, — to znajdą się jeszcze dodatkowe środki w Uniwersytecie, lub Ministerstwie Oświaty — oto funduszów źródło trzecie. A wszystkie te strumyczki mamony, z chwilą ich skierowania w łożysko Wystawy Regjonalnej, mogą razem utworzyć już niezgorszą rzeczułkę, która popłynie prosto do Bernardynów i spowoduje gruntowne odnowienie Wydziału Sztuki. Trzeba tylko, żeby Wydział gościnnie przyjął na miesiąc wrzesień Wystawę Regjonalną, która będzie piękna, bo urządzona pod dozorem Ruszczyca i doda jeszcze nowego rozgłosu i ozdoby jego uczelni. Przytem sama wystawa będzie manifestacją domowego piękna wileńskiego i stanowić będzie niepośledni atut w grze naszego dyplomaty. Nie chcieli dać pieniędzy wprost na Wydział Sztuk Pięknych, to je dadzą najpierw na wystawę sztuki regjonalnej, a potem na sztukę Ruszczycowską i uniwersytecką. Tak wygląda w Wilnie „niepraktyczność“ artystów, gdy idzie nie o ich własną skórę, lecz — o Sprawę. W Wilnie, powtarzam, bo gdzieindziej po współczesnych „ubezpieczalniach“ artystycznych nie byłbym pewien, czy nie są praktyczniejsi właśnie co do własnej skóry.

No i wystawa odbyła się w porządnie odnowionych salach i korytarzach naszego Wydziału i była świetnie udana, interesująca, malownicza, dająca obraz naszych dzielnicowych odrębności. Ruszczyc narysował projekt przebudowy fasady gmachu z lodżią od Ogrodu Bernardyńskiego i projekt ten został wykonany dokładnie, a pomiędzy dwiema szkarpami zaświeciły napisy i emblematy



F. RUSZCZYC BRAMA PARKU SAPIEŻYŃSKIEGO NA ANTOKOLU (1928)

naszego Wydziału i ta śliczna młodzieńcza głowa z kościoła świętego Piotra, którą tak lubił Ruszczyc za jej uduchowiony wyraz i którą wziął za godło Sztuki Wileńskiej. Za długoby rozwodzić się nad tem, jaka była ta Wystawa Regjonalna, pierwsza w Wilnie i naprawdę poważna i oryginalna. Opisuję tylko niektóre fragmenty z życia Ruszczyca, odbite w moich wspomnieniach, ale życie to miało zasiąg tak szeroki i wielostronny, ogarniało tyle ważnych dziedzin, że moje opowiadanie mogłoby łatwo przeistoczyć się w wielotomową encyklopedję Ruszczycowskiego Wilna i jego epoki, gdyby go nie miarkowała rozwaga, zapomnienie, a może i niekompetencja. Trudno opisywać górę, stojąc u jej podnóża. Więc niech zamiast mnie mówi dalej sam winowajca — swojem przemówieniem w radjo wileńskiem z 20 sierpnia (patrz „Liść wawrzynu", odczyt 22). Jaka w niem miłosna duma z tej manifestacji rodzimego piękna, z jej wysokiej skali i rozległego obszaru, z możności ukazania tego całej Polsce i rozpowszechnienia wieści o tem po całej ojczyźnie. I jak wymownie symbolizują ten wielki pokaz domowego piękna — owe najmilsze, całe życie wielbione palmy wielkanocne wileńskie. Ten dzień — to tryumfalne święto Wydziału Sztuki, Ruszczyca, Wilna i kraju naszego. Za tę wystawę, gdzie wszystko było zrobione przez niego lub pod jego kierunkiem, otrzymał Ruszczyc Złoty Krzyż Zasługi. Ale to odznaczenie z pewnością nie było jego nagrodą największą i najdroższą. Nagroda była w jego duszy...

. . . .

Odwieczerz... Wiatr ścichnął i odpoczywa na szczytach drzew... Chmurki płyną jasne i kolorowemi stadkami rozsypują się po turkusowej łące niebios... Życie Ruszczyca staje się coraz podobniejsze do jesieni żniwiarza, który w spokoju zbiera plony swych znojnych trudów... Jedne po drugich przychodzą osiągnięcia, zaspokojenia, dopełnienia...

. . . .

. . . .

W roku 1929-tym Paryż stawia na „Place d'Alma" pomnik Mickiewiczowi i Ruszczyc doznaje tej satysfakcji, że jemu przypada w udziale być delegatem Uniwersytetu Stefana Batorego, udającym się do Paryża, by reprezentować na tej polsko - francuskiej uroczystości Wilno. Uroczystość jest niemała, bo pomnik naszemu poecie stawia — Rząd Francji. W Paryżu nie był Ferdynand od roku 1922-go, kiedy urządzał tam Wystawę Sztuki Polskiej, więc sposobi się do wyjazdu w radosnym porywie. Jak każdy artysta, ma swoją drugą ojczyznę w Stolicy Świata. Na dworze jest wiosna, — pierwsze kwietniowe rozbłyski, a w sercu Ruszczyca płomieni się to gorętsze słońce, co wstaje tam nad brzegami Sekwany, w łagodniejszym klimacie „de la doulce France". Nie sposób obo-



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. PIERWOTNY ZARYS OBRAZU „NA ANIOŁ PAŃSKI“ (1899)

jętnem okiem patrzeć na tego ptaka-żórawca, prostującego skrzydła do dalekiego lotu, w tę promienistą zorzę, jaką go nęci zdala „Ville Lumière“...

Co robił, co widział i czuł w Paryżu, tego opisywać nie potrzebuję, bo sam to najlepiej uczynił (patrz „Liść wawrzynu“, odczyt 23). W swojej opowieści dał nowy dowód umiejętności patrzenia na rzeczy z powagą męża stanu, a z lotnością artysty. Przedziwna jest potęga władz tego umysłu, podsycająca ciekawość duszy do coraz nowych odczuwań — mozaika spostrzeżeń, układająca z gatunkowo rozmaitych kamyczków barwnych obraz skończony, dyszący pełnią wyrazu i jednością myśli naczelnej.

Powraca do Wilna w maju, by oddać się odrazu przygotowaniom do nowego budowania „Trzeciego Wilna“ — do obchodu 350-lecia Uniwersytetu Wileńskiego, a dziesięciolecia Uniwersytetu Stefana Batorego. Obchód ten ma być świętowany na jesieni i teraz już wymaga generalnego odnowienia całego starego kwartału uniwersyteckiego. Jednocześnie ma się odbyć—a jest to i w związku z jego bytnością we Francji — sprowadzenie zwłok Joachima Lelewela do kraju i złożenie ich na Rossie w Wilnie. Razem wrócą zbiory i księgi Lelewela, który zapisał je niegdyś Wilnu, bo wierzył w przyszłość Polski, wierzył, że polskie Wilno będzie chciało i mogło przyjąć je i zachować. Pomyśleć tylko, czem to jest dla Ruszczyca — miłośnika i spadkobiercy czasów Mickiewicza i Lelewela. Więc nastaje nowy okres pracy, oszałamiającej, jak wino, ciężkiej, jak wór złota, dźwigany przez skąpca, weselącej duszę, jak okrzyki „alleluja“ i gałązki paschalne Jerozolimy. Kroczy Ruszczyc pierwszy w szeregu swego sztabu, odnawiającego mury pod kierownictwem Kłosa, przeżywa dnie i miesiące radości w przerabianiu i odświeżaniu swego miłego „domu“, który „zdobi wiankami“ i przyodziewa w „szaty godowe“. Wówczas to wznowione zostaje główne wejście do uczelni w dziedzińcu Skargi, a nad jego frontonem niebawem zabłyśnie filareckie hasło „Ojczyzna, Nau-



F. RUSZCZYC NA ANIOŁ PAŃSKI (1901)

ka, Cnota". Uniwersytet opanowany przez rzemieślników i robotników, mularzy, stolarzy, malarzy, jest przewrócony do góry nogami, a Ruszczyc chodzi, ogląda i promienieje. Jest wszędzie pierwszy, ale nie tam, gdzie pokaz, reprezentacja i dogadzanie małostkom, tylko tam, gdzie trzeba krzątać się, organizować, przykładać się do wypełnienia zadania, do zapracowania, żeby było godnie i ładnie, po wileńsku. Jest oczywiście robota i dla mnie: — fotografowanie wszystkiego, co się teraz zmieniło, ulepszyło, co przywróciło murom dawne piękno. Niepodobna jednak wdawać się w szczegóły — może coś o nich powiedzieć nowe album zdjęć uniwersyteckich, jakie wówczas zrobiłem.

Nastają dni 9—11 października 1929-go roku i znowu przeżywamy chwile osobliwe, te zwłaszcza, gdy odprowadzamy ze sztandarami, z Senatem Akademickim, purpurowo i złociście przybranym i z całym ludem Wszechnicy i miasta prochy Lelewela na wieczny spoczynek przez ulice Wilna, a potem — pod szumiące, rudozłote sklepienia jesiennej Rossy. Nie dam rady opisywać dalej tych wszystkich wydarzeń i wrażeń, przewijających się w czarownej, ustawicznie zmiennej kolei w ciągu tych lat, jak w stubarwnym kalejdoskopie. Przypominam i utrwalam tylko ważniejsze — a jakaż była obfita i piękna ta reszta! I dzięki przedziwnym czasom, i dzięki naszemu Mistrzowi byliśmy w ciągłych podnietach i rozigraniach wyobraźni, w ciągłej gorączce działania, mieliśmy wciąż coś nowego do czynienia i do radowania się. „Żywo" żyliśmy z nim razem i całem jestestwem odczuwaliśmy wartość i barwność tego życia. Mieniło się ono i połyskiwało kolorami, jak te palmy wielkanocne, jak te paski samodziałowe i kilimy wileńskie, gdzie z szarego tła codzienności wystę-

pują barwy świeże i radosne i, jak kwiaty na łące, mżą różnofarbną krasą, cieszą oczy i uskrzydlają dusze... Umiał Mistrz grać na duszach ludzkich, umiał malować żywe obrazy w ogromnej pracowni wileńskiego grodu, układając je z ludzi i wypadków, umiał „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy", by stało się wśród nas młodo, wiośniano, by się uczyniło podniośle i górnie. Umiał nas przekonać, że Wilno jest warte życia. A wszystko bez nacisku, bez frazesu, bez pokazu, — jedynie własnym przykładem, własnemi czynami, własnem sercem...

. . . .

. . . .

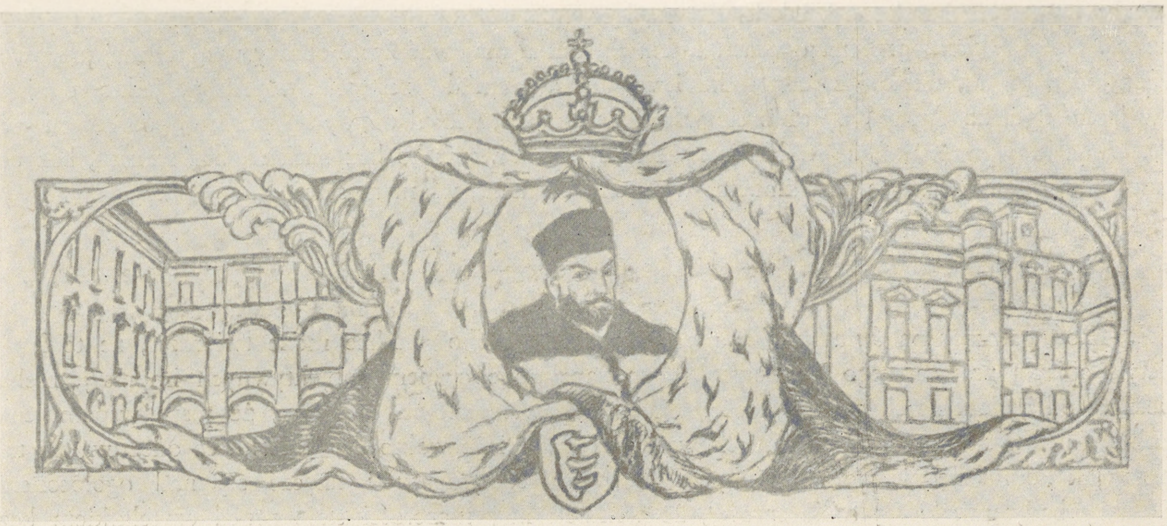
Ktoś, patrzący na świat przez „mędrca szkiełko i oko" zechce może twierdzić, że te karty nietyle opisują prawdziwego Ruszczyca, ile są zapełnione ciągiem subjektywnych impresyj, niekoniecznie odpowiadających rzeczywistości. Na to odpowiedziałbym najpierw, że piszę wspomnienia osobiste, nie traktat naukowy ani fachową monografję i że wolno mi pisać to, co odczuwałem tak samo, jak komuś będzie wolno oskubywać te kwiaty sentymentu i znęcać się nad ogołoconemi z barwy badylami. Zdaję sobie sprawę, że wskutek mej szczerości staję przed czytelnikiem bezbronny i mogę być łatwo wystawiony na dowcipne drwiny wszelkich niewiernych Tomaszów, zwłaszcza tych warszawskiego kawiarnianego stempla. Nie widzę na to rady: niech sceptycy bawią się po swojemu, a ja zostanę z moim staromodnym entuzjazmem, z moją subjektywną prawdą. Wystarczy, jeśli udzielą mi kredytu ci, co nie przestali wierzyć w istnienie wielkości, i wiedzą, że ta nie potrzebuje panegiryków i może jaśnieć własnem światłem w rzetelnej i szczerej opowieści przyjaciela. A do tego dodam, że jeśli idzie o heroiczność, podniosłość i piękno postawy Ruszczyca, to opowiadanie moje mówi *nie zawiele, lecz zamało,* bo żeby odtworzyć należycie wizerunek duchowy Ruszczyca, na to trzeba być człowiekiem jego miary. To, co tu opisuję, jest zaledwie drobną cząstką wspaniałej całości. Księga o Ruszczycu może i powinna być daleko pełniejsza i bogatsza.

Do opisywanego październikowego święta naszego Uniwersytetu dodam jeszcze relację o dwuch drukach, sporządzonych przez Ruszczyca przy tej okazji. Zaproszenie na obchód było wydrukowane statecznie wykwintną czcionką w tłoczni uniwersyteckiej Lenarta i miało odbity w barwie jasno-popielatej medal z Batorym i Piłsudskim, i z napisem: „Stefan Batory Założyciel — Józef Piłsudski Wskrzesiciel. 1579—1929". Jeszcze piękniejsze było zawiadomienie do wszystkich uczelni świata o jubileuszu nauki wileńskiej i polskiej. To był szczyt ozdoby, wykwintu i powagi: pergamin starodawny, uniwersał tronowy. Wielka karta podłużna zaczynała się fryzem z Batorym wśród murów Uniwersytetu, czerwone inicjały wołały do wszystkich, wieściły wszystkim w rzymskiej mowie: „Universitatibus studiorum, Academiis, Athaeneis, Gymnasiis" o losach uczelni od jej chlubnych początków poprzez zmienne koleje dziejów, aż do świetnej ery Mickiewiczowskiej i do radosnych dni dzisiejszych. Oznajmiały wszem wobec, że Akademja Batorowa została wskrzeszona, istnieje i kwitnie. Kto chce nakarmić serce ogromem prawowitej dumy, bezmiarem jasnej radości, kto chce posypać głowę popiołem pokory przed wielkością Myśli Polskiej, przed Nieśmiertelnością Polskiego Ducha — niech czyta od deski do deski dostojne okresy tego Uniwersału.

. . . .

. . . .

Pomimo takiego zagłębienia się w sprawy Uniwersytetu znajduje Ruszczyc czas na jeszcze jedną pracę niepośledniej wagi: na redagowanie i ilustrowanie pierwszego tomu pomnikowej monografji zbiorowej p. t. „Wilno i Ziemia Wileńska", która wyjdzie z druku w roku 1930-tym. Księgę oficjalnie wydaje Wojewódzki Komitet Regjonalny, ale w istocie pomysł, inicjatywa i wykonanie na-



F. RUSZCZYC FRYZ Z DOKUMENTU DZIESIĘCIOLECIA U. S. B. (1929)

leżą w lwiej części do Ruszczyca, który nie tylko objął kierownictwo graficzne księgi, nietylko ozdobił ją kilkunastu własnemi rysunkami, ale wgląda we wszystkie jej działy i zabiega gorliwie nad niełatwem zgromadzeniem i układem materjału tekstowego i obrazowego. Na początku daje motto: „Pamięci tych, co walczyli o wolność, a nie dożyli dnia wyzwolenia", po artykule zaś R. Mienickiego o „Wysiłku zbrojnym Wilna" rysuje orła, wzlatującego na tle Ostrej Bramy. W jego wolnym, szczęsnym rozmachu, w tym wzlocie od wileńskiej warowni duchowej wypowiedział Ruszczyc z właściwą sobie prostotą i mocą — całego siebie, ukazał tego, co „przestał malować obrazy", by mieć prawo narysować —ten jeden rysunek. Piewszy tom „Wilna i Ziemi Wileńskiej" nie doczekał się dotąd, mimo licznych zapowiedzi, dalszego ciągu i ta wieloletnia zwłoka ma swoistą wymowę: daje porównanie tempa wykonania kulturalnych poczynań wileńskich, *przy Ruszczycu i — bez niego*. Książka stanowi jeszcze jeden dowód, czem był Ruszczyc dla Wilna.

A po tych wszystkich opowieściach przychodzi na myśl pytanie, podszyte nieumyślną przekorą: *jakby wyglądał nasz Uniwersytet, gdyby w nim nie było Ruszczyca?* Za tem pytaniem przychodzi zresztą drugie, jeszcze szersze i ważniejsze: *jakby wyglądało bez Ruszczyca Wilno?* czy mogłoby być tem, czem było przez pierwsze ćwierćwiecze naszego stulecia?

Tu jest zatem miejsce na zastanowienie się, jakim był ten, który nadał Wilnu swe piętno, i stworzył w niem epokę własnego imienia. Bo jest rzeczą już chyba niesporną, że imię Ruszczyca zostało związane z Wilnem nazawsze i że okres ten w dziejach naszej ziemi będzie nazwany epoką Ruszczycowską. Po Wilnie Zygmuntowskiem przyszło Wilno Mickiewiczowskie, już pozbawione przez niewolę splendoru zewnętrznego, ale poczęte z ducha i mocne jego wielkością. Po Wilnie Mickiewiczowskiem — Wilno Ruszczycowskie będzie miało w historji kartę niemniej zaszczytną i trwałą.

Nie wszystko daje się uwidocznić w opowiadanych wydarzeniach. Pozostają spostrzeżenia luźne nad osobą i charakterem Ruszczyca, czynione w ciągu wielu lat, ale nie dające się zilustrować faktami konkretnemi. Myślę, że powinien tu dać im wyraz i spróbować jeszcze raz opisać Ruszczyca, tak, jak on mi się ukazuje w toku wspominania. Będzie to może chaotyczne i sucho rejestrujące, ale pożyteczne dla całości obrazu.



F. RUSZCZYC

OKŁADKA „CHIMERY“
COUVERTURE DE LA REVUE „CHIMERA“

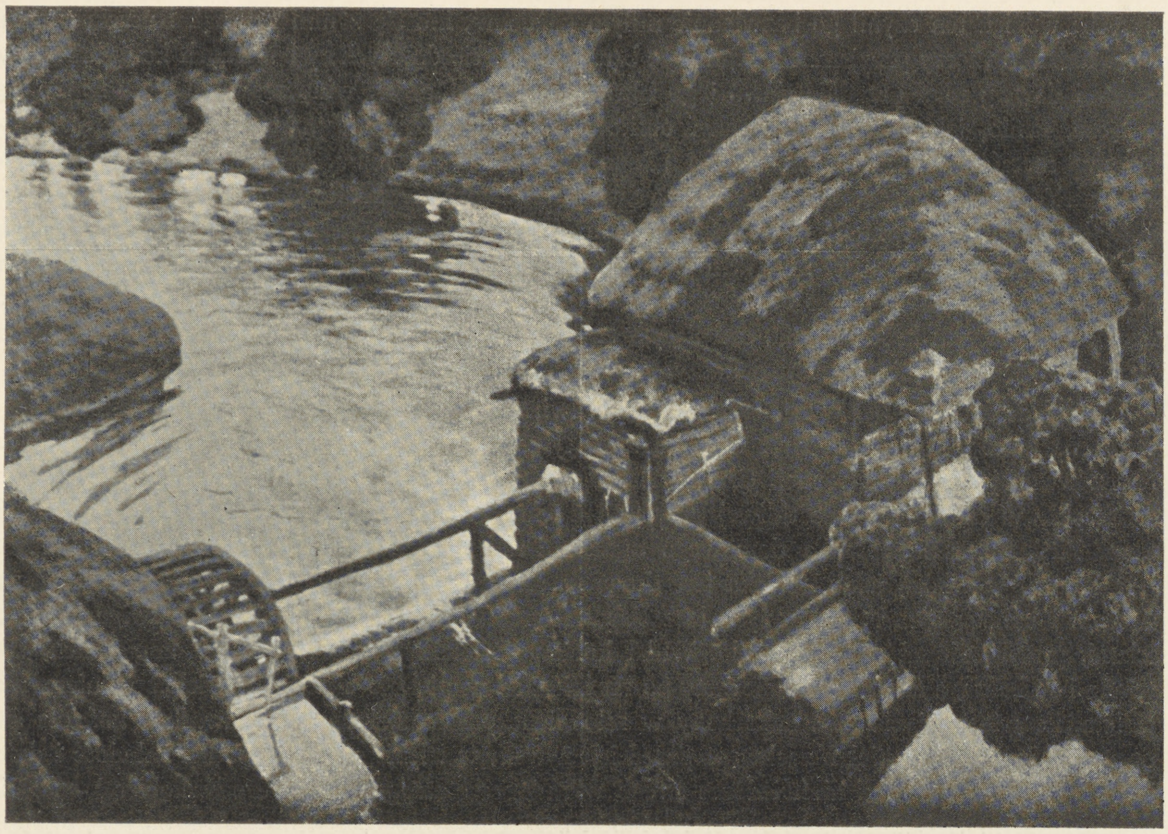
Ruszczyc był w mojem życiu zjawiskiem olśniewającem jak słońce. Budził radość widokiem swego istnienia i nieustanną chęć uświadamiania sobie tej radości. Budził podziw, którego nie mogła nigdy zmniejszyć obserwacja spokojna i objektywna, pomimo, że na nią miałem dwadzieścia kilka lat czasu. I dziś, choć już odszedł, jest mi ciągle świetliście przytomny. Widzę go i czuję wokoło siebie i w sobie, a rozpamiętywając jego życie, pragnę opowiedzieć jaknajwięcej innym, jakim był ten człowiek przedziwny.

Więc najpierw — cechy ogólne. W nich na pierwszy plan występuje wielka, niezwykła dobroć. Nie ta pasywna, co ma źródło we flegmatycznym egoizmie i niezainteresowaniu, lecz dobroć czynna, chrześcijańska, wynikająca z własnej dobrotliwej mocy, ze stosunku uważnego i serdecz-



F. RUSZCZYC SZKIC DO „MŁYNU" (1898)

nego do wszystkiego, co żyje, myśli i czuje. Ruszczyc wierzył w boskość natury ludzkiej i dostrzegał w ludziach przedewszystkiem to, co w nich było najlepszego. Był pobłażliwy i wyrozumiały, instynktownie stroniący od brzydoty i złości. Egoizm, chciwość i bezserdeczność, jeśli mu się kiedy narzuciły, sprawiały mu ból i wstyd, jakgdyby sam był za nie odpowiedzialny. Nie karcił, nie potępiał ludzi — żałował ich i litował się nad każdym. Bezinteresowny w najwyższym stopniu, nie dbał o korzyści materjalne, miał hojną rękę dla biedoty, a w stosunku do wszystkich gest szeroki i wielkoduszny. Nie podejrzewał w nikim intencyj niskich, skłonny był tłomaczyć motywy postępowania z lepszej strony, bo mówienie źle o ludziach sprawiało mu przykrość najwyższą. Nawet wtedy, gdy się boleśnie na kim oparzył, wolał milczeć, niż osądzać. Ludzi notorycznie podłych lub marnych określał jednem jakiemś słowem i to wcale nie kwalifikującem, raczej przenośnią, skrótem, symbolem obrazowym. Czynił to nawet samą intonacją głosu przy wymawianiu nazwiska, podkreślając je w sposób specyficzny, nie poddający się opisaniu. W jego mowie wszystko było sprawą od-



F. RUSZCZYC MŁYN (1899)

cieni, półtonów i ledwie dostrzegalnych napomknień. Trzeba było mieć ostry słuch estetyczny i moralny, żeby odrazu zrozumieć jego intencje i nie wytworzyć dysonansu. Intencyj swych nie lubił tłumaczyć wyraźnie, pełen wstrętu do stawiania kropek nad „i“, i to nawet wtedy, gdy mu zależało na tem, by być należycie zrozumianym. Ta powściągliwość w oznakach zewnętrznych wynikała z wrodzonej wstydliwości natury czującej i czujnej, nie z oschłości: w sobie był pełen uwielbienia dla piękna duszy ludzkiej, prawość, szlachetność budziły w nim wysoką cześć, przewyższającą może nawet zachwyt artysty nad fizycznem pięknem przyrody i człowieka. Umiał zresztą doskonale łączyć te dwa odczucia w jedno, rozumiejąc, jak nikt greckie „kaloskagatos“.

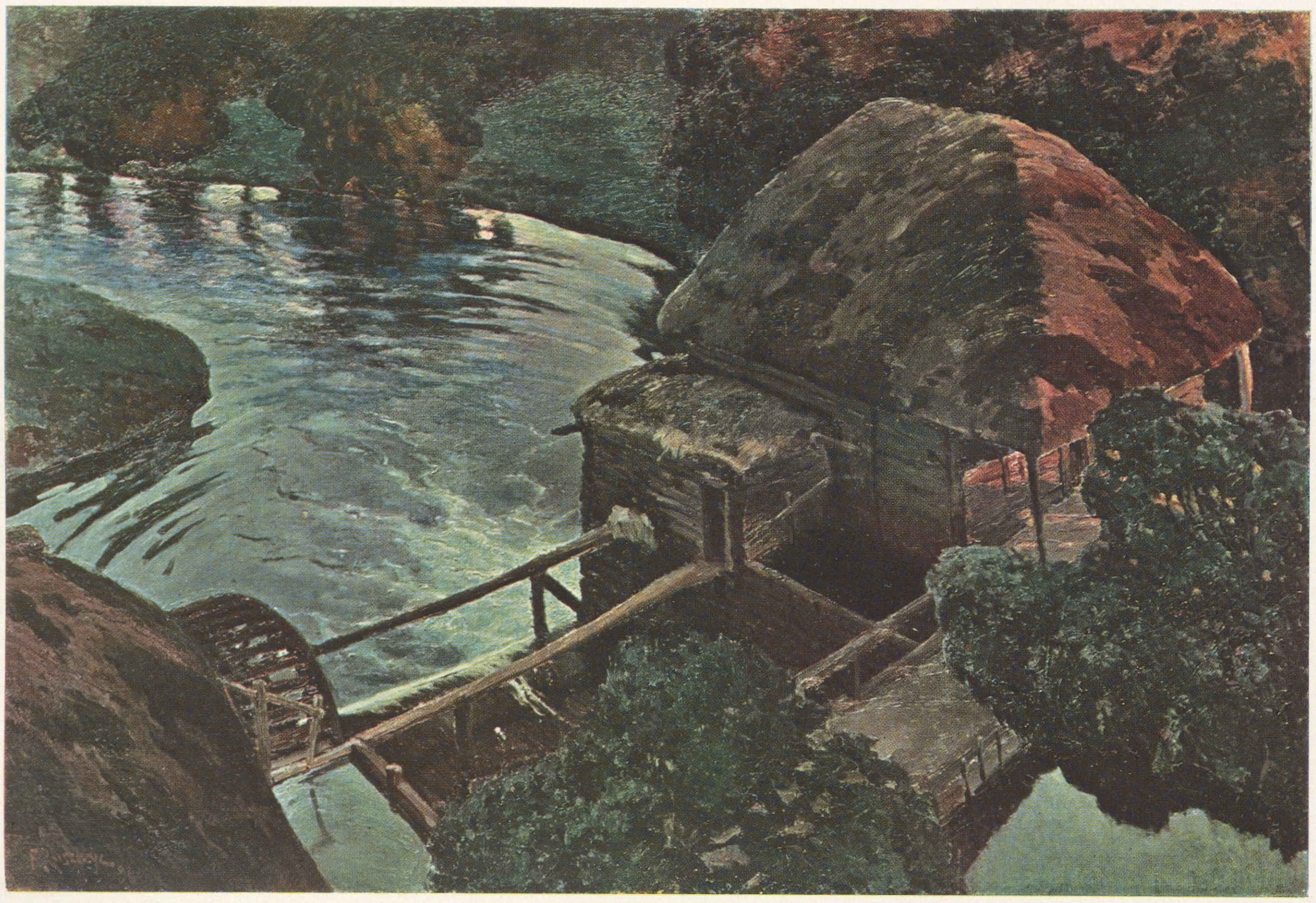
W mówieniu o sobie i swoich pracach był również powściągliwy, bo nie cierpiał afektacji i samochwalstwa. Wolał wypowiadać się obrazem, niż słowem. Uważał słowo za narzędzie tępe, pochopne do fałszu, choćby nieumyślnego. Mniemał, że artysta-plastyk nie powinien dopowiadać słowem swego świata wewnętrznego, bo słowo posługuje się ogólnikami, niezdolnemi do cieniowania. Słowo nie jest w stanie oddać piękna najwyższego, które jest niewypowiedzialne. Uczucie, wzruszenie, błysk natchnienia, są mocne i czyste tylko dopóki nie ujawnione słowem. Więc malarz powinien milczeć, nie precyzować, zachować w sobie nietkniętym dziewiczy świat piękna i dawać o nim tylko barwne sugestje, plastyczne napomknienia. Była to wstydliwość męska, nie obliczona na efekt, prawdziwie wewnętrzna.

Obejście Ruszczyca było nacechowane naturalnym wdziękiem o własnościach poprostu fascy-

nujących: wdzięk ten czynił go bezwiednie miłym każdemu, kto się z nim zetknął. Ruszczyc umiał mówić ludziom rzeczy przyjemne i zajmujące bez zniżania się do płycizny banalnych komplimentów. Humor i dowcip miał przedni: słowo jego iskrzyło się i perliło, jak wino szampańskie, mieniło się, jak tęcza, lśniło, jak promień wiosenny, obfitowało w nieoczekiwane pointe'y, trafne porównania, obrazowe metafory, zawsze samorodne i niemożliwe do naśladowania. A przy tej odrębności krańcowej, nieledwie zuchwałej, słowo jego pozostawało taktowne, delikatnie cieniowane, zważające ostrożnie, by komuś nie sprawić przykrości, nie urazić zbytecznem naciśnięciem pedału, nie posunąć się o krok zablisko. Ruszczyc był mistrzem w rozmowie żartobliwej, okraszonej lekkością i wdziękiem, wolnej od pedantyzmu, a mimo to bogatej w treść poważną. Był w ten genjalnie obdarzonym wirtuozem, prawdziwym królem życia, czerpiącym te szczęśliwe własności z wielkiego talentu, z dobroci serca i z jasności swej promiennej duszy.

Względem kobiet był wysoce rycerski, a wykwintne formy obcowania jeszcze podnosiła jego artystyczna natura. Rycerskość była wynikiem nie tylko starannego wychowania, ale wypływała z jego wewnętrznej postawy etycznej. Czcił w kobiecie dostojeństwo macierzyństwa i wierność siostrzaną, nawykły w całem życiu do tkliwej przyjaźni z własną matką i do serdecznej zażyłości z rodzeństwem. Klękał przed kapłanką domowego ogniska i rad widział na jej skroniach wieniec kobiecego majestatu. Wiedział, jak niedaleka jest droga w sercu najzwyklejszej kobiety do szczytów poświęcenia i bohaterstwa. Nie Afrodyta, lecz Pallas Atene, Kora, Demeter, królowa Jadwiga były postaciami, przed któremi pochylał czoło. Wolał kobiety Boticellego i prerafaelitów angielskich, niż Tycjana i Rubensa, a chociaż rozmiłowany po rzeźbiarsku w pięknie cielesnem, wielbił w niem nietyle lato, ile wiosnę życia. Był zakochany w młodzieńczych i dziewczęcych zjawach z kościoła św. Piotra na Antokolu, niemiał z zachwytu przed ich żywem wcieleniem, gdy napotkał młodość i dziewiczość, jak pączek kwiatu nieświadome swego wiośnianego czaru. Wobec urody kobiecej czuł się średniowiecznym trubadurem, gotowym do hołdu bezinteresownego, a smutniał i odchodził, jeśli tę jego postawę zlekceważono i sprofanowano przez niezrozumienie. Mawiał czasem z goryczą, że kobiety mają takich wielbicieli, na jakich zasługują w swych ukrytych intencjach, gdy wolą — poruczników, niż rycerzy. Porównywał miłość do pięknie ukwieconej rośliny, z której można czerpać zarówno ożywcze leki, jak zabójczą truciznę. Rozczarowania jakie mógł napotykać w młodszych latach nie zmniejszyły jednak w nim czci i uwielbienia dla kobiety: młodość jej podziwiał, jak cudowne misterjum rozkwitania, w dojrzałości upatrywał świętość macierzyństwa, a wiek podeszły szanował, jak drzewo, co zamknęło pod swą korą wieczną tajemnicę życia.

Był grzeczny i uprzejmy po pańsku, to jest dla wszystkich jednako, bez mieszczańskiego interesownego różniczkowania. Pamiętał bacznie, by oddać każdemu powinne atencje, a ludzi szanował podług ich rzeczywistej wartości, nie podług kieszeni i wpływów. Dbał o dopełnienie wszystkich form i oddanie należnych względów nie tylko obcym, ale i swoim, bo w formach zewnętrznych upatrywał akty woli i dopełnienie powinności. W rodzinie obejście jego przy prostocie i swobodzie odznaczało się delikatnością i serdeczną uwagą. Dawał przykład, że poufałość nie wyłącza umiaru i nie powinna przeradzać się w szorstkość i natręctwo. Z sąsiadami na wsi żył na stopie równej i przyjaznej, jeździł do nich w odwiedziny, przyjmował u siebie wszystkich jednako gościnnie i z taktowną uprzejmością, prowadząc rozmowy na tematy, które zajmowały nie jego, lecz stronę drugą. W mieście, w stosunkach z obcymi był wzorem dobrego wychowania i wytwornej towarzyskości, choć i tu musiał często przebywać w świecie pojęć i upodobań, dalekich od własnych. Słowa „wypada“, „należy“, „godzi się“ były dla niego niewzruszonemi nakazami i to nakazami sumienia, nie konwenansu. Nie zaniedbał żadnego dowodu pamięci i grzeczności, choćby chodziło o bonę lub ochmistrzynię, a ze służącym lub woźnym rozmawiał równie przyjacielsko, jak z kolegą z Wydziału.



F. RUSZCZYC

MŁYN (1899)
LE MOULIN

Nie można wspomnieć bez wzruszenia jego stosunku do wieloletniego woźnego uniwersyteckiego na Wydziale Sztuki, Mieczysława Sperskiego, którego traktował na równi ze swoimi domownikami i darzył wielką życzliwością. Co prawda Sperski odpłacał się swemu Dziekanowi poczciwą usłużnością i oddaniem i to nie po lokajsku, lecz po ludzku, z serca, jak to umieją prości wilnianie. Sperski miał ciemną szczeciniastą czuprynę i srogie wąsy, a pod niemi uśmiech, pełny dziecinnej słodyczy. Oczy jego patrzały z łagodnym wdziękiem, którego nie umiem nazwać inaczej, jak wileńskim. Gdy Ruszczyc zachorował, Sperski odczuł to, jakby należał do rodziny, a gdy następować zaczęło polepszenie, dzielił naszą radość. A na pogrzebie Ferdynanda był obecny i napewno czuł głębiej od wielu innych.

Ruszczyc pouczał całem życiem, że człowiekiem prawdziwie wolnym jest ten, kto sam sobie rozkazuje i sam pierwszy poddaje się przymusom przez siebie uznanym. Stąd również pochodziła jego rzetelna koleżeńskość w stosunku do innych artystów, oparta nie na poczuciu solidarności fachowej, lecz na poszanowaniu idei sztuki i braterstwa jej wyznawców. Jego trzynastoletnia praca na Wydziale Sztuk Pięknych jest jednem pasmem dowodów tego braterstwa artystycznego. A było ono posunięte tak daleko, że z jego przychylności korzystały nawet żydowskie ugrupowania malarskie w Wilnie, pomimo swego niewysokiego poziomu i niezbyt ciepłych uczuć dla polskiej państwowości. W każdym artyście widział towarzysza, mającego prawo do jego względów i pomocy. Nie skąpił swej przychylności nawet tym, którzy jej nadużywali, lub powodowali się nietyle sympatją, ile własnym interesem. Kiedyś spytano Ruszczyca, jako rzeczoznawcę „czy pani X dobrze ma-



F. RUSZCZYC POTOK WIOSENNY (1900)

luje?" A pytał ktoś z bliskich pewnej malarki, obdarzonej większem uczuciem, niż talentem. „No, tak —odrzekł Ruszczyc najeżony i skonfundowany — kiedy maluje, to pewnie, że dobrze". Miał bardzo wysubtelnione poszanowanie cudzej osobowości. Jeśli już musiał coś zganić w sztuce, czynił to oględnie, jakby na marginesie, choć dowcip miał ostry i nadzwyczajnie cieniowany. Raz patrząc na dość kiepską rzeźbę znanego autora, przedstawiającą posła do Dumy rosyjskiej, Nakoniecznego, mruknął nawpół sam do siebie: „No, ten Nakonieczny — to niekonieczny". Ale ja to posłyszałem i zapamiętałem.

Odznaczał się żywiołowym optymizmem, którego zaćmić nie potrafiły nawet potworności czasu wojennego i doznane wówczas udręczenia osobiste. Był to optymizm czynny, pełny twórczego rozmachu, płynący zarówno z fizycznej żywotności, jak z entuzjazmu pracy i z przyrodzonej dobroci serca. Obcy wschodniemu cierpiętnictwu i posępności, był naturą jasną, stworzoną do uśmiechu i do czynnego kształtowania życia. Miał duszę równie wspaniałą, jak powierzchowność, trzeba było wiele, by ją schmurzyć i to nie na długo — zaraz rozpogadzał się znowu, czerpiąc nadzieję i ochoczość z głębi swego duchowego męstwa. Miał umysł przenikliwy i wolę mocną, umiał organizować, kierować, podporządkowywać sobie wole i osobowości inne nie przymusem, lecz przykładem czynów własnych i promieniowaniem swego temperamentu, swojej wiecznej młodości. Widział rzeczy nie jednostronnie i ułamkowo, lecz ujmował je całościowo, w ich istocie zasadniczej. Uniwersalność ta wynikała z jego uzdolnień, rozwiniętych bardzo harmonijnie, a te sprawiały, że nic z tego, co ludzkie, nie było dlań obce. Umiał spojrzeć na każdy objaw życia inaczej, gruntowniej, niż ludzie przeciętni i dopatrzeć się w nim strony lepszej i piękniejszej. Jak skrzypce, odzywające się na pokrewne sobie dźwięki, miał zdolność reagowania na to, co żywe, godne i szlachetne, choćby było głęboko ukryte i niewidoczne. *Dopiero przy nim i przez niego spostrzegało się nieznane, niewidziane dotąd piękno fizyczne i moralne.* Odsłaniał je łatwo i przystępnie, nieraz mimowoli, jak słońce, które upiększa i rozjaśnia świat, gdy wyjrzy z za chmur. Miał pociąg do wielkości i bohaterstwa i tę atmosferę heroiczną roztaczał w swojej twórczości i w swych oddziaływaniach życiowych. Obcowanie z nim wzbogacało i wywyższało duchowo.

Rozmaitość jego zainteresowań i zatrudnień była tylko pozorna. W jego umyśle konstruktywnym i zrównoważonym wszystko miało związek konieczny, choć hierarchicznie stopniowany, wszystko uzupełniało się i stawało materjałem jednolitym, służącym do wznoszenia przez całe życie jednej tylko świątyni. Ład życia wynikał z budowy charakteru równie doskonałej, jak zestrój kompozycyjny jego obrazów. W budowie tej znaczyły nietylko wymiary, ale i ich wzajemne proporcje. Zalety charakteru były sharmonizowane i dlatego tak wydajne w czyny pełnowartościowe.

Życie i Sztuka stanowiły dla Ruszczyca całość nierozdzielną i to może najbardziej go odróżniało od wielu innych znanych i sławnych artystów. Mówiąc o Ruszczycu, nie potrzeba było oddzielać człowieka od twórcy i mówić o każdym inaczej, gdyż jeden nigdy nie zaprzeczał drugiemu. Puszkinowski wiersz o poecie, który po za chwilami natchnienia jest „najmarniejszem z dzieci świata" nie miałby do Ruszczyca zastosowania. Ruszczyc nie potrzebował ani kupczyć sumieniem dla sztuki, ani też poniżać sztuki więzami obcych jej nakazów. Miał w sztuce i w życiu styl własny wysokiej miary, zarówno artystyczny, jak etyczny. Styl ten był równy i niezawodny w każdej sprawie życia: dawał się streścić w pojęciu ładu i heroizmu. I dlatego mógłby on wcale nie być malarzem, a niemniej pozostałby człowiekiem pełnym i twórczym.

O stosunku Ruszczyca do przyrody mówi każdy jego obraz i tutaj pisało się o tem niemało. Ale mówiąc o stosunku jego do ludzi, pominąłem umyślnie dzieci, by poświęcić im ustęp osobny. Ruszczyc kochał dzieci tak samo, jak rośliny i kwiaty. Cieszyła go ich bezpośredniość, świeżość i samorosła twórczość. Swoje sześcioro otaczał gorącą tkliwością i niespodzianki, jaki im czynił, nale-

żały do kręgu jego najbardziej intymnych radości. Gdy młodsze dzieci przybywały na świat, zwiastował nam na Wydziale pomnożenie rodziny z uśmiechem pewnego zażenowania, w formie żartobliwej i przygodnej, jakby tłomacząc się z popełnienia jakiejś lekkomyślności. Ale to były tylko pozory — w gruncie rzeczy dobrze rozumiał, że liczna rodzina — to błogosławieństwo Boże i serdecznie był rad i dumny ze swoich „trzech par", jak je w czambuł nazywał. A szczególnie pieściwie odzywał się o ostatniej najmniejszej „parze", Andrzejku i Basi. W wymawianie ich imion wkładał najsubtelniejsze akcenty, mające powłóczystość różanego ptaka. Umiał wchodzić w świat dziecięcy i czuł się w nim ze swojskością dobrego ojca i wielkiego artysty. Uroczystości familijnych w Bohdanowie przestrzegał skrupulatnie, obchodził je ochoczo i trzymał prym w wyszukiwaniu sposobów ich uświetnienia. Każde takie urodziny, imieniny czy inna rocznica były przedewszystkiem świętem dzieci i dzieci były wtedy elementem uprzywilejowanym. Starsi zapominali o rzeczach „poważnych", by pomnożyć radość dziecinną, a celował w tem ojciec, który przeistaczał się w towarzysza zabaw swych dzieci, o tyle od nich starszego, by im te zabawy urozmaicić i umilić umiejętną formą artystyczną. A choć z panią Giną bardzo je rozpieszczali, jednak to nie przeszkadzało, że wychowywali wzorowo, wymagali karności i posłuchu, myśląc o przyszłości dzieci, nie o własnej z niemi wygodzie i spokoju.

Gdy przed wojną Ruszczyc wystawił swoją prześliczną feerję dla dzieci pod tytułem „W świecie bajek i zabawek", na pomyślenie której trzeba były być nietylko artystą, ale i zapalonym dziecia-



FOT. J. WIERZYŃSKI INSCENIZACJA „BAZARU" PRZEZ F. RUSZCZYCA W R. 1909



F. RUSZCZYC

W ŚWIECIE BAJEK I ZABAWEK. KOT W BUTACH (1912)
SOIRÉE „CONTES ET JOUETS“. LE CHAT.



F. RUSZCZYC

W ŚWIECIE BAJEK I ZABAWEK. KRÓL (1912)
SOIRÉE „CONTES ET JOUETS". LE ROI.

rzem — miał wtedy sposobność do wyrażenia w całej pełni swego sentymentu do tych żywych „płatków róży". Czuł się w swoim żywiole, bawił się sam przygotowywaniem widowiska i musztrowaniem chłopców i dziewczynek, radował się z ich rozbawienia przy robotach wstępnych i przy oglądaniu samego widowiska. Ale i tu ujawnił się rozumny pedagog: nie chciał, by dzieciom to wszystko przychodziło z łaski, a były to wyłącznie biedne sierotki i podrzutki z ochronek i przytułków. Zarządził, by dzieci współpracowały w wykonaniu, nauczył, jak mają wystrzygać, kleić i mieć rolę użyteczną w tem święcie. Pozostałe rysunki i szkice świadczą, że Ruszczyc stworzył rzecz wysoce oryginalną i czarująco fantastyczną. Były to baśnie o Kopciuszkach, Czerwonych kapturkach i zaklętych królewnach, pokazane w obrazach, utworzonych z lalek, a także z ukostjumowanych żywych postaci, kioski z zatrzęsieniem zabawek, malowniczy pochód zaczarowanego świata dziecięcej wyobraźni w dojrzałem przetworzeniu artystycznem. Autor miał przytem sporo trudności z władzami rosyjskiemi, które „obawiały się ruchu" i, pozwalając po wielu mitręgach na widowisko, stanowczo zabraniały pochodu ze sceny na salę. Lękano się nawet cienia myśli o „pochodzie i orszaku zbrojnym" i surowo odbierano blaszane szabelki chłopakom, przebranym za polskich ułanów. Policja patrzała podejrzliwie na kroczących w orszaku wspaniałych i kolorowych trzech króli, znacznie podobniejszych do polskich, niż do etjopskich, bo jeden z nich był poprostu ucharakteryzowany na Jagiełłę. A Ruszczyc oczywiście nie pominął sposobności, by całą swą pasję dekoracyjną włożyć w strój tych ułanów i tych królów, zawsze czujny, ogarniający rzecz wszechstronnie i przepełniony „polską intrygą". Przedstawienie podobało się nadzwyczajnie i było powtórzone kilka razy na korzyść wileńskich instytucyj dobroczynnych, bo Ruszczyc chętnie poddawał się karotowaniu pań z towarzystwa na takie cele, rad, że może przy tej sposobności przemycić swoją kontrabandę piękna. Z jego inicjatywy odegrano ostatni raz „Wieczór bajek i zabawek" bezpłatnie i wyłącznie dla biednych dzieci, które jedne miały prawo wstępu. Przyszły tłumnie i bawiły się rozkosznie, a twórca tego szczęścia dzielił je z małemi na stopie doskonałej równości. Jedna sześcioletnia dziewczynka stanęła przed pochodem, który rozwijał się pyszną i kwiecistą zjawą, i zaczęła głośno płakać. Po utuleniu spytano ją o przyczynę płaczu, a ta odrzekła dokładnie w te słowa: „Bo to takie piękne — to jak święte!" Biedactwo nie wiedziało pewnie nigdy w życiu okruchów piękna, prócz w kościele, więc świętość była dla niej synonimem piękności. Ruszczyc był zachwycony, rozrzewniony, jak nigdy i w duszy z pewnością płakał ze szczęścia razem z tą dziewczynką. Takie momenty bezpośredniego odczuwania cenił on nadewszystko, ale tylko on potrafił je wywołać, składając po biblijnemu skarby swego natchnienia u nóg najbiedniejszych i najnędzniejszych. Wśród łachmanów i bezdomności przytułków wyławiał żywe kwiaty dziecięcych wrażliwych duszyczek i dla nich otwierał ramiona i serce. Było coś cudownego i szczytnie prostego w tem zbliżeniu wielkiego artysty do biednych dzieci. W tem był cały Ruszczyc.

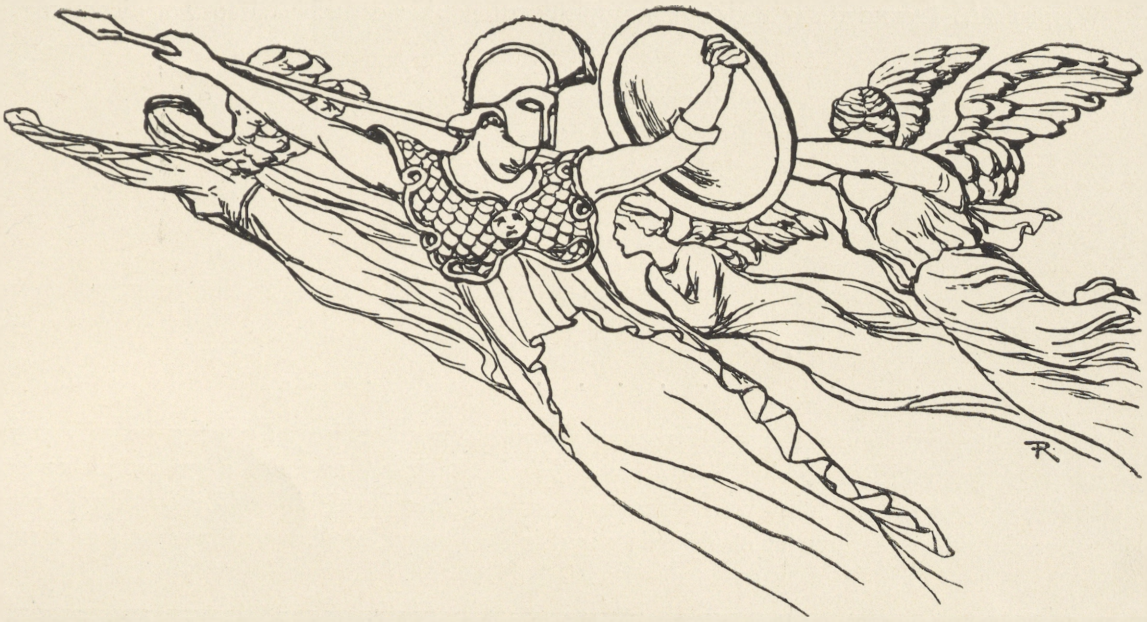
. . . .

. . . .

Odwieczerz... zniża się słońce ku zachodowi... Ale jakże ogniście polśniewa jego blask, jak błękitnie ścielą się po murawie wydłużone cienie, jak słodko jest żyć, oddychać krasą świata i tworzyć dalej piękno...

. . . .

Noc Listopadowa! Wyspiański! Stuletnia rocznica powstania! Polatują Niki, mierzące grotami w dal, skąd wschodzi zorza zwycięstwa i wolności, jeżą się bagnety Belwederskich podchorążych, a usta ich nawołują do ataku. Wołają o Polskę, ale wołają i Mistrza do nowego sprężenia twór-



F. RUSZCZYC NOC LISTOPADOWA. MOTYW Z AFISZA (1930)

czości, do nowego dzieła scenicznego, do nowego dowodu, co może Ruszczyc. Niech wznowi czasy „Warszawianki" i „Balladyny", niech porzuci na czas swoje Poczobuttowskie „ad astra", niech zapomni o purpurowej todze księdza Skargi, nich powróci do gaju fantazji, do Juljuszowego „zielonego sosnami teatru"...

. . . .

I słucha Mistrz wezwania belwederskich włóczni i bagnetów. Tworzy obraz „nocy Listopadowej". Odrywa ludzi od codzienności, przenosi ich w kraj legendy Wyspiańskiego i tę legendę przyodziewa w kształty i barwy, godne wielkich dusz ich obydwuch.

A dusza Ruszczyca jest prorocza, gdy ustami Kory przemawia:

„...bogate podziemu śpichlerze:
z każdego owocu się bierze
nasienie i skrzętnie kryje;
tam przechowuje się ziarna,
a jak je przyniosę na świat,
to każde kwiatem ożyje
i owoców urodzi mnogo...

. . . .

jest inny tamten świat...
kędy są wiecznotrwałe siły;
z tych coraz nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły.
Tam wszelki żywot ma swój świt,
i czeka, aż dlań przyjdzie czas
zajaśnieć pełnią kras...

Wyspiański... Ruszczyc... w podziemnym śpichlerzu polskiego ducha... I to wołanie prorocze:

„...gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń nowych pędów rzucę
na niwy, łęgi, na zagony —
sposobić każ lemiesze, brony...".

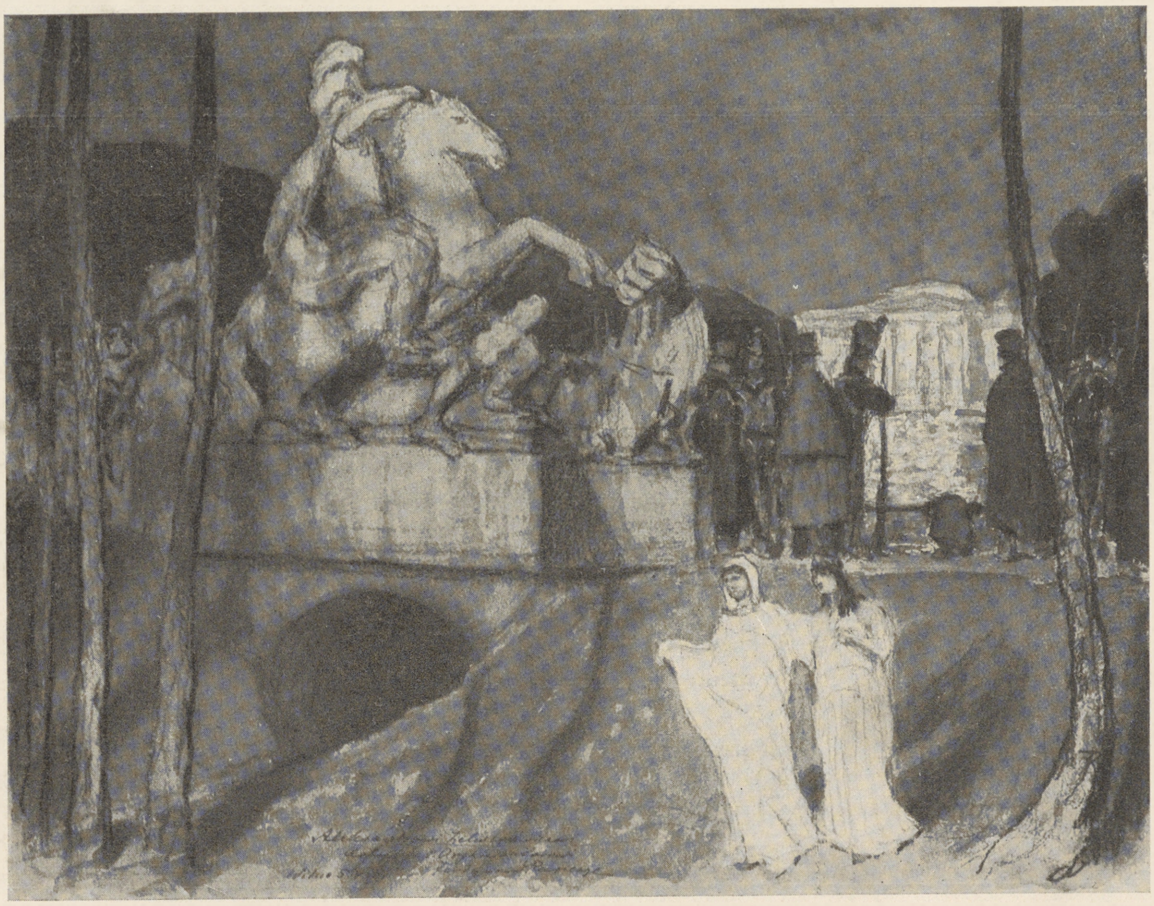
. . . .

zaś w nieśmiertelnych wieńcu wrócę!...

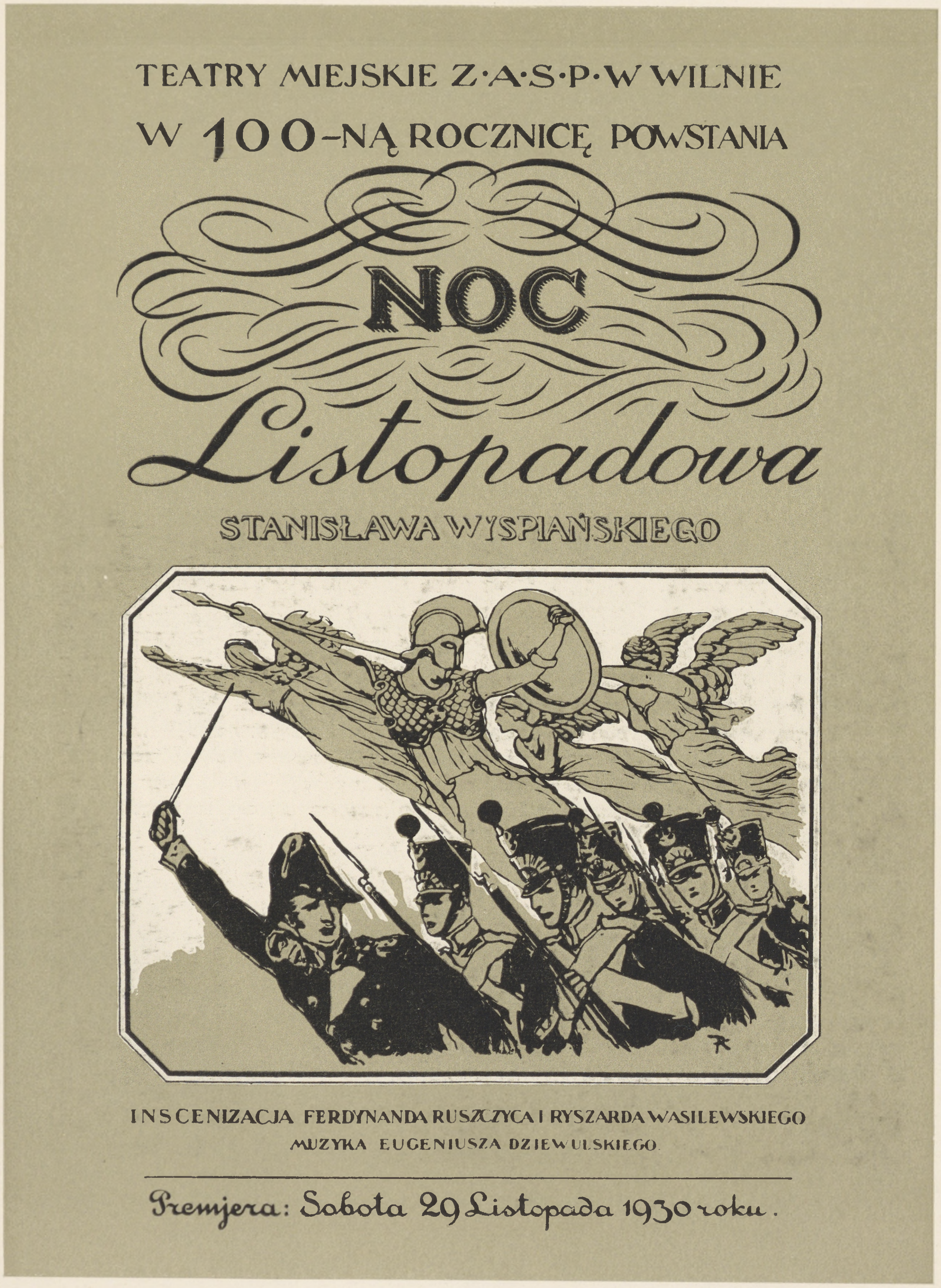
I mistrzowska szata sceniczna, co te proroctwa odziewa, i czyni je ciałem, i urzeka patrzących czarodziejską mocą!...

. . . .

Oto jest znowu święto teatru Ruszczycowskiego, i znowu czujemy ten wiew potęgi i czaru, idący od Ruszczycowskich szczytów. Miasto jest podniecone, zelektryzowane, a nasza gromadka jeszcze ciaśniejszem kołem otacza swego kochanego Dziekana. Inscenizacji „Nocy Listopadowej" z powodu szczególnych warunków jej oświetlenia nie dało się sfotografować, więc Ruszczyc sam naryso-



F. RUSZCZYC — NOC LISTOPADOWA. SCENA W ŁAZIENKACH



F. RUSZCZYC

PLAKAT „NOCY LISTOPADOWEJ" (1930)
AFFICHE DE „NOC LISTOPADOWA", DRAME DE S. WYSPIAŃSKI

wał pastelami tę scenę na moście Sobieskiego z Korą i Demeterą, ale niestety darował ten obraz dyrektorowi Zelwerowiczowi, który go wywiózł z Wilna. Został tylko afisz kolorowy, zastosowany do stylu owego czasu. Przedstawia lot bogiń zwycięstwa i pochód żołnierzy. Jest porywający. Należałoby zebrać wszystkie plakaty Ruszczyca i zrobić ich dokładny wykaz opisowy dla scharakteryzowania tej odrębnej i ważnej gałęzi jego twórczości. Cykl tych afiszów zamyka ostatni z roku 1931-go zrobiony na Archidjecezjalny Kongres Eucharystyczny. Tonacja złocisto-biała w szarem obramieniu. Treść: złota monstrancja gotycka, *uczyniona z kościoła Św. Anny*. Monstrancja i świątynia łączą się w jeden akt strzelistego uniesienia ku szczytom piękna ziemskiego i boskiego. Śnieżyste tło lilij, przetykane złotymi żyłkami, ma białość duszy dziecięcej, przyjmującej pierwszą komunję. Żeby narysować taki obraz religijny — boć ten afisz jest obrazem — trzeba być człowiekiem głęboko wierzącym. Ten piękny plakat jest ostatnim w życiu Ruszczyca. Los zrządził, że ostatniem wołaniem jego artyzmu graficznego, publicznem i głośnem, był poryw ku niebiosom na skrzydłach gotyckiej strzelistości.

Ostatnia jego okładka — to rysunek do „Rzutu oka na historję książki wileńskiej" Jerzego Czarneckiego. Napisał pod tym pseudonimem książkę Tadeusz Turkowski, światły i zapalony podolanin, oddawna wczuty i wrośnięty w nasze Wilno, o czem świadczy komentarz: „Pisano w Wilnie wiosną roku 1932-gi, *w setną rocznicę zniweczenia Wszechnicy Wileńskiej*". Ruszczyc przeczytał w rękopisie książkę p. Turkowskiego, przeznaczoną na Zjazd Bibliofilów w Wilnie i przejęty jej treścią, dał mu rysunek, przedstawiający gorejącą pochodnię humanizmu — berło z trumny królowej Barbary, oplecione wiankiem romantycznym z kwiatów i cierni. Tak sam tłumaczył autorowi symbolikę swego rysunku na okładkę, czujny na każdy przejaw kultu dla tradycyj wileńskich.

Na Uniwersytecie Ruszczyc wprowadza do swego Wydziału nowe siły z młodszej generacji. Przychodzą kolejno Śleńdziński, Niesiołowski, Borowski, Morelowski, przyjdą później Jamont i Hoppen. Rozumie Ruszczyc, że Wydział powinien rosnąć, jak żywy organizm i odnawiać na podobieństwo drzewa swoje pędy i liście. Potem nawet ustąpi z Dziekaństwa i wysunie na swe miejsce Śleńdzińskiego, już znanego artystę malarza, nabierającego coraz większego rozgłosu. W tym samym roku trzydziestym wygłosi Ruszczyc aż pięć odczytów, dwa poświęcone Wilnu („Liść wawrzynu, odcz. 24 i 26), trzeci, jako wrażenia z wycieczki na Węgry, dokąd był delegowany przez Uniwersytet dla rewizytowania tamtejszych uczelni i dwa odczyty, poświęcone swojej uczelni wileńskiej. Na Węgrzech zwiedza Budapeszt i jedzie do Uniwersytetu w Szeged, gdzie jest przyjmowany z kordjalnością i powagą, cechującą zaszczytnie gościnny i szlachetny naród węgierski. Z odczytu jego sprawozdawczego („Liść wawrzynu", odcz. 25) ujrzymy, jak wierny sobie zostaje zawsze Ruszczyc w tem, co go uderza i zachwyca w ludziach i zdarzeniach, jak korzy się przed patrjotyzmem Węgrów i ich umiłowaniem Ojczyzny, okrojonej do jednej trzeciej właściwego obszaru. Polak i Węgier są obaj dobrej rasy szlacheckiej i mają wiele punktów stycznych — porozumienia i zrozumienia.

Dwa pozostałe odczyty są poświęcone Uniwersytetowi („Liść wawrzynu", odcz. 27 i 28 r.) i opisują szczegółowo dzieje Wydziału Sztuk Pięknych i dzieje odbudowy Uniwersytetu i jego murów. Gospodarz siada na odwieczerz na przyźbie chaty i z cichym uśmiechem dusznego zaspokojenia czyni przegląd użętku i dobytku, cieszy się z dostatku i ładu w obejściu i na polu. Nauczyciel całego pokolenia zdaje sprawę ze swych czynności ludziom, a człowiek — składa raport Najwyższemu. Te odczyty są stwierdzeniem dokonań licznych, jak piasek w morzu, a niema wśród nich żadnego, któryby nie przynosił jeszcze jednego listka wawrzynu, jeszcze jednego płatka róży do wieńca Ruszczycowskiego żywota. Odczytów o Wilnie nie będę już omawiał, ale powiem, że szczególnie piękne i wzruszające było jego przemówienie w dziesięcioletnią rocznicę odzyskania Wilna, gdy wska-

zywał na ludzi, „w których gorzał duch wytrwania i duch rozsadzającego więzy umiłowania“, gdy mówił o Wilnie, które „jak oblubienica, ma wielu starających się, lecz los dumnej ze swych wdzięków dziewczyny jest w jej ręku, w uczynionym wyborze i wierności“.

Ale czyż zawsze mówić mają tylko głazy wileńskie, pełne ech przebrzmiałej chwały, czy milczeć ma rozłożysta i falista Ziemia Wileńska, tak pełna niepozornego a ujmującego wdzięku? Ta ziemia, od wileńskich Karolinek i Rossy do Bohdanowskiego wzgórza z oraczem, tak cała ogarnięta ciepłem Ruszczycowskiego miłowania, że niema na niej miejsca, któreby nie wołało jego imieniem? I o niej przypomni sobie wreszcie autor „Ziemi“, porzuconej dla „miłego miasta“, powróci w słowie do jej pejzażu, tak dawno nie malowanego, zapomnianego dla innych zadań. Odma luje ten pejzaż w odczycie dla kobiet wileńskich („Liść wawrzynu“ odcz. 30) wygłoszonym w Związku Pań Domu w dniu 18 stycznia 1931 roku i poruszy nim wszystkie serca. Opisze po swojemu cechy krajobrazu naszego, podkreśli jego naturalność, różnorodność i harmonijność, pokaże, jak zespala się z nim człowiek, który tu nie wnosi krzyku, tylko nuci dla siebie cichą i rzewną melodję, jak jednoczy się z naturą niestrzeżoną, pozostawioną swojej zadumie. A zakończy apelem do naszej kobiety, władczyni domu, by strzegła świętego ognia umiłowania ziemi, by szerzyła zrozumienie uroku, słodyczy i czarodziejstwa, które kryje się w tem jednem małem słówku — „NASZA“.

Niebawem otrzyma Ferdynand wymowny dowód, że sam jest *naszym* Ruszczycem, szanowanym i kochanym przez wszystkich wilnian. Rada Miejska miasta Wilna ustanawia nagrodę artystyczną miasta za wybitne zasługi dla kraju w dziedzinie plastyki, nagrodę, przyznawaną raz na cztery lata. Po raz pierwszy jednomyślnie udzieli jej w dniu 11 marca 1931-go roku Ferdynandowi Ruszczycowi, mając na uwadze „całokształt jego znakomitej twórczości plastycznej, przynoszącej sławę całej Polsce, a zwłaszcza jego rodowitej Ziemi Wileńskiej, oraz pełną poświęcenia, datującą się od czasów niewoli pracę około podniesienia poziomu wszelkich poczynań kulturalnych i artystycznych Wilna“. Dyplom ten jest wypisany na pergaminie i ma przywieszoną pieczęć lakową ze świętym Krzysztofem w wytwornej srebrnej puszce, a łączy ją z dokumentem samodziałowy pasek ludowy. I jeszcze raz poruszą się żywiej, zatętnią mocniej serca, skupią się dokoła swego Mistrza w uroczystym obchodzie, na którym jest obecna cała rodzina Ruszczyca i przedstawiciele wszystkich sfer miasta. Przeżyje on piękną chwilę, serdeczną i nieprzymuszoną, pozbawioną wszelkiej urzędowości, głęboko wzruszającą dla najbliższych.

. . . .
. . . .

Co jeszcze można uczynić w życiu? dokąd pójść, jakim ołtarzom się pokłonić, jakie szczyty i krasy wyczarować i uczcić i ludziom ukazać, w jaką służbę ziemską się zaprządz, zanim służba boska do siebie nie zawoła?

Owszem — jeszcze jednego niedostawało wiernemu rycerzowi piękna, z jednem jeszcze nie spotkał się oko w oko, choć upragnieniem tego był trawiony przez całe życie. To — najwyższy polski majestat... to królewskość, której śladami słał swe dumne polskie orły, jak gońce nieukojnej tęsknoty. Któż prawdziwiej i mocniej odpowiedzieć może na zew jego tęsknoty za wielkością, jak nie królowie, dzierżyciele majestatu Korony Polskiej?... Królom musi pokłonić się, zanim nie odejdzie na wieczny spoczynek ten, czyje życie było jednem wołaniem o królewskość.

Staje się i to. Na jesieni 1931-go roku odkrywa profesor Juljusz Kłos w Bazylice Wileńskiej groby królewskie. W krypcie nietkniętej od stuleci, niedaleko wielkiego ołtarza, spoczywają: król Aleksander Jagiellończyk, królowa Elżbieta Rakuska, królowa Barbara Radziwiłłówna. Korony, berła, miecz, sygnety, jabłko monarsze, klejnoty pomiędzy prochami, powiew legendy, święty dreszcz

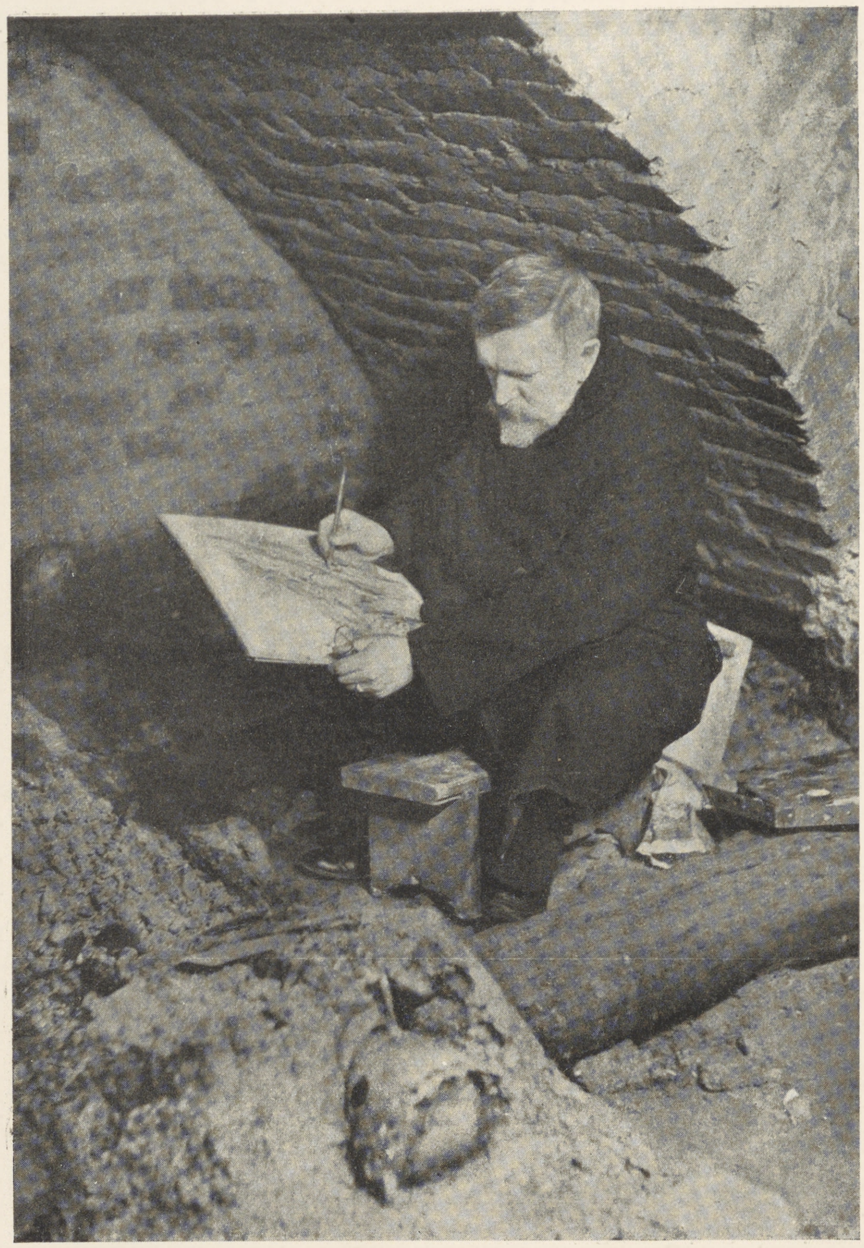


F. RUSZCZYC SZCZĄTKI KRÓLOWEJ BARBARY W PODZIEMIACH KATEDRY (1931)

przed chwałą dynastji Jagiellońskiej... Klęka przed grobami Ruszczyc, przepełniony czcią i uwielbieniem dla swoich królów, odczuwający związek swej duszy z ich duchem, co uleciał z prochów, by żyć w nieśmiertelnej legendzie... Schodzi do krypty, bada, patrzy i rozmyśla, nie może się oderwać od trumny Barbary, przeżywa jej krótkie, tragiczne dzieje, jaśniejące czarem poezji, bierze ołówki i rysuje dostojne ukoronowane relikwje. Celebruje górnie te wileńskie dni królewskie, przeniesiony do świata swoich utęsknień, składa polskie wiernopoddańcze hołdy przed odsłoniętym rąbkiem przeszłości. Jest rażony zachwyceniem w samo serce. Powstaje wtedy sześć jego rysunków kolorowych. A ja zdołałem uchwycić jego postać, gdy te rysunki wykonywał, pochylony nad koroną królowej Barbary.

„Długa jest doba, a krótka i nieczęsta godzina rosy“ — powiedział mi kiedyś. Ale i ta godzina rosy przyszła dla niego i uwieńczyła jego życie, pełne snów o wielkości. Wiele natrudził się w życiu, ale i szczęścia doznał niemało. Zaznał wszystkiego, czego pragnąć może człowiek mądry i dobry, naznaczony od Boga stygmatem wybrańca. A on umie „uświadamiać sobie szczęście“, i jeśli co mu je przesłania, to chyba tylko niespożyta energja i żądza coraz nowych wyładowań. Ale są chwile-błyskawice, co starczą za lata... W ich mgnieniach objawiają się szczyty odczuwania. Gdy zaś człowiek zaznał dużo szczęścia, to pragnie za nie komuś podziękować i ta potrzeba jest miarą jego wzbogacenia. Tak uczy i tak czuje Ruszczyc.

Uniwersytet nasz jest pod patronatem Marszałka Piłsudskiego i ma względem niego szczególne po-



FOT. J. BUŁHAK. F. RUSZCZYC W PODZIEMIACH KATEDRY (1931)

wody do wdzięczności. Portret Marszałka, malowany przez Śleńdzińskiego, znajduje się w Auli Kolumnowej, a Ruszczyc żywi dla wskrzesiciela Uniwersytetu podziw wdzięczny i żarliwy. Wielkość duszy Ruszczyca łaknie pochylenia się przed wielkością bohaterstwa. Między tymi ludźmi istnieją jakieś niewidzialne związki, jakieś nici tajemnego pokrewieństwa, mimo odmienności dusz, rozciągają się od Belwederu do Wilna. Marszałek jest przecież artystą w duszy, poetą słowa i czynu, a Ruszczyc — rycerzem i bojownikiem w służbie Rzeczypospolitej; ich dusze musiały ulegać nieraz bezwiednemu przyciąganiu. I to ostatnie przed śmiercią przemówienie, ostatni hołd słowem, jeszcze nie skutem przez niemoc, Żołnierz poświęca Wodzowi, Rycerz oddaje Hetmanowi. W synowskiej czci i miłującej pokorze skłania się przed Tym, który wyrwał z pohańbienia barbarzyńskiego swoje „miłe miasto", który wznowił w niem Wszechnicę Batorową i mądrością serca, a dłonią władną osłaniał „ten ledwie tlejący płomyk piękna", strzegąc, by go nie zagasiły „zimne podmuchy poziomego rozumku".

Na imieniny Marszałka Piłsudskiego Uniwersytet urządza w marcu 1932-go roku w Auli Kolumnowej uroczystą akademję i Ruszczyc wypowiada tam swą wielką mowę o „stosunku Marszałka do Wilna i do Sztuki".

Jest to ostatnia mowa Ruszczyca w życiu. Po tej nie powiedział już żadnej.

. . . .

Różowy odwieczerz kłoni się ku wieczornej purpurze zachodu. Po niwach już zżętych i pustych kreślą się długie cienie. Zgęstnia się ich chłodna modrość i zaczyna pochłaniać smugi jasności. Cichym polotem nietoperza skrada się zmierzch ku polom i tylko w górze, ponad ziemią, jak glorja boskich zaświatów, promienieje i rumieni się niebo. Łaska światłości opuszcza ziemię i uchodzi wzwyż ku tronowi Najwyższego...

Gospodarz Bohdanowa jest utrudzon wielce, choć nie dopuszcza do siebie tej myśli, choć trwa w pracownym kręgu żywota i, jak za młodszych lat, oddaje swe siły i wczasy temu, co miłuje. Ale siły są nadwątlone trudem niepomiernym. Duch jest mocny, lecz ciało staje się mdłe. Niebawem odmówi posłuchu mężnemu duchowi...

Gospodarz Bohdanowa przenosi wzrok od pełnych stodół i brogów do tego północnego wzgórza z jodłami, gdzie tyle lat orał ziemię twardą i zapuszczoną, i gdzie — na przyszłą wiosnę — wyjść chce znów za pługiem, by rolę sposobić do nowego siewu... Bo siać trzeba zawsze... do ostatka... jeszcze stygnącą dłonią będzie chciał rzucać ziarna w rozwarte skiby...

Gospodarz Bohdanowa nie wie, że nowej siejby na wiosnę już nie dopełni, że Moc Boża powoła go w „tamten inny kraj, kędy są wiecznotrwałe siły...". Ale nie wie Gospodarz utrudzony i tego, że za swoim umiłowanym Juljuszem ma prawo rzec:

„...zostanie po mnie ta siła fatalna,
co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi".



ROZDZIAŁ XIV

ZMIERZCH I MROK (1933 — 1936)

Jesienią byłem mocno zaabsorbowany przygotowywaniem do druku „Techniki bromowej", która rozpoczęła serję moich wydawnictw książkowych. Nie widziałem Ferdynanda coś z tydzień i wybierałem się go odwiedzić, ale w nawale pracy nowej i wciągającej nie znalazłem chwili sposobnej. Któregoś wieczoru wpadłem do cukierni Sztrala przy ulicy Zamkowej do telefonu, gdyż miałem coś pilnego do załatwienia i śpieszyłem bardzo. Spojrzałem w głąb sąsiedniej sali i tam zdaleka ujrzałem sylwetkę Ferdynanda, obróconego do mnie plecami i schylonego nad gazetą. Może z powodu pozy wydał mi się jakiś samotny i przygarbiony, ścisnęło się we mnie serce i już chciałem podejść do niego, gdy słuchawka obwieściła połączenie i rozmowę, a w jej wyniku mus natychmiastowego załatwienia, jak fala odrzucił mię od cukierni i od tej smutnej sylwety. Odszedłem z dziwnie przykrem uczuciem, którego nie mogła rozproszyć nawet znaleziona w domu wiadomość, że Fundusz Kultury Narodowej przyznał mi zapomogę na wydanie mojej książki. Nazajutrz skorzystałem z pierwszej chwili wolnej i poleciałem do Ferdynanda, by go zobaczyć, rozpytać o zdrowie, a także podzielić się z nim moją dobrą nowiną, bo wiedziałem, jak mocno brał on do serca takie sprawy. Ale na Zamkowej trafiłem na dziwne zamieszanie — wbrew zwyczajowi, nie puszczono mię do niego. Do przedpokoju wyszła pani Gina ze zmienioną twarzą i powiedziała mi, że Ferdynand jest bardzo chory... że miał w nocy atak, że widzieć go niepodobna... W pierwszej chwili nie mogłem poprostu w to uwierzyć i pomyślałem, że to przesada domowej troskliwości. Zdawało mi się niemożliwem, by mógł podpadać słabościom fizycznym taki mocny człowiek, jak Ferdynand, który nie chorował nigdy odkąd go znałem... potem coś osunęło się we mnie i zakrzepło w cierpką szarzyznę... wyszedłem z ciężkiem sercem... A wieczorem tegoż dnia musiałem jechać do Lwowa, jako delegat wileński na Zjazd Towarzystw Fotograficznych i było już zapóźno probować zwolnić się od tego obowiązku... I tak już nigdy nie zobaczyłem więcej dawnego promiennego Ruszczyca, a tamtego wieczoru nie spotkałem się z nim z własnej winy... Ciężkie jest poczucie takiej winy, choćby mimowolnej.

Od 28 października 1932-go roku Wilno już nie miało swego Ruszczyca. Nie miał go już więcej Uniwersytet, ani teatr, ani urbanistyka, ani społeczeństwo, nie miała go żadna zbiorowość wileńska. Wszyscy zostali pozbawieni jego „snów o pięknie". Przyjęły go do siebie z powrotem dom i rodzina, za któremi zawsze tęsknił, dla których zawsze miał zamało czasu. Żona i najstarsza córka wzięły go złamanego fizycznie, bezwładnego, zagrożonego w samem życiu i otoczyły najczulszą opieką z tem oddaniem, do jakiego są zdolne polskie kobiety. Straszliwym kosztem odzyskiwały one swoje prawa do męża i ojca, to odzyskanie, to objęcie jego na wyłączną własność w kręgu domowym, to był jeden ciąg poświęceń ze strony pani Giny i Ini. Codziennie przez cztery lata sypały się,

jak piasek w klepsydrze te okruchy samozaparcia i nagromadzały się w wysoką górę miłującego ofiarowania jemu całych siebie. Atak paraliżu odebrał Ferdynandowi władzę w prawej połowie ciała i pozbawił go mowy. Trzeba było nie odstępować go ani na krok, trzeba było pielęgnować go jak niemowlę; tylko trwoga o życie jego mogła zagłuszyć poczucie bolesnego kontrastu między tem, czem ten wspaniały mężczyzna był wczoraj, a czem stawał się dzisiaj, niedołężny i, jak dziecko, zależny od innych. Po jakimś czasie władza i mowa zaczęły wracać powoli, niebezpieczeństwo bezpośrednie ustąpiło, polepszenie zaczęło zarysowywać się wyraźniej, ale to wszystko było tak niewiele w porównaniu z utraconem... Więc te dwie kobiety stały się jego rękami i głosem, jego ruchami i wyjawieniami, jego rozumieniem i postrzeganiem, wcieliły się w jego istotę, zrzekając się osobowości własnej, i żyły tylko dla niego i przez niego. Dowiodły, że nasza polska rodzina jest po dawnemu hartowna i mężna. Dowiodły, że są godne być żoną i córką Ruszczyca.

Ludzi poznaje się w nieszczęściu. Dopiero wtedy „Rodzina Ruszczyców" ukazała całą swoją wartość. Jeśli Ferdynand nie zmarł wkrótce po ataku, spowodowanym przez dusznicę serca i skrzep w mózgu, jeśli od złego losu odkradziono mu jeszcze całe cztery lata życia, uczyniły to Regina Ruszczycowa i Janina Ruszczycówna, żona i córka. Przed temi kobietami można uklęknąć. Żadnej ręki kobiecej nie całuje się z takim szacunkiem i z takiem uczuciem prawowitości tego szacunku, jak ich ręce — można być spokojnym o kraj, w którym rodzą się takie kobiety. A trzeba zważyć, że Inia w tych czasach jeszcze się uczyła i miała na codzień swoje lekcje i zadania, że pani Gina przy



F. RUSZCZYC — ZE SZKICOWNIKA. RYSUNEK ARTYSTY W WIEKU LAT 20 (1890)

słabem zdrowiu ciągle potrzebowała kuracji i wypoczynku, na które nigdy nie było czasu. Musiała zapomnieć o własnych niedomaganiach i ich leczeniu, by nie odstępować męża. Świadomie wykonywała jakby transfuzję swych wątłych sił życiowych do organizmu chorego, przedłużała jego życie, narażając swoje. Takie rzeczy należy wiedzieć i mówić głośno, a myśleć o nich jest pokrzepieniem dla każdego, kto dba o Polskę. Na takich rodzinach opiera się nieśmiertelna moc Ojczyzny. Równa jest rzymskiej „virtus" ta staropolska cnota.

W grudniu zakupiono na intencję wyzdrowienia Ferdynanda mszę w Ostrej Bramie. Nie wiem kto był inicjatorem, ale to wszystko jedno, bo inicjatorów mogło być wielu. Każdyby to uczynił, kto go bliżej znał, a mógł nawet nie znać i czuć tak samo. Zapełniła się nietylko ciasna kaplica Ostrobramska, lecz i cała ulica przed odsłoniętym obrazem. Wilno prosiło Matkę Boską, by wyjednała u Boga zachowanie życia Ruszczycowi i przywróciła mu zdrowie. Wilno nie chciało uwierzyć w możność utraty swego dobrego ducha. Wiele westchnień popłynęło tego dnia ku szarej oponie zimowego nieba.

Ujrzałem go pierwszy raz dopiero po paru miesiącach, gdy już polepszenie stało się oczywistem i obawa o jego życie ustała zupełnie. Gdy zobaczyłem tę twarz wychudłą, która próbowała uśmiechnąć się do mnie i tę drogą głowę, zupełnie zbielałą, musiałem czynić wysiłek, by nie przypaść do ręki chorego. Ale wszelkie wzruszenia były mu surowo zakazane i widzenie to musiało mieć formy spokojnej rozmowy towarzyskiej, co było dla mnie nieznośnym ciężarem. Musiałem mówić rzeczy banalne, gdy serce pragnęło zwinąć się u jego stóp, a usta łaknęły opowiadać mu o długich tygodniach trwogi i bólu... Więc zostawały tylko oczy i te wyręczały usta. A jego oczy były już przytomne, wracały pomału do swego jasnego żarzenia i spoczywały na mnie z przyjaznem zainteresowaniem. Na moje słowa odpowiedział kilku niewyraźnemi dźwiękami, które mogły oznaczać podziękowanie lub potwierdzenie. Po kilku minutach wyszedłem do chorego, bo nie można było nużyć go dłuższą rozmową.

W ciągu zimy Ferdynand poprawił się tak dalece, że już trochę chodził, powłócząc prawą nogą, siadał do stołu z rodziną, jadł z apetytem, przeglądał pisma i śmiał się głośno dźwięcznym, rozlewnym śmiechem, przypominającym dawnego zdrowego. Lubił, by mu czytano i rozmawiano z nim i chciał wiedzieć o wszystkiem, co się dzieje w mieście i na Uniwersytecie. Zdradzał przy tem umysł żwawy, pamięć normalną i coraz szersze zainteresowania. Ale mowa mu nie powracała: wymawiał wyrazy pojedyńcze, stosował je trafnie, jako odpowiedniki sensownie zbudowanej myśli, ale dalej pójść nie był w stanie — utworzyć dłuższego zdania nad jakieś trzy słowa nie mógł. I to mu zostało do końca.

A to właśnie było najstraszniejsze. Można było pogodzić się z bezwładnością prawej ręki widząc, jak coraz zręczniej radził on sobie lewą. Twarz zaczęła odzyskiwać zdrowszą cerę, oczy się wypogodziły, szlafrok pierwszych miesięcy został zastąpiony zwyczajnem ubraniem, głos jego i śmiech dźwięczały w całym domu, a żywość przeradzała się w niecierpliwość podniecona i nieco dziecinną. Chciał wszędzie być, wszystko widzieć, z każdym się przywitać, chciał brać najczynniejszy udział w życiu rodziny i domowników, wśród których nie można nie wymienić panny Józefy Buchartowskiej, przyjaciółki rodziny i nauczycielki dzieci Ruszczycowskich, osoby oddanej im całą duszą. Słowem, możnaby było przyjąć z rezygnacją kalectwoRuszczyca i pocieszać się tem, że stracony dla Wilna, odżyje w kole domowem. Ale straszna była ta ściana nieprzenikniona, nieubłagana, która go oddzielała od całego świata, od życia, od najbliższych — ta jego niemożność wypowiadania się, to uwięzienie przez jakiś marny skrzep w systemie krwionośnym wszystkich zasobów jego myśli, to skazanie na nieujawnienie wszystkich porywów jego bogatej natury. Żona i córka nauczyły się rychło chwytać w lot znaczenie jego wygłosów i gestów, domyślnością serca zgadywały każdą jego myśl



F. RUSZCZYC BAJKA ZIMOWA (1904)

i zachciankę, jak matka, która zawsze wie, czemu płacze jej niemowlę. Ale dla innych, nie obcujących z nim tak często i nie mających tej intuicji, rozumienie chorego było często niemożliwe, a zawsze bardzo niełatwe. Było uciążliwe fizycznie, i przynosiło niewymowne udręczenie moralne. Niepodobna było pogodzić się z tym bolesnym kontrastem, jaki stanowił dzisiejszy Ruszczyc w porównaniu z tamtym świetnym, jaśniejącym radosną mocą, jakiego się pamiętało tak niedawno. Było w tej różnicy poczucie okrutnej i bezmyślnej krzywdy, jakiś protest przed karykaturowaniem wzniosłości, jakiś tragizm poniżonego ideału.

W drugim roku choroby Ruszczyc już odbywał po mieście długie spacery, chodził do kina, był parę razy u mnie, odwiedził Dziekanat Sztuk Pięknych, a szczególnie lubił przechadzać się w okolicy świętej Anny i Bernardynów. Wychodził dyskretnie ze swego dziedzińca furtką na zaułek Świętomichalski, by uniknąć ruchliwej ulicy Zamkowej. Rozumiejąc swój stan, nie chciał obarczać ludzi obcych swojem towarzystwem, ale w razie spotkania, gdy ktoś sam się do niego zbliżył, cieszył się serdecznie każdemu znajomemu, uśmiechał się przyjaźnie i przywtarzał swojem wesołem „tak — właśnie, właśnie!". Pani Gina i Inia nie mogły oczywiście towarzyszyć mu ciągle i wogóle ruchliwy i przedsiębiorczy pacjent wymagał stałej opieki pozadomowej, więc mu przydano panią Teklę Sobolewską, zacności starowinkę, dawną ochmistrzynię, a więcej przyjaciółkę obydwuch rodzin Ruszczyców i Rouckòw, i ta pani Sobolewska odbywała z nim wszystkie wyprawy po mieście. A że to było

już możliwe, że rodzina zdecydowała się zostawiać na tak długo chorego bez siebie, to dowodziło znacznego polepszenia jego zdrowia. Był naturalnie pod stałą opieką lekarzy Wydziału Medycznego wraz z prof. Januszkiewiczem i ci czynili coraz lepsze nadzieje. Zaczęto mu stosować specjalne zabiegi elektryczne i hypnotyczne, imano się wszelkich środków, jakiemi rozporządzała nowoczesna wiedza. Naukę mówienia ujęto w system regularnych lekcyj rysunkowo-fonetycznych, nauczycielką była pani Gina i wkrótce mogła pochwalić swego ucznia za niezłe postępy, bo wymawiał coraz lepiej i mówił coraz więcej wyrazów. Rozczulający to był i razem bolesny widok tych lekcyj, zadań i zeszytów, przypominających szkołę początkową, a żona, ucząca męża, nabierała podniosłego dostojeństwa matki. Ferdynand zaczął pisać lewą ręką i choć czynił to na powietrzu, nie opierając ręki o stół, niebawem nauczył się kreślić litery dość porządnie. Technika pisma była chwiejna i falista, ale rysunek charakterystyczny zachowany i podobieństwo do dawnego pisma zupełne. Zacząłem i ja otrzymywać od niego listy i można sobie wyobrazić, z jakiem uczuciem odczytywałem te drżące sznureczki wierszy. Pamięć zachował Ferdynand wyborną i w całym domu był on zawsze pierwszy od przypomnienia o czyichś imieninach, o jakiejś rocznicy lub terminie. Ale stał się porywisty i niecierpliwy, zżymał się, gdy domowi nie odrazu go rozumieli, a to rozumienie nie było łatwe, bo zakres jego obcowania myślowego coraz się rozszerzał i myśl jego przeskakiwała do rzeczy coraz dalszych i przez to trudniejszych do odgadnięcia. Mogąc zaś coraz więcej, chory nie zadawalniał się tem, co miał i chciał wszystkiego. Wiele biedy miały z nim obiedwie opiekunki, bo ułomność czyni człowieka niewyrozumiałym i cierpkim i trzeba podziwiać łagodność i słodycz, z jaką znosiły oznaki jego niezadowolenia. Tylko w ofiarnem, nic dla siebie nie żądającem sercu kobiet chrześcijańskich i polskich można znaleść takie skarby dobroci i wyrzeczenia. W tych latach próby pani Gina doszła do wyżyn heroizmu, a Inia mimo młodego wieku dojrzała do powagi kobiety, rozumiejącej życie i jego obowiązki. Zyskała przy tem wiele dla siebie, bo zmuszona do ciągłych poszukiwań i orjentowania się w zbiorach rysunkowych ojca, poznała gruntownie cały ich zakres, ponad swój młody wiek wykształciła smak i poczucie artystyczne i będzie miała na całe życie szacowną po nim pamiątkę. Będzie mogła powiedzieć, że na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Stefana Batorego była ostatnią i najlepszą uczennicą profesora Ruszczyca.

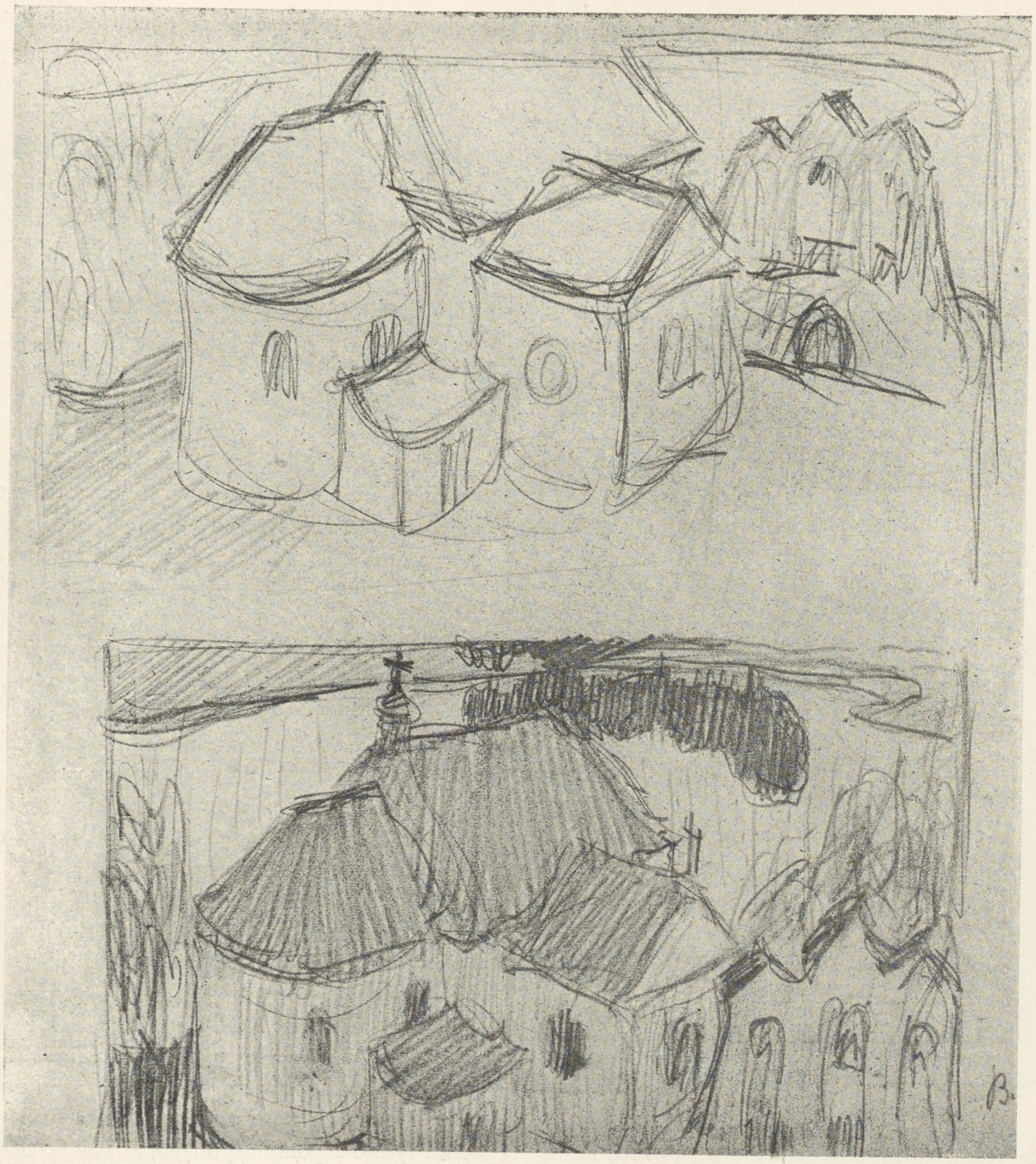
W roku 1934-tym Ferdynand czuł się już tak dobrze, że zabrał się do pracy i zaczął porządkować swoje zbiory, poruszył swoje obfite, a zaniedbane archiwum i całemi dniami przesiadywał ze wspomnieniami, które stamtąd czerpał. Zdolność wiązania zdań jednak mu nie wracała, mimo optymistycznych spostrzeżeń i nadziei, jakie sobie wmawiała rodzina i jakie ja wraz z nimi podzielałem. Więc nie mogąc obcować z ludźmi dnia dzisiejszego, zaczął żyć z ludźmi dawnymi, z tymi, co schodzili do niego z kart jego archiwum. Tam mógł on rozszerzać swoją ekspansję, sięgać w coraz dalszą przeszłość, odnajdywać pamiątki rodzinne, odświeżać wydarzenia z epoki swoich przodków i z życia tamtoczesnego świata. A zbiory jego były ogromne i bardzo wielostronne.

Często pokazywał mi, gdyśmy zostali sami, jakieś wyszukane zestawienie dat, ludzi i zdarzeń i swoją biedną, niedołężną mową usiłował mi zasugestjonować wagę uczynionego spostrzeżenia. Odsunięty od świata żyjącego i kipiącego żądzą jutra, odwracał się tem chętniej do dnia wczorajszego, do przeszłości i tam umiał wynajdywać coraz nowe przedmioty rozmyślań i wzruszeń, ożywiał ten przeminiony, w proch zapadnięty świat swoją wiecznie młodą pamięcią i wyobraźnią. Przeżywał nanowo swoje bujne, wspaniałe, płodne życie. Był znowu twórczy w obrębie czterech ścian pokoju, był znowu żywy, pobudliwy, czujny, choć przykuty do najbliższych miejsc i sprzętów. I nietylko żywy, ale jeszcze bardziej wgłębiony w ostateczne sprawy żywota, jeszcze bardziej uduchowiony, jeszcze nabożniej świętujący misterjum „Ziemi“ pod ogromnemi chmurami, otwartemi na Boże błękity, jeszcze wyraźniej słyszący wołanie z zaświatów. Podobnie, jak Beethoven, odcięty od



F. RUSZCZYC

BAJKA ZIMOWA (1904)
FÉERIE D'HIVER



F. RUSZCZYC ZE SZKICOWNIKA. KOŚCIÓŁ W WISZNIEWIE

wyjawień świata, ale tem bliżej słyszący w swojej duszy harmonję niebieskich sfer, niezagłuszoną zgrzytem codzienności. Odsunięty od rzeczy błahych i przelotnych, był zdany na samego siebie i tylko w sobie czerpał moc trwania, uśmiechania się do życia i modlenia się do Wieczności. A nie mogąc wypowiedzieć słowami uczuć wezbranej duszy, czynił to pośrednio, własnym, przez siebie wynalezionym sposobem. Wypowiadał się myślami innych ludzi, zaczerpniętemi z pism, wycinków,

listów, rysunków, z cytat ulubionych autorów, w których umiał zawsze znaleźć odpowiednik własnej myśli i podkreślić w nich to, co było szlachetne i warte pokłonu. Układał w ten sposób wzniosłe rebusy duszy, rozpierającej przeszkody ułomności fizycznej, układał wzruszające łamigłówki, których odcyfrowywanie wywoływało w świadku bezgłośny jęk bólu i grozy, niemy okrzyk podziwu i uwielbienia wobec tego rozpaczliwego zmagania się ducha z materją. Takim świadkiem bywałem ja często — nieraz przypadło mi w udziale być powiernikiem wrażeń i odczuwań Ferdynanda, powiernikiem, niestety, może bardziej gorliwym, niż pojętnym. Jedno było mi nietrudno zrozumieć: — to, że zainteresowania jego nie są zabawkami schorowanego starca, lecz rozumną pracą myśli zdrowej i jasnej, uwięzionej w ciele ułomnem.



F. RUSZCZYC MOTYW Z GABINETU W BOHDANOWIE

Wtedy to chorego dogania ostatni odbłysk, ostatnie echo dawnej wrącej działalności. Otrzymuje dwa wysokie odznaczenia zagraniczne: hiszpański order Izabelli Katolickiej, przyznany mu 13 maja 1932 roku i order portugalski Świętego Jakóba (Santiago de Espada) przyznany 28 września tegoż roku. Odznaczenia te, doręczone w dwa lata po ich udzieleniu, przesyła mu Ministerstwo Spraw Zagranicznych z kurtuazyjnym listem i mam sposobność ucieszyć się z dyskretnie miarkowanej radości Ruszczyca, gdy ogląda te klejnociki, pokazuje mi ich kolorową świetność i cieszy się tym spóźnionym plonem swojej dawnej siejby. Te ordery — to podziękowanie za jego akcję dyplomatyczną w dawnych latach, to uznanie jego wysokich zasług społecznych i artystycznych. Refleks z antypodów, promień, zabłąkany od gwiazd dalekiego firmamentu.

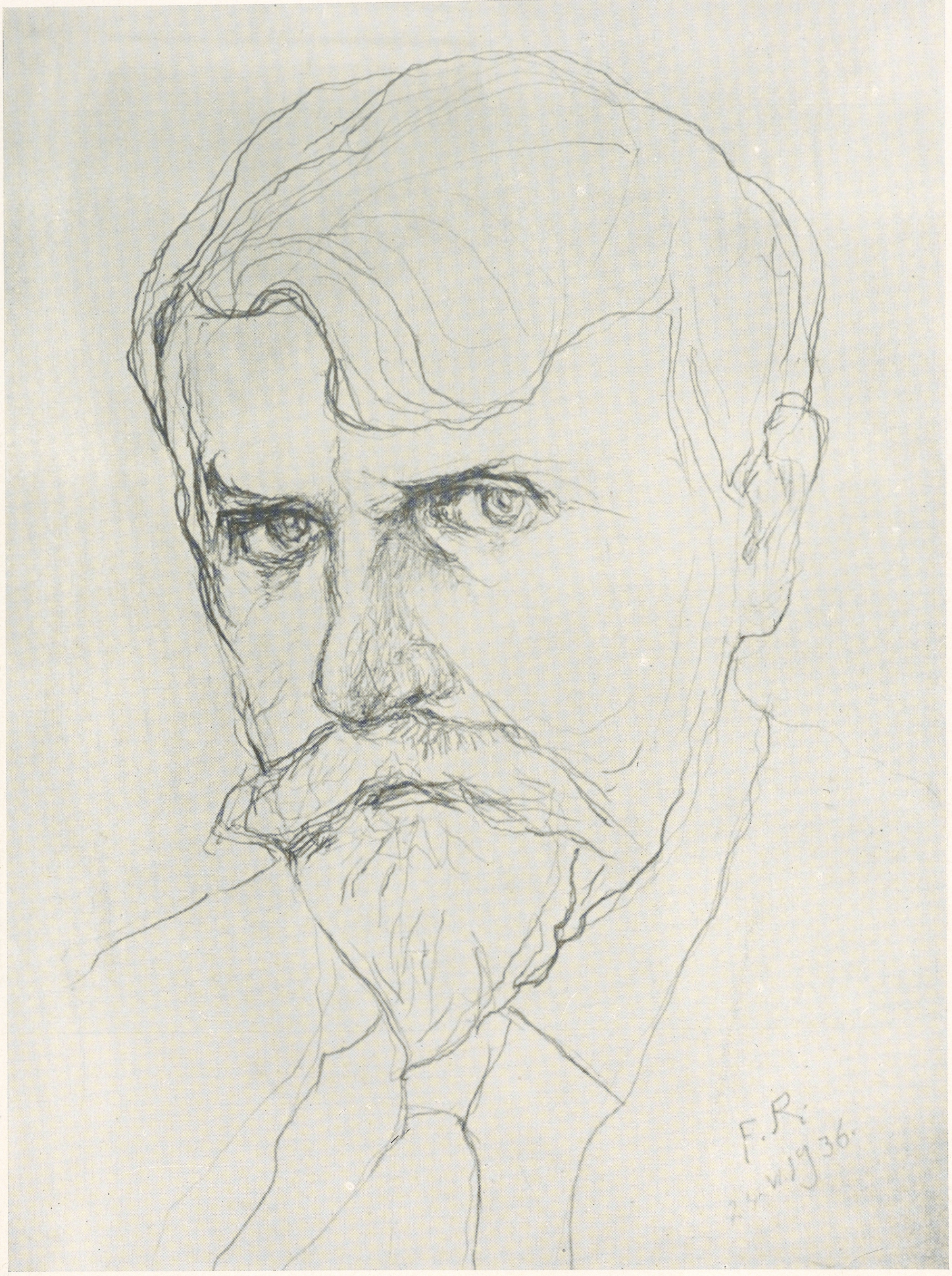
Gdy wilnianie chcieli dowiedzieć się czegoś o Ruszczycu, to zapytywali o to mnie, bo było wiadome, że bywam tam częściej, niż inni. Informowałem ludzi o jego zdrowiu ze zwykłym optymizmem. Jedni brali to za dobrą monetę i cieszyli się razem ze mną, inni, mniej subtelni, kiwali głowami i rozkładali ręce, uważając sprawę za przegraną i nie wartą łudzenia się. Łatwo rezygnują ludzie z tego, co ich mniej obchodzi i rychło zapominają o tych, którzy opróżnili swoje miejsce i stracili atrybut życiowej doraźności. Ale mało komu próbowałem tłumaczyć, że Ruszczyc jest człowiekiem żywym i czynnym w dalszym ciągu, choć już w płaszczyźnie odmiennej i w obrębie fizycznie ograniczonym. A właśnie tak było. Ten człowiek, pomimo że okaleczały, pozostał artystą czynnym aż do śmierci. Utracił słowo, ale w myślach i odczuwaniach był tym samym jasnym, promiennym Ruszczycem.

Latem 1934-go roku Ruszczyc wraz z rodziną jedzie do Bohdanowa na stały pobyt. Opuszcza Wilno, któremu już nie może służyć, a czuje się na zdrowiu tak dobrze, że potrzeba bezpośredniej opieki lekarskiej odpada. Prowadzenie życia na dwa domy jest zbyt kosztowne i zresztą bezcelowe.



FOT. J. BUŁHAK

FERDYNAND RUSZCZYC W BOHDANOWIE W R. 1935
FERDINAND RUSZCZYC AU MANOIR DE BOHDANÓW EN 1935



F. RUSZCZYC

AUTOPORTRET RYSOWANY LEWĄ RĘKĄ W OSTATNICH MIESIĄCACH PRZED ZGONEM (1936)

PORTRAIT DE LUI--MÊME FAIT PEU AVANT SON DÉCÈS

Bohdanów potrzebuje oka pani Giny, starsze dzieci dorastają i idą do wyższych zakładów w Warszawie. Czas porzucić Wilno i osiąść w Bohdanowie. Tam Ruszczyc próbuje rysować. Chce narysować portret żony, więc nie może tych swoich zamiarów utrzymać w tajemnicy. A nie jest siebie pewien, czy potrafi? Wszak od dwuch lat nic nie robił — lewa ręka nauczyła się pisać, ale jest drżąca i taka niepewna — nigdy się nie posługiwał nią do rysowania — czy będzie umiała zastąpić mu w tem rękę prawą?

Dla artysty pytanie to zasadnicze, niepewność zabójcza. Waha się, odkłada, pozoruje w rozmaity sposób zwłokę... Przeżywa jeden z tych ukrytych dramatów, na które ratunek znaleźć można tylko w sobie samym. Więc wreszcie przemaga tremę, chwyta ołówek, kreśli nim pierwsze linje konturowe i — o szczęście! — odrazu odnajduje pewność i sprawność ręki. Chwiejna w pisaniu lewa ręka przy rysowaniu jest mocna i śmiało „przypomina" sobie to, co niegdyś tak cudownie czyniła jej towarzyszka... Z niewymowną radością stwierdza artysta, że może rysować. W domu jest święto i echa tego święta dochodzą aż do mnie. Pierwszy rysunek — portret pani Giny — powstał 7 września 1934-go roku na jej imieniny. Po nim przychodzi rząd innych, same portrety rodzinne, wszystkie dzieci kolejno i wśród nich najlepszy — portret Andrzejka z 23 grudnia tegoż roku, potem jeszcze w roku następnym portrety siostry, pani Olgi Ranisch i jej męża, Wilhelma. Wreszcie 24 czerwca 1936-go roku, więc tylko na cztery miesiące przed śmiercią — rysuje samego siebie w lustrze i ten rysunek jest głęboko tragiczny, bo przy ogólnem podobieństwie mieści w oczach całą przepaść smutku i żałości człowieka chorego, odsądzonego od życia i od czynu. Wejrzenie oczu ma zaświatową dalekość i surową powagę, jakiej się nabiera tylko na pograniczu dwuch światów. Zachęcony powodzeniem, chory malarz sięga do pendzli, do swych zapomnianych farb, wyschłych i zdekompletowanych. Braknie wielu kolorów, ale to go nie zraża. Po tamtych próbach jest już odważniejszy — kto rysuje, ten i malować potrafi. Jest maj, koło ganku kwitną bzy, a w sadzie kochane jabłonie prószą różaną śnieżystością. Przenosi na kartony te dwa majowe mgnienia, rozkoszuje się już nietylko kształtem, ale i barwą, a z nim cieszy się cały dom. Trzeci jego i ostatni obrazek — to widok dziedzińca z klonem i domu, ten sam, który malował niegdyś jako młodzieniec w początkach swej karjery artystycznej. Od tego rozstrzępionego starego klonu na dziedzińcu zaczął czterdzieści lat temu— dzisiaj na nim kończy swoją doczesność. Maluje obrazek na podarek ślubny dla Ini, która jest zaręczona z p. Czesławem Nielubowiczem. Błogosławi ją wizerunkiem gniazda rodzinnego.

Latem 1935-go roku odwiedzam Ruszczyca w Bohdanowie po raz pierwszy, odkąd się tam przeniósł. Zastaję go ożywionym i uśmiechniętym, ruszającym się dość swobodnie po ogrodzie, a w domu zagrzebanym w swojej bibliotece, gdzie pracuje całemi dniami. Patrzę na niego z otuchą i radością, że choć taki nam pozostał i wzdycham w myślach: — żeby on jeszcze mógł mówić! żeby nie było między nami tej ciężkiej zapory milczenia!... Wtenczas to spędziłem z nim kilka dni w okresie kończących się żniw i napisałem na miejscu w Bohdanowie moją pierwszą o nim pracę, pierwszą próbę wyrażenia tego, co we mnie budził — „Ruszczycowskie dożynki".

Żeby wytłumaczyć twierdzenie, że Ruszczyc do ostatka zachował żywość umysłu i pracowitość swej jedynej ręki, a także by uczynić zrozumialszem jego wzmagające się upodobanie dla swego archiwum, muszę opowiedzieć, jak to archiwum powstało i w tym celu cofnąć się nieco wstecz. Ruszczyc odziedziczył po ojcu i po przodkach wielki zbiór dokumentów rodzinnych i piękną bibliotekę. Rodzina Ruszczyców należała do tych, które nie trwonią, lecz zbierają, które nie czynią nic lekkomyślnie i dlatego szanują i zachowują to, co zostawili poprzednicy. Sam Ferdynand od młodych lat był pedantycznie porządny i nie lekceważył żadnego pisma, miał w domu i czytywał mnóstwo gazet, czynił z nich wycinki, które segregował odpowiednio i odkładał. A uwzględniał rzeczy nietylko odnoszące się do jego osoby lub działalności artystycznej czy ogólnej, ale i wydarzenia poli-



F. RUSZCZYC — PORTRET SYNA ARTYSTY. RYSOWANY LEWĄ RĘKĄ W R. 1934



Fot. J. BUŁHAK DOŻYNKI W BOHDANOWIE. RUSZCZYC PRZYJMUJE ŻYCZENIA I WIANEK (1935)

tyczne, kulturalne i wszelakie ciekawe lub ważne. Rysunki i szkice do swych inscenizacyj, projekty plakatów, okładek, próby i pomysły graficzne, a także znaczną ilość szkicowników pejzażowych dawnych lub oddzielnych rysunków i szkiców malarskich przechowywał starannie, dodając do nich związany z tem materjał drukowany lub pisemny. Gdy któraś z jego niezliczonych czynności uwidoczniła się w artykułach dzienników, w listach lub w innej podobnej formie, wszystko to było gromadzone w osobne paczki, porządnie związywane i zaopatrywane w napis objaśniający. W ciągu czterdziestu lat uczyniło to całe góry, a byłyby one jeszcze wyższe, gdyby lata wojny i bolszewicka gospodarka w Wilnie nie zniszczyły części tego dobytku. Do tego dochodziły książki, albumy i wy-



F. RUSZCZYC DZIEDZINIEC W BOHDANOWIE. OSTATNI OBRAZ PRZED ŚMIERCIĄ, MALOWANY LEWĄ RĘKĄ W R. 1936

dawnictwa, dedykowane mu przez autorów, katalogi wystaw artystycznych, miesięczniki, teki graficzne, rozległa korespondencja, pamiętniki własne, jednem słowem zatrzęsienie materjału pierwszorzędnego znaczenia nietylko dla dziejów jego własnego życia, ale i dla zobrazowania epoki, zawartej w czterdziestoleciu od roku 1897-go, kiedy jako człowiek dorosły i artysta dyplomowany wstąpił w szranki życiowe. Oto z czego mniej więcej — bo wszystkiego nie ogarnę — składało się archiwum i biblioteka Ruszczyca. Było to całe jego życie i liczne ślady życia jego współczesnych.

Kiedy Ruszczyc w roku 1923-cim dostał nareszcie od Uniwersytetu większe mieszkanie przy Zamkowej 24, to na stromych drewnianych schodach, po staroświecku przestronnych, rozłożył się rząd dużych skrzyń, nierozpakowanych od czasów wojennych tułaczek. Mieściła się tam część tego archiwum. Reszta, bardziej potrzebna lub aktualna, znajdowała się w jego mieszkaniu, na półkach, na stołach, czasami nawet na krzesłach i na podłodze. Przy ścianach piętrzyły się całe stosy papierów, jak w prawdziwem archiwum. Wyglądało to groźnie i beznadziejnie. Zdawało się, że te papierzyska opanowały ich właściciela, że obrasta niemi, jak pierzem, że mogą w końcu przysypać go i przygnieść całkiem, takie były tam rozpanoszone. Myślałem nieraz z obawą i z jakimś nerwowym niepokojem, czy jest możliwe, by potrafił on kiedy wygrzebać się z tego chaosu i nadać mu formę jakiegoś porządku. Ale tylko dla mnie wyglądało to na chaos, bo sam właściciel orjentował się w nim wybornie, umiał w tym nieładzie odrazu znaleźć, czego potrzebował, a tylko nigdy nie mógł wy-

kroić czasu na generalne uporządkowanie przy swoich zatrudnieniach i swojem chwytaniu ponad siły. Coprawda, potrzeba było na to pomieszczeń większych, których tam, przy dużej rodzinie, brakło zupełnie, a rozstawać się ze wszystkiem i odsyłać na wieś Ruszczyc także nie chciał. Gdyby nie choroba i nie przeniesienie się do Bohdanowa, archiwum nie byłoby uporządkowane nigdy. Nie starczyłoby na to w Wilnie ani czasu ani miejsca. Lata mijały, a do Ruszczyca chodziło się po staremu szeroką niebotyczną klatką schodową, ugarnirowaną nierozpakowanemi skrzyniami. W końcu do tego się przywykło. Przestaliśmy się dziwić i uważaliśmy — i goście i pewnie domownicy — te skrzynie za nieodmienny atrybut zdobniczy schodów, coś w rodzaju kubów dekoracyjnych w teatrze. Przy sposobności słowo o samem mieszkaniu, bo mówiąc o jego pięknym dziedzińcu i tradycjach, tak cieszących Ruszczyca, nie powiedziałem nic o wnętrzach. Obejrzałem je lepiej w czasie choroby Ruszczyca, gdy już nie było dawnego pośpiechu i dawnej jego gonitwy za dobrem i złem dnia powszedniego. Pewnie, że mieszkanie nie było zbyt wygodne dla licznej rodziny i miało te lub inne braki. Ale za to było staroświeckie, charakterystyczne dla osiemnastego stulecia, miało duże niskie pokoje, niejednakowy poziom podłóg, przeróżne zakamarki i schowki, wąskie drewniane schody na pięterko, i było pełne historycznej stęchlizny, na której zapach rozszerzały się chciwie nozdrza każdego miłośnika starego Wilna. Nic dziwnego, że lubował się w niem Ruszczyc. Już będąc chory, zajmował narożny pokój, mający okna z dwuch stron, i jeszcze raz mi tłumaczył gestami i swoją monosylabiczną mową, że właśnie w tem oto oknie zabił piorun profesora Bécu.

Teraz łatwiej zrozumieć, co miał Ruszczyc w Wilnie i nad czem mógł trawić tygodnie i miesiące, gdy zabrał te wszystkie skarby swoje do Bohdanowa. W Bohdanowie były dwa domy — w drewnianym parterowym mieszkał sam z rodziną, a w tak zwanym „murze", dużym piętrowym domu opodal, była dawniej jego pracownia i apartamenta własne, teraz zaś — pokoje gościnne i moc wolnego miejsca. Tego właśnie miejsca, którego brak tak dokuczał w Wilnie. I było dosyć czasu. I było przymusowe oderwanie od rzeczywistości. I zawsze gorączka, by zrobić cośkolwiek dobrego i pięknego. Oto tło i geneza urządzenia biblioteki i archiwum Ruszczyca w Bohdanowie, o którem trzeba, by Polska pamiętała, że istnieje i zawiera cenne i obfite materjały do dziejów naszego kraju.

Pogrążony w tych zajęciach, Ruszczyc jednak nie zapomina o swoich przyjaciołach wileńskich. W kwietniu 1935-go roku jest obchodzone w Wilnie dwudziestopięciolecie pracy Wacława Studnickiego, który na stanowisku dyrektora Archiwum Państwowego prowadzi dalej swoją pracę nad dziejami Wilna i Wileńszczyzny. Rozpoczynał ją ongi razem z Ruszczycem, był czas, gdy we dwuch reprezentowali oniemal całe Wilno, redagując i wydając „Tygodnik Wileński". Więc w dniu 11 kwietnia do Związku Literatów u Bazyljanów, gdzie się zbieramy, by uczcić kochanego „Studniarza", nadchodzi dowód serdecznej pamięci Ruszczyca — ozdobny adres z ornamentem, zaczerpniętym z dawnego „ich" Tygodnika, a w adresie następujące słowa: „Drogiemu Wacławowi Gizbert Studnickiemu, w rocznicę 25-letnią Jego „Wilna", życzenia jaknajdłuższych lat pracy dla ukochanego miasta przesyła, wspominając niejedno wspólnie przeżyte piękno, dawny towarzysz i druh F. R.". Byliśmy wszyscy wzruszeni temi słowami dalekiego chorego artysty, który, zawsze czujny i pamiętający mimo choroby, nietylko je przesłał, ale nadał adresowi piękną szatę graficzną i dopilnował jej wykonania. A Studnicki i ja długo przyglądaliśmy się temu wazonowi z bluszczowemi rozplotami w nagłówku adresu i razem wspominaliśmy czasy „Tygodnika Wileńskiego", tak nam trzem żywo i rzewnie pamiętne, a tak wymownie przypomniane przez nieobecnego. Zdawało się nam, że on — ten drogi trzeci — jest z nami i wieczór zakończyliśmy myślą o nim. A przy sposobności dobrze jest zwrócić uwagę, czego życzył Ruszczyc Studnickiemu w dzień jego jubileuszu. Nie powodzeń, nie honorów, ani szczęścia nawet: *życzył mu dalszej pracy dla Wilna.* W tem jest jedna z wileńskich



Fot. J. BUŁHAK GABINET RUSZCZYCA W BOHDANOWIE (1911 R.)

odrębności i wileńskich tajemnic. W tem jest odpowiedź, dlaczego Ruszczyc porzucił wszystko w Warszawie i Krakowie, by wrócić do Wilna i w niem pracować. W ludziach wileńskich znajdował bratnie echo.

We wrześniu 1935-go roku przyjeżdżam drugi raz do Bohdanowa na imieniny pani Giny i widzę mego Ferdynanda coraz bardziej zaaferowanego swoją bibljoteką, która jest w stadjum stawania się, bo mnóstwo rzeczy jeszcze nie zostało rozpakowane i trzeba na to miesięcy. Ale pełen jest animuszu i projektów, z których ja, jak zawsze, nie zdaję sobie należycie sprawy, bo nie umiem widzieć rzeczy ani tak wyraźnie, ani w tak harmonijnej pełni, jak on. Cieszę się tylko, że znalazł sobie zajęcie, które go uchroni od nudy bezczynności, ale po za tem nie nadaję sprawie większego znaczenia.

Piątego stycznia następnego roku otrzymuję od niego list, gdzie pisze: „Żałuję, że nie mogę ciebie zaprowadzić do mojej bibljoteki, urządzenie jej przybiera wygląd bardzo ciekawy, a mnie niezmiernie cieszy". I wtedy jeszcze nie mam pojęcia, co on, chory, zrobić potrafił. Wolę radować się, że litery jego listu są foremne i równe, że pismo wygląda prawie ładnie i świadczy o dobrem samopoczuciu piszącego. A nawiasem jest to już jeden z wielu listów, jakie od niego otrzymuję i mając pisma z wcześniejszych okresów choroby, mogę przez porównanie śledzić postępujące polepszanie się jego stanu. Przez te cztery lata napisał do mnie coś około dwudziestu razy, a pierwsze pisania były rozrzewniająco koszlawe. Zapomniałem dodać, że w liście poprzednim, posyłając mi życzenia świąteczne na Boże Narodzenie, Ferdynand dopisał. „Urządziłem w pokoju Babuni bibljotekę". Pokój Babuni" — to dawny jego pokój, przylegający do pracowni, miejsce jego obrazu pod tym tytułem, miejsce, gdzie go fotografowałem w pierwszym roku naszej znajomości... O, jak dobrze pamiętałem ten pokój! Od niego zaczęło się moje poznawanie źródeł twórczości Ferdynanda, w nim spędziłem pierwszą noc w Bohdanowie na gorączkowych rozmyślaniach, uszczęśliwiony z wstąpienia do tego zaczarowanego świata. „Pokój Babuni" — to było dla mnie słowo magiczne, przywołujące w duszy ciąg myśli i wspomnień o wszystkiem, co miałem w życiu najdroższego i najbardziej szacownego. Ale tym razem, czytając listy Ferdynanda, nie doceniłem ich treści: myślałem, że bibljoteka — to jakieś szafy z książkami i ani mi się śniło, co można zrobić pod tą skromną nazwą, gdy się jest Ruszczycem.

Nie oświeca mnie i następny list jego z 2 lutego 1936-go roku, najdłuższy, jaki otrzymałem od chorego, list naprawdę rozczulający. Rysuje piórem piękną laurkę na mój obchód jubileuszowy i tak kaligrafuje: „Przykro mi bardzo, że z powodu oddalenia od Wilna nie wiedziałem o twojem trzy-



F. RUSZCZYC POKÓJ BABUNI (1903)

dziestoleciu. Przesyłam ci teraz najlepsze i z serca płynące życzenia na jaknajdłuższe lata twojej pięknej pracy. Zająłem się teraz porządkowaniem twoich zdjęć, których narazie wraz z albumami naliczyłem 741 (następuje szczegółowy, osobiście sporządzony spis 741 fotografij). Myślę, że dojdę do znacznie wyższej cyfry, gdy wszystko zliczę. Zebrałem też książki twoje i broszury, wydane od roku 1919, jest ich dwadzieścia. Bardzo pragnąłbym cię zobaczyć i pochwalić się urządzeniem bibljoteki w murze. Wypadła bardzo ładnie. Teraz porządkuję różne swoje pamiątki z czasów Wielkiej Wojny. Mam już gotowe album z czasów okupacji niemieckiej. Teraz kolej na czasy bolszewickie, a potem przyjdzie odbudowa Państwa naszego. Serdecznie z całego serca ściskam cię, mój drogi, wierny przyjacielu, twój Ferdynand".

Odwiedzam go dopiero na jego imieniny 30 maja i cieszę się, że na wstępie mogę mu powinszować dyplomu Prezydenta Rzeczypospolitej, który go mianuje profesorem honorowym Wydziału Sztuk Pięknych naszego Uniwersytetu. Związek z uczelnią, zerwany przez chorobę, przywraca się w ten sposób i jest to wielkiem moralnem zadośćuczynieniem dla naszego solenizanta. Wie, że tego prawa i zaszczytu już nic go nie pozbawi. Wie, że już nazawsze zostanie profesorem swojej uczelni w swojem Wilnie.

W Bohdanowie widzę ze zdumieniem, że ta opisywana w listach bibljoteka, to jest poprostu — nowa inscenizacja dekoracyjna. Ale tym razem już nie przelotna, lecz stała i tem różniąca się od scenicznych, że prócz pięknej formy zawiera cenną treść rzeczową. Duży „pokój Babuni" jest przeisto-

czony w bibliotekę, równie szacowną, jak estetyczną. Na półkach świecą przygasłem złotem i bronzem skórzane grzbiety starych ksiąg. Znajome ojcowskie lustra mahoniowe w obydwuch rogach dostały nowe konsole jego rysunku i odbijają wiernie, niby pyszne makaty, wzorzystą i barwną mozaikę książek. Pośrodku wielki stół, zaścielony ciężkim kilimem, zachęca do rozłożenia bezcennych tek i szkicowników z rysunkami, a przy nim fotele obiecują godziny cichych rozmyślań w tym świecie wiedzy i sztuki. Prostotą nieskazitelnego piękna tchnie to zacisze, stworzone dla rozkoszowania się myślą ludzką o pięknie przez tego, czyje życie było jedną serdeczną troską o wszystko, oprócz siebie samego. A w sąsiednim gabinecie — jego najdroższe rzeczy, pamiątki i dzieła, obrazy, rzeźby, to co lubił najwięcej mieć przy sobie i widzieć: Mickiewicz, Poniatowski, Kościuszko i Piłsudski na ścianie przed biurkiem, na prawo dwie głowy dziewczęce z kościoła Świętego Piotra w odlewach gipsowych, popiersie Słowackiego za biurkiem, a na biurku — moja podobizna, fotografowana przez mego syna... Trudno opanować wzruszenie... Te dwa pokoje z całą zawartością, z oknami, wyzierającemi na szczyty klonów ogrodowych—tworzą prawdziwe Tusculum. Jakaś „magna quies“ zdaje się być w niem zaklęta. Chory Ferdynand namalował nowy obraz przedmiotami, jakie mu były dostępne, zainscenizował widowisko pod nazwą „Bibljoteka Bohdanowska“. A żeby pożyteczne wspierało piękne, w przyległym korytarzu przeznaczył osobny pokój na dokumenty, urządził tam formalne archiwum, zastawił je od góry do dołu drewnianemi półkami i na nich porządnie rozmieścił wielki zbiór akt, foljałów, skryptów, całe regularne archiwum, odnoszące się do rodu i majętności. I oto



Fot. J. BUŁHAK — BIBLJOTEKA BOHDANOWSKA W „MURZE“ (1936)



F. RUSZCZYC

RYSUNEK ARTYSTY W WIEKU LAT 13-tu (1883)
DESSIN DE L'ARTISTE À L'AGE DE 13 ANS

mam przed sobą — Bibljotekę i Archiwum Bohdanowskie, urządzone z takim smakiem, tak skończone w formie, a poważne i bogate w zawartości, że się wprost nie chce wychodzić z tych pokoi. Poznaję w tem wszystkiem rękę Ruszczycowską, przekonywam się, że choroba nie zmogła jego inwencji, a tylko zmusiła do skupienia się na najbliższem, stwierdzam z radością, że Ruszczyc nie skończył się i mimo wszystko, jest dalej twórczy. Wielka to dla mnie pociecha, osobliwa radość i barwy jej przyćmiewa mi tylko ta wieczna ściana między nami, ta niemożność mówienia, jak niegdyś, od serca do serca. Ale oczy nasze rozmawiają ze sobą bez przeszkody i od tej rozmowy robi się jaśniej wkoło nas.

Czy ja potrafię spamiętać choć małą cząsteczkę z tego, co mi on wówczas pokazywał? Pani Gina musiała po imieninach pojechać do Wilna i my dwaj zostaliśmy sami. Spędziliśmy te dwa dni ciągle razem i on od rana do wieczora niezmordowanie mię wtajemniczał w swoje zbiory i pamiątki, przynosił teki, rozwiązywał drżącą ręką sznurki, otwierał szkatułki, wydobywał koperty i zwitki, rozkładał zawartość, tłumaczył jej znaczenie i związek, dobywał najcenniejsze relikwie rodzinne, ojcowskie i dziadowskie, swoje dziecinne i młodzieńcze rysunki, szkicowniki, sztambuchy, słowem — wygarnął i rzucił mi przed oczy swoje dzieje całe, swoje pamiętanie i wspominanie, swoje trudy i znoje, swoją miłość i dumę, wszystkiego siebie mi odsłonił i oddał w przyjacielskim porywie. A ja słuchałem, patrzałem, wbierałem w siebie tę mannę cudowną, płakałem suchemi oczami i nie wiedziałem, że oto rozmawiamy ze sobą i obcujemy tak po raz ostatni, że te dnie i te słowa, to jakby jego testament, bo ja żywego już go więcej nie zobaczę...

. . . .

. . . .

Są urodzeni pesymiści, gotowi we wszystkiem upatrywać najgorszy obrót i przy lada zachmurzeniu nieba wykrzykiwać, że świat się kończy. Czasem wydaje się, jakby tym nietoperzowym duszom mrok wątpienia dopadał lepiej, niż światło nadziei. Tacy nieraz próbowali mi wmawiać, że Ruszczyc jest niedołężny i nieprzytomny, że właściwie „niema już Ruszczyca". Na to ludziom poważniejszym i lepszym zaprzeczałem i starałem przekonywać ich, że jest wręcz przeciwnie, innych zbywałem ogólnikami, nie chcąc czynić im zaszczytu wtajemniczania w rzeczy, zbyt mi bliskie. Dziś należy obalić te błędne wersje, nie mające żadnych podstaw, prócz sądów bałamutnych, leniwych i pozbawionych wnikliwości serca. *Ruszczyc do ostatka był przytomny,* zachował pełnię i świeżość umysłu, pamięcią imponował zdrowym, to samo energją pracowitości, to samo uwagą i baczeniem na każdą rzecz. Nie myśl w nim była osłabiona, tylko władze fizyczne, nie mózg był chory, lecz mechanizm mowy. I dlatego nie mógł on już pokazywać innym szerokości swoich widnokręgów, wymiarów i wagi swego rozumienia i zainteresowania. Dawne dalekosiężne koncepcje myślowe musiały teraz być przykrajane do skąpej i ubogiej formy słownej — reszta pozostawała ukryta i niewyjawiona w cierpiącej duszy chorego. Pokazał mi wówczas album okupacji niemieckiej z lat 1914—1918, jakie był sporządził ostatnio z posiadanych materjałów, o czem mi donosił w przytoczonym wyżej liście. Jest to gruby tom fotografij, obwieszczeń wojennych, wycinków z gazet, komunikatów z frontu, map, planów i rysunków. Ale nie ma w tem chaotycznej mieszaniny, przeciwnie — widnieje myśl jasna, konsekwentna, układ świadomy, chronologiczny, podkreślenie związków między wydarzeniami i osobami, komentarze własne układającego. Zaprawdę — dostatecznie przytomny był człowiek, co takie album samodzielnie i to jedną ręką ułożył. A jako przeciwstawienie w czasie zapamiętałem tam oprawny tomik, po staroświecku zdobiony, pismo perjodyczne ilustrowane, tygodnik francusko-niemiecko-polski, jaki Ferdynand sam „wydawał" w Mińsku, gdy miał lat dziesięć, a który układał, rysował, pisał i drukował własnoręcznie od a do zet. Wzorował się na „Gartenlaube",

„Biesiadzie Literackiej" i innych „familienblatach". Treść słowna i obrazowa dziecinna, ale wykonanie zadziwiająco staranne i umiejętne, układ z zupełnem poczuciem graficznem ówczesnego stylu, rysuneczki wykwintnie wykończone, inicjały pieszczotliwie wydrukowane odręcznie. W tem piśmie, zredagowanem przez Ruszczyca jeszcze przed wstąpieniem do szkoły, zarysowują się już jego przyszłe możliwości, nietylko malarskie, ale i graficzne.

O normalnym stanie władz umysłowych Ruszczyca świadczyło także żywe zainteresowanie, jakie w nim budziły wydarzenia codziennego życia i otoczenia. Lubił dużo chodzić po mieście i odrazu spostrzegał każdą zmianę w wyglądzie ulicy, a znajomych rozpoznawał zdaleka i to nietylko bliskich, ale nawet takich, o których rodzina niewiele wiedziała.

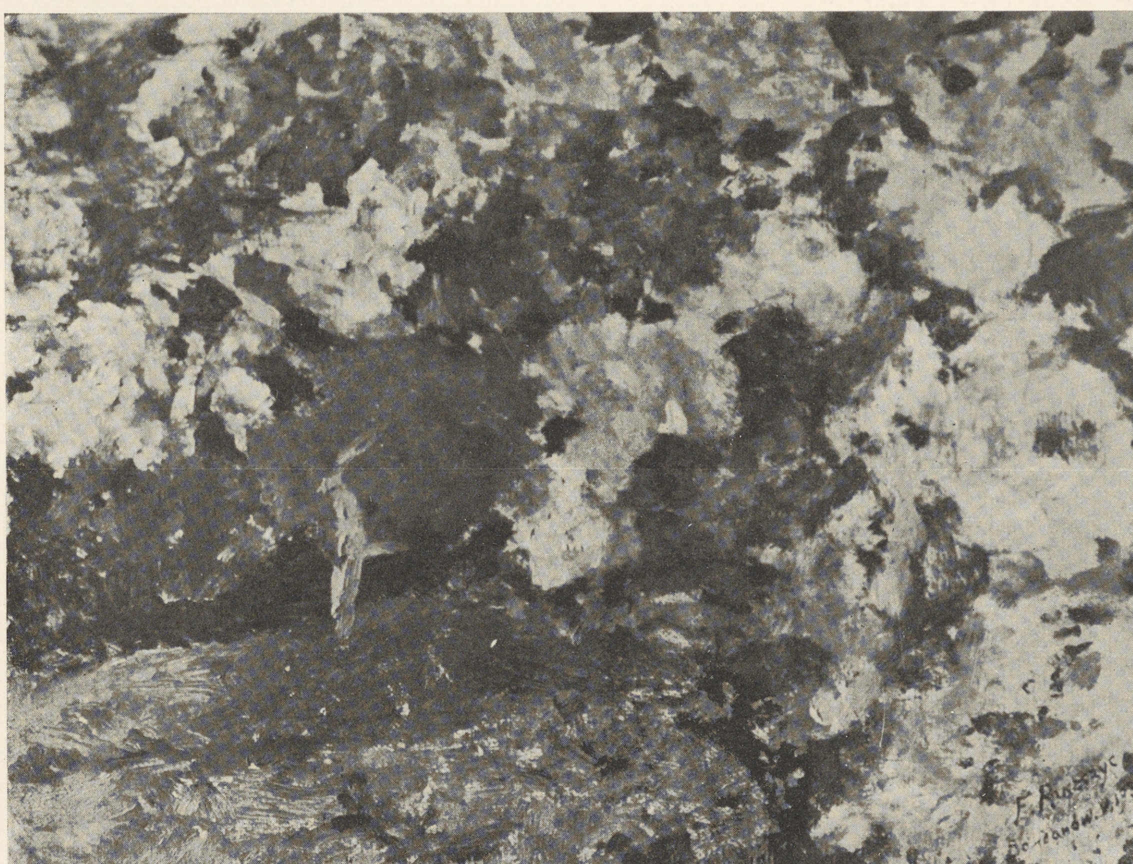
Nieocenioną towarzyszką jego pieszych wędrówek wileńskich była p. Tekla Sobolewska, osoba z dobrej i zamożnej rodziny, doprowadzona do biedy wskutek jakiejś katastrofy rodzinnej. Znosiła to z dobrym humorem i pogodą charakteru równego i była oddawna ceniona i lubiona w rodzinie. Obecnie jest ochmistrzynią w Bohdanowie. W ciągu lat ostatnich opiekowała się chorym umiejętnie i taktownie, bo zawsze na wesoło, bez robienia tragedyj, z żartobliwym uśmiechem lub raźną zachętą zdrowego rozsądku, a taki stosunek nie wyłączał delikatnego rozumienia odrębności artysty i szacunku dla jego pracy. Kiedyś poszli na dłuższy spacer po mieście. Ruszczyc chciał być potrosze wszędzie, ale unikał miejsc gwarnych. Na zakręcie napatoczył mu się stary Żydek, dekorator Jabłonowski. Wspominałem już o nim w tej książce, jako o chętnym i technicznie



Fot. J. BUŁHAK

GABINET RUSZCZYCA PRZY BIBLJOTECE (1936)

sprawnym wykonawcy wielu pomysłów dekoracyjnych Ruszczyca. Jabłonowski, zobaczywszy go, rzucił mu się do rąk: wiedział o chorobie i witał się z nim z żydowską spazmatycznością. Ruszczyc ucałował go w głowę, bo lubił starego i pamiętał niejedną noc niespaną, a przepracowaną z nim razem. Na zapytanie, jak mu się powodzi, Jabłonowski zaczął utyskiwać na czasy kryzysowe i wspominał dawne lepsze czasy, gdy pracował pod kierunkiem Ruszczyca i nieźle zarabiał. A potem, zwracając się do pani Sobolewskiej, wykrzyknął: „Pani, dwuch tylko ludzi było w Polsce — Piłsudski i Ruszczyc". A w głosie jego był akcent szczerości, gdy to mówił. Idąc tak kilkanaście kroków razem, Żyd powiada, że mu umarł właśnie brat i za chwilę ma być pogrzeb. Słysząc to, Ruszczyc wyraża mu jak może swoje współczucie, a dowodzi go lepiej czynem, niż nieudolnem słowem, bo idzie, powłócząc nogą, do domu przy zaułku Literackim, tam gramoli się z trudem na piętro i asystuje przy ceremonji przedpogrzebowej i to z pewnością nie przez ciekawość, tylko z dobrego serca, że mu szkoda starego Żyda. A tam płaczki uczyniają obrzędowe lamenty, w stancji skwar i zaduch nie do zniesienia. Ruszczyc to wszystko mężnie wytrzymuje, nie zważając na zgorszenie p. Sobolewskiej. Czas mija, trumny nie przywożą, w pokoju żałobnym już niema czem oddychać, więc wytaczają mu fotel i urządzają go jakoś na balkonie, tuż obok, gdzie powietrze jest nieco lżejsze i tak doczekuje się on wyjścia orszaku pogrzebowego i towarzyszy mu nieodstępnie, uważając to za swój obowiązek. A potem chce iść za konduktem aż na cmentarz pod górę po wertepach, na których



F. RUSZCZYC MOTYW Z SADU W BOHDANOWIE MALOWANY LEWĄ RĘKĄ (1935)

i zdrowy mógłby nadwyrężyć nóg i ledwie udaje się p. Sobolewskiej zatrzymać go pod krzyżem na Zarzeczu i zawrócić do domu. Jabłonowski nie był wyjątkiem, byłby Ruszczyc uczynił to samo dla wielu innych, bo dyktowało mu to jego współczucie dla nieszczęścia. Całe bractwo wileńskich rzemieślników artystycznych znał zbliska, wiele z nimi przestawał i traktował ich serjo i po koleżeńsku, czem ich bardzo zjednywał. Po drodze, gdy już był chory i chodził wolno, obstępowały go ubogie kobiety, nie żebraczki zawodowe, lecz takie różne ciche biedoty i dopiero wtedy pokazało się, ile ludziom tajemnie pomagał ten człowiek dobry do gruntu, jaki był wrażliwy na nędzę, jaki nieskąpy w łagodzeniu niedoli poczciwem słowem. Bo nietylko datkiem pieniężnym umiał on otwierać proste serca i rozwiązywać języki, co go błogosławiły... Wzruszały go szczególnie matki rodzin bez środków z małemi dziećmi i tym oddawał wszystko, co miał przy sobie.

Gdy przewieziono do Wilna serce Józefa Piłsudskiego i złożono je w kościele Ostrobramskim Świętej Teresy, Ruszczyc jeden z pierwszych poszedł złożyć hołd prochom i zaniósł kwiaty. Kultowi bohaterstwa pozostał wierny do grobu.

Chybaż te fakty wystarczają do ustalenia, że Ruszczyc do końca zachował pełnię władz umysłowych, co jeszcze w sposób świetny potwierdza urządzenie przez niego bibljoteki w ostatnim roku życia, uporządkowanie zbiorów, — urządzenie nie tylko dekoracyjne i malarskie, ale godne bibljofila i kustosza, uwzględniające myślową zawartość i liczące się z nią w każdym szczególe układu. Było w tej pracy nietylko amatorstwo przestawania z ulubionym światem rzeczy, nie tylko zabawianie się i wspominanie przeszłości. Było dużo więcej: chęć uczynienia obrachunku z całego życia, zadokumentowania potomności dowodów rzeczowych, że się tego życia nie zmarnowało, zgromadzenie materjałów i źródeł w taki sposób, by zbiory były przejrzyste i mogły służyć przyszłym badaczom epoki. Było odbicie ładu i harmonji człowieka rozumnego i odpowiedzialnego, takiego, co odchodząc z domu, nie zostawia w nim świecy niezgaszonej i drzwi otwartych, ale układa wszystko na swoje miejsce i jeszcze od progu powraca, by poprawić krzywo wiszący na ścianie obrazek.

. . . .

. . . .

W lipcu musiałem wyjechać na Wołyń, moja podróż fotograficzna trwała długo, zmieniałem wciąż miejsce pobytu, korespondencję dostawałem spóźnioną lub nie dostawałem jej wcale. I tak zabłąkany na wołyńskich szlakach nie wiedziałem nawet, że Ferdynand miał ku jesieni atak, który wprawdzie szybko przeminął, ale zostawił go już osłabionym i na nowo zagrożonym. O wchodzeniu na piętro do ukochanej bibljoteki już nie mogło być mowy i koniec lata w Bohdanowie nie był tak pogodny, jak jego początek. Te wiadomości czerpię z drugiej ręki, bo po powrocie z Wołynia musiałem zaraz jechać na Śląsk i z tego powodu nie mogłem być na imieninach pani Giny i widzieć Ferdynanda. A on o mnie więcej pamiętał, niż ja o nim. Jak gdyby w przeczuciu bliskiego końca — na dwa tygodnie przed śmiercią sporządza i przesyła mi szczegółowy spis swoich obrazów, inscenizacyj, książek zdobionych i innych prac plastycznych. Stawia na spisie datę 7 listopada 1897-go roku, datę rozpoczęcia swej działalności i na dzień 7-go listopada 1937-go roku — w czterdziestolecie — planuje wielką wystawę Ruszczycowską w Warszawie. Wzruszający ten dokument nie poddaje się opisowi — drżące litery i skróty długiego spisu mają straszliwą wymowę ostatniego obrachunku z życiem, ostatniej woli człowieka, który wie, że odchodzi, ogląda to, co po sobie pozostawia i, patrząc już w niebo, szepce: „Non omnis moriar". Do spisu jest dołączony odręczny planik warszawskiej Zachęty i oznaczone są te sale, w których miałaby być urządzona wystawa jego czterdziestolecia, przypadającego w roku następnym 1937-ym. Słabnąca ręka wypisuje wszystkie szczegóły tej wystawy, ułożone przez myśl czujną do ostatka. Na rogu spisu kreśli

moje nazwisko... A ja — zamiast pośpieszyć na to wezwanie — muszę tułać się po świecie i obliczać, kiedy przepływ chmurnych dni wrześniowych i zepchnięta terminowa praca pozwolą mi wreszcie do niego wrócić. Po powrocie do Wilna otrzymuję wiadomości uspakajające i wybieram się do Bohdanowa każdego dnia. Ale już nie zdążyłem. Śmierć była szybsza, niż moja tęsknota....

Trzydziestego października otrzymałem od Otali (syna, Oskara) depeszę: „Ojciec zmarł dziś o piątej wieczór".

. . . .

. . . .

Zmarł po trzecim ataku, który go pochwycił w nocy z 29 na 30 października. Zgasł o piątej po południu na rękach Ini, Otali, p. Buchartowskiej i p. Sobolewskiej. Pani Gina była w Wilnie — przyjechała samochodem w parę godzin po śmierci. Umierał spokojnie, nie męczył się wiele, a Ostatnie Sakramenty przyjął za namową p. Sobolewskiej, na kilka godzin przed zgonem. P. Sobolewska, dusza prosta i zacna, nie odstępowała go i mówiła: „Panoczku — trzeba nam do Boga... w przeszłym roku pamięta Pan, jak poczuł się niedobrze, przyszedł ksiądz z Panem Bogiem... i zaraz było polepszenie... Tak samo teraz... Pani daleko, niema naszej Pani z nami... trzeba nam do Boga..." Skonał cicho i dzieci zamknęły mu powieki...

. . . .

. . . .

Pani Gina znalazła i dała mi kopertę z napisem „Na wypadek śmierci mojej prośba co do pogrzebu. F. R.". Późniejszy dopisek „pisane kiedyś". W kopercie była karta z jego pismem:

„Gdy będę musiał Was pożegnać, proszę, byście mnie ułożyli w tę kochaną ziemię naszą Bohdanowską u stóp najdroższych Rodziców. A że nie chciałbym rozstać się z umiłowanem swojem Wilnem, niech mi wolno będzie cząsteczką w niem przebywać: ukryjcie w jednym z jego zakątków, u św. Bartłomieja na Zarzeczu jako votum — serce moje.

Wierzę w obcowanie dusz i dlatego wiem, że w godzinach trudu i walki będę z Wami. Ale gdy po szafirowem niebie wileńskiem pomkną białe obłoki i będzie Wam wesoło — wówczas wspomnijcie mnie.

Kupnych wieńców nie przynoście. Ale jeżeli kto w ogródku zerwie garść kwiecia, niech je raz jeszcze obok siebie poczuję.

I jeżeli zechcecie mnie pieśnią pożegnać, zagrajcie „Warszawiankę", aby pod wiekiem trumny — po raz ostatni — oczy moje były wilgotne". F. R.

. . . .

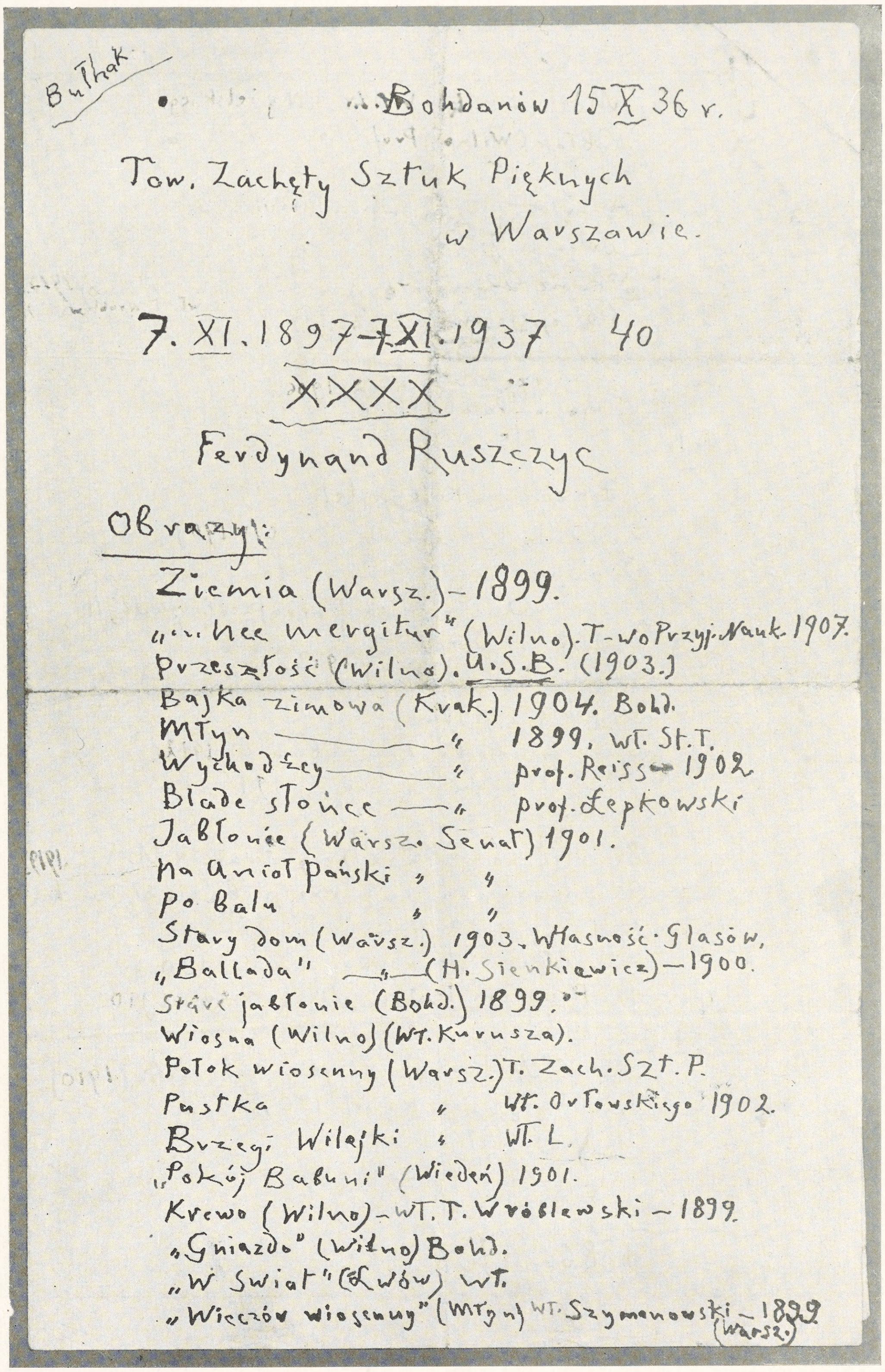
Spoczywał na marach w salonie Bohdanowskim. W twarzy miał wielką powagę i spokój. Okryty był kwiatami, wieńcami i zielenią. Ostatni raz — na pożegnanie — obraz jego utrwaliła ręka przyjaciela, którego on nauczył robić z fotografji dobry użytek. Na tem zdjęciu — zrządzeniem tajemnem — nad głową Syna wznosi się wyniosły cień Ojca. To posąg Edwarda Ruszczyca, który stał za katafalkiem pod ścianą. A wśród niezliczonych wieńców żałobnych, był jeden wianek z żytnich kłosów Bohdanowskich i ten był mu pewno najmilszy...

W dzień zaduszny była eksportacja do kościoła parafjalnego, a nazajutrz pogrzeb. Pani Gina przetrwała te dnie mężnie, jakgdyby wstąpiły w nią siły, których już nie potrzebowała oddawać



FOT. J. BUŁHAK

FERDYNAND RUSZCZYC NA ŁOŻU ŚMIERCI
FERDINAND RUSZCZYC AU LIT MORTUAIRE



Bulhak

Bohdanów 15 X 36 r.

Tow. Zachęty Sztuk Pięknych
w Warszawie.

7. XI. 1897 – 7. XI. 1937 40

XXXX

Ferdynand Ruszczyc

Obrazy:

Ziemia (Warsz.) – 1899.
„... nec mergitur" (Wilno). T-wo Przyj. Nauk. 1907.
Przeszłość (Wilno). U. S. B. (1903.)
Bajka zimowa (Krak.) 1904. Bohd.
Młyn " 1899. wł. St. T.
Wychodźcy " prof. Reiss – 1902.
Blade słońce " prof. Łepkowski
Jabłonie (Warsz. Senat) 1901.
Na Anioł Pański " "
Po balu " "
Stary dom (Warsz.) 1903. Własność Glasów.
„Ballada" " (H. Sienkiewicz) – 1900.
Stare jabłonie (Bohd.) 1899.
Wiosna (Wilno) (wł. Kurnsza).
Potok wiosenny (Warsz.) T. Zach. Szt. P.
Pustka " wł. Orłowskiego 1902.
Brzegi Wilejki " wł. L.
„Pokój Babuni" (Wiedeń) 1901.
Krewo (Wilno) – wł. T. Wróblewski – 1899.
„Gniazdo" (Wilno) Bohd.
„W świat" (Lwów) wł.
„Wieczór wiosenny" (Młyn) wł. Szymanowski – 1899 (Warsz.)

F. RUSZCZYC

PIERWSZA STRONICA WŁASNORĘCZNEGO SPISU PRAC,
NAKREŚLONEGO LEWĄ RĘKĄ NA DWA TYGODNIE PRZED ZGONEM
L'UN DES DERNIERS AUTOGRAPHES DE L'ARTISTE (1936)

Zmarłemu. Słabowita, blada, ledwie żywa, była wciąż na nogach, wszędzie obecna, sama przyjmująca grono przyjaciół i sąsiadów i te nieprzebrane tłumy wilnian, co się zjechały dla oddania ostatniej posługi... Gdy ją reflektowałem, odparła z bladym uśmiechem: „To nic... starczy mi sił, ile będzie trzeba — wszystko musi być porządnie, tak jak on lubił..." Oprócz najbliższej rodziny był jej pomocny p. Zygmunt Ruszczyc, który okazał im dużo przyjaźni w tych chwilach.

Wyprowadziliśmy Ferdynanda wieczorem w dzień zaduszny aleją brzozową przy świetle kagańców. Było mglisto i cicho. Z wilgotnych gałęzi ze szmerem padały duże krople, jakby brzozy żegnały łzami swego Pana. A nazajutrz po żałobnych pieniach w kościele ruszył kondukt nie wprost na cmentarz, dokąd było najbliżej, ale przedtem — jeszcze raz — do dworu Bohdanowskiego. Tam przed domem zatrzymał się orszak z Gospodarzem tego domu, zaległa śmiertelna cisza i w tej ciszy ozwały się, wybuchły mosiężnym okrzykiem — dźwięki Warszawianki, tony tej pieśni „krwi i chwały", bez której on nie chciał porzucać nazawsze swego Domu i swojej Ziemi... Wszystko nieruchome, skamieniałe słuchało pieśni.. i on jej słuchał... Potem pochód podążył na cmentarz...

Pogrzeb zgromadził całe Wilno i całą okolicę. Nie było człowieka coby nie żałował Zmarłego i nie pośpieszył pokłonić się jemu. Przyjechały delegacje z Warszawy, przyjechał stary druh, Karol Tichy. Pogrzeb był wielką manifestacją przywiązania, czci i żalu wszystkich. Był pełen prostoty, jak całe jego życie. Miał tę samą cichą wnętrzną godność i sielską ozdobę. Trumna była z domowych desek, a obwijały ją gałęzie zielonej sośniny i zbożowe kłosy. Tylko uniwersytecka toga dziekańska była z Wilna i mówiła o drugiem jego ukochaniu, równem tamtemu. Nad trumną najpiękniej i najszczerzej przemówił Tichy, rzekł to, co może takiemu przyjacielowi powiedzieć inny artysta, człowiek rozumny i dobry, biorący słowa z serca. O innych przemówieniach nie wspominam, bo wszystkie znaleźć można w sporządzonej przeze mnie księdze pośmiertnych głosów prasy.

A Tichy tak mówił:

„...nie sposób uwierzyć nieszczęściu... przerażone oczy czytają, drżące wargi powtarzają uszom, ale serce zamknęło się: ono nie chce zrozumieć, że nagle powstało jakieś bezlitosne „nigdy"...

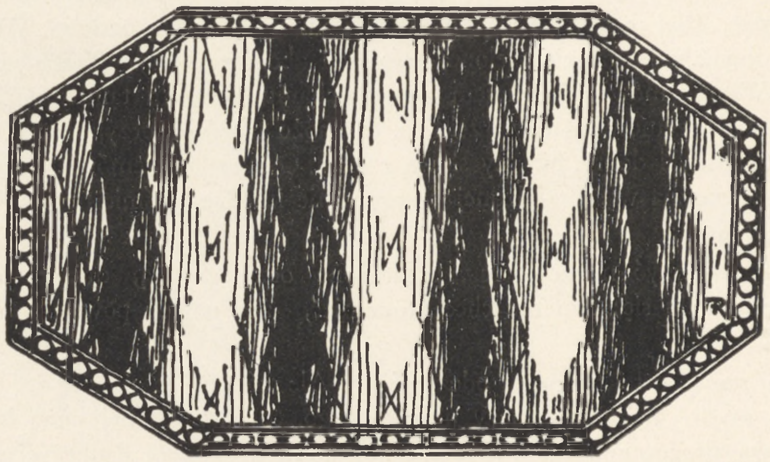
„Polecono mi stanąć u tej trumny i odezwać się. Ale cóż może powiedzieć osłupiony mózg, z którego uciekają myśli? Krzyk rozpaczy uraziłby tego, co za życia był samą łagodnością. Tyle dziesiątków lat trwa drogocenna dla mnie przyjaźń z Ferdynandem Ruszczycem. I oto nie mogę nawet sobie z tego zdać dokładnie sprawy, czem on był w istocie?... Czy był tylko olśniewającym malarzem, sam olśniony urodą wszechrzeczy — a to byłoby już bardzo dużo, czy bardem, roztaczającym nad nami majestatyczny chorał na cześć naszej ziemi. Nie wiem czy był tylko nauczycielem, którego widziałem w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, jak z ogromną tkliwością garnął do siebie pokolenie tysiąc dziewięćset piątego roku — czy też był ambasadorem, prostującym drogi dla Tej, której już było słychać zbliżające się kroki. Nie wiem wreszcie, czy był tylko dekoratorem, jak Grek bezinteresownie wyczarowującym uroki kształtów — czy natchnionym złotnikiem, przygotowującym oprawę godną Rzeczypospolitej. Chyba, że wszystko to były tylko ściany tego samego kryształu. Co jest niewątpliwe, to że był postacią z odległej epoki. Był z rasy Janów Kochanowskich... Stefanów Czarnieckich... tylko niewysłowiona dobroć jego przesłaniała oczom naszym te wielkie wymiary..."

„Całe życie Ferdynanda było modlitwą na klęczkach, posuwającą się ku jakiejś pełnej świętości Ostrej Bramie, za którą widnieje Najwyższy Imperatyw. U progu, jak liść jesienny, osunęła się z niego szata doczesna, a on sam, mocny, jak słup ognia, pozostaje wśród nas, na zawsze obecny, posąg wyniosły, któremu z jaknajwiększą czcią... składam uroczysty pokłon".

Spędziłem kilka następnych dni z rodziną, oddając się cichym rozpamiętywaniom. Nikt nie

ukrywał swego żalu, ani nie maskował go milczeniem. Owszem, mówiliśmy ciągle o utraconym, wznawialiśmy w rozmowach jego obecność i czerpaliśmy gorzką słodycz z tych wspomnień. Umieliśmy nawet uśmiechnąć się, gdy pamięć przyniosła jakieś jego powiedzenie, potrafiliśmy cieszyć się na chwilę z czaru tych aspektów myślowych. Tyle zawsze było szczęścia z samego jego życia, z samego jego widoku... Odprawialiśmy po Ferdynandzie nasze wiejskie „dziady" i tak próbowaliśmy żyć dalej — żyć myślą o nim — bez niego.

Ale to życie zdawało się bardzo trudnem i niepojętem...



ROZDZIAŁ XV

W POBLIŻU MOGIŁY

Poświęcony Pani Ginie Ruszczycowej.

Od tego dnia zadusznego myśl o Zmarłym towarzyszy mi nieodstępnie. Wznawiam spisywanie wspomnień i gromadzę pamiątki, jakie mi po nim zostały. Wydobywam listy i odczytuję jego myśli, które teraz nabierają pełnego wyrazu, wyjawiają mi rzeczy, przedtem niedostrzegane. Zdobywam nanowo książki, przez niego ilustrowane, reprodukcje obrazów, prace graficzne, druki, wszystko, co kiedyś miałem, ale co się w przemianach czasu rozproszyło lub roztrwoniło lekkomyślnie. Teraz każda karta ma wagę złota. Zbieram okruchy jego pracy i ślady jego istnienia, i to łagodzę niemi, to rozkrwawiam ból serca. Zewsząd przychodzą one do mnie i otaczają tęsknotą wspominania. Tworzy się jakiś krąg zaklęty, oddzielający mnie od całego świata, — od tego kręgu, jak od pancerza, odbijają się i odpadają wszystkie inne sprawy życia. Jedyna rzeczywistość — to on, — Ferdynand, — on jest żywy i obecny, a jego postać przesłania mi świat swemi wciąż rosnącemi wymiarami.... I rozumiem, że tak być powinno, że tak jest dobrze.... Muszę być tylko przy nim, myśleć i mówić tylko o nim... W tem teraz jedyny sens mego życia.

Ale miasto i jego uprzykrzony kołowrotek utrudniają mi to obcowanie. Nie mogę się skupić, bo każdy dzień jest pełny chaosu i zasypuje myśl piaskiem i kurzem błahostek. Nie słyszę własnych myśli w tym niepotrzebnym gwarze. Więc od wiosny postanawiam uciekać z Wilna jaknajczęściej, a wiem, że jest takie miejsce, gdzie mię przyjmą życzliwie i chętnie. „Stary dom" — „Gniazdo" Bohdanowskie... Lgnę do nich, jak do własnej rodziny, i oni mi odpłacają przychylnością. Tam każda ścieżka i drzewo, każdy obraz i książka mówią o Ferdynandzie, tam — kolebka i zwierciadło jego życia, tam — na pagórku za jodłami — jego mogiła... Tam trzeba mi iść i pozostać długo...

Od maja jestem w Bohdanowie. Mieszkam w „murze", w jego bibljotece, dawnym „pokoju Babuni", zupełnie sam. Żyję całemi dniami jak pustelnik, poddając się chętnie atmosferze tej samotni. Czasem stamtąd schodzę do ludzi do „starego domu", gdzie jest pokój sypialny, w którym on umarł. I tam wszystko nietknięte, zachowane tak, jak on zostawił. Pióro leży przy kałamarzu, na swoich miejscach podręczne książki, notatki, drobiazgi. Na opustoszałem łożu — zamiast niego — palmy wielkanocne rozkładają się tęczowem przypomnieniem, położone tu ręką wierną i czujną, ręką tej, co wszystko rozumiała i o wszystkiem dziś pamięta... Pani Gina żyje myślą o nim i uważa za najważniejsze zadanie utrzymać wszystko tak, jak było za jego życia. Najdalsze ścieżki w głębi ogrodu, za mostkiem i rzeczułką, zapuszczone od niepamiętnych czasów, są teraz gracowane i czyszczone dlatego, że w roku ostatnim ona jemu to obiecała uczynić i wówczas nie zdążyła. Jego wola i jego ład są dla niej najwyższem prawem i ogniwami nowych zjednoczeń łączą ich ze sobą. A w murze



Fot. J. BUŁHAK ŚCIEŻKA OD DOMU DO STAWU

chce pani Gina zrobić muzeum jego imienia i zgromadzić tam pamiątki jego życia i pracy. Mówimy o tem często, mówimy z nią o wielu rzeczach, jego dotyczących , bo ona wie, jak mi to wszystko jest drogie.

Do okien zagląda maj świeczkami kwitnących kasztanów. Maj — to był jego ulubiony miesiąc. Miesiąc jego imienin, obfity w tyle naszych wspomnień, tutejszych i wileńskich. Kochał on maj tak samo intymnie, jak kwiaty i dzieci, jak wszelkie młode rozkwitanie. Ten miesiąc spędzam w bibliotece, a świat Ruszczycowski, przepełniający te ściany, ukazuje mi się w tysiącznych przejawach, odżywa we wszystkiem, czego dotknę, mówi mi całemi dniami o nim, spoczywającym niedaleko, pod cmentarnemi sosnami. Tam odwiedzam go często. Kwiatów ma bez liku, bo pani Gina pamięta, że lubił kwiaty, zwłaszcza te zwyczajne, domowe i polne i widział w nich symboliczny obraz sztuki. Mówił, że niema roślin brzydkich, bo w każdem źdźble jest zawarta tajemna moc i piękno życia. Więc żona zanosi jemu codzień świeże upominki z Bohdanowskiego ogrodu — jak barwisty kobierzec mieni się kwiatami mogiła. A ja przynoszę tylko jakieś płatki lub listki, które wtulam w wieniec na krzyżu, bo pamiętam, jak mi on w ten sposób zdaleka przysyłał opłatek wigilijny, powierzając go gałęziom zapalonej choinki.

Wiosna jest wczesna, wilgotna i ciepła, roślinność bujna i wysoka, wszystko zielenieje i kwitnie, polatuje i śpiewa. Przesiaduję na jego ławce koło stawu, gdzie olchy ciemną ścianą odbijają się w wodzie, a lipy przy ścieżce tworzą sklepienie, pełne brzęków i szczebiotów. Albo też nie dochodzę do stawu i zatrzymuję się pod wiązami i kasztanem, naprzeciw domku ogrodowego. Tam

on także lubił odpoczywać, ogarniając okiem szeroki widok, ścielący się ku domowi. Pod cienistemi drzewami jest stół i ławka i dobrze jest tam rozłożyć się z książkami i pisaniem. Żaden deszcz nie dochodzi przez gęstwinę konarów w tej zielonej komnacie, a otwarte jej ściany są zdobne szmaragdem i lazurem. Wachlarze kasztanowych liści układają się na wylotach nieboskłonu złotozieloną morą światłocienia i dzierzgają sufit koronkami, utkanemi z wzorzystego przesłonecznienia. A gdy w te rozwarte okiennice nadpłynie płowy obłok, śnieżyście zwieńczony, to niebo nad nim ciemnieje, pogłębia się i jeszcze władniej czaruje zapatrzone oczy. Wokoło ptaki, pszczoły, owady roją się, brzęczą i dzwonią, słowiki i wilgi przekrzykują się fletowemi nawoływaniami, gąsienice i meszki



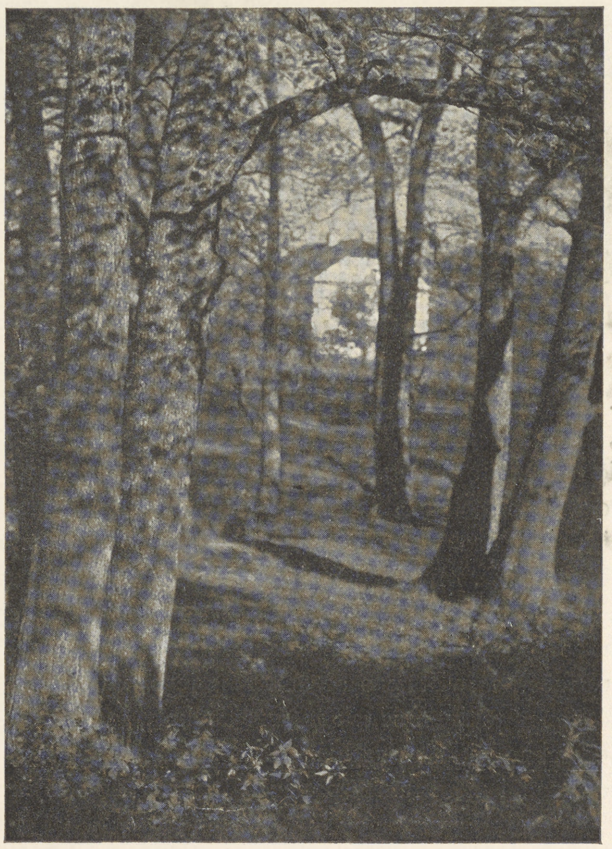
Fot. J. BUŁHAK PIĘCIORAMIENNY KLON W OGRODZIE

mrowiem łażą po drzewie, po stole i po papierach. Jest nieustanny gwar, rojenie się i kupienie, poświsty i poloty, najścia mrówek, szturmy komarów, muszek i żuków, oszalałe wirowanie młodego życia, pośpiech chwytania zdobyczy... aż straszno się robi, że to wszystko takie zachłanne, prężne, chciwe jadła, ciepła i miłości, takie nieprzeliczone, gęsto wyrojone, jak fala prące naprzód niepowstrzymanie... Ogarnia podziw przed wiosenną mocą ziemi, plenną i rozrodczą i myśląc o niej, widzę jego oczy, pochylone uważnie nad zagadką natury w majowej krasie. Myśl odbija się od łuków tego zaczarowanego koła i po promieniach wraca ku centrowi, ku temu, co był piewcą tego życia i jego czcicielem... Rozmawiam z nim w duszy i dziękuję mu, że go mogłem spotkać i poznać, że brałem udział w jego słonecznem istnieniu, że nauczyłem się patrzeć na świat jego oczami i za jego przykładem odczuwać pełnię życia... Nie pragnę już niczego ponad to, by móc tak patrzeć dookoła, snuć ścicha myśli, jak tęczową pajęczynę, nizać te myśli na jedwabne nitki marzenia, jak różnobarwne paciorki... O Ferdynandzie!... gdybyś ty był tutaj razem ze mną... i mógł razem patrzeć... i cieszyć się swojem gniazdem!...

. . . .

Wracam z ogrodu do domu. Przeglądam zbiory w bibliotece, grzebię się w niej, jak górnik w złotodajnych piaskach Kalifornji. Skupiony i dostojny jest wygląd tych pokoi. On je tak urządził przed śmiercią. On chciał, by takiemi były. Jestem tu najbliżej jego myśli i pracy. Otaczają mnie skarby nieogarnięte, godność i ład, miłowanie uważne i mądre, wszystko co ludzkie i wszystko, co wieczne... Czego tam niema, na tych półkach, w tych szafach i biurkach, w tekach, papierach i zwitkach!... Całe życie człowiecze, splecione z tylu innemi istnieniami... Znajduję nawet bruljon listu, adresowanego do mnie, tego pierwszego dobrego listu z przed lat, który mi otworzył jego duszę i przyjaźń... Więc tak starannie go układał, zawsze pełen uważnej troski... Znajduję rok za rokiem dokumenty całego życia Ferdynanda, rysunki i szkicowniki, wykłady i odczyty, notatki i plany. Zaczynam to wszystko przeglądać, przypominam przemówienia, które słyszałem, zagłębiam się w inne, o których nawet nie wiedziałem. Są tam fragmenty odczytów, streszczenia, czasem całe mowy, czasem nawet maszynopisy i druki, a potem znowu luźne kartki, urywki zdań, strzępy myśli... Znajduję rzeczy proste, głębokie, najważniejsze w życiu... Błąkam się, zdumiony, w tym nowym świecie, utworzonym z wyjawień duszy wielkiego człowieka... Pogrążam się w niełatwe odczytywanie rękopisów, pokreślonych i zapisanych na wszystkie strony... składam ręce w zachwycie przed szczytnością myśli, przed głębią rozumienia, przed ogromem miłowania... cierpliwie przedzieram się przez gąszcze niewiedzy, przez ciernie niedomówień, i znowu klękam przed człowiekiem, jaki mi się objawia... Zagłębiam się przez wiele dni w te kartki, w te zeszyty, jak w nieprzejrzaną puszczę... natykam się na drzewa-wielkoludy, splecione podniebnemi konarami, na pyszne kwiaty o barwnych kielichach i stulistnych łodygach... błąkam się porażony groźną pięknością tej puszczy bezbrzeżnej... a czasem wychodzę na jakieś znajome pola, już bliższe, choć bezmierne... ...a tam, po zagonach rodzimych duch boży sieje polnem kwieciem, takiemi lnianemi gwiazdeczkami, pełnemi błękitnej rzewności... Otwiera mi się dusza Ferdynanda. Teraz rozumiem, czemu czułem go tak blisko... Te pisma, te myśli — to jego znak, posłany mi z za grobu...

Znajduję odczyt „O pięknie powszechnem“, a w nim porównanie słowa do *liścia wawrzynu i do płatka róży.* Trafność i obrazowość porównania uderza mię i nasuwa zastosowanie do samego piszącego. On myślał o innych, a mimowoli powiedział tak wiernie o sobie samym. Przychodzi mi nagle myśl cudowna, a taka przecież prosta: trzeba te wawrzyny i róże zebrać i pokazać ludziom. Wszak martwiejącą już ręką spisywał swoje prace malarskie, graficzne, sceniczne, wszystkie dokonania swego życia i spis ten mnie posłał, jakby swoją ostatnią wolę... żeby nie zaginęła pamięć o jego trudzie... Teraz testament rozszerza się i na jego myśli, tak mało znane, tak głęboko utajo-



Fot. J. BUŁHAK WIDOK NA MUR Z GŁĘBI OGRODU

ne, a dzisiaj — tu — obecne, dostępne, olśniewające pięknem i wielkością!... Tu — w jego „Gnieździe" — przychodzą do mnie jego myśli, osaczają mię i zniewalają błogosławioną przemocą!... To objawienie jego woli, błyskawicą rozświetlające myśl moją zmąconą... Postanawiam opracować, zebrać i wydać książkę z odczytami i przemówieniami Ferdynanda, pani Gina podziela tę intencję i chętnie popiera jej zrealizowanie. Książka będzie nazywała się tak, jak on powiedział. Sam dał jej tytuł: „liść wawrzynu i płatek róży". Heroiczność i czar. Dwie cechy jego natury, dwie struny twórczości, dwa oblicza duszy. Mam nowy cel, mam czem zapełnić pustkę po jego utracie, mam do czego przyrosnąć sercem, przylgnąć marzeniem i oczekiwaniem. Będę pieścił w myślach tę książkę, będę przeżywał jej stawanie się, dołożę starania, żeby była wymowna i piękna. Całemi dniami czytam, odcyfrowuję, przepisuję, zestawiam porównawczo warjanty i frgamenty, by z nich wykrystalizować najwierniejszy sens myślowy i kształt formalny. Staram się najdokładniej zachować lub odtworzyć jego myśl... czasami błąkam się w mgle niepewności, szukam wątku mozolnie i opornie, niekiedy znów łatwo przychodzę do jasnej, gotowej do druku treści... a wtedy jest mi, jakgdybym ujrzał rozwarte błękity i majestat boskiej słoneczności w oknach mojej kasztanowej altany...

. . . .



FOT. J. BUŁHAK — SYLWETA DWORU OD POŁUDNIA

Ale nieraz obszar i waga myśli Ferdynanda przytłacza mię i przygniata: — niełatwo znieść ich nadludzki ciężar. Wtedy od słowa powracam do obrazu i zaglądam do tek i szkicowników, gdzie kryją się, nieznane nikomu prócz najbliższych, bezpośrednie doznania malarza, historja życia artysty i jego twórczych poszukiwań. Przeglądam te setki szkiców olejnych, zaczynając od olśniewająco barwnych studjów Krymu i stonowanych motywów Rugji i Bornholmu aż do niezliczonych pejzaży domowych okolic Bohdanowskich, promieniejących radością i rozkochaniem praw-

dziwie synowskiem. Znajduję albumy, teki, szkicowniki, wszystko zachowane od samego początku zawodu malarskiego: i starannie wymodelowane rysuneczki młodzieńca i dojrzewające poszukiwania akademika petersburskiego, i mistrzowskie, zwięzłe kompozycje późniejsze, budujące kilkoma niezawodnemi kresami istotę obrazu. Wszędzie wybucha bezgranicznem uniesieniem jedna myśl:— myśl o ziemi ojczystej, *powrót do ziemi ojczystej*, uszczęśliwienie tułacza, powróconego gniazdu domowemu... A wtedy znów przypominam zarodek tych jego uczuć, utrwalony w jednym obrazku — w obrazie wędrowca, który przyjechał z obczyzny, wysiadł z wagonu, idzie śladem przydrożnych słupów telegraficznych i już słyszy, już czuje wołanie znajomej drogi domowej, co przemawia do niego najsłodszym głosem matczynego powitania. W tym obrazku przeżywam, widzę te chwile, kiedy Ferdynand odzyskał ojczyznę... Przypominam, jak on przebył dzieciństwo w środowisku mieszanem, nawpół cudzoziemskiem, jak potem młodość spędził w północnej rosyjskiej stolicy i tam w trudzie strzec musiał swojej polskiej duszy od wpływów otoczenia. Ale zachował ją i pogłębił w domowych progach, w zetknięciu z ziemią. Jedenastego listopada 1898 roku — pierwszy i ostatni może raz w życiu — napisał słowo „Ojczyzna“ na szkicu, nigdy później nie opracowanym, ale to słowo napełniło wszystkie jego dzieła malarskie swoją cudotwórczą treścią. Czuje ojczyznę wokoło i w sobie, chce ją wcielać, wznawiać, potwierdzać bez końca, by powetować czasy oddalenia... I oto — w owych dniach — zstępuje na niego łaska powrotu do ojczyzny ciałem i duszą. Dojrzewa piewca Ziemi i Domu. Będą się odtąd rodziły jeden za drugim obrazy krzepkie, potężne, wspaniałe; spadną jak lawina górska, spłyną, jak powódź wiosenna, porwą jak dech huraganu. I każdy będzie miłośnem ślubowaniem ziemi, zaprzysiężeniem jej dozgonnej wierności, natchnionym hymnem, wyśpiewującym najświętsze, niewymowne słowo — OJCZYZNA!

. . . .

. . . .

Wpatruję się w te zwarte, jędrne kresy ołówkowe, tworzące całe światy z niczego... lgnę oczami do linij i plamek, ożywiających bezduszny papier cudownym korowodem kształtów i kolorów... wykradam z nabożnym lękiem tajemnice narodzin tych tworów, śledzę przemiany ich stawania się i dojrzewania do form skończonych... Mam przed oczami całe życie malarza-twórcy... Oto dziób statku z „Nec mergitur“ uwieńczony zarysem naszego orła, który w obrazie nie został zachowany. Więc jednak na początku miała to być Polska, płynąca tak zwycięsko po burzliwem morzu!... Oto obłok środkowy „Ziemi“, śnieżysty i wypukły, zarysowany jednym rzutem ręki, jednem pociągnięciem ołówka, a już doskonale plastyczny... Oto wygięta brzoza z „Ballady“, ta pierwsza po lewej stronie obrazu, jak łuk napięta na wietrze. Ale treść szkiców początkowych odmienna od znanej: — smętna postać na pierwszym planie, patrząca wślad za karetą, co odjeżdża w dal aleją Bohdanowską... Oto niezliczone studja młynu, upustu, mostu, oto ogrodowe drzewa-przyjaciele, klony i jodły Bohdanowskie, oto ukochane jabłonie, powoływane do życia z niesłabnącą pasją... Oto podpatrywanie konarów i gałęzi, liści i kwiatów w ich najdrobniejszych ułamkach, oto wypieszczone dotknięciem kolorowej kredki zbożowe kłosy, nasienne skrzydełka klonu, różowiejące pączki jabłoniowego kwiecia, ząbkowane profile agrestowych listeczków... A potem — gdzieindziej — kościoły Bohdanowski i Wiszniewski, ołtarze, rzeźby, ornamenty, barwiste plamy tkanin, kute w żelazie koronki krzyżów, zakątki sklepień, bryły gmachów, iglice wieżyc, meandry zaułków i zacisza podwórzy wileńskich, aniołki ze szczytów Świętego Jana, srebrni królowie z kaplicy Świętego Kazimierza, barokowe ołtarze, ociężałe giętą masywnością, rokokowe wykwity i płomyki konfesjonałów... I znowu mirjady kresek, rzutów i plam ołówkowych, pomysły nienarodzonych obrazów, podpatrzenia i zapamięta-

nia wiecznie czujnego wzroku artysty, namiętne wdzieranie się do tajników natury kwitnącej i rodzącej, bratnie współżycie z ziemią w każdym jej zielonym odrostku, modlitewne klękanie przed krasą wszechstworzenia...

Karta za kartą przesuwają się dnie, miesiące i lata tego płomiennego żywota, ukazując stopniowe kształtowanie jego treści, wyłanianie się tworzonego piękna z chaosu rzeczy, z napiętrzenia i powikłania kres rysunkowych. A kresy te są przedziwnie oszczędne, ledwie zaznaczone, rzucane od niechcenia, a takie celowe, takie drgające życiem i wyrazem, takie niechybne w swojem pozornem niedopowiedzeniu... Spędzam wiele dni nad tekami Ferdynanda, poznaję tajemne szczegóły jego zawodu malarskiego, a serce składam kornie u stóp wielkiego człowieka, który kochał ziemię mądrze i twórczo i wielbił ją każdem swojem dziełem.

. . . .

. . . .

Piszę pod drzewami altany. Dwa stare wiązy górują ponad kasztanem, a jego ramiona wydłużają się i omijają wiązowe rozgałęzienia, szukając przestrzeni i światła. Za al-



Fot. J. BUŁHAK — KASZTAN W OGRODZIE

taną zielona pochylnia ogrodu spływa ku rzeczce wzorzystym dywanem — na murawie ogrodowej wdzięczą się osypane kwiatem jabłonie, jak przybrane do komunji dziewczęta, i strząsają jasne puchy ze swych welonów. Kasztan jest także cały rozkwitły i sypie mi prosto na stół i na papier białoróżowe płatki. Jasnym deszczem padają gęsto wszędzie... osypują moje ręce i słowa kreślone na karcie... muszę wciąż zrzucać te kwieciste motylki, by nie przeszkadzały pisać i szkoda mi, że nie mogę ich zostawić tam, gdzie leżą, takie świeże, jędrne i młodzieńcze... Prószy deszcz kwiatów... biorę jeden do ręki... po raz pierwszy przyglądam mu się uważnie... białe płateczki, jak ze śnieżnego wosku ulepione, mają w środku amarantowe plamki, a pręciki wychylają się wdzięcznem wygięciem łabę-

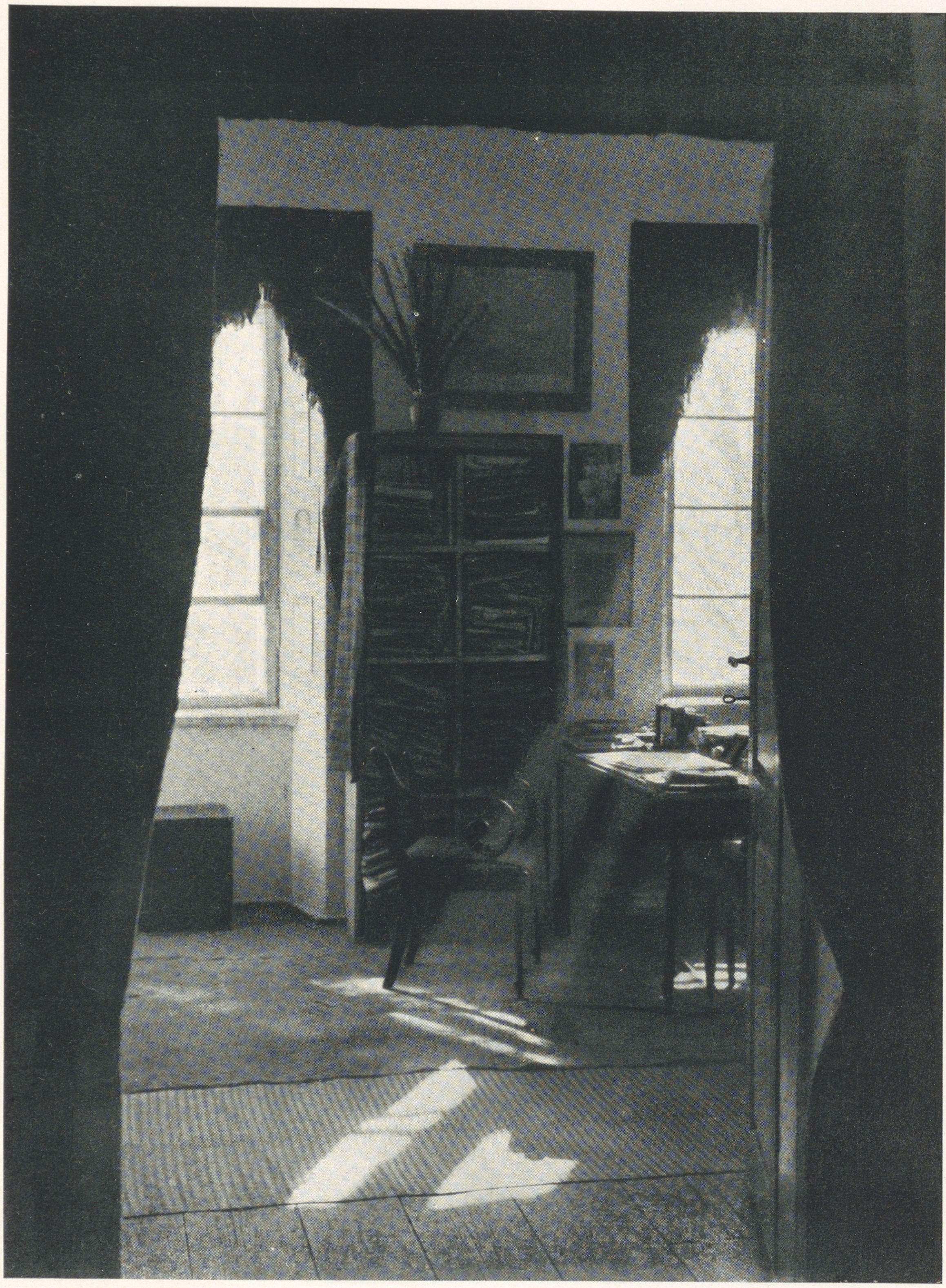
dziej szyi... podziwiam te śliczne kwiatki o naszych narodowych barwach... czuję w nich tajemne soki i moce ziemi... czuję duszę tego, czyje słowa one ośnieżają i kraszą z taką serdeczną uporczywością...

Mijają dnie, tygodnie, miesiące... ja wciąż wracam do Bohdanowa, do bibljoteki, do sosen cmentarnych, do ławki pod kasztanem. Piszę swoje wspomnienia lub układam jego książkę. Dwie te prace idą równolegle, wynikają jedna z drugiej, zasilają się i splatają bratnio, jak te klony z jednego pnia wyrosłe, co stoją po drugiej stronie ścieżki i od trzystu lat dźwigają wzwyż swą wieloramienną rozłożystość. Czasem już trudno odróżnić, która książka daje mi więcej tego smutnego szczęścia, jakie mnie przepełnia i każe wznosić oczy ku niebu i dziękować Bogu, że mi pozwala tak żyć i pracować; czasami nie wiem, które pisanie jest mi bliższe i droższe, bo spływają się w jedno, i mylę się, i mieszam je ze sobą...



Fot. J. BUŁHAK ALEJA PROWADZĄCA NA CMENTARZ

Gdy zakwitają jaśminy, kwiaty mojego dzieciństwa, — noszę je na cmentarz i wplatam w znajome wgłębienie wieńca, dokąd nikt nie zaglądnie. Czas płynie, jak łódka po cichem jeziorze. Przedtem była liljowa puszystość bzów, teraz już przekwitły i ustąpiły miejsca jaśminom. Z mego miejsca pod kasztanem jestem świadkiem wszelkiego rozrostu i przemijania. Zmieniają się pory roku w ogrodzie i na polu, po pączkach i pieśniach wiosny przychodzi dojrzewanie w promieniach żartkich upałów, a po urodzie lata żółknące liście przynoszą pierwsze groźby jesieni... Z pod kasztana wzrok biegnie do zielonego okna, prowadzącego w głąb sadu — okno tworzą jaśminowe krzewy przy ścieżce w obramieniu kasztanowych rozplotów, a dalej stoją czarne kolumny pięcioramiennego klonu i z za nich przezierają pióropusze jabłoni. Jedna jabłoń przegląda się w malachitowem lustrze trawnika, przeciętego słonecznemi smugami, a te smugi czynią z trawnika błam świetnego złotogłowia: wnętrze okna rysuje się z przedziwną plastycznością teatralnej scenerji i wabi ku sobie wzrok żywym, jaskrawym światłocieniem — każda myśl z niego się poczyna, każde słowo nakre-



FOT. J. BUŁHAK

GABINET RUSZCZYCA W BIBLJOTECE BOHDANOWSKIEJ
CABINET DE TRAVAIL À LA BIBLIOTHÈQUE DE BOHDANOW



FOT. J. BUŁHAK

„ZIELONE OKNO" W OGRODZIE BOHDANOWSKIM
PARTIE DANS LE PARC DE BOHDANOW

ślone na papierze rodzi się w tej aksamitnej głębinie. Nawiązują się jakieś kolorystyczne i psychiczne kontakty między myślą a widzialnością i dają myślom łaskę swobodnego spływania na papier, jakby drzewa Bohdanowskie, nasiąkłe czuciami Zmarłego, pisały razem ze mną dzieje jego żywota.

W to okno zaglądam wciąż mimowolnie przez długie miesiące i odnajduję w niem ciągłe zmiany. Na wiosnę wnętrze okna było puszyste i bladozielone, później różowiło się jabłoniowym kwiatem, potem już tylko lśniło w słońcu soczyście i przelewało się w cieniach matowem pręgowaniem, a teraz zaczyna je zabarwiać rdza jesieni. Na stół padają już nie kwiaty, lecz duże, żółte, smutno szeleszczące liście... A ja wciąż wracam do tych miejsc, pełnych urzekającego przyciągania, wciąż w nich czegoś szukam nieukojnie, wciąż błąkam się po tajemnych śladach tego, co było duchem „Ziemi", zaślubinami człowieka z ziemską odwiecznością w drodze do wieczności niebieskiej, tego, co było pięknem prostem i zwyczajnem, a przez to najwyższem i najświętszem...

Od tych widoków sadu i pola, od tych drzew wielkich i starych, jak pradawne rodowody, od koronkowych gałązek i nikłych kwiatków na darninie, zewsząd wieją ku mnie jakieś bratnie szmery, ozywają się jakieś głosy znajome, mocne, jak uścisk ręki przyjacielskiej, surowe i proste, jak oddech ziemi. Wiem, że to jego głos zagrobowy i nie dziwiłbym się już, gdybym poczuł jego cielesną przytomność tu, przy tej mojej pracy, jemu poświęconej, przy tych myślach, jego duchem nasyconych...

Kiedyś, jeszcze w pełni zdrowia i sił, on napisał swoją ostatnią wolę i w niej te słowa: „...gdy po szafirowem niebie wileńskiem pomkną białe obłoki i będzie wam wesoło — wówczas wspomnijcie mnie...". Czy dzisiaj jest mi tak, żebym mógł dostąpić szczęścia twego zbliżenia i poczuć ciebie przy sobie, Ferdynandzie? Nie wiem. Pełen jestem cichego i smętnego pokoju duszy, która niczego nie pragnie i modli się o trwanie tego, co jest... Radości już niema, ale jest dobra, słodka rezygnacja, jak w tej jesieni, po której przyświeca nadzieja wiosny... ale jest wiara w nieśmiertelny związek dusz, w ich ponowne spotkanie we wspólnej zaziemskiej ojczyźnie... A tymczasem, na dziś, jest pewność, że każda trawka na murawie, każda ukwiecona łodyga nad stawem, pod czarnemi olchami jest cząstką nieśmiertelnego piękna i żyje w słońcu jego odblaskiem... jest upewnienie, że już nie trzeba szukać piękna daleko i mozolnie, bo jest ono wszędzie obecne, ukryte w najbliższem i najprostszem... że piękno, — to jest samo życie — oto właśnie ta drobna, chybotliwa trawka, wyrastająca nad spokojną wodą z ufnością dziecka i oglądana oczami człowieczemi...

On kiedyś powiedział: „trzeba, byśmy dawali się szczerze, z prostotą". Więc jeśli dziś czuję tak mocno, tak święcie jakąś łaskę, zstępującą na mnie — czyż to nie jego myśl, nie jego głos, nie jego obecność?... Więcej z tego, co on tam poznał, ludzki umysł objąć nie zdoła, ale czyż tego nie dosyć, by żyć dalej z jego testamentem?... By służyć „Ziemi", która jest odbiciem Nieba?... by czynić to z cichą wnętrzną radością, zanim się nie odsłoni tajemnica powszechnego Piękna, którą on już posiadł?...

. . . .

. . . .

Dochodzi połowa sierpnia i w dniu Matki Boskiej, w rocznicę Cudu Wisły świętujemy uroczystość zaślubin Ini z p. Czesławem Nielubowiczem*). Zaręczyli się jeszcze za życia Ferdynanda, a na prezent ślubny dla swojej najstarszej namalował on lewą ręką — niedługo przed śmiercią — dziedziniec i dom Bohdanowski, pamiątkę „gniazda" dla wylatującej ptaszyny, błogosławieństwo

*) Janina Ruszczyc - Nielubowiczowa. Daję pełne imię i nazwisko, by wiedziono, jak się nazywać będzie najstarsza córka Ruszczyca, która, po zejściu naszego pokolenia, *jedna będzie dużo wiedziała o swym Wielkim Ojcu.*

domu dla dobrej córki. Edzio, Otala, Ewunia i cała rodzina dekorują salę jadalną, obwijają kolumny dębowemi wieńcami, rozwieszają w niej malownicze festony, a pośrodku, tam, gdzie mają siedzieć przy uczcie weselnej młodzi, zaciągają przejrzyste tło, usiane białemi gwiazdami, a nad niem umieszczają w polu granatowem barokową tarczę z herbami nowożeńców, Lisem i Kościeszą.

Na jednej bocznej ścianie sali wisi ostatni obraz, ojcowski podarunek ślubny. A na drugiej, w otoku dębowego wieńca, spogląda na tę inscenizację sam Ojciec — i tkliwa ręka najbliższych wpina u dołu portretu wstążeczkę z mirtem, by go ustroić na tę chwilę zgodnie ze zwyczajem i jeszcze mocniej przytulić się do Ojca w tym dniu rodzinnego święta. Dzieci przejęły się duchem ojcowskim i jego stylem ozdobiły salę, ujawniając jedność odczuwania i szacunek dla nieprzerwanej tradycji. Duch Ferdynanda żyje niezgasły w tym domu...

. . . .

. . . .

Zbliża się jesień i szeleści po ścieżkach opadem rdzawego listowia, a na polach wieje tęsknicą pustego rżyska. Dnie stają się krótsze i wczesne zmierzchy wydłużają noce. A noce są gwiaździste, rzęsiście wyiskrzone. Na czarnem niebie rysują się widmowo drzewa dziedzińca, a nad ich wyniosłemi koronami mrugają gwiazdy i tumanne rozsypiska mlecznej drogi prószą srebrną kurzawą. Od ścieżki przy śpichrzu dom zalega przysadzistą, ciemną masą, w której uśmiechają się wykroje



Fot. J. BUŁHAK OKNA DOMU BOHDANOWSKIEGO

oświetlonych okien, a te uśmiechy przyciągają i nęcą, by się do nich zbliżyć, by odetchnąć treścią ich jasnego wnętrza, gwarem zebranej pod lampą rodziny. I mnie nieraz wołają zdaleka te świecące okna, do nich podążam z Wilna z serdecznym pośpiechem, by poczuć powietrze domu Bohdanowskiego i z ulgą głęboko się niem zachłysnąć po zaduchu i wrzawie innych miejsc. Do Bohdanowa przyjeżdża się z cichem zaspokojeniem tęsknoty za harmonją, prostotą i ładem, z poczuciem, że tak właśnie żyć należy i że w tem jest szczęście jedyne... A gdy stanąć pociemku wieczorem przed jasno żarzącemi się oknami gwarnej jadalni, to wysokie krzewy i rośliny tworzą fantastyczne, od wewnątrz oświetlone kulisy, z za których scena wydaje się czarownym obrazem, namalowanym przez samego nieobecnego Gospodarza, obrazem szczęścia rodzinnego, do którego tęskni i leci każde czujące serce, jak ćma do światła. I dają te jasne okna z poruszającemi się w nich postaciami chwile ukojenia wędrowcowi, który przystanie przed niemi znużony w swojej drodze samotnej, nakreślonej inaczej i zdala od tego promiennego widoku.

W gwiaździstej czerni wrześniowych nocy czuje się zbliżenie zaczajonej zimy, czuje się zmienność i krótkotrwałość wszystkiego, co radosne i słoneczne... Ale nie zmienia się, nie przekwita wiosenna odnowa duszy, nie ustaje rozmowa z krzyżami na cmentarnem wzgórzu. Sosny tam szumią przeciągle i ogarniają myśli śpiewną zadumą... jak w rozkołysanem morzu rozpływam się w ich sędziwym gwarze, otoczony prochami śpiących pokoleń, wsłuchany w echa słów Ferdynanda, który jest żywy, nieśmiertelny i nie może umrzeć... Krzyż jego pociemniał, lecz mogiłę po dawnemu ubarwiają świeże kwiaty... róże już się zakorzeniły i krwawią ciemnemi plamami — to obraz niekojnej boleści tej, co tu codzienną odbywa pielgrzymkę... inne białe, drobne różyczki zdają się szczebiotać głosami jego najmłodszych, Basi i Andrzejka... Ciche są, pozbawione letnich śpiewów lasy i pola, ale na cmentarz przylatuje czasami chmara szpaków i obsiada konary sosen z jazgotliwem wiecowaniem. Ożywia się cały gaj szklistem ćwierkaniem i przez mogilny smętek przepływa okrzyk życia, jakby tego smętku zaprzeczenie. A w ogrodzie, pod moim kasztanem jest zawsze jeszcze zielono i słonecznie. Patrzę, piszę o Ferdynandzie, myślę i piszę razem z nim. Coraz mi on bliższy teraz, gdy odszedł, by mię nawiedzać w samotnych godzinach wmyśleń, coraz lepiej czuję go i pojmuję... Dawniej byłem na to zbyt blisko niego — nie mogłem wznieść oczu do tych podniebnych błękitów, których on dorastał swą piękną, szlachetną głową. Trzeba było tragicznego dystansu mogiły, by przyziemnym, zaślepionym oczom ukazały się zdala prawdziwe wymiary wielkości, uosobionej w Zmarłym. Dziś czuję go we wszystkiem, co mnie tu otacza, uświęcone żarem jego miłowania, ozdobione krasą jego widzenia. Czuję go w tem starem domostwie, w tym ogrodzie cienistym i zarośniętym, w tych rozłożystych jabłoniach, co stoją wokoło, jak niegdyś, w pierwszym roku poznania naszego. Kochane, rosochate jabłonie Bohdanowskie... Niedawno razem z kasztanami prószyły kwieciem nad moją głową, ale teraz ociężały gronami owoców, wygrzanych w słońcu. Aż do ziemi spływają kaskadami ich ciemnozielone gałęzie, osypane krągliznami jabłek, wiją się naokoło pni strumieniście i ciężko zwisają ku murawie, sypiąc opadkami, jak bujnym gradem. Jabłka są duże, pełne, obrodziły w tym roku obficie, drzewa uginają się pod ich urodziwym ciężarem, aż straszno, by się nie połamały, gdy jesień doda im wagi i barwy. Jabłka kupią się jasnemi gronami, połyskują w słońcu woskową żółtością, wzbierają sokami Bohdanowskiej plenności. Są tak niezliczone, że okrywają całkiem gałęzie i przygważdżają je do ziemi, jakby ta ziemia wołała je do siebie i przytulić chciała pokrewnym uściskiem. W ukośnych smugach jesiennego słońca drzewa zwierają się, jak pyszne namioty, udrapowane kiściami żółtych soczystych jabłek, osłaniające inkrustacją z bladych topazów sutułowate pnie i pokręcone konary... Są takie same, jak na obrazie Ferdynanda w pierwszym roku naszej przyjaźni, gdym z nich uczył się poznawać duszę jego domu... „Popatrz — myślę modlitewnie — na swoje jabłonie, jak one pięknie rozrosły się i obrodziły dla ciebie, spocznij na nich,

jak niegdyś, kochającem spojrzeniem, żebym czuł, że patrzymy na nie razem, jak tej wiosny razem patrzaliśmy na ich białe, weselne rozkwitanie".

. . . .
. . . .

Wspomnienia moje dobiegają kresu. Cokolwiekbym jeszcze powiedział o Ferdynandzie, byłoby potrącaniem tej samej struny, a wiem, że i tak musiałem nieraz powtarzać się, co było może milsze dla mnie, niż będzie dla czytającego. Pisząc w ciągu całego roku odczuwałem nieraz obawę, czy doprowadzę pracę do końca, czy opowiadanie nie rozpłynie się w drobiazgach osobistych, czy zdołam ogarnąć rzeczy naprawdę ważne i przedstawić je w sposób, godny przedmiotu. Prosiłem Boga, by mi dopomógł i dał tyle sił i czasu, ile potrzeba do wypełnienia zadania. Dziękowałem Mu gorąco, gdy praca moja zaczęła kształtować się wyraźniej, gdy zaczęła posuwać się naprzód, opanowywać mię coraz mocniej i dawać chwile zupełnego oderwania od świata. Cieniste okole Bohdanowskiego ogrodu przyjęło mię i osłoniło, jak ściany klasztornej pustelni. Oddzielony od ludzi i życia, poczułem się zamknięty w kręgu uroczystego obcowania z naturą i cieniem Przyjaciela. Przeżyłem ten rok ze Zmarłym może jeszcze bliżej i pełniej, niż poprzednie lata z żyjącym i już nie umiałbym powiedzieć, który był bardziej prawdziwy i rzeczywisty: — tamten, złamany niemocą, czy ten pogrzebany, wyrastający w legendę, idący w zorzę wieczności... Zapatrzony w tę zorzę, doznałem chwil wielkiej łaski, głębokiego smętku i takiego bolesnego szczęścia, o którem nie miałem pojęcia, że istnieć może na tym świecie...

I zdawało mi się czasem, że od wzgórza „Ziemi", gdzie pod cmentarnemi sosnami spoczął utrudzony Oracz Boży, wiatr przywiewa jakieś ciche słowa pokrzepienia i otuchy... że z tego wzgórza trudu i ukojenia spływa na moje pisanie błogosławieństwo...

Bohdanów, w październiku 1937 roku.



Spis Rzeczy

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE
Z ORYGINAŁÓW I Z NATURY,
ILUSTRUJĄCE NINIEJSZĄ KSIĄŻKĘ
ZOSTAŁY WYKONANE NA PŁYTACH
I PAPIERACH Z KRAJOWEJ FABRYKI

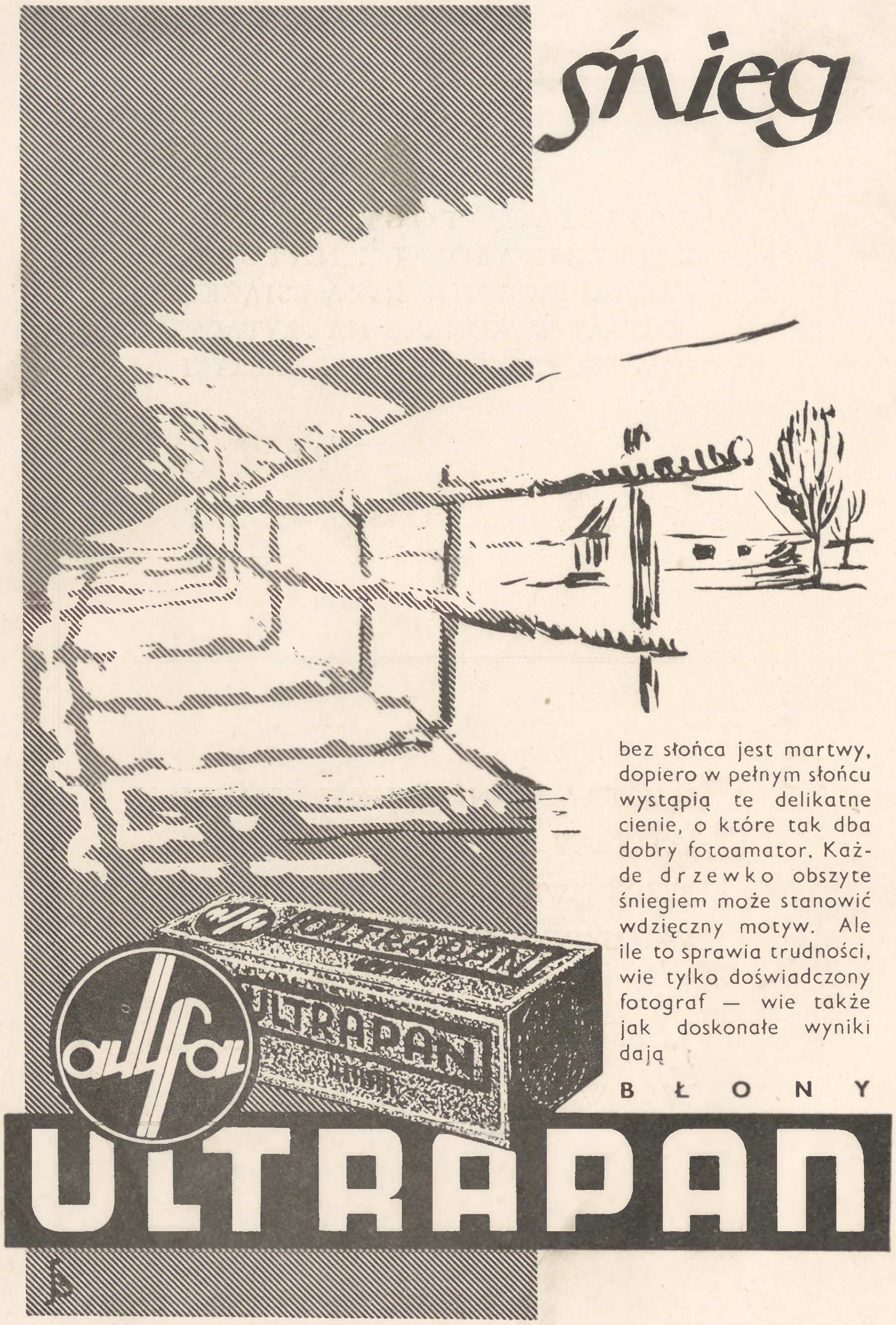
A L F A

W BYDGOSZCZY

ILUSTRACJE NINIEJSZEJ KSIĄŻKI
ZOSTAŁY ODBITE NA PAPIERZE
BEZDRZEWNYM KREDOWYM I ILU-
STRACYJNYM Z KRAJOWEJ FABRYKI

J. FRANASZEK SP. AKC.

W WARSZAWIE


śnieg
bez słońca jest martwy, dopiero w pełnym słońcu wystąpią te delikatne cienie, o które tak dba dobry fotoamator. Każde drzewko obszyte śniegiem może stanowić wdzięczny motyw. Ale ile to sprawia trudności, wie tylko doświadczony fotograf — wie także jak doskonałe wyniki dają
BŁONY
ULTRAPAN
ULTRAPAN

